

ARTHUR CONAN DOYLE

TAŃCZĄCE SYLWETKI

I INNE OPOWIADANIA

„GLORIA SCOTT” — PIERWSZA SPRAWA SHERLOCKA HOLMESA

PRZEL. JERZY REGAWSKI I WITOLD ENGEL
THE GLORIA SCOTT

Pewnego zimowego wieczoru, gdy siedzieliśmy przy kominku, Sherlock Holmes zwrócił się do mnie:

— Mam tu ciekawe papiery, Watsonie, które z pewnością cię zainteresują. Zresztą z innego jeszcze względu powinieneś się nimi zająć. Są to dokumenty dotyczące wypadku „Gloria Scott”. A oto zawiadomienie, którego treść tak przeraziła sędziego Trevora, iż zaraz po jego przeczytaniu zmarł.

Wyjął z biurka niewielki, pożółkły, kartonowy rulon. Rozwiązał tasiemkę i podał mi małą kartkę. Skreślono na niej kilka niezbyt wyraźnych zdań:

Polowanie pod Londynem rozpoczęte. Główny łowczy Hudson zarządził chyba wszystko. Wyraźnie już powiedział: Będzie wielka oblawa. Dlatego trzeba ratować bażancich samic życie!

Gdy w trakcie czytania tego zagadkowego zawiadomienia spojrzałem przelotnie na Holmesa, zauważyłem, że śmieje się z wyrazu mej twarzy.

— Wyglądasz na trochę zdziwionego — powiedział.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego to zawiadomienie mogło kogoś przerazić? Raczej wygląda mi ono na groteskowe. A i stylistycznie bynajmniej nie jest doskonałe.

— Oczywiście. Niemniej pozostaje faktem, że rosły i krzepki mimo swych lat, mężczyzna po przeczytaniu tej kartki zwałił się na ziemię, jakby otrzymał cios kolbą pistoletu.

— Zaciekawiasz mnie — odparłem. — Dlaczego jednak wspomniałeś, iż z innych powodów powinienem zainteresować się tą sprawą?

— Ponieważ była ona pierwszą w mojej karierze.

Nieraz już próbowałem dowiedzieć się od mego przyjaciela, co skłoniło go do zajmowania się kryminalistyką. Dotychczas nigdy jednak nie udało mi się nakłonić go do zwierzeń. Teraz siedział w fotelu lekko pochylony do przodu i rozkładał na kolanach papiery. Po chwili zapalił fajkę i począł je przeglądać.

— Czy wspomniałem ci kiedy o Wiktorze Trevor? — spytał. — To mój przyjaciel z czasów dwuletniego pobytu w Kolegium. Nigdy nie byłem zbyt towarzyski, Watsonie. Woląłem nudzić się w swoim pokoju, opracowując własne metody myślenia, niż przebywać dłużej w gronie kolegów z mego roku. Oprócz szermierki i boksu nie uprawiałem intensywniej innych rodzajów sportu. Tak samo kierunek, moich studiów całkowicie różnił się od zainteresowań kolegów. Nie miałem więc z nimi żadnej wspólnej płaszczyzny porozumienia. Trevor był jedynym człowiekiem, którego poznałem bliżej, i to tylko dzięki przypadkowi. Pewnego ranka, gdy schodziłem do kaplicy, pies jego ugryzł mnie w nogę w okolicy kostki. Wprawdzie to bardzo prozaiczny sposób zawarcia przyjaźni, jednak okazał się skuteczny. Musiałem przeleżeć w łóżku 10 dni. Trevor zaś odwiedzał mnie, dowiadując się o stan mego zdrowia. Te krótkie pogawędki przekształciły się z czasem w coraz dłuższe wizyty, tak że w rezultacie pod koniec mojej choroby zostaliśmy już serdecznymi przyjaciółmi. Wiktor był przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, pełnym energii i życia. Pomimo że pod wielu względami stanowił on moje przeciwieństwo, to jednak na większość spraw mieliśmy jednakowe poglądy. Podobnie jak ja nie miał on żadnych przyjaciół. I właśnie to zadecydowało o naszej przyjaźni. Po pewnym czasie

Trevor zaprosił mnie do posiadłości swego ojca, która leżała w hrabstwie Norfolk w sąsiedztwie Donnithorpe. Przyjąłem to zaproszenie ustalając, że przyjadę w czasie wielkich wakacji na okres miesiąca.

Starszy Trevor był zamożnym i poważanym ziemianinem. Przysługiwał mu też tytuł: „J. P.” Donnithorpe natomiast jest małą wsią położoną w pobliżu Broads w północnej stronie Langmere. Stał tam stary obszerny dom, zbudowany z cegieł i drzewa dębowego. Wiodła do niego piękna, wysadzana lipami aleja. Okoliczne bagna i wrzosowiska stanowiły wspaniałe tereny do polowania na dzikie kaczki. Ponadto można tam było łowić ryby. Wreszcie we dworze Trevorów znajdował się niewielki, lecz starannie dobrany księgozbiór, jak przypuszczam, pozostałość po poprzednich właścicielach posiadłości. Kuchnia też okazała się całkiem niezła. Czegóż więcej potrzeba? Tak. Można tam było przyjemnie spędzić miesiąc wakacji. Tylko człowiek wyjątkowo wybredny miałby może co do tego jakieś zastrzeżenia.

Stary Trevor był wdowcem, a mój przyjaciel jego jedynym synem. Jak słyszałem, miał on jeszcze córkę, która, jednak w czasie pobytu w Bromingham zmarła na dyfteryt. Trevor, choć nie odznaczał się wielką kulturą i odczytaniem, to jednak uchodził za człowieka mądrego. Umysł posiadał chłonny, a to, czego się nauczył, dobrze pamiętał. Podróżował wiele i zwiedził niemały szmat świata. Był krępy, tęgim szatynem o cerze brązowej, spalonej słońcem i wiatrem. Żywe, niebieskie oczy spoglądały niemal srogo. W całej okolicy słynął z uprzejmości i filantropii. Znano go również jako łagodnego sędziego, wydającego pobłażliwe wyroki.

Któregoś wieczoru, krótko po moim przybyciu, siedzieliśmy przy poobiedniej szklance porto. Młody Trevor skierował rozmowę na temat moich zainteresowań dotyczących obserwacji i wnioskowania. W tym czasie zdążyłem już ująć je w pewien system, chociaż jeszcze nie przeczuwałem, jak wielką rolę odegrają one w moim życiu. Starszy pan doszukiwał się prawdopodobnie przesady w opowiadaniach swego syna o niektórych z moich doświadczeń.

No, Mr Holmes, niech pan teraz wypróbuje swoje zdolności — powiedział uśmiechając się dobroduszenie. —

Może z mojego wyglądu potrafi pan coś wywnioskować? Stanowią podobno doskonały obiekt do dedukcji. — Obawiam się, że raczej nie — odpowiedziałem. — Mimo to pozwolę sobie zauważyć, iż w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy odczuwał pan lęk przed jakąś napaścią czy atakiem.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Skierował na mnie wzrok, w którym odmalowało się zdumienie.

— W istocie, to odpowiada prawdzie. Wiesz, Wiktorze — zwrócił się do syna — ta banda kłusowników, którą rozbiliśmy, groziła, że nas wymorduje. Sir Edward Hoby został napadnięty. Od tej pory mam się na baczności. Ale zupełnie nie mogę zrozumieć, skąd pan dowiedział się o tym?

— Posiada pan bardzo ładną laskę — odparłem. — Sądząc po napisie, nie może pan mieć jej dłużej niż rok, Mimo to zadał pan sobie tyle trudu, aby rączkę jej wydrążyć i wypełnić roztopionym ołowiem. Dzięki temu laska ta stała się groźną bronią. Z pewnością nie przedsięwzięłby pan takich ostrożności, gdyby pan nie obawiał się jakiegoś niebezpieczeństwa.

— Cóż więcej? — spytał Trevor z uśmiechem.

— Za młodu musiał pan intensywnie uprawiać boks.

— Znowu zgadł pan. Z czego pan jednak to wywnioskował? Czy z tego, że mam trochę skrzywiony nos?

— Nie! — odpowiedziałem. — Pańskie uszy to zdradzają. Mają one charakterystyczne spłaszczenia i zgrubienia, które znamionują boksera.

— I co dalej?

— Zgrubienia na pańskich dłoniach wskazują, iż długi czas pracował pan przy jakichś pracach ziemnych posługując się łopatą.

— Tak. Cały swój majątek zdobyłem na „polach złotodajnych”.

— Był pan w Nowej Zelandii,

— Znowu trafnie pan odgadł.

— Odwiedził pan również Japonię.

— Tak jest.

— *J. A.* to inicjały osoby, z którą łączyły pana bardzo zażyłe stosunki. Później starał się pan o niej zupełnie zapomnieć.

Mr Trevor uniósł się z wolna. W najwyższym osłupieniu utkwiał we mnie swe wielkie, niebieskie oczy. Nagle zachwiał się i upadł zemdlony twarzą na stół między łupiny od orzechów.

Możesz sobie wyobrazić, Watsonie, jak to nas obu przeraziło, jego syna i mnie. Omdlenie jednak nie trwało długo. Gdy rozpięliśmy mu kołnierzyk i skropili twarz wodą, westchnął raz czy dwa razy, wreszcie oprzytomniał i usiadł.

— Ach, chłopcy! — powiedział siląc się na uśmiech. — Chyba nie bardzo was przestraszyłem? Pozornie wyglądam na silnego, jednak mam słabe serce i niewiele potrzeba, aby mnie zwalić z nóg. Nie mogę zrozumieć, Mr Holmes, jak pan dochodzi do swoich wniosków. Wydaje mi się jednak, że wszyscy detektywi, jacy obecnie istnieją i jakich można sobie wyobrazić w przyszłości są dziećmi w porównaniu z panem. To jest pańskim powołaniem. Niech pan wierzy słowom człowieka, który nieźle zna świat.

Sąd sędziego Trevora, chociaż przesadnie oceniający moje zdolności, stał się punktem zwrotnym w moim życiu. Przekonał mnie on, że to, co dotychczas stanowiło jedynie przyjemne zajęcie amatora, można przekształcić w pracę zawodową. Wtedy jednak zbyt byłem zaabsorbowany nagłymi zasłabnięciem mojego gospodarza, by móc myśleć o czymkolwiek innym.

— Mam nadzieję — rzekłem — że nie powiedziałem nic takiego, czym mógłbym pana urazić?

— No, niewątpliwie odkrył pan moją tajemnicę. Ale czy wolno spytać, skąd pan o tym wie i co pan wie?

Chociaż mówił to na wpół żartobliwie, to jednak w oczach jego czaiło się jeszcze poprzednie przerażenie.

— To bardzo proste — powiedziałem. — Gdy obnażył pan rękę, aby wciągnąć do łódki rybę, zauważyłem na zgięciu łokcia wytatuowane inicjały *J. A.* Można je było odczytać. Jednak zamazane kształty liter i plamy na skórze wokół nich świadczą, iż starał się pan je usunąć. Nie ulega więc wątpliwości, iż osoba posiadająca te inicjały była panu kiedyś bardzo dobrze znaną. Później natomiast starał się pan o niej zapomnieć.

— Pan jest bardzo spostrzegawczy! — zawołał z westchnieniem ulgi. — Tak właśnie było, jak pan mówi. Ze wszystkich złych wspomnień najgorsze są wspomnienia dawnych nieszczęśliwych miłości. No, ale chodźmy do pokoju bilardowego na cygaro.

Od tego dnia w zachowaniu Mr Trevora mimo serdeczności w stosunku do mnie wyczuwałem pewną dozę podejrzliwości. Zauważył to również jego syn.

— Wywarłeś na ojcu tak silne wrażenie — mówił — że nie jest teraz pewien, co wiesz, a czego nie możesz wiedzieć.

Stary Trevor wprawdzie starał się nie okazywać mi swej podejrzliwości, jestem tego pewien, jednak nurtowała go nieustannie, tak że nie mógł jej ukryć. Wreszcie nabrałem pewności: to ja jestem przyczyną jego niepokoju. Wtedy postanowiłem zakończyć moją wizytę. Jednak w przeddzień mego wyjazdu zaszedł wypadek, który pociągnął za sobą poważne następstwa.

Siedzieliśmy właśnie we trzech w ogrodowych fotelach ustawionych na trawniku. Podziwialiśmy widok na Broads, rozkoszując się słońcem, gdy z domu wyszła do nas służąca. Oznajmiła jakiegoś mężczyznę, który pragnie się widzieć z Mr Trevorem.

- Jak on się nazywa? — spytał mój gospodarz.
- Nie chce powiedzieć.
- Więc czego chce?
- Twierdzi, że pan go zna. Prosi tylko o chwilę rozmowy.
- Przyślij więc go tutaj.

Po chwili zjawił się niski, wynędzniały człeczyna. Zbliżał się ku nam kołyszącym krokiem. Miał na sobie kurtkę z marynarską odznaką na rękawie, koszulę w czerwono-czarną kratę, spodnie z szorstkiego materiału i mocno zniszczone buty. Jego chudą, ogorzałą twarz cechowała przebiegłość. Błąkający się po niej nieszczerzy uśmiech odsłaniał nierówne, pożółkłe zęby. Dłonie trzymał na wpół zaciśnięte w charakterystyczny dla marynarzy sposób.

Gdy szedł przez trawnik swym niezgrabnym krokiem, Mr Trevor zerwał się z fotela i pobiegł w kierunku domu. Po chwili wrócił. Gdy mijał mnie, poczułem od niego silny zapach wódki.

- No i cóż, mój przyjacielu, mogę dla was uczynić? — spytał.
- Marynarz stał uśmiechając się i patrząc nań spod przymrużonych powiek.
- Nie poznaje mnie pan? — spytał.

— Ależ tak, mój drogi. Z pewnością nazywacie się Hudson! — W głosie Mr Trevora wyraźnie brzmiało zaskoczenie.

- Tak, sir, jestem Hudson! — odpowiedział marynarz.

— Mija już trzydzieści lat od czasu, gdy pana ostatni raz widziałem. Jak widzę, pan osiadł we własnych dobrach. Ja natomiast w dalszym ciągu tułam się po świecie i klepię biedę.

— Sam się zaraz przekonasz, że nie zapomniałem dawnych czasów — odparł Mr Trevor i zbliżywszy się do marynarza szepnął: — Idź do kuchni! — Głośno zaś dodał: — Oczywiście, pomogę ci. Zaraz dostaniesz coś do jedzenia i picia.

— Dziękuję, sir! — odparł przybysz, dotykając ręką daszka czapki. — Jestem zmęczony i pragnę odpoczynku. Mam nadzieję, iż udzieli mi go Mr Beddoes lub pan.

- Ach! Wiesz więc, gdzie mieszka obecnie Mr Beddoes? — zawołał Mr Trevor.

— Tak się jakoś szczęśliwie składa, że wiem, gdzie przebywają teraz moi starzy przyjaciele! — odpowiedział ze złośliwym uśmiechem.

Po tych słowach udał się wraz ze służącą do kuchni. Mr Trevor w krótkich słowach poinformował nas, iż razem z tym człowiekiem pełnił służbę na statku, gdy wyruszał na poszukiwanie złota, po czym zostawiwszy nas samych udał się do domu. W godzinę później wróciliśmy do domu i zastaliśmy go leżącego na kanapie. Był kompletnie pijany. Całe to zdarzenie sprawiło na mnie bardzo nieprzyjemne wrażenie. Z ulgą opuściłem nazajutrz Donnithorpe, gdyż czułem doskonale, że dalsza moja obecność byłaby dla mojego przyjaciela bardzo krępująca.

Działo się to wszystko w pierwszym miesiącu moich wielkich wakacji. Po powrocie do Londynu następne siedem tygodni spędziłem w swym mieszkaniu, przeprowadzając kilka interesujących doświadczeń z chemii organicznej. Jesień była w pełni i wakacje dobiegały już końca, gdy pewnego dnia otrzymałem telegram od mojego przyjaciela. Błagał mnie, abym niezwłocznie przyjechał do Donnithorpe, gdyż bardzo potrzebuje mojej rady i pomocy. Oczywiście rzuciłem wszystko i pojechałem na północ.

Wiktor przybył po mnie na stację w małym powoziku. Od razu poznałem, że ostatnie dwa miesiące musiały być dla niego bardzo ciężkie. Schudł, postarzał się. Utracił całą wesołość i żywy temperament.

— Ojciec jest umierający! — brzmiały pierwsze jego słowa.

— Nie może być! — zawołałem. — Co mu się stało?

— Apopleksja. Silny wstrząs nerwowy. Cały dzień walczył ze śmiercią i wątpię, czy zastaniemy go jeszcze przy życiu.

Możesz sobie wyobrazić, Watsonie, jak wielkie wrażenie wywarła na mnie ta niespodziewana wiadomość.

— Co właściwie spowodowało atak? — spytałem.

— O to właśnie chodzi! Wsiadaj! Podczas drogi wszystko ci opowiem. Czy przypominasz sobie tego marynarza, który odwiedził nas w przeddzień twojego wyjazdu?

— Doskonale!

— Lecz czy domyślasz się, kogośmy wpuścili wówczas do domu?

— Nie mam pojęcia.

— Holmesie! To był szatan! — krzyknął. Spojrzałem nań zdziwiony.

— Tak, to był szatan we własnej osobie. Od tego czasu nie zazналиśmy ani chwili spokoju. Ojciec był wciąż okropnie przygnębiony, a teraz umiera. Dostał ataku serca przez tego przekłętą Hudsona.

— Ale jak on do tego doprowadził?

— Ach! Wiele bym dał, żeby to wiedzieć. Mój stary, kochany, dobry ojciec. Jak mógł wpaść w szpony tego łotra?! Bardzo się cieszę, Holmesie, żeś przyjechał! Mam bezgraniczne zaufanie do twego zdania i rozsądku. Na pewno poradzisz mi, jak umiesz najlepiej.

Jechaliśmy szybko równą, jasną drogą wiejską. Przed nami rozpościerały się pola Broads w blasku promieni zachodzącego słońca.

Po lewej stronie spostrzegłem sterczące ponad gajem wysokie kominy i maszt flagowy, zdobiący siedzibę sędziego Trevora.

— Mój ojciec dał temu łotrowi posadę ogrodnika — odezwał się mój przyjaciel. — Ponieważ jednak to stanowisko nie odpowiadało mu, uczynił go głównym lokajem. Z tą chwilą cały dom zdany został na jego łaskę. Włóczył się wszędzie i robił, co mu się żywnie podobało. Służące skarżyły się na jego pijaństwo i ordynarne obejście, na co ojciec podniósł wszystkim płace jako rekompensatę za te przykrości. Ten łotr, Hudson, brał nieraz łódź i najlepszą strzelbę ojca, aby udać się na „małe polowanie”. A wszystko to robił z tak bezczelną, złośliwą i szyderczą miną, że już nieraz rąbnąłbym go w szczękę, gdyby był moim rówieśnikiem. Powiedz, Holmesie! Cały czas starałem się siłą woli opanowywać. Czy nie byłoby jednak lepiej działać energiczniej? Być może, postępowałem niewłaściwie.

Sytuacja coraz bardziej zaostrzała się. Bezczelność tego bydlaka, Hudsona, stawała się nie do zniesienia, aż wreszcie któregoś dnia, gdy w mojej obecności ordynarnie odpowiedział ojcu, chwyciłem go za kark i wyrzuciłem z pokoju. Podniósł się siny z wściekłości i zmierzył mnie jadowitym spojrzeniem. Zawierało ono większą groźbę, niżby mógł wypowiedzieć słowami. Nie wiem, co zaszło potem między nimi, w każdym razie ojciec następnego dnia przyszedł do mnie z propozycją, abym przeprosił Hudsona. Oczywiście odmówiłem. Spytałem też ojca, jak może tolerować chamskie zachowanie się tego nędznika wobec siebie i reszty domowników.

— Ach, mój chłopcze! — odparł. — Mówisz tak, bo nie zdajesz sobie sprawy, w jakiej znajduję się sytuacji. Ale powinieneś dowiedzieć się o wszystkim. Wiktorze! Co będzie, to będzie! Pal licha! Ciekaw jestem tylko, czy potem będziesz nadal przekonany o krzywdzie, jaka spotyka twego biednego ojca?

Był bardzo zdenerwowany. Zamknął się w gabinecie i spędził tam resztę dnia. Widziałem przez okno, jak pisał coś w pośpiechu.

Tego wieczoru myślałem, że nadchodzi wreszcie nasze wyzwolenie. Hudson bowiem oznajmił, że odchodzi. Siedzieliśmy właśnie po obiedzie w jadalni, gdy wszedł. Był mocno wstawiony.

— Mam dość Norfolku! — powiedział grubym i ochrypłym głosem. — Odwiedzę teraz Mr Beddoesa w Hampshire. Zapewne podobnie jak pan bardzo się ucieszy na mój widok.

— Mam nadzieję, Hudsonie, iż nie odchodzisz z urazą? — spytał ojciec łagodnie i nieśmiało, co w najwyższym stopniu mnie oburzyło.

— Nie otrzymałem jeszcze należnych mi przeprosin! — odparł, patrząc nadąsany w moją stronę.

— Wiktorze! Potraktowałeś tego zacnego człowieka trochę za ostro. Przyznasz chyba? — zwrócił się ojciec do mnie.

— Wręcz przeciwnie! Obaj wykazaliśmy wprost anielską cierpliwość, znosząc jego wybryki! — odparłem. — Takie jest moje zdanie.

— A więc to tak? — warknął. — Doskonale, kolego. Jeszcze o tym porozmawiamy!

Zataczając się wyszedł z pokoju i w ciągu pół godziny opuścił nasz dom. Po jego wyjeździe ojciec czuł się kompletnie rozstrojony nerwowo. Co noc słyszałem, jak chodzi po swym pokoju. Wreszcie, gdy zaczął odzyskiwać równowagę duchową, spadł cios.

— Jak to się stało? — spytałem.

— W zupełnie niezwykły sposób. Otóż wczoraj wieczorem ojciec otrzymał list. Widniał na nim stempel pocztowy z Fordingbridge. Po przeczytaniu listu ojciec złapał się oburącz za głowę i począł biegać w kółko po pokoju. Robił wrażenie człowieka, który postradał zmysły. Gdy wreszcie udało mi się ułożyć go na kanapie, jedna połowa twarzy wraz z powieką i ustami wykrzywiła się. Zwykła oznaka ataku. Wiedziałem o tym dobrze. Niezwłocznie przybył dr Fordham i razem położyliśmy ojca do łóżka. Porażenie jednak postępowało dalej. Był ciągle nieprzytomny. Wątpię abyśmy zastali go jeszcze przy życiu.

— Ależ to okropne, Wiktorze! — zawołałem. — Cóż takiego mógł jednak zawierać ten list, iż wywołał tak straszny skutek?

— Nic! W tym właśnie tkwi zagadka. Zupełnie zwykłe i nawet śmieszne zawiadomienie! Och! Mój Boże! Stało się to, czego się obawiałem!

Podczas rozmowy, minęliśmy zakręt alei. W gasnącym świetle zachodzącego słońca ujrzeliśmy dwór Trevorów. We wszystkich oknach story były pospuszczane. Gdy podchodziliśmy do drzwi domu, na twarzy mojego przyjaciela pojawił się wyraz rozpacz. Jakiś mężczyzna w czerni wyszedł nam naprzeciw.

— Kiedy to się stało, doktorze? — spytał Trevor.

— Prawie zaraz po pana odejściu.

— Czy odzyskał przytomność?

— Na chwilę przed śmiercią.

— Czy zostawił mi jakąś wiadomość?

— Tylko to, że papiery znajdują się w japońskim gabinecie w głębi biurka.

Wiktor przeprosił mnie na chwilę i udał się wraz z doktorem do pokoju ojca. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak źle, jak wówczas. Zastanawiałem się nad całą sprawą. Cóż mogła kryć w sobie przeszłość Trevora, boksera, podróżnika i poszukiwacza złota? W jaki sposób wpadł w ręce tego bezczelnego marynarza? Dlaczego zemdłał, gdy wspomniałem o na wpół zatartych inicjałach, jakie miał wytatuowane na ręce? Dlaczego wreszcie umarł z przerażenia po otrzymaniu listu z Fordingbridge? Teraz dopiero przypomniałem sobie, iż Fordingbridge leży w Hampshire. Tam też mieszka ów Mr Beddoes, do którego Hudson wybrał się prawdopodobnie również w celu szantażu. List ten mógł więc pochodzić od niego i zawierać wiadomość o

zdradzie tajemnicy jakiegoś przestępstwa, które prawdopodobnie kiedyś, w przeszłości popełniono. Ale list mógł również wysłać Beddoes, chcąc ostrzec starego współnika przed zagrażającym im tego rodzaju niebezpieczeństwem. Wnioski te wydawały mi się słuszne. Ale jakim sposobem list o takiej treści mógł być zabawny i pospolity? — bo przecież tak go właśnie określił młody Trevor. Musiał go chyba źle zrozumieć. Prawdopodobnie mamy w tym wypadku do czynienia z jakimś skomplikowanym szyfrem. Właściwa treść ma zupełnie inne znaczenie niż zdania zawarte w tekście. Muszę zobaczyć ten list. Jeśli jest tak, jak przypuszczałem, to z całą pewnością uda mi się go prawidłowo odczytać.

Już prawie godzinę siedziałem w mroku, gdy moje rozmyślenia nad tą zagadkową sprawą przerwała zapłakana służąca, która przyniosła lampę. Zaraz za nią wszedł mój przyjaciel Trevor, błady lecz spokojny. W rękę trzymał papiery, które teraz leżą tu na moich kolanach. Usiadł naprzeciw mnie, przysunął lampę i podał mi kawałek szarego papieru zawierającego kilka niewyraźnych zdań:

Polowanie pod Londynem rozpoczęte. Główny łowczy Hudson zarządził chyba wszystko. Wyraźnie już powiedział: Będzie wielka obława! Dlatego trzeba ratować bażancich samic życie.

Gdy po raz pierwszy czytałem to zawiadomienie, miałem chyba tak samo zdziwioną minę, Watsonie, jak ty przed chwilą. Drugi raz przeczytałem je bardzo uważnie. Te pozornie pozbawione sensu zdania, jak przypuszczałem, kryją w sobie jakąś zupełnie inną treść. Być może, niektóre słowa, jak na przykład *obława*, lub *bażancie samice*, miały jakieś umowne znaczenie. Jeśli dobrane zostały całkiem dowolnie, to nie ma nawet mowy, aby je odgadnąć. Tajemnica szyfru, zdaje mi się jednak, nie na tym polega. Nazwisko Hudsona wskazywało na to, że sens zawiadomienia powinien być taki jaki od początku przypuszczałem. Świadczyło ono ponadto o tym, iż list raczej pochodził od Beddoesa, a nie od marynarza. Spróbowałem czytać tekst od końca. Ale wyrażenie: *życie samic bażancich* nie dawało wielkiej nadziei na rozwiązanie zagadki. Podobnie skończyło się fiaskiem odczytywanie co drugiego słowa: *polowanie... Londynem... główny... lub też pod... rozpoczęte... łowczy*. Wtem znalazłem właściwy klucz do szyfru. Ułożyłem tekst, wybierając co trzecie słowo, począwszy oczywiście od pierwszego. Tak! Teraz powstało ostrzeżenie, które rzeczywiście mogło doprowadzić do rozpaczony starego Trevora. Treść jego przeczytałem Wiktorowi. Była krótka i zwięzła:

Polowanie rozpoczęte. Hudson wszystko powiedział. Obława! Ratować życie!

Młody Trevor ukrył twarz w drżących dłoniach.

— Tak też chyba było! To gorsze niż śmierć! — jęknął. — To jeszcze hańba! Ale jakie mogą mieć znaczenie takie wyrazy, jak: *główny łowczy* lub *bażancie samice*?

— Dla samej treści ostrzeżenia nie posiadają one żadnego znaczenia. Ponieważ jednak nie możemy ustalić nadawcy listu, mogą one nam w tym bardzo pomóc. Widzisz sam, iż autor zaczął pisać *polowanie... rozpoczęte... i* tak dalej, pozostawiając luki. Następnie w puste miejsca wpisał po dwa słowa zgodnie z umówionym szyfrem. Były to pierwsze lepsze słowa, jakie mu przyszły na myśl. Między nimi wiele związanych jest z łowiectwem, co świadczyłoby o tym, iż autor listu był chyba zapalonym myśliwym lub hodowcą. A czy wiesz coś o tym Beddoesie?

— Teraz gdy o niego spytałeś — odparł — przypominam sobie, iż każdej jesieni przysyłał memu nieszczęśliwemu ojcu zaproszenie na polowanie. Urządzał je w swoich terenach łowieckich.

— Nie ulega więc wątpliwości — odparłem. — To on jest autorem listu. Teraz pozostaje nam tylko wyjaśnić tajemnicę, którą znał marynarz Hudson, a która stanowiła taką groźbę dla obu tych zamożnych i poważanych ludzi.

— Obawiam się, Holmesie — powiedział mój przyjaciel — że za tym wszystkim kryje się hańba i zbrodnia. Przed tobą, jednak nie chcę nic ukrywać. Oto oświadczenie ojca, które napisał, gdy przekonał się, iż grozi mu niebezpieczeństwo ze strony Hudsona. Zgodnie ze wskazówkami doktora znalazłem je w japońskim biurku. Weź i przeczytaj mi je, gdyż sam na to nie mam ani dość siły, ani odwagi.

— To są właśnie te papiery, Watsonie, które wówczas mi wręczył. Teraz odczytam je tobie, podobnie jak w tamtą noc czytałem jemu w starym gabinecie. Jak widzisz na okładce widnieje tytuł: *Dzieje statku „Gloria Scott” od chwili wypłynięcia z Falmoluth dnia 8 października 1855 do momentu jego katastrofy na 15°20’ szerokości północnej i 25° 14’ długości zachodniej dnia 6 listopada tegoż roku*. Spisane zostały w formie listu. A oto ich treść:

„Mój drogi synu!

„Teraz gdy ostatnie chwile życia zatruwa mi zbliżająca się nieuchronnie hańba, mogę ci o wszystkim szczerze i uczciwie napisać. Wierz mi! To nie strach przed prawem ani obawa przed utratą pozycji w hrabstwie czy też przed poniżeniem w oczach tych wszystkich, co mnie znali, najwięcej rani mi serce. Dla mnie najgorsze jest to, iż ty będziesz musiał się wstydić za swego ojca. Ty, który mnie kochasz Właśnie ty powinienes mieć dla mnie szacunek. Ale jeśli wciąż zagrażające mi niebezpieczeństwo spadnie na mnie, pragnę, abyś przeczytał ten list. Chcę ci sam opowiedzieć o mojej winie i o jej rozmiarach. Gdyby jednak wszystko ułożyło się pomyślnie (co może sprawie wszechmoc Boża), a dokument ten nie uległ zniszczeniu, lecz trafił w twoje ręce, to zaklinam cię na wszystkie świętości, na pamięć twojej ukochanej matki i na naszą miłość spal go i nigdy nawet myślami doń nie wracaj.

„Jeśli kiedyś będziesz czytał te słowa, ja będę już zdemaskowany i usunięty ze swego domu. Biorąc jednak pod uwagę zły stan mego serca, raczej będę już w grobie. Nie sposób dłużej milczeć. Przysięgam ci! Każde słowo tego listu to szczerą prawdą. Mimo wszystko jednak wierzę w miłosierdzie. Kochany chłopcze! Trevor to wcale nie moje nazwisko. Niegdyś w młodości nazywałem się James Armitage. Teraz dopiero możesz pojąć, dlaczego byłem tak zaskoczony, gdy kilka tygodni temu w rozmowie z twoim przyjacielem sądziłem, iż odkrył on tę tajemnicę. Jako Armitage pracowałem w londyńskim domu bankowym. Popelnilem tam przestępstwo i pod tym nazwiskiem zostałem skazany na zesłanie. Ale nie sądz mnie, mój chłopcze, zbyt surowo. Po prostu miałem dług honorowy. Uregulowałem go pieniędzmi, które nie należały do mnie. Myślałem, że zanim się to wykryje, będę mógł zwrócić samowolnie pożyczoną kwotę. Prześladował mnie jednak jakiś fatalny pech! Nigdy w rezultacie nie otrzymałem pieniędzy, na które liczyłem, a wcześniejsza niż zazwyczaj kontrola ksiąg wykryła moje nadużycie. Była to właściwie dosyć błaha sprawa, jednak przepisy prawne przed trzydziestu laty były znacznie surowsze niż obecnie. W ten sposób mając 23 lata stałem się przestępcą. Zakuto mnie w kajdany i wraz z trzydziestu siedmiu innymi więźniami popłynąłem do Australii pod pokładem statku „Gloria Scott”. Był to rok 1855. Wojna krymska trwała w całej pełni. Statki do przewozu więźniów zamieniono wtedy na transportowce kursujące na Morzu Czarnym. Zmuszało to rząd do wysyłki więźniów na mniejszych i mniej odpowiednich do tego celu statkach. Takim właśnie była „Gloria Scott”, która poprzednio pływała z ładunkami chińskiej herbaty. Tę kategorię statków zastąpiły później klipery. „Gloria” to statek starego typu o wyporności 500 ton, bardzo szeroki i niestateczny. Załogę jego stanowili: kapitan, kapelan, trzech oficerów, 26 marynarzy, 18 żołnierzy i 4 dozorców. Oprócz nich statek wiozł 38 więźniów. Tak więc cała załoga gdy opuszczaliśmy Falmouth, wynosiła blisko 100 ludzi.

„Na normalnych statkach więziennych ściany między celami budowano z grubych bali dębowych. U nas natomiast były bardzo cienkie i słabe. Obok mnie, w celi położonej bliżej rufy, umieszczono więźnia, na którego zwróciłem specjalną uwagę już przed załadowaniem nas na statek, podczas przeprowadzania na molo. Był to młodzieniec o bladej pozbawionej zarostu twarzy, cienkim, długim nosie i mocno zarysowanych szczękach. Szedł wyprostowany, energicznym krokiem, z wysoko podniesioną głową. Całe jego zachowanie cechowała swoboda i bez troska. Zwracał na siebie powszechną uwagę swym nieprzeciętnym wzrostem. Wątpię, czy kto z nas sięgał mu wyżej niż do ramienia. Musiał mieć co najmniej sześć i pół stopy wzrostu. Jego pełne energii i stanowczości oblicze stanowiło naprawdę dziwne zjawisko wśród tłumu zgnębionych i zmęczonych twarzy. Ucieszyłem się więc, iż on właśnie jest moim sąsiadem. Jeszcze większa jednak ogarnęła mnie radość, gdy w nocnej ciszy usłyszałem jakiś szept, a idąc za głosem zauważyłem otwór, który on wywiercił w desce dzielącej nasze cele.

— Halo, kolego — mówił ściszym głosem. — Jak się nazywasz? I za co tu siedzisz?

Opowiedziałem mu swoją historię i zapytałem, kim jest.

— Jestem Jack Prendergast! — odpowiedział. — I mogę się założyć, żeś słyszał już o mnie, nim się spotkaliśmy.

„Od razu przypomniałem sobie jego sprawę. Krótco przed moim aresztowaniem wywołała ona ogromny rozgłos w całym kraju. Pochodził z dobrej rodziny i posiadał wybitne zdolności, lecz zbyt łatwo ulegał złym nałogom, co w końcu doprowadziło do tego, że za pomocą bardzo pomysłowych oszustw wyłudził olbrzymie sumy od czołowych kupców Londynu.

— No i cóż? Pamiętasz moją sprawę? — zapytał chępliwie.

— Bardzo dobrze.

— To może przypomnisz sobie pewien nie wyjaśniony fakt?

— Co takiego?

— Miałem więc, czy nie miałem blisko ćwierć miliona funtów szterlingów?

— Tak mówiono.

— Ale żadnych pieniędzy nie znaleziono, prawda?

— Tak.

— A więc, jak przypuszczasz, gdzie one są? — Nie mam pojęcia.

— Tam, gdzie powinny być! W moich rękach! — zawołał. — Przysięgam, że zdobyłem więcej funtów, niż masz włosów na głowie. A jeśli posiadasz, mój synu, pieniądze i wiesz, jak się z nimi obchodzić oraz jak je wydawać, to nie ma dla ciebie rzeczy niemożliwych. A teraz jak myślisz? Czy to nie dziwne, że człowiek, który może wszystko, wysiaduje na dnie cuchnącego, zbutwiałego wraku z chińskich mórz, pełnego szczurów i robactwa? Nie, mój panie! Taki człowiek myśli o sobie i o swoich towarzyszach. Możesz na mnie liczyć i bądź pewny, że jeśli mi pomożesz, to cię stąd wydostanę.

„Gdy to wówczas mówił, nie bardzo mu wierzyłem. Ale po zaprzysiężeniu mnie na wszystkie świętości opowiedział o planowanym spisku. Otóż jeszcze przed zaokrętowaniem dwunastu więźniów z Prendergastem na czele postanowiło opanować statek „Gloria Scott”, a pieniądze Prendergasta stanowiły siłę napędową całej akcji.

— Mam współnika — mówił dalej — niespotykanej wprost dobroci. Szczery jak złoto! On ma moje pieniądze. Jak sądzisz, gdzie on się teraz znajduje...? Jest kapelanem tego statku! Samym kapelanem! Wszedł z powagą na pokład w czarnym stroju, zaopatrzone we wszystkie potrzebne papiery. W jego skrzyni znajduje się wystarczająca suma pieniędzy, by kupić cały, statek. Załoga jest nam oddaną ciałem i duszą. Zanim zorientowali się o co chodzi, przekupił już dwunastu z nich. Pozyskał też dwóch dozorców i drugiego oficera, Mercera. A jeśli uzna, że warto, to przekupi samego kapitana;

— Cóż więc zamierzacie robić? — spytałem.

— Jak myślisz? Po prostu płaszcz niektórych żołnierzy uczynimy bardziej czerwonymi, niż były przedtem...

— Ależ oni są przecież uzbrojeni!

— Oczywiście! Tak też powinno być, mój chłopcze! Ale my też mamy broń. Na każdego z nas przypada po dwa pistolety. I jeśli z poparciem załogi nie potrafimy opanować statku, to powinni nas umieścić w pensjonacie dla pańienek. Ty tej nocy pomów ze swoim sąsiadem z lewej strony i wybadaj, czy można mu zaufać.

„Zrobiłem, co mi polecił. Moim drugim sąsiadem, jak się okazało, był młody człowiek, który popełnił fałszerstwo. Jego sprawa niewiele się różniła od mojej. Nazywał się Evans. Obecnie, po zmianie nazwiska, podobnie jak ja stał się on szczęśliwym i bogatym właścicielem ziemskim w południowej Anglii. Wtedy zgodził się bardzo chętnie przystąpić do spisku. Uważał, iż jest to jedyny sposób ocalenia.

„Zanim przepłynęliśmy zatokę, wszyscy więźniowie oprócz dwóch należeli do spisku. Jeden z nich był chory umysłowo, a więc nie mogliśmy ryzykować i wtajemniczać go. Drugi natomiast chorował na żółtaczkę i na nic by się nam nie przydał.

„W ten sposób już od samego początku nic właściwie nie stało na przeszkodzie w opanowaniu statku. Specjalnie dobrana banda łotrów, która stanowiła załogę „Glorii”, dzięki pieniądзом Prendergasta miała nam ułatwić to zadanie. Pseudokapelan swobodnie wędrował po celach pod pozorem nawracania nas. Nosił on ze sobą czarny worek rzekomo pełen nabożnych ksiąg. A odwiedzał nas tak często, że już na trzeci dzień, każdy więzień miał ukryte w nogach łóżka dwa pistolety, pilnik, funt prochu i 20 kul.

„Dwóch dozorców było agentami Prendergasta, a drugi oficer jego prawą ręką. Przeciwno sobie mieliśmy tylko kapitana statku, dwóch oficerów, dwóch dozorców, lekarza i porucznika Martina wraz z jego osiemnastu żołnierzami. Aby mieć jak najwięcej szans powodzenia, zachowywaliśmy wszelkie środki ostrożności. Postanowiliśmy zaatakować znienacka i oczywiście w nocy. Stało się to jednak wcześniej, niż zamierzaliśmy. A oto jak do tego doszło:

„Pewnego wieczoru, w trzecim tygodniu naszej podróży, wezwano lekarza do chorego więźnia. Zszedł na dół do celi i podczas badania natrafił przypadkiem ręką na ukryte w łóżku pistolety. Gdyby udał, że niczego się nie domyśla, mógłby sparaliżować całą naszą akcję. Jednak ten mały, nerwowy człowiek nie mógł się opanować. Zbladł jak ściana i krzyknął ze zdumienia. Więzień od razu zorientował się w sytuacji i zanim lekarz zdążył podnieść alarm, leżał już przywiązany do koi z zakneblowanymi ustami. Ponieważ drzwi prowadzące na pokład zostawił otwarte, wybiegliśmy przez nie. Po drodze zastrzelono dwóch żołnierzy i kaprala, który przybiegł zwabiony hałasem. Przed drzwiami messy oficerskiej stało również dwu żołnierzy. Mieli chyba nabite karabiny, gdyż nie dali ognia. Zabito ich, gdy usiłowali nasadzić bagnety na broń. Ruszyliśmy wówczas do kajuty kapitana. Jednym pchnięciem otworzyliśmy drzwi. W tym samym momencie wewnątrz kajuty padł strzał. Kapitan runął twarzą do przodu wprost na mapę Atlantyku rozłożoną na stole. Obok niego stał „kapelan” z dymiącym pistoletem w dłoni. Załoga w tym czasie obezwładniła dwóch oficerów. A więc sprawa została załatwiona, tak nam się przynajmniej zdawało.

„Messa oficerska znajdowała się obok kapitańskiej kajuty. Wdarliśmy się tam całą gromadą. Rozparliśmy się wygodnie na kanapach i krzyczeliśmy jeden przez drugiego, pijani uczuciem wolności. Wilson, rzekomy kapelan, rozbił jedną ze skrzynek stojących pod ścianami i wydobyl z niej tuzin butelek sherry. Rozbijaliśmy szyjki butelek i napełnialiśmy kubki. I już podnosiliśmy je w górę, gdy nagle ogłuszył nas huk karabinów, a sala wypełniła się dymem. Nie można było nawet dojrzeć drugiego końca stołu. Gdy się trochę przejaśniło, ujrzałem istną rzeź: Wilson i

ośmiu innych więźniów wilo się na ziemi, a cały stół zalany był krwią i sherry. Okropny widok! Jeszcze dziś gdy o tym pomyślę, dostaję mdłości!

„Chwilę staliśmy w osłupieniu. I przegralibyśmy sprawę, gdyby nie Prendergast. Ryknął jak rozjuszony byk i rzucił się ku drzwiom, my zaś wszyscy pozostali przy życiu wybiegliśmy za nim. Na rufie stał porucznik wraz z dziesięcioma żołnierzami. Oni to właśnie przez uchylone okienka, umieszczone nad stołem, zasypali nas gradem kul. Wpadliśmy na nich, zanim zdążyli powtórnie nabić karabiny i rozpoczęła się zacięta walka wręcz. Mieliśmy nad nimi dużą przewagą liczebną, toteż po kilku minutach było już po wszystkim. Mój Boże! Cóż to za krwawa rzeź! Gorsza od niej nigdy chyba jeszcze się nie zdarzyła. Rozszalały Prendergast wyglądał jak wcielenie szatana. Chwytał żołnierzy z taką łatwością jak małe dzieci i wyrzucał żywych czy umarłych za burtę. Jeden z nich, ciężko ranny sierżant, utrzymywał się na powierzchni nadspodziewanie długo, z trudem płynąc. Wreszcie ktoś strzelił mu z litości w głowę. Gdy walka dobiegła końca, z naszych wrogów przy życiu pozostali tylko oficerowie, strażnicy i lekarz. Wielu z nas, zadowolając się zdobytą wolnością, nie chciało brać na sumienie zbrodni. Inna sprawa walczyć z uzbrojonymi w karabiny żołnierzami, a inna mordować z zimną krwią bezbronnych ludzi. Ośmiu z nas, a mianowicie pięciu więźniów i trzech marynarzy opowiedziało się za darowaniem im życia. Jednakże Prendergast i reszta jego kompanów byli nieubłagani.

— I jeśli chcemy być bezpieczni — mówił — musimy skończyć z nimi, nie pozostawiając przy życiu nikogo, kto by nas mógł potem wydać i zeznawać przeciwko nam.

„Zanosilo się na to, że i my, którzy przeciwstawiliśmy się morderstwu, podzielimy los jeńców. W końcu jednak Prendergast pozwolił nam wziąć łódź i odpłynąć. Chętnie skorzystaliśmy z okazji, gdyż czuliśmy się niemal chorzy od tej bestialskiej rzezi. Najgorsze jednak, jak się orientowaliśmy, miało dopiero nastąpić.

„Każdy z nas otrzymał kompletne ubranie marynarskie. Ponadto wyposażenie nasze stanowiły: baryłka wody sucharów i solonego mięsa oraz kompas. Prendergast dorzucił jeszcze mapę i powiedział, że jesteśmy rozbitkami, których statek zatonął na 15° szerokości północnej i 25° długości zachodniej. Odcięto cumę i odpłynęliśmy.

„A teraz, mój synu, dochodzę w mej historii do najbardziej nieoczekiwanego wypadku. Dął lekki, północnowschodni wiatr. Przedni żagiel, zwinięty podczas spuszczenia szalupy, teraz marynarze rozwinęli i „Gloria Scott” zaczęła się powoli od nas oddalać. Szalupa zaś kołysała się łagodnie na długiej, spokojnej fali. Evans i ja, jako najbardziej wykształceni, ustaliliśmy na mapie nasze położenie. Zastanawialiśmy się też, w którą stronę żeglować. Nie była to wcale prosta sprawa, gdyż Cape de Verds znajdował się w odległości około 500 mil na północ, a brzeg, afrykański niemal 700 mil na wschód.

„Wiatr się zmienił i dął w kierunku północnym. Dlatego też postanowiliśmy płynąć do Sierra Leone, co wydawało się najlepszym wyjściem z sytuacji. Po prawej burcie widać było oddalający się statek, który stopniowo malał, aż w końcu rozmiarami, przypominał łupinkę orzecha. Nagle wystrzeliła zeń ogromna chmura dymu i zawisła nad horyzontem na kształt gigantycznego drzewa. Po kilku sekundach usłyszeliśmy huk eksplozji, a gdy dym opadł, po „Glorii Scott” nie pozostało ani śladu. Natychmiast zawróciliśmy szalupę i co sił popłynęliśmy na miejsce katastrofy, gdzie wciąż jeszcze snuły się nad wodą mgły dymu.

„Minęła godzina, nim dotarliśmy do celu. Rozbita łódź, jakieś szczątki krat, belek i reji wskazywały miejsce, gdzie zatonął statek. Nie zastaliśmy tu jednak ani śladu życia. Byliśmy przekonani, iż przybyliśmy za późno, aby kogokolwiek uratować. Odpływaliśmy już przygnębieni, gdy dało się słyszeć słabe wołanie o pomoc. W pewnej odległości unosiły się na falach jakieś szczątki statku: W poprzek jednej z nich leżał bezwładnie człowiek. Wciągnęliśmy

go do łodzi. Młody marynarz, nazwiskiem Hudson, okazał się jednak tak poparzony i wyczerpany, iż nie był w stanie opisać, co się stało.

„Dopiero nazajutrz zaczął swą opowieść. Po naszym odejście Prendergast wraz z całą bandą przystąpił do likwidacji pięciu jeńców.

„Zastrzelono trzeciego oficera i dwóch dozorców, a ciała ich wyrzucono za burtę. Wówczas Prendergast zeszedł pod pokład i własnoręcznie poderżnął gardło nieszczęsnemu chirurgowi. Pozostał jedynie pierwszy oficer, odważny i energiczny człowiek. Gdy ujrzał zbliżającego się doń więźnia z ociekającym krwią nożem, wyswobodził się z więzów, które już poprzednio zdołał rozluźnić. Przebiegł przez pokład i skoczył na dno statku.

„Dwunastu więźniów, uzbrojonych w pistolety udało się za nim w pogoń. Znaleźli go z otwartą baryłką prochu, jedną ze stu znajdujących się na statku. Trzymając w ręku zapalki zagroził, iż wysadzi cały statek w powietrze, jeśli go spróbują zaatakować. W chwilę później nastąpił wybuch. Według relacji Hudsona, spowodowała go raczej źle wymierzona kula któregoś z więźniów niż zapalka oficera. Obojętne zresztą, jaka była przyczyna. W każdym razie statek „Gloria Scott” i banda, która go opanowała, przestali istnieć.

„Oto mój chłopcze, krótka historia tych mrozących krew w żyłach wypadków, w jakie zostałem wmieszany. Następnego dnia przyjął nas na pokład bryg „Hotspur” zdążający do Australii. Kapitan bez wahania uwierzył, iż jesteśmy jedynymi pozostałymi przy życiu rozbitkami statku pasażerskiego, który uległ katastrofie. Admiralicja uznała transportowiec „Gloria Scott” za zaginiony na morzu. Prawdziwe nasze dzieje okryła tajemnica.

„Na „Hotspurze” odbyliśmy wspaniałą podróż aż do Sydney, gdzie nas wysadzono na ląd. Obaj z Evansem zmieniliśmy nazwiska i rozpoczęliśmy pracę na polach złotodajnych. Wśród zbieraniny ludzkiej z całego świata bez trudu mogliśmy zatrzeć swoją przeszłość.

„Dalszych dziejów nie potrzebuję ci dokładnie opowiadać. Powodziło „nam się nieźle, dużo podróżowaliśmy, wreszcie powróciliśmy do Anglii jako bogaci kolonizatorzy. Kupiliśmy posiadłości ziemskie i przez dwadzieścia lat wiodliśmy spokojne życie. Wreszcie nabraliśmy przekonania, że o naszej przeszłości nikt już się nie dowie. Możesz więc sobie wyobrazić, jak się czułem, gdy zjawił się u nas ten marynarz. Od razu go poznałem, To był rozbitek, którego uratowaliśmy ze szczątków zatopionego statku. Nie wiem, w jaki sposób nas odnalazł. W każdym razie urządził sobie życie na nasz koszt. Baliśmy się bowiem zdemaskowania. Teraz chyba rozumiesz, dlaczego starałem się żyć z nim w zgodzie. Gdybyś o tym wszystkim wiedział, z pewnością podzielałbyś moje obawy, które mnie trapiły. Przecież on wyraźnie się odgrażał, gdy nas opuszczał, udając się do swojej drugiej ofiary.”

U dołu był jeszcze dopisek skreślony drżącą ręką Trevora. Z trudem można go było odczytać:

„Beddoes pisze szyfrem, iż Hudson wszystko wyjawiał. Miłosierny Boże, zlituj się nad nami!”

— Oto opowieść, którą owej nocy czytałem młodemu Trevorowi. Myślę Watsonie, że w tamtych okolicznościach była to naprawdę dramatyczna historia. Zupełnie załamała mojego przyjaciela. Wyjechał na plantację herbaty w Terai, gdzie podobno całkiem nieźle mu się wiedzie. Natomiast od dnia, w którym napisany został list z ostrzeżeniem, nigdy już nie usłyszano ani o marynarzu, ani o Beddoesie. Zniknęli i wszelki ślad po nich zaginął. Po policji nie wpłynęła żadna skarga. Prawdopodobnie więc Beddoes pomylił się i pogróżki uznał za fakt dokonany.

Hudsona ponoć widziano gdzieś ukrywającego się. Podobno, zdaniem policji, opuścił on Beddoesa i uciekł. Ja zaś uważam, że stało się zupełnie inaczej. Najprawdopodobniej Beddoes sądząc, iż został zdemaskowany, wpadł w rozpacz i zabił Hudsona. Następnie zabrał wszystkie

pieniądze, jakie miał pod ręką i uciekł za granicę. Oto wszystko, co dotyczy tej sprawy, doktorze. Jeśli przyda się ona do twojej kolekcji, to chętnie oddaję ci ją do dyspozycji.

PACJENT DOKTORA TREVELYANA

PRZEL. JERZY REGAWSKI I WITOLD ENGEL

THE RESIDENT PATENT

Oto przerzucam kartki pamiętników. Właściwie są to raczej chaotyczne zapiski. Na ich podstawie mam zamiar naszkicować sylwetkę mojego przyjaciela, Sherlocka Holmesa. Tak, ale jak to zrobić? Nie jest to wcale takie proste. Właściwie nie mogę dobrać odpowiedniego do tego celu przykładu. Żaden z tych, jakie mi się nasuwają, nie nadaje się bez zastrzeżeń. Znalazłem się rzeczywiście w trudnej sytuacji. Cóż się bowiem okazało? Oto akurat w tych sprawach, w których Holmes zabłysnął genialnymi, jemu tylko właściwymi metodami śledztwa, oraz rozumowaniem analitycznym, fabuła była nieciekawa lub pospolita. Nie, w żadnym wypadku nie nadawały się do publikacji. Ale bywało również odwrotnie. Holmes brał nieraz udział w dochodzeniach, dotyczących zdarzeń pełnych emocji i spięć dramatycznych, które silnie wstrząsnęły opinią publiczną. Cóż z— tego, skoro właśnie w takich wypadkach nie miał on okazji do wykazania w pełni swych niezwykłych zdolności i słynnej już obecnie jego metody dedukcyjnej; a w każdym razie nie w takim stopniu, jak bym sobie tego życzył jako jego biograf. Weźmy na przykład niewielką sprawę, zapisaną w moich notatkach pod tytułem *Studium w szkarłacie* i drugą związaną z zatonięciem statku „Gloria Scott”. W obu grozą kronikarzowi Holmesa niebezpieczeństwa podobne mitologicznej Scylli i Harybddie.

Czasami bywa jeszcze inaczej. Sprawa nieraz wyróżnia się i budzi ciekawość mimo stosunkowo nikłego w niej udziału mojego przyjaciela. Dotyczy to właśnie zdarzenia, które mam zamiar opisać.

Był ponury i dżdżysty dzień październikowy. Słoty do połowy zasłaniały okna w naszym mieszkaniu. Holmes leżał skurczony na kanapie. Z ranną pocztą otrzymał list i teraz czytał go po raz nie wiem który. W pokoju było gorąco. Termometr Fahrenheita wskazywał dziewięćdziesiąt stopni. Nie sprawiało mi to jednak przykrości. Podczas służby wojskowej w Indiach przywykłem bowiem do upałów i obecnie znoszę je znacznie lepiej niż zimno. Pomyślałem sobie, jakie to teraz nudy: w gazetach nie ma nic ciekawego, sesja parlamentu skończona, w mieście pustki. Ogarnęła mnie nieprzeparta tęsknota za polami New Forest lub taflą Morza Śródziemnego. Niestety, nic z tych marzeń, nic z urlopu... bo mój rachunek bankowy wyczerpany.

Mojego przyjaciela nie trapiły, takie zmartwienia. Urlop, wieś, morze... to wszystko mogło dlań nie istnieć. Nie budziło w nim najmniejszego zainteresowania. Ponad wszystko lubił życie w tym pięciomilionowym mieście. Ruchliwe; pełne nerwowego napięcia, ciekawe życie Londynu. Holmes był specjalnie wyczulony na zagadki kryminalne, a zwłaszcza na nie rozwiązane, skomplikowane morderstwa. Najmniejsza nawet wzmianka lub podejrzenie o taką sprawę budziło jego czujność i podniecało do działania.

Mój przyjaciel — jak z pewnością wiecie — miał wiele zalet. Jednej mu jednak brakowało, mianowicie zrozumienia dla uroków przyrody. Wieś uznawał tylko w jednym wypadku — gdy przestępca uciekł z miasta i trzeba go było śledzić, ewentualnie gdy na wsi dokonano jakiejś zbrodni. Tylko to było w stanie wpłynąć na zmianę jego trybu życia i tylko wtedy opuszczał Londyn. Teraz Holmes był pochłonięty lekturą. Nie miałem więc z kim porozmawiać. Odrzuciłem nudną gazetę i wyciągnąłem się wygodniej w fotelu, pogrążając się w rozmyślaniu. Nagle przerwał je Sherlock.

— Masz słuszność, Watsonie! — powiedział.— To bardzo, śmieszny sposób rozstrzygnięcia sporu.

— Bardzo śmieszny?! — zawołałem. I wtedy nagle uświadomiłem sobie, że... Ależ tak! Naturalnie! Przecież Holmes po prostu zawtórował moim najskrytszym myślom. Poderwałem się gwałtownie i wlepiłem w niego oczy z niemym podziwem.

— Cóż takiego, Holmesie?! — krzyknąłem wreszcie. — To przekracza wprost granice wyobraźni!

Zaśmiał się serdecznie z mego zdumienia i zakłopotania.

— Pamiętasz nowele Poego? — rzekł. — Przecież wyjątek jednej z nich niedawno ci czytałem. Przypominasz sobie? To znakomicie! Tak, właśnie! O tym precyzyjnie rozumującym człowieku. Szedł on dokładnie za nie wypowiedzianymi myślami drugiego. Traktowałeś to jako wytwór czyjejś fantazji, wydumań autora. Zwróciłem ci wówczas uwagę, że i ja postępuję dokładnie tak samo, jak ten precyzyjnie rozumujący jegomość Poego. Co ponad to, to należy tylko do mojej metody. Odniosłeś się do tego wówczas z niedowierzaniem, prawda?

— Ależ nie!

— Być może, nie wyraziłeś tego słowami, drogi Watsonie! Zdradziło cię jednak charakterystyczne ściągnięcie brwi. Wiesz przecież, że twarz ludzka jest dla dobrego psychologa otwartą księgą. A więc, gdy przed chwilą odrzuciłeś gazetę, pogrążając się w rozmyślaniach, spróbowałem przeprowadzić mały eksperyment. Świetnie — pomyślałem — nadarza się znakomita okazja. Odczytam twe myśli i w pewnym punkcie przerwę je. W ten sposób dowiodę, iż pozostawałem z tobą w kontakcie duchowym. Wyjaśnienie Holmesa nie zaspokoilo jednak mojej ciekawości.

— W przytoczonej nowelce Poego — rzekłem — człowiek ściśle rozumujący wyciągał wnioski na podstawie obserwacji zachowania się i ruchów drugiego człowieka. Jeśli sobie dobrze przypominam, to chodziło o przechodnia, który potknął się o kupę kamieni, człowieka, który patrzył na gwiazdy, itd. Ja natomiast siedziałem spokojnie w fotelu.

Moje zachowanie nie dało ci żadnych wskazówek. Cóż więc mogłeś zaobserwować?

— Jesteś niesprawiedliwy... dla siebie — odparł Holmes. — Rysy twarzy są przecież znakomitym wykładnikiem uczuć ludzkich. I właśnie twoje rysy wiernie je oddawały.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że odczytałeś moje myśli...?

— Z rysów twarzy, a przede wszystkim z wyrazu twych oczu. Być może, nie przypominasz sobie, w jaki sposób wpadłeś w zamyślenie?

— Nie, nie pamiętam.

— A więc opowiem ci, jak to się zaczęło. Zwróciłem na ciebie uwagę w chwili, kiedy odrzuciłeś gazetę. Potem pół minuty siedziałeś bezmyślnie, a następnie wzrok twój skierował się ku nowo oprawionemu wizerunkowi generała Gordona. Wówczas zaszła pewna zmiana. Twarz ci się nieco ożywiła. Było to oznaką, że proces myślowy rozpoczął się. To jednak nie dało mi wiele. Po chwili rzuciłeś okiem na portret bez ram Henryka Ward Beechera, oparty o ścianę nad twoimi książkami. W końcu spojrzaleś na ścianę. I w rezultacie rozumowanie twoje stało się dla mnie jasne. Pomyślałeś tak: „gdyby portret oprawić, to zająłby on puste miejsce na ścianie, stanowiąc odpowiednik wizerunku Gordona”.

— Wspaniale to odgadłeś! — zawołałem.

— Dotychczas wszystko było proste. Trudno wprost o pomyłkę. Następnie jednak powróciłeś myślami do Beechera. Patrzyłeś nań tak przenikliwie, jakbyś chciał poznać dokładnie jego charakter. Po pewnym czasie naprężenie minęło, ustępując zadumie. Przestałeś mrużyć oczy, nie odrywałeś ich jednak nadal od obrazu. Rozmyślałeś, o życiu i karierze Beechera. Oczywiście nie mogłeś pominąć misji, jakiej się podjął na rzecz Północy podczas wojny domowej. Wiedziałem o tym doskonale. Pamiętałem przecież nasze dawne dyskusje na ten temat. Namietnie potępiałeś wówczas sposób, w jaki przyjęli Beechera przeciwnicy. Byłeś tym nadzwyczaj podniecony i do

głębi przejęty. Nie ulegało więc najmniejszej wątpliwości, że myśląc o Beecherze musiałeś jednocześnie przypomnieć sobie i o tym wypadku. Jedno i drugie kojarzyło się bowiem w, twojej pamięci w nierozdzielnej całości.

Gdy więc w chwilę później spostrzegłem, jak wzrok twój ześliznął się powoli z portretu, pomyślałem, iż myśli twoje na pewno są nadal zaprzątnięte wojną domową. Wtem zmieniłeś się na twarzy. Usta zacięły się, oczy poczęły sypać skry. Potwierdzało to moje domysły. Wspominałeś zapewne męstwo, jakie wykazały obie strony walczące w tych rozpaczliwych zmaganiach. Wnet jednak znów się zachmurzyłeś. Pokiwałeś w zadumie głową. A więc zastanawiałeś się wtedy nad okropnościami wojny i marnowaniem życia ludzkiego. W końcu ręka twoja powędrowała ku twojej starej, zabliznionej ranie, na wargach zaś wykwitł uśmiech. Cóż cię tak nagle rozbawiło? Czyżby śmieszność takiej metody załatwiania sporów międzynarodowych, jaką jest wojna? Ależ tak. W zupełności podzielałam twe zdanie — to śmieszne i głupie! Ucieszyłem się! Wszystkie moje dedukcje okazały się trafne!

— Całkowicie! — potwierdziłem. — I muszę przyznać, że po tym wyjaśnieniu jestem dla ciebie pełen podziwu; zresztą tak jak i przedtem.

— Ależ to było bardzo łatwe, mój drogi Watsonie! Nie wspominałbym ci o tym, gdyby nie twe niedowierzanie. Popatrz! Wreszcie trochę wiatru. Zapowiada się piękny wieczór. Co byś powiedział na małą przechadzkę po Londynie?

Właściwie znudziło mi się już to przesiadywanie w naszej małej bawialni. Z radością więc zgodziłem się na jego propozycję. Trzy godziny spacerowaliśmy po mieście. Życie zmieniało się tu jak w kalejdoskopie. Przez Fleet Street i Strand nieustannie przelewały się w obu kierunkach tłumy ludzi, a środkiem płynęły nie kończące się strumienie pojazdów. Idąc przez to „mrowisko” gawędziliśmy. Lubilem takie rozmowy, gdyż stanowiły dla mnie prawdziwą rozrywkę. Holmes rzucał co chwilę jemu tylko właściwe, ciekawe i dowcipne uwagi. Cechowała je niespotykana wprost umiejętność obserwacji życia, a zaskakiwała precyzją rozumowania. Po jego wyjaśnieniach wszystko, co zdawało się przedtem niezrozumiałe, stawało się jasne i proste.

Na Baker Street wróciliśmy po godzinie dziesiątej. Przed bramą naszego domu stał powóz.

— Hm! Powóz jakiegoś lekarza, jak przypuszczam... doktora wszech nauk lekarskich — rzekł Holmes. — Niedługo praktykuje, lecz ma dużo pracy. Przyjechał chyba po poradę. Dobrze się składa, iż wróciliśmy.

Znałem już wystarczająco dobrze metody Holmesa, aby móc podjąć jego rozumowanie. Ponadto mój zmysł obserwacji wyczulił się wskutek ciągłego obcowania z Sherlockiem. Zaraz też spostrzegłem we wnętrzu powozu wiklin nowy koszyk, pełen różnych instrumentów lekarskich, lśniących w blasku latarni, które dostarczyły mojemu przyjacielowi podstawy do błyskawicznej dedukcji. Ponadto oświetlone okna mieszkania świadczyły, iż właśnie do nas przybył ów wieczorny gość.

Byłem trochę zaintrygowany tą wizytą. Podążając za Holmesem do domu zastanawiałem się, co mogło sprowadzać do nas lekarza o tak późnej porze.

Weszliśmy do mieszkania. Z fotela przy kominku podniósł się blady mężczyzna. Jego lśniącą twarz okalały płowego koloru bokobrody. Nie miał więcej, jak 33 lub 34 lata, jednak, wynędzniała twarz i zniszczona cera świadczyły o niezdrowym trybie życia, podkopującym jego siły. Klasyczny okaz młodego starca. Wstając, oparł o gzyms kominka białą, smukłą ręką. Była to raczej dłoń artysty niż chirurga. Ubranie jego stanowiły, czarny anielez i ciemne spodnie, a do tego krawat w delikatnym odcieniu.

— Dobry wieczór, doktorze! — powitał go wesoło Holmes. — Sądzę, że nie czekał pan długo, zaledwie kilka minut.

— Rozmawiał pan z moim woźnicą?

— Nie! Poznałem to po lichtarzu palącym się na stoliku. Ale proszę uprzejmie, niech pan zajmie na powrót swe miejsce i powie, czym mu mogę służyć.

— Moje nazwisko jest Percy Trevelyan, doktor — rzekł nasz gość. — Mieszkam na Brook Street nr 403.

— Czy to pan jest autorem monografii o nieznanym schorzeniach nerwowych? — spytałem.

Jego blade policzki zaróżowiły się z zadowolenia, gdy usłyszał, iż jego praca jest mi znana.

— Tak rzadko słyszałem o mojej książce... iż właściwie traktowałem ją jako całkowicie zapomnianą — odparł.

— Moi wydawcy niewiele jej egzemplarzy sprzedali i byli niezadowoleni. Książka „nie szła”. Pan, zdaje się, też jest lekarzem?

— Emerytowany chirurg wojskowy.

— Mnie zawsze bardzo interesowały choroby nerwowe. Chciałbym też specjalizować się wyłącznie w tej dziedzinie. Ale początkujący lekarz nie ma wyboru. Musi brać taką pracę, która zapewni mu byt. Przepraszam, lecz odbiegłem od tematu, Mr Sherlock Holmes, a zdaję sobie doskonale sprawę, jak cenny jest pana czas. Wracam więc do rzeczy. W domu na Brook Street, w którym mieszkam, miał miejsce szereg dziwnych wypadków. Dzisiejszej nocy przebrała się miarka. Postanowiłem więc nie czekać ani

chwili dłużej i zwrócić się bezzwłocznie do pana po pewne wskazówki i pomoc. Sherlock Holmes usiadł i zapalił fajkę.

— Bardzo chętnie poradzę i pomogę — powiedział. — Proszę uprzejmie. Niech pan mi dokładnie opowie o tych wypadkach. Cóż pana tak zaniepokoiło?

— Niektóre z nich są na pozór zupełnie błahe — rzekł dr Trevelyan. — Po prostu wstyd mi o nich wspominać. Cała sprawa jest jednak bardzo niejasna. Ostatnio zaś przyjęła taki obrót, iż wygląda na z góry uplanowaną akcję. Najlepiej wszystko panu dokładnie opowiem, a pan wtedy oceni, co jest istotne i ważne, a co nie.

Zacznę od paru szczegółów dotyczących mej pracy naukowej. Ukończyłem Uniwersytet Londyński. Profesorowie — proszę tego nie uważać za niepotrzebne przechwałki — uznawali moją działalność naukową za bardzo obiecującą. Po uzyskaniu dyplomu kontynuowałem nadal swoje badania, zajmując skromne stanowisko w Kings College Hospital. Miałem szczęście. Moje osiągnięcia w dziedzinie patologii wzbudziły wielkie zainteresowanie. W rezultacie uzyskałem nagrodę Bruce Pinkertona i medal za monografię na temat schorzeń nerwowych, o której wspomniał już przedtem pański przyjaciel. Podówczas panowało powszechne przekonanie, iż czeka mnie wielka kariera naukowa. Nie ma w tym wcale przesady.

Niestety, wielką przeszkodę stanowił dla mnie brak potrzebnych pieniędzy. Jak pan się orientuje, specjalista, który marzy o sławie, musi zaczynać praktykę na jednej z dwunastu ulic w Cavendish Square. A tam, niestety, trzeba płacić ogromny czynsz dzierżawny oraz wydać mnóstwo pieniędzy na kosztowne wyposażenie gabinetu lekarskiego. Poza tym wstępnym wydatkiem specjalista taki musi się liczyć również z koniecznością utrzymywania się przez kilka lat z własnych funduszy, a nadto mieć do swej dyspozycji reprezentacyjny pojazd i konia. Przekraczało to moje możliwości. Mogłem jedynie żywić nadzieję, iż w ciągu dziesięciu lat uda mi się zaoszczędzić potrzebną kwotę. Nagle jednak zdarzyło się coś zgoła nieoczekiwanego. Otworzyły się przede mną zupełnie nowe widoki na przyszłość.

Zdarzeniem tym była wizyta Mr Blessingtona, którego zresztą wcale przedtem nie znałem. Któregoś fanka przyszedł do mnie i od razu przystąpił do sprawy.

— Pan jest tym Percy Trevelaynem, który rozpoczął świetną karierę i uzyskał wielką nagrodę? — spytał. Przytaknąłem. — Niech pan odpowiada mi szczerze — ciągnął dalej — gdyż przekona

się pan, iż leży to w jego interesie. Posiada pan wszelkie uzdolnienia, które zapewniają sukces. Tylko czy jest pan taktowny?

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Bo też pytanie postawił on w tak nieodpowiedni sposób.

— Wydaje mi się, iż cecha ta jest mi do pewnego stopnia właściwa — odparłem.

— A nie ma pan nałogów? Zwłaszcza skłonności do alkoholu? Co?

— Wypraszam to sobie...! — krzyknąłem.

— Całkiem słusznie! Wszystko w porządku. Musiałem jednak o to pana zapytać. Dlaczego więc, posiadając te wszystkie kwalifikacje, nie ma pan praktyki lekarskiej?

Wzruszyłem tylko ramionami.

— Wiem, wiem — powiedział żywo. — To znana historia: Więcej w głowie niż w kieszeni. He? Co by pan na przykład powiedział na otwarcie praktyki lekarskiej na Brook Street?

Spojrzałem na niego zdumiony.

— Och! Robię to z myślą o swojej, a nie o pańskiej wygodzie! — zawołał. — Jestem wobec pana zupełnie szczerzy. Jeśli moja propozycja tylko odpowiada panu, to dla mnie jest ona bardzo korzystna. Mam kilka tysięcy kapitału do ulokowania i zamierzam zainwestować je w panu.

— Ale dlaczego? — spytałem zdławionym ze wzruszenia głosem.

— Po prostu spekulacja, jak każda inna. Tylko, że pewniejsza od wielu z nich.

— Cóż mam więc robić?

— Zaraz panu powiem. Ja wynajmę dom, wyposażę jak trzeba, opłacę służbę i poprowadzę cały zakład. Do pana obowiązków należeć będzie praca w gabinecie lekarskim. Oczywiście, może pan mieć własne pieniądze i w ogóle co pan chce. Mnie odda pan trzy czwarte swych zarobków, a jedną czwartą zachowa pan sobie.

Tę osobliwą propozycję, Mr Holmes, postawił mi niejaki Blessington. Nie będę pana nudził opowiadaniem o szczegółach naszych targów i układów. Podam tylko ostateczny wynik. Nazajutrz po święcie Zwiastowania (25 marca) zamieszkałem we wskazanym mi domu. Praktykę lekarską zaś rozpocząłem na warunkach bardzo zbliżonych do tych, jakie mi zaproponował. Blessington zamieszkał ze mną w charakterze stałego pacjenta. Jak się potem okazało, miał słabe serce i potrzebował opieki lekarskiej.

W dwóch najlepszych pokojach pierwszego piętra urządził sobie gabinet i sypialnię. Był to dziwak unikający towarzystwa. Z domu wychodził bardzo rzadko. Prowadził nieregularny tryb życia, z jednym jedynym wyjątkiem. Otóż co wieczór przychodził o tej samej porze do mojego gabinetu, by sprawdzić książki i kasę. Potem wypłacał mi za każdą zarobioną przeze mnie gwineę 5 szylingów i 3 pency, a resztą pieniędzy zabierał do kasy, która znajdowała się w jego pokoju.

W zaufaniu mogą panom powiedzieć, że Blessington nigdy nie miał najmniejszego powodu żałować interesu, jaki ze mną zrobił. Kilku pomyślnie wyleczonych pacjentów i rozgłos zdobyty w szpitalu szybko utorowały mi drogą do sławy. W ciągu ostatniego roku, względnie dwóch lat, uczyniłem go bogatym człowiekiem.

Tyle, Mr Holmes, o moich losach i stosunkach z Mr Blessingtonem. Teraz pozostaje mi tylko wyjaśnić, co sprowadziło mnie do pana dzisiejszej nocy.

Kilka tygodni temu Mr Blessington podczas jednej ze swych codziennych wizyt wyglądał na ogromnie podnieconego. Opowiadał o jakimś włamaniu w dzielnicy West End i, o ile pamiętam, zupełnie niepotrzebnie przejmował się tym wypadkiem. Mówił nawet, że powinniśmy bezzwłocznie założyć mocniejsze zasuwy u naszych drzwi i okien. Potem przez cały tydzień był bardzo niespokojny. Wciąż wyglądał przez okna. Zaprzestał też krótkich spacerów, które odbywał zwykle przed obiadem. Niewątpliwie dręczył go paniczny strach. Tylko czego, lub kogo

się bał? Gdy zapytałem go o to, stał się tak agresywny, iż zmuszony byłem poniechać tej sprawy. Stopniowo, w miarę upływu czasu, jego obawy zdawały się ustępować. Powrócił nawet do swych dawnych zwyczajów. Wtem nowe wydarzenie ponownie nim wstrząsnęło. Popadł w stan budzącej litość depresji duchowej, pod której wpływem do dziś pozostaje.

Jak do tego doszło...? Otóż przed dwoma dniami otrzymałem list bez daty i adresu nadawcy. Odczytam go teraz:

Rosjanin szlachetnego rodu, który obecnie stale mieszka w Anglii, z radością skorzysta z porady lekarskiej doktora Trevelyan. Od szeregu lat cierpi on na ataki katalepsji. W tej zaś dziedzinie doktor Trevelyan jest powszechnie uznanym autorytetem. Proponuję on więc wizytę jutro około 15 minut po szóstej wieczorem, jeśli naturalnie termin ten odpowiada doktorowi Trevelyanowi.

List bardzo mnie zainteresował. Katalepsja występuje bardzo rzadko, i na tym właśnie polega główna trudność studiów nad tą chorobą. Jak pan może się spodziewać, oczywiście czekałem w swym gabinecie, gdy o oznaczonej godzinie odzwierny zaanonsował pacjenta.

Był to starszy już człowiek, chudy, o wyglądzie pospolitym. W żadnym wypadku nie wyglądał na rosyjskiego arystokratę. O wiele więcej zainteresował mnie jego młody towarzysz. Wyglądał na Herkulesa: wysoki i muskularny, o masywnej klatce piersiowej i ciemnym zuchwałym obliczu. Ponadto Herkules ten był nadzwyczaj przystojny. Gdy wchodził, trzymał starszego pod rękę, potem pomógł usiąść z troskliwością, o którą trudno go było posądzić na podstawie wyglądu.

— Niech mi pan wybaczy, doktorze, iż wszedłem razem z ojcem — rzekł po angielsku lekko sepleniąc — lecz jego zdrowie stanowi dla mnie sprawę wielkiej wagi.

Ta synowska troskliwość do głębi mnie wzruszyła.

— Może chciałby pan być obecny przy badaniu? — zapytałem.

— Za żadne skarby! — zawołał przerażony. — Byłoby to dla mnie bardziej bolesne, niż mogę to wyrazić. Och? Nie chciałbym zobaczyć swego ojca podczas jednego z tych okropnych ataków. Chyba bym tego nie przeżył! Mam nadzwyczaj wrażliwe nerwy. Jeśli pan pozwoli, zostaną na czas konsultacji w poczekalni.

— Ależ naturalnie — zgodziłem się.

Młody człowiek opuścił pokój. Wówczas pograżyliśmy się wraz z pacjentem w rozmowie na temat jego choroby. Wszystko skrzętnie notowałem. Nie wyróżniał się on inteligencją. Często dawał niejasne odpowiedzi, co jednak mogło być wynikiem słabej znajomości angielskiego. Raptem jednak zamilkł. Czyniłem właśnie notatki. Gdy odwróciłem się ku niemu, wstrząsnął mną widok, jaki ujrzałem. Chory siedział w fotelu zeszywniały, patrząc na mnie bez jakiegokolwiek wyrazu, jakby niewidzącym wzrokiem. Twarz miał martwą jak w letargu. Uległ znowu atakowi tej tajemniczej choroby.

Litość i przerażenie — oto pierwsze uczucia, które mną owładnęły. Po chwili jednak ustąpiły one chyba uczuciu zawodowego zadowolenia. Zbadałem więc i zapisałem tętno i temperaturę chorego. Skontrolowałem odruchy i napięcie mięśni. Badania nie wykazały żadnych większych odchyień od normy. Pokrywało się to z moim dotychczasowym doświadczeniem. W wypadkach tego rodzaju schorzeń uzyskiwałem dobre wyniki, stosując azotan amylu. Oto więc miałem okazję do zastosowania tego środka. Obecny przypadek z pewnością potwierdzi jego zalety. Butelka z lekarstwem znajdowała się w moim laboratorium w piwnicy. Pozostawiłem więc pacjenta siedzącego w fotelu i pobiegłem po nią. Upłynęło trochę czasu, powiedzmy pięć minut,

zanim ją znalazłem. Wreszcie powróciłem do gabinetu, i proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy... nikogo nie zastałem.

Pod wpływem pierwszego impulsu zajrzałem do poczekalni. Pusto. Zniknął również syn mojego pacjenta. Drzwi wejściowe były zamknięte, ale nie na klucz. Odźwierny, wpuszczający pacjentów, pracuje u mnie od niedawna. Jest bardzo powolny. Zazwyczaj czeka na dole, dopiero na dźwięk dzwonka z mego gabinetu przychodzi, aby wyprowadzić pacjenta. Naturalnie niczego nie słyszał. Cała sprawa pozostała więc nie wyjaśniona. Wkrótce potem wrócił ze spaceru Mr Blessington: O niczym mu jednak nie wspomniałem. Mówiąc bowiem szczerze, ostatnio starałem się jak najmniej z nim rozmawiać.

Nie spodziewałem się już nigdy zobaczyć Rosjanina i jego syna. Toteż może pan sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy dziś wieczorem znów mnie odwiedzili. Dokładnie o tej samej godzinie i w identyczny sposób jak poprzednio zjawili się w moim gabinecie.

— Zdaję sobie sprawę, doktorze, iż powinienem się usprawiedliwić i przeprosić pana za wczorajsze nagłe zniknięcie — powiedział pacjent.

— Rzeczywiście, bardzo mnie to zaskoczyło — odparłem.

— Otóż to! Całe nieszczęście, że po przejściu ataku tracę pamięć. Ocknąłem się wówczas w obcym, jak mi się zdawało, pokoju i podczas pana nieobecności wyszedłem na ulicę jakby w pewnego rodzaju transie hipnotycznym.

— A ja — dodał syn — widząc ojca przechodzącego przez poczekalnię przypuszczałem, iż wizyta dobiegła końca. Dopiero w domu stopniowo zbadałem całą sprawę.

— Dobrze — powiedziałem ze śmiechem — nic złego się nie stało. Jedyne zaintrygował mnie ogromnie pana ojciec. Toteż, jeśli będzie pan uprzejmy przejść do poczekalni, z przyjemnością przystąpię do badania, które tak nieoczekiwanie zostało wczoraj przerwane.

Mniej więcej w ciągu pół godziny omówiłem ze starszym panem objawy choroby. Zapisałem kurację i oddałem go synowi pod opiekę.

Działo się to, jak panu wspomniałem, w porze codziennej przechadzki Mr Blessingtona. Wkrótce po tym wrócił i poszedł do siebie na górę. Lecz za chwilę usłyszałem, jak zbiega po schodach. Wpadł do mego gabinetu, a w jego oczach malowało się obłędne przerażenie.

— Kto był w moim pokoju? — zacharczał nieswoim głosem.

— Nikt! — odparłem.

— To kłamstwo! — krzyknął. — Chodź i zobacz!

Jakżeż ordynarnie się zachowywał. Tak! Ale strach niejednego doprowadza do ataku hysterii lub utraty przytomności. Nie zareagowałem więc na to i poszliśmy na piętro. Po drodze pokazywał mi liczne ślady nóg na chodniku.

— Czy pan myśli, że to moje ślady? — krzyczał. Nie, z całą pewnością. Ślady były o wiele większe od stóp Blessingtona i zupełnie świeże. Jak panu wiadomo, Mr Holmes, po południu mocno padało i nikt mnie dziś nie odwiedzał, oprócz dwu wspomnianych już pacjentów. Cała ta więc historia odbyła się prawdopodobnie w sposób następujący: W czasie gdy badałem pacjenta, jego syn miał siedzieć w poczekalni. Jednak z jakiegoś nie znanego mi powodu wszedł do pokoju mego chorego rezydenta. Co prawda niczego nie ruszał, ani nie zabrał, niemniej sam fakt wtargnięcia do cudzego mieszkania był bezsporny. Dowodzą tego zresztą ślady stóp.

Mr Blessington wydawał się bardziej poruszony, niż mogłem się tego spodziewać. Chociaż, prawdę mówiąc, było dosyć powodów do irytacji, i każdy na jego miejscu straciłby panowanie nad sobą. Padł na fotel krzycząc tak przeraźliwie, iż z trudem mogłem z nim rozmawiać. Wreszcie podsunął mi myśl, aby udać się do pana. Bez wątpienia dobry pomysł. Cała bowiem sprawa jest nieco podejrzana. Sądzę jednak, iż Mr Blessington wyolbrzymia chyba jej znaczenie.

Jeżeli zdecyduje się pan pojechać ze mną powozem, to może uda się panu nakłonić go do rozmowy. Chociaż nie liczę na to, aby wyjaśnił panu to dziwne zajście.

Sherlock Holmes w napięciu słuchał przydługiego opowiadania, widocznie zainteresowany sprawą. Jednak oblicze jego, jak; zawsze, pozostało nieprzeniknione, a ociężałe powieki przysłaniały niemal oczy. Tylko dym z fajki kłębił się mocniej, jakby dla podkreślenia ciekawszych momentów opowiadania doktora. Gdy gość nasz skończył, Holmes zerwał się bez słowa. Podał mi mój kapelusz, chwycił swój i ruszył za doktorem Trevelyanem ku wyjściu. W ciągu piętnastu minut znaleźliśmy się przed drzwiami domu lekarza na Brook Street — przed jednym z tych ponurych, brzydkich budynków, w jakich z reguły praktykowali lekarze West Endu. Odzwierny niskiego wzrostu otworzył nam bramę. Niezwłocznie udaliśmy się na piętro po schodach wysłanych chodnikiem.

Nagle zgasło górne światło klatki schodowej. Zapanowały kompletne ciemności. Stanęliśmy jak wryci. I wówczas dobiegł nas rozdygotany, skrzeczący głos.

— Mam pistolet — wrzeszczał. — Ostrzegam! Będę strzelał, jeśli się chociaż o krok zbliżycie.

— Ależ to wprost oburzające! — krzyknął dr Trevelyan.

— Ach! To pan, doktorze? — spytał głos z ciemności, a towarzyszyło mu głębokie westchnienie ulgi. — Czy jednak ci pozostali panowie są tymi, za których się podają?

Znow ciska. Staliśmy się przedmiotem długiej i bacznej obserwacji. Czuliśmy to wyraźnie.

— No tak! Wszystko w porządku — odezwał się wreszcie głos z ciemności. — Możecie panowie wejść na górę. Bardzo przepraszam, jeśli wskutek zastosowanych przeze mnie środków ostrożności sprawiłem panom jakąś przykrość. — Mówiąc te słowa zapalił ponownie lampę gazową na schodach. Ujrzeliśmy wówczas niepozornego człowieka, którego wygląd i głos świadczyły o kompletnie roztrzęsionych nerwach. Był bardzo gruby, chociaż dawniej musiał być jeszcze grubszy. Skóra bowiem wokół twarzy zwisała w luźnych fałdach, podobnie jak u buldoga. Wyglądał na chorego. Włosy jeżyły mu się jakby pod wpływem śmiertelnego strachu. W rękę trzymał pistolet, który schował do kieszeni, gdyśmy doń podeszli.

— Dobry wieczór, Mr Holmes — . powiedział. — Bardzo jestem panu wdzięczny za przybycie. Nikt chyba bardziej nie potrzebuje pańskich rad niż ja. Z pewnością dr Trevelyan opowiedział panu o tajemniczym i niepokojącym wtargnięciu do mojego pokoju?!

— Tak jest — rzekł Holmes. — Co to za ludzie, ci dwaj intruzi, Mr Blessington? I dlaczego pana dręczą?

— Dobrze, dobrze... — odparł nerwowo mój chory rezydent. — Eh! To nie tak łatwo określić. Trudno oczekiwać, bym panu, Mr Holmes, odpowiedział na to pytanie.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że pan nic nie wie?

— Proszę tutaj, jeśli łaska. Bądź pan tak dobry wejść do środka. — Wprowadził nas do wielkiej, komfortowo urządzonej sypialni. — Niech pan na to spojrzy! — wskazał na wielką, czarną kasę, stojącą przy łóżku. — Mr Holmes, nigdy nie byłem zbyt bogaty. Nie dokonałem też w życiu żadnej inwestycji z wyjątkiem jednej, o której opowie panu dr Trevelyan. Bankom jednak nie dowierzam. W żadnym wypadku nie zaufam bankierowi, Mr Holmes. Między nami mówiąc, niewiele mam w tej kasie. Ale zdaje pan sobie sprawę, co dla mnie znaczy, gdy nieznani osobnicy włamują się do moich pokoiów.

Holmes wpatrywał się w Blessingtona we właściwy mu, badawczy sposób. Wreszcie potrząsnął głową.

— Nie potrafię udzielić rady, jeśli pan nie będzie mówił prawdy — odrzekł.

— Ależ ja panu wszystko powiedziałem!

Holmes odwrócił się od niego z gestem obrzydzenia.

- Dobranoc, doktorze Trevelyan — powiedział.
- I nie otrzymam żadnej rady? — krzyknął łamiącym się głosem Blessington.
- Mówić prawdę! Oto moja rada, sir!

W chwilę później znaleźliśmy się na ulicy. Szliśmy spacerem ku domowi. Minęliśmy Oxford Street i dotarliśmy do połowy Harley Street, zanim mój przyjaciel wyrzekł pierwsze słowa.

— Przykro mi, Watsonie — powiedział wreszcie — iż facygowałem cię w tak ciemnej sprawie. Chociaż to nawet interesujący wypadek, a zwłaszcza tło, na którym jest osnuty.

— Niewiele zrozumiałem z tej całej historii — wyznałem.

— No widzisz! Istnieje dwu ludzi albo może więcej, w każdym razie co najmniej dwu, którzy z jakiegoś tam powodu zdecydowali się dobrać do tego jegomościa... Blessingtona. To wprost rzuca się w oczy. Moim zdaniem było to tak: Młody człowiek zakradł się do pokoju Blessingtona, podczas gdy jego wspólnik w bardzo pomysłowy sposób zatrzymywał doktora na dole.

— A katalepsja?

— Po prostu ten oszust udawał, Watsonie! Chociaż przykro by mi było powiedzieć to naszemu specjalście. Chorobę tę bardzo łatwo symulować. Sam to też robiłem.

— No i co dalej?

— Blessington za każdym razem był nieobecny. Dlaczego wybrali oni tak niezwykłą porę na badanie lekarskie? Chodziło im oczywiście o to, aby w tym czasie w poczekalni, nie było innych pacjentów. Tak się jednak złożyło, iż właśnie w tym samym czasie Blessington miał zwyczaj chodzić na przechadzkę. Widocznie nie znają dokładnie jego trybu życia. Cóż mogło być ach celem? Naturalnie nie rabunek! Nic bowiem nie zginęło. Poza tym Blessington boi się okropnie o swoją skórę, co łatwo wyczytać z jego oczu. Obaj prześladowcy wyglądają na jego nieubłaganych wrogów. Zupełnie niemożliwe, aby miał takich wrogów, nie wiedząc o tym. A więc on wie, kim są ci ludzie, lecz ukrywa ten fakt z sobie tylko wiadomych przyczyn. To zupełnie jasne. No, zobaczymy. Może jutro stanie się bardziej rozmowny.

— A czy nie istnieje inne wyjaśnienie — zaryzykowałem przypuszczenie — co prawda mało prawdopodobne, ale jednak możliwe? Przypuśćmy, iż dr Trevelyan w jakimś osobistym celu dostał się do pokoiw Blessingtona i wymyślił tę całą historię z Rosjaninem—kataleptykiem i jego synem.

W świetle gazowej latarni ulicznej spostrzegłem, jak Holines uśmiecha się rozbawiony, w trakcie gdy wygłaszałem swą „świąteczną” hipotezę.

— Mój drogi przyjacielu — odparł — to było jedno z pierwszych rozwiązań, jakie mi przyszły do głowy. Wkrótce jednak miałem możliwość sprawdzić, iż doktor mówił prawdę. Młody człowiek zostawił ślady na chodniku, na schodach. Otóż miał on buty o szerokich nosach i większe o 1 i 1/3 cala niż Trevelyan, który nosi obuwie węższe i ostro zakończone. W żadnym razie nie mógł to być doktor. Zgodzisz się chyba ze mną? Chwilowo jednak możemy temu wszystkiemu dać spokój. Byłbym bowiem bardzo zdziwiony, gdybyśmy jutro rano nie otrzymali dalszych wiadomości z Brook Street.

Przewidywania Holmesa rychło się sprawdziły, i to w dramatyczny sposób. Następnego dnia, gdy się przebudziłem (była godzina wpół do ósmej), w świetle mglistego poranka ujrzałem Sherlocka, stojącego w szlafroku przy moim łóżku.

— Watsonie, powóz czeka na nas na dole! — Co się znów stało?

— Sprawa Brook Street.

— Coś nowego?

— Tragiczna i niejasna historia — odpowiedział, podnosząc storę. — Przeczytaj to zresztą. Na kartce wydartej z notesu ktoś w pośpiechu ołówkiem napisał:

Zaklinam na wszystko! Proszę niezwłocznie przybyć — P.T.

— Nasz przyjaciel, doktor, musiał być do głębi wstrząśnięty, gdy kreślił te słowa. Chodź, mój drogi! To pilne wezwanie!

Mniej więcej w ciągu kwadransa znów znaleźliśmy się w rezydencji lekarza. Wybiegł nam na spotkanie, a przerażenie malowało się na jego twarzy.

— Och! Co za nieszczęście! — zawołał łapiąc się za skronie.

— Cóż takiego?

— Blessington popełnił samobójstwo!

Holmes gwizdnął przeciągle.

— Tak! Powiesił się w nocy! — dodał dr Trevelyan.

Weszliśmy do wnętrza, a doktor zaprowadził nas do swej poczekalni.

— Sam nie wiem, co mam robić! — krzyknął. — Policja już jest na górze. Jestem do głębi wstrząśnięty tym wypadkiem.

— Kiedy pan go znalazł?

— Codziennie rano zanoszono mu herbatę. Gdy pokojowa weszła o siódmej rano, nieszczęśnik wisiał pośrodku pokoju. Sznur przywiązał do haka, na którym wisiała ciężka lampa, potem założył pętlę na szyję i zeskoczył ze szczytu kasy, którą pokazywał nam wczoraj.

Holmes stał chwilę pogrążony w głębokiej zadumie.

— Jeśli pan pozwoli — rzekł w końcu — to chciałbym pójść na górę i zobaczyć, jak się sprawa przedstawia.

Weszliśmy po schodach wraz z doktorem, który włókł się za nami. Gdy przekroczyliśmy próg sypialni, oczom naszym przedstawił się okropny widok. Blessington był — jak już wspomniałem — bardzo otyły, a skóra zwisała mu fałdami jak u buldoga. Wrażenie to potęgowało się jeszcze teraz, gdy tak wisiał w dziwnej pozie, kołysząc się. Trudno wprost było dopatrzeć się w jego wyglądzie jakichś cech ludzkich. Kark miał skrzyżowany w taki sposób, iż reszta ciała prawem kontrastu wyglądała jeszcze bardziej otyło i nienaturalnie. Miał na sobie tylko długą koszulę nocną. Spod niej sztywno sterczały obrzękłe kostki i zniekształcone stopy. Obok stał energicznie wyglądający inspektor policji i zapisywał coś w swym kieszonkowym notesie.

— Ach! Mr Holmes! — serdecznie powitał mego przyjaciela, gdy ten wszedł. — Jestem zachwycony, iż pana, widzę.

— Dzień dobry, Lanner — odparł Holmes. — Nie uważa mnie pan chyba za intruza? Czy wiadomo już panu o zajściach, które poprzedziły tę sprawę?

— Tak! Coś niecoś o tym słyszałem.

— I jakie jest pańskie zdanie?

— O ile mogłem się zorientować, to człowiek ten postradał zmysły ze strachu. Leżał on już długo w łóżku, na co wskazuje wgłębienie, które jest dosyć duże. Wie pan, iż samobójstwa odbywają się najczęściej około piątej rano. Mniej więcej o tej właśnie godzinie powiesił się. To bardzo prosta sprawa. Tak mnie się przynajmniej wydaje.

— Sądząc po zeszytnieniu mięśni, zgon musiał nastąpić przed trzema godzinami — zauważyłem.

— Czy zaobserwował pan w pokoju coś szczególnego?

— Zauważyłem na umywalni śrubokręt i kilka śrub. Zdaje się również, iż denat dużo palił w ciągu nocy. Oto niedopałki czterech cygar, które znalazłem w kominku.

— Hm — mruknął Holmes — czy ma pan jego cygarniczkę?

— Nie, nie znalazłem żadnej.

— A pudełko od cygar?

— Tak, miał je w kieszeni marynarki.

Holmes otworzył je i powąchał znajdujące się tam jedno jedyne cygaro.

— O! To jest havana, a tamte pozostałe to cygara specjalnego gatunku. Importują je w specjalnych opakowaniach słomkowych Holendrzy ze swych kolonii wschodnioindyjskich. Ze względu na swą długość są nieco cieńsze niż cygara innej marki.

Podniósł niedopałki czterech cygar i zbadał je dokładnie przy pomocy kieszonkowego szkła powiększającego.

— Dwa z nich wypalono w cygarniczkach, a dwa bez — powiedział. — Dwa przycięte tępawym nożem, a dwa obgryzione wspaniałymi zębami. Nie, Mr Lanner, to nie samobójstwo! Mamy tu do czynienia z niezwykle dokładnie uplanowanym morderstwem. A dokonano go z zupełnie zimną krwią.

— Niemożliwe! — krzyknął inspektor.

— A to dlaczego?

— Po cóż mordować człowieka w tak kłopotliwy sposób? Dlaczego miano by go wieszać?

— To właśnie mamy ustalić!

— Ale w jaki sposób dostali się do niego?

— Przez drzwi frontowe.

— Przecież rano były zamknięte!

— A więc zamknięto je potem.

— Skąd pan to wie?

— Widziałem ich ślady. Teraz przepraszam pana na chwilę, nieco później będę mógł udzielić dalszych informacji w tej sprawie.

Podszedł ku drzwiom. Kilka razy przekręcał zamek, badając go we właściwy sobie sposób. Następnie wyjął klucz i również dokładnie go obejrzał. Potem kolejno zlustrował łóżko, dywan, krzesła, gzyms nad kominkiem, zwłoki i postronek. W końcu uznał dokonane oględziny za wystarczające. Z pomocą inspektora i swoją odciąż zwłoki nieszczęśnika i nakrył je z szacunkiem prześcieradłem.

— Skąd wziął się ten sznur? — zapytał.

— Odcięto go z tej liny — odpowiedział dr Trevelyan, wyciągając spod łóżka wielki zwój. — Blessington chorobliwie bał się pożaru. Zawsze więc miał u siebie sznur, aby mógł się wydostać przez okno, w razie gdyby pożar objął schody.

— To rzeczywiście musiało nań działać uspokajająco — powiedział Holmes w zamyśleniu. — Tak! Sprawa jest zupełnie jasna! Dziwiłbym się, gdybym do popołudnia nie dostarczył panu przekonujących dowodów. Wezmę fotografię Blessingtona, stojącą na gzymsie kominka. Może mi być pomocną w poszukiwaniach.

— Pan nam jednak niczego jeszcze nie wyjaśnił — zawołał doktor.

— Och! Przecież nie ma żadnych wątpliwości co do biegu wypadków. Było tu trzech „gości”: ten stary pacjent, młodzieniec, i trzeci, którego na razie nie potrafię zidentyfikować. Pierwsi dwaj, o czym właściwie nie potrzebuję chyba nadmieniać, to ci sami, którzy podawali się za rosyjskiego hrabiego i jego syna. Mogę nawet podać dokładny rysopis każdego z nich. Do domu wpuścił ich wspólnik zbrodni. W związku z tym, inspektorze, radziłbym panu zaarrestować odźwiernego. O ile dobrze zrozumiałem doktora, pełni on tu służbę dopiero od niedawna.

— Tego małego czorta nigdzie nie można znaleźć — wtrącił dr Trevelyan. — Już go szukali pokojówka i kucharz.

Holmes wzruszył ramionami.

— Odegrał on ważną rolę w tym dramacie. Trzej osobnicy weszli po schodach, skradając się na palcach. Pierwszy postępował stary, za nim młodzieniec, a nieznajomy na ostatku.

— Ależ drogi Holmesie...! — wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

— Och! Co do tego nie może być żadnej kwestii. Świadczy za tym nakładanie się śladów stóp. Ustaliłem dalej, co działo się tej nocy. Otóż przyszli oni do pokoju Blessingtona. Drzwi zastali jednak zamknięte na klucz i zmuszeni byli otworzyć je przy pomocy drutu. Nawet bez szkła powiększającego dostrzeżesz rysy tam, gdzie silniej naciskano.

Pierwszą ich czynnością po wejściu do pokoju było obezwładnienie Mr Blessingtona. Nie wiadomo, czy spał, czy po prostu strach tak go sparaliżował, iż nie mógł wydać z siebie głosu. A jeśli nawet zdążył krzyknąć, to najprawdopodobniej nikt go nie usłyszał. Grube ściany zagłuszyły bowiem wszelkie odgłosy.

Sądzę, że następnie odbyła się narada. Przypuszczalnie miała ona charakter procesu sądu kapturowego. Trwało to pewien czas. Właśnie wtedy palono cygara. Starszy osobnik zajął miejsce w tym wiklinowym fotelu. On to używał cygarniczki. Młodzieniec musiał chyba siedzieć wyżej nad tamtym, gdyż strząsał popiół na komodę. Trzeci chodził tam i z powrotem po pokoju. Blessington siedział — jak myślę — wyprostowany w łóżku. Tego jednak nie jestem zupełnie pewny.

Zakończyło się to wszystko powieszeniem Blessingtona. Moim zdaniem — sprawa była przedtem bardzo dokładnie przygotowana. Przynieśli oni nawet z sobą coś w rodzaju bloku, który miał spełnić rolę szubienicy. Przypuszczalnie blok umocowano by przy pomocy tego śrubokręta i śrub. Gdy jednak zobaczyli hak, zaoszczędzili sobie zbędnego trudu. Dokonali swego i uciekli, a ich współnik zamknął od wewnątrz drzwi na zasuwę.

Wszyscy słuchaliśmy z zapartym tchem opowiadania o wypadkach minionej nocy. Holmes wydedukował cały tok wydarzeń z tak nikłych i delikatnych śladów, że nawet gdy je nam tłumaczył, z trudem mogliśmy nadążyć za jego rozumowaniem.

Inspektor niezwłocznie udał się na poszukiwanie odźwiernego. Natomiast Holmes i ja wróciliśmy na Baker Street, aby zjeść śniadanie.

— Będę z powrotem przed trzecią — rzekł, gdy skończyliśmy posiłek. — Inspektor i doktor przyjdą tu o tej właśnie godzinie. Sprawa ma jeszcze kilka niejasnych punktów. Do tego czasu spodziewam się wszystko wyjaśnić.

Nasi goście przybyli o oznaczonej porze, natomiast mój przyjaciel zjawił się z piętnastominutowym opóźnieniem. Po jego wyglądzie, poznałem, iż wszystko mu poszło dobrze.

— Co nowego, inspektorze? — zagadnął.

— Złapaliśmy odźwiernego, sir.

— Wspaniale! A ja mam resztę!

— Ujął ich pan?! — zawołaliśmy wszyscy trzej jednocześnie.

— No, w każdym razie zidentyfikowałem ich. Ten tzw. Blessington był znanym przestępcą, podobnie jak jego mordercy. Oto nazwiska pozostałych: Biddles, Hayward, i Moffat.

— Banda ze sprawy banku Worthingdona! — zawołał inspektor.

— Tak jest — odparł Holmes.

— W takim razie Blessington to Sutton?!

— Zgadza się — potwierdził Holmes.

— A więc wszystko jasne jak kryształ — powiedział inspektor. Jednakże my z Trevelyanem patrzeliśmy na siebie wzajemnie zupełnie oszołomieni.

— Z pewnością przypominasz sobie głośną sprawę banku Worthingdona — powiedział Holmes. — Zamieszanych w nią było pięciu ludzi. Tych czterech i piąty nazwiskiem, Cartwright. Zamordowali dozorcę Tobina i uszli ze skradzionymi siedmioma, tysiącami funtów szterlingów.

Działo się to w roku 1875. Wszystkich pięciu aresztowano, jednak nie było przeciw nim wystarczających dowodów. Dopiero ten Blessington, czyli Sutton, najgorszy z całej bandy, począł sypać. Na podstawie jego zeznań powieszono Cartwrighta, a trzech pozostali dostali po 15 lat więzienia. Kiedy wyszli na wolność po odbyciu kary, poprzysięgli sobie — jak możesz się domyślać — pomścić śmierć towarzysza. Trzeba było wytropić zdrajcę. Dwa razy próbowali się do niego dostać, lecz bezskutecznie. Za trzecim razem, jak już wiesz, udało im się go osiągnąć. Cóż jeszcze mam wyjaśnić, doktorze Trevelyan?

— Moim zdaniem, wszystko pan już wyjaśnił — odrzekł doktor. — Pewnego dnia przeczytał on zapewne w gazetach o zwolnieniu ich z więzienia i to stało się powodem jego wyjątkowego zdenerwowania. To nie ulega wątpliwości.

— Tak jest. Jego wzmianki o włamaniu były tylko wybiegiem.

— Ale dlaczego nie chciał on panu o tym powiedzieć?

— Mój drogi panie. Znał on dobrze mściwość swych dawnych kolegów. Dlatego też tak długo, jak tylko było możliwe, nie chciał nikomu zdradzić swego prawdziwego nazwiska. Zresztą nie mógł przemóc się, aby wyjawić swą haniebną tajemnicę. Chociaż z drugiej strony nędznik ów znajdował się pod ochroną prawa brytyjskiego. Widać stąd jednak, że nawet taka ochrona może zawieść tam, gdzie sprawiedliwość wymaga zadośćuczynienia.

Oto garść szczegółów dotyczących chorego rezydenta i doktora z Brook Street, Policja nie ujęła trzech morderców. W Scotland, Yardzie przypuszczano, iż znajdowali się na pokładzie parowca „Norah Crejna”. Statek ten zatonął przed paru laty u wybrzeży Portugalii, kilka mil na północ od Oporto. Nikt się z niego nie uratował.

Postępowanie karne przeciwko odźwiernemu umorzono z braku dowodów. Cała sprawa jeszcze do dziś nie doczekała się wyczerpującego omówienia w prasie. Nazwano ją „Tajemnicą Brook Street”.

TAŃCZĄCE SYLWETKI

PRZEL. JERZY REGAWSKI I WITOLD ENGEL
THE ADVENTURE OF THE DANCING MEN

Już od kilku godzin Holmes dokonywał jakichś chemicznych doświadczeń. Siedział milczący i zgarbiony nad retortą i coś w niej warzył. Z retorty wydobywała się okropna woń. Głowę opuścił na piersi. Wyglądał w tej chwili jak dziwaczny ptak: chudy, szary, z czarnym czubem.

— Tak, Watsonie! — odezwał się niespodziewanie. — A więc nie masz zamiaru nabyć akcji towarzystw południowoafrykańskich?

Wzdrygnąłem się zdumiony. Mimo obycia z niezwykłymi zdolnościami Holmesa nie mogłem pojąć, jakim sposobem mógł on poznać moje najskrytsze myśli.

— Skąd, u licha, wiesz o tym? — spytałem.

Obrócił się do mnie na krześle, trzymając w ręku parującą probówkę. W głęboko osadzonych oczach zalśnił błysk rozbawienia.

— Jesteś kompletnie zaskoczony i oszołomiony — powiedział. — Przyznaj się, Watsonie!

— Istotnie!

— Powiniennem właściwie zażądać od ciebie, abyś na piśmie potwierdził swoje zdumienie!

Dlaczego?

— Ponieważ za pięć minut powiesz, że to jest śmiesznie proste.

— Z całą pewnością niczego w tym rodzaju nie powiem.

— Widzisz drogi Watsonie! — Holmes umieścił probówkę w stojaku i zaczął wykład z miną nauczyciela, zwracającego się do uczniów. — Przecież to wcale nietrudno ułożyć w jakimś rozumowaniu łańcuch wniosków, z których każdy wynika logicznie z poprzedniego i każdy jest sam w sobie prosty. Mając już gotowy wynik, usuwa się wówczas wszystkie pośrednie wnioski. Słuchaczom przedstawia się po prostu tylko punkt wyjściowy rozumowania i ostateczny wynik. To wywiera na nich wstrząsające wrażenie. Ot, taka sztuczka obliczona na efekt. Otóż obserwowałem zgłębienie pomiędzy twym palcem wskazującym a kciukiem lewej ręki. Na tej podstawie bez trudności przekonałem się, iż nie zamierzasz ulokować swego niewielkiego kapitału w polach złotodajnych.

— Nie dostrzegam żadnego związku między jednym a drugim.

— Być może. Potrafię ci jednak szybko udowodnić, iż związek jest zupełnie ścisły. Posłuchaj — oto opuszczone ogniwa tego prostego łańcucha rozumowania: 1. Gdy wróciłeś wczoraj wieczorem z klubu, zauważyłem na twojej lewej ręce pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem ślady od kredy. 2. Grałeś w bilard i aby natrzeć kij, w tym właśnie miejscu umieściłeś kredę. 3. Z nikim innym oprócz Thurstona nigdy nie grywałeś w bilard. 4. Cztery tygodnie temu opowiadałeś mi, iż Thurston otrzymał prawo opcji na kupno jakiejś posiadłości w południowej Afryce. Prawo to wygaszało w ciągu miesiąca, a więc zaproponował ci wspólne kupno. 5. Twoja książeczka czekowa leży w moim biurku i nie prosiłeś mnie o klucz. 6. Czyli nie masz zamiaru lokować w ten sposób swoich pieniędzy.

— Jakie to śmiesznie proste! — zawołałem.

— No oczywiście! — odparł nieco zirytowany. — Każdy problem staje się dziecinnie prosty, skoro ci go wyjaśnię. Tu jednak masz jeden nie wyjaśniony, Pokaż teraz, co potrafisz, drogi Watsonie.

Rzucił na stół kartkę papieru i powrócił do swej analizy chemicznej.

Ze zdumieniem wpatrywałem się w bezsensowne hieroglify pokrywające papier.

— Ależ, Holmesie! To przecież jakieś dziecinne gryzmoły! — zawołałem,

— Oo! Tak sądzisz?!

— A cóż innego może to być?

— Otóż to właśnie koniecznie chce wiedzieć Mr Hilton Cubitt, właściciel majątku ziemskiego Eidling Thorpe w hrabstwie Norfolk. To dziwo nadeszło ranną pocztą, on zaś przyjechał następnym pociągiem. Oho, słyhać dzwonek, Watsonie! Wcale bym się nie zdziwił, gdyby to właśnie on przyszedł.

Na schodach dały się słyszeć ciężkie kroki, a po chwili ukazał się wysoki, czerstwy, gładko ogolony dżentelmen. Jego jasne oczy i rumiane policzki świadczyły, iż prowadzi życie z dala od mgieł Baker Street. Odnosiło się wrażenie, jakby wraz z nim wtargnął powiew ostrego, orzeźwiającego powietrza z wschodniego wybrzeża. Uściskał nam dłonie i zamierzał już sięść, gdy wzrok jego padł na kartkę papieru pokrytą dziwnymi, znakami, którą przed chwilą studiowałem przy stole.

— No, Mr Holmes, cóż pan o tym sądzi? — zapytał. — Jak mi opowiadano, lubi pan tajemnicze zagadki. Trudno mi jednak wyobrazić sobie, aby mógł pan znaleźć dziwniejszą od tej. Papier z hieroglifami specjalnie wysłałem wcześniej, aby pan miał czas zbadać go przed moim przyjazdem.

— To z pewnością dosyć ciekawy rysunek! — powiedział Holmes. — Na pierwszy rzut oka wygląda po prostu na dziecinny figiel. Trochę śmiesznych, maleńkich, tańczących figurek, narysowanych na kartce papieru. Dlaczego przypisuje pan jakieś znaczenie tym groteskowym rysunkom?

— Nigdy bym tego nie uczynił, Mr Holmes, gdyby nie moja żona. Przeraziły ją śmiertelnie. Co prawda nic nie mówi, w jej oczach widzę jednak przerażenie. I właśnie dlatego pragnę zbadać dokładnie tę całą sprawę.

Holmes uniósł papier do góry w ten sposób, by padały nań promienie słoneczne. Była to zwykła kartka wydarta z notesu. Znaki, wykonane ołówkiem, przebiegały w ten sposób:



Holmes przez pewien czas badał kartkę. Następnie złożył ją starannie i schował do portfela.

— To zapowiada interesujący i niecodzienny wypadek — powiedział wreszcie. — Mr Cubitt, w swoim liście podał mi pan kilką szczegółów. Byłbym jednak panu bardzo zobowiązany, gdyby pan zechciał jeszcze raz wszystko opowiedzieć. Będzie to również z pożytkiem dla mojego przyjaciela, doktora Watsona.

— Ja zupełnie nie mam zdolności do opowiadania! — odparł nasz gość, nerwowo splatając i rozplatając swe wielkie, silne dłonie. — Jeślibym więc niezbyt jasno się wyrażał, proszę mnie zaraz pytać.

Zaczął się to zeszłego roku po moim ślubie. Wpierw jednak chciałbym coś wyjaśnić. Nie jestem, co prawda bogaczem, niemniej posiadłość Ridling Thorpe już od pięciuset lat znajduje się we władaniu mego rodu. W hrabstwie Norfolk nie ma drugiej tak znanej rodziny jak nasza. Przed rokiem przyjechałem do Londynu na Jubileusz i zatrzymałem się w pensjonacie nad Russel Square, ponieważ zamieszkał tam również Parker, proboszcz naszej parafii. Przebywała tam także młoda dama, Amerykanka nazwiskiem Patrick, Elsie Patrick. Tak się jakoś złożyło, iż zawarliśmy znajomość i nim upłynął miesiąc, zakochałem się w niej na zabój. Bez przeszkód wzięliśmy ślub w urzędzie stanu cywilnego i jako para małżeńska wróciliśmy do Norfolk.

Pomyśli pan zapewne, Mr Holmes, że to szaleństwo, aby człowiek z dobrej, starej rodziny w ten sposób brał sobie żonę, o której przeszłości ani rodzinie nic nie wie. Aby to jednak zrozumieć, musiałby pan ją zobaczyć i poznać.

Elsie była ze mną w tych sprawach zupełnie szczerą. I muszę przyznać, że dała mi wszelkie szanse wycofania się, gdybym to chciał uczynić. „Miałam w swym życiu kilka bardzo nieodpowiednich znajomości, Hiltonie! — wyznała.

— Pragnę o tym wszystkim zapomnieć. Nie chcę już wracać wspomnieniami w przeszłość. To dla mnie bardzo bolesne! Osobiście nie mam się czego wstydzić. Jeśli mnie jednak weźmiesz za żonę, Hiltonie, to musisz się zadowolić wyłącznie moim słowem i zgodzić się na moje milczenie. Nie mówmy o tym wszystkim, co zaszło do momentu, gdy stałam się twoją. Jeśli warunki te uważasz za zbyt ostre, to wracaj do Norfolku i zostaw mnie samotną... taką, jaką mnie poznałeś”. Wszystko to powiedziała mi w przeddzień ślubu. Oświadczyłem, iż zgadzam się na jej warunki. I dochowałem ich.

Pobraliśmy się więc przed rokiem i byliśmy bardzo szczęśliwi. Jednakże mniej więcej przed miesiącem, pod koniec czerwca, dostrzegłem u niej po raz pierwszy oznaki niepokoju. Pewnego dnia żona moja otrzymała list z Ameryki. Zauważyłem znaczek pocztowy U.S.A. Zbladła śmiertelnie. Przeczytała list i rzuciła w ogień. Nie uczyniła potem na ten temat najmniejszej nawet wzmianki. Ja również milczałem. Słowo jest słowem. Ale od tej pory Elsie nie zaznała ani chwili spokoju. Na twarzy jej maluje się obawa, a z oczu wyziera strach, jakby czekała na kogoś niepożądanego. Lepiej by zrobiła, gdyby mi zaufała. Przekonałaby się wówczas, że jestem jej najlepszym przyjacielem. Ale skoro ona milczy, nie mogę poruszać tego tematu. Niech pan pomyśli, Mr Holmes, ona jest prawdopodobną kobietą i chociaż miała zgryzoty w przeszłości, to przecież nie ma w tym jej winy. Ja natomiast jestem tylko zwykłym ziemianinem z Norfolku, ale nie ma chyba w Anglii człowieka, który by wyżej niż ja cenił honor rodziny. Ona wie o tym dobrze i wiedziała, nim mnie poślubiła. Jestem więc pewien, że nigdy go nie splami. Tak. A teraz przystępuję do zagadkowej części mej opowieści.

Zaczęło się mniej więcej przed tygodniem. W ubiegły wtorek zauważyłem na parapecie jednego z okien szereg małych, śmiesznych figurek, podobnych do tych na kartce. Narysowano je kredą. Myślałem, że to sprawa chłopca stajennego. Ale on nic o tym nie wiedział. Przysięgał. Jakimś więc niepojętym sposobem pojawiły się w ciągu nocy. Zmyłem je i jedynie mimochodem wspomniałem później o tym żonie. Ku memu zdziwieniu przyjęła to bardzo poważnie i gorąco mnie prosiła, abym pozwolił jej obejrzeć figurki przy następnej okazji. W ciągu tygodnia nic nie zaszło. Dopiero wczoraj znalazłem ten oto papier, leżący na zegarze słonecznym w ogrodzie. Gdy pokazałem go Elsie, padła zemdlona. Po odzyskaniu przytomności zachowywała się jak lunatyczka. Z oczu jej wzywał obłądny strach. Wówczas zdecydowałem się, Mr Holmes, napisać do pana list i wysłać tajemniczą kartkę. Sprawy tej nie mogłem przekazać policji, ponieważ wyśmialiby mnie. Ale pan z pewnością wyjaśni mi, co to wszystko znaczy. Nie jestem człowiekiem bogatym; gdyby jednak mojej ukochanej żonie zagrażało jakieś niebezpieczeństwo, to wydobędę nawet ostatni grosz, aby ją bronić.

Co za wspaniała postać. Syn starej angielskiej ziemi, prosty, uczciwy, szlachetny, o wielkich, poważnych oczach. Na szerokiej, przystojnej twarzy malowały się miłość i zaufanie do żony. Holmes uważnie wysłuchał jego opowiadania. Teraz siedział jakiś zamyślony i milczący.

— Jak pan sądzi, Mr Cubitt? — rzekł w końcu. — Czy nie byłoby najlepszym wyjściem zwrócić się do żony i poprosić ją, by zawierzyła panu swą tajemnicę?

Hilton Cubitt potrząsnął przecząco głową.

— Przyrzeczenie obowiązuje, Mr Holmes. Jeśliby Elsie chciała mi się zwierzyć, to sama powiedziała by o tym. Jeśli nie, to nie będę nakłaniał jej do wyznań. Mam jednak prawo działać

na własną rękę i tak zamierzam uczynić.

— Wobec tego pomogę panu z całego serca. Przede wszystkim, czy nie widziano kogoś obcego w sąsiedztwie pańskiej posiadłości?

— Nie.

— Prawdopodobnie każda nowa twarz zwraca na siebie uwagę, bo to, zdaje się, bardzo spokojna miejscowość?

— Najbliższa okolica... tak! Lecz nie opodal znajduje się kilka uzdrowisk, a farmerzy wynajmują pokoje kuracjom.

— Hieroglify te niewątpliwie kryją w sobie jakąś treść.

Jeśli zaszyfrowano ją w dowolny sposób, to nie wiadomo, czy uda nam się rozwiązać zagadkę. Jeśli jednak szyfr ułożono metodycznie, to na pewno ustalimy treść. Ta próbka, niestety, nie wystarczy. Nic nie mogę zrobić. Ponadto historia, którą pan opowiedział, posiada za mało konkretnych punktów, które by dawały podstawę do wszczęcia dochodzenia. Proponuję więc, aby wrócił pan do Norfolku i dobrze obserwował, co się będzie działo. Gdyby znów ukazały się nowe tańczące sylwetki, za każdym razem sporządzi pan dokładną ich kopię. Wielka szkoda, iż nie mamy reprodukcji obrazków narysowanych kredą na parapecie. Trzeba dyskretnie zbadać, czy w sąsiedztwie nie ma jakichś przybyszów. Gdy pan coś nowego wykryje, wówczas proszę mnie znów odwiedzić. Jest to jedyna rada, Mr Hilton Cubitt, jakiej mogę udzielić panu w tej sytuacji. Jeśliby nagle coś się wydarzyło, to w każdej chwili będę do pańskiej dyspozycji. Mogę wówczas przyjechać do Norfolku i skomunikować się z panem.

Po tej rozmowie Sherlock Holmes dużo rozmyślał o sprawie Cubitta. W ciągu paru następnych dni kilkakrotnie widziałem, jak wyjmował kartkę z narysowanymi figurkami, a potem z wyczerpaną uwagą długo ją oglądał i badał. Nic jednak nie wspominał o całej sprawie przez jakie dwa tygodnie, aż dopiero któregoś popołudnia, gdy szykowałem się do wyjścia, zatrzymał mnie.

— Lepiej by było, gdybyś został, Watsonie,

— Dlaczego?

— Dziś rano otrzymałem telegram od Hiltona Cubitta. Przypominasz go sobie i jego tańczące figurki? Zajechał o godzinie 1:20 na Liverpool Street, Lada chwila może tu być. Zaszły jakieś nowe, ważne wypadki. Dowiedziałem się o tym z jego telegramu.

Nie czekaliśmy długo. Nasz dziedzic z Norfolku przybył bowiem co koń wyskoczy prosto z dworca. Wyglądał na bardzo zmartwionego i przygnębionego. Czoło miał pokryte bruzdami i zmęczone oczy.

— Ta sprawa działa mi już na nerwy, Mr Holmes! — powiedział osuwając się zmęczony na fotel. — Nie należy do przyjemności, gdy pana osaczają niewidzialni, nieznajomi ludzie, którzy mają jakieś nieokreślone zamiary wobec pana. Ale stokroć gorsze jest, skoro widzi pan, iż to stopniowo wpędza do grobu pańską żonę. To wprost przekracza granice ludzkiej wytrzymałości. Ona się tym zadręcza, zadręcza na moich oczach.

— Czy mimo to z niczego się nie zwierzyła?

— Nie, Mr Holmes, Ani słowem. Chociaż były chwile, że biedactwo już, już chciało powiedzieć. Niestety, w ostatniej chwili nigdy nie mogła się na to zdecydować. Starłem się przyjść jej z pomocą, ale przyznaję, czyniłem to bardzo niezręcznie. I ostatecznie tylko ją odstraszyłem. Nieraz mówiła o moim starym rodzie, o naszej reputacji w hrabstwie i o dumie z nieskazitelnego honoru. Za każdym razem czułem, iż zmierza ku tej tajemniczej sprawie. W końcu jednak rozmowa zbaczała zawsze na inny temat.

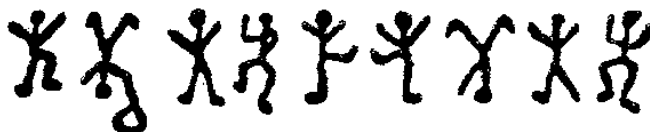
— A wykrył pan coś na swoją rękę?

— O, dużo, Mr Holmes. Mam kilka nowych rysunków tańczących figurek. Może pan je zbadać. A teraz najważniejsze. Widziałem tego osobnika.

— Co? Autora tych rysunków?

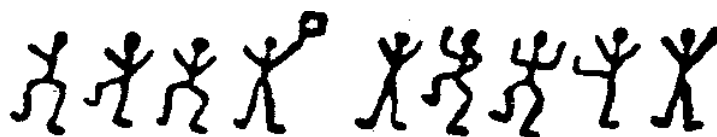
— Tak. Widziałem go nawet podczas rysowania; Pozwoli pan jednak, że opowiem wszystko, po kolei. Gdy wówczas po wizycie u pana wróciłem do domu, pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem następnego ranka, był nowy obraz tańczących sylwetek. Narysowano je kredą na czarnych, drewnianych, drzwiach magazynu. Znajduje się on obok trawnika i widać go dobrze z frontowych okien. Wykonałem dokładną kopię tego rysunku. Oto ona.

Rozłożył, papier na stole.



— Wspaniale! — rzekł Holmes — Znakomicie! Proszę, niech pan mówi dalej.

— Po sporządzeniu kopii starłem znaki, lecz za dwa dni pojawił się nowy napis. Oto on:



Holmes z radością uściskał mu dłonie i potrząsnął nimi.

— Och! Nasze materiały szybko rosną — powiedział.

— W trzy dni później następną wiadomość pozostawiono na zegarze słonecznym. Był to zagryzłony skrawek papieru, przygnieciony kamieniem. Jak pan widzi, znaki są dokładnie takie same jak poprzednio.

Zdecydowałem się wreszcie czatować w zasadzce. Wyjąłem rewolwer i zająłem stanowisko w moim gabinecie, skąd rozpościera się widok na trawnik i ogród. Siedziałem przy oknie. Pokój tonął w ciemnościach, jedynie z zewnątrz padało światło księżyca. Wtem około godziny drugiej nad ranem usłyszałem za sobą kroki. Była to moja żona, ubrana w szlafrok. Nalegała, abym położył się do łóżka. Powiedziałem jej wówczas otwarcie, iż pragnę ujrzeć tego jegomościa, który, urządza nam tak głupie psoty. Starła się mnie przekonać, iż nie powinienem zwracać uwagi na bezsensowne żarty.

— Jeśli ci to rzeczywiście dokucza, Hiltonie, możemy wyjechać i w ten sposób uniknąć przykrości.

— Co? Mielibyśmy opuszczać nasz dom z powodu jakiegoś żartownisia? — odrzekłem. — Stalibyśmy się pośmiewiskiem całego hrabstwa.

— No, dobrze, chodź więc spać — powiedziała. — Możemy pomówić o tym rano.

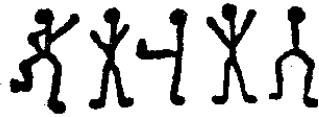
Nagle, gdy jeszcze mówiła, ujrzałem w blasku księżyca, iż jej blada twarz staje się biała jak płótno. Drobną dłoń kurczowo zacisnęła się na moim ramieniu. W cieniu koło magazynu coś się poruszało. Ciemna, czołgająca się sylwetka wypelzła zza narożnika i przyczała się koło drzwi wejściowych. Zerwałem się z miejsca z rewolwerem w rękę. Wówczas jednak żona objęła mnie konwulsyjnie i z wysiłkiem powstrzymała. Usiłowałem odepchnąć ją, lecz uczepiła się mnie jeszcze mocniej, z jakąś dziwną desperacją. W końcu oswobodziłem się. Nim jednak otworzyłem drzwi i dobiegłem do magazynu, tajemniczy cień zniknął, pozostawiając nowy ślad swej obecności. Na drzwiach widniał podobny rysunek tańczących sylwetek, jaki już dwukrotnie się pojawił, a którego kopię sporządziłem. Poza tym nic innego nie znalazłem, choć szukałem

wszędzie. Dziwna sprawa. Musiał on jednak w tym czasie być gdzieś w pobliżu. Gdy bowiem rano ponownie zbadalem drzwi, zauważyłem, iż znowu przybyło trochę rysunków. Pod rzędem figurek, który widziałem w nocy, zdołał on nagryzmolić jeszcze kilka znaków.

— Czy i ten nowy rysunek ma pan również?

— Tak! Skopiowałem go dokładnie. Jest zresztą bardzo krótki.

Znowu pokazał mi papier. Nowy rysunek dziwnych tancerzy wyglądał tym razem następująco:



— Niech mi pan teraz wyjaśni — rzekł Holmes, a po jego oczach poznałem, iż był bardzo wzruszony — czy ranny rysunek stanowił raczej dodatek do pierwszego, czy też wyglądał na odrębną całość?

— Znajdował się na drugiej połowie drzwi.

— Wspaniale! To dla nas najważniejsze. Spełniają się moje przewidywania. Teraz jednak Mr Cubitt, proszę, niech pan opowiada dalej. Pańskie opowiadanie jest niezwykle interesujące.

— Właściwie nie mam już nic więcej do powiedzenia, Mr Holmes. Mogę tylko dodać, iż owej nocy byłem zły na moją żonę. Przecież, gdyby mnie wtedy nie przytrzymała, chybabym złapał tego łajdaka, kryjącego się w ciemnościach. Bała się, aby nie spotkało mnie nieszczęście. Tak tłumaczyła swe postępowanie. Przez mgnienie oka przemknęło mi przez głowę podejrzenie: „A może ona obawiała się, aby to jemu nie przytrafiło się nieszczęście?” Trudno bowiem wyobrazić sobie, żeby nie znała tego człowieka i nie wiedziała, co oznaczają dziwaczne rysunki.

Coś jednak jest takiego w głosie i spojrzeniu mojej żony, Mr Holmes, co nie pozwala mi w nią wątpić. Jestem zupełnie pewien, iż wówczas troszczyła się o moje, bezpieczeństwo. Oto cała historia. A teraz proszę, niech mi pan poradzi, jak mam dalej postępować. Osobiście mam taki plan. Ukryję się w zagajniku z sześciu ludźmi pracującymi na mojej farmie, a kiedy to indywiduum znowu przyjdzie, spuszczę mu takie lanie, iż da nam w końcu spokój.

— Obawiam się, że to za poważny wypadek, aby stosować tak proste środki zaradcze — odparł Holmes. — Jak długo może pan zatrzymać się w Londynie?

— Dziś muszę wracać. Za nic nie zostawię żony samej tej nocy. Jest bardzo zdenerwowana. Zaklinała mnie, abym dziś jeszcze przyjechał.

— Moim zdaniem, ma pan słuszność. Gdyby pan jednak mógł się dzień lub dwa zatrzymać, to najprawdopodobniej pojechałbym razem z panem. Tymczasem niech mi pan zostawi te papiery. Już wkrótce, przypuszczam, będę mógł złożyć panu wizytę i w pewnym stopniu wyjaśnić pańską sprawę.

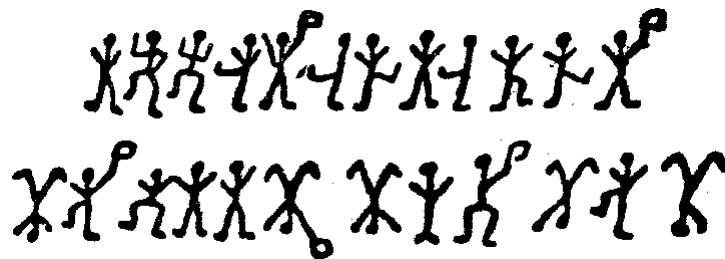
Sherlock Holmes przez cały czas pobytu naszego gościa zachował swój chłodny, zawodowy sposób bycia. Lecz ja znałem go przecież znakomicie. W lot zorientowałem się, iż jest głęboko wstrząśnięty i zainteresowany sprawą. I rzeczywiście. Ledwo szerokie plecy Hiltona Cubitta zniknęły za drzwiami, mój przyjaciel rzucił się do stołu. Rozłożył przed sobą wszystkie skrawki papieru z tańczącymi sylwetkami. Rozpoczęły się zawile i żmudne obliczenia. Obserwowałem, jak przez dwie godziny kartkę za kartką pokrywał cyframi i literami. Całkowicie pochłonięty swoją pracą zapomniał zupełnie o mojej obecności. Czasem, gdy praca szła mu dobrze i uzyskiwał jakieś rezultaty, gwizdał i podśpiewywał. Chwilami znów wpadał w zakłopotanie. Siedział wtedy dłuższą chwilę ze zmarszczonymi brwiami i nie widzącym spojrzeniem. Wreszcie

zerwał się z krzesła z okrzykiem zadowolenia. Zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem zacierając ręce, Następnie napisał na blankiecie telegraficznym długą depeszę.

— Jeśli otrzymam taką odpowiedź, jakiej się spodziewam, Watsonie, to twój zbiorek wzbogaci się o bardzo interesującą historię — powiedział. Prawdopodobnie już jutro wybierzemy się do Norfolku, Będziemy chyba mogli dostarczyć naszemu przyjacielowi szeregu bardzo ważnych wiadomości w tajemniczej sprawie, która go trapi.

Dusiłem się wprost z ciekawości, muszę to szczerze przyznać. Ale Holmes wyjawia swe odkrycia jedynie w czasie i w sposób, jaki uzna za stosowny, Dobrze o tym wiedziałem. Dlatego też postanowiłem czekać, aż sam mi o wszystkim opowie.

Jednakże nastąpiła nieprzewidziana zwłoka, mianowicie odpowiedź na telegram nie nadchodziła. Czekaliśmy cierpliwie dwa dni, W tym czasie Holmes wciąż nasłuchiwał jakiegoś dźwięku u drzwi. Wreszcie drugiego dnia wieczorem nadszedł list od Hiltona Cubitta. Wszystko u niego w porządku, pisał, z jednym wyjątkiem. Dziś rano mianowicie ukazał się na postumencie zegara słonecznego długi napis. Oczywiście przysłał jego kopię, której reprodukcję zamieszczam.



Holmes siedział nad tym groteskowym rysunkiem i ba dał go kilką minut. Wtem zerwał się gwałtownie z okrzykiem zaskoczeni i konsternacji. Na twarzy jego malował się głęboki niepokój.

— Sprawy zaszły już zbyt daleko — powiedział. — Czy dziś w nocy odchodzi jeszcze jakiś pociąg do North Walsham?

Sięgnąłem po rozkład jazdy.

— Niestety, ostatni już odszedł.

— Wobec tego zjemy wcześniej śniadanie i pojedziemy pierwszym rannym pociągiem — rzekł Holmes. — Nasza obecność jest tam teraz konieczna, i to niezwłocznie.

A oto i nasz oczekiwany telegram. Chwileczkę; Mr Hudson. Może nadam odpowiedź. Nie! Jest dokładnie tak, jak przypuszczałem. Zawiadomienie to stanowi dla nas dodatkowy bodziec, abyśmy niezwłocznie zawiadomili Hiltona Cubitta, jak sprawy stoją. Nie mamy ani godziny do stracenia. Nasz poczciwy dziedzic norfolcki wpadł bowiem w przedziwną i niebezpieczną matnię.

Jak się później okazało, istotnie tak było. A ja jeszcze do owej chwili traktowałem całą sprawę jako dziecinadę! Teraz jednak, gdy piszę tragiczny finał tej ponurej historii, na nowo przeżywam grozę, jaka mnie wówczas przepelniała. Czyż mam opowiadać o tym moim czytelnikom w obszerniejszym zakończeniu?... Muszę się jednak trzymać kolejności zdarzeń. Smutne przesilenie poprzedził bowiem łańcuch dziwnych wypadków, dzięki którym posiadłość Ridling Thorpe stała się na jakiś czas głośna na całą Anglię.

Wysiedliśmy w North Walsham. Ledwo jednak wymieniliśmy nazwę miejscowości, do której zdążamy, już spieszył ku nam naczelnik stacji.

— Panowie są, jak przypuszczam, detektywami z Londynu? — powiedział.

Poprzez twarz Holmesa przemknął grymas rozdrażnienia.

— Skąd to przypuszczenie? — odrzekł.

— Ponieważ inspektor Martin z Norwich niedawno tu przybył. A może panowie jesteście lekarzami? Ona nie umarła i nie była wcale umierająca. Zresztą, jeśli ją nawet uratujecie, to chyba tylko dla szubienicy.

Holmes zaniepokojony zmarszczył brwi.

— Jedziemy właśnie do Ridling Thorpe — powiedział.

— Nie mamy jednak najmniejszego pojęcia, co tam zaszło?

— To okropna historia! — odparł naczelnik stacji. — Doszło do jakiejś strzelaniny i oboje Cubittowie leżą teraz podziurawieni kulami. Według relacji służby, ona najpierw strzeliła do męża, a potem do siebie. W rezultacie Mr Hilton Cubitt poniósł śmierć na miejscu, a jej życie wisi na włosku. Och, dobry Boże! To przecież jeden z najstarszych i najbardziej szanowanych rodów w hrabstwie Norfolk!

Holmes bez słowa pospieszył do powozu. Również podczas długiej siedmiomilowej drogi ani razu nie otworzył ust. Popadł w głębokie przygnębienie.

Rzadko kiedy widywałem go w takim stanie. Już w ciągu całej podróży z Londynu był w złym humorze. Pełen niepokoju uważnie przeglądał poranne gazety. A teraz oto jego najgorsze przecucia przybrały realne kształty. Nic więc dziwnego, iż opanowała go kompletna depresja. Siedział bezwładny, niemal półleżąc, trawiony posępnymi myślami.

Tymczasem wokół nas przewijał się niezwykle interesujący krajobraz. Przejeżdżaliśmy bowiem przez wyjątkowo ciekawą okolicę Anglii. Nieliczne domki rozrzucone tu i ówdzie wśród pól świadczyły o słabym jeszcze zaludnieniu tych okolic. W dali, na tle zieleni rozległych równin rysowały się masywne, czworokątne wieże wielkich kościołów, świadków chwały i czasów pomyślności starej wschodniej Anglii. Wreszcie ponad zieloną krawędzią wybrzeży Norfolku ukazała się fioletowa wstęga Morza Niemieckiego. Woźnica wskazał batem dwa stare domostwa zbudowane z cegły i drzewa. Zarysy ich wyraźnie odcinały się na tle zagajnika.

— To jest właśnie posiadłość Ridling Thorpe — powiedział.

Podjechaliśmy przed portyk drzwi frontowych. Nie opodał, obok trawiastego kortu tenisowego, zauważyłem czarny mur magazynu do narzędzi. A oto i zegar słoneczny umieszczony na podmurówce, o którym już słyszeliśmy.

Z wysokiego powoziku wysiadł właśnie niski mężczyzna o sterczących, nawoskowanych wąsach. Z jego szybkich ruchów emanowała energia. Przedstawił się jako inspektor Martin z policji norfolkskiej. Zdziwił się wielce, gdy usłyszał nazwisko mego przyjaciela.

— Ależ, Mr Holmes! Przecież zbrodni dokonano o trzeciej nad ranem. Jak więc mógł pan dowiedzieć się o niej w Londynie i przybyć na miejsce równocześnie ze mną?

— Przewidywałem ją i przybyłem w nadziei, że zdołam jej zapobiec.

— Wobec tego musi mieć pan wiele materiału, o którym nic nie wiemy. Jak bowiem słyszałem, było to bardzo dobrane małżeństwo.

— Jedyne dowód, jaki posiadam, to rysunki tańczących sylwetek. Ale sprawę tę wyjaśnię panu później. Zapobiec tragedii, niestety nie udało się. Trzeba więc przynajmniej wyjaśnić sprawę i pomóc, aby sprawiedliwości stało się zadość. Bardzo mi na tym zależy i użyję do tego całej wiedzy, jaką posiadam. Czy wspólnie poprowadzimy dochodzenia, czy też woli pan, abym działał samodzielnie?

— Będę dumny, Mr Holmes, jeśli będziemy działać razem! — z radością odparł inspektor.

— Wobec tego, nie zwlekając, chciałbym przeprowadzić badania świadków i ustalić okoliczności.

Inspektor Martin okazał się bardzo rozsądny. Pozostawił mojemu przyjacielowi zupełną swobodę działania. Holmes więc zastosował swoje metody badań. Martin zaś poprzestał na

sumiennym notowaniu wyników, Z pokoju Mrs. Hiltonowej Cubitt wyszedł właśnie miejscowy chirurg, stary, siwy już człowiek. Oświadczył, iż stan jej, aczkolwiek poważny, nie jest jednak beznadziejny. Kula przeszła przez przednią część czaszki. Zapewne upłynie pewien czas, nim odzyska świadomość. Na pytanie, czy postrzelono ją, czy też sama do siebie strzelała, nie mógł dać zdecydowanej, wyraźnej odpowiedzi, W każdym razie strzał oddano z bardzo bliskiej odległości. W pokoju znaleziono tylko jeden rewolwer, w którego magazynku brakowało dwu naboii. Mr Cubitta trafiono wprost w serce. Z równą dozą słuszności można było przypuszczać, że to on strzelał do niej, a później do siebie, jak też, iż ona popełniła zbrodnię. Rewolwer leżał bowiem na podłodze W jednakowej odległości od każdego z nich.

— Czy ktoś go ruszał? — spytał Holmes.

— Myśmy niczego nie dotykali. Ratowaliśmy tylko panią. Nie mogliśmy przecież pozwolić, by ranna leżała na podłodze.

— Jak długo, tam pan przebywał, doktorze?

— Od czwartej rano.

— A kto jeszcze?

— Ten policjant.

— Niczego pan nie dotykał?

— Nie, niczego.

— Uczynił pan bardzo roztropnie. A kto posłał po pana?

— Pokojowa Saunders.

— Czy to ona podniosła alarm?

— Ona wraz z kucharką, Mrs King. — Gdzie one się teraz znajdują?

— Przypuszczalnie w kuchni!

— Wobec tego najlepiej zaraz je przesłuchajmy.

Stary hali o wielkich oknach i dębowych drzwiach przekształcił się w izbę śledczą. Holmes siedział w wielkim, zabytkowym fotelu. Z jego ascetycznej twarzy spoglądały nieublagane, pełne blasku oczy. Łatwo z nich mogłem wyczytać nieugiętą decyzję. Przeprowadzi on dochodzenie nawet kosztem życia. Nie spocznie, nim nie zostanie pomszczony jego klient, którego nie zdołał ocalić. Na resztę tego dziwnego towarzystwa składali się: schludny inspektor Martin, stary, siwy doktor, ja i tępawy policjant wiejski.

Obie kobiety zeznały dosyć jasno. Zerwały się ze snu wskutek huku wystrzałów, które nastąpiły po sobie w odstępach jednej minuty. Spały w pokojach sąsiadujących z sobą. Mrs King pobiegła do Saunders, a następnie razem zeszły po schodach. Drzwi do gabinetu stały otworem, na stole paliła się świeca. Ich chlebobawca leżał na środku pokoju, zwrócony twarzą do światła. Był już martwy. Żonę jego spostrzegły w pobliżu okna. Skulona w jakiś; dziwny sposób opierała głowę o ścianę. Co za straszna rana. Całą stronę twarzy zalała krew. Oddychała ciężko. Nie była jednak w stanie powiedzieć słowa. Dym i zapach prochu wypełniały pokój i hali. Okno było zamknięte i od wewnątrz zaparte. Obie kobiety zgodnie to stwierdzały. Posłały natychmiast po doktora i policję. Następnie z pomocą lokaja i chłopca stajennego przeniosły swą zranioną panią do jej pokoju. Zanim nastąpiły tragiczne wypadki, oboje, ona i jej małżonek, leżeli w łóżku. Ona miała na sobie domową suknię, on zaś szlafrok nałożony na koszulę nocną. W gabinecie niczego nie ruszano. O ile im wiadomo, małżonkowie Cubitt nigdy się ze sobą nie kłócili. Przeciwnie, na podstawie obserwacji stwierdzić mogą, iż było to bardzo zgodne małżeństwo.

Tak przedstawiały się w zarysach zasadnicze elementy zeznań służących. Opowiadając inspektorowi, twierdziły stanowczo, iż wszystkie drzwi były pozamykane od wewnątrz. Nikt więc nie mógł ująć z domu. W odpowiedzi na pytanie Holmesa przypomniały sobie, iż czuły woń prochu od chwili, kiedy wybiegły ze swych pokojów, znajdujących się na piętrze.

— Zwracam panu specjalną uwagę właśnie na ten drobny szczegół — powiedział Holmes do swego kolegi-inspektora. — A teraz możemy chyba przeprowadzić dokładne oględziny mieszkania.

Gabinet okazał się niewielkim pokojem. Wzdłuż trzech ścian piętrzyły się półki z książkami. Biurko stało naprzeciw okna, z którego roztaczał się widok na ogród. Najpierw zajęliśmy się badaniem zwłok nieszczęsnego dziedzica, rozciągniętego na podłodze. Strój jego znajdował się w nieładzie, co świadczyło; iż został gwałtownie wyrwany ze snu. Strzelano doń z przodu. Kula po przebiciu serca pozostała, w ciele. Śmierć nastąpiła natychmiast. Nie męczył się. Ani na szlafroku, ani na jego rękach nie było śladów prochu. Według relacji wiejskiego chirurga ziarenka prochu znajdowały się na twarzy pani Cubitt, brak ich było jednak na jej rękach.

— Brak ich niczego jeszcze nie oznacza — powiedział Holmes. — Natomiast obecność ich mogłaby już o czymś stanowić. Można oddać przecież wiele strzałów bez pozostawienia śladów, o ile nie przytrafi się, iż proch wyprysnie do tyłu ze źle dopasowanego naboju. Obecnie proponowałbym usunąć zwłoki Mr Cubitta. Przypuszczam, doktorze, iż nie znalazł pan kuli, która zraniła lady?

— Aby tego dokonać, trzeba by przeprowadzić poważną operację. Wiadomo jednak, że w rewolwerze znajdują się cztery naboje: dwa wystrzelono, a więc zadano dwie rany postrzałowe. Wobec tego każdej kuli można przypisać jedną z nich.

— Tak by się wydawało — powiedział Holmes. — Lecz jak wobec tego wyjaśni pan pochodzenie kuli, która przebiła ramę okna? Widać ją przecież doskonale.

Obrócił się gwałtownie i wskazał długim, cienkim palcem otwór po prawej stronie ramy zasuwanego okna na wysokości jednego cala od dołu.

— Na świętego Jerzego! — zawołał inspektor. — Jak pan to dostrzegł?

— Po prostu tego właśnie szukałem.

— Cudownie! — wykrzyknął wiejski lekarz. — Na pewno ma pan rację, sir. Skoro padł trzeci strzał, to musiała tu być trzecia osoba. Ale któż to mógł być? I w jaki sposób uciekł?

— Właśnie to zagadnienie mamy obecnie rozwiązać — powiedział Sherlock Holmes. — Służące, opuszczając swe pokoje, od razu poczuły zapach prochu. Tak zeznały. Uczyniłem wówczas uwagę, iż ten drobny szczegół jest niesłychanie ważny. Chyba przypomina pan sobie, inspektorze Martin?

— Tak, sir! Ale przyznaję, iż nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi.

— W chwili oddania strzału przypuszczalnie tak okno, jak i drzwi pokoju były otwarte. W przeciwnym razie dym nie mógłby tak szybko rozejść się po całym domu. W pokoju musiał więc być przeciąg. Okno i drzwi jednak pozostały otwarte jednocześnie tylko na krótki czas.

— Jak pan tego dowiedzie?

— Ponieważ świeca nie zgasła.

— Kapitalne! — zawołał inspektor. — Wspaniałe!

— Nabrałem wówczas pewności, że okno było otwarte w czasie tragicznego zajścia. A potem nasunął mi się wniosek, iż w tej sprawie musiała brać także udział trzecia osoba. Stała ona na zewnątrz przy parapecie i strzeliła do środka. Jakiś strzał, przeznaczony dla tej osoby, mógł trafić we framugę. Szukałem śladu. I oto znalazłem dość wyraźny znak kuli!

— Ale w jaki sposób zamknięto i zaparto później okno od wewnątrz?

— Mrs Cubitt zamknęła je odruchowo. Lecz... cóż to jest?!

Była to torebka pani Cubitt. Leżała na biurku. Mała, prawie nowa torebka ze srebra i skóry krokodyla. Holmes otworzył ją i wyjął zawartość. Składało się na nią 25 funtów szterlingów w banknotach, ściągniętych razem gumką. Nic więcej.

— Trzeba to zatrzymać w depozycie, gdyż odegra rolę na rozprawie — powiedział Holmes,

wręczając inspektorowi torebkę wraz z zawartością. — A teraz postarajmy się wyświetlić sprawę trzeciej kuli. Z całą pewnością wystrzelono ją z wnętrza pokoju. Wskazuje na to kierunek, w jakim rozłupała drzewo. Chciałbym jeszcze raz zobaczyć Mr. King, kucharkę, prócz tego...

— Mówiła pani, Mrs King, że zbudziła ją głośna eksplozja. Czy miało to oznaczać, iż wydawała się ona pani głośniejsza od drugiej?

— Sir, wyrwała mnie ona ze snu, dlatego też trudno mi osądzić. W każdym razie była bardzo głośna.

— Czy, pani zdaniem, nie mogły to być dwa strzały, oddane niemal równocześnie?

— Nie, na pewno nie, sir!

— Ja uważam, iż niewątpliwie tak było. No, inspektorze Martin, dowiedzieliśmy się chyba wszystkiego, o czym nam mógł „opowiedzieć” ten pokój. Jeśli zechce mi pan towarzyszyć, to pójdziemy zobaczyć, co nowego dowiemy się w ogrodzie.

Kwiatnik dochodził aż pod okno gabinetu. Gdy podeszliśmy do niego, niemal jednogłośnie wydaliśmy okrzyk zdziwienia. Kwiaty były zdeptane, a dookoła, na miękkiej ziemi widniały wszędzie liczne ślady stóp. Były to odciski wielkich męskich stóp, o wyjątkowo długich i szpiczastych czubkach. Holmes przeszukał dokładnie trawę i zarośla, podobnie jak myśliwy, tropiący zranionego ptaka. Wreszcie z okrzykiem zadowolenia pochylił się i podniósł małą, mosiężną łuskę.

— Tak przypuszczałem! — powiedział. — Rewolwer posiadał wyrzutnik. I oto jest trzecia łuska. Inspektorze Martin! Wydaje mi się, iż mamy teraz wszystko, co trzeba.

Na obliczu inspektora malowało się głębokie zdziwienie, wobec tak szybkiego i pełnego mistrzostwa postępu badań Holmesa. Początkowo okazywał pewną chęć umocnienia swej pozycji i autorytetu. Teraz jednak przepełniał go podziw dla Holmesa. Byłby gotów pójść wszędzie, gdzie by on go poprowadził.

— Kogo pan podejrzewa? — spytał;

— Do tej sprawy przejdziemy później. Obecnie bowiem jest jeszcze kilka punktów w tym problemie, których nie jestem w stanie w tej chwili panu wyjaśnić. Gdy już tyle osiągnęliśmy, najlepiej iść nadal za dotychczasowym tokiem rozumowania, a dopiero po ostatecznym zakończeniu wyjaśnić sprawę.

— Jak pan sobie życzy, Mr Holmes. Tak długo, aż nie ujmiemy winnego.

— Nie chcę robić tajemnicy! Ale w obecnym stanie akcji niepodobniestwem jest wdawać się w długie i zawile wyjaśnienia. Mam w swym ręku wszystkie nici sprawy. Nawet gdyby lady nigdy nie odzyskała przytomności, możemy zrekonstruować wypadki ostatniej nocy. Na pewno sprawiedliwości stanie się zadość!

A teraz przede wszystkim chciałbym wiedzieć, czy w okolicy znajduje się jakiś zajazd lub miejscowość pod nazwą „Elriges”.

Służące wzięto w krzyżowy ogień pytań. Żadna z nich nie słyszała jednak o takim miejscu. Sprawę wyjaśnił dopiero chłopiec stajenny. Przypomniał sobie, iż o kilka mil w kierunku East Ruston mieszka farmer o tym nazwisku.

— Czy ta farma leży na odludziu?

— Na zupełnym pustkowiu, sir!

— Może oni nie dowiedzieli się tam jeszcze o wypadkach, jakie wydarzyły się ostatniej nocy?

— Zupełnie prawdopodobne, sir.

Holmes pomyślał chwilą. I wówczas na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech.

— Osiodłaj konia, mój chłopcze! — powiedział. — Zawieziesz list do Erliges Farm.

Sherlock wyjął z kieszeni plik papierów, pokrytych rysunkami tańczących sylwetek. Rozłożył je przed sobą na biurku i zaczął coś pisać. W końcu podał chłopcu pismo, dając polecenie, aby

doręczył je osobie, do której zostało zaadresowane. Absolutnie jednak nie wolno mu odpowiadać na żadne pytania, jakie by mu zadawali. Widziałem zewnętrzną stronę pisma. Zaadresowane było przerywanym, nierównym charakterem. Zupełnie nie przypominało ono zawsze precyzyjnej ręki Holmesa. Przeznaczono je dla Mr Abe Slaney, Elriges Farm, East Ruston, Norfolk.

— Sądzę, inspektorze — zauważył Holmes — iż dobrze pan uczyni depeszując po eskortę. Prawdopodobnie, jeśli moje obliczenia okażą się prawidłowe, złowi pan wyjątkowo niebezpiecznego przestępcę i trzeba będzie odstawić go do więzienia hrabstwa. Chłopiec, wiozący list, może niewątpliwie wyprzedzić pański telegram. Czy jest po południu pociąg do Londynu? Jeśli tak, to wiesz co myślę, Watsonie? Dobrze by było pojechać do miasta. Mam do skończenia dosyć interesującą analizę chemiczną, a to dochodzenie i tak już szybko zmierza ku końcowi.

Gdy chłopiec stajenny odjechał z pismem, Sherlock wydał instrukcje służbie. Jeśliby dzwonił jakiś gość, pytając się o panią Hiltonową Cubitt, to nie należy udzielać żadnych informacji o jej stanie, natomiast trzeba od razu wskazać mu drogę do salonu. Na to kładł Holmes największy nacisk.

Wreszcie Sherlock odszedł, do salonu. Uczynił przy tym uwagę, iż sprawy toczą się już własnym torem. Wobec tego, najlepszą rzeczą, jaką możemy uczynić, jest uzbroić się w cierpliwość i czekać, co nam los przyniesie w darze. Doktor udał się do swoich pacjentów. Zostaliśmy tylko sami z inspektorem.

— Teraz możemy spędzić razem godzinę w sposób interesujący, a zarazem dla pana korzystny — powiedział Holmes. Przysunął krzesło do stołu i rozłożył przed sobą plik papierów, pokrytych komicznymi tańczącymi sylwetkami. — Jeśli zaś o ciebie chodzi, drogi Watsonie, to wybac mi, iż tak długo nie zaspokajałem twojej zupełnie uzasadnionej ciekawości. Winien ci za to jestem, kochany przyjacielu, pełną satysfakcję. Dla pana zaś, inspektorze, cały ten wypadek stanowi może ciekawe studium zawodowe. Najpierw opowiem panu o wszystkich interesujących okolicznościach, związanych z wizytami Mr Hiltona Cubitta na Baker Street, kiedy to zasięgał moich rad.

Oto te dziwaczne rysunki. Właściwie mogłyby budzić uśmiech, gdyby nie okazały się zwiastunami, strasznej tragedii. Znam dosyć dobrze wszelkie formy tajnego pisma. Sam jestem autorem niewielkiej monografii na ten temat. Zanalizowałem w niej 160 różnych szyfrów. Przyznaję jednak, iż tego zupełnie nie znałem. Okazał się dla mnie nowością. Wynalazca szyfrowego systemu rysunkowego miał swój cel. Rysunki sylwetek, miały zatrzeć wrażenie, iż tworzą szyfr i kryją w sobie jakąś treść. Nadto zaś mogły sugerować, że stanowią jedynie obrazki, skreślone ręką dziecka.

Zrobiłem jednak doświadczenie. Figurki mogły oznaczać przecież poszczególne litery. Zastosowałem wszystkie reguły, jakie rządzą tajnym pismem, I wówczas rozwiązanie szyfru okazało się stosunkowo łatwe. Pierwsza zaszyfrowana wiadomość, jaką mi pokazano, była bardzo krótka. Niewiele mogłem się w niej zorientować z wyjątkiem tego, że symbol:

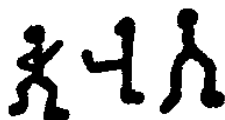


oznacza literę *E*. Jak pan wie, *E* jest najczęściej używaną literą alfabetu angielskiego. Występuje bardzo często. Nawet w krótkim zdaniu powtarza się wielokrotnie. Z piętnastu figurek symboli pierwszego zawiadomienia cztery były jednakowe. Istniała więc podstawa, aby uznać je za *E*. Co prawda część figurek oznaczających *E* trzymała chorągiewki, a część nie. Z układu

jednak chorągiewek można było wnioskować, iż służą one do podziału zdania na poszczególne wyrazy. Przyjąłem to za hipotezę i zanotowałem, iż *E* wyrażone jest taką oto figurką:



W tym miejscu napotykamy jednak w badaniach na zasadniczą trudność. Otóż kolejność występowania w języku angielskim innych liter oprócz *E* w żadnym wypadku nie jest wyraźnie ustalona i jakakolwiek przewaga jednych liter nad drugimi w przekroju strony druku, może ulec zupełnemu odwróceniu w pojedynczym krótkim zdaniu. Na ogół można przyjąć następującą kolejność: *T, A, O, I, N, S, H, R, D*, i *L*. Ale *T, A, O* oraz *I* znajdują się bardzo blisko siebie, stojąc mniej więcej na jednym poziomie. Aby więc odkryć znaczenie szyfru, trzeba by badać każdą możliwą ich kombinację. To beznadziejna praca. Dlatego też czekałem na dalszy materiał. Podczas naszej drugiej rozmowy Mr Hilton Cubitt dodał mi dwa dalsze, krótkie, zaszyfrowane zdania i jedno zawiadomienie. Ujęte ono było, wobec braku chorągiewki w ręku figurki, w jednym słowie. Oto te rysunki. Teraz miałem już w pojedynczym, pięcioliterowym słowie dwa *E* umieszczone na drugim i czwartym miejscu. Mogło to być słowo *sever* (zerwać), *lever* (dźwignia), lub *never* (nigdy). Bez wątpienia wchodziło ostatnie słowo, które mogło stanowić odpowiedź na wezwanie. Okoliczności zaś wskazywały, iż była to odpowiedź napisana przez lady Cubitt. Uznając ten wniosek za słuszny, mogłem uznać znaki:



za odpowiadające literom *N, V, R*.

Jednak w dalszym ciągu piętrzyły się przede mną poważne trudności. Przypadkiem tylko szczęśliwa myśl dostarczyła mi kilku dalszych liter. Przypuszczałem, iż wezwania otrzymuje lady od kogoś, kto znał ją dobrze już dawniej. Przyszło mi więc do głowy, czy słowo szyfru, zawierające trzy litery pomiędzy dwoma *E*, nie oznacza imienia *Elsie*. Przeprowadziłem badania i okazało się, iż słowo to stanowiło zakończenie zawiadomienia, trzykrotnie powtarzającego się. Było to więc z pewnością jakieś wezwanie skierowane do *Elsie*. W ten sposób rozszyfrowałem znaki odpowiadające literom *L, S*, oraz *I*. Cóż jednak mogło zawierać samo wezwanie? Słowo stojące przed *Elsie* składało się tylko z czterech liter i kończyło na *E*. Musiało to więc być słowo *come*. Próbowałem wszelkich innych kombinacji czteroliterowych, nie mogłem jednak znaleźć żadnej, która by pasowała. W rezultacie otrzymałem symbole oznaczające *C, O*, oraz *M*. Wobec tego powstała szansa na rozwiązanie pierwszego szyfrowego zawiadomienia. Podzieliłem je na słowa. W miejsce nie znanych mi jeszcze znaków powstawałem kropki. Powstał więc następujący tekst:

. *M . ERE . . E SI . NE*.

Pierwszą literą mogło być chyba tylko *A*. Stanowiło to ważne odkrycie, ponieważ *A* występuje w tym krótkim zdaniu co najmniej trzykrotnie. W drugim słowie brakującą literą okazało się *H*.

W ten sposób zdanie przyjęło taką postać: *AM HERE A . E SLANE*.

Wypełnienie pustego miejsca w nazwisku samo — wprost się narzucało. Oto więc całe zdanie po wstawieniu *B* oraz *Y*: *AM HERE ABE SLANY* (Jestem tutaj Abe Slaney).

Oznaczyłem już tak wiele liter, iż mogłem przystąpić z dużą dozą pewności do rozwiązania drugiego zawiadomienia. Wypisałem w nim znane mi litery:

A. ELRI.ES.

Nadać sens temu zdaniu mogłem jedynie poprzez wstawienie *T* oraz *G* w miejsce brakujących, liter. Zakładałem bowiem, iż w tym wypadku chodzi o nazwę domu lub gospody, w której zatrzymał się piszący.

Otrzymałem więc tekst:

AT ELRIGES (U Elrigesa)

Obaj z inspektorem Martinem słuchaliśmy z najwyższym zainteresowaniem dokładnej i przejrzystej relacji, w jaki sposób mój przyjaciel osiągał stopniowo wyniki, prowadzące do rozwiązania trudnej sprawy.

— Cóż pan teraz zamierza? — spytał inspektor.

— Ten Abe Slaney jest Amerykaninem. Dlaczego tak przypuszczam? Ponieważ Abe, to skrót, używany przez Amerykanów. Ponadto list z Ameryki rozpoczął łańcuch wszystkich zmartwień. Wreszcie w całej sprawie odegrała prawdopodobnie rolę jakaś kryminalna zagadka. Wskazywały na to aluzje lady Cubitt na temat jej przeszłości oraz odmowa dopuszczenia małżonka do jej tajemnic. Dlatego też zadepeszowałem do mojego przyjaciela, Wilsona Hargreave'a z komendy policji nowojorskiej. Nieraz korzystał on z moich informacji o londyńskim świecie przestępczym, obecnie więc ja zapytałem go, czy zna nazwisko *Abe Slaney*. Jego odpowiedź brzmiała: *Bardzo niebezpieczny oszust z Chicago!* Tego samego dnia, gdy otrzymałem taką informację, Hilton Cubitt przysłał mi ostatnie szyfrowane zawiadomienie Slaneya. Wstawiając znane litery ułożyłem takie zdanie;

ELSIE. RE. ARE TO.MEET. THY GO.

Po dodaniu *P* i *D* uzyskałem pełny tekst:

ELSIE PREPARE TO MEET THY GOD! (Elizo przygotuj się na spotkanie Twego Boga!)

Wskazał mi on, że nikczemnik ów przeszedł od perswazji do gróźb. Znałem zwyczaje chicagowskich oszustów. Liczyłem się poważnie z bardzo szybką realizacją jego pogróżek. Przybyłem więc do Norfolku wraz z kolegą, doktorem Watsonem najszybciej, jak tylko było można. Niestety, zastaliśmy już najgorsze, co mogło się stać.

— Och! Mr Holmes! Współpraca z panem przynosi prawdziwy zaszczyt — rzekł z zapałem inspektor. — Proszę mi jednak wybaczyć moją szczerość, ale pan odpowiada jedynie przed sobą, ja zaś przed swymi władzami zwierzchnimi. Jeśli ten Abe Slaney, mieszkający u Elrigesa jest rzeczywiście mordercą i jeśli uda mu się uciec, podczas gdy ja tu spokojnie siedzę, to z pewnością wpadnę w poważne kłopoty.

— Niech pan się nie martwi. On nawet nie będzie próbował ucieczki.

— Skąd pan wie?

— Ucieczka stanowi przyznanie się do winy.

— Wtedy moglibyśmy go zaaresztować.

— Oczekuję go tu w każdej chwili.

— Ale dlaczego miałby on tu przychodzić?.

— Ponieważ napisałem list i prosiłem go.

— Przecież to zupełnie nieprawdopodobne, Mr Holmes. Dlaczegoż miałby przybyć właśnie na pańską prośbę? Czyż tego rodzaju zaproszenie nie wzbudzi raczej jego podejrzeń i nie nakłoni do ucieczki?

— Przypuszczam, iż list ułożyłem właściwie! — powiedział Sherlock Holmes. — O, rzeczywiście! Jeśli się nie mylę, to dżentelmen ów we własnej osobie nadchodzi aleją!

Jakiś człowiek zbliżał się wielkimi krokami drogą wiodącą ku wejściu. Był to mężczyzna wysoki i przystojny. Śniada cera odcinała się jaskrawo od jasnego kapelusza panama i szarego, flanelowego ubrania. Nos miał zgięty, haczykowaty i zmierzwioną brodę. Idąc, wywijał laskę. A kroczył tak zadzierzyscie, jakby cały świat doń należał. Zabrzmiał donośny, dźwięczny głos dzwonka...

— A teraz, panowie — powiedział spokojnie Holmes — najlepiej zajmijmy za drzwiami nasze stanowiska. Należy zachować wszelkie środki ostrożności, gdy ma się do czynienia z tak niebezpiecznym typem. Niech pan ma w pogotowiu kajdanki, inspektorze. Zaraz będą potrzebne. A zatem proszę pozostawić mi prowadzenie rozmowy.

Czekaliśmy w milczeniu mniej więcej minutę, jedną z tych, jakie pamięta się do końca życia. Wreszcie drzwi otworzyły się i nasz gość wszedł do pokoju, W tym samym momencie Holmes przyłożył mu pistolet do skroni, a Martin skuł mu ręce kajdanami. Wszystko odbyło się z błyskawiczną szybkością i nad wyraz sprawnie. Unieszkodliwiono przybysza, zanim zdołał się zorientować, iż został zaatakowany. Wodził po nas przez chwilę czarnymi, gorejącymi oczyma. Wreszcie wybuchnął gorzkim śmiechem.

— No dobrze, panowie! Tym razem jesteście górą! Wydaje mi się, iż zostałem uwięziony w związku z jakąś poważną sprawą. Ale przyszedłem po odpowiedź na list Mrs Hiltonowej Cubitt. Nie powiecie przecież, iż ona maczała w tym palce? Chyba nie pomagała w przygotowaniu tej zasadzki?

— Pani Hiltonowa jest ciężko ranna. Stoi u progu śmierci.

Więzień nasz wydał dziki okrzyk rozpaczy, który rozszedł się echem po całym domu.

— Pan chyba oszalał! — zawołał dziko. — To on został ranny, a nie ona! Któż by chciał zranić małą Elsie?! Mogłem jej grozić! Niech Bóg mi wybaczy! Ale nigdy w życiu nie uczyniłbym jej żadnej krzywdy! Odwołaj pan te słowa! Powiedz, że nie została ranna!

— Znalaziono ją ciężko ranną u boku zabitego męża.

Z głośnym jękiem osunął się na kanapę. Ukrył twarz w skutych kajdanami dłoniach i milczał przez kilka minut. Potem podniósł głowę i rzekł z rozpaczą, lecz już opanowany.

— Nie mam się z czym kryć przed wami, panowie! Jeśli zabiłem człowieka, to jedynie we własnej obronie. On bowiem strzelał do mnie. Skoro jednak myślicie, iż mogłem zranić tę kobietę, to ani jej, ani mnie nie znacie! Na całym świecie nie było człowieka, który by mocniej kochał kobietę, niż ja ją kochałem. Tyle wam tylko powiem! Jedynie ja miałem do niej prawo! Przed kilku laty była moją narzeczoną. Kim był ten Anglik, który wszedł między nas? Przecież ja miałem do niej pierwszeństwo, zapewniam was! Upominałem się tylko o to, co moje!

— Ona wyłamała się spod twego wpływu, skoro przekonała się, kim jesteś! — powiedział Holmes surowo. — Uciekła nawet z Ameryki, by stracić cię z oczu! W Anglii poślubiła szlachetnego dżentelmena. Ty zaś tropiłeś ją i ścigałeś. Zatrzymałeś jej życie po to, by porzuciła męża, którego kochała i szanowała. Miała zrobić to dla ciebie, którego bała się i nienawidziła.

Doprowadziłeś do śmierci szlachetnego człowieka, a jego żonę popchnąłeś do samobójstwa. Oto twój udział w tej sprawie, Mr Abe Slaney! Za to odpowiesz przed prawem!

— Jeśli Elsie umrze, to nie dbam, co się ze mną stanie! — odrzekł Amerykanin.

Otworzył dłoń i zerknął na zgnieciony list. — Niech pan spojrzy! — zawołał z błyskiem podejrzenia w oczach. — Czy przypadkiem nie próbuje mnie pan nastraszyć? Co? Jeśli lady Hillanowa jest rzeczywiście tak ciężko ranna, jak pan mówi, to kto pisał ten list? — rzucił kartkę na stół.

— Ja go pisałem, by ciebie zwabić!

— Pan go pisał? Niemożliwe! Przecież nikt na świecie poza „Zjednoczeniem” nie zna tajemnicy tańczących sylwetek! Jak więc pan mógł napisać szyfrowe zawiadomienie?

— Co jeden człowiek wynajdzie, to drugi może wykryć — powiedział Holmes. — Ale oto pojazd, który przybywa, aby odstawić cię do Norfolku, Mr Slaney. Tymczasem jednak masz jeszcze okazję do dania chociaż częściowo zadośćuczynienia za wyrządzoną krzywdę. Czy zdajesz sobie sprawę, iż na Mrs Hiltonową Cubitt pada poważne podejrzenie o zamordowanie męża? Jedyne moja obecność i wiedza, którą posiadam, ocaliły ją od oskarżenia. Musisz więc wyznać publicznie, iż ona nie ponosi najmniejszej odpowiedzialności za tę tragedię, ani bezpośrednio, ani nawet pośrednio. Przynajmniej to powinieneś dla niej uczynić.

— Niczego więcej nie pragnę! — wykrzyknął Amerykanin. — Dla mnie najlepiej chyba będzie mówić szczerą prawdę.

— Czuję się w obowiązku ostrzec pana, iż będzie to użyte przeciwko niemu — zawołał inspektor. Uczynił tak w myśl wielkodusznej zasady brytyjskiego prawa karnego.

Slaney wzruszył ramionami.

— Ech! Wszystko mi jedno! — odrzekł. Przede wszystkim musicie panowie wiedzieć, iż znałem lady od dziecka. Do naszej szajki w Chicago należało siedmiu członków. Ojciec Elsie był szefem „Zjednoczenia”.

Stary Patrick był sprytnym człowiekiem. On ułożył ten szyfr, który mógł z powodzeniem uchodzić za dziecinne gryzmoły. Dopiero pan znalazł do niego klucz. Elsie dowiedziała się o naszym procederze, lecz nie brała w tym wszystkim udziału. Miała trochę własnych, uczciwie zarobionych pieniędzy. Wymknęła się nam i pojechała do Londynu. Nie byłem jej obojętny. Jestem pewien, iż poślubiłaby mnie, gdybym obrał inne zajęcie. Nie chciała jednak gangstera. Miała wrodzony wstręt do wszystkiego, co złe. Dopiero po jej ślubie z Anglikiem udało mi się ustalić miejsce jej pobytu. Napisałem do niej, lecz nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Przyjechałem więc do Anglii. Skoro jednak listy nie odnosiły żadnego skutku, począłem pisać swe zawiadomienia w takich miejscach, gdzie mogła je przeczytać.

Byłem tu już miesiąc. Na farmie, gdzie zamieszkałem, dano mi pokój parterowy. Mogłem więc swobodnie wychodzić i wracać w nocy przez nikogo nie zauważony. Niczego więcej nie pragnąłem, jak tylko odzyskać na powrót Elsie. Czytała moje szyfrowane zawiadomienia, Wiedziałem o tym, gdyż pewnego dnia na jednym z nich napisała odpowiedź.

— Wówczas straciłem panowanie nad sobą i zacząłem jej grozić. Na to posłała mi błagalny list z prośbą, bym niezwłocznie wyjechał. Jeśli bowiem wyniknie jakiś skandal, jeśli coś stanie się mężowi, to ona tego nie przeżyje. Obiecała spotkać się ze mną, o godzinie trzeciej nad ranem, gdy mąż będzie już spał, i porozmawiać, pod warunkiem, że zostawię ją potem w spokoju i odjadę. Rozmowa miała się odbyć przez okno. Przyszła i przyniosła ze sobą pieniądze, by okupić mój wyjazd. Doprowadziła mnie tym do pasji. Chwyciłem ją za rękę i usiłowałem wyciągnąć przez okno. W tej właśnie chwili wpadł jej mąż z rewolwerem w rękę. Elsie osunęła się na podłogę, a my stanęliśmy naprzeciw siebie twarzą w twarz. Miałem przy sobie broń. Podniosłem rewolwer, aby go nastraszyć i odejść w spokoju. On jednak od razu strzelił, lecz chybił. W tej

samej niemal chwili i ja dałem ognia. Cubitt upadł. Uciekłem przez ogród. Oddalając się usłyszałem jeszcze szcęk zamykanego okna. Oto cała prawda, panowie! Szczera prawda co do słowa! Nic więcej nie słyszałem już o tej sprawie, dopóki nie przyjechał chłopiec stajenny z pismem. Ono to zwabiło mnie jak srokę. Przyjechałem tu i wpadłem w wasze ręce.

Podczas gdy Amerykanin snuł swą opowieść, nadjechała karetka. Wewnątrz siedziało dwóch umundurowanych policjantów. Inspektor Martin powstał i dotknął ramienia swego więźnia.

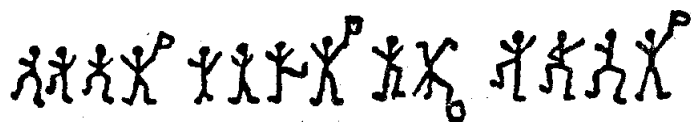
— Czas na nas.

— Czy mogę ją przedtem zobaczyć?

— Nie! Ona leży nieprzytomna. Mr Sherlock Holmes! Jeślibym znowu miał jaki ważny i trudny przypadek, to byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby się tak złożyło, abyśmy mogli pracować razem.

Stojąc przy oknie obserwowałem wraz z Sherlockiem niknący w oddali pojazd. Wreszcie odwróciłem się. Wzrok mój padł na skrawek papieru pozostawiony przez więźnia na stole. Był to list, którym Holmes go zwabił.

— Spróbuj to przeczytać, Watsonie — powiedział z uśmiechem. List nie zawierał ani słowa, jedynie rząd tańczących sylwetek:



Jeśli użyjesz szyfru, który wyjaśniłem — mówił Holmes — to przekonasz się, iż znaczy to po prostu: *Come here at once!* (Przyjdź tu natychmiast!), Byłem przekonany, że nie odmówi on temu zaproszeniu. Przecież w żadnym wypadku nie mógł się zorientować, by mogło pochodzić od kogoś innego niż od lady Hiltonowej. W ten sposób, mój drogi Watsonie, zakończyliśmy sprawę, a szyfr tańczących sylwetek chociaż raz posłużył do osiągnięcia dobrego celu, mimo że zazwyczaj był zwiastunem nieszczęścia. Zdaje mi się, iż spełniłem obietnicę dostarczenia czegoś naprawdę niezwykłego do twoich notatek. O godzinie 15.40 odchodzi pociąg do Londynu. Mam nadzieję, iż na obiad wrócimy na Baker Street.

A teraz kilka słów na zakończenie. Amerykanina Abe Slaneya skazano na śmierć podczas zimowej sesji sądowej w Norwich. Karę zamieniono jednak na więzienie ze względu na okoliczności łagodzące i na fakt, że Hilton Cubitt strzelił pierwszy.

Mrs. Hiltonowa Cubitt wróciła do zdrowia. Wciąż jednak pozostaje wdową. Całe swe życie poświęca opiece nad ubogimi i zarządzaniu majątkiem męża.

ZNIKNIĘCIE MŁODEGO LORDA

PRZEL. JERZY REGAWSKI I WITOLD ENGEL;
THE ADVENTURE OF THE PRIORY SCHOOL

Nasze małe mieszkanie przy Baker Street bywało widownią wielu dramatycznych wizyt. Ale chyba najbardziej niespodziewane i wstrząsające były odwiedziny utytułowanego naukowca, doktora filozofii, Mr Thoreneyerofta Huxtable'a. Jego przyście poprzedził o kilka sekund bilet wizytowy, który zdawał się być za mały, by unieść ciężar tylu tytułów naukowych, a następnie wkroczył on sam tak wielki, tak okazały i tak godny, iż zdawał się być wprost wcieleniem pewności siebie i solidności; Skoro jednak tylko zamknął za sobą drzwi, zatoczył się w kierunku stołu, potem potknął się i runął jak długi bez przytomności na skórę niedźwiedzią rozciągniętą na ziemi przed kominkiem.

Zdumieni zerwaliśmy się gwałtownie z miejsc i kilka sekund patrzyliśmy nań w zupełnym milczeniu. Ten wielki wrak ludzki świadczył o niespodziewanej a morderczej burzy, szalejącej z dala od nas na wielkim oceanie życia. Zaraz też Holmes pospieszył z poduszką, by ułożyć mu ją pod głowę. Następnie wlał mu do ust nieco wódki. Błądą i obwisłą twarz nieznajomego pokrywały zmarszczki trosk. Pod zamkniętymi oczami malowały się sine worki zwiotczalej skóry. Rozchylone usta, jakby pod wpływem bólu, opuszczały się kącikami ku dołowi, zaś okrągły podbródek przyprószony był drobnym zarostem. Na kołnierzyku i koszuli widoczne były ślady brudu, pozostałości po długiej podróży. Na kształtnej głowie jeżyły się zwichrzone włosy. Leżącego przed nami człowieka widocznie musiał spotkać dotkliwy cios.

— Co mu się stało, Watsonie? — spytał Holmes.

— Zupełne wyczerpanie organizmu. Może tylko wskutek głodu i zmęczenia... — odpowiedziałem, badając słabiutki puls. Tędy sączył się nikły strumyczek życia.

— O! Bilet z Mackleton w północnej Anglii do Londynu i z powrotem — rzekł Holmes. Wyciągnął go nieznajomemu z kieszonki od zegarka. — Ale przecież nie ma jeszcze dwunastej godziny. Widocznie wyjechał wczesnym rankiem.

Wreszcie pomarszczone powieki zadrżały i rozchyliły się. Spojrzały na nas oczy szare, jakby bezmyślne i nic nie widzące. Po chwili gość nasz z wielkim trudem podniósł się z twarzą purpurową ze wstydu.

— Proszę mi wybaczyć zasłabnięcie, Mr Holmes! To z przepracowania. Jeśli byłby pan tak uprzejmy poczęstować mnie szklanką mleka z sucharkiem, to niewątpliwie bardzo by mnie to wzmocniło. Przyszedłem do pana osobiście, Mr Holmes, by mieć pewność, iż pojedzie pan wraz ze mną. Telegram mógłby bowiem nie przekonać pana dostatecznie, jak niesłychanie pilna jest ta sprawa. A tego się właśnie obawiałem.

— Czy wrócił pan już zupełnie do sił?

— Czuję się całkiem dobrze. Nie pojmuję, jak mogłem tak zasłabnąć. Mr Holmes, czy nie zechciałby pan pojechać ze mną następnym pociągiem do Mackleton? Bardzo mi na tym zależy.

Mój przyjaciel potrząsnął odmownie głową.

— Mój kolega, dr Watson może panu powiedzieć, jak bardzo jesteśmy obecnie zajęci. Zatrzymuje mnie w mieście sprawą „Ferrers Documents”. Ponadto rozpoczyna się proces w związku z zabójstwem Abergavenny. Tylko bardzo poważne względy byłyby w stanie skłonić mnie w obecnej chwili do opuszczenia Londynu.

— Ważne! — zawołał nasz gość, wyrzucając ręce w górę. — Czy nic pan nie słyszał o porwaniu jedyne go syna księcia na Holdernessie?

— Co?! Syna ministra w ostatnim gabinecie rządowym?

— Tak! Staraliśmy się, by wiadomość ta nie dostała się do gazet. Mimo to jednak we wczorajszym wieczornym wydaniu „The Globe” ukazała się wzmianka na ten temat. Myślałem, iż doszło to do pańskiej wiadomości.

Holmes wyciągnął długą, szczupłą dłoń po tom *Encyklopedii współczesnych* oznaczony literą „H”.

— *Holderness, szósty książę, K.G., P.C...* Ojej, połowa alfabetu! *Baronett Beverley, pan na Carston...* Mój drogi, ależ to cała litania tytułów! *Od 1900 r. namiestnik Hallamshire. Ożeniony w 1888 r. z Edytą, córką Sir Charlesa Appledore’a. Spadkobierca i jedynak, Lord Saltire. Właściciel około 250 000 akrów ziemi. Kopalnie w Lancashire i Walii. Adres: Carlton House Terrace. Holderness Hall, Hallamshire; Carston Castle, Bangor w Walii. Od 1872 t. Lord Admiralicji. Pierwszy sekretarz stanu od...* Tak! Tak! To bez wątpienia jeden z najznacniejszych poddanych korony.

— Najznacniejszy i prawdopodobnie najbogatszy. Zdaję sobie sprawę, Mr Holmes, iż mając wysokie aspiracje zawodowe gotów pan jest pracować ideowo dla samej sprawy. O jednym jednak mogę pana zapewnić, Mr Holmes. Jego Wysokość, jak mnie poinformował, wręczy czek na pięć tysięcy funtów szterlingów temu, kto wskaże miejsce pobytu jego syna. Dalszy tysiąc funtów przypadnie temu, kto poda nazwisko człowieka lub ludzi, którzy porwali syna księcia.

— Istotnie książęce warunki! — powiedział Holmes. — Powinniśmy więc chyba, Watsonie, towarzyszyć doktorowi Huxtable’owi w drodze powrotnej do północnej Anglii. Teraz jednak, doktorze. Huxtable, proszę coś zjeść i wypić mleko. Jednocześnie zaś niech pan będzie uprzejmy wszystko nam opowiedzieć, kiedy i jak się to stało oraz co wspólnego z tą sprawą ma dr Thorneycroft Huxtable z Priory School w pobliżu Mackleton. Dziwi mnie też, dlaczego przybywa pan żądać moich skromnych usług dopiero w trzy dni po wypadku? Stan bowiem pańskiego zarostu wskazuje datę.

Gość nasz spożył mleko z sucharkami. Po chwili oczy jego odzyskały normalny blask, a policzki rumieńce, gdy z wielkim ożywieniem i bardzo przejrzyście począł wyjaśniać sytuację.

— Muszę panów poinformować, dżentelmeni, iż Priory to szkoła przygotowawcza. Jestem jej założycielem i kierownikiem. Być może, komentarze Huxtable’a do dzieł Horacego przypomną panom moje nazwisko. Priory uznać należy niewątpliwie za najlepszą i najbardziej ekskluzywną szkołę przygotowawczą w całej Anglii. Lord Leverstocke, pan na Blackwater, Sir Cathcart Soames i inni powierzyli mi swych synów. Ale dopiero trzy tygodnie temu doznałem uczucia, iż szkoła moja osiąga szczyt powodzenia. Stało się to wtedy, gdy książę Holderness przysłał swego sekretarza, Mr Jamesa Wildera z zawiadomieniem, że młody, dziesięcioletni lord Saltire, jedynak i dziedzic, zostanie oddany pod moją opiekę. Okazało się to niestety wstępem do największej tragedii mojego życia. Wówczas jednak nie miałem jeszcze o tym najmniejszego pojęcia.

Chłopiec przyjechał pierwszego maja, czyli na początku okresu letniego. Ach! Cóż to za czarujące dziecko. Zaaklimatyzował się bardzo szybko. Muszę panom coś jeszcze wyznać. Nie popełnię chyba niedyskrecji. Zresztą zatajenie czegoś w takiej sytuacji byłoby niedorzecznością. Otóż młody lord nie był w domu zbyt szczęśliwy. Było bowiem publiczną tajemnicą, iż pożycie, małżeńskie księcia nie należało do harmonijnych. Cała sprawa zakończyła się separacją za, obopólną zgodą, a księżna udała się do swej rezydencji w południowej Francji. Wyjazd nastąpił na krótko przed tym wypadkiem. Wiadomo też, iż dziecko było silnie związane uczuciowo z matką. Gdy więc opuściła Holderness Hall, chłopiec nie mógł wprost znaleźć sobie miejsca i włóczył się bez celu. Dlatego też książę zdecydował się oddać go do mojego zakładu. Już po dwu

tygodniach chłopiec czuł się jak u siebie w domu, był zupełnie szczęśliwy. Można to było zauważyć przy każdej okazji.

Ostatni raz widziano go wieczorem trzynastego maja, to znaczy w ostatni poniedziałek. Jego pokój mieścił się na drugim piętrze. Przechodziło się doń przez drugi większy pokój, w którym spało dwóch uczniów. Chłopcy ci jednak twierdzą, iż niczego nie widzieli, ani nie słyszeli. Z całą pewnością więc młody Saltire nie przeszedł tędy. Natomiast okno w jego pokoju było otwarte, zaś cała ściana dokoła pokryta jest bardzo gęstym bluszczem. Co prawda żadnych śladów stóp na ziemi pod oknem nie mogliśmy znaleźć, jednak z całą pewnością jest to jedyne możliwe wyjście.

Nieobecność młodego lorda odkryto we wtorek o godzinie siódmej rano. Łóżko wskazywało na to, iż spał w nim, a dopiero przed samym odejściem ubrał się całkowicie w czarną kurtkę *eton* i ciemnoszare spodnie. Nie stwierdzono żadnych śladów, aby ktoś wchodził do pokoju. Z całą pewnością nie słyszano również ani krzyków, ani odgłosów szamotaniny, które musiałyby być zauważone przez Canatera, starszego chłopca, który śpi w przylegającym pokoju i odznacza się bardzo lekkim snem.

Skoro tylko odkryto zniknięcie lorda Saltire'a, natychmiast zarządziłem zbiórkę wszystkich wychowanków zakładu oraz nauczycieli i służby. I co się wówczas okazało?! Uciekł nie tylko sam lord Saltire. Zniknął również Heidegger, nauczyciel języka niemieckiego. Pokój jego mieści się na drugim piętrze w końcu budynku. Wszystko świadczy więc za tym, iż uciekł w ten sam sposób, co młody lord. Również i jego łóżko tak wyglądało, jakby w nim spał. Wyszedł jednak chyba niekompletnie ubrany, gdyż na ziemi leżała koszula i skarpetki. Heidegger na pewno spuścił się na dół po gałęziach bluszczu. Zauważyliśmy bowiem ślady stóp na trawniku pod oknem. W niewielkiej szopie obok trawnika znajdował się jego rower, który również zniknął.

Nauczyciel niemieckiego był u mnie od dwu lat i posiadał znakomite świadectwa. Tak jednak nauczyciele, jak i chłopcy niezbyt lubili tego milczącego i ponurego człowieka.

Uciekinierzy zniknęli bez śladu i dziś we czwartek, tak samo nic o nich nie wiemy jak we wtorek. Naturalnie natychmiast porozumieliśmy się z Holdernesie Hall, które znajduje się zaledwie o kilka mil drogi od szkoły. Ostatecznie chłopiec mógł w jakimś nagłym porywie tęsknoty za domem rodzinnym udać się do ojca. To byłoby zupełnie prawdopodobne. Tymczasem tam nic o nim nie słyszano, książę zaś zmartwił się ogromnie. Jeśli o mnie chodzi, to sami panowie widzą, co się ze mną działo. Poczucie odpowiedzialności i okropna niepewność doprowadziły mnie do stanu kompletnego wyczerpania nerwowego. Mr Holmes, błagam pana! Jeśli kiedykolwiek ma pan dokonać jakiegoś ogromnego wysiłku, wymagającego zmobilizowania wszystkich swych sił, to niech pan uczyni to właśnie teraz. W całym życiu na pewno nie trafi się już panu sprawa, która byłaby bardziej tego warta.

Sherlock Holmes w napięciu słuchał relacji nieszczęśliwego nauczyciela. Nie potrzebował żadnej zachęty, ściągnięte brwi, przecięte głęboką zmarszczką, dobitnie świadczyły o tym, iż skupiał on całą uwagę na problemie, który niezależnie od ogromnych korzyści niezmiernie go zainteresował. Holmes bowiem odznaczał się wielkim zamiłowaniem do skomplikowanych i niezwykłych zagadek, Teraz wyciągnął notes i zapisał w nim jedną czy dwie informacje.

— Dopuścił się pan wielkiego niedbalstwa, nie przychodząc do mnie wcześniej! — rzekł surowo. — Dlatego też postawił mnie pan Wobec bardzo poważnych trudności na samym początku dochodzenia. Na przykład jest wprost nie do pomyślenia, aby doświadczony obserwator nie dowiedział się, czegoś po dokładnych oględzinach tego bluszczu i trawnika.

— Ta nie moja wina, Mr Holmes. Jego Wysokość za wszelką cenę pragnął uniknąć skandalu. Nie chciał wywlekać przed światem tragedii rodzinnej i ogromnie obawiał się czegokolwiek w tym rodzaju.

— Czy wszczęto jakieś dochodzenia urzędowe?

— Tak, sir! Ale nie dały one rezultatów. Początkowo uzyskano wyraźny ślad. Tak się przynajmniej zdawało. Otrzymano bowiem meldunek, iż na pobliskiej stacji widziano chłopca i młodego mężczyznę, odjeżdżających rannym pociągiem. Wczoraj wieczorem nadeszła jednak inna wiadomość. Mianowicie wyśledzono wspomnianą parę w Liverpoolu, ale okazało się, iż nie ma ona nic wspólnego sprawą. Wówczas to zrozpaczony i rozczarowany spędziłem noc bezsennie, a rannym pociągiem udałem się prosto do pana.

— Prawdopodobnie, gdy się okazało, iż trop był fałszywy, zwolniło się tempo poszukiwań prowadzonych przez miejscową policję?

— Zupełnie ich poniechano.

— Czyli stracono trzy dni. W ogóle pokierowano sprawą w sposób godny pożałowania.

— Tak! Teraz w pełni zdaję sobie z tego sprawę.

— A jednak problem ten chyba będzie można rozwiązać. Zajmę się nim z wielką przyjemnością. Czy nie zauważył pan, aby chłopca łączyło coś z nauczycielem niemieckiego?

— Nie.

— Czy należał on do klasy tego nauczyciela?

— Nie! O ile wiem, to nigdy nie zamienił z nim słowa,

— To niewątpliwie bardzo dziwne! Czy chłopiec miał rower?

— Nie.

— Czy brakowało jakiegoś innego roweru?

— Nie.

— Na pewno?

— Z całą pewnością.

— No dobrze! Nie przypuszcza pan chyba poważnie, iż ten Niemiec odjechał na rowerze w głuchą noc, unosząc chłopca na rękach!?

— Na pewno nie.

— W takim razie, jak pan to sobie wyobraża?

— Rower mógł służyć tylko do zmylenia śladu. Prawdopodobnie ukryto go, a oni obaj poszli piechotą.

— Być może. Czy jednak tego rodzaju mylenie śladów nie wydaje się pozbawiane sensu? Czy w szopie znajdują się jeszcze inne rowery?

— Kilka.

— Czy więc nie ukryliby raczej dwu rowerów, jeśli by chcieli wywołać wrażenie, iż uciekli na nich?

— Przypuszczalnie tak!

— Naturalnie, tak właśnie zrobiliby. A więc teoria mylenia śladów odpada. Niemniej sam fakt stanowi godny uwagi punkt wyjściowy dla dochodzenia. Rower to nie szpilka. Niełatwo go ukryć lub zniszczyć, aby śladu po nim nie zostało. A teraz inne pytanie. Czy w przeddzień zniknięcia chłopca chciał się ktoś z nim widzieć?

— Nie.

— Czy otrzymał jakiś list?

— Tak! Jeden.

— Od kogo?

— Od ojca.

— Czy otwiera pan listy wychowanków?

— Nie.

— Skąd więc pan wie, iż to był list od ojca?

— Kopertę ozdobił herb. Ponadto zaadresowana była charakterystycznym, ostrym pismem księcia. Zresztą książę przypomniał sobie o liście.

— Kiedy chłopiec otrzymał poprzedni list?

— Kilka dni wcześniej! Nie dłużej.

— Czy nie nadszedł do niego kiedyś list z Francji?

— Nie! Nigdy.

— Pan oczywiście orientuje się, jaki jest cel moich pytań. Chłopiec albo został porwany siłą, albo uciekł z własnej woli. W tym ostatnim wypadku prawdopodobnie potrzebna była zachęta z zewnątrz, aby nakłonić tak młodego chłopca do tego rodzaju przedsięwzięcia. Skoro nikt go nie odwiedzał, to zachęta musiała nadejść w listach. Dlatego też staram się dokładnie ustalić, kto do niego pisywał.

— Obawiam się, iż niewiele będę mógł panu pomóc. O ile wiem, otrzymywał listy tylko od ojca.

— ... który napisał do syna w przeddzień zniknięcia. Czy między ojcem a synem panowały serdeczne stosunki?

— Jego Wysokość nikomu nie okazywał serca. W pełni pochłaniają go ważne sprawy państwowe, toteż zwykłym uczuciom ludzkim raczej nie poddaje się. Na swój jednak sposób był dobry dla syna.

— Jednakże chłopiec stał po stronie matki? Co?

— Tak.

— Mówił o tym?

— Nie.

— A więc książę wspominał?

— Wielkie nieba! Nie!

— Jak więc pan się o tym dowiedział?

— Miałem poufną rozmowę z Mr Jamesem Wilderem, sekretarzem Jego Wysokości. Od niego właśnie pochodzą informacje na temat uczuć lorda Saltire'a.

— Rozumiem. A czy po ucieczce chłopca znaleziono w jego pokoju list księcia?

— Nie! Zabrał go ze sobą. Ale już chyba czas udać się do Euston, Mr Holmes.

— Zamówię powóz. W ciągu kwadransa będziemy gotowi. Gdyby pan jednak depešował do domu, Mr Huxtable, to warto by w ten sposób sformułować telegram, aby pańscy sąsiedzi nabrali przekonania, iż śledztwo nadal toczy się w Liverpoolu lub gdziekolwiek indziej i że poszło fałszywym tropem. Tymczasem ja spokojnie zbadam U pana wszystko na miejscu. Zobaczymy. Może trop nie będzie jeszcze na tyle zatarty, aby dwa tak doświadczony ogary, jak Watson i ja, nie zwietrzyły go.

Jeszcze, tego wieczoru odetchnęliśmy chłodnym, rześkim powietrzem wiejskim okolicy Peak, gdzie znajdowała się szkoła doktora Huxtable'a. Gdy do niej dotarliśmy, wokół panowały już ciemności. Na stoliku w hallu leżał bilet. Starszy lokaj szepnął coś na ucho swemu panu. Smutne oblicze doktora ożywiło się. Zwrócił się do nas wyraźnie podekscytowany.

— Książę przyjechał — powiedział. — Książę i Mr Wilder są w gabinecie. Chodźcie, panowie, przedstawię was.

Nieraz oczywiście widywałem podobizny słynnego męża stanu, jednak w rzeczywistości wyglądał on nieco inaczej. Postać jego była wysoka i wyniosła. Ubierał się bardzo elegancko. Pociągłą, szczupłą twarz przecinał długi, groteskowo skrzywiony nos, zaś trupio blada cera tworzyła dziwny kontrast z długą, rzadką, płomiennie rudą brodą, spływającą aż na białą kamizelkę, ozdobioną lśniącym łańcuszkiem od zegarka. Stał na dywaniku rozciągniętym przed

kominkiem i spoglądał na nas kamiennym wzrokiem. Z całej postaci biła duma i poczucie godności.

Obok niego stał młody człowiek, w którym domyśliłem się Wildera, prywatnego sekretarza. Był on niewysoki, nerwowy, o szybkich ruchach. Oczy miał inteligentne, bładoniebieskie i ruchliwe rysy twarzy. Od razu wszczął żywą, napastliwą, rozmowę.

— Dziś rano zadzwoniłem zbyt późno, doktorze Huxtable, by zapobiec pańskiemu wyjazdowi do Londynu. Dowiedziałem się też o pańskim zamiarze zaproszenia Mr Sherlocka Holmesa celem prowadzenia sprawy. Jego Wysokość wyraził zdziwienie, doktorze Huxtable, iż przedsięwziął pan tego rodzaju krok bez porozumienia się z nim.

— Kiedy jednak dowiedziałem się, że policja zawiodła...

— Policja zawiodła? Jego Wysokość wcale nie jest o tym przekonany.

— Ależ z całą pewnością, Mr Wilder...

— Doktorze Huxtable! Jego Wysokości szczególnie zależy na uniknięciu publicznego skandalu. Pan dobrze o tym wie. Książę życzy sobie, aby jak najmniej osób wiedziało o tej sprawie.

— Wszystko da się z łatwością naprawić! — odrzekł doktor, wyraźnie zastraszony. — Przecież Mr Sherlock Holmes może wrócić do Londynu porannym pociągiem.

— Byłoby to bardzo trudne, doktorze — powiedział Holmes łagodnym, spokojnym głosem. — Orzeźwiający powiew tych pięknych okolic północy doskonale wpływa na moje samopoczucie. Powziąłem więc zamiar spędzenia kilku dni wśród waszych pięknych wrzosowisk. To znakomite miejsce do rozmyślań... I tak też uczynię. Czy znajdę gościnę pod pańskim dachem, czy w wiejskiej gospodzie, to już oczywiście zależy od pańskiej decyzji.

Doktor znajdował się w najwyższej rozterce. Widziałem to doskonale. Wyratował go z niej dopiero głęboki, dźwięczny głos rudobrodego księcia, huczący niczym dzwon.

— Zgadzam się z Mr Wilderem, doktorze Huxtable! Postąpiłby pan znacznie rozsądniej radząc się mnie. Skoro jednak zaufał pan Mr Sherlockowi Holmesowi, byłoby oczywistym absurdem nie skorzystać z jego usług. Nie ma mowy o żadnej gospodzie, Mr Holmes! Będzie mi bardzo miło, jeśli zechce pan zatrzymać się u mnie w Holderness Hall.

— Dziękuję Waszej Wysokości. Z uwagi jednak na prowadzone przeze mnie dochodzenie lepiej będzie pozostać na miejscu tajemniczego wypadku.

. — Jak pan woli, Mr Holmes. My natomiast z Mr Wilderem chętnie udzielimy panu wszelkich potrzebnych informacji.

— Najprawdopodobniej będę się musiał jeszcze z panem zobaczyć w Hall — powiedział Holmes. — Teraz mam tylko takie pytanie. Czy znalazł pan jakieś wyjaśnienie tajemniczego zniknięcia pańskiego syna?

— Nie, sir! Nie!

— Proszę mi wybaczyć, jeśli dotknę jakich bolesnych dla pana spraw. Niestety, nie mam innego wyjścia. Czy przypuszcza pan, iż księżna ma coś wspólnego z tą historią?

Potężny minister wyraźnie się zawahał.

— Nie podejrzewam tego — odrzekł wreszcie.

— Istnieje inne, bardzo proste wyjaśnienie. Dziecko mogło zostać porwane dla uzyskania okupu. Czy nikt nie zgłaszał się do pana z tego rodzaju żądaniem?

— Nie, sir?

— Jeszcze jedno pytanie, Wasza Wysokość. O ile dobrze zrozumiałem, napisał pan do syna list w dniu, w którym nastąpił wypadek?

— Nie! Pisałem dzień przedtem.

— Tak jest! Ale chłopiec otrzymał go w tym właśnie dniu.

— Tak.

— Czy w pańskim liście znajdowało się coś, co mogłoby wytrącić go z równowagi lub skłonić do takiego kroku?

— Nie, sir! Z pewnością nie.

— Czy list wysłał pan osobiście?

Do rozmowy wtrącił się sekretarz, uprzedzając odpowiedź księcia. W głosie jego brzmiała nuta irytacji.

— Jego Wysokość nie ma zwyczaju nadawania listów osobiście. List ten leżał z innymi na stole w gabinecie. Ja sam włożyłem je do worka pocztowego.

— Czy pan jest pewny, iż znajdował się on między innymi listami?

— Tak! Widziałem go.

— Ile listów napisał Wasza Wysokość tego dnia?

— 20 lub 30. Prowadzę rozległą korespondencję. Ale chyba nie ma to związku ze sprawą.

— Niezupełnie — odparł Holmes.

— Ze swej strony — ciągnął dalej książę — poleciłem policji, by zwróciła uwagę na południową Francję. Jak już panu wspominałem, nie wierzę, by księżna odważyła się na tak zuchwały czyn. Chłopiec miał wyrobiony jednak na wiele spraw niewłaściwy pogląd. Nie jest więc wykluczone, iż uciekł do niej z pomocą tego Niemca. A teraz, doktorze Huxtable, odjedziemy, już chyba z powrotem do Hall.

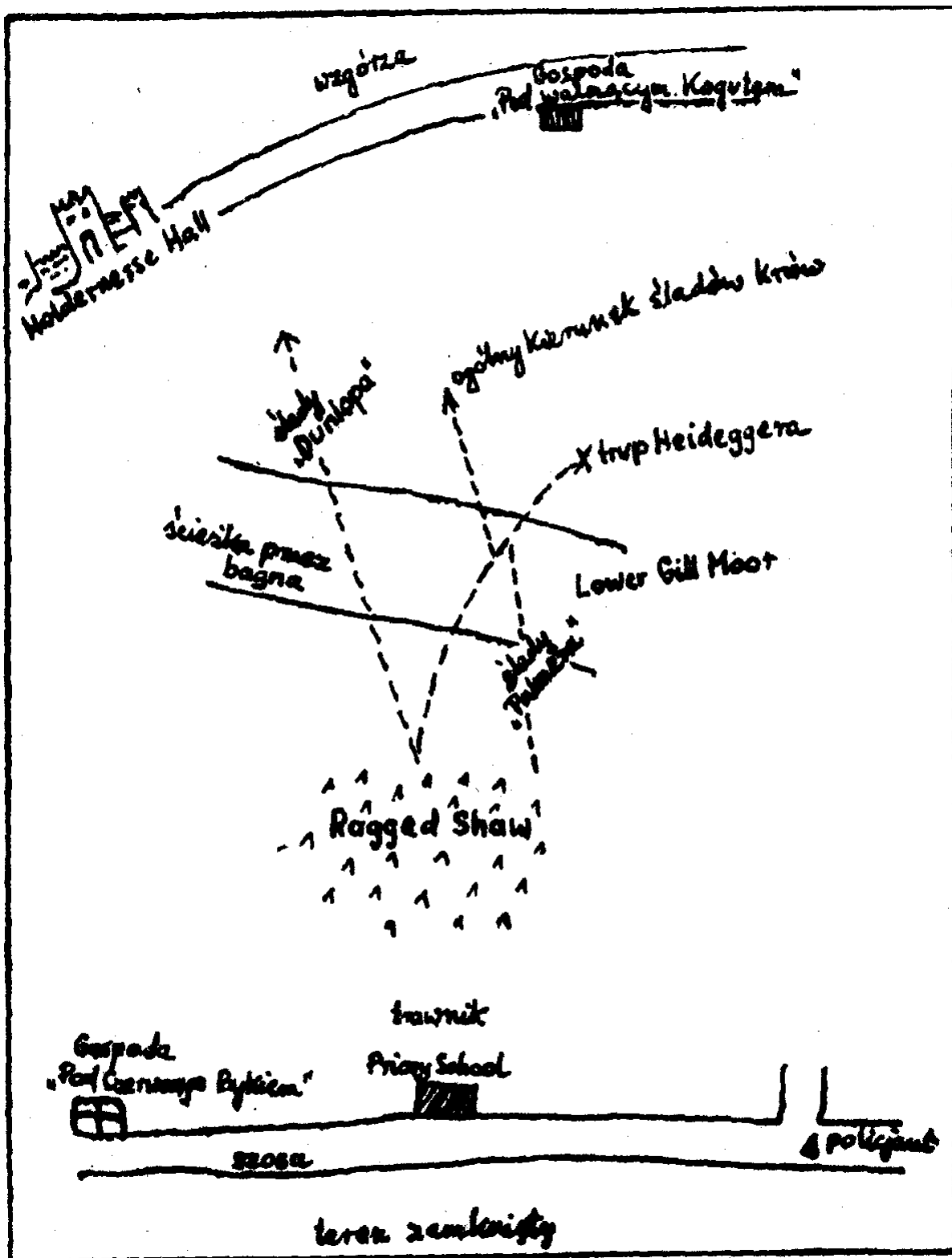
Holmes, jak zauważyłem, miał jeszcze chęć na dalsze pytania. Jednak sposób zachowania się arystokraty zapowiadał koniec wywiadu. Książę wyraźnie starał się uciąć dalszą dyskusję. Było widoczne, iż jego arystokratycznej naturze jakakolwiek rozmowa z obcym na temat intymnych spraw rodzinnych sprawiała nieprzewyciężoną wprost przykrość. Obawiał się jeszcze czego innego. Każde nowe pytanie mogło rzucić snop światła na niektóre tajniki książęcego życia, dyskretnie pozostające w cieniu.

Skoro tylko dygnitarz wraz ze swym sekretarzem odjechali, mój przyjaciel z właściwą mu energią rozpoczął dochodzenie.

Pokój chłopca poddany został nadzwyczaj dokładnym oględzinom. Bez rezultatu. Jedno wszakże nie budziło wątpliwości — chłopiec mógł uciec jedynie przez okno. Również w pokoju i wśród rzeczy osobistych nauczyciela niemieckiego nie znaleziono żadnych śladów. Dopiero po wychyleniu się przez okno ujrzeliśmy w świetle latarni głębokie odciski stóp na trawniku pod nami. Te zagłębienia w krótko przyszyżonej zielonej trawie stanowiły jedyne rzeczowe dowody niezrozumiałej i tajemniczej nocnej ucieczki.

Sherlock Holmes wyszedł na samotny spacer, z którego wrócił po godzinie jedenastej. Wytrzasnął skądś wielką mapę wojskową całej okolicy i przyniósł do mego pokoju. Potem rozłożył ją na łóżku, ostrożnie ustawił na niej lampę i pilnie począł studiować. Zapalił fajkę i od czasu do czasu wskazywał jej dymiącym ustnikiem interesujące go obiekty.

— Tak, Watsonie! To jest godna mnie sprawa! — powiedział. — Posiada ona kilka rzeczywiście ciekawych punktów. Dobrze będzie, jeśli na wstępie dochodzenia zapoznasz się z topografią okolicy. Może się to nam bardzo przydać.



Szkic sytuacyjny okolic Showing

Spójrz na mapę. Ten ciemny prostokąt — to szkoła. Wbij w to miejsce szpilkę. Widzisz linię przechodzącą obok? To szosa. Biegnie ze wschodu na zachód koło szkoły. Ani w jednym, ani w

drugim kierunku nie ma żadnej bocznej drogi. Jeśli więc dwaj uciekinierzy poszli drogą, to tylko szosą.

— Tak jest.

— Dzięki wyjątkowo szczęśliwemu zbiegowi okoliczności możemy w pewnym stopniu skontrolować, kto przechodził tą drogą w ciągu krytycznej nocy. O, właśnie w tym punkcie, gdzie leży teraz na mapie moja fajka, pełnił służbę od godziny dwudziestej czwartej do szóstej wiejski policjant.

Jak się orientujesz, jest to pierwsze po wschodniej stronie skrzyżowanie dróg. Otóż człowiek ten oświadczył, iż ani na chwilę nie opuszczał swego posterunku, a więc żaden chłopiec ani mężczyzna nie mógł przejść tamtędy nie zauważony. Tego jest zupełnie pewny! Dziś wieczorem rozmawiałem z tym policjantem. Wygląda on na osobę w pełni godną zaufania. To wyczerpywałoby pierwszą ewentualność. A teraz przejdźmy do następnej. Po drugiej stronie (zachodniej) stoi gospoda „Pod Czerwonym Bykiem”. Jej właścicielka zachorowała owego dnia i posłała po doktora do Mackleton. Nie mógł on jednak przyjść wcześniej jak dopiero rano, gdyż był u jakiegoś chorego. W gospodzie czuwano jednak całą noc, oczekując jego przybycia. Najprawdopodobniej co chwilą ktoś wyglądał na szosę. Ich zdaniem nikt nie przechodził drogą. Jeśli mówią prawdę, to zupełnie śmiało możemy wykluczyć zachód. W rezultacie wynikałoby, iż uciekinierzy w ogóle nie korzystali z szosy.

— A rower? — spytałem.

— Tak jest. Zaraz dojdziemy do roweru. A oto dalszy ciąg rozumowania. Skoro nie poszli oni szosą, to musieli iść na przełaj w kierunku północnym lub południowym od domu. To jasne! Spróbujemy teraz porównać obie możliwości. Na południe od domu leży, jak widzisz, wielki obszar uprawnej ziemi, podzielony kamiennymi wałami na mniejsze pola. Zakładam, iż tędy nie sposób jechać na rowerze. To możemy śmiało wykluczyć. Spojrzymy teraz na północ. Znajduje się tu niewielki lasek zwany „Ragged Shaw”, a jeszcze dalej ku północy rozpościera się wielkie powichrowane wrzosowisko „Lower Gill Moor”. Ciągnie się ono na przestrzeni dziesięciu mil, wznosząc się stopniowo ku górze. Po jednej stronie tego pustkowia leży Holderness Hall. To jest 10 mil drogi stąd, ale na przełaj przez wrzosowisko tylko sześć. Zupełne odludzie! Zaledwie kilku farmerów gospodarujących na wrzosowisku ma tu małe zagrody, w których hodują owce i bydło. Oto jedyni mieszkańcy. Oprócz nich aż do samej szosy chesterfieldzkiej napotkać możesz tylko siewki kuliki. Dalej widać kościół, kilka domków i gospodę oraz wzgórze, które stają się coraz bardziej, urwiste. Poszukiwania musimy zatem skierować w kierunku północnym. To nie ulega żadnej wątpliwości.

— Ale rower?! — nalegałem.

— Dobrze, dobrze! — niecierpliwie odpowiedział Holmes. — Dobry rowerzysta nie potrzebuje szosy. Przecież wrzosowisko przecinają ścieżki. A owej nocy księżyc znajdował się właśnie w pełni. Halo! Cóż to znowu?

Bozległo się energiczne pukanie do drzwi i niemal równocześnie znalazł się w pokoju dr Huxtable. W rękę trzymał niebieską czapkę z białym szewronem na czubku, jakich używa się przy grze w krokiet, — Wreszcie mamy ślad! — krzyczał. — Dzięki Bogu!

Wpadliśmy na trop naszego drogiego chłopca! To jego czapka.

— Gdzie ją znalezione?

— W wozie wędrownych Cyganów, którzy rozbili obóz na wrzosowisku. Odjechali we wtorek. Dziś policja ich wysłędziła i przeprowadziła rewizję wozu. I oto co znalezione.

— Jak oni się tłumaczyli?

— Kłamią i kręcą. Mówią, że czapkę znaleźli na wrzosowisku we wtorek rano. Ach, łajdaki! Dobrze wiedzą, gdzie on jest. Na szczęście jednak wszyscy znaleźli się pod kluczem. Strach przed karą lub sakiewka księcia rozwiąże im języki. Wszystko wyśpiewają, co wiedzą.

— Dobrze i to — powiedział Holmes, gdy doktor opuścił wreszcie pokój. — To w każdym razie podtrzymuje teorię, iż właśnie w okolicy „Lower Gill Moor” powinniśmy spodziewać się jakichś wyników. Policja tu na miejscu niczego właściwie nie dokonała z wyjątkiem aresztowania Cyganów. Spójrz, Watsonie! Tędy przepływa przez wrzosowisko strumyk. Widzisz go na mapie. Miejscami rozszerza się, tworząc bagno. Obserwować to można zwłaszcza w okolicy Holderness Hall i szkoły. Przy takiej suszy nie ma sensu szukać śladów gdzie indziej, jak tylko w tym miejscu. Istnieje bowiem poważna szansa, iż właśnie tu pozostawiono jakieś odciski stóp. Obudzę cię jutro wczesnym rankiem i obaj spróbujemy, czy uda nam się uchylić rąbka tajemnicy.

Było już prawie widno, gdy się obudziłem. Przy łóżku ujrzałem wysoką, szczupłą postać Holmesa. Był zupełnie ubrany. Zorientowałem się, iż wychodził już na dwór.

— Obejrzałem trawnik i szopę z rowerami — powiedział. — Odbyłem też spacer do lasu „Ragged Shaw”. A teraz, Watsonie, w sąsiednim pokoju czeka na ciebie kakao. Proszę cię bardzo, pospiesz się! Mamy bowiem wiele pracy przed sobą.

Oczy mu błyszczały, a na policzki wystąpiły wypieki. Był niezwykle podniecony niczym mistrz niecierpliwie spieszący do pracy nad swym umiłowanym dziełem. Ten energiczny i pełen wigoru człowiek to zupełnie inny Holmes niż ten blady, pogrążony w myślach marzyciel z Baker Street. Patrząc na jego sprężystą postać, czułem, że sam poczynam nabierać energii. Bo rzeczywiście dzień, który stał przed nami, zapowiadał się dla nas bardzo pracowicie.

Już na wstępie jednak miało nas spotkać gorzkie rozczarowanie. Pełni nadziei ruszyliśmy przez torfiaste, liliowordzawe wrzosowisko poprzecinane tysiącem ścieżek owczych. Wreszcie dotarliśmy do szerokiego, jasnozielonego pasa ziemi. Było to bagno ciągnące się aż do Holderness. O ile chłopiec kierował się ku domowi, to na pewno musiał tędy przechodzić, nie mógł zaś przejść, nie zostawiając śladów. Lecz nie można było znaleźć żadnego znaku ani po nim, ani po Niemcu. Sherlock Holmes zły i chmurny sunął wzdłuż brzegu bagniska, pilnie oglądając porośłą mchem powierzchnię niemal każdego sterczącego z błota kamienia. Widać tu było liczne ślady owiec. W jednym zaś miejscu, o kilka mil w dół, napotkaliśmy odciski racic krów. Nic więcej!

— Przeszkoda numer jeden! — powiedział Holmes, patrząc posepnie na pofałdowany obszar wrzosowiska. — Tam dalej, poniżej, znajduje się również drugie trzęsawisko, a między nimi wąskie przejście. Lecz cóż to jest?

Doszliśmy do wąskiej, czarnej, wijącej się drożyny. Na jej środku wyraźnie odcisnięte były w mokrej ziemi ślady roweru.

— Hurra! — krzyknąłem. — Mamy go!

Ale Holmes potrząsnął przecząco głową. Z jego twarzy wyczytać można było raczej zakłopotanie i oczekiwanie, niż radość.

— Rower na pewno, ale nie ten rower — , powiedział. — Znam 42 różne rodzaje odcisków pozostawionych przez opony. Te, jak widzisz, to „Dunlopy” o poprzecznych prążkach. Jedna z nich posiada na zewnętrznej stronie płaszcza łątkę. Heidegger miał natomiast opony „Palmera”, zostawiające ślad o długich pręgach. Nauczyciel matematyki, Mr Aveling, jest tego zupełnie pewien. Dlatego nie może to być ślad Heideggera.

— A więc chłopca?

— Możliwe, jeśli bylibyśmy w stanie udowodnić, iż miał rower. Ale to ostatecznie upadło. Ten ślad, jak sam widzisz, zostawił po sobie rowerzysta, jadący od strony szkoły. — Lub w jej kierunku?

— Nie, nie! Mój drogi Watsonie! Głębszy ślad pochodzi naturalnie od tylnego koła, na którym spoczywa główny ciężar ciała. Dostrzegasz, jak w wielu miejscach krzyżowało się ono z płytszym śladem przedniego koła i zacierało go. Bez wątplenia ślad prowadzi od szkoły. Może jest związany z naszym dochodzeniem, a może nie. Zanim jednak ruszymy dalej, cofnijmy się wstecz po tym śladzie.

Zrobiliśmy tak i już po kilkuset jardach straciliśmy z oczu nasz trop. Wyłaniał się on bowiem z bagnistej części wrzosowiska. Cofając się ścieżką trafiliśmy na miejsce, gdzie w poprzek niej ciekła woda ze źródła. Tu znowu zaznaczały się ślady roweru, chociaż niemal całkowicie zatarte racicami krów. Dalej nie odnaleźliśmy żadnych znaków. Ale dróżka wiodła wprost do lasu „Ragged Shaw”, który przylegał do szkoły. Rower musiał wyjechać z tego lasu. Holmes usiadł na jakimś głazie i oparł głowę na rękach.

Zdążyłem wypalić dwa papierosy, nim ruszyliśmy dalej.

— Dobrze, dobrze! — odezwał się wreszcie. — Oczywiście to nie jest wykluczone, iż przebiegły człowiek mógł zmienić gatunek opon w swym rowerze, aby zostawić inny ślad. Mając do czynienia z przestępcą rozumującym w ten sposób, byłbym z tego dumny. Chwilowo zostawmy to pytanie bez odpowiedzi i wróćmy z powrotem do naszego bagna. Mamy tam jeszcze wiele do zbadania.

W dalszym ciągu więc poczęliśmy prowadzić systematyczne przeszukiwania brzegów grzęzawiska i w chwilę później już nasza wytrwałość została sownie wynagrodzona. Z prawej strony; w poprzek niżej położonej części bagna biegła błotnista ścieżka. Gdyśmy się do niej zbliżyli, Holmes wydał okrzyk radości. Środkiem jej biegł ślad przypominający wiązkę drutów telegraficznych. Były to opony „Palmera”.

— To z całą pewnością Herr Heidegger! — zawołał Holmes triumfująco. — Watsonie! Moje rozumowanie było całkowicie trafne.

— Gratuluję!

— O! Ale mamy jeszcze długą drogę przed sobą. Bądź tak dobry i wejdź na ścieżkę. Teraz możemy iść tym tropem. Obawiam się jednak, iż nie zaprowadzi on nas zbyt daleko.

Postępując dalej przekonaliśmy się, iż ta część wrzosowiska była gęsto poprzecinana połaciami grząskiej ziemi. Choć więc często traciliśmy z oczu ślad, to jednak zawsze udawało się nam odnaleźć go na nowo.

— Czy nie zauważyłeś — powiedział Holmes — iż rowerzysta z pewnością zwiększył szybkość? Co do tego nie może być najmniejszej wątpliwości. Spójrz na ślad tam, gdzie odciskają się wyraźnie obie opony. Obydwa ślady są jednakowo głębokie. Co to może znaczyć? Rowerzysta przerzucał ciężar ciała na kierownicę, podobnie jak człowiek ruszający do szybkiego biegu. Na Jowisza! Wywrócił się!

Widniała tu szeroka, o nieregularnych zarysach plama. Rozciągała się na kilka jardów. Następnie znać było kilka śladów stóp i ślad opon pojawił się na nowo.

— Upadek na bok — zasugerował.

Holmes podniósł zgniecioną gałązkę kwitnącego janowca. Ku memu przerażeniu dostrzegłem, że żółte kwiatki są wszystkie jakby skropione szkarłatną farbą. Także na ścieżce i wśród wrzosów widniały ciemne plamy zakrzepłej krwi.

— Oj, niedobrze! — rzekł Holmes. — Zupełnie źle! Stój spokojnie, Watsonie! Ani jednego niepotrzebnego kroku! Cóż mogę z tego wywnioskować? Rowerzysta padł zraniony, podniósł się, z powrotem wsiadł na rower i pojechał dalej. Nie widać tu jednak żadnego innego śladu z

wyjątkiem odcisków racic bydła. Z pewnością byk nie wziął go na rogi?! Chociaż nie, nie widzę poza tym żadnych innych śladów. Musimy pójść dalej, Watsonie. Na pewno nie ujdzie nam teraz, gdy prowadzą nas krwawe plamy i ten trop.

Poszukiwania nasze nie trwały zbyt długo. Ślad opon na lśniącej od wilgoci ścieżce począł przybierać najfantastyczniejsze, poskręcane spiralnie kształty. Nagle wpadł mi w oko błysk metalu wśród gęstych zarośli janowca. Wyciągnęliśmy z nich rower. Miał on opony „Palmera” i jeden pedał zgięty. Cały przód był okropnie umazany i zboczony krwią. Po drugiej stronie, wśród krzaków sterczał but. Obiegnęliśmy je dookoła i znaleźliśmy tam nieszczęsnego rowerzystę. Był to brodaczek wysokiego wzrostu. Na nosie miał okulary z jednym szkłem zmiądzonym. Zadano mu okropny cios w głowę, który częściowo zdruzgotał czaszkę. To stało się przyczyną jego śmierci. Natomiast fakt, iż po otrzymaniu takiego ciosu potrafił jeszcze jechać, świadczy bardzo dodatnio o żywotności i odwadze tego człowieka. Miał buty, ale bez skarpetek. Spod rozpiętej zaś marynarki wyzierała nocna koszula. Był to niewątpliwie nauczyciel niemieckiego. Holmes ostrożnie obracał ciało i poddawał dokładnemu badaniu. W końcu usiadł i zamyślił się głęboko. Trwało to dosyć długo. Jego zmarszczone brwi świadczyły, iż to ponure odkrycie niewiele posunęło naprzód nasze dochodzenie.

— Trochę trudno zorientować się, Watsonie, co robić? — powiedział wreszcie. — No, prowadźmy dalej dochodzenie, gdyż dotychczas straciliśmy tyle czasu, iż nie możemy sobie pozwolić na opóźnienie choćby godzinne. Z drugiej strony jesteśmy zobowiązani zawiadomić policję o naszym odkryciu i dopilnować, by ciało tego nieszczęśnika zostało zabezpieczone.

— Ja mogę zanieść pismo z zawiadomieniem.

— Ależ ja potrzebuję twojego towarzystwa i pomocy.

Poczekaj chwilę! Tam jest człowiek tnący torf. Sprowadź go tutaj, a ja tymczasem napiszę zawiadomienie do policji.

Przyprowadziłem przerażonego chłopca, a Holmes wysłał go z pismem do dra Huxtable’a.

— No, Watsonie! — powiedział. — Dziś rano wpadliśmy na dwa tropy. Jednym są ślady roweru z oponami „Palmera”. Wiemy też, dokąd one nas zaprowadziły. Drugi trop stanowią ślady roweru o oponach „Dunlop”. Zanim rozpoczniemy ich badanie, musimy sobie uświadomić, co my właściwie wiemy. Chodzi bowiem o to, by jak najlepiej wykorzystać nasze wiadomości i oddzielić istotne elementy od przypadkowych.

Przede wszystkim pragnę cię przekonać, iż chłopiec na pewno uciekł z własnej woli. Wyszedł przez okno i opuścił się w dół. Potem powędrował albo sam, albo w czyimś towarzystwie. To jest pewne! Przytaknąłem.

— Dobrze. Zajmijmy się teraz tym nieszczęśliwym nauczycielem niemieckiego. Chłopiec, uciekając, był całkowicie ubrany. Czyli że wiedział już przedtem, co robi. Niemiec natomiast pojechał bez skarpetek. Z całą pewnością działał w wielkim pośpiechu.

— Niewątpliwie.

— A dlaczego w ogóle pojechał? Ponieważ z okna swej sypialni dojrzał ucieczkę chłopca. Chciał go dogonić i przyprowadzić z powrotem. Wsiadł na rower i ścigał chłopca. W trakcie pogoni spotkała go śmierć.

— Tak by się zdawało.

— Teraz przystępuję do krytycznej części mego wyводу. Jak winien, postąpić mężczyzna pragnący dogonić chłopca? Pobiec prosto za nim. Ale Niemiec tak nie robi, lecz bierze rower. Dowiedziałem się, iż był on znakomitym kolarzem. Nie zrobiłby tego, gdyby nie wiedział, że chłopiec dysponuje jakimś szybkim środkiem lokomocji.

— Drugim rowerem.

— Spróbuję prowadzić dalej rekonstrukcję zdarzeń. Nauczyciela spotyka śmierć o pięć mil od szkoły i to nie od kuli, którą nawet chłopiec mógłby celnie wystrzelić, lecz od potężnego ciosu. Takie uderzenie mógł zadać jedynie silny mężczyzna. Chłopiec musiał więc mieć towarzysza ucieczki. Sama zaś ucieczka odbywała się w szybkim tempie, skoro doskonały rowerzysta potrzebował aż pięciu mil, aby ich dogonić. Przypatrzmy się jednak terenowi otaczającemu miejsce nieszczęśliwego wypadku. Cóż tam znajdujemy? Trochę śladów bydła. I nic więcej. Obszedłem to miejsce dookoła i nigdzie nie spotkałem ścieżki w promieniu pięciu jardów. Drugi rowerzysta nie mógł mieć nic wspólnego z mordercą. Nigdzie też nie było śladów ludzkich stóp.

— Holmesie — zawołałem — to niemożliwe!

— Cudownie! — powiedział. — Niezwykle trafna uwaga! W moim ujęciu cały tok wydarzeń jest niemożliwy. A więc pod jakimś względem musiałem go źle przedstawić. Jak natomiast ty to obie wyobrażasz? Czy możesz; wskazać jakiś błąd?

— Czy nie mógł on zdruzgotać czaszki podczas upadku?

— Na bagnie, Watsonie?

— No, teraz znalazłem się w ciężkim kłopotcie, — Zaraz, zaraz! Rozwiązaliśmy już inne, gorsze zagadki. Ostatecznie mamy mnóstwo materiału. Musimy tylko postarać się go dobrze wykorzystać. Chodźmy więc. Wyczerpaliśmy już sprawę śladów roweru o oponach „Palmera”. Teraz zajmijmy się śladami, pozostawionymi przez rower z połatanymi oponami „Dunlop”.

Odszukaliśmy ślady i posuwaliśmy się za nimi przez pewien czas. Wkrótce wyrósł przed nami pagórek porośnięty wrzosem. Weszliśmy na wzgórze, pozostawiając daleko poza sobą strumyk. Teraz już nie mogliśmy spodziewać się, aby ślady były nadal pomocne. Z miejsca, gdzie po raz ostatni widzieliśmy odcisnięte opony „Dunlopa”, ślady mogły równie dobrze prowadzić do Holderness Hall, którego wyniosłe baszty wznosiły się o kilka mil w lewo, jak i do cichej, szarej wioski, leżącej wprost przed nami, przez którą przechodziła szosa chesterfieldzka.

Gdy dochodziliśmy do niegościnniej i brudnej gospody, ozdobionej wizerunkiem koguta nad drzwiami, Holmes jęknął nagle i chwycił mnie za ramiona, aby nie upaść. Skręcił sobie silnie nogę w kostce. W takich wypadkach człowiek staje się zupełnie bezradny. Z trudnością dobrnął do drzwi, przy których ciemny, starszy mężczyzna palił czarną, glinianą fajkę.

— Jak pan się ma, Mr Euben Hayes? — zagadnął Holmes.

— A kim pan jest? I jakim sposobem tak od razu zna pan moje nazwisko? — spytał chłop z błyskiem podejrzenia w chytrych oczach.

— Przecież ono jest wryte na desce nad pańską głową. Łatwo zaś można poznać człowieka, który jest panem we własnym domu. Przypuszczam, iż w swojej stajni nie posiada pan takiej rzeczy jak powóz?

— Nie! Nie mam.

— Z trudnością mogę stawiać stopę na ziemi.

— Nie trzeba więc jej stawiać!

— Ależ nie mogę chodzić!

— No to skacz; pan!

Sposób zachowania Mr Reuben Hayesa daleki był od współczucia. Holmes jednak przyjął to z godną wprost podziwu pogodą ducha.

— Spójrzcie tu, mój człowieku! — powiedział. — Rzeczywiście mam wielki kłopot. Nie wyobrażam sobie, jak będę szedł.

— Ja też nie — odburknął zgryźliwy gospodarz.

— Sprawa jest bardzo poważna. Dam panu funta szterlinga za pożyczenie mi roweru.

Gospodarz nastawił uszu.

— Dokąd pan chce jechać?

— Do Holderness Hall.

— Po prośbie do księcia, przypuszczam? — rzekł gospodarz, mierząc ironicznym spojrzeniem Hasze zabłocone ubrania.

Holmes zaśmiał się dobrodusznie.

— W każdym razie rad nas będzie widzieć.

— Dlaczego?

— Ponieważ przynosimy mu wiadomość o jego zaginionym synu.

Gospodarz zupełnie wyraźnie zmieszał się.

— Co? Jesteście na jego tropie?

— Widziano go w Liverpoolu. Spodziewają się odnaleźć go lada chwila.

Ponura, nie ogolona twarz gospodarza znowu drgnęła. Nagle ożywił się.

— Mam powód, by księciu źle życzyć! — powiedział. — Niegdyś byłem jego pierwszym stangretem, ale obszedł się ze mną niegodziwie. Wyrzucił mnie ze służby, nie mając żadnego konkretnego powodu. Uwierzył na słowo kłamliwemu handlarzowi. Cieszę się jednak, że w Liverpoolu widziano młodego lorda i pomogę panu w dostarczeniu wiadomości do Hall.

— Dziękuję panu — odrzekł Holmes: — Najpierw chcielibyśmy coś zjeść, potem zaś może pan przyprowadzić rower.

— Nie mam roweru.

Holmes podniósł do góry funta szterlinga.

— Człowieku. Mówię przecież panu, iż nie mam żadnego roweru. Mogę panu wynająć dwa konie do Hall.

— Dobrze, dobrze! — powiedział Holmes, — Porozmawiamy o tym, gdy coś zjemy.

Gdy pozostawił nas samych w obszernej kuchni o kamiennej posadzce, zwichnięta kostka Holmesa natychmiast wyzdrowiała. Zmierch już prawie zapadał, my zaś od wczesnego rana nie mieliśmy niczego w ustach. Toteż posiłek zajął nam nieco czasu. Potem Holmes zamyślił się. Wreszcie raz, czy dwa podszedł do okna, które wychodziło na brudne podwórze i wyjrzał przez nie. W odległym rogu znajdowała się kuźnia, gdzie pracował jakiś umorusany młodzieniec. Z drugiej strony stały stajnie. Holmes po jednym z takich wypadów do okna znowu usiadł. Nagle z głośnym okrzykiem zerwał się z krzesła.

— Watsonie! Mam rozwiązanie! — zawołał. — Tak, tak! Nie może być inaczej! Widziałeś dzisiaj ślady krów? Watsonie, przypomnij sobie!

— Tak, nawet sporo śladów!

— Gdzie?

— No... w różnych miejscach. Na bagnach, potem na ścieżce, a wreszcie w pobliżu miejsca śmierci biednego Heideggera.

— Doskonale! A teraz powiedz Watsonie, ileś krów widział na wrzosowisku?

— Nie mogę sobie przypomnieć, żebym w ogóle jakąś tam widział.

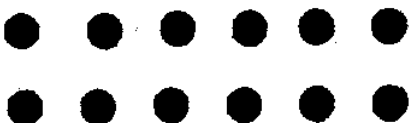
— Czy to nie dziwne, Watsonie? Wzdłuż całej naszej drogi wszędzie widzieliśmy ślady krów. Natomiast nigdzie, na całym wrzosowisku, nie było żadnej krowy. To bardzo dziwne, Watsonie, prawda?

— Tak! To rzeczywiście zastanawiające.

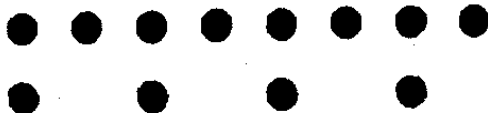
— A teraz, Watsonie, dokonaj takiego wysiłku. Cofnij się myślą wstecz i przypomnij sobie, jak wyglądały ślady na ścieżce?

— Tak, pamiętam.

— Czy przypominasz sobie, że ślady te wyglądały czasami ot tak? — począł układać pewną ilość okruszyn w jakieś wzory.



— W innym miejscu tak:



— A niekiedy znów tak:



— Czy zauważyłeś to?

— Nie, nie zauważyłem.

— Ja zaś spostrzegłem to. Mogę na to przysiąc. Gdy odpoczniemy, trzeba będzie tam jednak wrócić i sprawdzić jeszcze raz. Cóż ze mnie za ślepiec, że od razu nie wyciągnąłem nasuwającego mi się wniosku.

— A jakiż był ten twój wniosek?

— Bardzo prosty. Osobliwa to musi być krowa, która chodzi, kłusuje i galopuje. Na świętego Jerzego! Tego rodzaju fortelu, Watsonie, nie wymyśliła głowa wiejskiego karczmarza. No, sytuację mniej więcej zbadaliśmy. Pozostaje jeszcze młodzieniec pracujący w kuźni. Wsłiznijmy się do zagrody i zobaczymy, co tam ciekawego można znaleźć.

W walącej się stajni znajdowały się dwa zaniebane konie o szorstkiej, źle utrzymanej sierści. Holmes uniósł jednemu z nich tylną nogę i głośno gwizdnął.

— Stare podkowy, ale świeżo założone! Stare podkowy, lecz nowe hufnale. Tę całą sprawę można nazwać klasyczną. Chodźmy wprost do kuźni.

Chłopak kontynuował pracę, nie zwracając na nas uwagi. Holmes rozglądał się uważnie na wszystkie strony, lustrował baczym spojrzeniem rozrzucone żelastwo i kawałki drzewa, zaśmiecające podłogę. Wtem za nami dały się słyszeć kroki. Był to karczmarz. Spod szerokich, zmarszczonych brwi spoglądały dzikie oczy. Śniadą twarz wykrzywił grymas wściekłości.

W rękę trzymał krótki, okuty kij i szedł na nas tak groźnie, iż byłem rad, czując rewolwer w kieszeni.

— Ach, wy przekłete szpiegi! — krzyknął. — Co tu robicie?

— Ależ, Mr Reuben Hayes — powiedział chłodno Holmes — mógłby ktoś pomyśleć, iż obawia się pan, abyśmy tu czegoś nie znaleźli.

Karczmarz opanował się z wielkim wysiłkiem i zacięte wargi rozchyliły się w nieszczerym uśmiechu, który jednak był jeszcze groźniejszy niż poprzedni wybuch wściekłości.

— Proszę bardzo, możecie panowie wszystko obejrzeć w mojej kuźni — rzekł wreszcie. — Ale niech pan weźmie pod uwagę, proszę pana, iż nie mam powodu do radości, gdy obcy kręcą

się bez pozwolenia po moim terenie. Dlatego też im szybciej uzyska pan to, czego pragnie i stąd sobie pójdzie, tym lepiej.

— Wszystko w porządku, Mr Hayes. Nic złego się nie stało — odpowiedział Holmes. — Obejrzelśmy wasze konie i zdecydowaliśmy się jednak iść piechotą. To chyba niedaleko.

— Tą szosą w lewo będzie najwyżej 2 mile do samych bram Hallu.

Wiódł za nami pośepnym wzrokiem, dopóki nie opuściliśmy jego terenu.

Drogą nie uszliśmy jednak zbyt daleko: Skoro bowiem tylko zakręt zasłonił nas przed oczyma karczmarza, Holmes natychmiast zatrzymał się.

— Byliśmy już bardzo blisko „ciepła”, jak mówią dzieci — powiedział. — Tymczasem z każdym krokiem, który nas oddala od gospody, robi się coraz „zimniej”. Nie, nie! Chyba nie potrafisz jej opuścić.

Reuben Hayes zna całą sprawę — wtrąciłem. — Jestem tego pewien. W życiu nie widziałem bardziej typowego łajdaka.

— Oho? Rzeczywiście takie wywarł na tobie wrażenie? Tam są konie, jest kuźnia. Tak! Ten „Walczący Kogut” to bardzo interesujące miejsce. Powinniśmy jeszcze raz dyskretnie je obejrzeć.

Za nami rozpościerał się długi, pochyły stok wzgórza. Tu i ówdzie, jakby porozrzucane, szarzały na nim wapienne głazy. Gdy zawróciliśmy i szliśmy stokiem wzgórza, dostrzegłem nagle cyklistę, jadącego z dużą szybkością od strony Holderness Hall.

— Schowaj się, Watsonie! — krzyknął Holmes, pociągając mnie za sobą. Ledwo zdążyliśmy się ukryć, gdy rowerzysta przemknął obok nas szosą. W tumanach pyłu mignęła mi przelotnie błada, przerażona twarz o napiętych rysach, szeroko otwartych ustach i dziko patrzących, wybałuszonych oczach. Była to jakaś dziwna karykatura twarzy Jamesa Wildera, którego poznałem wczoraj wieczorem.

— Ależ to sekretarz księcia! — krzyknął Holmes. — Chodź, Watsonie. Zobaczymy, czego on tam szuka?

Skradając się od skały do skały dotarliśmy po paru minutach do punktu, z którego można było obserwować drzwi gospody. Obok nich stał oparty o ścianę rower Wildera. Koło domu nie zobaczyliśmy nikogo. Również w oknach nie mogliśmy dostrzec nawet przelotnie żadnej twarzy.

W miarę, jak słońce chyliło się za wysokie wieże Holderness Hall, powoli zapadał zmrok. Przed stajnią na podwórzu gospody zajaśniały w mroku światła bocznych latarni jakiegoś pojazdu. Wkrótce po tym usłyszeliśmy stukot kopyt i turkot kół, gdy wtoczył się on na szosę i ruszył szalonym pędem w kierunku Chesterfield.

— Co ty o tym myślisz, Watsonie? — spytał szeptem Holmes.

— To mi wygląda na ucieczkę!

— W powoziku, o ile mogłem dojrzeć, odjechał tylko jeden człowiek. Z całą pewnością nie był to jednak Mr James Wilder, ponieważ stoi on tam we drzwiach.

W ciemności zamajaczył czerwony prostokąt światła. Na jego tle rysowała się czarna sylwetka sekretarza. Z głową poddaną do przodu wpatrywał się w mrok. Widocznie kogoś oczekiwał. Wreszcie od strony szosy dały się słyszeć kroki i w zasięgu światła mignęła druga sylwetka. Następnie drzwi zamknięto i znów zapanowały ciemności. W pięć minut później zapłonęła lampa w pokoju na pierwszym piętrze.

— Jakież dziwne obyczaje panują w „Walczącym Kogucie” — rzekł Holmes.

— Bar znajduje się po drugiej stronie budynku.

— Tak, a ci przybysze są prywatnymi gośćmi. Ale cóż u licha porabia nocą w takiej speluncie Mr James Wilder? I kim jest jego towarzysz, który przybył na spotkanie z nim? Chodź, Watsonie! Musimy zaryzykować. Spróbujemy dokładniej zbadać całą sprawę.

Przekradliśmy się razem do szosy i podpełzaliśmy pod same drzwi gospody. Rower nadal stał oparty o ścianę. Holmes zapalił zapalniczkę i oświetlił nią tylne koło. Gdy światło padło na połataną oponę typu „Dunlop”, Sherlock zaśmiał się cicho. W górze ponad nami znajdowało się oświetlone okno.

— Muszę tam zaglądnąć, Watsonie! Mógłbym to zrobić, gdybyś oparł się o ścianę i nieco nachylił.

W chwilę później jego stopy znalazły się na moich barkach. Z trudem dosięgnął okna. Po chwili zeszedł na dół.

— Chodź, mój przyjacielu! — powiedział. — Aż nadto długo pracowaliśmy tego dnia. Wiemy już chyba wszystko, czego mogliśmy się dowiedzieć. Do szkoły daleka droga. Im szybciej wyruszymy, tym lepiej.

Podczas męczącej wędrówki przez wrzosowiska nie odzywał się wiele. Gdy zaś dotarliśmy do szkoły, nie chciał wejść do środka, lecz udał się najpierw na stację Mackleton, aby nadać depeszę.

Słyszałem, jak późno w nocy pocieszał dr Huxtable’a, zmartwionego śmiercią nauczyciela. Wreszcie przyszedł do mojego pokoju tak rześki i pełen sił, jakby to był ranek.

— Wszystko idzie dobrze, mój drogi! — powiedział. — Obiecuję ci, iż do jutrzejszego wieczora rozwiążemy tajemnicę.

Nazajutrz około godziny jedenastej kroczyłem wraz z przyjacielem piękną, cisową aleją Holderness Hall. Przez wspaniałe wejście w stylu elżbietańskim wprowadzono nas do gabinetu Jego Wysokości. Zastaliśmy tam Mr Jamesa Wildera. Chociaż obejście jego było chłodne i uprzejme, to jednak jakiś cień przerażenia z poprzedniej nocy czaił się w jego niespokojnych oczach, a twarz wykrzywił niekiedy nerwowy skurcz.

— Panowie przyszedli zobaczyć się z Jego Wysokością? Bardzo mi przykro, ale książę czuje się bardzo niedobrze. Ogromnie się przejął smutną nowiną. Wczoraj wieczorem otrzymaliśmy telegram od dr Huxtable’a, donoszący nam o pańskich odkryciach!

— Muszę widzieć się z księciem, Mr Wilder!

— Ależ on jest w swoim pokoju.

— Wobec tego pójdę do jego pokoju.

— Prawdopodobnie leży w łóżku.

— A więc w sypialni się z nim zobaczę.

Chłodny i nieubłagany sposób zachowania się Holmesa przekonał sekretarza, iż spór z nim byłby bezcelowy.

— Bardzo dobrze, Mr Holmes. Zawiadomię go o przybyciu panów.

Książę zjawił się po półgodzinnym oczekiwaniu. Twarz miał jeszcze bledszą niż zazwyczaj, plecy zgarbione. Wydało mi się, iż postarzał się w ciągu wczorajszego dnia. Powitał nas z wyniosłą uprzejmością i usiadł.

— A więc słucham, Mr Holmes? — rzekł książę. Lecz mój przyjaciel wpatrywał się w sekretarza, który stał przy krześle swego pana.

— Wasza Wysokość! Z pewnością będę mógł mówić swobodniej w nieobecności Mr Wildera. Sekretarz uchylił kotarę, rzucając Holmesowi nienawistne spojrzenie.

— Jeśli Wasza Wysokość sobie życzy...?

— Tak! Tak! Lepiej pan zrobi odchodząc. A teraz, Mr Holmes, co mi pan ma do powiedzenia?

Przyjaciel mój odczekał, aż zamknęły się drzwi za wycofującym się sekretarzem.

— Wasza Wysokość! Dr Huxtable zapewnił nas o nagrodzie za rozwiązanie tej sprawy. Pragnąłbym uzyskać potwierdzenie tego z pańskich ust.

— Oczywiście, Mr Holmes.

— Jeśli mnie dobrze poinformowano, wynosi ona pięć tysięcy funtów szterlingów dla tego, kto wskaże panu miejsce pobytu jego syna?

— Tak jest!

— I dalszy tysiąc osobie, która poda nazwiska tych, którzy go uwięzili?

— Dokładnie tak.

— To ostatnie zdanie obejmuje niewątpliwie nie tylko tych, którzy go porwali, lecz również i tych, którzy starają się utrzymać go w zamknięciu?

— Tak! tak — zawołał książę niecierpliwie. — Jeśli pan dobrze wykona swoją pracę, Mr Holmes, to na pewno nie będzie pan narzekał na zapłatę.

Przyjaciel mój zatarł chude dłonie, z objawem chciwości, która zdziwiła mnie niepomiernie. Znałem bowiem jego skromne wymagania.

— Na biurku leży, zdaje się, książeczka czekowa Waszej Wysokości? — powiedział. — Byłoby mi bardzo miło, gdyby pan zechciał mi wypisać czek na sześć tysięcy funtów szterlingów. Przypuszczalnie nie zrobi to panu różnicy. Moim bankiem jest Capital and Counties Bank, oddział na Oxford Street.

Książę siedział w swym fotelu wyprostowany, z surowym wyrazem twarzy, spoglądając kamiennym wzrokiem na mego przyjaciela.

— Czy to kpiny, Mr Holmes? Z tej sprawy nie wypada żartować.

— Ależ nie podobnego, Wasza Wysokość, Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej serio.

— Cóż więc pan myśli?

— Myślę, że zdobyłem pańską nagrodę. Wiem, gdzie jest pański syn i znam kilka osób, którego więżą.

Książę zbladł jak ściana, a jego broda przez kontrast wydała się jeszcze czerwiejsza.

— Ależ gdzie on jest? — wykrztusił.

— On jest, albo też był ubiegłej nocy w gospodzie „Pod Walczącym Kogutem”. Leży ona około dwóch mil od bram pańskiego parku.

Książę opadł na fotel.

— A kogo pan oskarża?

Odpowiedź Holmesa była wprost zdumiewająca. Podeszedł bliżej i dotknął dłonią ramienia księcia.

— Oskarżam p a n a ! — powiedział. — A teraz, Wasza Wysokość, proszę o czek.

Nigdy nie zapomnę tej sceny. Książę zerwał się z fotela i zatrzepotał rękoma, jak człowiek spadający w przepaść. Dopiero po chwili opanował się z nadzwyczajnym wysiłkiem i ukrył twarz w dłoniach. Upłynęło kilka minut, zanim się odezwał.

— Co pan wie? — spytał wreszcie, nie podnosząc głowy.

— Widziałem pana ostatniej nocy razem z nim.

— Czy nikt poza pańskim przyjacielem nie wie o tym?

— Nikomu nie mówiłem ani słowa!

Książę drżącą ręką ujął pióro i otworzył książeczką czekową.

— Oczywiście dotrzymałem słowa, Mr Holmes, Wypiszę panu czek bez względu na to, jak niepomysłne mogą być dla mnie informacje, które pan zdobył, Gdy ogłaszałem nagrodę, nie miałem pojęcia, jaki obrót mogą przyjąć wypadki, Jednakże pan i pański przyjaciel jesteście chyba ludźmi dyskretnymi?

— Nie bardzo rozumiem Waszą Wysokość.

— Mr Holmes! Muszę postawić sprawę jasno. Jeśli tylko wy dwaj znacie całą tajemnicę, to nie widzę powodu, aby miała się ona rozprzestrzenić. Zdaje się, iż właściwie jestem panu winien 12 tysięcy funtów szterlingów. Czy nie tak?

Holmes, uśmiechając się, potrząsnął przecząco głową.

— Obawiam się, Wasza Wysokość, iż tych spraw nie da się załatwić w tak prosty sposób. Tu wchodzi w grę śmierć nauczyciela.

— Ale James nic o tym nie wiedział. Pan nie może przecież obarczać go odpowiedzialnością za tę zbrodnię. Dokonał jej ten brutalny łotr, którego miał nieszczęście wynająć.

— Jeśli człowiek popełnia zbrodnię, to ponosi moralną odpowiedzialność za każdą inną zbrodnię, jaka może z niej wyniknąć. Oto mój punkt widzenia, Wasza Wysokość!

— Moralnie, Mr Holmes. Ma pan niewątpliwie słuszność. Ale na pewno prawo ma inny punkt widzenia. Nie można skazać człowieka za morderstwo, przy którym wcale nie był obecny i któremu jest przeciwny, do którego wreszcie ma taki sam wstręt jak pan. Skoro tylko się o tym dowiedział, od razu mi wszystko wyznał, tak przepelniały go żal i zgroza. Och, Mr Holmes! Niech go pan ocali! Pan musi go jakoś ratować! Mówię panu, pan musi go ocalić!

Księżę do reszty stracił panowanie nad sobą. Biegał po pokoju. Twarz mu się wykrzywiła, wymachiwał zaciśniętymi pięściami. Wreszcie opanował się i znów usiadł przy biurku.

— W pełni doceniam pańskie postępowanie! — rzekł wreszcie. — Dobrze, iż przyszedł pan najpierw do mnie i nikomu o tym nie wspominał. Przynajmniej mamy czas do zastanowienia się, w jakim stopniu można zatuszować ten okropny skandal.

— Doskonale! — odpowiedział Holmes. — Moim zdaniem, Wasza Wysokość, można to będzie osiągnąć jedynie drogą absolutnej szczerości. Pragnę pomóc Waszej Wysokości z całego serca. Jednak aby to uczynić, muszę poznać sprawę w najdrobniejszych szczegółach. Orientuję się, iż słowa Waszej Wysokości odnosiły się do Mr Jamesa Wildera i że nie jest on mordercą.

— Nie! Morderca zbiegł!

Sherlock Holmes uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Wasza Wysokość nie miała widocznie okazji dowiedzieć się o rozgłosie, jakim się cieszę. W przeciwnym bowiem razie nie przypuszczałby pan, iż tak łatwo można mi się wymknąć. Mr Reubena Hayesa zaarrestowano w Chessterfield o jedenastej w nocy na podstawie mojej informacji. Dziś rano przed wyjściem ze szkoły otrzymałem telegram z miejscowej komendy policji.

Księżę opadł na fotel i z podziwem patrzył na mego przyjaciela.

— Pan chyba posiada jakieś nadludzkie siły! — powiedział. — A więc Reubena Hayesa uwięziono? Mam powód, by się z tego cieszyć, jeśli nie odbije się to na losach Jamesa.

— Pańskiego sekretarza?

— Nie, sir! Mojego syna!

Teraz Holmes popatrzył nań kompletnie zdumiony.

— A to nowina! Przyznaję, Wasza Wysokość, iż tego się nawet nie spodziewałem. Czy mógłbym jednak prosić pana o bliższe wyjaśnienia?

— Nie mam zamiaru niczego przed panem ukrywać! Całkowicie się też z panem zgadzam co do tego, że tylko zupełna szczerość jest najlepszym sposobem postępowania w tej sytuacji, do której doprowadziły zazdrość i szaleństwo Jamesa. A prawda może być bardzo bolesna. Gdy byłem jeszcze bardzo młody, Mr Holmes, pokochałem taką miłością, jaka przychodzi tylko raz w życiu. Zaofiarowałem mojej ukochanej małżeństwo. Ona jednak odmówiła. Obawiała się bowiem, iż taki krok mógłby zniszczyć moją karierę. Gdyby ona żyła, na pewno nie posłubiłbym nikogo innego. Niestety, umarła i osierociła jedyne dziecko. Przez wzgląd na nią opiekowałem się nim i dałem mu utrzymanie, lecz nie mogłem go oficjalnie usynowić. Zapewniłem mu jednak

najlepsze wychowanie i wykształcenie. Skoro zaś doszedł do pełnoletności, trzymałem go blisko siebie. Wkrótce poznał on moją tajemnicę i odtąd pozwalał sobie na różne żądania wobec mnie. Posuwał się nawet do grózb wywołania skandalu, którego się bardzo obawiałem. Wreszcie jego obecność stała się w pewnym stopniu powodem niesnasek małżeńskich i separacji z obecną moją żoną... Przede wszystkim jednak nienawidził on mojego małego synka, prawem uznanego spadkobiercy. Od samego początku żywił doń zawziętą nienawiść. Może pan mnie zapytać, dlaczego w takiej sytuacji nadal trzymałem Jamesa pod moim dachem. I słusznie. Ale niech pan tylko pomyśli. Jego twarz przypominała mi rysy zmarłej matki, której pamięć była mi zawsze tak droga. I właśnie ze względu na to nie miały końca moje cierpienia. Odziedziczył po matce cały jej urok i czarujący sposób bycia. Każdym więc ruchem żywo mi ją przypominał. Nie mogłem go odesłać! Obawiałem się jednak bardzo, aby Arturowi, to jest lordowi Saltire, nie wyrządził krzywdy. Dlatego też wysłałem chłopca do szkoły dra Huxtable'a.

James jako mój przedstawiciel zapoznał się z Hayesem, który był jednym z dzierżawców. To skończony łotr. James zawsze miał skłonność do zawierania takich gminnych znajomości, a więc i tym razem w jakiś niezrozumiały sposób nawiązał z nim bliższe stosunki.

Gdy postanowił porwać lorda Saltire'a, to zapewnił sobie pomoc tego człowieka. Pan przypomina sobie, iż w przeddzień wypadku napisałem do Artura. Otóż James otworzył kopertę i włożył inny list. Prosił w nim Artura o spotkanie w małym lasku zwanym „Ragged Shaw”, który znajduje się w pobliżu szkoły. Pisał rzekomo z polecenia księżnej i w ten sposób skłonił chłopca do przybycia. Wspominałem już panu, iż James wszystko mi wyznał. Otóż owego wieczoru pojechał rowerem i powiedział Arturowi, gdy się spotkali w lesie, iż matka pragnie się z nim zobaczyć i w tym celu oczekuje go na wrzosowisku. Jeśli uda się o północy do lasku, to spotka człowieka z koniem, który go do niej zawiezie. Biedny Artur wpadł w zasadzkę. Przybył bowiem na umówione spotkanie i zastał tam Hayesa. Artur dosiadł konia i razem odjechali. Potem okazało się jednak, choć James dowiedział się o tym dopiero wczoraj, że ścigano ich. Gdy nauczyciel już ich doganiał, Hayes zadał mu cios swym okutym kijem, tak że człowiek ten zmarł wskutek odniesionej rany. Hayes zawiózł Artura do swojej gospody „Pod Walczącym Kogutem”. Tu uwięził go w pokoju na pierwszym piętrze, oddając pod opiekę pani Hayesowej, dobrej zresztą kobieciny, lecz znajdującej się pod całkowitym wpływem swego brutalnego męża.

Oto tak przedstawiały się sprawy dwa dni temu, gdy pana po raz pierwszy ujrzałem. Wówczas, podobnie jak pan, nie miałem pojęcia, jak naprawdę sprawa wyglądała. Może pan mnie oczywiście spytać, jakie motywy skłoniły Jamesa do popełnienia tego czynu? Cóż mam na to odpowiedzieć? Dużo w tym było bezsensownej i fanatycznej nienawiści do mojego spadkobiercy Artura. James wyobrażał sobie, iż on sam powinien być dziedzicem całego mojego majątku i czuł głęboką nienawiść do praw społecznych, które mu to uniemożliwiały. Jednocześnie miał on określony motyw działania. Pragnął, bym złamał ustawowy porządek dziedziczenia. Był głęboko przekonany, iż leży to w mojej mocy. Zamierzał zrobić ze mną taką zamianę: on zwróci mi Artura, o ile zmienię zasady dziedziczenia i przekażę mu cały majątek w testamencie. Zdawał sobie doskonale sprawę, iż dobrowolnie nigdy w życiu nie odwołam się do pomocy policji przeciwko niemu. Chciał mi zaproponować taką zamianę, ale w rzeczywistości nie zdążył już tego uczynić, gdyż wypadki potoczyły się zbyt szybko. Nie miał więc czasu na realizację swoich planów.

Znalezienie przez, pana zwłok nauczyciela Heideggera sparaliżowało jego nikczemny plan. Na wiadomość o tym Jamesa opanowało przerażenie. Stało się to wczoraj, .gdy siedzieliśmy razem tu, w gabinecie. Nadszedł właśnie telegram od dra Huxtable'a. James był tak wstrząśnięty i przygnębiony, iż podejrzenia, które podświadomie zawsze mnie nurtowały, przekształciły się w niezbitą pewność. Zarzuciłem mu porwanie chłopca. On wyznał wszystko dobrowolnie, a potem,

błagał, bym dochował mu tajemnicy przez trzy dni. Chciał swojemu niecnemu współnikowi dać okazję do ocalenia życia. Uległem jego prośbom. Zawsze mu ulegałem. James tymczasem pospieszył natychmiast do gospody „Pod Walczącym Kogutem”, aby ostrzec Hayesa i dać mu pieniądze na ucieczkę. Nie mogłem udać się tam za dnia, bez zwrócenia niczyjej uwagi. Skoro jednak tylko zapadł zmrok, podążyłem zobaczyć mojego drogiego Artura. Zostałem go całego i zdrowego. Był jednak okropnie przejęty straszną zbrodnią, której był świadkiem. Ulegając przyrzeczeniu, zgodziłem się, chociaż bardzo niechętnie, pozostawić go tam trzy dni pod opieką Mrs Hayesowej. Nie można było bowiem poinformować policji, gdzie on przebywał, nie ujawniając jednocześnie, kto był mordercą. To nie ulega wątpliwości. Ponadto nie mogłem sobie wyobrazić, jak morderca może ponieść karę bez zguby mego nieszczęsnego Jamesa. Prosił mnie pan o bezwzględną szczerą. I tak też uczyniłem. Powiedziałem panu całą prawdę, wszystko, bez żadnych niedomówień i przemilczeń. Teraz niech pan odpłaci mi się taką samą szczerością.

— Oczywiście, Wasza Wysokość! — odpowiedział Holmes. — Przede wszystkim muszę panu wyjaśnić, iż pan sam popadł w bardzo poważny konflikt z przepisami prawnymi. Uczestniczył pan w zbrodni i pomógł pan w ucieczce mordercy. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż pieniądze, które wziął James Wilder dla swojego współnika na pomoc w ucieczce, pochodziły z portfela Waszej Wysokości.

Książę skinął potakująco głową.

— To rzeczywiście bardzo poważna sprawa. Moim zdaniem, Wasza Wysokość, jeszcze bardziej karygodne jest pańskie stanowisko wobec młodszego syna. Pan go zostawił przecież na dalsze trzy dni w tej speluncie.

— Ale uzyskałem uroczyste przyrzeczenie...

— Cóż znaczą przyrzeczenia dla takich ludzi? Nie ma pan żadnej pewności, iż nie zniknie on ponownie. Dla zachcianki pańskiego złego, starszego syna, naraził pan niepotrzebnie na poważne niebezpieczeństwo swoje niewinne, młodsze dziecko. To naprawdę bardzo niesprawiedliwie.

Dumny lord na Holdernessie nie był przyzwyczajony słuchać tak ostrych wyrzutów w swojej własnej, książęcej rezydencji. Gorąca fala krwi napłynęła mu do głowy, barwiąc purpurowym rumieńcem wysokie czoło. Jednak sumienie nakazywało mu milczenie.

— Pomogę panu, ale pod jednym tylko warunkiem: Zadzwoń pan na lokaja i pozwól mi wydawać polecenia, jakie uznaję za stosowne.

Książę bez słowa nacisnął taster elektrycznego dzwonka. Zjawił się służący.

— Ucieszy was zapewne wiadomość — rzekł Holmes — o znalezieniu panicza. Na specjalne życzenie księcia proszę natychmiast wysłać powóz do gospody „Pod Walczącym Kogutem” i przywieźć do domu lorda Saltire’a.

— A teraz — ciągnął dalej Holmes, gdy uradowany lokaj się oddalił — skoro zabezpieczyliśmy przyszłość, możemy z większą wyrozumiałością odnieść się do przeszłości. Nie jestem tu urzędowo. Dlatego też, dopóki czynię zadość zasadom sprawiedliwości, nie widzę powodu do wyjawiania wszystkiego, co mi jest wiadome. Nie mówię oczywiście o Hayesie. Czekaj go szubienica! Ja zaś nie ruszę nawet palcem, aby go uratować! Nie mam pojęcia, co on zezna. Niewątpliwie jednak Wasza Wysokość może mu dać do zrozumienia, iż milczenie leży w jego własnym interesie. Z punktu widzenia policji porwał on chłopca w celu uzyskania okupu. Jeśli oni sami nie dojdą do sedna sprawy, to nie widzę powodu, dlaczego miałbym sugerować im szerszy punkt widzenia. Muszę jednak ostrzec Waszą Wysokość, iż dalszy pobyt Mr Jamesa Wildera w pańskim domu może jedynie spowodować nieszczęście.

— Zrozumiałem to sam, Mr Holmes, i już załatwiłem tę sprawę. Opuści mnie on na zawsze. Pojedzie mianowicie szukać szczęścia do Australii.

— Wobec tego, Wasza Wysokość, ponieważ wszelkie niesnaski w pańskim pożyciu małżeńskim, jak pan sam stwierdził, powodowała obecność Jamesa, pragnę podsunąć panu pewną myśl. Czy nie zechciałby pan naprawić krzywdy wyrządzonej księżnej i na nowo podjąć stosunki, które w tak przykry sposób zostały zerwane?

— I to również uczyniłem, Mr Holmes. Dziś rano napisałem do księżnej.

— W takim razie — powiedział Holmes wstając — zarówno mój przyjaciel, jak i ja, możemy sobie chyba pogratulować kilku pomyślnych wyników w ciągu naszej krótkiej wycieczki na północ. Pozostaje jednak jeszcze jeden drobiazg do wyjaśnienia. Ten łotr, Hayes, obuł konie w specjalne buty, które imitowały ślady krów. Czy to Mr Wilder nauczył go tej niecodziennej sztuczki?

Zdumienie księcia nie miało granic. Stał chwilę zamyślony. Wreszcie otworzył drzwi i wprowadził nas do wielkiej komnaty przekształconej na muzeum. Powiódł nas do szklanej gabloty, stojącej w kącie, i pokazał napis, który głosił:

Te buty wykopano w fosie zamku Holdernesse Hall. Przeznaczone są dla koni. Jednak pod spodem uformowano je w kształcie żelaznych, rozszczepionych racic krów, aby ścigającym zmylić trop. Prawdopodobnie należały one do któregoś ze średniowiecznych baronów—rabusiów, panów na Holdernesse.

Holmes otworzył gablotę i powiódł zwilżonym palcem wzdłuż buta. Cienka warstwa świeżego pyłu i brudu pozostała na skórze,

— Dziękuję panu! — powiedział zamykając gablotę. — Oto drugi z najciekawszych przedmiotów, jakie widziałem na północy.

— A pierwszy?

Holmes wziął do ręki czek, złożył go i troskliwie umieścił w notesie.

— Jestem ubogim człowiekiem — rzekł gładząc z upodobaniem notes, który następnie schował do wewnętrznej kieszeni.

HARPUN CZARNEGO PIOTRA

PRZEL. JERZY REGAWSKI I WITOLD ENGEL

THE ADVENTURE OF BLACK PETER

Nie przypominam sobie, aby mój przyjaciel znajdował się kiedykolwiek w lepszej formie tak pod względem umysłowym, jak i fizycznym niż w 1895 roku. Rosnącej jego sławie towarzyszyła ogromna praktyka. Meraz różne znakomości przekraczały skromne progi naszego domu przy Baker Street. Niestety, nie mogą wymienić ich nazwisk. Dyskrecja przede wszystkim...

Holmes jednak postępował jak wszyscy wielcy artyści. Żył dla sztuki. Nigdy nie żądał wysokiego honorarium za swe bezcenne usługi. Jedyne wyjątki, jakie znam, stanowiła sprawa księcia Holdernessa. Wydaje mi się, że Sherlock był pod tym względem nieobliczalny, lub też trochę kapryśny. Nieraz odmawiał pomocy bogatym i wpływowym osobistościom, o ile sprawa nie budziła w nim zainteresowania. Potrafił natomiast zajmować się sprawami ludzi biednych, jeśli tylko posiadały one posmak niecodzienności i obfitowały w spięcia dramatyczne. Takie wypadki pobudzały dopiero jego wyobraźnię, i prowokowały do działania.

A właśnie rok 1895 obfitował w dziwne i zawiślane wypadki, które oczywiście zainteresowały Holmesa. Cała seria, wydarzeń! Zaczęło się od dochodzenia w głośnej sprawie nagłego zgonu kardynała Tosea. Holmes prowadził je na specjalne życzenie papieża. Przyniosło mu to wielki rozgłos i sławę. Pasma ciekawych wypadków zamykało aresztowanie Wilsona, znanego hodowcy kanarków. Uwolniło ono mieszkańców londyńskiej dzielnicy East End od wielkiej plagi. Oprócz tych dwu głośnych spraw na szczególną uwagę zasługuje tragedia w Woodman's Lee i śmierć kapitana Piotra Careya, która nastąpiła w okolicznościach pełnych tajemniczości i grozy. Listy sukcesów Sherlocka nie można by uważać za zamkniętą bez uwzględnienia szczegółów tego tak niezwykłego wypadku.

W pierwszych dniach lipca mój przyjaciel bardzo często i na długo opuszczał nasze mieszkanie. Wiedziałem już co to oznacza. Oczywiście pochłonęła go jakaś nowa sprawa. Wielu ludzi o bardzo podejrzanym wyglądzie poczęło rozpytywać i szukać kapitana Basila. Holmes działał pod jednym ze swych licznych przybranych nazwisk, przebrany za kapitana. Pod tą postacią mógł zatracić swój groźny wygląd i zmylić przeciwnika. Dysponował on co najmniej pięciu małymi schowkami w różnych dzielnicach Londynu. Dzięki temu zmiana wyglądu nie nastęrczała żadnych, trudności.

Nic mi nie mówił o tej sprawie, a ja nie mam zwyczaju wdzierać się w cudze tajemnice. Za to pierwsza informacja, jakiej mi udzielił o prowadzonym dochodzeniu, była niezwykła. Przyszedł z miasta przed śniadaniem. Byłem u siebie. Wszedł do pokoju w kapeluszu na głowie i z ogromną, dzidą pod pachą.

— No wiesz, Holmesie...! — zawołałem. — Chyba nie chodziłeś z tym oszczepem po Londynie?!

— Owszem! Pojechałem do rzeźnika i z powrotem.

— Do rzeźnika?

— Mam wspaniały apetyt. Mój drogi Watsonie, trochę gimnastyki przed śniadaniem każdemu bardzo dobrze zrobi!. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Jednak trzymam zakład, że nie zgadniesz, co to były za ćwiczenia.

— Nawet nie będę próbował. Wypił kawę i odchrząknął.

— Gdybyś zajrzał do tylnych pomieszczeń w sklepie Allardyce'a, to byś zobaczył jak pewien dżentelmen, podwiązawszy rękawy koszuli, dźgał z furią tym oto „narzędziem” zabita świnie,

zawieszoną, na haku pod sufitem. To ja byłem tym energicznym osobnikiem. Z zadowoleniem stwierdziłem, że bez większego wysiłku potrafię jednym pchnięciem przeszyć świnie na wylot. A może i ty chciałbyś spróbować?

— W żadnym wypadku. Ale dlaczego ty to robiłeś?

— Ponieważ, zdaje mi się, miało to pośrednie znaczenie dla tajemniczej sprawy Woodman's Lee. Ale oto Hopkins. Tej nocy otrzymałem pański telegram. Właśnie czekam na pana. Prosimy do nas. Niech pan siada!

Gościem naszym był bardzo ruchliwy, mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Miał na sobie garnitur samodziślowy w spokojnym kolorze. Trzymał się bardzo prosto. Świadczyło to, iż przywykł do munduru. Od razu zorientowałem się. Przecież to Stanley Hopkins, młody inspektor policji. Holmes przepowiadał mu wielką przyszłość. On zaś uwielbiał doskonałego detektywa i żywił wielki szacunek dla jego słynnej metody naukowej.

Inspektor wyglądał na zmartwionego i przygnębionego. Usiadł ciężko i westchnął.

— Nie, dziękuję panu, sir, jadłem już śniadanie, zanim tu przybyłem. Noc spędziłem w mieście. Przyjechałem wczoraj złożyć raport.

— No i jak wypadł ten raport?

— Fiasko, sir! Całkowite fiasko!

— Nie posunął pan sprawy naprzód?

— Ani trochę.

— Mój drogi, muszę się przyjrzeć tej historii.

— Bardzo byłbym wdzięczny, gdyby pan zechciał, Mr Holmes. Przecież to moja pierwsza wielka szansa życiowa. A niestety, grozi mi porażka. Dla dobra sprawy niech pan mi pomoże!

— Dobrze, dobrze. Tak się właśnie szczęśliwie składa, że zdążyłem się już przedtem zapoznać dokładnie z aktami sprawy łącznie z protokołem śledztwa. Co pan na przykład myśli o znalezionym na miejscu zbrodni kapciuchu z tytoniem? Czy przypadkiem nie stanowi on klucza do rozwiązania zagadki?

W spojrzeniu Hopkinsa malowało się zdumienie.

— Ale to był przecież jego własny kapciuch. Wewnątrz znajdują się nawet inicjały, wyciśnięte na focznej skórze, z której go wykonano. Właściciel tajemniczego kapciucha był bowiem doświadczonym łowcą fok.

— A jednak nie posiadał on fajki.

— Rzeczywiście, sir. Nie możemy jej znaleźć. Palił on bardzo mało. Mógł jednak mieć u siebie tytoń dla przyjaciół.

— Oczywiście. Wspomniałem o tym z innego zresztą powodu. Jeślibym miał zająć się tą sprawą, to — moim zdaniem — należałoby rozpocząć dochodzenia właśnie od tego punktu. Ale mój przyjaciel, dr Watson, nie ma najmniejszego pojęcia o całej tej historii, a ja również nic nie stracę, skoro ponownie ją usłyszę. Niech więc nam pan opowie pokrótce przebieg wypadków.

— Najpierw kilka danych personalnych, dotyczących kapitana Piotra Careya. Urodził się w roku 1845; miał więc 50 lat. Cieszył się opinią śmiałego marynarza i wielorybnika. Sprzyjało mu przy tym szczęście. W roku 1883 został kapitanem statku „Sea Unicorn”, parowca z Dundee. Odbył na nim wówczas kilka bardzo pomyślnych rejsów, lecz już w następnym roku, 1884, porzucił tę służbę! Następnie podróżował jeszcze przez kilka lat, aż wreszcie kupił niewielką posiadłość zwaną Woodman's Lee, w pobliżu Forest Row w hrabstwie Sussex. Osiedlił się tu przed sześciu laty i zamieszkiwał aż do śmierci, która zabrała go tydzień temu.

Warto zwrócić uwagę na pewne cechy charakteru tego człowieka. Są to interesujące i znamienne szczegóły. Carey był w codziennym życiu surowym purytaninem, człowiekiem milczącym i ponurym. Razem z nim mieszkała żona, dwudziestoletnia córka i dwie służące.

Życie nie było tam wesołe a czasami nawet pobyt w tym domu stawał się wprost nie do zniesienia. Dlatego też służba wciąż się zmieniała.

Od czasu do czasu pił na umór. Wówczas stawał się wprost wcielonym diabłem. Potrafił na przykład bez najmniejszego powodu, wśród nocy, wyrwać żonę i córkę ze snu i wypędzić na dwór. Gonił je następnie po całym parku, chłoscząc niemiłosiernie, dopóki nie przybiegli ludzie z sąsiedniej wsi zbudzeni ich krzykami.

Tego było już za wiele. Stary proboszcz wezwał go wreszcie i surowo zabronił takich dzikich wybryków. Krótko mówiąc, Mr Holmes, musiałby pan długo szukać, zanim by pan znalazł niebezpieczniejszego człowieka od Piotra Careya. A słyszałem nawet, że w podobnym stanie dowodził również statkiem. Wśród marynarzy znany był jako „Czarny Piotr”. Wyróżniał się śniadą, ogorzałą cerą i wielką brodą, czarną jak smoła. Nie tylko jednak wygląd zjednał mu to przezwisko. Właściwą przyczyną było raczej usposobienie Careya, który stwarzał dokoła atmosferę strachu i grozy. Dlatego też wszyscy sąsiedzi nienawidzili go i unikali. A nawet, gdy spotkała go tak okropna śmierć, nie usłyszałem od nikogo jednego słowa żalu.

Czytał pan akta śledztwa, Mr Holmes. Wie pan zatem o tzw. „kajucie”. Być może jednak, pański przyjaciel nie słyszał o niej. Kapitan wybudował sobie małą drewnianą chatkę o kilkaset jardów od domu. Odtąd tam zawsze tylko sypiał. Było to niewielkie, jednoizbowe pomieszczenie o rozmiarach 16 na 10 stóp. Nazywał je „kajutą”. Klucz do niego nosił Carey zawsze przy sobie i nie dopuszczał tam nikogo. Sam nawet sprzątał i słał łóżko. Małych okienek, zasłoniętych firankami nigdy nie otwierano. Jedno z nich wychodziło na szosę. Kiedy więc w „kajucie” płonęło światło, nie uchodziło to uwadze ludzkiej. Nieraz mówiono na ten temat w okolicy i zastanawiano się, co właściwie „Czarny Piotr” może tam robić całymi nocami. Właśnie to okno dostarczyło nam jednego z niewielu dowodów istotnych dla śledztwa. Otóż kamieniarz nazwiskiem Slater — jak pan; sobie przypomina — dwa dni przed morderstwem przechodził tamtędy koło pierwszej w nocy, idąc z Fores Row. Mijając posiadłość Careya zatrzymał się. Wzrok jego przyciągnęła bowiem jasna plama światła migająca pomiędzy drzewami. Kamieniarz ten zaklina się, iż dokładnie widział na firance cień głowy człowieka z profilu. Nie był to jednak z całą pewnością cień Piotra Careya, którego dobrze znał. Cień przedstawiał człowieka z krótką brodą, sterzącą ku przodowi, zupełnie inną niż broda kapitana. Tak zeznał świadek. Ale przedtem spędził dwie godziny w karczmie, a ponadto od drogi do okienka „kajuty” jest dosyć daleko. Wreszcie relacja jego dotyczy poniedziałku, gdy tymczasem zbrodni dokonano we środę.

We wtorek Piotr Carey był w okropnym stanie. Pił na umór. Włóczył się wokół domu niczym groźna, dzika bestia. Kobiety uciekały w popłochu, słysząc jego kroki. Wieczorem udał się do swej chatki. Koło godziny drugiej w nocy rozdzierający krzyk od strony „kajuty” zbudził córkę kapitana, która spała przy otwartym oknie. Nie zwróciła jednak na to większej uwagi. Ojciec po pijanemu bardzo często przecież krzyczał i hałasował. Dopiero o siódmej nad ranem jedna ze służących zauważyła ze zdumieniem, iż drzwi chatki są otwarte. Carey jednak budził taki postrach, że dopiero koło południa odważyła się tam zaglądnąć. Zerknęła nieśmiało przez uchylone drzwi, lecz natychmiast cofnęła się przerażona i uciekła w popłochu do wioski. W ciągu godziny byłem na miejscu i rozpocząłem dochodzenie. Wie pan, Mr Holmes, że mam mocne nerwy. Ale daję słowo — w pierwszej chwili, gdy zjrzałem do małego domku, doznałem po prostu wstrząsu. Wewnątrz krążyły roje wielkich niebieskich much, które napelniały pawilon natrętnym brzęczeniem. Podłoga i ściany były zbryzgane krwią. Po prostu... rzeźnia.

Carey nazwał tę chatkę „kajutą”, i słusznie, gdyż miała ona wygląd kajuty okrętowej. Znajdowały się tam: koja, skrzynia marynarska, mapy i plany, obraz „Sea Unicorn” oraz rząd dzienników okrętowych na półce. Słowem wszystko, co można zazwyczaj spotkać w pomieszczeniu kapitana statku. Wewnątrz ujrzałem Careya. Twarz wykrzywił mu straszliwy

grymas, a wielka potargana broda sterczała w górę, podniesiona widocznie w trakcie agonii. Harpun przebił go na wylot. Ostrze przeszło z prawej strony przez szeroką klatkę piersiową i utkwiło głęboko w drewnianej ścianie. Był już martwy. Rozdzierający krzyk, jaki wydał w agonii, był jego ostatnim tchnieniem. Z tą chwilą zakończył życie.

Znam pańskie metody, sir, i oczywiście zastosowałem je. Nie pozwoliłem niczego ruszać. Zbadałem pięćdziesiąt metrów podłogę dokoła „kajuty” a następnie podłogę domku. Nie było żadnych śladów.

— ...Powiedzmy raczej, żadnych pan nie zauważył?

— Ależ zapewniam pana, iż nie było żadnych!

— Mój drogi panie Hopkins! Miałem do czynienia z niejedną już zbrodnią. Nigdy jednak nie słyszałem o morderstwie dokonany przez unoszącego się powietrzu ducha. Skoro więc zbrodniarz chodzi po ziemi, to musi pozostawiać po sobie jakieś odciski i ślady. Czasami zdraśnię nieznacznie jakiś przedmiot lub przesunie go. Wszystko to może odkryć zdolny detektyw. Trudno wprost uwierzyć, aby bryzgi krwi na ścianach i podłodze nie zawierały niczego, co mogłoby stać się dla nas wskazówką. Widzę z przebiegu śledztwa, iż przeoczył pan kilka szczegółów.

Młody inspektor milczał chwilę po ironicznych uwagach mego przyjaciela.

— Źle postąpiłem, Mr Holmes, że od razu pana nie poprosiłem. Czynię to więc teraz. Rozwój wypadków dowiódł, iż nie poradzimy sobie bez pana pomocy. Otóż w „kajucie” kilka przedmiotów specjalnie mnie zainteresowało. Jednym z nich był harpun, którym dokonano zbrodni. Morderca zerwał go widać ze ściany. Dwa inne harpuny bowiem wiszą nadal, natomiast miejsce na trzecim świeci pustką. Na trzonku jest wyryty napis: *S. S. Sea Unicorn, Dundee*. Czego to wszystko dowodzi? Chyba tego, iż morderca zabił Careya pod wpływem ataku furii. Chwytał bowiem pierwszą lepszą broń, jaką znalazł pod ręką. Kapitan prawdopodobnie umówił się z nim w nocy na spotkanie. Świadczyć o tym może fakt, iż Piotr Carey był całkowicie ubrany, mimo że zbrodni dokonano o godzinie drugiej w nocy. Ponadto na stole stała butelka rumu i dwie szklanki.

— Tak — odparł Holmes. — Sądzę, że oba wnioski przypuszczalnie są trafne. Czy w pokoju znajdował się oprócz rumu jeszcze inny trunek?

— Owszem. Zauważyłem nadto brandy i whisky, stojące na marynarskiej skrzyni. Nie posiada to jednak dla nas większego znaczenia. Karafki były przecież pełne, a więc nie użyto ich.

— Mimo to — zwrócił uwagę Holmes — obecność ich ma pewne znaczenie. Słuchamy jednak dalej... zwłaszcza o tych przedmiotach, które, zdaniem pana, mają jakiś związek z wypadkiem.

— Na stole znalazłem ten właśnie kapciuch.

— Gdzie leżał?

— Na samym środku stołu. Zrobiono go z nie wyprawionej skóry foki o krótkim włosiu. Do zawiązywania woreczka służy skórzany rzemień, a na wewnętrznej stronie klapki kapciucha widnieją litery P.C. Woreczek zawierał pół uncji mocnego, marynarskiego tytoniu,

— Wspaniale! I cóż więcej?

Stanley Hopkins wyciągnął z kieszeni zniszczony, spłowiały notes. Na pierwszej stronie widać było inicjały *J.H.N.* i datę *1883 r.* Holmes położył go na stole i dokładnie obejrzał, jak to zawsze zwykł czynić. My zaś Obaj z Hopkinsem patrzeliśmy spoza jego ramion. Drugą stronę pokrywało kilka zespołów cyfr. U góry natomiast odcinały się Wyraźnie litery *C.P.R.* Na przetrzucanych kartkach migają od czasu do czasu napisy, jak *Argentyna, Costa Rica, San Paulo*. Po każdym z nich następowały całe strony pełne znaków i liczb.

— Co pan o tym sądzi? — zapytał Holmes.

— Myślę, że są to wykazy giełdowych papierów Wartościowych. Prawdopodobnie *J.H.N.* stanowią inicjały maklera, a *C.P.R.* jego klienta...

— Na przykład *Canadian Pacific Railway* — wtrącił Holmes.

Stanley Hopkins stłumił przekleństwo i trzepnął się pięścią w udo,

— Cóż za dureń ze mnie! — zawołał. — Naturalnie, ma pan rację! Teraz tylko pozostają do rozszyfrowania inicjały *J.H.N.* Dawne ceduły giełdowe już sprawdziłem. Niestety, za 1883 rok nigdzie nie figuruje nazwisko zaczynające się od tych liter. Ani na giełdzie londyńskiej, ani u innych maklerów. Niemniej jednak uważam to za najważniejszy ślad, jaki posiadam. Inicjały te mogą przecież należeć do tej drugiej osoby, która odwiedzała Wówczas kajutę. Innymi słowy — do mordercy. Zgodzi się pan chyba, Mr Holmes, iż wygląda to na całkiem prawdopodobne. Również włączenie do danych o przestępstwie dokumentu, informującego o znacznej ilości papierów wartościowych, ukazuje nam pierwsze wskazówki dotyczące motywu zbrodni. I przy tym będę obstawać.

Nowy obrót sprawy zaskoczył trochę Sherlocka Holmesa. Widać to było po jego minie.

— Muszę przyjąć oba pana dowodzenia powiedział. — Dotychczas przecież śledztwo nie obejmowało notesu. Przyznaję, zmieni to nieco poglądy, jakie sobie na sprawę wyrobiłem. Doszedłem bowiem do takiego wytłumaczenia zbrodni, w którym na notes nie ma miejsca. A czy próbował pan wyjaśnić zanotowane w nim papiery wartościowe?

— Tak. Prowadzimy poszukiwania w różnych urzędach. Obawiam się jednak, iż kompletne wykazy akcjonariuszy wymienionych koncernów południowoamerykańskich znajdują się jedynie na drugiej półkuli. I z pewnością potrwa kilka tygodni, nim zdobędziemy wyczerpujące informacje o tych akcjach.

Holmes tymczasem przyglądał się uważnie przez szkło powiększające oprawce notesu.. — Niech pan spojrz na tę plamę — powiedział wreszcie.

— Tak, sir, to od krwi. Jak już panu wspominałem, notes ten podniosłem z podłogi.

— Czy krew była na wierzchu, czy pod spodem?

— Na tej stronie, która przylegała do desek podłogi.

— Wynika z tego, iż notes spadł na ziemię dopiero po dokonaniu zbrodni.

— Tak, Mr Holmes. Jestem tego samego zdania Morderca strącił go z pewnością w trakcie ucieczki. Notes leżał blisko drzwi.

— Przypuszczalnie żadnej z akcji koncernów amerykańskich nie znaleziono wśród dobytku zamordowanego kapitana?

— Nie, sir.

— Czy są jakieś poszlaki wskazujące rabunek?

— Nie, sir. Wydaje się, iż niczego tam nie ruszono.

— Mój drogi! To z całą pewnością bardzo interesujący wypadek. A czy nie spostrzegł pan tam noża?

— Owszem, widziałem nóż, ale nie wyciągnięty z pochwy. Leżał u stóp zabitego. Pani Carey rozpoznała go jako własność jej męża.

Holmes zamyślił się.

— No, dobrze — powiedział w końcu. — Pójdę tam i obejrzę wszystko.

Stanley Hopkins krzyknął radośnie:

— Dziękuję, sir! Spadł mi ciężar z serca.

Holmes pogroził palcem inspektorowi.

— Tydzień temu zadanie to było niewątpliwie łatwiejsze do rozwiązania — powiedział. — Ale i teraz moja wizyta może dać jeszcze jakieś wyniki. Watsonie, jeśli pozwoli ci czas, bardzo będę rad z twojego towarzystwa. Skoro sprowadzi pan dorożkę, Mr Hopkins, to w ciągu

kwadransa powinniśmy być gotowi do wyjazdu do Forest Row.

Wysiedliśmy przy niewielkich zabudowaniach położonych tuż przy drodze. Następnie posuwaliśmy się kilka mil mocno przerzedzonym lasem. Były to szczątki ogromnej puszczy, która niegdyś od strony zatoki przez długi czas powstrzymywała pochód najeźdźców saskich w głąb kraju. Zagradzając przejście, stanowiła przez 60 lat przedmurze Brytanii. Niestety, olbrzymie jej połacie wycięto w okresie, gdy na jej obszarze zaczęto uruchamiać pierwsze w kraju huty żelaza. Potrzeba było wtedy dużo drzewa do wytopu rudy. Obecnie terenem działalności hutnictwa są bogate złoża na północy. Tutaj natomiast, jedyną pozostałością z tego okresu są przetrzebione lasy i ogromne doły. Otóż w tych stronach, na ogołoconym z drzew, zielonym stoku pagórka stał długi a niski, zbudowany z kamienia dom. Prowadziła ku niemu wijąca się wśród pól ścieżka. Bliżej drogi, ukryty wśród zarośli, stał drugi mniejszy domek. Z miejsca, na którym staliśmy, widać było jego drzwi i jedno okno. Oto właśnie scena, na której dokonano zbrodni.

Stanley Hopkins prowadził. Weszliśmy z nim do domu. Tam przedstawił nas siwej, wynędzniałej kobiecie, wdowie po zamordowanym. Mizerna jej twarz i błyski przerażenia, zapalające się chwilami w głębi zaczerwienionych oczu, mówiły dobitnie o latach udręki, jakiej doświadczała. Zastaliśmy również córkę, bladą, jasnowłosą pannę. Cieszyła się ze śmierci ojca. Błogosławiła nawet rękę, która go zabiła. Gdy to mówiła, oczy jej płonęły. W tym zuchwałym spojrzeniu było coś tragicznego, co przejmowało do głębi. Cała atmosfera, jaką wytworzył Czarny Piotr Carey w swym otoczeniu i domu, wywoływała przygnębiający nastrój. Odetchnęliśmy z ulgą dopiero wówczas, gdy znaleźliśmy się na dworze. Słońce oślepiało, topiąc wszystko w blasku swych promieni. Droga nasza wiodła teraz poprzez pole ścieżką wydeptaną przez zabitego.

Chatka stanowiła mieszkanie bardzo prostej konstrukcji. Drewniane ściany, pojedynczy pułap oraz dwa okna: przy drzwiach i na bocznej ścianie.

Stanley Hopkins wyjął klucz z kieszeni i włożył do zamka. W tej samej jednak chwili znieruchomiał. Uważnie spojrzał na drzwi, przy czym twarz jego zdradzała wyraźne zaskoczenie.

— Oho! Ktoś tu manipulował przy zamku — powiedział.

Nie mogło tu być żadnej wątpliwości. Drzewo było pocięte, a głębokie rysy przeświecały bielą poprzez farbę. Wyglądały na zupełnie świeże, jakby dopiero przed chwilą je zrobiono. Holmes dokładnie obejrzał okno.

— Również i okno chciał ktoś siłą otworzyć. Jednak mu się nie udało. Widocznie lichy włamywacz.

— To nadzwyczajne! — zawołał inspektor. — Wczoraj wieczorem nie było żadnych śladów. Mógłbym przysiąc!

— Może był to jakiś ciekawski ze wsi? — podsunąłem.

— Ech! Bardzo wątpliwe! Niewielu z nich odważyłoby się wejść w obręb posiadłości, a cóż dopiero włamywać się do „kajuty”. Co pan o tym sądzi, Mr Holmes?

— Myślę, iż los jest dla nas bardzo łaskawy.

— Spodziewa się pan jego powrotu?

— To bardzo prawdopodobne. Przyszedł, spodziewając się zastać drzwi otwarte. Spróbował otworzyć drzwi ostrzem maleńkiego scyzoryka. Nie udało się! Cóż więc ma dalej zrobić?

— Przyjdzie ponownie z lepszym już narzędziem.

— I ja tak myślę. Byłoby błędem nie do darowania z naszej strony, gdybyśmy go nie ujęli. Teraz jednak chciałbym szczegółowo obejrzeć wnętrze „kajuty”.

Usunięto już ślady tragicznego morderstwa, ale urządzenia i umeblowania małej izdebki nie ruszono od chwili dokonania zbrodni. Holmes oglądał z wielką uwagą po kolei każdy przedmiot.

Twarz jego nie wskazywała jednak na to, by poszukiwania mogły dać jakikolwiek wynik. Systematycznie i drobiazgowo szperał po wszystkich zakątkach, tak że nie chyba nie mogło ująć jego uwadze.

— Czy brał pan coś z tej półki, Mr Hopkins?

— Nie, niczego nie ruszałem.

— Coś jednak zniknęło. W jednym rogu półki jest mniej kurzu niż gdzie indziej. Mogła to być książka, mogło być również jakieś pudło. No, tak! Moja praca już skończona. Chodźmy, Watsonie, odpocząć w cieniu drzew; Poświęćmy kilka godzin ptakom i kwiatom. Później spotkamy się znowu, Mr Hopkins. Wtedy zobaczymy, czy uda nam się zawrzeć bliższą znajomość z dżentelmenem, który składał tu nocną wizytę.

Wybiła już godzina jedenasta w nocy, kiedy przygotowaliśmy zasadzkę. Hopkins chciał zostawić drzwi chatki otwarte, Holmes jednak był zdania, iż mogłoby to wzbudzić podejrzenie przybysza. Każdy bez trudu otworzy przecież ten nieskomplikowany zamek. Wystarczy mocne ostrze. Holmes ponadto doradzał czekać nie wewnątrz domku, lecz w pobliżu, wśród krzaków, które rosły za oknem wychodzącym na szosę.

Przypuścmy, że przyjdzie ów tajemniczy, nocny gość. Otworzy drzwi, zapali światło i... Wówczas będziemy mogli śledzić każdy jego ruch. W rezultacie zaś przekonamy się o celu jego nocnej „wizyty”. Nieznośnie długie godziny przeciągały się w nieskończoność. Wyczekiwanie, to piekielnie nudne zajęcie. Tym razem miało ono jednak posmak polowania. A wiadomo, że myśliwemu czyhającemu u wodopoju na dzikiego zwierza raczej się nie nudzi. Ciekawe, któż to wyłoni się z ciemności... Tygrys czy szkał zbrodni? Trudno ująć zwinnego i szybkiego jak błyskawica tygrysa o ostrych kłach i pazurach. Tchórzliwy szkał natomiast może przestraszyć jedynie bezbronnych słabych... Kto zjawi się lada chwila?

Siedzieliśmy przyczajeni wśród krzaków, milczący i nieruchomi. Czekaliśmy na nieznajomego przybysza. Początkowo oczekiwanie to urozmaicały kroki spóźnionych przechodniów lub odgłosy dochodzące ze wsi. Stopniowo jednak i one zamierały. Wreszcie zapanowała całkowita cisza. Od czasu do czasu przerywał ją tylko kurant z odległego kościoła. Nad nami szeleściły krople deszczu wśród listowia drzew.

Zegar wybił pół do trzeciej. Nadeszła najciemniejsza godzina przed świtem. Nagle poderwał nas zupełnie wyraźny chrzęst dochodzący od bramy. Ktoś zbliżał się drogą prowadzącą ku domowi. Po chwili znów wszystko umilkło. Trwało to dosyć długo. Poczęliśmy obawiać się, iż był to fałszywy alarm. Wtem usłyszeliśmy podejrzany szelest. Ktoś skradał się bardzo ostrożnie z drugiej strony „kajuty”. Po chwili zachrobotało, zachrzęściło, jakby ktoś skrobał metalem o metal. To nieznajomy przybysz próbował otworzyć drzwi. Tym razem robił to znacznie wprawniej, miał lepsze narzędzia. Wtem ciszę rozdarł nagły trzask i skrzypienie zawiasów otwieranych drzwi. Błysnęła zapałka. Po chwili światło kaganka wypełniło wnętrze domku. Poprzez przejrzystą firankę z gazy obserwowaliśmy rozgrywającą się wewnątrz scenę.

Nocnym gościem okazał się młody mężczyzna, szczupły i wątłej budowy. Czarny wąs ostro się odcinał od trupiobladej twarzy. Miał co najwyżej dwadzieścia lat. Nigdy nie trafiło mi się widzieć człowieka, który by okazywał tak godny politowania strach. Głowa mu się trzęsła, a ręce i nogi drżały.

Ubrany był jak dżentelmen. Żakiet norfolcki, wąskie spodnie, czapka z sukna. Wodził po izbie przerażonym wzrokiem. W końcu postawił kaganek na stole i zniknął nam z oczu w jakimś kącie. Wkrótce ukazał się znowu z wielką księgą pod pachą. Z pewnością to jeden z dzienników okrętowych, stojących rzędem na półce. Pochylił się nad stołem i jął szybko przerzucać strony dziennika. Wreszcie znalazł miejsce, którego szukał, i zatrzymał się. Wtedy ze złością machnął ręką i zamknął księgę. Położył na dawnym miejscu i zgasił światło. Ledwo skierował się ku

drzwiom domku, a już Hopkins chwycił go za kołnierz. Słyszałem wszystko dokładnie. Jeniec dyszał głośno ze strachu i zaskoczenia, drżał i kulił się w rękach inspektora. Zorientował się, iż wpadł w pułapkę. Wreszcie opadł bezwładnie na skrzynię marynarską. Wodził po nas bezradnym wzrokiem.

— A teraz, mój drogi — powiedział Stanley Hopkins — mów, kim pan właściwie jesteście? Czego szukasz?

Przybysz usiłował opanować się i skupić. Wreszcie spojrzął na nas nieco spokojniej.

— Panowie jesteście, zdaje się, z policji — wykrztusił w końcu — i przypuszczacie prawdopodobnie, iż moja osoba ma jakiś związek ze śmiercią kapitana Piotra Careya? Jestem niewinny. Zapewniam panów.

— To się jeszcze sprawdzi — odparł Hopkins. — Zaczniemy jednak od początku. Nazwisko pana?

— John Hopley Neligan.

W tym momencie zauważyłem, jak Holmes i Hopkins wymienili ze sobą szybkie spojrzenie.

— Co pan tu robił?

— Czy mogę nie odpowiedzieć na to pytanie?

— Nie! Stanowczo nie!

— Dlaczego mam panu odpowiedzieć?

— Jeżeli pan nie odpowie, to dochodzenie i rozprawa może przybrać niekorzystny dla pana obrót.

Młody człowiek wahał się przez chwilę.

— Dobrze, powiem panu — rzekł w końcu. — Dlaczego by nie? Wzdrygam się jednak na samą myśl o tym przestępstwie. Brz... Wywlekać to na nowo... Czy słyszał pan o firmie „Dawson and Neligan”?

Po minie Hopkinsa poznałem, że nigdy nie słyszał. Natomiast Holmes okazał żywe zainteresowanie tematem.

— Pan ma na myśli bankierów z West Country? — podchwycił. — Zbankrutowali. Straty wyniosły 1 000 000 funtów szterlingów. Zrujnowali połowę zamożnych rodzin Kornwalii. A Neligan zniknął.

— Tak. Neligan był moim ojcem.

Wreszcie jakaś konkretna wiadomość. To nawet mogło stanowić punkt oparcia. Zbiegły bankier i kapitan Carey przybity do ściany jednym ze swych harpunów — to ludzie dwu zupełnie odrębnych światów. Dzieląca ich przepaść rzucała się w oczy. Wszyscy czekaliśmy w napięciu na dalsze słowa młodego człowieka.

— To właśnie chodziło o mojego ojca. Dawson wycofał się. Miałem wtedy dopiero dziesięć lat, lecz rozwinięty byłem nad wiek i orientowałem się w sytuacji. Byłem do głębi wstrząśnięty i palił mnie okropny wstyd. Zewsząd słyszałem, iż ojciec ukradł wszystkie papiery wartościowe, i uciekł. To nieprawda! Gdyby tylko miał czas na upłynnienie swych aktywów, wtedy wszystko ułożyłoby się dobrze! Spłaciłby wszystkich wierzycieli co do grosza. Och! Ojciec był o tym głęboko przekonany.

Wyjechał w podróż do Norwegii na pokładzie swego niewielkiego jachtu, jeszcze zanim wydano nakaz aresztowania. Ta ostatnia, pożegnalna noc przed wyjazdem dokładnie wyryła mi się w pamięci. Zostawił nam szczegółowy spis papierów wartościowych, które zabierał ze sobą. Przysiągł wtedy uroczyście, iż powróci skoro tylko odzyska dobre imię i nikt z tych, co mu zawierzyli, nie dozna żadnej straty. Gdy jednak wyjechał, wszelki ślad po nim zaginął. Zniknął i ojciec, i jacht. A my z matką byliśmy przekonani, iż spoczywa on na dnie morza wraz ze statkiem i papierami wartościowymi, jakie zabrał ze sobą. Aż tu nagle nasz oddany przyjaciel —

człowiek interesu — przyniósł nam niedawno ciekawą wiadomość. Podobno na rynku londyńskim pojawiły się znów pewne serie akcji, które miał przy sobie mój ojciec. Może pan sobie wyobrazić nasze zdumienie. Począłem pilnie śledzić te akcje. Zajęło mi to kilka miesięcy. Lecz w końcu ustaliłem niezbicie, kto pierwszy puścił je w obieg. Kosztowało to wiele trudu i mozola. Otóż osobą tą okazał się kapitan Piotr Carey, właściciel tego domku.

Przeprowadziłem oczywiście mały wywiad dotyczący tego człowieka. I cóż się okazało? Dowodził on statkiem wielorybniczym, który powracał z Oceanu Arktycznego właśnie w tym czasie, kiedy mój ojciec płynął do Norwegii. Jesień tego roku była burzliwa. Dęły silne wiatry południowe, co trwało dłuższy czas. Mogły one zepchnąć na północ żaglowy jacht mego ojca. A tam prawdopodobnie napotkał on statek kapitana Piotra Careya. Jeśli rzeczywiście tak potoczyły się wypadki, to cóż stało się z moim ojcem? W każdym razie warto było wykazać, w jaki sposób papiery te trafiły na giełdę, zaś udowodnić to mogłem tylko na podstawie oświadczenia Careya. Wówczas bowiem okazałoby się, iż mój ojciec nie sprzedał tych akcji i że zabierając je z sobą, nie miał na celu żadnych osobistych korzyści materialnych.

Przybyłem do Sussex z zamiarem porozmawiania z kapitanem. W międzyczasie jednak spotkała go śmierć. W sprawozdaniu z dochodzenia policyjnego przeczytałem opis jego „kajuty”. Wspomniano też o przechowywanych tam starych dziennikach okrętowych statku, na którym pływał. Wpadłem wówczas na pewien pomysł. A jeśliby tak sprawdzić, co zaszło w sierpniu 1883 r. na pokładzie „Sea Unicorn”?! Prawdopodobnie mógłbym wówczas rozwikłać zagadkę tajemniczego zniknięcia mego ojca. Spróbowałem ubiegłej nocy dostać się do tych dzienników. Niestety, nie zdołałem otworzyć drzwi. Tej nocy ponowiłem próbę i udało się. Jednak strony dziennika, dotyczące tego miesiąca, ktoś już wydarł. W trakcie poszukiwań wpadłem w wasze ręce.

— To wszystko? — zapytał Hopkins.

— Tak, wszystko — odrzekł, unikając naszego wzroku.

— I nie ma pan nic więcej do powiedzenia?

Zawahał się...

— Nie!

— Nie był pan tu wcześniej niż onegdaj?

— Nie!

— A co to znaczy?! — krzyknął nagle Hopkins, pokazując nieszczęsny notes z inicjałami naszego więźnia, widocznymi, na pierwszej kartce, i z plamą krwi na okładce.

Biedny człowiek! Załamał, się zupełnie. Ukrył twarz w dłoniach i drżał na całym ciele.

— Skąd pan to ma? — jęknął wreszcie. — Ja nic nie wiem... Chyba zgubiłem go w hotelu.

— To wystarczy! — przerwał twardo Hopkins. — Cokolwiek więcej ma pan do zakomunikowania, powie pan już w sądzie. A teraz pójdzie pan ze mną na posterunek policji. Mr Holmes, jestem panu bardzo zobowiązany za pomoc, jak również i pańskiemu przyjacielowi. Co prawda wasza obecność, jak się okazuje, nie była konieczna. Rozwiązałbym sprawę bez pana pomocy. Niemniej jednak jestem za nią bardzo wdzięczny. W hotelu „Brambletye” zarezerwowano pokoje dla panów. Możecie więc udać się tam razem.

— No cóż, Watsonie? Co myślisz o tym? — spytał Holmes, gdy nazajutrz wracaliśmy.

— Nie jesteś, zdaje się, zadowolony?!

— Ależ nie, mój drogi Watsonie! Jestem zupełnie zadowolony. Nie pochwalam tylko metod Stanleya Hopkinsa. Zawiódł mnie. Spodziewałem się po nim czegoś więcej. Trzeba przecież zawsze jeszcze szukać innych możliwości rozwiązania sprawy oprócz tej, która nam się wydaje słuszną! To naczelną zasadą dochodzeń kryminalnych.

— A czy jest jakaś inna możliwość w naszym przypadku?

— Kierunek dochodzenia, który realizuję. Może on nam nic nie da. Trudno przewidzieć. Tym niemniej trzeba jednak iść nim do końca.

Na Holmesa czekało przy Baker Street kilka listów. Chwycił jeden z nich i otworzył. Wybuchnął triumfującym śmiechem.

— Wspaniale, Watsonie! Moja alternatywa rozwija się!

Czy masz blankiety telegraficzne? Napisz za mnie dwa zawiadomienia. Pierwsze do agenta okrętowego:

Sumner Shipping Agent, Ratcliff Highway
Przyślij trzech ludzi jutro godzina 10 rano — BASIL.

— W tych kołach używam tego nazwiska. Drugi telegram brzmi:

Inspektor Stanley Hopkins, 46, Lord Street, Brixton.
Przyjdź na śniadanie jutro o godz. 9.30. Ważne.
Zadepeszuje, jeśli byś nie mógł — SHERLOCK HOLMES.

— Ta piekielna sprawa pochłonęła mi dziesięć dni. Zatraciłem się w niej bez reszty. Jutro, mam nadzieję, usłyszymy o niej po raz ostatni.

Inspektor Stanley Hopkins stawiał się punktualnie o oznaczonej godzinie. Zasiadliśmy razem do wyborczego śniadania, przygotowanego przez panią Hudson. Młody detektyw był we wspaniałym humorze. Przeżywał swój sukces.

— Czy pan istotnie sądzi, iż pańskie rozwiązanie jest poprawne? — zagadnął Holmes.

— Trudno sobie wyobrazić bardziej prawidłowy przypadek.

— Nie jestem tego pewien.

— Pan mnie zdumiewa, Mr Holmes. Cóż jeszcze miałbym zbadać?

— Czy pańskie tłumaczenie wyjaśnia wszystkie okoliczności zbrodni?

— Ustaliłem, iż młody Neligan przybył do hotelu „Brambleyte” w dniu dokonania zbrodni. Przybył tam pod pretekstem gry w golfa. Pokój otrzymał na parterze. Mógł więc wyjść nie zauważony, kiedy miał ochotę. Krytycznej nocy udał się do Woodman’s Lee. Spotkał się z Piotrem Careym w „kajucie”. Wdał się z nim w kłótnię i zabił harpunem. Wówczas przeraził się swego czynu i uciekł z domku, gubiąc notes, który uprzednio przyniósł ze sobą, aby zapytać Piotra Careya o różne papiery wartościowe. Niektóre z nich jak pan pewnie spostrzegł, były poznaczone spinaczami; było ich mniej niż innych. Akcje wyróżnione — były to wysłedzone na giełdzie londyńskiej. Pozostałe natomiast znajdowały się prawdopodobnie nadal w posiadaniu Careya. Młodemu Neliganowi chodziło o odzyskanie ich ze względu na wierzycieli ojca; chciał im je zwrócić. To jego własne zeznania. Uciekłszy, nie miał śmiałości powrócić ponownie do „kajuty”. Wreszcie jednak przemógł się, pchany nieprzepartą chęcią zdobycia potrzebnych mu informacji. Czyż nie jest to proste i oczywiste?

Holmes uśmiechnął się tylko i potrząsnął przecząco głową.

— To zupełnie niemożliwe! Oto przykład mylnego rozumowania. Tak mnie się przynajmniej wydaje, Mr Hopkins! Czy próbował pan przebić ciało harpunem? Nie? No, no, mój drogi, musi pan zwracać więcej uwagi na tego rodzaju szczegóły. Mój przyjaciel Watson może panu powiedzieć, jak to cały ranek spędzałem na takich ćwiczeniach. To wcale niełatwa sprawa! Trzeba do tego mocnej i wyćwiczonej ręki. A w dodatku ten cios zadano z wielką siłą i gwałtownością. Ostrze zaś wbiło się głęboko w ścianę. Czy pan może sobie wyobrazić tego anemicznego młodzieńca zadającego cios o tak potwornej sile? Czy to on był tym, który chłnął

rum z wodą razem z Czarnym Piotrem w noc śmierci? Czy to jego profil zauważono na tle firanki dwie noce przed wypadkiem? Nie, Mr Hopkins! Nie! Musimy poszukać innego, roślejszego i silniejszego mężczyzny.

W miarę przemowy Holmesa oblicze detektywa coraz bardziej się wydłużało. Jego nadzieje i ambicje rozpadły się jak domek z kart. Nie chciał jednak ustąpić bez walki.

— Ależ nie może pan zaprzeczyć, Mr Holmes, iż Neligan był tej nocy u Czarnego Piotra. Zapomniał pan o notesie! To dowód rzeczowy! Sądzę zresztą, że posiadam wystarczającą ilość argumentów, aby sprawę przekazać sądowi przysięgłych i to nawet wtedy, jeśli potrafi pan znaleźć w nich jakąś lukę. Poza tym ja ująłem tego, kogo podejrzewam, a gdzie jest pański morderca?

— Zdaje się, że w tej chwili idzie po schodach — odparł pogodnie Holmes. — Tobie zaś, Watsonie, radzę trzymać rewolwer w pogotowiu, byś mógł go szybko użyć.

Rzekłszy to Holmes wstał, podszedł do stolika i położył na nim zapisaną kartkę papieru.

— No, teraz jesteśmy gotowi — rzekł.

W chwilę później usłyszeliśmy z głębi domu jakieś tubalne głosy. Drzwi się otworzyły i weszła pani Hudson, oświadczając, że jakichś trzech mężczyzn chce się widzieć z kapitanem Basilem.

— Proszę wpuszczać ich pojedynczo — polecił Holmes.

Pierwszym, który wszedł, był mężczyzna niewielkiego wzrostu o czerstwym wyglądem i siwych bokobrodach. Holmes wyjął z kieszeni list i spytał:

— Nazwisko?

— James Laneaster.

— Bardzo mi przykro, Laneaster, ale mam już komplet. Macie tu za fatygę pół funta, a teraz idźcie do tego pokoju obok i poczekajcie tam kilka minut.

Następnym był osobnik wysoki i chudy o bladej twarzy i długich włosach. Nazwisko jego brzmiało Hugh Pattins. On również otrzymał odprawę: pół funta i polecenie, by zaczekał. Trzeci kandydat zwrócił od razu moją uwagę swoim nieprzeciętnym wyglądem. Groźna twarz, przypominająca buldoga, czarne śmiało patrzące oczy, szerokie krzaczaste brwi i gęsta broda były cechami charakterystycznymi tego potężnie zbudowanego osobnika. Wszedł kołysząc się krokiem marynarza, zasalutował, zdjął czapkę i mnąc ją w rękach czekał.

— Wasze nazwisko? — spytał Holmes.

— Patrick Cairns.

— Harpunnik?

— Tak sir. 28 rejsów.

— Z Dundee, przypuszczam?

— Tak, sir.

— Gotowi jesteście do wyjazdu na morze z wyprawą badawczą?

— Tak, sir.

— Jaka płaca?

— 8 funtów miesięcznie.

— Możecie natychmiast, wyruszyć?

— Tak, jak tylko otrzymam ekwipunek.

— Czy macie przy sobie papiery?

— Tak sir — odrzekł, po czym wyjął z kieszeni plik mocno zatłuszczonych i zniszczonych papierów!

Holmes wziął je, pobieżnie przejrzał i zwracając je harpunnikowi rzekł:

— Jesteście tym, którego potrzebuję. Tam na stole leży umowa. Podpiszcie ją i sprawa będzie załatwiona.

Marynarz przeszedł przez pokój i wziął pióro do ręki.

— Czy tu mam podpisać sir? — zapytał pochylając się nad stołem. Holmes schylił się nad nim i przerzucił ręce po obu stronach jego szyi.

— W porządku — powiedział.

Niemal jednocześnie usłyszałem szcęk stali i okrzyk wściekłości podobny do ryku rozjuszonego byka. Był to jeden moment, a już Holmes wraz z marynarzem kotłowali się po podłodze w morderczym uścisku. Marynarz okazał się nie lada siłaczem. Nawet z kajdankami, które Holmes zręcznie założył mu na przeguby dłoni, szybko by pokonał mojego przyjaciela, gdybyśmy wraz z Hopkinsem nie pospieszyli mu na ratunek. Przyłożyłem siłaczowi zimną lufę rewolweru do skroni. Dopiero wtedy zrozumiał, iż dalszy opór jest bezcelowy. Wówczas skrępowaliśmy mu sznurem nogi w kostkach. Gdy wreszcie podnieśliśmy się po stoczony walce, długo jeszcze brakło nam tchu:

— Bardzo przepraszam, Mr Hopkins — rzekł Holmes — ale... obawiam się, iż jajecznicza zupełnie już wystygła. Niemniej reszta śniadania będzie panu lepiej smakowała. Zakończenie bowiem sprawy sukcesem znakomicie poprawia apetyt.

Stanley Hopkins milczał. Wzrokiem pełnym podziwu wpatrywał się w Holmesa.

— Doprawdy brak mi słów, Mr Holmes — wyjąkał wreszcie, oszołomiony i czerwony jak burak. — Widzę, iż od samego początku obrałem zły kierunek, mylny trop. Pan pokazał się mistrzem w tych sprawach, ja zaś nie mam takiego doświadczenia. Nadal nie rozumiem, co to wszystko znaczy? Co prawda widziałem finał, nie wiem jednak, jak pan do tego doszedł?

— Nic to, nic — śmiał się Holmes. — Wszyscy ostatecznie uczymy się na doświadczeniach. Z tego zaś przypadku wypływa dla pana słuszny wniosek: nigdy nie można tracić z oczu drugiej możliwości w toku śledztwa. Pan zajął się bez reszty młodym Neliganem. Ta sprawa pana całkowicie pochłonęła i zaślepiła do tego stopnia, że przysłoniła niejako Patricka Cairnsa, rzeczywistego mordercę Piotra Careya.

W tym momencie skrępowany marynarz wtrącił się do naszej rozmowy:

— Nie skarżę się na sposób, w jaki zostałem potraktowany. Sam pan widzi. Ale domagam się, aby ujmował pan sprawę z właściwego punktu widzenia. Podkreślam, iż nie zamordowałem Piotra Careya. Ja go tylko unieszkodliwiłem. Otóż i cała różnica. Być może, nie wierzy pan moim słowom? Prawdopodobnie myśli pan, iż go próbuję oszukać?

— Nic podobnego! — odrzekł Holmes. — Przeciwnie, bardzo chętnie posłuchamy. Co więc macie do powiedzenia?

— Jak już wspomniałem, wszystko to szczerą prawdą. Przysięgam! Och, znałem ja dobrze Czarnego Piotra! Kiedy chwycił za nóż, wiedziałem, iż nie mam żadnego wyboru. Stawką było życie: jego lub moje. Wówczas cisnąłem weń harpunem. Tak zginął. Może pan to nazwać morderstwem. W każdym razie wolę umierać z powrozem na szyi, niż z nożem Czarnego Piotra w sercu.

— A dlaczego tam w ogóle poszliście? — spytał Holmes.

— Zacznę od początku. Wpierw jednak, panowie, pomóżcie mi usiąść, bym mógł łatwiej mówić. Stało się to w sierpniu 1883 roku. Piotr Carey był kapitanem „Sea Unicorn”, ja zaś rezerwowym harpunnikiem. Wracaliśmy właśnie do domu po trudnym przedarciu się poprzez pola lodowe, gdy natrafiliśmy na przeciwny wiatr południowy. Dał przez cały tydzień. Prawdopodobnie zepchnął on ku północy mały żaglowiec, który wtedy spotkaliśmy. Na jego pokładzie, znajdował się jeden jedyny człowiek, szczur lądowy. Załoga, obawiając się rozbicia statku, uciekła na szalupie ku brzegom Norwegii. Chyba wszyscy utonęli! Wzięliśmy tego człowieka na pokład. Rozmawiał on długo z szyprem w kapitańskiej kajucie. Przenieśliśmy także jego bagaż. Było tego niewiele: jedno płaskie pudło. O ile dobrze pamiętam, nigdy nie podano

nazwiska tego człowieka. Następnej jednak nocy wszelki ślad po nim zginął. Snuto na ten temat różne przypuszczenia: może wyskoczył za burtę, a może fala zmyła go z pokładu? Bo rzeczywiście mieliśmy wówczas fatalną, sztormową pogodę. Tylko jedna osoba z załogi wiedziała, co się stało z tym człowiekiem, a tą osobą byłem ja. Widziałem wszystko na własne oczy. Szyper wyrzucił go po prostu do morza podczas drugiej wachty. Noc była ciemna. Stało się to dwa dni przed tym, zanim ujrzelśmy światła Szetlandii.

No tak. Nie dałem po sobie poznać, że coś wiem o losie rozbitka. Czekałem cierpliwie, jaki obrót wezmą sprawy. Niebawem zawinęliśmy do jednego z portów Szkocji. Tam wszystko zatuszowano. Nikt się nie interesował nieznanym, który przypadkowo zginął. Cóż to mogło kogo obchodzić! Krótko po tym Piotr Carey pożegnał morze i więcej doń nie wrócił. Przez długie lata nie mogłem go odnaleźć. Cóż mogło być w tajemniczym pudle rozbitka? Chyba jakieś skarby. Aby je zdobyć, Carey popełnił morderstwo. Mógł mi więc teraz sownie zapłacić za milczenie.

Pewnego razu spotkałem w Londynie kolegę, marynarza. On to pomógł mi odszukać Czarnego Piotra. Odwiedziłem go nocą. Chciałem wymusić na nim większą sumę. Za pierwszym razem okazał rozsądek; zdecydował się dać mi tyle, abym mógł rzucić morze i urządzić się na lądzie. Wszystko ustaliliśmy. Należność miałem otrzymać za dwa dni, oczywiście nocą. Stawiłem się na spotkanie w „kajucie”. Był już prawie pijany. Wściekłość w nim wzbierała. Zasiadliśmy do picia. Z tęsknotą wspominaliśmy dawne czasy. Im więcej jednak pił, tym mniej mi się podobał wyraz jego twarzy. W pewnej chwili zdjąłem ze ściany harpun. Myślałem, że będzie mi potrzebny do obrony. Wówczas rzucił się na mnie z krzykiem i przekleństwem. Mord czał się w jego oczach. Już wyciągał nóż z pochwy. Nie zdążył jednak. Przebiłem go harpunem. Wydał wówczas nieludzki ryk. Jego wykrzywiona twarz wciąż mi jeszcze stoi przed oczami. Znieruchomiałem na chwilę, zaś krew bluzgała wokół mnie. W okolicy panowała, niezmacona cisza. Wreszcie ocknąłem się. Nabrałem odwagi i rozejrzałem się po izdebce. Na półce spoczywało spokojnie płaskie pudło. Ostatecznie miałem do niego takie samo prawo, jak Piotr Carey! Zabrałem je i wyszedłem. W pośpiechu jednak zapomniałem zabrać mój kapciuch z tytoniem, który leżał na stole.

A teraz nastąpi najdziwniejsza część tej historii. Ledwo bowiem zdążyłem zamknąć drzwi, gdy usłyszałem czyjeś kroki. Ukryłem się wśród zarośli i obserwowałem. Jakiś człowiek skradał się w stronę domku. Wszedł do środka, lecz już w następnej chwili z krzykiem wypadł z powrotem i rzucił się do ucieczki. Nie zobaczyłem go więcej. Kto to był i czego chciał — nie potrafię powiedzieć. Ja zaś opuściłem czym prędzej to miejsce i udałem się w stronę stacji Tunbridge Wells, robiąc pieszo 10 mil drogi. Zdażyłem na pociąg i niebawem wysiadłem w Londynie. W ten sposób nikt nic o wypadku nie wiedział.

— Tak! Zbadałem zawartość pudła. Nie było w nim jednak pieniędzy, a jedynie akcje. Papierów wartościowych nie miałem odwagi sprzedawać. Tymczasem chodziłem po Londynie bez grosza. Wszystkie bowiem pieniądze straciłem na poszukiwanie Czarnego Piotra. Wtedy to dowiedziałem się, iż ktoś potrzebuje harpunników i proponuje dobrą płacę. Zgłosiłem się do agencji okrętowej i skierowano mnie tutaj. To już wszystko. I jeszcze raz powtarzam: sąd powinien mi być wdzięczny za zgładzenie Czarnego Piotra. Zaoszczędziłem mu kosztów konopnego postronka.

— Jasne i wyraźne oświadczenie — odrzekł Holmes. Wstał i zapalił fajkę. — Cóż robić, Mr Hopkins! Chyba odstawi go pan, nie tracąc czasu, tam gdzie będzie bezpieczny. Ten pokój nie nadaje się na celę więzienną. Poza tym Mr Patrick Cairns zajmuje zbyt wiele miejsca na naszym dywanie.

— Mr Holmes — rzekł Hopkins — doprawdy nie wiem, jak mam panu dziękować.

Dotychczas też nie mam pojęcia, w jaki sposób osiągnął pan taki rezultat?

— Po prostu łut szczęścia. Od początku wszedłem na właściwy trop. Ba! Gdybym od początku wiedział o notesie, to być może, obrałbym tą samą drogę co pan. Tymczasem wszystko, co widziałem, kierowało moje myśli tylko na jedną drogę. I trudno było się temu oprzeć. Zdziwiająca umiejętność posługiwania się harpunem, rum z wodą, fokowy kapciuch, zawierający grubo cięty tytoń, wszystko wskazywało na marynarza wielorybnika. Byłem przekonany, iż inicjały *P.C.* wygrawerowane na woreczku z tytoniem, pomimo pozornej zbieżności nie mają nic wspólnego z Piotrem Careyem. Przecież palił on bardzo rzadko. A w jego „kajucie” nie znaleziono nawet fajki.

— Pytałem, czy w „kajucie” były whisky i brandy. Pan powiedział, że były. Któż z nieobytych z morzem ludzi będzie pił rum, mając do wyboru inną wódkę? Czyli, że musiał to być marynarz.

— Ale jak pan go znalazł?

— To bardzo proste, mój drogi panie. Poszukiwanym mógł być tylko ktoś, kto pływał razem z Careyem na statku „Sea Unicorn”. Sprawdziłem, że Czarny Piotr nie pływał na żadnym innym statku. Depeszo wałem do Dundee. Straciłem na to 3 dni czasu, lecz ustaliłem wszystkie nazwiska załogi „Sea Unicorn” z 1883 roku. Gdy między harpunnikami znalazłem nazwisko Patricka Cairnsa, byłem już bliski końca poszukiwań. Przypuszczałem, iż człowiek ten przebywa w Londynie i niebawem spróbuje wyjechać z kraju. W związku z tym spędziłem kilka dni w dzielnicy East End. Dałem ogłoszenie o wyprawie arktycznej i wielkim polowaniu na wieloryby. Postawiłem świetne warunki dla harpunników, którzy zaciągną się pod dowództwo kapitana Basila. No i Otrzymałem wynik.

— Ależ to wspaniałe! — krzyknął entuzjastycznie Hopkins. — Wprost fenomenalne!

— Musi pan zatem jak najprędzej spowodować zwolnienie z aresztu młodego Neligana — rzekł Holmes. — Moim zdaniem, powinien go pan chyba przeprosić. Ponadto trzeba mu zwrócić płaskie pudło. Choć naturalnie akcje, sprzedane przez Careya, przepadły bezpowrotnie. Ale oto przyjechała dorożka, Mr Hopkins. Może już pan odstawić więźnia, Gdyby pan jeszcze mnie potrzebował w jakiejś sprawie, to obaj z Watsonem będziemy w Norwegii. Adres i bliższe szczegóły podam później.

PSY SIĘ NIE MYLĄ

PRZEL. JAN MEYSZTOWICZ
SHOSCOMBE OLD PLACE

Sherlock Holmes długo siedział schylony nad mikroskopem. Wreszcie wyprostował się i spojrzał triumfalnie dokoła.

— To klej — rzekł — na pewno klej. Rzuć, proszę, okiem na te rozproszone drobiny na szkle podstawowym.

Pochyliłem się nad okulem i dostosowałem obiektyw do mego wzroku.

— Te włoski to nitki z wełnianej ręcznie wyrabianej tkaniny. Ta szara masa o nieregularnych konturach to kurz. Po lewej stronie widać nabłonkowe łuski. A te brązowe grudki w środku to niewątpliwie klej.

— Wierzę ci na słowo — odpowiedziałem z uśmiechem, — Czy cokolwiek od tego zależy?

— To bardzo udane doświadczenie. Pamiętasz może to zajście w St Pancras? Obok zabitego policjanta znaleziono czapkę. Oskarżony twierdzi, że to nie jest jego czapka, ale on jest z zawodu ramiarzem, wobec czego ma często do czynienia z klejem.

— Czy podjąłeś się tego śledztwa?

— Nie, natomiast mój przyjaciel Merrivale ze Scotland Yardu zasięgnął mojej rady w tej sprawie. Od czasu gdy nakryłem fałszerza monet, znalazłszy w szwach jego rękawów drobniutkie opiłki miedzi i cynku, zaczęli rozumieć znaczenie mikroskopu. — Holmes spojrzał z niecierpliwością na zegarek, — Miał się do mnie zgłosić nowy klient, ale się spóźnia. A propos, czy znasz się nieco na wyścigach?

— I jak jeszcze! Ta znajomość kosztuje mnie około połowy mojej inwalidzkiej renty.

— W takim razie spełnisz dla mnie rolę „Podręcznego przewodnika po torach wyścigowych”. Co wiesz o sir Robercie Norbertonie? Czy znasz to nazwisko?

— Oczywiście. Mieszka w Shoscombe Old Place, a znam dobrze tę miejscowość, gdyż w okresie mojej służby wojskowej mieliśmy tam nasze letnie kwatery. Raz nawet niewiele brakowało, a Norberton znalazłby się w zasięgu twoich kompetencji.

— Jak się to stało?

— Na torze wyścigowym w Newmarket rzucił się z pejcem na Sama Brewera, znanego lichwiarza z Curzon Street, i o mało go nie zabił.

— Ha, to brzmi interesująco. Czy często sobie pozwala na takie wybryki?

— Cieszy się reputacją niebezpiecznego człowieka. On jest chyba najśmielszym, zawsze lecącym na złamanie karku jeźdźcem w Anglii. Parę lat temu był drugi w Grand National . Należy do ludzi, którzy urodzili się o jedno lub dwa pokolenia za późno. Czułby się doskonale w epoce Regenta . Bokser, atleta, namiętny jeździec i gracz na wyścigach, amator płci pięknej, a w ogóle osobnik o tak nieokiełznanym usposobieniu, że wątpię czy można go będzie jeszcze kiedykolwiek zaliczyć do zupełnie normalnych ludzi.

— Brawo, mój drogi, kapitalny szkic, już mi się zdaje, że go znam. A teraz co możesz mi powiedzieć o Shoscombe Old Place?

— Tyle tylko, że leży w środku parku o tej samej nazwie i że słynna stajnia wyścigowa Shoscombe i ośrodek trenowania koni tam właśnie się znajdują.

— Naczelnym trenerem jest John Mason. Nie powinno cię dziwić, że wiem o tym, gdyż oto jest list od niego.

Ale chciałbym się czegoś więcej dowiedzieć o Shoscombe. Trafiłem na bogate źródło

informacji.

— Są jeszcze tak zwane spaniele z Shoscombe. Słyszy się o nich na każdej psiej wystawie. To najbardziej arystokratyczna rasa w Anglii i przedmiot szczególnej dumy miejscowej dziedziczki.

— Masz na myśli żonę sir Roberta Norbertona?

— Sir Robert nigdy nie miał żony. Tym lepiej, sądząc po jego opinii i charakterze. On mieszka ze swą siostrą, wdową, lady Beatrice Falder.

— To znaczy, że sir Robert utrzymuje swą siostrę?

— Nie, nie. Posiadłość należała do jej zmarłego męża, sir Jamesa Faldera. Nic tam nie jest własnością Norbertona. Majątek jest zapisany wdowie w, dożywocie, a po jej śmierci przejdzie do brata jej męża. Zanim to nastąpi, ona pobiera czynsze.

— A braciszek Robert je wydaje?

— Wszystko zdaje się na to wskazywać. To nie lada gagatek i musi jej sprawiać niemało przykrości i kłopotów. Słyszałem jednak, że siostra jest do niego bardzo przywiązana. Ale co się stało w Shoscombe?

— To właśnie chciałbym wiedzieć. A oto jest ktoś, kto potrafi nam to zapewne wyjaśnić.

Drzwi się otwały i nasz goniec wprowadził wysokiego, gładko wygolonego mężczyznę o stanowczym, surowym wyrazie twarzy, jaki spotykamy wśród sprawujących władzę nad chłopcami lub końmi. Pan John Mason miał w swej pieczy niemało i jednych, i drugich i wyglądał na człowieka nie obawiającego się tego zadania. Złożył nam chłodny, opanowany ukłon i zasiadł we wskazanym mu przez Holmesa fotelu.

— Otrzymał pan mój list, panie Holmes?

— Tak, ale nic nie wynika z jego treści.

— Sprawa jest zbyt delikatnej natury, aby można ją było szczegółowo ująć na piśmie. A ponadto jest zbyt zawiła. Mogę to wyjaśnić tylko w bezpośredniej rozmowie.

— Jesteśmy do pańskiej dyspozycji.

— A więc, po pierwsze, mój pracodawca, sir Robert, zwariował.

Holmes podniósł brwi.

— Jestem detektywem — rzekł — a nie lekarzem. Ale dlaczego tak pan sądzi?

— Jeśli mężczyzna raz i drugi postępuje tak, jakby mu brakowało piątej klepki, to można to jakoś uzasadnić, ale jak wszystko, co robi, zakrawa na szaleństwo, to człowiek zaczyna się zastanawiać. Moim zdaniem Shoscombe Prince i najbliższe derby doprowadziły go do obłędu.

— Tak się nazywa koń, którego wystawiacie do tego wyścigu?

— Tak i jest to najlepszy koń w Anglii. Nikt tego nie może wiedzieć lepiej ode mnie. Będę całkiem szczery, gdyż wiem, że pan Sherlock Holmes jest dżentelmenem, na którego honorze mogę polegać, a więc nic z tego, co powiem, nie wyjdzie poza obręb tego pokoju. Sir Robert musi wygrać te derby. Siedzi w długach po uszy i to jest jego ostatnia szansa. Wszystko co mógł upłynnić lub pożyczyć, postawił na tego konia, i to na doskonałych warunkach. Bookmacherzy przyjmują, teraz zakłady czterdzieści do jednego przeciwko Shoscombe Prince, ale stosunek zakładów był sto do jednego, gdy sir Robert zaczął na niego stawiać.

— Jakże to jest możliwe, skoro to jest taki znakomity koń?

— Publiczność nie wie o tym. Sir Robert jest sprytniejszy od bookmacherów oraz ich zawodowych informatorów, a raczej szpiegów. Na próbnym biegu występuje inny koń, po tym samym ogierze, co Shoscombe Prince. Prawie nie można ich odróżnić. Ale w pełnym galopie Shoscombe Prince pozostawia tamtego w tyle co najmniej o kilkadziesiąt długości. Sir Robert o niczym innym nie myśli, jak tylko o tym koniu i o derby. Całe jego życie od tego zależy. Aż do tego czasu uda mu się utrzymać lichwiarzy z daleka. Ale jeśli Shoscombe Prince zawiedzie... sir Robert jest ostatecznie wykończony.

— To jest gra o rozpaczliwie wysoką stawkę, ale nie widzę w tym nic, co by zasługiwało na miano obłądu.

— A jednak, po pierwsze: wystarczy na niego popatrzeć. On chyba nie sypia w nocy. Można go zastać w stajni o każdej porze. Oczy ma nieprzytomne. A do tego jeszcze dochodzi sposób traktowania swej siostry, lady Beatrice.

— A mianowicie?

— Zawsze byli w jak najlepszych ze sobą stosunkach. Oboje mają te same upodobania, a ona kochała konie nie mniej od niego. Codziennie o tej samej godzinie zwykła wyjeżdżać do nich w odwiedziny, a nade wszystko kochała Shoscombe Prince'a. Strzygł uszami na dźwięk kół na żwirze i co rano biegł kłusem do powozu po swój kawałek cukru. Ale teraz wszystko się zmieniło.

— Dlaczego?

— Lady Beatrice jakby przestała interesować się końmi. Od tygodnia przejeżdża koło stajni i nawet nie wstąpi na dzień dobry.

— Pan sądzi, że się pokłócili?

— I jak jeszcze! Okropnie się pokłócili. Przecież inaczej nie oddałby ulubionego jej spaniela, którego kochała, jakby to było jej własne dziecko. Oddał go parę dni temu staremu Barnesowi, temu, co ma oberżę „Pod Zielonym Smokiem” o trzy mile dalej, w Crendall.

— To istotnie dziwne.

— Oczywiście z jej słabym sercem i wodną puchliną nie mogła prowadzić podobnego trybu życia jak sir Robert, ale co wieczór spędzał dwie godziny w jej pokoju. I słusznie, bo była dla niego przyjacielem jakich mało. Ale i to się zmieniło. Nawet już do niej nie podchodzi, A ona bardzo to bierze do serca, martwi się i... pije, panie Holmes, pije jak ryba!

— Czy piła przed poróżnieniem się z bratem?

— Owszem lubiła od czasu do czasu zaglądnąć do kieliszka, ale teraz, zdarzą się, że w ciągu jednego wieczora wypróżni całą butelkę. Wiem o tym, od Stephensa, starszego lokaja. Wszystko się zmieniło, panie, Holmes, i jest w tym coś bardzo paskudnego. Bo na przykład, co robi sir Robert w krypcie pod starym kościołem? I kto jest ten mężczyzna, z którym tam się spotyka?

Holmes zatarł dłonie.

— Słucham dalej z coraz większym zainteresowaniem.

— Starszy lokaj go widział idącego tam. O północy i w rześistym deszczu. Więc następnej nocy zasiadłem w pobliżu domu i patrzę, aż tu sir Robert znowu wychodzi. Stephens i ja poszliśmy za nim z niemałym strachem, bo źle by się to dla nas skończyło, gdyby nas przyłapał. Straszny to człowiek, gdy puści w ruch pięści, i nikogo nie uszanuje. Więc baliśmy się podejść za blisko, ale wypatrywaliśmy dobrze, dokąd on idzie. Do krypty, gdzie jak wiadomo, straszy. I czekał tam na niego jakiś mężczyzna.

— Co to jest za krypta, w której straszy?

— W parku stoi stara, zrujnowana kaplica, tak stara, że nikt nie wie, kiedy ją zbudowano. A pod nią jest krypta i źle o niej mówią w naszej okolicy. W dzień jest to wilgotne, ponure, trudno dostępne miejsce, a mało jest w naszym hrabstwie takich, co by się odważyli podejść tam bliżej w nocy. Ale sir Robert się nie bał. Nigdy w życiu niczego się nie bał. Ale co tam robił w nocy?

— Chwileczka! — rzekł Holmes. — Pan powiada, że był tam jakiś inny mężczyzna. Musiał to być któryś ze stajennych albo ktoś z domowników. Wystarczyłoby przecież go rozpoznać, a potem zapytać, po co tam chodzi.

— To nie jest nikt od nas. — Skąd pan wie o tym?

— Bo go widziałem. To było w drugą noc. Sir Robert przeszedł tuż koło nas, to jest Stephensa i mnie, a trzęśliśmy się ze strachu w krzakach jak króliki, bo tej nocy księżyc nieco przyświecał.

Ale dosłyszeliśmy, jak ten drugi idzie za nim. Więc jak sir Robert poszedł dalej, wyleźliśmy z krzaków i niby to przechadzamy się w świetle księżyca. I tak natknęliśmy się jak gdyby nigdy nic, z niewinną miną, prosto na niego. „Dobry wieczór — powiadam — a wy kto jesteście?” Musiał nas nie słyszeć nadchodzących, bo spojrzął przez ramię z taką twarzą, jakby zobaczył samego diabła. I jak nie wrzaśnie, a potem jak nie ruszy z kopyta, tak szybko jak tylko mógł, w ciemności. A biegać to on umiał, znam się na tym. Natychmiast zniknął nam z oczu i nie słyszeliśmy więcej jego kroków, a kim lub czym był dotychczas, nie zdołaliśmy odkryć.

— Ale widział go pan wyraźnie w świetle księżyca?

— Tak i pod przysięgą poznam jego żółtą twarz, moim zdaniem, twarz nie byle rzezimieszka. Co on mógł mieć wspólnego z sir Robertem?

Holmes siedział czas jakiś zamyślony.

— Kto dotrzymuje towarzystwa lady Beatrice? — zapytał wreszcie.

— Panna służąca. Carrie Evans. Służy u niej od pięciu lat.

— I oczywiście jest jej bardzo oddana?

Pan Mason poruszył się niespokojnie w fotelu, wyraźnie zakłopotany.

— Oddana to ona jest — rzekł po dłuższej chwili — ale komu, wołę nie mówić.

— Ach tak! — rzekł Holmes.

— Nie mogę rozpuszczać plotek.

— Rozumiem doskonale, panie Mason. Sytuacja jest najzupełniej jasna. Z tego, co doktor Watson mówił mi o sir Robercie, żadna kobieta nie czuje się przy nim bezpieczna. Czy nie sądzi pan, że to właśnie doprowadziło do kłótni pomiędzy rodzeństwem?

— Ten skandal trwa już od dosyć dawna.

— Ale lady Falder mogła sobie z tego nie zdawać sprawy. Załóżmy, że ciągle odkryła prawdę i postanowiła się pozbyć tej służącej. Braciszek się na to nie zgadza. Schorowana kobieta, nie mogąca się samodzielnie poruszać, nie jest w stanie narzucić swej woli. Znienawidzona służąca jest wciąż przy niej. Stara lady przestaje rozmawiać z bratem i ze zgrzyoty zaczyna zbyt często szukać pociechy w butelce. Sir Robert, chcąc jej dokuczyć, zabiera jej ulubionego psa. Czy to wszystko nie układa się w logiczną całość?

— Może i tak, ale niezupełnie.

— Właśnie! Układa się, ale niezupełnie. Czy może to mieć jakiś związek z nocną wizytą w starej krypcie? Nie widzę, jak by to mogło się łączyć.

— Ja też nie widzę. Ale jest jeszcze coś, co się także z tym nie łączy. Otóż sir Robert wykopał jakieś zwłoki.

Holmes wyprostował się gwałtownie w fotelu.

— Odkryliśmy to dopiero wczoraj, po moim liście do pana. Sir Robert pojechał wczoraj do Londynu, więc Stephens i ja zeszliśmy do krypty. Wszystko tam było w porządku z wyjątkiem tego, że w kącie leżały szczątki ludzkie.

— Zawiadomiliście policję?

Nasz gość uśmiechnął się ponuro.

— Nie sądzę, aby to mogło interesować policję. Tam była tylko zasuszona stara czaszka i parę kości sprzed może i tysiąca lat. Ale przedtem tam tego nie było, Mogę przysiąc, jak również. Stephens. Schowane to było w kącie i przykryte deską, a ten róg był zawsze przedtem pusty.

— Co z tym zrobiliście?

— Pozostawiliśmy na miejscu.

— Bardzo rozsądnie. Pan powiada, że sir Robert wyjechał wczoraj do Londynu. Czy powrócił?

— Spodziewamy się go z powrotem dzisiaj wieczorem.

— Kiedy sir Robert wydał psa swej siostry?

— Równo tydzień temu. Zwierzę ujadło przy ceglany domku mieszczącym starą studnię, a tego rana sir Robert cierpiał na jeden ze swych napadów złego humoru. Pochwycił psa i myślałem, że go zabije. Ale potem oddał go Sandy Bainowi, dżokejowi, i kazał mu odprowadzić do starego Barnesesa, „Pod Zielonym Smokiem”. Powiedział, że już nigdy więcej nie chce u nas widzieć tego psa.

Holmes zapalił najstarszą i najobrzydliwszą ze swych fajek i długo milczał zamyślony głęboko.

— Nie bardzo rozumiem rzekł wreszcie — co pan chce, abym uczynił w tej sprawie, panie Mason. Czy nie mógłby pan tego dokładniej określić?

— Może pan to uzna za coś bardziej określonego, panie Holmes — odpowiedział nasz gość i wyciągnawszy z kieszeni kawałek papieru, rozwinął go ostrożnie i pokazał nam fragment zwęglonej kości.

Holmes zbadał ją starannie.

— Gdzie pan to znalazł?

— W piwnicy pod pokojem lady Beatrice znajduje się kocioł centralnego ogrzewania. Był nieczynny od pewnego czasu, ale sir Robert zaczął narzekać na zimno i kazał pod, nim napalić. To należy do obowiązków Harveya, jednego z moich chłopców stajennych. Przyszedł do mnie dziś rano, przyniósł tę kość i powiedział mi, że znalazł ją w palenisku pod kotłem w czasie wygrzebywania popiołu. Bardzo był tym przejęty.

— Ja również — rzekł Holmes i zwrócił się do mnie. — Co możesz nam o tej kości powiedzieć?

Kość była spalona na węgiel, ale jej anatomiczna przynależność nie mogła budzić wątpliwości.

— To jest fragment górnej części ludzkiej kości goleniowej.

— Właśnie! — Holmes przybrał bardzo poważny wyraz twarzy. — Kiedy ten chłopak pali pod kotłem?

— Rozpala na wieczór i pozostawia w tym stanie.

— A zatem każdy może mieć tam dostęp w nocy?

— Tak.

— Czy można tam wejść z zewnątrz domu?

— Jedne drzwi prowadzą na zewnątrz, a drugie na schody wychodzące na korytarz, przy którym znajduje się pokój lady Beatrice.

— Jesteśmy na głębokiej wodzie, panie Mason, głębokiej i mętnej. Pan powiada, że sir Roberta nie było w domu wczoraj wieczorem?

— Nie, nie było.

— A zatem ktokolwiek spalił tę kość, to nie mógł być on.

— To prawda.

— Jak się nazywa ta oberża, o której pan wspominał?

— „Pod Zielonym Smokiem”.

— Czy w tej części hrabstwa Berkshire jest jakieś dobre łowisko ryb?

Twarz zacnego trenera dobitnie wyraziła przekonanie, że jeszcze jeden wariat wtargnął w jego i tak już niełatwe życie.

— Słyszałem — bąknął — że w potoku, nad którym stoi młyn, są pstrągi, a w jeziorze Hall są jakoby szczupaki.

— To wystarczy. Doktor Watson i ja zaliczamy się do zamięłowanych wędkarzy. Może pan utrzymać z nami łączność w oberży „Pod Zielonym Smokiem”. Powinniśmy tam być dzisiaj

wieczorem. Nie potrzebuję chyba dodawać, że nie chcemy się z panem widywać, ale może nam pan zostawić wiadomość na piśmie, a w razie czego potrafię pana odnaleźć. Gdy będziemy wiedzieć coś więcej o tej sprawie, dam panu znać.

I tak w pogodny majowy wieczór Sherlock Holmes i ja zasiedliśmy w przedziale pierwszej klasy pociągu zdążającego ku małej („przystanek na żądanie”) stacji Shoscombe. W siatce bagażowej nad naszymi głowami leżał ogromny pęk wędek, nakrętek i koszyków. Po przybyciu na miejsce i krótkiej podróży wynajętym wózkiem dotarliśmy do staroświeckiej oberży, której właściciel Josiah Barnes doceniający, jak się okazało, należycie urok wędkarskiego sportu, chętnie się zainteresował naszymi planami oczyszczenia z ryb wszystkich okolicznych wód.

— Czy to prawda, że w jeziorze Hall jest sporo szczupaków? — pytał Holmes.

Twarz oberżysty spochmurniała.

— Nic z tego — odrzekł — może pan sam łatwo znaleźć się w wodzie.

— A to dlaczego?

— Sir Robert okropnie się boi szpiegów nasyłanych przez inne stajnie wyścigowe oraz przez bookmacherów. Jeśli panowie, dwie obce osoby, zjawią się tak blisko pola, na którym on trenuje swoje konie, sir Robert rzuci się na panów niechybnie, a rękę ma ciężką.

— Słyszałem, że jego koń staje do tegorocznego derby?

— Tak, doskonały trzylatek, wszyscy tutaj gramy na niego, a do tego dochodzi ciężka forsa, jaką sir Robert na niego postawił. Ale, ale... — i spojrzął na nas przenikliwie — czy panowie nie są od wyścigów?

— Nie, nie, po prostu dwaj Londyńczycy spragnieni dobrego wiejskiego powietrza.

— Tego tu panom nie zabraknie. Ale proszę pamiętać o tym, co mówiłem o sir Robercie. On należy do takich, co najpierw walą w łeb, a potem dopiero pytają, o co chodzi. Trzymajcie się panowie, z dala od parku.

— Na pewno zastosujemy się do pańskich wskazówek. Ale z innej beczki, ma pan wyjątkowo pięknego spaniela, widzieliśmy go skomlącego w sieni.

— To prawda, wspaniałe psisko. Prawdziwy Shoscombe, czystej rasy. Nie ma lepszej w Anglii.

— Sam należę do miłośników psów — mówił Holmes — jeśli wolno zapytać, co by kosztował taki pies, z rodowodem?

— Więcej, niż mógłbym zapłacić. Ofiarował mi go sam sir Robert. Dlatego muszę go trzymać uwiązanego. Poleciałby zaraz do domu, gdybym go puścił wolno.

— Rozdają nam już jakie takie karty — rzekł Holmes, gdy pozostaliśmy sami. — Niełatwo się zapowiada ta rozgrywka, ale za dzień lub dwa powinniśmy osiągnąć pewne rezultaty. Sir Robert jest jeszcze w Londynie. Moglibyśmy więc dziś wieczorem odwiedzić jego sanktuarium bez narażania się na rękoczyny. Chciałbym uzyskać potwierdzenie paru elementów.

— Czy masz już jakąś hipotezę?

— Tyle tylko, że mniej więcej tydzień temu stało się coś, co bardzo zasadniczo wpłynęło na tok życia mieszkańców Shoscombe. Co to może być? Możemy tylko się domyślać, sądząc po skutkach. Te ostatnie wydają się być bardzo złożone i różnorodne, ale to powinno działać na naszą korzyść. Do beznadziejnie trudnych należą tylko sprawy banalne.

— Rozpatrzmy ustalone już przez nas dane. Brat przestaje odwiedzać ciężko chorą siostrę, do której był nie bez powodów bardzo przywiązany. Oddaje jej ulubionego psa. Jej psa! Czy ci to nic nie sugeruje?

— Nic poza tym, że brat ma bardzo podły charakter.

— Hm... możliwe, ale istnieje inna możliwość. A teraz przejdźmy do dalszej analizy sytuacji od czasu kłótni, o ile kłótnia nastąpiła pomiędzy rodzeństwem. Stara lady Beatrice nie opuszcza

swego pokoju, zmienia swe od dawna ustalone obyczaje, nikt jej nie widuje, z wyjątkiem gdy wyjeżdża powozem na spacer ze swoją panną służącą. Nie zatrzymuje się przy stajniach, gdzie zwykła odwiedzać swego ulubionego konia, i jakoby zaczyna zaglądać na wielką skalę do kieliszka. To wszystko stanowi jedną całość.

— Z wyjątkiem tego, co się działo w krypcie.

— To jest inny tok rozumowania. Są bowiem dwa i nie należy ich łączyć ze sobą. Pierwszy tok dotyczy lady Beatrice i ma cokolwiek złowieszczy posmak.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Rozpatrzmy drugi tok rozumowania, dotyczący sir Roberta. Zależy mu w najwyższym stopniu na wygraniu derby. Lichwiarze trzymają go za gardło. Jego stajnia wyścigowa może lada chwila stać się łupem wierzycieli. Sir Robert jest człowiekiem śmiałym, znajdującym się w rozpaczliwym położeniu. Wszystkie jego, dochody pochodzą z majątku siostry. Służąca tej siostry jest posłusznym narzędziem w jego ręku. Jak dotychczas jesteśmy na mocnym gruncie. Zgadzasz się?

— A krypta?

— Otóż właśnie!. Ta krypta! Przypuśćmy, jest to tylko makabryczna hipoteza wysunięta dla sprawdzenia wartości tego toku rozumowania, że sir Robert jest zabójcą swej siostry.

— To wykluczone!

— Być może. Sir Robert pochodzi z dobrej rodziny. Ale wśród orłów zdarza się wrona żyjąca padliną. Zastanówmy się więc nad tą hipotezą. Sir Robert nie może uciec z kraju przed zrealizowaniem swej fortuny, co nastąpi tylko w wypadku wygrania derby przez jego konia, Shoscombe Prince'a. A zatem sir Robert musi utrzymać pozory, że nic się nie zmieniło. W tym celu winien ukryć ciało swej ofiary oraz znaleźć osobę, która by ją zastąpiła, grała jej rolę, przybierając jej postać. Mając współnika w osobie służącej, sir Robert mógłby pokusić się o to. Zwłoki lady Beatrice mogłyby być przeniesione do krypty, miejsca bardzo rzadko odwiedzanego, a następnie po kryjomu spalone w palenisku pod kotłem centralnego ogrzewania, przy czym pozostał ślad tej czynności, Co powiesz na to?

— To wszystko jest możliwe, o ile przyjmujemy twoje pierwotne monstualne założenie.

— Chciałbym spróbować jutro przeprowadzić małe doświadczenie, które mogłoby rzucić nieco światła na tę sprawę. Tymczasem, jeśli chcemy się utrzymać w naszej roli, należałoby zaprosić naszego gospodarza na szklanekę jego własnego wina, pogadać z nim o węgorzach i jelcach i w ten sposób pozyskać jego zaufanie i sympatię. A przy tej sposobności może się nam uda zebrać nieco lokalnych plotek.

Nazajutrz rano Holmes odkrył, że przyjechaliśmy bez przynęt, co zwolniło nas od połowu ryb w tym dniu. Około jedenastej wyszliśmy na przechadzkę i mój przyjaciel uzyskał zgodę naszego gospodarza na zabranie z nami czarnego spaniela.

— To tutaj — rzekł Holmes, gdy doszliśmy do wysokiej bramy parku, wspartej o dwie kolumny ozdobione heraldycznymi gryfami. — Barnes powiada, że około południa stara lady wyjeżdża tędy na spacer i że powóz musi zwolnić na czas potrzebny do otwarcia bramy. Oto twoje zadanie: w chwili, gdy powóz znajdzie się w bramie i zanim zwiększy szybkość, masz zadać stangretowi jakiegokolwiek pytanie i w ten sposób go na chwilę zatrzymać. Na mnie nie zwracaj uwagi. Stanę za tą kępą drzew i postaram się zobaczyć, co jest do zobaczenia.

Nie czekaliśmy długo. Po kwadransie mniej więcej nadjechał aleją wielki, otwarty, żółty wolant zaprzęzony w dwa wspaniałe siwe konie. Holmes wraz z psem przyczaili się w krzakach. Ja zaś stanąłem, wymachując beztrzesko laseczką, pośrodku drogi. Z domku przy bramie wybiegł odzwierny i otworzył wrota. Konie przeszły w stępa i mogłem się dobrze przypatrzeć osobom w powozie. Po lewej stronie siedziała bardzo rumiana, młoda kobieta o jasnobłond włosach i

bezczelnością nacechowanych oczach. Na prawo od niej znajdowała się osoba w starszym wieku, o przygarbionych plecach. Luźny zwój szalów otaczał jej twarz i ramiona, jak przystało na inwalidkę. Gdy konie ruszyły szosą, podniosłem ręką rozkazującym gestem. Stangret wstrzymał konie. Zapytałem go, czy sir Robert jest w Shoscombe. W tej samej chwili Holmes wyszedł spomiędzy krzaków i puścił spaniela. Z radosnym szczekaniem podbiegł do powozu i skoczył na stopień, lecz zaraz potem jego powitalny nastrój zmienił się we wściekłość i pochwycił zębami zwisającą nad nim czarną spódnicę.

— Jedź dalej! Jedź dalej! — rozległ się chrapliwy głos.

Stangret zaciął konie i pozostawił nas stojących na drodze..

— O to właśnie mi chodziło — rzekł Holmes, zakładając smyczę na kark podnieconego spaniela. — On myślał, że to jego pani, ale znalazł w powozie obcą osobę. Psy się nie mylą.

— Ależ to był głos męski! — wykrzyknąłem.

— Właśnie! Wyciągnęliśmy szczęśliwie następną kartę, lecz musimy nadal grać bardzo ostrożnie.

Mój towarzysz zdawał się nie mieć żadnych dalszych planów na ten dzień, więc wykorzystaliśmy nasz sprzęt rybacki nad ruczajem, opodał młyna, gdzie udało nam się złowić parę pstrągów, co podniosło walor kolacji. Dopiero po tym posiłku Holmes nabrał ochoty do dalszego działania i znaleźliśmy się ponownie na drodze wiodącej do bramy parku. Czekala nas tam wysoka, ciemna postać. Okazał się nią nasz londyński znajomy, trener Mason.

— Dobry wieczór, panie Holmes — rzekł. — Otrzymałem pańską kartkę. Sir Robert jeszcze nie powrócił, ale słyszałem, że się go spodziewają dzisiaj późnym wieczorem.

— Jak daleko jest ta krypta?

— Przeszło ćwierć mili.

— Możemy więc chyba zignorować sir Roberta.

— Ja nie mogę sobie na to pozwolić. Natychmiast po powrocie wezwie mnie, aby się dowiedzieć jak się miewa Shoscombe Prince.

— Rozumiem. W takim razie musimy się obejść bez pana. Proszę nam tylko wskazać, gdzie jest krypta, a potem nas tam pozostawić.

Noc była bardzo ciemna, lecz Mason prowadził nas śmiało przez łąki, aż zarysowały się przed nami czarne kontury jakiegoś budynku. Była to owa stara kaplica.

Weszliśmy do środka przez ruinę dawnej kruchty i nasz przewodnik potykając się wśród gruzów, dotarł do rogu budynku, skąd strome schody prowadziły w dół do krypty. Mason potarł zapałkę o mur i oświetlił to posępne, tchnące smrodliwą stęchlizną pomieszczenie o zrytych zębem czasu ścianach z grubo ciosanego kamienia, wzdłuż których piętrzyły się ołowiane i kamienne trumny. Przy jednej ze ścian stos trumien sięgał ginącego w mroku ponad naszymi głowami sklepienia. Holmes zapalił swoją latarkę i tunel ostrego, żółtego światła przebił przejmujące grozą ciemności. Padający z latarki promień wywoływał odbłysek przytwierdzonych do trumien metalowych tabliczek, z których niejedną zdobił uwieńczony koroną gryf, klejnot starej rodziny, dbałej o ziemski splendor nawet u wrót śmierci.

— Wspomniał pan o jakichś kościach, panie Mason — rzekł Holmes — mógłby mi je pan pokazać przed odejściem?

— Są tam w rogu. — Trener przeszedł na drugą stronę kaplicy i w chwili gdy Holmes skierował tam światło latarki, stanął jak wryty ze zdumienia. — Nie ma ich — rzekł.

— Wcale to mnie nie dziwi — odpowiedział z cichym chichotem Holmes. — Wydaje mi się, że ich popioły można by znaleźć w tym samym palenisku pod kotłem, gdzie ich część już przedtem została spalona.

— Ależ po co ktokolwiek miałby palić kości osoby zmarłej tysiąc lat temu?

— To właśnie chcemy wyjaśnić. Może to wymagać dłuższych poszukiwań, więc nie będę pana dłużej zatrzymywać. Powinniśmy rozwiązać tę zagadkę przed świtem.

Po odejściu trenera Holmes zabrał się do bardzo starannego oglądania grobów, zaczynając od najstarszego, na środku, pochodzącego prawdopodobnie z epoki saksońskiej, poprzez długi szereg normandzkich aż do sir Williama i sir Denisa Falderów zmarłych w osiemnastym wieku. Po przeszło godzinie Holmes dotarł do ołowianej trumny stojącej w pozycji odwróconej przy wejściu do krypty. Nagle usłyszałem jego charakterystyczny cichy okrzyk zadowolenia i widząc jego szybkie i zdecydowane ruchy zdałem sobie sprawę, że znalazł właśnie to, czego szukał. Holmes zbadał uważnie, posługując się szkłem powiększającym, krawędzie ciężkiej pokrywy, po czym wydobyl z kieszeni dłuto, wbił je w szparę i podważył wieko, które zdawało się być przytwierdzone tylko za pomocą kilku metalowych klamer. Wieko ustąpiło z głuchym trzaskiem, lecz zaledwie zdołaliśmy je podnieść i rzucić okiem na zawartość trumny, zaszła nieprzewidziana przeszkoda.

Ktoś chodził po kaplicy nad nami. Sądząc po szybkich, stanowczych krokach, ten ktoś przybył w określonym celu i dobrze znał miejsce, po którym się poruszał. Na schodach zabłysło światło i po chwili niosący je mężczyzna stanął w gotyckim obramowaniu portalu wiodącego do krypty. Przerazająca to była postać, zarówno pod względem rozmiarów, jak każdym innym. Wielka latarnia stojenna, którą trzymał przed sobą, oświetlała groźną twarz o olbrzymich wąsach i nabrzmiąłych wściekłością oczach, które przebiegłszy badawczo po wszystkich zakątkach krypty, zatrzymały się złowrogo na moim towarzyszu i na mnie.

— Do wszystkich diabłów! — wrzasnął, — A wy kto jesteście? I co tu u mnie robicie? — a na brak odpowiedzi ze strony Holmesa postąpił o parę kroków naprzód i podniósł trzymaną w ręku ciężką, sękatą laskę, — Kto wy? — ryknął ponownie i wykonał znaczący ruch laską.

Holmes zamiast się cofnąć, wyszedł mu naprzeciw.

— Sir Robercie, ja pana z kolei o coś zapytam. Co to jest? I dlaczego się tutaj znajduje?

Co mówiąc odwrócił się i oderwał pokrywę znajdującej się za nim trumny. W blasku latarni ujrzałem owinięte w prześcieradło od stóp do głowy zwłoki o okropnych, godnych czarownicy rysach — podbródek i nos schodziły się prawie — i przyćmionych, szklistych oczach wyglądających ze zbielelej, rozkładającej się już twarzy.

Baronet zachwiał się, cofnął o parę kroków i oparł o kamienny sarkofag.

— Jak to odkryliście? — zawołał i po chwili powrócił do poprzedniego agresywnego tonu: — Co was to obchodzi?

— Nazywam się Sherlock Holmes — odrzekł mój towarzysz. — Słyszał pan, już być może, to nazwisko. W każdym bądź razie obchodzi to mnie tyle samo co każdego dobrego obywatela, to znaczy żyjącego w zgodzie z prawem. Zdaje mi się, że winien pan z niejednego zdać sprawę.

Sir Robert spojrział drapieżnie raz jeszcze, lecz zimny, opanowany głos i spokojna postawa Holmesa zrobiły swoje.

— Na Boga, panie Holmes, nie zrobiłem nic złego. Przyznaję, że pozory przemawiają przeciwko mnie, ale nie mogłem postąpić inaczej.

— Chętnie bym podzielił tę pańską opinię, lecz wyjaśnienia należy złożyć policji.

Sir Robert wzruszył szerokimi ramionami.

— Niech i tak będzie. Proszę pójść ze mną do domu, a sam pan osądzi, jak sprawa stoi.

Po piętnastu minutach znaleźliśmy się w pokoju, który sądząc po rzędach lśniących luf ustawionych w oszklonych szafach, uznałem za pokój myśliwski. Umeblowanie było dostatnie i sir Robert pozostawił nas tam jakiś czas samych. Powrócił w towarzystwie dwóch osób: rumianej młodej kobiety, którą widzieliśmy w powozie, i małego wzrostu raczej odrażającego, przypominającego szczura, mężczyzny. Oboje zdradzali najgłębsze zdumienie, co wskazywało,

że sir Robert nie zdążył jeszcze opowiedzieć im, co zaszło.

— To są — sir Robert wskazał ich niedbałym ruchem ręki — pan i pani Norlett. Pani Norlett była przez parę lat, pod swym panięmskim nazwiskiem Evans, służącą i powiernicą mojej siostry. Przyprowadziłem ich tutaj, gdyż sądzę, że najlepszym dla mnie wyjściem jest wyjaśnić panu bez ogródek sytuację, a tylko tych dwoje na tym świecie może potwierdzić moją prawdomówność.

— Czy to potrzebne? — zawołała kobieta. — Czy pan sobie zdaje sprawę z tego, co pan robi?

— Co do mnie, nie przyjmuję żadnej odpowiedzialności — powiedział jej mąż...

Sir Robert spojrział na niego z pogardą.

— Pełną odpowiedzialność biorę na siebie — rzekł — a teraz, panie Holmes, proszę wysłuchać suchego zestawienia faktów.

— Orientuje się pan już nieźle w moich sprawach, bo inaczej nie znalazłbym pana tam, gdzie się spotkaliśmy. Wie, pan zatem, nie wątpię, że wystawiam fuksa na derby i że wszystko zależy od jego sukcesu. Jeśli wygram, wszystko jest, proste, jeśli przegram... wolę nie myśleć, co się stanie.

— Rozumiem — odpowiedział Holmes.

— Pod względem finansowym jestem całkowicie zależny od lady Beatrice, mojej siostry. Lecz jest rzeczą powszechnie wiadomą, że przysługuje jej tylko dożywocie na tym majątku. Co do mnie, jestem bez reszty w rękach lichwiarzy. Wiedziałem zawsze, że w wypadku śmierci mojej siostry moi wierzyciele rzucą się jak sępy na wszystko, co posiadam. Wszystko by poszło na licytację, moje stajnie, moje konie... Wszystko! Otóż, panie Holmes, moja siostra zmarła tydzień temu.

— I nikomu pan o tym nie wspominał?

— Jakże mogłem coś podobnego uczynić? Równałoby się to dla mnie absolutnej ruinie. Gdybym natomiast zdołał zataić ten fakt przez trzy tygodnie, wszystko mogłoby się dobrze zakończyć. Mąż służącej mojej siostry jest aktorem. Wpadliśmy więc na pomysł, to jest ja wpadłem na pomysł, że mógłby on przez ten krótki okres czasu występować w roli mojej zmarłej siostry. Wystarczyłoby w związku z tym pokazywać się raz dziennie w powozie, gdyż nikt poza służbą nie wchodził do pokoju mojej siostry. Nie było to więc trudne przedsięwzięcie. Moja siostra zmarła na wodną puchlinę, która trapiła ją od dawna.

— O tym wypowiedzą się władze sądowe.

— Jej lekarz może poświadczyć, że od paru miesięcy wszystkie symptomy wskazywały na zbliżający się koniec.

— Cóż więc pan uczynił?

— Ciało nie mogło pozostać na miejscu. Pierwszej nocy Norlett i ja zanieśliśmy je do małego murowanego budynku, w którym mieści się stara studnia, obecnie nigdy nie używana. Pobiegł jednak za nami ulubiony spaniel mojej siostry i skowyczał nieustannie pod drzwiami, więc musiałem znaleźć lepszą kryjówkę. Pozbyłem się psa, po czym zanieśliśmy ciało do krypty pod kaplicą. W moim przekonaniu, panie Holmes, nie naruszyłem w niczym należnego zmarłym szacunku.

— Moim zdaniem, nic nie może usprawiedliwić pańskiego postępowania.

Baronet potrząsnął niecierpliwie głową.

— Łatwo jest prawić morały. Może pan byłby innego zdania, gdyby się pan znalazł w moim położeniu. Nie można biernie się pogodzić, bez szukania jakiegoś ratunku, z przekreśleniem wszystkich naszych planów i nadziei. Za godne mojej siostry chwilowe miejsce spoczynku uznałem trumnę jednego z przodków jej męża leżącego tam w krypcie, a więc w poświęconej ziemi. Otworzyliśmy trumnę, wyjęliśmy jej zawartość i włożyliśmy ciało mojej siostry, tak jak pan je sam widział. Wydobytych z trumny szczątków nie mogliśmy pozostawić na posadzce w

krypcie, więc zabraliśmy je stamtąd i Norlett spalił je w nocy w palenisku pod kotłem centralnego ogrzewania. To wszystko, co mam do powiedzenia, panie Holmes, ale nie wiem doprawdy, jak pan potrafił mnie do tego wyznania skłonić.

Holmes siedział jakiś czas pogrążony w myślach.

— W pańskiej relacji — rzekł wreszcie — jest jedna niekonsekwencja. Pańskie zakłady w tym wyścigu, a więc pańskie nadzieje na przyszłość, zachowałyby swą wartość nawet po objęciu przez wierzycieli całego pańskiego majątku.

— Shoscombe Prince zostałby uznany za część majątku, a nic by ich nie obchodziło czy i wiele postawiłem na niego u bookmacherów. Najprawdopodobniej wycofali go z listy koni biorących udział w derby. Moim głównym wierzycielem jest, niestety, mój największy wróg, skończony łotr, Sam Brewer, którego, musiałem kiedyś tęgo poczęstować pejczem na torze w Newmarket. Czy pan sądzi, że on mógłby chcieć mnie ratować?

— Cała ta sprawa — rzekł powstając Holmes — musi być oczywiście przedstawiona policji. Moim obowiązkiem było ujawnić fakty i na tym poprzestaną. Nie do mnie również należy moralna ocena pańskiego postępowania. Dochodzi już północ — Holmes zwrócił się do mnie — i czas już, abyśmy powrócili do naszej skromnej siedziby.

Wiadomo już dzisiaj powszechnie, że to niesamowite wydarzenie zakończyło się dla sir Roberta lepiej, niż na to zasługiwał. Shoscombe Prince wygrał derby, a jego właściciel zgarnął osiemdziesiąt tysięcy funtów wypłaconych mu przez bookmacherów. Wierzyciele zgłosili swe roszczenia dopiero po wyścigu i zostali całkowicie spłaceni, a sir Robertowi pozostała jeszcze suma wystarczająca na nowy, przyzwoity start życiowy. Zarówno policja, jak i sędzia śledczy, okazali wyrozumiałość i ograniczyli się do wymierzenia drobnej grzywny z tytułu zawinionej przez sir Roberta zwłoki w zgłoszeniu zgonu jego siostry. Szczęśliwy właściciel Shoscombe Prince'a wyszedł więc obronną ręką z opisanego powyżej epizodu i wszystko wydaje się wskazywać, że awanturnicza młodość nie przeszkodzi mu w osiągnięciu sędziwego wieku w spokoju i pomyślności.

SZEŚĆ POPIERSI NAPOLEONA

PRZEL. JAN STANISŁAW ZAUS
THE SIX NAPOLEON

Nie było w tym nic niezwykłego, że inspektor Lestrade ze Scotland Yardu odwiedzał nas wieczorem. Odwiedziny jego były choćby z tego powodu przyjemne dla Sherloeka Holmesa, że w ten sposób otrzymywał ciągle świeże wiadomości o zajęciach w głównym urzędzie policyjnym. W zamian za wiadomości, jakie Lestrade przynosił ze sobą, Holmes był zawsze gotów udzielić mu rad i wskazówek, czerpiąc ze swego obfitego zapasu wiedzy i doświadczenia, nie biorąc jednocześnie w niczym czynnego udziału.

Pewnego wieczora Lestrade, wyczerpawszy już zwykłe uwagi o pogodzie i nowinkach dziennikarskich, wpadł w zadumę i w milczeniu palił cygaro.

Holmes bystro spojrział na niego.

— Nic godnego uwagi? — zapytał.

— Nie, nic szczególnego, Mr. Holmes,

— No, powiedz pan prawdę.

Lestrade zaśmiał się.

— Więc dobrze, Mr. Holmes, nie będę się dalej wykręcał i powiem, że jest coś, co mi leży na sercu. Jednocześnie muszę dodać, że jest to tak głupia Historia, iż nie mam pewności, czy warto pana tym trudzić. Z drugiej strony; choć na pozór trywialna, jest zarazem niezwykła, a o ile mi wiadomo, ma pan właśnie szczególne zamiłowanie do spraw niezwykłych. Właściwie, moim zdaniem, należy to raczej do kompetencji doktora Watsona.

— Więc choroba? — zapytałem.

— W pewnym sensie tak. Jest to szaleństwo — odparł — a nawet wielkie szaleństwo. Czy może pan sobie wyobrazić w dzisiejszych czasach człowieka, który by pałał tak wielką nienawiścią do Napoleona, że znalazłszy jakąkolwiek jego podobiznę, doszczętnie by ją niszczył? Holmes obojętnym ruchem opadł w fotelu.

— To nie dla mnie — rzekł.

— Właśnie. Tak też sądziłem. Jednakże człowiekiem, który włamuje się po nocy, kradnie i niszczy popiersia, musi zająć się nie tylko lekarz, ale i policja!

Holmes znów wyprostował się.

— Włamanie! To bardzo interesujące. Opowiedz pan szczegółowiej.

Lestrade wyjął swój urzędowy notatnik i zreferował kilka szczegółów tej dziwnej sprawy.

— Pierwszy wypadek zdarzył się przed czterema dniami — mówił. — Było to przy Kennington Road, w sklepie z obrazami i rzeźbami, którego właścicielem jest Morse Hudson. Subiekt opuścił na chwilę sklep frontowy, gdy wtem usłyszał silny trzask. Przybiegł natychmiast i ujrzał, że popiersie Napoleona, które dotąd stało na ladzie między różnymi dziełami sztuki, leżało na ziemi rozbite w kawałki. Wybiegł szybko na ulicę, jednak pomimo zapewnienia przechodniów, że widzieli jakiegoś człowieka wybiegającego ze sklepu, nie zdołał ani nikogo zobaczyć, ani też w żaden sposób ustalić tożsamości łajdaka. Wydawało się, że był to jeden z owych bezmyślnych wybryków chuligańskich, jakie czasem mają miejsce. Tak też zameldował o tym wypadku urzędnik policyjny, który pełnił właśnie służbę. Popiersie nie było żadnym dziełem sztuki, a cena jego wahała się w granicach kilku szylingów, cała zaś sprawa wydała się zbyt mało ważna, aby wdrożyć śledztwo.

Drugi wypadek był nie tylko znacznie poważniejszy, ale też bardziej osobliwy. Wydarzył się dopiero ostatniej nocy.

Przy Kennington Road, o paręset jardów od sklepu Hudsona, mieszka bardzo znany lekarz nazwiskiem Barnicot, który posiada rozległą praktykę w rejonach leżących na południe od Tamizy. Mieszkanie jego oraz główna poradnia znajdują się przy Kennington Road, prócz tego ma dodatkowy gabinet chirurgiczny wraz z apteką wydającą bezpłatnie leki dla biedniejszych pacjentów w domu przy Lower Brixton Road, oddalonej o dwie mile. Ten właśnie doktor Barnicot jest zapalonym wielbicielem Napoleona i posiada mnóstwo książek, obrazów i innych pamiątek po francuskim cesarzu. Właśnie niedawno nabył u Hudsona dwa gipsowe popiersia sławnej głowy Napoleona, dłuta francuskiego rzeźbiarza Devina. Jedno z nich ustawił w hallu swego domu przy Kennington Road, drugie na gzymsie kominka w swym gabinecie chirurgicznym przy Lower Brixton. Otóż kiedy dziś rano doktor Barnicot powrócił do domu, spostrzegł ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że w nocy ktoś się włamał do mieszkania. Po sprawdzeniu stwierdził, że niczego jednak nie brakowało, prócz popiersia Napoleona, które umieścił — jak już nadmieniałem — w hallu. Ktoś wyniósł je i rzucił nim silnie o mur ogrodowy, pod którym leżały jeszcze resztki. Holmes zatarł ręce.

— Tak, to rzeczywiście zadziwiające — rzekł.

— Zgadza się z panem, ale proszę mi pozwolić dokończyć. Około południa doktor Barnicot udał się do swojego drugiego gabinetu i oto, czy może pan sobie wyobrazić, ujrzał otwarte okno, a szczątki drugiego popiersia leżały na podłodze porozrzucone — ktoś rozbił je w drobne kawałki! W obu wypadkach ów tajemniczy przestępca, czy też umyślowo chory; nie pozostawił po sobie najmniejszego śladu, który mógłby przyczynić się do rozwiązania zagadki i wskazania owego niesamowitego szaleńca. Oto są fakty, panie Holmes.

— Szczególnie, że nie powiem groteskowe! — rzekł Holmes. — Może mi pan powiedzieć, czy oba popiersia doktora Barnicot były zupełnie identyczne, jak owo popiersie, które rozbito u Hudsona?

— Były to identyczne kopie z tego samego modelu.

— Ta okoliczność przemawia przeciwko przypuszczeniu, że sprawcą działał pod wpływem ogólnej nienawiści ku Napoleonowi. Biorąc pod uwagę, jak wielka jest w Londynie ilość podobnych odlewów gipsowych popiersia Napoleona, jest zupełnym nieprawdopodobieństwem, by jakiś pomyleniec czy wandal wyłapał zupełnie przypadkiem trzy kopie akurat tego samego modelu.

— Tak jest, tak też właśnie myślałem — odrzekł Lestrade. — Z drugiej strony, Hudson zaopatruje w popiersia całą tę dzielnicę, a te trzy sztuki były jedyne w swoim rodzaju, i stały przez kilka lat w jego sklepie. Dlatego też, aczkolwiek zauważył pan, że w Londynie mogą być setki popiersi Napoleona, nie jest wykluczone, że w tej dzielnicy znajdowały się tylko te trzy. Tak więc fanatyk, pochodzący z tej dzielnicy, mógł tu rozpocząć swe szerzej zakrojone dzieło zniszczenia: Co pan o tym sądzi, doktorze Watson?

— Dla monomanii nie ma granic — odparłem. — Mamy tu do czynienia z owym pomieszaniem zmysłów, które francuscy psycholodzy nazywają *idée fixe* i które może objawiać się tak małymi oznakami, że chory jest poza tym zupełnie normalną istotą. U człowieka, który zagłębił się w lekturę o życiu Napoleona lub którego rodzina ucierpiała kiedyś na skutek wojen napoleońskich, mogła wytworzyć się taka *idée fixe*, pod której wpływem byłby zdolny do każdego, nawet najbardziej nieprawdopodobnego przestępstwa.

— Twoje medyczne wywody, mój kochany Watsonie — rzekł Holmes, potrząsając głową — nie trafiają mi do przekonania. Nie mogę jakoś wyobrazić sobie, aby ta *idée fixe* dała twemu maniakowi możliwość wykrycia, gdzie znajdują się te oba popiersia.

— No, a ty jak to wyjaśnisz?

— Na razie nie potrafię jeszcze dać żadnego wyjaśnienia. Chcę jedynie zaznaczyć, że w tym niezwyklej postępowaniu owego dżentelmena jest jakaś metoda. Na przykład w hallu doktora Barnicota, gdzie szmer mógłby obudzić rodzinę, popiersie zostało wyniesione na dwór i tam rozbite, podczas gdy w drugim gabinecie konsultacyjnym, gdzie nie było tego niebezpieczeństwa, stłuczono je na miejscu. Cała ta sprawa na oko wydaje się mało ważna, ale skoro przypomnę sobie, jak wiele moich klasycznych i ciekawych spraw miało bardzo mało obiecujący początek, to nie mam już odwagi lekceważyć czegokolwiek. Czy pamiętasz, Watsonie, jak straszliwą tragedię rodziny Abernetty uświadomiłem, sobie najpierw dzięki: za ledwie dostrzegalnemu wgłębieniu, które pewnego upalnego dnia zostawiła w maśle pietruszka? Nie mogę więc przejść do porządku dziennego nad sprawą tych popiersi i będę bardzo zobowiązany panu, inspektorze Lestrade, jeśli zawiadomi mnie pan bezzwłocznie o ewentualnych nowych zajściach w tej ciekawej sprawie.

Wiadomość ta nadeszła prędko i brzmiała znacznie poważniej, niż przypuszczał mój przyjaciel. Następnego dnia ubierałem się właśnie, gdy do drzwi mojej sypialni zapukano i wszedł Holmes z telegramem w ręku. Odczytał go głośno:

— ”Przybyć natychmiast, Pitt Street 131, Kensington. Lestrade”.

— Cóż tam się stało? — spytałem.

— Nie wiem, coś zaszło. Przypuszczam, że jest to ciąg dalszy historii z popiersiami. W tym wypadku nasz przyjaciel, niszczyciel popiersi, przeniósł widocznie pole działania do innej dzielnicy. Śniadanie na stole, Watsonie, a dorożka czeka przed domem.

W pół godziny potem znaleźliśmy się na Pitt Street. Była to mała, spokojna uliczka, położona w pobliżu najbardziej uprzemysłowionej dzielnicy Londynu. Dom pod numerem 131 był jednym ze starych, brzydkich budynków, gdzie mieszkać bynajmniej nie było romantycznie. Zajechawszy na miejsce ujrzeliśmy tłum gapiów odbiegający sztachety przed domem. Holmes zagwizdał.

— Na Jerzego! Musiano tu co najmniej kogoś zamordować, gdyż inaczej nie byłoby sprawozdawcy; patrz, jak się nachyla, jak wyciąga szyję! Wszystko to wskazuje, że popełniono tu jakieś przestępstwo. Ale coż to, Watsonie? Wyższe stopnie schodów są mokre, niższe i dolne suche. Ślady stóp... Ale, ale, tam w oknie widzę Lestrade'a, on nam powie, co się stało.

Inspektor przyjął nas z miną poważną i zaprowadził do pokoju, gdzie z widocznym zdenerwowaniem przechadzał się jakiś starszy człowiek o zaniedbanym wyglądzie, w flanelowym szlafroku i z rozczochraną głową. Lestrade przedstawił go nam., Był to właściciel tego domu, Mr. Horacy Harker z Syndykatu Centralnej Prasy.

— Znów chodzi o popiersie Napoleona — rzekł Lestrade. — Zdawało mi się, że to pana wczoraj wieczorem zainteresowało, panie Holmes, sądziłem więc, iż chętnie usłyszysz pan ciąg dalszy, tym bardziej że sprawa przybrała poważny i tragiczny obrót.

— Do czegoż więc doszło?

— Do morderstwa. Mr. Harker, może będzie pan tak dobry i opowie panom dokładnie całe zajście.

Człowiek w szlafroku zwrócił się ku nam. Na jego twarzy odbijało się przygnębienie.

— To jeden z najdziwniejszych wypadków — rzekł. — Całe życie trudniłem się zbieraniem wszelkiego rodzaju nowin i opisywaniem ich w gazetach, a teraz, kiedy wydarzył się u mnie samego wypadek zwracający ogólną uwagę, jestem do tego stopnia zmieszany, że nie mogę skleić porządnie na ten temat nawet dwóch słów. Gdybym przybył tu jako reporter, to co innego! Miałbym artykuł na dwie szpalty. Ale w tej sytuacji jestem zupełnie niezdolny do niczego; opowiadam innym całą tę historię i muszę patrzeć, jak ją zużytkowują! Stratę tę pokryłby jednak

fakt, Mr. Holmes — znam pańskie nazwisko — że wyjaśnilby pan zagadkę, o której będę teraz mówił.

Holmes usiadł i słuchał.

— O ile mi się wydaje, centrum w tej sprawie stanowi popiersie Napoleona, które przed czterema miesiącami kupiłem i wstawiłem do tego pokoju. Nabyłem je za tanie pieniądze u braci Harding, którzy mają swój sklep o dwa domy od stacji High Street. Jako dziennikarz pracuję często po nocach i piszę aż do rana. Tak też było i zeszłej nocy. Siedziałem jak zwykle w mej „jaskini”, że się tak wyrażę, która mieści się na najwyższym piętrze z tyłu, kiedy około trzeciej godziny nad ranem dobiegł mnie jakiś szelest z dołu. Począłem nasłuchiwać, lecz było cicho, stwierdziłem wobec tego, że hałas pochodził z ulicy. Nagle po niespełna pięciu minutach wstrząsnęło mną straszliwe wycie, wycie tak okropne, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałem. Całe życie będzie mi brzmiało w uszach. Jedną lub dwie minuty siedziałem w krześle sparaliżowany przerażeniem, następnie porwałem pograbacz z paleniska i zbiegłem na dół po schodach. Gdy wszedłem do tego pokoju, okno było szeroko otwarte, a popiersie zniknęło z gzymsu kominka, na którym je ustawiłem. Żaden złodziej nie zlakomilby się na taką rzecz, wiedziałem przecież, że odlew był wart bardzo niewiele.

Jak pan widzi, tylko człowiek o bardzo długich nogach mógł z otwartego okna dosięgnąć jednym skokiem najwyższego stopnia schodów frontowych. Gdy otworzyłem bramę i wyszedłem, potknąłem się w ciemności o jakiegoś leżącego człowieka. Był martwy. Wróciłem prędko po świecę i przy jej blasku ujrzałem mężczyznę leżącego na najwyższym stopniu schodów, ze ściągniętymi kolanami i rozchyłonymi ustami. Miał szeroką, otwartą ranę na szyi i niemal pływał we krwi. Do dziś widzę go jeszcze, śni mi się po nocach i sądzę, że będzie się śnił do końca życia. Miałem wówczas, na szczęście, przy sobie gwizdek policyjny. Natychmiast zagwizdałem, potem prawdopodobnie zemdlałem, gdyż nie przypominam sobie niczego więcej aż do chwili, gdy ujrzałem policjantów otaczających mnie w hallu.

— No dobrze, ale kim był zamordowany? — spytał Holmes.

— Niestety, nie mieliśmy jeszcze czasu sprawdzić tożsamości jego osoby — odparł Lestrade. — Może pan obejrzeć ciało w trupiarni, lecz teraz nie możemy właściwie nic o nim powiedzieć. Jest to wysoki, silny mężczyzna z ogorzałą twarzą, liczący nie więcej niż trzydzieści lat. Aczkolwiek dość nędznie ubrany, to jednak nie przypuszczam, żeby był robotnikiem. Składany nóż w rogowej oprawie leżał obok w kałuży krwi. Nie wiem jednak, czy morderstwa dokonano za pomocą tego noża. Części ubrania zamordowanego nie były oznaczone żadnym znakiem czy literą, w kieszeniach nie znaleźliśmy nic prócz jabłka, kawałka sznurka, taniej mapy Londynu i fotografii. Mam ją tu.

Było to niewielkie, migawkowe zdjęcie, przedstawiające człowieka widać żywego i ruchliwego, o małych rysach i zwierzęcych brwiach, także dolna część twarzy wyglądała jakby u pawiana.

— A co się stało z popiersiem? — zapytał Holmes po dokładnym przestudiowaniu fotografii.

— Doniesiono nam o tym bezpośrednio przed pańskim przybyciem. Znalezione je w ogródku jakiegoś niezamieszkałego domu przy Campden Road. Jest rozbite w kawałki. Mam właśnie zamiar pójść tam i obejrzeć je. Czy zechce mi pan towarzyszyć?

— Oczywiście! Muszę jednak wpierw nieco się rozejrzeć.

— Badał dywan i oglądał okna. — Ten drab albo ma nadzwyczaj długie nogi, albo umie świetnie skakać — rzekł.

— Z ogrodu było niezwykle trudno dostać się do okna i otworzyć je... Ale odwrót był stosunkowo łatwy. Czy chce pan iść z nami, panie Harker, aby obejrzeć szczątki popiersia?

Niepocieszony dziennikarz usiadł tymczasem przy biurku.

— Muszę przecież jakoś całą tę sprawę zużytkować — odparł — aczkolwiek nie mam wątpliwości, że pierwsze wydanie wieczornych gazet doniesie o tym w obszernych sprawozdaniach. Taki to już mój los! Czy pamięta pan aferę w Doncaster? Byłem jedynym dziennikarzem, który znajdował się na miejscu zbrodni, a mój dziennik był jedynym, który nie przyniósł żadnego opisu tego zajścia, gdyż byłem zanadto wzburzony, aby cośkolwiek opisać. A teraz spóźnię się z doniesieniem o morderstwie, które popełniono na progu mego własnego mieszkania.

Wychodząc z domu słyszeliśmy, jak jego pióro skrzypiało, posuwając się po papierze.

Miejsce, w którym znaleziono resztki popiersia, oddalone było zaledwie o kilkaset metrów. Po raz pierwszy oczy nasze, to znaczy moje i Holmesa, ujrzały szczątki popiersia słynnego cesarza, który budził widocznie tak wielką nienawiść w duszy tajemniczego nieznanego. Szczątki leżały rozsypane po całym trawniku, Holmes podniósł kilka kawałków i poddał je dokładnemu badaniu. Wyraz jego twarzy i zachowanie dały mi znać, że badanie to nie pozostało bez skutku, że trafił przynajmniej na jakiś ślad.

— No i co? — spytał Lestrade.

Holmes wzruszył ramionami,

— Mamy jeszcze przed sobą długą drogę do celu — rzekł. — Ale coś... już coś mamy, w każdym razie nikle wskazówki, za którymi możemy iść. Posiadanie tego marnego kawałka gipsu było, dla dziwnego zbrodniarza więcej warte niż życie ludzkie. To jeden punkt. Dalej zachodzi dziwny fakt, że nie rozbił popiersia w domu lub bezpośrednio przed nim, jeśli chodziło mu wyłącznie o rozbicie figury.

— Może został zaskoczony przez tego drugiego człowieka. Może nie wiedział, co czyni...

— Tak, to możliwe. Muszę jednak zwrócić pańską uwagę na położenie tego domu w stosunku do ogrodu, w którym, się znajdujemy i w którym rozbito popiersie.

Lestrade spojrział na mego przyjaciela.

— Ten dom jest niezamieszkały; wiedział, zatem, że w tym ogrodzie nikt mu nie przeszkodzi.

— Tak, ale przy tej samej ulicy znajduje się jeszcze jeden niezamieszkały dom, koło którego musiał przechodzić, aby dojść tutaj. Dlaczego nie rozbił popiersia tam w ogrodzie, skoro wiedział, że z każdym krokiem niebezpieczeństwo natknięcia się na kogoś rosło?

— Tu się poddaję! Nie wiem — odparł Lestrade.

Holmes wskazał na uliczną lampę ponad nimi.

— Tu mógł widzieć, tam zaś nie, i to prawdopodobnie było przyczyną.

— Na Jowisza! To racja — rzekł detektyw. — Teraz przypominam sobie, że popiersie doktora Barnicota rozbite było w pobliżu lampy. Lecz jakie wnioski wysuwa pan z tego faktu; panie Holmes?

— Nie należy o nim zapominać, trzeba stale mieć go na uwadze. Może w dalszym przebiegu sprawy będziemy musieli wrócić do niego. Jakie kroki zamierza pan dalej poczynić, panie Lestrade?

— Najlepiej będzie, moim zdaniem, najpierw sprawdzić tożsamość zwłok. To, być może, nie sprawi nam zbyt wiele kłopotu. Gdy dowiemy się, kim on jest i w jakim obracał się środowisku, wówczas łatwo dowiemy się, co robił ostatniej nocy przy Pitt Street, z kim się spotkał i kto go zamordował na schodach Mr. Harkera. Co pan o tym sądzi? Jak by pan postąpił?

— Być może, że pańska droga jest słuszna, ale to nie jest droga, którą ja chcę obrać, aby dojść do sedna sprawy.

— Cóż by więc pan zrobił?

— O, bynajmniej nie chcę panu nic sugerować! Lepiej będzie, jeśli każdy z nas pójdzie własną drogą. Możemy później porównywać i uzupełniać się wzajemnie.

— Więc dobrze — odrzekł Lestrade.

— Gdy powróci pan na Pitt Street i zobaczy Harkera, powiedz mu pan, że doszedłem do wniosku, iż jakiś niebezpiecznie zwariowany lunatyk, o obłądzie na punkcie Napoleona., złożył mu w nocy wizytę. Może zrobić z tego użytek w swoim artykule.

Lestrade spojrział na Holmesa zdziwiony.

— Czy pan wierzy w to, co pan mówi? Holmes uśmiechnął się.

— Może tak, może nie. Dobrze... oczywiście, że nie! Ale przypuszczam, że zainteresuje to pana Harkera i abonentów dzienników Syndykatu Centralnej Prasy. A teraz, Watsonie, musimy stwierdzić, że mamy przed sobą pracowity dzień. Jestem zadowolony, Lestrade, a jeśliby pan mógł, to proszę przyjść do nas na Baker Street o godzinie szóstej wieczorem. Aż do tej pory chciałbym zatrzymać tę fotografię, którą znaleziono przy zamordowanym. Być może, będę zmuszony prosić pana o towarzyszenie mi tej nocy w małej eskapadzie. Jeśli moje przypuszczenia okażą się słuszne, to nie da się tego ominąć. Tymczasem żegnaj pana i życzę powodzenia!

Sherlock Holmes i ja powędrowaliśmy razem przez High Street, gdzie zatrzymaliśmy się w sklepie Braci Harding, u których kupiono popiersie. Jakiś młody subiekt oświadczył nam, że Mr. Harding jest nieobecny i wróci dopiero po południu, a on sam niestety nie może udzielić żadnych, informacji, ponieważ pracuje dopiero od niedawna.

Holmesowi początkowo popsulo to humor, potem jednak rzekł:

— No tak, Watsonie, nie możemy przecież spodziewać się, by wszystko szło zaraz według życzenia. Musimy wstąpić tu po południu, jeśli do tego czasu nie będzie pana Hardinga. Domyślasz się zapewne, że chcę zbadać pochodzenie tych popiersi, co być może, stoi w ścisłym związku z ich obecnym dziwnym przeznaczeniem. Jedźmy teraz na Kennington Road do Hudsona, może tam padnie jakieś światło na nasz problem.

Po upływie godziny znaleźliśmy się przed właścicielem sklepu z antykami. Był to mały, tęgi człowiek, o czerwonej twarzy i porywczym temperamencie.

— Tak, sir. Na mojej ladzie sklepowej, sir — odpowiadał szybko na pytania Holmesa. — Nie wiem doprawdy, po co płacimy podatki i daniny, jeśli pierwszy lepszy łotr może wejść i niszczyć komuś bezkarnie towar. Tak, sir, doktor Barnicot kupił u mnie oba popiersia. To hańba! Sądzę, że to sprawka nihilistów. Tylko anarchiści niszczą takie posągi i popiersia! To sprawka republikanów! Od kogo sprowadziłem te popiersia? Nie wiem doprawdy, co to ma do rzeczy, jeśli pan jednak koniecznie chce wiedzieć, to nabyłem je w formie Gelder & Co. Church Street, Stepney. To dobrze znana firma, założona przed dwudziestu laty. Ile ich miałem? Trzy, dwa i jeden to trzy, dwa sprzedałem doktorowi Barnicot, jeden rozbito w biały dzień, w moim własnym sklepie. Czy znam tę fotografię? Nie, nie znam jej. Chociaż nie, znam ją! Przecież to Beppo! To pewien Włoch, pomagał w sklepie. Miał pokostować, złocić, oprawiać w ramki i inne tym podobne rzeczy. Odszedł ode mnie zeszłego tygodnia i od tego czasu nic o nim nie słyszałem. Nie, nie wiem, skąd przybył ani dokąd odszedł. Jak długo był u mnie, byłem z niego dość zadowolony. Gdy popiersie zrzucono z lady, nie było go już u mnie od dwóch dni.

— Więcej, oczywiście, nie mogliśmy żądać, by nam Hudson powiedział — rzekł Holmes, gdyśmy wychodzili ze sklepu. — Ten Beppo jest wspólnym mianownikiem dla sprawy Kensirigton i dla sprawy Kennington, sądzą więc, że dziesięciomilowa jazda może się opłacić. Pojedziemy bezzwłocznie, Watsonie, do Stepney, do Geldera, gdzie fabrykowano owe popiersia. Byłbym zdziwiony, gdybyśmy nie otrzymali tam żadnych informacji.

W drodze przejeżdżaliśmy przez różne części Londynu: przez dzielnicę teatrów, hoteli, kupców i prasy, aż wreszcie poprzez portową dotarliśmy do dzielnicy leżącej nad Tamizą, liczącej mniej więcej 100 000 mieszkańców, gdzie wśród walących się domów i niezwyklej

nędzy mieszkali europejscy wygnańcy. Tu w szerokiej bocznej ulicy znaleźliśmy ów zakład rzeźbiarski, którego szukaliśmy. Na dziedzińcu stały rozmaite pomniki i posągi. Wewnątrz zabudowania, w wielkiej sali około pięćdziesięciu robotników zajętych było wykuwaniem lub formowaniem figur. Majster, wysoki Niemiec o płowych włosach, przyjął nas grzecznie i dawał na pytania Holmesa jasne i wyczerpujące odpowiedzi. Według jego ksiąg, z marmurowej kopii głowy Napoleona, dłuta Devina, sporządzono setki odlewów z gipsu, ale równocześnie wyjaśnił, że te trzy kopie, które wysłano przed rokiem do Morse Hudsona, pochodziły z jednej i tej samej masy przeznaczonej na sześć odlewów, z których pozostałe trzy sprzedano braciom Harding z Kensington. Tych sześć odlewów w niczym nie różniło się od pozostałych z innych serii. Nie rozumiał więc, dlaczego ktoś chciał je niszczyć, sam pomysł wzbudził w nim śmiech. Cena fabryczna wynosiła sześć szylingów, kupiec brał dwanaście, a nawet więcej. Popiersie sporządzano w ten sposób, że robiono odlew modelu z każdej połowy twarzy osobno, następnie oba profile łączono w jedną całość. W sali, gdzie obecnie się znajdowali, pracowali głównie Włosi i oni też wykonywali główną robotę. Gdy kończył mówić, na stole w przejściu ustawiano właśnie popiersia, aby wyschły, potem przenoszono je do magazynu.

To było wszystko, czegośmy się dowiedzieli od niego. Mówił spokojnie i jasno.

Skoro jednak ujrzał fotografię, zaszła w nim niespodziewana zmiana. Zmarszczył czoło i zaczerwienił się ze złości. Błękitne teutońskie oczy pociemniały.

— Ach, to ten łotr! — wykrzyknął. — Tak, istotnie, znam go bardzo dobrze. Byliśmy zawsze poważną i szanowaną firmą, a policja była u nas tylko raz i to z powodu tego nicponia. Było to może rok temu. Zakłuł na ulicy nożem jakiegoś swego rodaka, a potem wrócił tu do pracy; policja jednak następowwała mu na pięty i przybyli tu za nim. Beppo, takie miał imię, nazwiska nigdy nie znałem. Niech mnie Bóg broni, abym przyjął jeszcze kiedykolwiek człowieka z taką małą twarzą. Ale to był doskonały fachowiec, jeden z najlepszych.

— Ile wtedy dostał?

— Ten zraniony nie zmarł i dlatego dostał tylko rok. Zdaje się, że dostał tylko rok. Przypuszczam, że już wyszedł, ale dotychczas nie pokazał się tu. Jakiś jego kuzyn jest jeszcze u nas, przypuszczam, że on będzie mógł pana lepiej poinformować.

— Nie, nie! — zawołał Holmes — nie mów pan nic, temu kuzynowi, ani słowa! Proszę pana o to. Sprawa, którą badam, jest niezmiernie skomplikowana i im bardziej w nią wnikam, tym wydaje mi się poważniejsza. Gdy zaglądał pan do książki, aby zbadać, kiedy sporządzono owe popiersia, zauważyłem, że było to trzeciego czerwca zeszłego roku. Czy zna pan datę aresztowania Beppa?

— Znajdziemy ją w książce wypłat — odparł majster. — Tak jest — mówił dalej, zaglądając do książki — ostatni raz otrzymał pensję dwudziestego maja.

— Dziękuję panu — rzekł Holmes. — Sądzę, że nie będę potrzebował trudzić pana więcej. Proszę raz jeszcze, aby zachowano całkowite milczenie co do celu mojej wizyty. Ostrożność tego wymaga. — Z tymi słowami wycofaliśmy się i skierowaliśmy kroki z powrotem do dzielnic wschodnich.

Było już późne popołudnie, gdy wreszcie znaleźliśmy wolną chwilę, by udać się na przekąskę do restauracji. Zaraz przy wejściu spostrzegliśmy nadzwyczajne wydanie gazety z dużym napisem: „Przestępstwo w Kensington. Morderstwo obłąkanego”. W dalszym ciągu treść artykułu wskazywała, że pisał go Mr. Horacy Harker. Sensacyjny i kwiecisty opis całej afery zajmował przeszło dwie kolumny. Holmes kazał sobie podać numer gazety, by przeczytać podczas jedzenia. Czytając bawił się wspaniale.

— Nasz przyjaciel Harker doskonale wywiązał się ze swego nadania; Watsonie, posłuchaj następującego ustępu: „Z zadowoleniem możemy stwierdzić, że w tym wypadku nie ma żadnej

różnicy zdań, gdyż Mr. Lestrade, jeden z najbardziej doświadczonych urzędników Scotland Yardu, i znany prywatny detektyw Sherlock Holmes, zupełnie niezależnie od siebie doszli do zgodnego wniosku, że seria groteskowych wydarzeń z ostatnich dni, które tak tragicznie zakończyły się wczorajszej nocy, jest spowodowana raczej przez obłąkanego niż zbrodniarza postępującego z rozmysłem. Wszelkie okoliczności świadczą za tym, że sprawcą może być tylko człowiek pomyłony, „

— Prasa, Watsonie — dodał Holmes — to cenna instytucja, tylko trzeba ją umiejętnie wykorzystywać. A teraz, gdy tylko zjesz, wrócimy do Kensington i zobaczymy, co nam powiedzą u braci Harding.

Założyciel tego wielkiego domu handlowego był człowiekiem małego wzrostu i żywego usposobienia.

— Tak, sir, czytałem już opis tego w wieczornych gazetach. Mr. Horacy Harker jest moim stałym klientem. Sprzedaliśmy mu to popiersie przed kilkoma miesiącami. Mieliśmy trzy egzemplarze wykonane przez firmę Gelder & Co. Wszystkie trzy zostały sprzedane. Komu? To możemy panu łatwo powiedzieć. Mamy wszystko zapisane. Tak, oto jest: jedno Mr. Harker, drugie Mr. Jozue Brown z Chiswick, trzecie zaś Mr. Sandeford z Lower Grove Road, Reading. Może chce pan przekonać się naocznie? Nie, tej twarzy z fotografii nie znam, nigdy jej nie widziałem. Pan by ją pamiętał na pewno, prawda, sir? Takiej twarzy, jak się ją raz widziało, nie można zapomnieć. Czy, mamy w personelu Włochów? Tak, mamy kilku włoskich robotników. Mogli z łatwością zaglądać do naszych ksiąg. Nie mamy powodu trzymać ich pod zamknięciem. Tak, tak, to rzeczywiście dziwna i zawiślana sprawa. Spodziewam się, że kiedyś doniesie mi pan, jeśli zajdzie coś nowego. Podczas rozmowy z Hardingiem Holmes porobił sobie rozmaite zapiski i widziałem, że jest całkowicie zadowolony z przebiegu sprawy. Nie uczynił wprawdzie żadnej uwagi, oświadczył jedynie, że jeśli się nie pośpieszymy, to spóźnimy się na umówione spotkanie z Lestradem. Wróciwszy do domu, zastaliśmy już w naszym mieszkaniu inspektora, przechadzającego się niecierpliwie po pokoju. Po ważnej minie widać było, że i jego dzisiejsza praca nie była daremna.

— No i cóż? — spytał. — Poszczęściło się panu, panie Holmes?

— Mieliśmy dziś pracowity i owocny dzień — odparł mój przyjaciel. — Odszukaliśmy obu kupców i fabrykę, w której wytwarzano owe popiersia. Mogę teraz wyśledzić pochodzenie każdego popiersia.

— Popiersia?! — zawołał Lestrade. — Tak, tak, pan ma własną metodę, panie Holmes, i nie chcę nic mówić przeciw niej, sądzę jednak, że ja pożyteczniej spędziłem dzisiejszy dzień. Stwierdziłem tożsamość zwłok.

— Co pan mówi!

— I znalazłem powód zbrodni.

— Wspaniale!

— Mamy, mianowicie, inspektora, który specjalizuje się w tajnikach włoskiej dzielnicy. Jest nim Saffron Hill. Z katolickiego symbolu, który zamordowany nosił na szyi, i z brunatnej cery twarzy wnosłem, że jest Włochem; Hill zaś, którego wciągnąłem do sprawy, natychmiast rozpoznał zwłoki denata. Nazywa się on Venucci, pochodzi z Neapolu i był jednym z najniebezpieczniejszych ptaszków w Londynie. Był związany z Mafią; jest to, jak panu wiadomo, tajna organizacja polityczna, która na swym sztandarze wypisała morderstwo, Teraz zobaczy pan, w jaki sposób wyjaśnia się nasza sprawa. Morderca jego jest również Włochem i należy do Maffii. Złamał jakieś tam przepisy, a Pietro miał go za to ścigać. Fotografia, którą znaleźliśmy przy zwłokach, jest prawdopodobnie podobizną mordercy; Pietro otrzymał ją na pewno w tym celu, aby wykluczyć pomyłkę i nie zakłuć kogo innego. Tropi go więc, nagle spostrzega, że tamten

wkrada się do jakiegoś domu, rzuca się więc na niego i wywiązuje się walka. W tej walce sam niestety, otrzymuje cios śmiertelny! Cóż pan na to, Mr. Holmes? Holmes klasnął w dłonie z uznaniem.

— Wspaniale, Lestrade, wspaniale! — zawołał. — Nie rozumiem jednak, jak pan wyjaśni niszczenie popiersi.

— Popiersi?! Ciągłe chodzą panu po głowie te popiersia! To okoliczności uboczne, zwykła kradzież, najwyżej sześć miesięcy więzienia! W pierwszym rzędzie musimy szukać mordercy i muszę panu oświadczyć, że wszystkie nici trzymam już w ręku.

— I co dalej zamierza pan uczynić?

— Nie ma się co nad tym zastanawiać. Udam się z Hillem do włoskiej dzielnicy, odszukam przy pomocy fotografii owego ptaszka i aresztuję go, oskarżając o morderstwo. Czy pójdzie pan z nami?

— Sądę, że nie. Zdaje mi się, że cel możemy osiągnąć w łatwiejszy sposób. Nie mogę tego twierdzić stanowczo, ponieważ wszystko zależy od... No tak, wszystko zależy od jednego punktu, który całkowicie wymyka się spod naszej kontroli. Mam jednak wielką nadzieję, mogę nawet założyć się, że jeśli przyłączyłby się pan tej nocy do nas, mógłbym pomóc panu w ujęciu zbrodniarza.

— W dzielnicy włoskiej?

— Nie. Sądę, że pewien znany mi adres w Chiswick może nam więcej pomóc. Jeśli zechce pan udać się ze mną tej nocy do Chiswick, Lestrade, to przyrzekam panu, że jutro pójdę z panem do dzielnicy włoskiej, przecież ta mała zwłoka nie może zaszkodzić. A teraz przydałoby się nam wszystkim kilka godzin snu, proponuję zatem, abyśmy nie wybierali się w drogę przed jedenastą, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wrócimy przed świtem. Może pan zjeść z nami, Lestrade, a potem wypocznie pan nieco na sofie. Watsonie, zadzwoń tymczasem na posłańca, muszę jeszcze wysłać bardzo ważny list. Zależy mi na tym, aby szybko dotarł do miejsca przeznaczenia.

Cały wieczór Holmes przerzucał stare gazety zmagazynowane w naszej komórce na rupiecie. Gdy zeszedł wreszcie na dół, miał minę triumfującą, nie powiedział jednak żadnemu z nas o wyniku swych poszukiwań. Co do mnie, który śledziłem metodę, jaką stosował przy badaniu wszystkich błędnych dróg naszego obecnego zawilego wypadku, to — jakkolwiek nie mogłem jeszcze znać ostatecznego celu jego starań — byłem przekonany, że chce ująć dziwnego zbrodniarza przy kradzieży dwóch pozostałych popiersi, z których jedno — o ile sobie przypominam — znajdowało się w Chiswick. Bez wątpienia mieliśmy chwycić go na gorącym uczynku i podziwiałem podstęp mego przyjaciela, który umyślnie puścił fałszywy ślad do wieczornych gazet, aby owego ptaszka pozostawić w mylnym mniemaniu, że; może dalej spokojnie oddawać się swej profesji. Nie byłem więc zaskoczony, gdy Holmes oświadczył mi, bym zaopatrzył się w rewolwer. On sam również obciążył się ulubionym olbrzymim pistoletem.

O godzinie jedenastej przed domem stał powóz. Pojechaliśmy do mostu Hammersmith, gdzie woźnica zatrzymał konia. Tu miał zaczekać na nas. Stąd poszliśmy kawałek pieszo i weszliśmy w ulicę gęsto po obu stronach usianą małymi domkami, otoczonymi pięknymi ogródkami. U wejścia jednego z nich przeczytaliśmy w świetle ulicznej latarni napis „Willa Laburnhum”. Mieszkańcy widocznie już spali, gdyż wszędzie było ciemno, tylko przez małe, okrągłe okienko nad bramą padało na ścieżkę ogrodową słabe światło. Skryliśmy się w cieniu gęstego, drewnianego parkanu dzielącego ogród od ulicy.

— Obawiam się że będziemy musieli długo czekać — wyszeptał Holmes. — Możemy być szczęśliwi, że nie pada. Myślę, że nie powinniśmy nawet palić. Mamy jednak widoki, że nasz trud zostanie wynagrodzony.

Nie czekaliśmy jednak tak długo, jak Holmes przypuszczał. Po krótkim czasie, chociaż nie słyszeliśmy przedtem żadnego szelestu, nagle otworzyły się drzwi ogrodowe. Jakaś smukła, ciemna sylwetka poczęła ruszać się tak szybko i zwinnie jak małpa. Podążała ścieżką ogrodową ku domowi. Widzieliśmy, jak przebiegała przez smugę światła i jak znikła w cieniu domu. Nastąpiła dłuższa pauza, było tak cicho, że musieliśmy wstrzymać oddech. Po chwili doszedł nas jakiś skrzypiący odgłos. Otworzono okno. Znowu cisza — widocznie wszedł już do środka. Włamywacz szukał czegoś we wnętrzu ciemnego domu. Nagle ujrzelśmy błysk w oknie oświetlonym przez uliczną latarnię! Zdaje się jednak, że włamywacz nie znalazł tego, czego szukał, gdyż błysk ten powtórzył się w innych oknach.

— Teraz podejźmy ostrożnie pod otwarte okno — szepnął Lestrade. — Złapiemy go w chwili, gdy będzie zląził na dół.

Nim jednak zdołaliśmy pójść za jego wezwaniem, złodziej ukazał się w oknie i po chwili był już na dole. Gdy wszedł w smugę światła padającego z okienka nad bramą, ujrzelśmy, że pod pachą niósł coś białego. Rozglądał się trwożliwie dokoła. Cisza bezludnej ulicy dodała mu pewności siebie. Skręcił koło nas i położył na ziemi swą zdobycz. W chwilę potem usłyszeliśmy silne uderzenie, po którym nastąpił brzęk. Człowiek ten odwrócony był do nas plecami i tak zatopiony w swej pracy, że nie spostrzegł, jak czołgaliśmy się po murawie. Potężnym, tygrysim skokiem Holmes rzucił się na jego kark i w jednej chwili ja i Lestrade uchwyciliśmy bandytę za ręce, wiążąc je w uprzednio przygotowanych kajdankach. Gdy położyliśmy go na plecach, wpatrzyła się w nas brzydka, żółta twarz o wykrzywionych wściekłością rysach. Poznałem teraz po tej małpiej twarzy, że mamy przed sobą człowieka z fotografii!

Lecz Holmes nie zwracał na naszego więźnia najmniejszej uwagi, Przysiadł w pobliżu schodów i starannie badał kawałki jakiegoś białego przedmiotu, który złodziej ukraść i potłukł. Było to takie samo popiersie Napoleona, jakie już widzieliśmy dziś rano. Popiersie zostało rozbite w taki sam sposób, jak wszystkie poprzednie. Holmes ostrożnie brał każdy kawałek i badał go pod światło, lecz żaden z nich w niczym się nie różnił od jakiegokolwiek innego kawałka gipsu. Właśnie ukończył badanie, gdy hall zajaśniał światłem i równocześnie otworzono drzwi wejściowe. To wyszedł właściciel willi, jowialny, pulchny jegomość, odziany jedynie w spodnie i koszulę.

— Mr. Jozue Brown? — zapytał z ciemności głos Holmesa.

— Tak, sir, do usług... A, to pewnie Mr. Sherlock Holmes? Dostałem pański list, który posłał mi pan przez posłańca, i postąpiłem dokładnie według wskazówek zawartych w nim. Pozamykaliśmy w domu wszystkie drzwi i czekaliśmy na to, co nastąpi. Cieszy mnie, że złapał pan tego łajdaka. Czy mogę poprosić panów do siebie na małą przekąskę?

Lestrade chciał jednak jak najszybciej mieć jeńca pod kluczem, dlatego też pobyt nasz nie trwał długo. Gdy po kilku minutach został sprowadzony nasz powóz, wsiedliśmy zaraz i pojechaliśmy na powrót do Londynu. Jeniec nie mówił nic, tylko wpatrywał się w nas strasznym wzrokiem spod bujnych, czarnych włosów spadających mu na czoło, a gdy w pewnym momencie moja ręka znalazła się w pobliżu jego zębów, uchwycił ją jak dzikie zwierzę. Zatrzymaliśmy się dłużej na posterunku policji, ponieważ przeszukanie pojmanego wymagało wiele czasu. Niczego ciekawego jednak nie znaleziono prócz drobnej monety i długiego noża o kształcie sztyletu z pochwą. Ważny jednak był fakt, że na sztylcie widniały świeże ślady krwi.

— Wszystko się zgadza — rzekł Lestrade, gdyśmy się rozstawali. — Reszta wyjaśni, się z nadejściem Hilla, on zna to całe towarzystwo, pozna więc chyba i tego. Zobacz pan, że moja teoria co do Mafii jest słuszna i że dzięki niej będziemy mogli wszystko wytłumaczyć. Tymczasem jestem panu bardzo zobowiązany, Mr. Holmes, za szybkie i sprawne ujęcie mordercy. Jednak nie wszystko całkiem rozumiem w tej sprawie.

— Obawiam się, że jest już zbyt późno, żeby zagłębiać się w wyjaśnienia — odparł Holmes. — Zresztą i dla mnie jest jeszcze jeden punkt niejasny. Ten wypadek wart jest, żeby zbadać go do samego końca. Gdybyś pan zechciał przyjść do nas jutro o godzinie szóstej wieczorem, to może wykazałbym panu, że jeszcze i teraz nie pojął pan tej sprawy: pod pewnymi względami nie ma ona przykładu w historii kryminalistyki. Jeżeli kiedyś, Watsonie, udzielę ci pozwolenia na skreślenie historii moich przygód, to prawdopodobnie przygoda z sześcioma popiersiami Napoleona będzie tworzyć szczególnie zajmujący rozdział.

Następnego wieczora przybył do nas Lestrade. Był już w posiadaniu wielu wiadomości dotyczących naszego jeńca. Imię jego brzmiało prawdopodobnie Beppo, nazwisko było jednak nieznane. Ten Beppo to dobrze znany gałgan z włoskiej kolonii. Zanim stał się łajdakiem, był bardzo zręcznym i pracowitym rzeźbiarzem. Zszedł jednak na bezdroża i już dwa razy był karany więzieniem: raz za kradzież, a raz za nożownictwo. Doskonale zna język angielski. Powody, które skłoniły go do niszczenia popiersi, nie są jeszcze znane, odmawia wszelkich zeznań na ten temat; policja dowiedziała się jednak, że jest bardzo możliwe, iż on sam sporządzał te popiersia, gdyż pracował w zakładzie Gelder & Co. Wszystkim tym informacjom Holmes przysłuchiwał się z grzecznym uśmiechem. Znając dobrze mego przyjaciela, wiedziałem, że myślami był gdzie indziej. Chociaż twarz jego niczego nie zdradzała, czułem, że niecierpliwi się i na coś czeka. Nagle zerwał się z krzesła, oczy mu zabłyśły. Dzwonek. W minutę później usłyszeliśmy kroki na schodach i po chwili wprowadzono jakiegoś człowieka o czerwonej twarzy i siwej brodzie. W prawej ręce trzymał staroświecką torbę podróżną, którą ostrożnie postawił na stole.

— Czy jest tu Mr. Sherloek Holmes?

Mój przyjaciel skłonił się z uśmiechem i rzekł:

— Czy mam przyjemność z Mr. Sandefordem z Reading?

— Tak, panie. Niestety, nieco się spóźniłem, lecz nie miałem dobrego połączenia na kolei. Pisał pan o tym popiersiu, które posiadam.

— Tak jest.

— Mam tu pański list — mówił dalej przybyły. — Pisze pan: „Zamierzam kupić kopię popiersia Napoleona dłuta Devina i dałbym panu za nie dziesięć funtów”. Czy tak?

— Istotnie.

— List pański zdziwił mnie trochę. Nie rozumiem; skąd pan wie, że mam u siebie coś takiego?

— Oczywiście, że musiał pan być zdziwiony. A jednak to zupełnie proste. Mr. Harding, z firmy Bracia Harding, powiedział mi, że pan kupił ostatnią kopię popiersia, i podał mi również pański adres.

— Ach, to tak, to tak... Czy podał też panu cenę, którą ja zapłaciłem?

— Nie, nie podał.

— Dobrze więc. Jestem uczciwy, choć niebogaty, zapłaciłem jedynie piętnaście szylingów; nie chcę tego ukrywać przed przyjęciem dziesięciu funtów.

— Cenię sobie pańską uczciwość, Mr. Sanderford, ale ponieważ już raz ofiarowałem panu tę kwotę, więc nie mogę jej zmienić.

— Dobrze, ale postępuje pan dość wspaniałomyślnie, Mr. Holmes. Stosownie do pańskiego życzenia przywiozłem popiersie ze sobą. Oto jest! — otworzył torbę i wyjął z niej wierną kopię Napoleona Devina, taką samą jaką widzieliśmy już przedtem rozbitą w drobne kawałki.

Holmes wyjął z kieszeni jakiś papier i położył go na stole. Wraz z papierem pojawił się banknot dziesięciofuntowy.

— Czy zechce pan podpisać przy świadkach to pismo, Mr. Sanderford? Treścią jego jest zrzeczenie się tego popiersia i przeniesienie praw do jego posiadania na mnie. Jestem, jak pan

widzi, człowiekiem ostrożnym, a nigdy nie można przewidzieć, co później wyniknie z takiej rzeczy... Dziękuję panu, oto pańskie pieniądze. Życzę dobrej nocy.

Skoro tylko gość nasz wyszedł, Sherlock Holmes skoczył w kierunku popiersia tak żywo, że poczuwszy coś niezwykłego, utkwiliśmy w nim zaciekawiony wzrok. Następnie wyjął z szuflady kawałek czystego sukna i rozłożył je na stole. Na środku rozpostartego materiału postawił nowo zakupione popiersie. Wreszcie wziął do ręki pistolet i strzelił w sam środek głowy Napoleona. Figura rozpadła się w kawałki, które Holmes pozbierał i począł oglądać z zaciekawieniem. Nagle wydał okrzyk triumfu i podniósł w górę kawałek, w którym tkwił okrągły, ciemny przedmiot jak rodzynek w cieście.

— Panowie! — wykrzyknął — pozwólcie, że pokażę wam sławną czarną perłę Borgiów.

Lestrade i ja milczeliśmy przez chwilę jak sparaliżowani, potem zaczęliśmy impulsywnie klaskać jak publiczność w teatrze w chwili, gdy nadeszło rozwiązanie sztuki. Przelotny rumieniec na moment zabarwił policzki mego przyjaciela. Holmes skłonił się jak artysta dramatyczny, który dziękuje audytorium za uznanie. W tym momencie — choć ten dumny i zamknięty w sobie mężczyzna brzydził się publiczną pochwałą — był głęboko wzruszony tym mimowolnym uznaniem ze strony przyjaciela. Była to chwila, w której ten beznamiętny myśliciel stał się nagle zwykłym człowiekiem, podlegającym jak inni zwykłym, ludzkim uczuciom.

— Tak, moi panowie — powiedział — jest to najslawniejsza perła z istniejących obecnie na świecie, a ja miałem to niebywałe szczęście, że za pomocą szeregu logicznych wniosków wyśledziłem jej drogę od sypialni księcia Colony w hotelu Dacre, gdzie zginęła, aż do wnętrza tego ostatniego z sześciu popiersi Napoleona wyprodukowanych w firmie Gelder & Co. w Stepney. Może pan sobie przypomina, Lestrade, jaką sensację wzbudziło wtedy zniknięcie tego klejnotu i jak policja londyńska daremnie trwoniła czas, aby go odnaleźć? Wówczas i mnie zaproszono jako konsultanta, lecz tak jak i inni niczego nie wyjaśniłem. Podejrzenie padło na pokojówkę księżny, młodą Włoszkę. Nie można było jej niczego dowieść, prócz tego, że miała brata w Londynie; bliższego związku między nią, a tą sprawą nie znaleziono. Dziewczyna nazywała się Lucretia Venucci, a według ściśle przeprowadzonego rozumowania ów Pietro, który został zamordowany poprzedniej nocy, był właśnie jej bratem. W starych gazetach poszukałem pewnych dat i stwierdziłem, że perła znikła dwa dni przed uwięzieniem Beppa. Szukano go wtedy z powodu jakiejś nożowniczej sprawy i ujęto w warsztatach Geldera & Co. właśnie w chwili produkowania tych popiersi. To co teraz opowiem, będziecie mogli łatwo zrozumieć. Wyjaśniam jednak, że przede mną stały one w całkowicie innym porządku. Beppo posiadał perłę. Może ukradł ją Piętrowi, a może był tylko współnikiem; trzecią możliwością jest, że był jedynie pośrednikiem między bratem a siostrą. Obojętne, które z tych przypuszczeń jest prawdziwe, nie zmienia to i tak postaci rzeczy.

Najważniejszym natomiast faktem jest to, że perłę miał przy sobie w momencie, gdy tropiła go policja. Uciekał w kierunku warsztatów, w których pracował, a gdy znalazł się tam, uzmysłowił sobie, że za kilka minut będą go rewidować i że znajdą perłę. Pozostało zaledwie kilka minut... Wtem wzrok jego pada na sześć popiersi Napoleona, suszących się na podwórzu przed halą. Jedno z nich było jeszcze miękkie. Nie namyślał się długo. Beppo był dobrym robotnikiem; wcisnął zatem perłę w gipsowe ciasto i kilkoma zręcznymi ruchami palców zamknął otwór, nie pozostawiając najmniejszego śladu. Był to świetny schowek. Komu przyszłoby na myśl szukać perły w takim miejscu? Lecz Beppo musiał na rok pójść do więzienia, a tymczasem tych sześć popiersi Napoleona rozproszyło się po całym Londynie. Oczywiście nie wiedział, w którym z nich skarb jest ukryty. Mógł go znaleźć tylko w jeden sposób, mianowicie niszcząc każde popiersie, samo bowiem potrząsanie nie wystarczyło, gdyż perła została wciśnięta i prawdopodobnie silnie przylepiła się do mokrego gipsu. Tak też było faktycznie, jak sami

przekonaliśmy się. Beppo z godnym uznania zapałem i wytrwałością rozpoczął poszukiwania. Od kuzyna, który również pracował u Geldera, dowiedział się, które osoby kupiły tamte popiersia. Udało mu się znaleźć pracę u Morse Hudsona, gdzie przeszukał trzy popiersia. Perły jednak nie znalazł. Przy pomocy pewnego włoskiego urzędnika, zatrudnionego u Hardinga, dowiedział się, gdzie są pozostałe trzy. Pierwsze było u Harkera. Tam się udał, a za nim jego towarzysz i wspólnik Pietro, aby pociągnąć Beppę do odpowiedzialności z powodu zniknięcia perły. Doszło do bójki, w której Beppo zakłuł tamtego nożem.

— Jeżeli Beppo był wspólnikiem, to dlaczego Pietro nosił w kieszeni jego fotografię? — spytałem.

— Aby pomóc mi sobie w czasie wypytywania osób trzecich. Szukał go przecież, musiał więc zasięgać o nim różnych informacji. Trudno by miał jakiś inny powód. Po bójce, która zakończyła się tak tragicznie, Beppo — według mego rozumowania — musiał przyspieszyć swe poszukiwania, bał się, że policja wpadnie na jego trop i przejrzy jego tajemnicę. Musiał wydostać perłę wcześniej, niż zdoła go ująć policja. Oczywiście nie wiedziałem, czy znalazł perłę u Harkera, nie wiedziałem w ogóle, że to ma być perła; wiedziałem jedynie, że szukał czegoś, inaczej bowiem nie niósłby popiersia tak daleko wzdłuż kilku domów właśnie do ogrodu, gdzie latarnia rzucała światło. Ponieważ popiersie Harkera było pierwszym z trzech pozostałych, więc szansę moje przedstawiały się dokładnie dwa do jednego. Pozostały jeszcze dwa popiersia i należało przypuszczać, że najpierw odszuka to, które znajduje się w mieście. Ostrzegłem więc mieszkańców willi „Laburnhum”, gdzie znajdowało się jedno z nich. Potem udaliśmy się tam osobiście i jak wiemy, osiągnęliśmy dobry rezultat. W tym czasie powziąłem pewność, że chodzi tu o perłę Borgiów. Nazwisko zamordowanego tworzyło łączące ogniwo między oboma wypadkami. W Reading pozostała jeszcze jedna figura gipsowa — w tej więc musiała znajdować się perła. Odkupiłem zatem to ostatnie popiersie i obecnie mam zaszczyt przedstawić wam tę oto czarną perłę!

Milczeliśmy przez chwilę.

— Widziałem już pana działającego w różnych wypadkach — rzekł wreszcie Lestrade — nigdzie jednak, o ile sobie przypominam, nie wykazał pan takiej jak teraz bystrości umysłu i przenikliwości. Nie zazdrościmy panu tego w Scotland Yardzie. Przeciwnie, jesteśmy z pana dumni i gdy zajrzy pan do nas jutro, wszyscy — od najstarszego inspektora do najmłodszego posterunkowego — z radością uścisną panu dłoń.

— Dziękuję panu! — rzekł Holmes. — Dziękuję — i odwrócił się do nas. Wydawało mi się, że jest bardziej wzruszony niż kiedykolwiek przedtem. W następnej chwili był już znowu zimnym myślicielem.

— Włóż perłę do kasy, Watsonie — rzekł — potem wyjmij z szafy akta sprawy fałszerstwa Conk–Singleton. Do widzenia, Lestrade! Jeżeli będzie pan znów miał jakiś drobny problem do rozwiązania, chętnie — o ile będę mógł — udzielę wskazówek.

ENERGICZNA GUWERNANTKA

PRZEL. IRENA SZELIGOWA

THE COPPER BEECHES

Człowiek, który kocha sztukę dla sztuki — zauważył Sherlock Holmes, odkładając na bok stronę z ogłoszeniami w „Daily Telegraph” — przeważnie najwięcej radości czerpie z najmniej znaczących i najskromniejszych jej przejawów. Z przyjemnością obserwuję, Watsonie, że i ty uznałeś to za słuszne i w krótkich opisach naszych przygód, które byłeś łaskaw odtworzyć i — czuję się w obowiązku dodać — nieco upiększyć, uwydatniłeś nie te liczne *causes celebres* ani sensacyjne procesy sądowe, w jakich występowałem, lecz raczej przypadki nie posiadające same w sobie wielkiego znaczenia, ale dające pole do wykazania umiejętności dedukcji i logicznej syntezy, którą to dziedzinę uczyniłem: swoją specjalnością.

— A mimo to — odrzekłem uśmiechając się — nie uważam, aby moje zapiski były wolne od ładunku sensacji, która przeważała wbrew mej woli.

— Być może, popełniłeś błąd — zauważył, chwytając szczypcami płonący żużel i odpalając od niego długą fajkę z wiśniowego drzewa, która zazwyczaj zastępowała mu glinianą, gdy bywał bardziej skłonny do dysputy niż do medytacji. — Być może, popełniałeś błąd, usiłując każdemu swemu sprawozdaniu dodać barw i życia, zamiast poprzestać na zaprotokołowaniu ścisłego dedukowania ze skutków o przyczynach, które jest doprawdy jedynym godnym uwagi momentem w tej sprawie.

— Wydaje mi się, że pod tym względem oddałem ci całkowicie sprawiedliwość — zauważyłem dość chłodno, gdyż mierzył mnie ten egzotyzm, będący, jak niejednokrotnie zaobserwowałem, poważnym czynnikiem w osobliwym charakterze mego przyjaciela,

— Nie, to nie jest samolubstwo ani zarozumiałość — rzekł Holmes, odpowiadając swoim zwyczajem raczej na moje myśli niż na słowa. — Jeżeli żądam, aby całkowicie doceniano moją sztukę, to dlatego, że jest ona rzeczą bezosobową, czymś, co działa poza mną. Zbrodnia jest pospolita. Logika jest rzadka. Dlatego też powinienes kłaść nacisk raczej na przejawy logiki niż na samą zbrodnię. A ty zdegradowałeś temat, z którego mógł powstać cykl wykładów, do serii opowiadań.

Był chłodny poranek wczesnej wiosny, więc po śniadaniu usiedliśmy z obu stron wesołego ognia w naszym starym pokoju przy Baker Street. Gęsta mgła kłębiła się nisko pomiędzy rzędami ciemnobrunatnych domów, a znajdujące się naprzeciwko okna wyglądały z daleka jak ciemne, bezkształtne plamy wynurzające się z ciężkich, żółtych zawojów. Zapalona lampa gazowa jaśniała nad białym obrusem, a jej migotliwe światło odbijało się w porcelanie i metalu sztućca, albowiem nakrycia nie były jeszcze sprzątnięte. Sherlock Holmes był przez całe rano milczący, pochłonięty kolumnami ogłoszeń różnych dzienników, aż w końcu zrezygnował z poszukiwań i ulegając niezbyt miłemu nastrojowi, zaczął mi robić wykład na temat moich literackich niepowodzeń.

— Poza tym — zauważył po małej przerwie, podczas której siedział pykając ze swojej długiej fajki i patrząc w ogień — nie wydaje mi się, aby cię można było oskarżać o sensację, ponieważ z tych przypadków którymi byłeś łaskaw się zainteresować, znaczna część nie traktowała o przestępstwie w znaczeniu prawnym. Owa błaha sprawa, w której starałem się pomóc królowi Bohemii, niezwykła przygoda panny Mary Sutherland, problem związany z człowiekiem o wykrzywionej wardze, przeżycie szlachetnie urodzonego oblubieńca, to wszystko były sprawy

nie podlegające sądownictwu. Obawiam się jednak, że gdybyś się zupełnie wyzbył sensacji, znalazłbyś się na pograniczu trywialności.

— I tak by się w końcu stało — odpowiedziałem. — Ale metody, które opisuję, są nowe, nie znane i interesujące.

— Phi, mój drogi, co mogą obchodzić szerokie masy mało spostrzegawczej publiczności, która nie potrafi rozpoznać tkacza po zębie, a kompozytora po jego lewym kciuku, subtelne odcienie analizy i dedukcji? Ale istotnie, o ile nawet stałeś się trywialny, nie mogę mieć do ciebie o to pretensji, gdyż dni wielkich wydarzeń przeminęły. Człowiek, a przynajmniej przestępca, stracił wszelką przedsiębiorczość i oryginalność. Jeśli zaś chodzi o moją własną niewielką praktykę, wydaje mi się, iż uległa zwyrodnieniu, stając się agencją do odnajdywania zgubionych ołówków automatycznych i udzielania porad pensjonarkom. Myślę że doszedłem już do kresu mej kariery. Kartka, którą otrzymałem dziś rano, świadczy najlepiej o moim ponizeniu. Przeczytaj ją! — Rzucił mi zmięty list.

Był nadany z placu Montague ubiegłego wieczoru i zawierał co następuje:

Szanowny panie!

Mam zamiar zwrócić się do pana po poradę, czy powinnam przyjąć zaoferowaną mi posadę guwernantki, czy też nie. O ile nie sprawi to panu kłopotu, pozwolę sobie wpaść jutro o godzinie 10. 30.

Z poważaniem — Violetta Hunter

— Znasz tę młodą damę? — spytałem.

— Ja? Nie.

— W tej chwili jest akurat 10.30.

— Tak. I niewątpliwie to ona dzwoni.

— Może się zdarzyć, że sprawa ta okaże się ciekawsza, niż przypuszczasz: Pamiętasz historię błękitnego diamentu, która z początku wyglądała na rzecz błahą, a jednak później wywiązało się z tego poważne dochodzenie. W tym wypadku może być podobnie.

— Cóż, miejmy nadzieję. Wątpliwości nasze niebawem się rozproszą, bowiem, o ile się nie mylę, oto jest osoba, o którą chodzi.

Zaledwie wymówił te słowa, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła młoda dama. Była skromnie, lecz schludnie ubrana, o żywej, ruchliwej twarzyczce, piegowatej jak indyjskie jajo, i energicznym sposobie bycia kobiety, która sama musi sobie torować drogę w życiu.

— Proszę mi wybaczyć kłopot, jaki sprawiam — powiedziała, gdy mój towarzysz powstał, aby ją powitać — ale spotkało mnie bardzo dziwne wydarzenie, a ponieważ nie mam rodziny ani żadnych krewnych, których mogłabym prosić o radę, pomyślałam sobie, że może pan będzie uprzejmy poradzić mi, co mam robić.

— Proszę zająć miejsce, panno Hunter. Będę szczęśliwy, jeżeli okaże się pani w czymkolwiek pomocny.

Widziałem, że nowa klientka swoim zachowaniem i słowami wywarła dodatnie wrażenie na Holmesie. Przyjrzał się jej całej uważnie, na swój sposób, po czym spokojnie, z opuszczonymi powiekami i złączonymi czubkami palców przygotował się do wysłuchania jej opowieści.

— Byłam przez 5 lat guwernantką — rozpoczęła panna Hunter — w rodzinie pułkownika Spence Munro, Przed dwoma miesiącami pułkownik otrzymał nominację na stanowisko w Halifax, w Nowej Szkocji i zabrał swoje dzieci ze sobą do Ameryki, w związku z czym zostałam bez posady. Dawałam anonsy do gazet i sama odpowiadałam na ogłoszenia, ale bez powodzenia. W końcu zaoszczędzona przeze mnie suma pieniędzy zaczęła maleć i nie wiedziałam, co począć.

W Westend znajduje się znane biuro pośrednictwa pracy dla guwernantek pod nazwą Westaway, tam tedy zgłaszałam się raz w tygodniu, żeby sprawdzić, czy się nie znajdzie coś odpowiedniego dla mnie. Westaway to nazwisko założyciela instytucji, ale w rzeczywistości kierowniczką jest panna Stoper. Kierowniczka urzęduje w osobnym, małym gabinecie, a panie szukające pracy siedzą w poczekalni, po czym wchodzą kolejno, a panna Stoper przegląda swój rejestr i wyszukuje dla nich odpowiednie zajęcia.

Otóż gdy się tam zgłosiłam w ubiegłym tygodniu, wprowadzono mnie jak zwykle do tego gabinetu, ale okazało się, że panna Stoper nie jest sama. Nadzwyczaj tęgi mężczyzna o uśmiechniętej szeroko twarzy i wielkim, ciężkim podbródku, który kilkoma fałdami opadał mu aż na szyję, siedział obok niej w okularach na nosie, przyglądając się z powagą wchodzącym paniom. Kiedy się ukazałam, aż podskoczył na krześle i zwrócił się z pośpiechem do panny Stoper.

— Ta pani mi odpowiada — powiedział. — Nie mógłbym mieć większych wymagań. Kapitalne! Kapitalne!

Wydawał się pełen entuzjazmu i zacierał ręce z największym ukontentowaniem. Wyglądał przy tym tak poczciwie, że patrzyłam na niego z prawdziwą przyjemnością.

— Pani szuka posady? — zapytał.

— Tak, proszę pana.

— Guwernantki?

— Tak, proszę pana.

— A jakiego wynagrodzenia żąda pani?

— Na ostatniej posadzie u pułkownika Spence Munro otrzymywałam 4 funty miesięcznie.

— Rety! Rety! Co za wyzysk! Co za haniebny wyzysk! — zawołał, unosząc w górę swe tłuste ramiona jak człowiek nie posiadający się z oburzenia. — Jak można było zaofiarować tak nędzną sumę osobie o podobnych walorach i takim wykształceniu!

— Moje wykształcenie, proszę pana, być może, wcale nie jest takie, jak pan sobie wyobraża — powiedziałam. — Znam trochę francuski, trochę niemiecki, muzykę, rysunki...

— Cicho, sza! — zawołał. — To nie ma najmniejszego znaczenia. Chodzi o to, czy ma pani obejście i ułożenie prawdziwej damy, czy też nie? Jasne jak na dłoni! Jeżeli nie, to znaczy, że nie jest pani odpowiednią wychowawczynią dla dziecka, które być może pewnego dnia odegra poważną rolę w historii kraju. Ale jeśli jest pani damą, jak może szanujący się człowiek wymagać, aby pani przyjęła cokolwiek poniżej setki. U mnie dostanie pani na początek 100 funtów rocznie.

Może pan sobie wyobrazić, panie Holmes, że mnie, pozbawionej wszelkich środków do życia, oferta ta wydała się zbyt piękna, aby mogła być prawdziwa. Jegomość ów jednak, widząc prawdopodobnie niedowierzanie na mojej twarzy, otworzył portfel i wyjął banknot.

— Zgodnie z moim zwyczajem — rzekł, uśmiechając się bardzo mile, podczas gdy oczy mu się zamieniły w dwie wąskie szpareczki, błyszczące wśród białych fałd twarzy — wypłacam młodym damom połowę uposażenia tytułem zaliczki, aby mogły pokryć wydatki związane z podróżą oraz garderobą.

Pomyślałam sobie, że nigdy jeszcze dotąd nie spotkałam tak czarującego i troskliwego mężczyzny. Byłam zadłużona u mego kupca, toteż taka zaliczka stanowiła dla mnie wielkie udogodnienie. Mimo to wyczuwałam jednakże coś nienaturalnego w tej całej transakcji i pragnęłam przed ostatecznym zaangażowaniem się otrzymać trochę informacji..

— Czy mogę wiedzieć, gdzie pan mieszka?

— W Hampshire. W uroczej wiejskiej posiadłości Copper Beeches, oddalonej o 5 mil od Winchester. To prześliczna okolica, miła panienko, i przemiły stary dwór.

— A moje obowiązki, proszę pana? Chciałabym wiedzieć, na czym będą polegały?

— Mam jedno dziecko, sześciolatniego łobuziaka. Ach, gdyby pani wiedziała, jak on zabija trzewikami karaluchy! Bęc, bęc, bęc! I już trzy sztuki wykończone, zanim się zdąży mrugnąć okiem! — Odchylił się do tyłu na krześle i znów się roześmiał, aż mu oczy zupełnie znikły z twarzy.

Byłam nieco zaskoczona sposobem zabawiania się tego dziecka, ale śmiech ojca wskazywał na to, że to mógł być żart.

— A więc do obowiązków moich — spytałam — należy opieka nad jednym dzieckiem?

— Nie, nie! Nie tylko, miła panienczko! — wykrzyknął. — Do pani obowiązków będzie również należało, a własny pani rozsądek z pewnością to uzna za słuszne, wykonywanie pewnych drobnych poleceń mojej żony, z tym zastrzeżeniem, że to będą polecenia jak najbardziej stosowne dla młodej damy. Nie przewiduje pani chyba żadnych trudności? Co?

— Będę uszczęśliwiona, mogąc być pożyteczna.

— Doskonale. A więc, na przykład, sprawa ubioru. Jesteśmy dziwakami, wie pani, dziwakami, ale pocziwymi dziwakami. Gdybyśmy poprosili panią, aby pani włożyła tę czy inną suknię przez nas samych dostarczoną, chyba to małe dziwactwo nie może wywołać obiekcji z pani strony? Co?

— Nie — powiedziałam zdumiona jego słowami.

— A jeśli się panią poprosi, aby pani usiadła tam czy gdzie indziej, prośba ta nie będzie pani ubliżała?

— O, nie!

— A gdyby pani obcięła sobie całkiem krótko włosy, zanim pani do nas przyjedzie?

Ledwie mogłam uwierzyć własnym uszom. Może pan zauważył, panie Holmes, że włosy mam dość bujne, o nader rzadko spotykanym kasztanowatym odcieniu. Fryzurę moją uważano za artystyczną. Ani mi się śniło poświęcać ją tak, od ręki.

— Obawiam się, że to niemożliwe — powiedziałam.

Przyglądał mi się bystro swymi małymi oczkami i spostrzegłam, że twarz mu spochmurniała, gdy się odezwałam.

— A ja się obawiam, że to bardzo istotna rzecz — powiedział. — Taki jest bowiem kaprys mojej żony, a kaprysy kobiece, wie pani sama, kaprysy kobiece muszą być brane pod uwagę. Więc nie zetnie pani sobie włosów?

— Nie, proszę pana, naprawdę nie mogę — odrzekłam stanowczo.

— Ach, no to trudno. Odmowa pani, oczywiście rozstrzyga kwestię. Szkoda. Albowiem pod każdym innym względem odpowiadałaby mi pani jak najbardziej. Wobec tego, panno Stoper, może bym obejrzał jeszcze kilka innych młodych dam.

Kierowniczka biura była przez cały czas zajęta swymi papierami i nie odzywała się do nas ani słowem. Teraz jednak spojrzała na mnie z takim wyrazem niechęci na twarzy, że mimo woli nasunęło mi się podejrzenie, iż na skutek mojej odmowy straciła ładną prowizję.

— Czy pani w dalszym ciągu pragnie figurować w naszym rejestrze? — zapytała.

— Bardzo o to proszę, panno Stoper.

— Nie wydaje mi się to, doprawdy, celowe, skoro pani w ten sposób odrzuca tak świetną ofertę — powiedziała ostro. — Proszę się po nas nie spodziewać szczególnych starań w szukaniu innej wolnej posady dla pani. Do widzenia, panno Hunter.

Zadzwoiła w stojący na stole dzwonek i zostałam wyprowadzona przez gońca.

Otóż, panie Holmes, gdy wróciłam do swego mieszkania i nic prawie nie znalazłam w kredensie, a na stole dwa czy trzy rachunki, zaczęłam się zastanawiać, czy nie popełniłam wielkiego głupstwa. Ostatecznie, jeśli ci ludzie mają pewne dziwactwa i chcą, aby ulegano ich

niezwykłym żądaniom, przynajmniej są gotowi dobrze zapłacić za swoje fanaberie. Niewiele guwernantek w Anglii otrzymuje 100 funtów rocznie wynagrodzenia. A zresztą, co mi po włosach? Jest dużo kobiet, które znacznie korzystniej wyglądają z krótkimi włosami. Może ja się również znajdę w ich liczbie? Nazajutrz byłam już skłonna wierzyć, że istotnie popełniłam błąd, a następnego dnia nabrałam przekonania, że tak było. Przewyciężyłam nawet swoją dumę tak dalece, że chciałam znów się udać do biura pośrednictwa pracy, aby zapytać, czy tamta posada jeszcze jest wolna, gdy otrzymałam list od tego jegomościa. Mam go tu przy sobie i przeczytam panu:

Copper Beeches koło Winchester

Szanowna Pani!

Panna Stoper była tak uprzejma, że dała mi pani adres, więc piszą, żeby się zapytać, czy nie rozpatrzyła pani ponownie swojej decyzji. Moja żona chciałaby bardzo, aby pani przyjechała, gdyż bardzo jej się podoba zrobiony przeze mnie opis pani osoby. Jesteśmy gotowi płacić pani 30 funtów kwartalnie, czyli 120 funtów rocznie, aby wynagrodzić pani te drobne subiekcje, jakie nasze dziwactwa mogą spowodować. Nie będziemy zresztą zbyt wymagający. Moja Żona gustuje w pewnym szczególnym odcieniu jasnego błękitu i życzyłaby sobie, aby pani w domu przed południem nosiła taką suknię. Nie potrzebuje pani zresztą jej kupować i narażać się na wydatki, gdyż mamy tutaj suknię mojej drogiej córki Alicji (przebywającej obecnie w Filadelfii). Moim zdaniem, będzie ona na panią świetnie pasowała. Inne żądania, aby pani siadywała w tym czy innym miejscu i zajmowała się w określony sposób, nie sprawią pani najmniejszego kłopotu. Natomiast jeśli chodzi o włosy, szkoda ich niewątpliwie, tym bardziej, że nie mogłem nie zauważyć w czasie naszego krótkiego spotkania, jakie są piękne. Obawiam się jednakowoż, że na tym punkcie muszę okazać stanowczość, żywiąc jedynie nadzieję, że podwyższona pensja wynagrodzi pani tę stratę. Obowiązki związane z opieką nad dzieckiem będą bardzo lekkie. Proszę, się postarać przyjechać, a ja spotkam panią dogcartem w Winchester. Niech pani mnie zawiadomi, jakim przyjedzie pociągiem.

Z poważaniem — Jephro Rucastle

— Taki oto list otrzymałam, panie Holmes, i zdecydowałam się na przyjęcie tej posady. Pomyślałam sobie jednak, że zanim uczynię ostateczny krok, najchętniej przedstawię panu tę całą sprawę do rozważenia.

— No cóż, panno Hunter, o ile pani się już zdecydowała, kwestia jest rozstrzygnięta — rzekł Holmes z uśmiechem.

— Więc pan nie uważa, że powinnam odmówić?

— Przyznam się, że nie chciałbym, aby moja siostra ubiegała się o tego rodzaju posadę.

— Co to wszystko może znaczyć, panie Holmes?

— Och, nie mam żadnych danych. Nic nie mogę powiedzieć. Może pani sama ma już wyrobione jakieś własne zdanie?

— Wydaje mi się, że jest tylko jedno możliwe wyjaśnienie. Pan Rucastle wygląda na bardzo grzecznego i poczciwego człowieka. Czyż nie jest prawdopodobne, że ma umyślowo chorą żonę, więc pragnąc ukryć ten fakt w obawie, aby jej nie zabrano do zakładu, spełnia jej każdą zachciankę, żeby nie dopuścić do ataku?

— To jest rozwiązanie możliwe, a faktycznie, tak jak sprawy stoją, jedynie prawdopodobne. W każdym bądź razie nie wydaje mi się, aby to mógł być przyjemny dom dla młodej damy.

— Ale pieniądze, panie Holmes, pieniądze?

— Tak, istotnie, wynagrodzenie jest dobre, zbyt dobre. To właśnie mnie niepokoi. Czemu oni dają pani 120 funtów rocznie, gdy mogą zrobić dobry wybór za 40 funtów. Na to muszą być poważne przyczyny.

— Sądziłam, że jeśli opowiem panu wszystkie okoliczności, będzie pan już zorientowany w tej sprawie, gdybym później potrzebowała pańskiej pomocy. Czułabym się znacznie pewniejsza, gdybym wiedziała, że mogę mieć w panu oparcie.

— Och, może pani jechać z tym przekonaniem. Zapewniam panią, że od kilku miesięcy nie miałem problemu, który by się zapowiadał równie interesująco. Niektóre momenty mają najwyraźniej cechy dotychczas nieznanne. Gdyby pani miała jakieś wątpliwości albo znalazła się w niebezpieczeństwie...

— Niebezpieczeństwo? Jakie pan przewiduje niebezpieczeństwo? Holmes z powagą potrząsnął głową.

— Niebezpieczeństwo przestałoby istnieć, gdyby je można było określić — powiedział. — Wysłany przez panią telegram sprowadzi mnie o każdej porze, w dzień lub w nocy, na ratunek.

— To mi wystarczy! — panna Hunter zerwała się z krzesła, a niepokój znikł całkowicie z jej twarzy. — Pojadę teraz do Hampshire zupełnie spokojną. Natychmiast odpiszę panu Rucastle, dziś jeszcze poświęcę moje biedne włosy, a jutro wyruszę do Winchester.

Podziękowała Holmesowi w kilku słowach i życząc nam dobrej nocy, wyszła spiesźnie. — Ta przynajmniej — powiedziałem, słysząc odgłos jej szybkich, stanowczych kroków na schodach — wygląda na młodą osobę, która potrafi świetnie się sama o siebie zatroszczyć.

— Będzie do tego zmuszona — rzekł Holmes poważnie. — I grubo bym się pomylił, gdybyśmy przed upływem kilkunastu dni nie otrzymali od niej wiadomości.

Niewiele czasu upłynęło, a sprawdziła się przepowiednia mego przyjaciela. Minęły dwa tygodnie, w którym to czasie moje myśli często zwracały się ku pannie Hunter i nieraz się zastanawiałem, na jakie manowce ludzkich przeżyć ta samotna kobieta zawędrowała. Niezwykle wysokie wynagrodzenie, dziwne warunki, łatwe obowiązki, wszystko to wskazywało na sytuację anormalną; ale określić, czy były to istotnie dziwactwa, czy jakieś knowania, czy ów człowiek był filantropem, czy łajdakiem — nie leżało w mojej mocy. Co zaś do Holmesa zauważyłem, iż często przesiadywał po pół godziny i dłużej ze ściągniętymi brwiami i nieobecny wyrazem twarzy, ale każdą moją wzmiankę o tej sprawie likwidował machnięciem ręki. — „Dane, dane, dane! — wołał niecierpliwie. — Nie mogę lepić cegieł nie mając gliny!” Mimo to zawsze kończył rozmowę mruczając, że żadna z jego sióstr nie przyjęłaby nigdy podobnej posady.

Telegram, który w końcu otrzymaliśmy, przyniesiono późno pewnego wieczoru, gdy zamierzałem już położyć się spać, a Holmes zabierał się właśnie do jednej ze swych całonocnych prac badawczych, którym się często oddawał. Pozostawiałem go wówczas wieczorem pochylonego nad retortą czy probówką, a gdy schodziłem rano na śniadanie, znajdowałem go wciąż w tej samej pozycji. Holmes otworzył żółtą kopertę i zerknąwszy na depeszę, rzucił mi ją.

— Sprawdź pociągi w rozkładzie jazdy — powiedział i wrócił do swych chemicznych badań.

Wezwanie było krótkie i naglące:

Proszę być w hotelu „Czarny Łabędź” w Winchester jutro w południe — brzmiał tekst. — Proszę przyjechać.

Nie wiem, co począć. Hunter.

— Pojedziesz ze mną? — zapytał Holmes podnosząc wzrok.

— Bardzo chętnie.

— Więc sprawdź pociągi.

— Jest pociąg o 9. 30 — powiedziałem, zaglądając do rozkładu jazdy. — Przychodzi do Winchester o 11. 30.

— Ten nam akurat odpowiada. Wobec tego może lepiej odłożę moją analizę acetonową, ponieważ powinniśmy jutro być w jak najlepszej formie.

Następnego dnia około godz. 11 byliśmy już w drodze do dawnej stolicy Anglii. Holmes w czasie całej podróży był zagłębiony w porannych dziennikach, ale skorośmy minęli granicę Hampshire, odrzucił je i zaczął podziwiać krajobraz. Był wspaniały wiosenny dzień. Jasnoblękitne niebo usiane było plamkami małych, białych jak owcze runo chmur, pędzących z wiatrem z zachodu na wschód. Słońce świeciło promiennie, a mimo to w powietrzu panował lekki chłód, wyzwalający całą energię w człowieku. W całej okolicy aż do falistych pagórków wokół Aldershot widniały małe, czerwone i szare dachy budynków gospodarskich, wyglądające spoza jasnej zieleni młodego listowia.

— Czyż nie są świeże i śliczne? — zawołałem z entuzjazmem człowieka, który dopiero co się wydostał z mgły nad Baker Street.

Ale Holmes z powagą potrząsnął głową.

— Czy ty wiesz, Watsonie — powiedział — że posiadanie takiego umysłu jak mój jest przekleństwem, ponieważ zmuszony jestem patrzeć na wszystko z punktu widzenia mojej specjalności. Ty się przyglądasz tym rozrzuconym domkom i odczuwasz ich piękno. A gdy ja patrzę na nie, jedyne uczucie, jakie mnie ogarnia, to wrażenie wywołane ich odosobnieniem i bezkarnością, z jaką tu może być dokonana zbrodnia.

— Wielkie nieba! — zawołałem. — Jak można kojarzyć zbrodnię z tymi przemiłymi, starymi domkami?

— One mnie zawsze napełniają swego rodzaju przerażeniem. Mam pewność, Watsonie, opartą na doświadczeniu, że najgorsze i najpodlejsze zaułki londyńskie nie posiadają w rejestrze protokołów tak potwornych przestępstw jak ta promienna i piękna okolica wiejska.

— Przerażasz mnie.

— Przyczyna tego jest oczywista. W mieście presja opinii publicznej potrafi zdziałać to, czego nie może dokonać prawo. Nie ma tak upodlanej dzielnicy, w której krzyk torturowanego dziecka lub głuche odgłosy razów pijaka nie wywołałyby odruchu sympatii lub oburzenia wśród sąsiadów. Poza tym cała machina sprawiedliwości znajduje się tak blisko, że jedno słowo skargi może ją uruchomić, a wówczas od zbrodni do ławy oskarżonych jest tylko jeden krok. Ale spójrz na te samotne domki, wznoszące się na prywatnych gruntach, zamieszkałe po większej części przez ludzi ubogich i niewykształconych, którzy o prawie wiedzą bardzo niewiele. Pomyśl o pełnych szatańskiego okrucieństwa czynach, o ukrytych niegodziwościach, popełnianych ustawicznie, przez lata całe, o których nikt nie wie. Gdyby owa pani zwracająca się do nas o pomoc miała zamieszkać w Winchester, nie lękałbym się o nią wcale. Ale ta pięćmiłowa odległość od miasta stwarza niebezpieczeństwo. Choć widać, że jej osobiście nic nie grozi.

— Nie. Jeżeli może przyjechać, aby się z nami spotkać, to znaczy, że jej wolno wychodzić.

— Właśnie. Ma swobodę działania.

— O cóż w takim razie może chodzić? Czy nie nasuwa ci się jakieś wyjaśnienie?

— Wymyśliłem siedem różnych wyjaśnień, a każde pokrywa się z faktami o tyle, o ile są nam znane. Ale które z nich jest właściwe, można będzie stwierdzić dopiero po otrzymaniu świeżych informacji, jakie niewątpliwie na nas czekają. Widać już wieżę katedry, więc niebawem dowiemy się wszystkiego, co panna Hunter ma nam do zakomunikowania.

„Czarny Łabędź”, powszechnie znany hotel, znajduje się przy High Street, niedaleko od stacji i tam zastaliśmy ową młodą damę, która czekała na nas. Zarezerwowała osobny pokój i na stole oczekiwało nas śniadanie.

— Ogromnie się cieszę, żeście przyjechali — powiedziała poważnie. — Bardzo to ładnie z waszej strony, bo też naprawdę nie wiem, co począć. Wasza rada będzie dla mnie wprost bezcenna.

— Proszę nam opowiedzieć, co się pani przydarzyło.

— Zaraz to zrobię i muszę się pośpieszyć, ponieważ obiecałam panu Rucastle, że wrócę przed godziną trzecią. Pozwolił mi wyjść rano do miasta, ale nie wiedział, w jakim celu.

— Więc proszę opowiadać wszystko po kolei, Holmes wyciągnął swoje długie, cienkie nogi w stronę ognia i przygotował się do słuchania.

— Przede wszystkim powinnam zaznaczyć, że w ogólności nie byłam źle traktowana przez pana i panią Rucastle. Uczciwość wymaga, abym to powiedziała. Nie mogę ich jednak zrozumieć i dlatego jestem niespokojna.

— Czego pani nie może zrozumieć?

— Motywów ich zachowania. Ale opowiem dokładnie, co się tam działo. Kiedy przyjechałam, pan Rucastle spotkał mnie na stacji i przywiózł swym dogcartem do Copper Beeches. Dwór jest, tak jak mówił, pięknie położony, ale dom nieładny. Jest to wielki, czworokątny masyw, biało otynkowany, ale brudny, zabłocony i cały w plamach od wilgoci. Otaczające go grunta są z trzech stron zalesione, a z czwartej ciągnie się pole opadające pochyłością w dół ku głównemu traktowi, wiodącemu do Southampton. Droga ta wije się w odległości stu jardów od frontowej bramy. Kawał pola przed domem należy do dworu, ale lasy wokoło są częścią rezerwatu lorda Southertona, Kępie czerwonych buków, znajdujących się na wprost wejścia do hallu, dwór zawdzięcza swą nazwę.

Mój pracodawca, który mnie przywiózł, był równie uprzejmy jak poprzednio, a wieczorem tego samego dnia zostałam przedstawiona jego żonie i dziecku. Otóż nic się nie potwierdziło, panie Holmes, z przypuszczenia, której nam się wydawało prawdopodobne w pańskim mieszkaniu przy Baker Street. Pani Rucastle nie jest wariatką. To milcząca kobieta o bladej twarzy, znacznie młodsza od męża, mającą według mnie niewiele ponad trzydziestkę, podczas gdy on niewątpliwie ma około 45 lat. Z ich rozmów zmiarkowałam, że są po ślubie od lat siedmiu, on natomiast był wdowcem, a jego jedynym dzieckiem z pierwszego małżeństwa jest córka, która wyjechała do Filadelfii. Pan Rucastle powiedział mi w zaufaniu, że przyczyną wyjazdu córki była nieuzasadniona niechęć do macochy. Ponieważ córka nie mogła mieć mniej niż dwadzieścia lat, łatwo mi było sobie wyobrazić, że jej położenie przy boku młodej żony ojca nie było miłe.

Pani Rucastle wydała mi się równie bezbarwna umysłowo, co fizycznie. Nie wywarła na mnie ani dodatniego, ani ujemnego wrażenia. Była osobą zupełnie bez znaczenia. Widać było natomiast wyraźnie, że jest gorąco przywiązana do swego męża i małego syna. Jej jasnoszare oczy ustawicznie błędziły od jednego do drugiego, usiłując odgadnąć ich najmniejsze życzenie i uprzedzić, jeśli to możliwe. Pan Rucastle również był dla niej dobry na swój rubaszny, hałaśliwy sposób i ogólnie biorąc, stanowili szczęśliwe stadło małżeńskie. A jednak ta kobieta miała jakieś ukryte zmartwienie. Nieraz bywała głęboko pogrążona w myślach, a na twarzy miała wyraz smutku. Niejednokrotnie zastawałam ją we łzach. Nieraz myślałam, że to skłonności jej dziecka tak ją przygnębiały, albowiem nie widziałam nigdy stworzenia tak rozpuszczonego i o równie złośliwym usposobieniu. Jest niski na swój wiek, o nieproporcjonalnie wielkiej głowie. Całe jego życie upływa, jak mi się wydaje, na dzikich wybuchach złości na przemian z ponurymi okresami dąsów. Jediną jego rozrywką jest dręczenie wszystkich stworzeń słabszych od niego. Wykazuje nieprzeciętne zdolności i pomysłowość przy chwytności myszy, małych ptaszków i owadów. Wolę już więcej nie mówić o tej kreaturze; panie Holmes, tym bardziej że niewiele ma wspólnego z moją opowieścią.

— Rad jestem wszelkim szczegółom — zauważył mój przyjaciel — niezależnie od tego, czy według pani mają znaczenie, czy też nie.

— Postaram się nie opuścić niczego ważnego. Bardzo nieprzyjemnym zjawiskiem w tym domu, które od razu zwróciło moją uwagę, były wygląd i zachowanie się służby. Jest ich tam tylko dwoje, służący i jego żona. Toller, gdyż tak się nazywa, jest nieokrzesanym prostakiem, o siwiejących włosach, i bokobrodach, stale cuchnący wódką. W czasie mego pobytu był dwukrotnie całkiem pijany, ale pan Rucastle zdawał się tego nie zauważać. Żona Tollera jest wysoką i silną kobietą o skwaszonej twarzy, równie milcząca, jak pani Rucastle, ale znacznie mniej uprzejma. Małżeństwo to jest bardzo nieprzyjemne, ale na szczęście spędzam cały niemal czas w pokoju dzieciennym lub swoim własnym, które znajdują się obok siebie w jednym z narożników domu.

W ciągu dwóch dni po przyjeździe do Copper Beeches wiodłam bardzo spokojny żywot, ale trzeciego dnia, zaraz po śniadaniu, pani Rucastle zeszła na dół i szepnęła coś do swego męża.

— Ach, tak — powiedział pan Rucastle, zwracając się do mnie — jesteśmy pani bardzo zobowiązani, panno Hunter, że zadośćuczyniła pani tak dalece naszym wymaganiom, obcinając sobie włosy. Zapewniam panią, że to w najmniejszym stopniu nie wpłynęło ujemnie na pani wygląd. Teraz zobaczymy, czy będzie na panią pasowała ta niebieska suknia. Znajdzie ją pani na łóżku w swoim pokoju. O ile zechce ją pani włożyć, będziemy oboje bardzo wdzięczni.

Suknia, która czekała na mnie, miała szczególny odcień błękitu. Była uszyta z bardzo dobrego Wełnianego materiału, ale niewątpliwie była już używana. Leżała na mnie, jak ulał, jak gdyby była robiona na miarę. Państwo Rucastle na mój widok okazali zachwyt, w którym sporo było przesady. Czekali na mnie w salonie, pokoju bardzo obszernym, ciągnącym się wzdłuż całego frontu domu, o trzech olbrzymich oknach do ziemi. Przy środkowym oknie stało krzesło odwrócone tyłem do okna. Poproszono mnie, abym na nim usiadła, a pan Rucastle, przechadzając się po pokoju, tam i z powrotem, zaczął mi opowiadać najzabawniejsze historyjki, jakie kiedykolwiek słyszałam. Nie może pan sobie wyobrazić, jaki on był komiczny, a ja się tak śmiałam, że byłam cała obolała. Natomiast pani Rucastle, która jak widać, nie miała poczucia humoru, nie tylko się ani razu nie uśmiechnęła, ale siedziała ze złożonymi rękoma i smutnym a niespokojnym wyrazem twarzy. Po upływie mniej więcej godziny pan Rucastle zauważył nagle, że już czas zacząć normalne zajęcia i że mogę zdjąć suknię i udać się do małego Edwarda do dzieciennego pokoju.

Dwa dni później rozegrała się ta sama scena w zupełnie podobnych okolicznościach. Znowu zmieniałam suknię, znów siedziałam przy oknie i znowu się serdecznie zaśmiewałam z dykteryjek, których mój pracodawca miał okazały repertuar, a które opowiadał w sposób niezrównany. Następnie podał mi jakąś powieść w żółtej okładce i po odsunięciu krzesła nieco w bok, aby mój cień nie padł na strony książki, poprosił mnie o głośne czytanie. Czytałam około dziesięciu minut tekst wyjęty wprost ze środka rozdziału, a potem nagle w połowie zdania pan Rucastle kazał mi przerwać i pójść się przebrać.

Może pan sobie wyobrazić, panie Holmes, jak bardzo byłam zaintrygowaną tym, jaka mogła być przyczyna tego niezwykłego przedstawienia. Zauważyłam, że państwo Rucastle dokładali wszelkich starań, abym miała twarz stale odwróconą od okna, toteż ogarnęło mnie przemożne pragnienie zobaczenia, co się dzieje za moimi plecami. Z początku sądziłam, że to jest niemożliwe, ale niebawem znalazłam sposób. Stuknęło mi się właśnie kieszonkowe lusterko, więc wpadłam na szczęśliwy pomysł i ukryłam kawałek lustra w mojej chustce do nosa. Przy następnej okazji, akurat w chwili gdy się zaśmiewałam, przyłożyłam chustkę do oczu i manipulując ostrożnie, zdołałam zobaczyć całą przestrzeń za moimi plecami. Przyznam się, że się rozczarowałam. Tam nie było nic. A przynajmniej takie odniosłam pierwsze wrażenie. Przy

następnym jednak wejrzeniu zobaczyłam, że na drodze do Southampton stał jakiś człowiek, niski, brodaty mężczyzna w szarym ubraniu, który jak mi się wydało, spoglądał w moim kierunku. Droga ta jest ważną trasą i zazwyczaj kręci się tam sporo ludzi.

Ten człowiek jednakże opierał się o ogrodzenie otaczające nasze pole i patrzył uważnie na dom, Opuściłam chustkę i spojrzałam na panią Rucastle, której badawcze oczy były skierowane na mnie. Nic nie powiedziała, ale byłam przekonana, że się domyśliła, iż miałam w ręku lusterko i widziałam, co się za mną działo. Wstała natychmiast.

— Jephro — powiedziała — tam jakiś impertynent stoi na drodze i przygląda się pannie Hunter.

— To nie pani znajomy, panno Hunter? — spytał pan Rucastle.

— Nie. Ja nie znam nikogo w tych stronach.

— Mój Boże! Co za bezczelność! Niech pani się odwróci z łaski swojej i skinie mu ręką, aby sobie poszedł.

— Z pewnością lepiej nie zwracać nań uwagi.

— Nie, nie, bo stale będzie się tu włóczył. Proszę się łaskawie odwrócić i machnąć ręką, żeby sobie poszedł.

Zrobiłam, jak mi kazano, a pani Rucastle w tej samej chwili opuściła zasłonę. Stało się to przed tygodniem, a od tego czasu ani razu nie siedziałam przy oknie, nie wkładałam błękitnej sukni i nie widziałam owego mężczyzny na drodze.

— Proszę, niech pani mówi dalej — powiedział Holmes — pani opowieść zapowiada się bardzo interesująco.

— Obawiam się, aby się panu nie wydała dnieco pozbawiona związku, i faktycznie owe drobne zdarzenia, o których będę mówiła, mogą nie mieć ze sobą nic wspólnego. Zaraz pierwszego dnia mego pobytu w Copper Beeches pan Rucastle; zabrał mnie do małej przybudówki, znajdującej się w pobliżu kuchennych drzwi. Kiedy zbliżaliśmy się do niej usłyszałam brzęk łańcucha i szmer wskazujący na to, że się tam porusza jakieś wielkie zwierzę.

— Proszę popatrzeć! — powiedział pan Rucastle, pokazując mi szparę pomiędzy dwiema deskami. — Czyż nie jest piękny?

Zajrzałam tam i zobaczyłam dwoje płonących oczu i niewyraźny kształt, skulony w ciemności.

— Niech się pani nie obawia — powiedział mój pracodawca ze śmiechem widząc, że się wzdrygnęłam. — To tylko Carlo, mój brytan. Uważam go za swoją własność, ale właściwie jedyną osobą, która może sobie z nim poradzić, jest mój stary służący Toller. Zwierzę jest karmione tylko raz dziennie, a i to dość skąpo, toteż jest zawsze ostre jak brzytwa. Toller go spuszcza na noc i Boże zmiłuj się nad tym rzezimieszkiem, w którym zatopi swe kły. Na litość Boską, proszę nigdy, pod żadnym pozorem nie wychodzić, w nocy poza próg domu, bo to może kosztować życie.

Owa przestroga nie była gołosłowna. Tak się bowiem złożyło, że dwa dni później, około godziny 2 nad ranem, wyjrzałam przez Okno mojej sypialni. Była piękna, księżycowa noc, murawa gazonu przed domem lśniła srebrzyście, a jasno było jak w dzień. Stałam upojona spokojnym pięknem krajobrazu, gdy nagle zauważyłam, że coś się porusza w cieniu czerwonych buków. Kiedy to coś wyszło na światło księżycowe, zobaczyłam, że był to olbrzymi — pies, wielki jak cielak, ciemnej maści, o czarnym pysku z obwisłymi zuchwami i potężnych, wyraźnie zarysowanych kościach. Pies przeszedł powoli przez gazon i znikł w cieniu po jego drugiej stronie. Ten straszny, milczący strażnik zmroził mi serce, które nie zlekłoby się, jak sądzę, żadnego włamywacza.

A teraz opowiem panu bardzo dziwne zdarzenie. Wie pan o tym, że obciąłam sobie włosy w Londynie, a ścięte sploty włożyłam na dno mego kuфра. Pewnego wieczoru, gdy dziecko już było w łóżku, zajęłam się dla rozrywki urządzeniem swego pokoju i porządkowaniem moich osobistych drobiazgów. W pokoju znajdowała się stara komoda; dwie jej górne szuflady były otwarte i puste, dolna zaś zamknięta. Do górnych szuflad włożyłam bieliznę, a ponieważ miałam jeszcze sporo rzeczy do wypakowania, byłam oczywiście niezadowolona, że nie mogę zrobić użytku z tej trzeciej szuflady. Przyszło mi na myśl, że być może, została zamknięta przez przeoczenie, wobec czego wyjęłam z wiązki moich własnych kluczy jeden i spróbowałam tę szufladę otworzyć. Pierwszy lepszy klucz pasował doskonale, więc ją otworzyłam. Znajdował się tam tylko jeden przedmiot, ale jestem przekonana, że pan nigdy nie zgadnie jaki. To były moje włosy.

Wzięłam je do ręki i obejrzałam. Miały ten sam rzadko spotykany odcień i były równie gęste. Jednakże w tej samej chwili zdałam sobie sprawę z niemożliwości tego faktu. W jaki sposób mogły moje włosy znajdować się w tej zamkniętej szufladzie? Drżącymi rękoma otworzyłam swój kufer, przewróciłam całą jego zawartość i wyciągnęłam z dna moje włosy. Położyłam oba warkocze obok siebie i zapewniam pana, że były identyczne. Czyż to nie nadzwyczajne? Znalazłam się wobec jakiejś tajemnicy, nie mając najmniejszego pojęcia, co to wszystko znaczy. Włożyłam cudze włosy z powrotem do szuflady i nic o tym nie powiedziałam państwu Rucastle, gdyż miałam wrażenie, że źle postąpiłam otwierając zamkniętą przez nich szufladę.

Jestem spostrzegawcza z natury, co pan miał możliwość zauważyć, panie Holmes, toteż wkrótce miałam już w głowie plan całego i domu. Otóż znajdowało się tam jedno boczne skrzydło, które sprawiało wrażenie niezamieszkałego. Drzwi znajdujące się naprzeciwko wejścia do mieszkania Tollerów i prowadzące do kilku pokoi, mieszczących się w tym skrzydle, były stale zamknięte. Jednakże pewnego dnia, gdy szłam po schodach, spotkałam pana Rucastle wychodzącego tymi drzwiami z kluczem w ręku. Twarz miał zmienioną i niepodobny był zupełnie do okrągłego, jowialnego człowieka, którego znałam. Jego policzki były mocno zaczerwienione brwi ściągnięte gniewnie, a żyły na skroniach nabrzmiały z irytacji. Zamknął drzwi i przeszedł obok mnie bez jednego słowa czy spojrzenia.

To podnieciło moją ciekawość, udając się tedy na spacer z moim pupilem, przechadzałam się wokół domu z tej strony, skąd mogłam widzieć okna znajdujące się w owym skrzydle. Okien było cztery, w jednym rzędzie, trzy po prostu brudne, czwarte natomiast miało zamknięte okiennice. Najwidoczniej były puste i opuszczone. W tym czasie, gdy spacerowałam tam i z powrotem, spoglądając na nie raz po raz, zbliżył się do mnie pan Rucastle, wesoly i jowialny jak zawsze.

— Ach, proszę nie myśleć — powiedział — że chciałem być niegrzeczny, przechodząc obok pani bez słowa, moja miła panienko. Byłem zaabsorbowany interesami.

Zapewniłam go, że się nie czuję obrażona.

— Ale, ale — powiedziałam — widzę, że pan ma tam szereg pustych pokoi, a okno jednego z nich jest zamknięte okiennicami.

Był zdziwiony i jak mi się wydało, nieco zaskoczony moją uwagą.

— Jestem zamiłowanym fotografem — powiedział. — Zrobiłem sobie ciemnię z tego pokoju. Ale, mój Boże, z jakże bardzo spostrzegawczą młodą osobką mamy do czynienia. Nie do wiary! Wprost nie do wiary! — Mówił tonem żartobliwym, lecz w jego oczach, patrzących na mnie, nie było rozbawienia. Widziałam w nich podejrzliwość i niechęć, ale nie rozbawienie.

— Tak, panie Holmes, od chwili kiedy zrozumiałam, że ukrywano przede mną coś, co miało związek z tymi pokojami, paliłam się wprost, aby się dostać na tamtą stronę. Nie była to zwykła ciekawość, choć i tego mi nie brakło. Raczej jednak poczucie obowiązku, przekonanie, że coś

dobrego wyniknie z mego wtargnięcia w to miejsce. Wiele się mówi o instynkcie kobiecym; być może to instynkt wyrobił we mnie to przekonanie. W każdym bądź razie tak właśnie rzecz się miała i z niecierpliwością wypatrywałam sposobności, aby się przedostać przez zakazane drzwi.

Dopiero wczoraj nawinęła się okazja. Powinnam jeszcze zaznaczyć, że poza panem Rucastle, Toller i jego żona mają również coś do roboty w tych pustych pokojach, a pewnego razu widziałam, jak Toller, wchodząc przez te drzwi, niósł wielki, czarny, płócienny wór. Ostatnio Toller dużo pił, a wczoraj wieczorem był zupełnie pijany. Idąc na górę po schodach zauważyłam, że w owych drzwiach tkwił klucz. Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że to on go zostawił. Państwo Rucastle byli na dole, a dziecko z nimi, toteż nadarzała mi się świetna okazja. Obróciłam ostrożnie klucz w zamku, otworzyłam drzwi i wsunęłam się do środka.

Przede mną ukazał się mały korytarzyk bez tapet i chodnika, który na końcu zakręcał w prawą stronę. Za zakrętem znajdowało się w jednym rzędzie, obok siebie troje drzwi. Pierwsze i trzecie były otwarte i prowadziły do pustych pokoi, zakurzonych i smutnych. W, jednym były dwa okna, w drugim jedno, o szybach tak brudnych i pokrytych kurzem, że światło wieczorne przeświecało przez nie mgliście. Środkowe drzwi były zamknięte, a z zewnętrznej strony znajdowała się na nich poprzeczna gruba sztaba z jakiegoś żelaznego łożka. Na jednym końcu sztaby na żelaznym kółku wbitym w ścianę wisiała kłódka, drugi zaś koniec był przewiązany mocnym sznurem. Same drzwi były poza tym również zamknięte, a klucza w zamku nie było. Te zabarykadowane drzwi odpowiadały w zupełności oknu o zamkniętych okiennicach, a mimo to widziałam, że spod drzwi sączyło się światło, a pokój nie był zaciemniony. Widocznie w suficie był otwór wpuszczający światło górą. Gdy tak stałam w korytarzu, przyglądając się tym złowieszczym drzwiom i zastanawiając się, jaka się za nimi kryje tajemnica, usłyszałam nagle odgłos kroków w tym pokoju i zobaczyłam jakiś cień, przesuwany się tam i z powrotem na tle oświetlonej niewyraźnym światłem szpary pod drzwiami. Na ten widok ogarnął mnie szalony, nieuzasadniony strach, panie Holmes. Moje napięte nerwy nie wytrzymały, odwróciłam się nagle i rzuciłam do ucieczki, a uciekałam tak, jak gdyby jakaś widmowa dłoń usiłowała mnie złapać za spódnicę. Przebiegłam przez korytarz, minęłam drzwi i wpadłam prosto w ramiona pana Rucastle, który czekał na zewnątrz.

— Ach, tak — powiedział z uśmiechem — więc to pani była. Tak też sobie pomyślałem, gdy zobaczyłem otwarte drzwi.

— Och, jak ja się boję! — wymamrotałam, dysząc ciężko.

— Moja miła panienko! Kochana, miła panienczko!

Nie ma pan pojęcia, jak pieśczośliwe i łagodne było jego obejście. — Cóż panią tak przeraziło, miła panienczko!?

Jego głos był nieco zbyt przymilny. Przebrał miarę. Toteż miałam się na baczności.

— Byłam taka niemądra, że poszłam sama do pustego skrzydła — odrzekłam. — Ale tam było tak pusto i samotnie w tym półmroku, że ogarnął mnie strach i wybiegłam stamtąd. Och, cóż za potworna cisza tam panowała!

— Czy tylko, to? — rzekł, przyglądając mi się bacznie.

— Tak. A co pan ma na myśli? — spytałam.

— Jak pani sądzi, czemu ja zamykam te drzwi?

— Nie mam pojęcia.

— Po to, aby tam nie wchodzili ludzie niepowołani. Rozumie pani? — Jeszcze się wciąż uśmiechał w bardzo uprzejmy sposób. — Gdybym wiedziała...

— No to teraz pani wie! A jeżeli pani jeszcze kiedykolwiek przekroczy ten próg — jego uśmiech stwardniał raptownie i zamienił się w grymas wściekłości. Wlepił we mnie ostry wzrok, a jego twarz przybrała szatański wyraz — rzuć panią na pożarcie brytanowi!

Byłam tak przerażona, że nie wiedziałam sama, co robię. Prawdopodobnie wymięłam go i wbiegłam do swego pokoju. Nic więcej nie pamiętam. Oprzytomniałam, leżąc cała drżąca na łóżku. Wówczas pomyślałam o panu, panie Holmes. Nie mogłam tam dłużej mieszkać, nie zasięgnąwszy przedtem czyjejs rady. Bałam się tego domu, tego człowieka, jego żony, służby, nawet dziecka. Wszyscy mi się wydawali przerażający. Gdyby mi się udało pana tu sprowadzić, wszystko byłoby dobrze. Mogłam, rzecz jasna, uciec z tego domu, ale ciekawość moja była nieomal równie silna co przerażenie. Wkrótce powzięłam decyzję. Wyślę telegram do pana. Włożyłam płaszcz i kapelusz i poszłam do urzędu pocztowego, oddalonego o pół mili od dworu, a gdy wracałam, byłam już znacznie spokojniejsza. Gdy zbliżałam się do bramy, ogarnął mnie lęk i niepewność, czy pies nie został spuszczone, ale przypomniałam sobie, że Toller tego wieczoru był pijany do nieprzytomności, a wiedziałam przecież, że tylko on jeden z całego domu umiał sobie poradzić z tą dziką bestią, poza nim zaś nikt inny nie mógł go wypuścić. Dostałam się bezpiecznie do domu i pół nocy nie spałam, ciesząc się na myśl, że pana zobaczę. Bez trudu uzyskałam dziś rano zezwolenie na wyjście do Winchester, ale muszę wrócić przed trzecią, ponieważ państwo Rucastle wyjeżdżają z wizytą i będą nieobecni przez cały wieczór, wobec czego powinnam zająć się dzieckiem. Opowiedziałam panu wszystkie moje przygody, panie Holmes, i bardzo się będę cieszyła, jeżeli pan mi powie, co to wszystko znaczy, a przede wszystkim, co mam teraz począć.

Holmes i ja słuchaliśmy jak zaczarowani tej niezwyklej historii. Mój przyjaciel wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, z rękoma w kieszeniach i wyrazem głębokiej powagi na twarzy.

— Czy Toller jest wciąż jeszcze pijany? — zapytał.

— Tak. Słyszałam, jak jego żona mówiła do pana Rucastle, że nic nie może na to poradzić.

— To dobrze. Czy państwo Rucastle wyjeżdżają dziś wieczorem?

— Tak.

— Czy jest tam jakaś piwnica z dobrym, mocnym zanikiem?

— Tak. Piwnica na wino.

— Uważam, że postępowała pani przez cały ten czas jak dzielna i rozsądna dziewczyna, panno Hunter. Czy mogłaby pani dokonać jeszcze jednego wyczynu? Nie prosiłbym o to, gdybym nie uważał pani za zupełnie wyjątkową kobietę.

— Spróbuję. O co chodzi?

— Mój przyjaciel i ja zjawimy się w Copper Beeches o 7 godzinie. Państwa Rucastle w tym czasie już nie będzie, a Toller, miejmy nadzieję, będzie nieprzytomny. Pozostanie więc tylko pani Toller, która może wszczać alarm. Gdyby ją pani mogła wysłać z jakimś poleceniem do piwnicy, a następnie zamknąć na klucz, ułatwiłaby nam pani ogromnie całe zadanie.

— Zrobię to.

— Doskonale. Wobec tego rozpatrzmy dokładnie tę sprawę. Oczywiście, jest tylko jedno możliwe wyjaśnienie. Została tu pani sprowadzona po to, aby uosabiać kogo innego, podczas gdy właściwą osobę uwięziono w tamtym pokoju. To jest oczywiste. Co do osoby uwięzionej nie mam wątpliwości, że to jest córka, panna Alicja Rucastle, o ile pamiętam, która rzekomo wyjechała do Ameryki. Wybrano panią niewątpliwie ze względu na podobieństwo wzrostu, figury i koloru włosów. Prawdopodobnie w czasie jakiejś choroby, którą tamta osoba przechodziła, obcięto jej włosy, wobec tego i pani, rzecz jasna, musiała poświęcić swoje. Dziwnym trafem pani znalazła te jej warkocze. Mężczyzna wypatrujący na drodze, jest niewątpliwie jej przyjacielem, być może narzeczonym. Ponieważ pani w sukni tamtej dziewczyny była bardzo do niej podobna, chodziło im o to, aby widząc panią za każdym razem roześmianą, a tym bardziej gdy pani skinęła ręką, przekonał się naocznie, że panna Rucastle jest

w świetnym humorze i nie życzy sobie bynajmniej jego względów. Psa spuszcza się na noc, aby zapobiec jego usiłowaniom skontaktowania się z nią. To wszystko jest jasne. Najpoważniejszym momentem w tej całej sprawie są skłonności dziecka.

— Co to może mieć wspólnego, do licha? — wykrzyknąłem.

— Mój drogi Watsonie, ty jako lekarz ustawicznie zaznajamiasz się ze skłonnościami dziecka na podstawie obserwacji rodziców. Czyż nie rozumiesz, że odgrywa to równie doniosłą rolę w przypadkach odwrotnych? Często mi się zdarzało, że obserwując dzieci, wyrabiałem sobie właściwe pojęcie o charakterze ich rodziców. To dziecko jest skłonne do nienormalnego okrucieństwa dla samej przyjemności, a czy skłonność tę odziedziczyło po swym jowialnym ojcu, co podejrzewam, czy po matce, nie wróży to nic dobrego tej biednej dziewczynie, która jest w ich mocy.

— Pan z całą pewnością ma rację, panie Holmes — zawołała nasza klientka. — Przypomina mi się teraz tysiąc rzeczy, które utwierdzają mnie w przekonaniu, że pan trafił w sedno. Och, nie zwlekajmy ani chwili z pomocą temu biednemu stworzeniu!

— Musimy być oględni, gdyż mamy do czynienia z bardzo podstępny jegomościem. Do godziny 7 nic nie możemy zrobić. Ale o 7 będziemy już przy pani i długo nie potrwa, a rozwiążemy tę tajemnicę.

Byliśmy bardzo słowni, gdyż dokładnie o 7 przybyliśmy do Copper Beeches, zostawiając nasze bagaże w przydrożnej gospodzie. Kępa drzew o liściach ciemnych i lśniących jak polerowany metal w blasku zachodzącego słońca wskazałaby nam drogę do dworu, nawet gdyby nie było uśmiechniętej panny Hunter, która stała na progu domu. — Czy pani uporała się ze wszystkim? — zapytał Holmes. Z tyłu, pod schodami, rozlegało się głucho, lecz donośne dudnienie.

— To pani Toller w piwnicy — powiedziała panna Hunter. — Jej mąż leży w kuchni na kocu i chrapie. Oto jego klucze, które są odpowiednikami kluczy pana Rucastle.

— Dobrze się pani spisała! — zawołał Holmes z entuzjazmem. — Teraz proszę nam wskazać drogę, a niebawem położymy kres tym wszystkim ciemnym sprawkom.

Weszliśmy na schody, otworzyliśmy drzwi, minęliśmy korytarz i znaleźliśmy się tuż przed zabarykadowanymi drzwiami, które nam panna Hunter opisywała. Holmes przeciął sznur i odsunął poprzeczną sztabę. Następnie próbował dopasować różne klucze do zamku, ale bez powodzenia. Żaden dźwięk nie wydobywał się z wewnątrz, i wobec tej ciszy twarz Holmesa spochmurniała. !

— Mam nadzieję, że nie przybyliśmy za późno — powiedział. — Wydaje mi się, panno Hunter, że lepiej, abyśmy tam weszli bez pani. Watsonie, pomóż nam swoim ramieniem, a zobaczymy, czy można się tędy przedostać do pokoju.

Drzwi były stare, słabe w zawiasach i ustąpiły od razu pod naciskiem naszych złączonych sił. Wpadliśmy obaj do pokoju. Był pusty. Mebli nie było tam żadnych poza małym łóżkiem, małym stolikiem i koszem z bielizną. Dziura w suficie stała otworem, a więzień zniknął.

— Tu popełniono jakieś łajdactwo — powiedział Holmes — ten gagatek domyślił się zamiarów panny Hunter i wprowadził swą ofiarę.

— Ale w jaki sposób?

— Przez otwór w suficie. Zaraz zobaczymy, jak on to zrobił.

Holmes wciągnął się na dach.

— Ach, tak — zawołał — tu jest koniec długiej, lekkiej drabiny, opartej o okap. Więc on to tak zrobił.

— Ależ to jest niemożliwe — powiedziała panna Hunter — drabiny tam nie było, gdy państwo Rucastle wyjeżdżali.

— Wobec tego on wrócił i wtedy to zrobił. Mówię pani, że to sprytny i niebezpieczny człowiek. Nie byłbym zbyt zdziwiony, gdyby się okazało, że to jego kroki słyszę właśnie na schodach. Według mnie, Watsonie, lepiej abyś miał pistolet w pogotowiu.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy w drzwiach ukazał się tęgi, krzepki mężczyzna z ciężką laską w ręku. Panna Hunter krzyknęła na jego widok i przycisnęła się do ściany, ale Sherlock Holmes skoczył mu naprzeciw.

— Ty łajdaku — powiedział — gdzie twoja córka? Grubas potoczył wokoło oczyma i podniósł je ku otwartej dziurze w dachu.

— To ja powinienem o to zapytać — wrzasnął. — Złodzieje! Szpicle i złodzieje! Złapałem was, co? Mam was w swoim ręku! Ja się wam przysłużę!

Odwrócił się i zagrzmocił z całych sił po schodach na dół.

— On poszedł po psa! — krzyknęła panna Hunter.

— Mam rewolwer — powiedziałem.

— Zamknijmy lepiej wejściowe drzwi — zawołał Holmes i zbiegliśmy wszyscy razem w dół po schodach. Ale zaledwie dotarliśmy do halki, usłyszeliśmy ujadanie psa, a następnie okropny krzyk bólu i straszliwy, żalony jęk, którego nie można było słuchać bez przerażenia. Stary człowiek o czerwonej twarzy i drżących kończynach wyszedł chwiejnie z bocznych drzwi.

— Mój Boże! — wołał. — Ktoś wypuścił psa! A on nie był karmiony przez dwa dni. Szybko, szybko, bo będzie za późno!

Holmes i ja wybiegliśmy, skręcając za róg domu, a Toller śpieszył za nami. Ujrzeliśmy olbrzymią, zgłodniałą bestię o czarnym pysku wczepionym w krtan Rucastle'a, który krzyczał i wił się na ziemi. Strzeliłem biegnąc i roztrzaskałem psu łeb, aż upadł, ale jego ostre, białe zęby wciąż jeszcze były zwarte na pofalowanej szyi Rucastle'a. Rozdzieliliśmy ich z wielkim trudem, po czym zanieśliśmy go jeszcze żywego, ale straszliwie okaleczonego, do domu. Położyliśmy Rucastle'a w salonie na sofie i po odesłaniu trzeźwego już Tollera, aby zawiadomił swoją żonę, uczyniłem wszystko, co mogłem, żeby mu ulżyć w bólu. Staliśmy wszyscy wokół niego, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła wysoka, chuda kobieta.

— Pani Toller! — zawołała panna Hunter.

— Tak, panienko. Pan Rucastle mnie uwolnił po swym, powrocie, zanim poszedł do was na górę. Ach, panienko, szkoda, że mnie panienka nie zawiadomiła o swoich zamiarach, bo byłabym powiedziała, że wasze wysiłki były niepotrzebne.

— Ha! — powiedział Holmes, patrząc na nią przenikliwie. — Widać, że pani Toller więcej wie o tej sprawie niż ktokolwiek inny.

— Istotnie, proszę pana, i jestem gotowa opowiedzieć to, co wiem.

— Wobec tego proszę usiąść i opowiadać, albowiem jest tu kilka momentów, które muszę przyznać, są wciąż dla mnie niejasne...

— Ja je panu zaraz wyjaśnię — rzekła pani Toller — i zrobiłabym to już wcześniej, gdybym się mogła wydostać z piwnicy. O ile wyniknie z tego sprawa sądowa, proszę pamiętać, że byłam jedyną osobą, która trzymała stronę pańskiej znajomej, a byłam również przyjaciółką panny Alicji. Panna Alicja nie była szczęśliwa w tym domu, odkąd się jej ojciec powtórnie ożenił. Była zawsze taka mała, cicha i nie miała tu nigdy nic do powiedzenia. Ale dopiero wówczas zaczęło się jej źle powodzić, gdy w znajomym domu poznała pana Fowlera. O ile wiem, panna Alicja miała własny majątek, zapisany jej w testamencie, ale była zawsze spokojna i cierpliwa, w te sprawy się nie wtrącała i wszystko zostawiała w rękach pana Rucastle. On wiedział, że mu z jej strony nic nie groziło, ale gdy się nawinęła okazja do zamążpójścia, a mąż zażądałby z całą pewnością wszystkiego, co by mu się prawnie należało, ojciec postanowił położyć temu kres. Zażądał od córki, żeby podpisała papier, upoważniający go do dysponowania jej pieniędzmi

niezależnie od zamążpójścia. Gdy ona na to nie przystała, tak ją męczył, aż dostała zapalenia mózgu i przez sześć tygodni walczyła ze śmiercią. Wreszcie wyzdrowiała, ale wychudła jak cień, a jej piękne włosy zostały obcięte. Nie zmieniło to jednak uczuć jej kawalera i trwał przy niej wiernie, jak to czasem mężczyzna potrafi.

— Ach — powiedział Holmes. — To, co pani nam była dobra opowiedzieć, zupełnie sprawę wyjaśnia, a resztę potrafię już uzupełnić sam. Pan Rucastle wówczas prawdopodobnie wziął się na sposób i zastosował rodzaj aresztu?

— Tak, proszę pana.

— A pannę Hunter sprowadził z Londynu w tym celu, aby się pozbyć przykrew natarczywości pana Powlera?

— Tak było, proszę pana.

— Ale pan Fowler, jako dobry marynarz, był człowiekiem wytrwałym, obstawił dom i spotkawszy się z panią, przekonał ją za pomocą pewnych argumentów, metalowych czy innych, że w pani interesie leży współdziałanie z nim.

— Pan Fowler to bardzo grzeczny i hojny pan — powiedziała pani Toller pogodnie.

— No i w ten sposób, dzięki jego staraniom, pani małżonek mógł pić, ile chciał, a drabina została przystawiona akurat w tej samej chwili, gdy pan wasz odjechał?

— Ma pan rację, proszę pana, tak się to stało.

— Moim zdaniem, powinniśmy panią przeprosić, pani Toller — powiedział Holmes — bowiem pani nam wyjaśniła to, co było dla nas zagadką. Ale oto zbliżają się miejscowy chirurg i pani Rucastle, toteż uważam, Watsonie, że powinniśmy towarzyszyć panie Hunter w powrotnej drodze do Winchester, wydaje mi się bowiem, że nasze *locus standi* jest obecnie raczej wątpliwe.

W ten oto sposób została rozwiązana tajemnica ponurego domostwa z kępą czerwonych buków przed frontowym wejściem. Pan Rucastle wyzdrowiał, ale odtąd był już zawsze człowiekiem załamanym, żyjącym jedynie dzięki troskliwej opiece oddanej mu żony. Mieszkają stale w swym dworze wraz z dawną służbą, która prawdopodobnie sporo wie o przeszłości pana Rucastle, w związku z czym trudno mu się z nią rozstać. Pan Fowler i panna Rucastle, po uzyskaniu specjalnego zezwolenia, pobrali się w Southampton nazajutrz po dokonaniu ucieczki. Pan Fowler jest obecnie urzędnikiem państwowym, piastującym urząd na Wyspie Mauritiusa. Co do panny Violetty Hunter, jak tylko przestała być ośrodkiem jednego z problemów, mój przyjaciel Holmes, ku mojemu rozczarowaniu, stracił wszelkie zainteresowanie dla jej osoby. Obecnie jest kierowniczką prywatnej szkoły w Walsall i podobno osiągnęła w pracy duże powodzenie.

TAJEMNICA ZŁOTEGO PINCE-NEZ

PRZEL. JAN STANISŁAW ZAUS

THE GOLDEN PINCE-NEZ

Gdy przeglądam trzy masywne tomy manuskryptów, w których zawarte są nasze przygody z roku 1894, muszę przyznać, że trudno mi osądzić, która z tych przygód była najciekawsza i w której sławne na całym świecie zdolności mego przyjaciela wystąpiły najwidoczniej. Odwracam kartki i znajduję tam zapiski, o wstrętnej historii rudego weterynarza i o strasznej śmierci bankiera Crosby'ego. Dalej napotykam na sprawozdanie z tragedii w Addleton i dziwaczną historię starodawnych angielskich kupców. Znana afera Smith–Mortimer również przypada na okres tych czasów, podobnie jak wyśledzenie i aresztowanie Hureta, mordercy z paryskich bulwarów. Czyn ten przyniósł Holmesowi, w nagrodzie własnoręczny list z podziękowaniem od prezydenta Francji i order Legii Honorowej. Każdy z tych wypadków mógłby stanowić materiał do zajmującego opowiadania, lecz według mnie żaden z nich nie zawiera tych ciekawych i zajmujących szczegółów, co wypadek w Yoxley Old Place, który łączy się nie tylko z tragiczną śmiercią młodego Willoughby Smitha, ale zawiera ponadto ciekawy rozwój wypadków, rzucający światło na pobudki tej powikłanej zbrodni.

Był to zimny i burzliwy wieczór listopadowy. Siedzieliśmy w milczeniu w pokoju. Holmes zajęty był odczytywaniem przez lupę resztek jakiegoś starego pergaminu. Ja zaś zagłębiłem się w rozprawie medycznej. Za oknem wzdłuż Baker Street szalał wiatr, uderzając chwilami w szyby kroplami deszczu.

Było to nieprzyjemne, gdy znajdując się w samym sercu Londynu, gdzie dookoła nas w promieniu dziesięciu mil ludzie zajęci są podobnie jak my pracą, odczuwało się równocześnie żywiołową potęgę sił natury, wobec których cały Londyn nie znaczy więcej niż kupka ziemi wyrzucona przez kreta na polu. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na opustoszałą ulicę. Rzadko rozsiane latarnie rzucały migające światło na zabłocony, jezdnię i błyszczący od deszczu trotuar. Od strony Oxford Street, rozpryskując kałuże, zbliżała się samotna dorożka.

— Dobrze, Watsonie, że nie musimy dziś w nocy ruszać się z domu — rzekł Holmes odkładając lupę i zwijając pergamin. — Dosyć jak na jedno posiedzenie. To bardzo męczy wzrok. Nie ma nic bardziej zajmującego niż opowieść jakiegoś opata, który żył w drugiej połowie piętnastego wieku. Halo! Halo! Co tam się dzieje?

W poświst wiatru i szum deszczu wmieszał się odgłos kopyt końskich i zgrzyt koła ocierającego się o krawędź chodnika. Widocznie dorożka, którą przed chwilą zauważyłem, zatrzymała się przed naszym domem.

— Kogo on szuka? — zawołałem, dostrzegając wysiadającego mężczyznę.

— Kogo? Nas! On do nas przyjechał, Watsonie! A my, mój drogi, musimy wyciągnąć nasze płaszcze, szale i inne części garderoby, którą człowiek wymyślił po to, aby ochronić się przed złą pogodą. *Zaczekaj* jeszcze chwilę! Dorożka rusza, odjeżdża! Nie traćmy nadziei. Jeśliby chciał zabrać nas ze sobą, nie odsyłałby dorożki. Zejdź na dół, mój kochany, i otwórz bramę, gdyż wszyscy szanujący się obywatele leżą już dawno w łózkach.

Gdy światło lampy wiszącej w hallu padło na przybyłego, poznałem w nim Stanleya Hopkinsa, młodego i zdolnego urzędnika tajnej policji, którego karierą Holmes żywo się interesował.

— Zastałem go? — rzucił przybyły z pośpiechem lakonicznie.

— Chodź pan na górę, drogi panie — usłyszeliśmy głos Holmesa. — Przypuszczam, że nie

ma pań w ten ponury Wieczór złych zamiarów względem nas?

Gdy detektyw wchodził po schodach, dostrzegłem, że z jego płaszcza ścieka woda. Pomogłem mu się rozebrać, a Holmes dołożył drzewa do kominka.

— No, mój drogi Hopkinsie, siadaj przy ogniu i ogrzej sobie nogi — rzekł. — Tu ma pan cygaro, a doktor Watson poda panu doskonale lekarstwo na dzisiejszą niepogodę: gorącą wodę z cytryną! Widocznie zaszło coś poważnego, skoro wybrał się pan do mnie w taką wichurę.

— Tak, panie Holmes, istotnie. Mogę pana zapewnić, że dobrze napracowałem się dzisiejszego popołudnia. Czy czytał już pan coś o wypadku w Yoxley?

— Ostatnie wiadomości, które dziś czytałem, pochodzą z piętnastego wieku.

— Gazety zamieściły tylko krótką wzmiankę, i to w dodatku fałszywą. Nic pan nie stracił nie czytając jej. Nie miałem chwili spokoju. Miejsce to leży poniżej Kentu, siedem mil od Chatham i trzy mile od najbliższej stacji kolejowej. O godzinie trzeciej piętnaście dostałem telegram, o piątej byłem już w Yoxley Old Place, przeprowadziłem dochodzenia i złapałem jeszcze ostatni pociąg do Charing Cross, skąd niezwłocznie dorożką udałem się do pana.

— Co jest panu niejasne w tej sprawie?

— Ja w ogóle niczego nie rozumiem. Jest to, śmiało mogę panu powiedzieć, najbardziej tajemnicza historia, na jaką kiedykolwiek natrafiłem; a jednak z początku wydawała się niezmiernie prosta. Brak jest jakiegokolwiek motywu. Mr Holmes, i to mnie najbardziej niepokoi. Ten człowiek został zamordowany, tego nie można zaprzeczyć, lecz nie ma żadnego powodu, dla którego by miano popełnić tę zbrodnię.

Holmes zapalił papierosa i oparł się wygodnie w fotelu.

— Proszę nam podać bliższe szczegóły — rzekł.

— Wszystko jest całkiem jasne — zaczął Stanley Hopkins — z drugiej jednak strony nie mogę pojąć, co to wszystko znaczy. Sprawa wygląda następująco: Przed kilku laty pewien starszy jegomość, profesor Coram, kupił wiejski domek w Yoxley Old Place. Jest to chory człowiek, który połowę życia spędził w łóżku, a drugą połowę poruszając się z trudem o lasce lub też kazać ogrodnikowi obwozić się w fotelu na kółkach po swojej posiadłości. Nieliczni sąsiedzi, którzy go odwiedzają, lubią go i cieszy się wśród nich sławą uczonego człowieka. Jego służba składa się z gospodyni, niejakiej pani Marker, i pokojowej. Zuzanny Tarlton. Obie kobiety przybyły do domku razem z profesorem. Robią wrażenie dobrych i prawych charakterów. Profesor pisze jakieś dzieło naukowe; przed niespełna rokiem chciał zaangażować sekretarza. Pierwsi dwaj, których przyjął, nie nadawali się, dopiero trzeci, nazwiskiem Willoughby Smith, młody człowiek, który dopiero co ukończył studia uniwersyteckie, wydawał się być właśnie takim, jakiego potrzebował profesor. Jego czynności polegały na tym, że każdego przedpołudnia pisał pod dyktando profesora, pozostały zaś czas spędzał na wyszukiwaniu w książkach tych ustępów, które odnosiły się do pracy przypadającej na dzień następny. Ten Willoughby Smith jako młody uczeń w Uppingham, a potem jako student w Cambridge, prowadził się bez zarzutu. Widziałem jego świadectwa; od samej młodości był porządnym, spokojnym, pilnym człowiekiem, bez żadnych nałogów. Jednym słowem, nie znalazłem w nim „słabych miejsc”. I tego właśnie młodego człowieka znaleziono dziś rano nieżywego, Leżał w pracowni profesora, a okoliczności pozwalają przypuszczać, że został zamordowany.

Wiatr wył i targał okiennicami. Holmes i ja przysunęliśmy nasze fotele bliżej ognia, podczas gdy młody inspektor wolno, punkt po punkcie, opowiadał dalej:

— Zdaje się, że w całej Anglii trudno by było znaleźć dom, w którym mieszkańcy żyliby w większym odosobnieniu i bardziej oddaleni od wpływów zewnętrznych. Całe tygodnie mijały i nikt z domu nie wychodził poza bramę ogrodu. Profesor jedynie żył dla książek i nauki, nic innego dla niego nie istniało. Młody Smith nie: miał w sąsiedztwie żadnych znajomości i żył

podobnie jak jego pracodawca. Także obie kobiety nigdzie nie wychodziły. Mortimer, ogrodnik, który obwozi profesora po ogrodzie, to inwalida z wojny krymskiej, człowiek uczciwy. Nie mieszka razem ze wszystkimi, lecz w małym, trzypokojowym domku stojącym w samym końcu ogrodu. Otóż i wszyscy ludzie zamieszkujący teren Yoxley Old Place. Brama ogrodu oddalona jest od szosy Londyn–Chatham o jakie sto metrów. Brama ta zaopatrzona jest jedynie w klamkę, tak że każdy może bez przeszkody wejść do ogrodu.

Teraz przytoczę panu zeznanie Zuzanny Tarlton, jedynej osoby, która wie coś konkretnego w tej sprawie. Było to przed południem, między godziną jedenastą a dwunastą. Zajęta była właśnie wieszaniem firanek we frontowym pokoju na pierwszym piętrze. Profesor Coram leżał jeszcze w łóżku, gdyż w czasie niepogody nie wstaje przed południem. Gospodyni miała jakąś robotę w głębi domu. Willoughby Smith znajdował się w swoim pokoju, który służył mu zarazem za sypialnię; Zuzanna słyszała, jak przeszedł przez korytarz i zeszedł na parter do pracowni leżącej bezpośrednio pod jego pokojem. Nie widziała go, lecz oświadczyła, że rozpoznała jego szybkie kroki, co do tego nie miała wątpliwości. Nie mogła tylko powiedzieć, czy zamknął za sobą drzwi pracowni. W minutę potem usłyszała okropny krzyk, straszliwy, ochryply, dziwny i niesamowity krzyk. Nie mogła stwierdzić, czy był to głos mężczyzny, czy kobiety. Zaraz potem rozległo się ciężkie uderzenie, które wstrząsnęło domem, i zapadła cisza. Dziewczyna stała przez chwilę jak skamieniała, potem jednak zdobywszy się na odwagę, zbiegła po schodach na dół. Drzwi do pracowni były zamknięte. Otworzyła je. Gdy weszła do pokoju, ujrzała Smitha leżącego na podłodze. Z początku nie mogła dostrzec żadnej rany, lecz gdy usiłowała go podnieść, spostrzegła krew płynącą z przebitej szyi. Rana była mała, ale głęboka. Narzędzie zbrodni leżało obok na dywanie. Za pomocą małego nożyka o kościanej rękojeści, który służył do odrywania lakowych pieczęci, przebito główną arterię w szyi nieszczęśliwego. Nożyki takie spotyka się jeszcze czasem na staromodnych sekretarzykach. Ten, którym dokonano zbrodni, jest własnością profesora i zwykle leży na jego biurku.

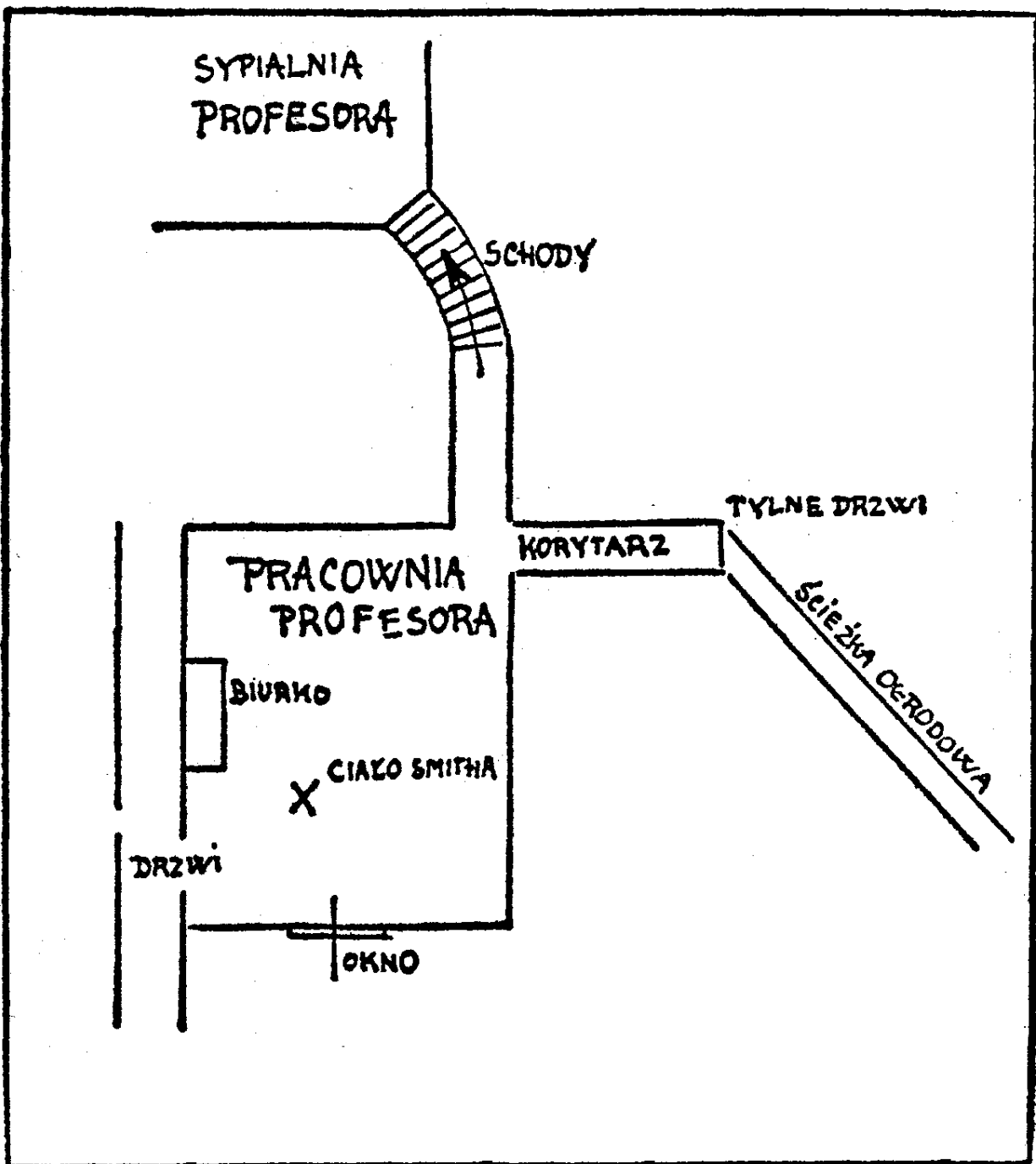
W pierwszej chwili dziewczyna myślała, że Smith już nie żyje, gdy jednak skropiła mu czoło wodą z karafki, Smith otworzył oczy i wyszeptał: „Profesorze — to była ona...” Może przysiąc, że słyszała te właśnie słowa. Próbował jeszcze z wysiłkiem coś powiedzieć, lecz wskazał tylko prawą ręką na sufit. Potem drgnął i osunął się na ziemię — nie żył.

Tymczasem nadbiegła gospodyni, ujrzała całą tę scenę, lecz nie słyszała ostatnich słów konającego. Pozostawiła Zuzannę przy trupie, a sama pobiegła do pokoju profesora. Zastała go siedzącego na łóżku. Był bardzo wzburzony, słyszał bowiem wszystko i przypuszczał, że musiało się coś stać. Mrs Marker może przysiąc, że profesor był jeszcze w nocnym stroju, gdyż było rzeczą niemożliwą, aby zdołał się ubrać bez pomocy ogrodnika, który miał zjawić się dopiero na godzinę dwunastą. Profesor twierdzi, że uszu jego dobiegł daleki krzyk, jednak co się potem stało, nie wie. Nie potrafi również wytłumaczyć ostatnich słów umierającego. Uważa, że mógł to być objaw zaćmienia umysłu przed zbliżającą się śmiercią. Przypuszcza, że Smith nie miał żadnych wrogów, toteż nie może nawet wyobrazić sobie, jaki był powód zbrodni. Posłał zaraz Mortimera do miejscowej policji z wiadomością o morderstwie. Naczelnik policji zadepeszerował po mnie. Przed moim przybyciem niczego nie ruszono i wydano nawet zakaz chodzenia po drodze i ścieżkach wokół domu. Była więc znakomita sposobność do zastosowania w praktyce pańskich teorii, Mr Holmes. Niczego tam naprawdę nie brakowało...

— Z wyjątkiem Sherlocka Holmesa! — przerwał mój przyjaciel z gorzkim uśmiechem. — Dobrze, ale mów pan dalej. Co pan uczynił po przybyciu na miejsce?

— Musi pan wpieryć okiem na ten pobieżny szkic, który określi panu położenie pracowni profesora w stosunku do innych pomieszczeń. Może w tym znajdzie pan jakiś punkt zaczepienia. Będzie panu łatwiej zrozumieć tok mego śledztwa.

Hopkins rozłożył przed Holmesem swój plan. Wstałem i podszedłszy do mego przyjaciela, zjrzałem mu przez ramię.



— Jest, oczywiście, schematyczny i zawiera jedynie najważniejsze szczegóły. Resztę obejrzy pan na miejscu. Jeżeli, po pierwsze, przyjmiemy, że zbrodniarz przybył do domu z zewnątrz, to w jaki sposób tam wszedł? Najprawdopodobniej ścieżką ogrodową i przez tylne drzwi, od których do pracowni prowadzi mały korytarzyk. Każda inna droga jest zbyt skomplikowana i

niebezpieczna. Do ucieczki zbrodniarz musiał użyć tej samej drogi, gdyż pozostałe dwa wyjścia były dlań odcięte; jedno przez Zuzannę, która zbiegała właśnie po schodach, a drugie prowadzi do sypialni profesora. Dlatego całą moją uwagę skierowałem na ścieżkę ogrodową. Ponieważ niedawno padał deszcz, więc spodziewałem się znaleźć na niej jakieś ślady.

Moje poszukiwania wykazały jednak, że mamy do czynienia z ostrożnym i doświadczonym przestępcą. Na ścieżce nie znalazłem żadnych śladów: ani butów, ani bosych stóp. Natomiast nie ulega wątpliwości, że ktoś szedł po trawniku obok ścieżki, uniknął w ten sposób konieczności pozostawienia śladów na ścieżce. Mógł to być jedynie morderca, gdyż od rana nie przechodził tamtędy ani ogrodnik, ani też nikt z domowników, a w nocy padał deszcz.

— Chwileczkę — rzekł Holmes. — Dokąd prowadzi ta ścieżka?

— Na drogę.

— Jaka jest długa?

— Około stu metrów.

— Jednak koło bramy znalazł pan zapewne również ślady stóp.

— Niestety, nie, tam ścieżka jest brukowana.

— A na drodze?

— Też nie; tam ślady są już zatarte.

— Do licha! No dobrze, a jaki kierunek wskazywały ślady na trawniku, w kierunku domu, czy też w kierunku bramy?

— Tego nie mogłem stwierdzić. Nigdzie nie znalazłem wyraźnego śladu.

— Była to mała, czy duża stopa?

— Tego również nie można było rozpoznać.

Holmes dał głośno wyraz swemu niezadowoleniu.

— W tym czasie padał deszcz i szalała burza — powiedział. — Trudniej teraz będzie odkryć coś tam niż na tym pergaminie... No tak, ale nic na to nie poradzę. Co uczynił pan po uświadomieniu sobie, że niczego się nie dowiedział?

— Myślę jednak, Mr Holmes, że coś odkryłem. Wiedziałem, że ktoś z zewnątrz ostrożnie wkradł się do domu. Zbadałem więc przede wszystkim korytarz. Wyłożony jest kokosowym chodnikiem, niczego więc na nim nie znalazłem. Potem poddałem badaniu pracownię. Jest to pokój dość starannie umeblowany. Głównym meblem jest biurko z dwoma szeregami szufladek i wąską, małą szafką pomiędzy nimi. Szafka ta była zamknięta, szufladki zaś otwierały się bez użycia klucza. Widocznie nigdy ich nie zamykano. Nie znalazłem też w nich niczego wartościowego. W szafce natomiast znajdowały się ważne papiery... Nie było jednak żadnych śladów wskazujących na to, że ktoś usiłował je wyjąć, a profesor zapewnił mnie, że niczego z papierów nie brakuje. Stąd wniosek, że morderstwa nie dokonano w celach rabunkowych.

Teraz muszę jeszcze powiedzieć panu o trupie tego młodego człowieka. Leżał w pobliżu biurka nieco na lewo, widać to na szkicu. Rana znajdowała się po prawej stronie i biegła od tyłu do przodu tak, że samobójstwo jest prawie wykluczone.

— O ile, oczywiście, nie upadł na nóż — zauważył Holmes.

— Tak jest. To samo i mnie przyszło na myśl. Jednak nóż znaleziono daleko od ciała, więc to przypuszczenie upada. Prócz tego trzeba, oczywiście, wziąć pod uwagę słowa umierającego. Wreszcie zaś w prawej dłoni zamordowanego znalazłem ten oto przedmiot.

Stanley Hopkins wyjął z kieszeni mały pakunek, owinięty w papier. Po rozwinięciu ukazało się naszym oczom złote pince-nez z dwoma kawałkami czarnego, jedwabnego sznurka, zwieszającego się z obu końców.

— Willoughby Smith miał dobry wzrok — zauważył detektyw, wskazując na zawartość papieru. — Nie ulega wątpliwości, że należy to do mordercy.

Holmes wziął szkła do ręki i badał je z wielką uwagą i żywym zainteresowaniem. Nasadził na nos i próbował czytać, potem podszedł do okna i wyjrzał na ulicę, następnie obejrzał pince-nez w pełnym świetle lampy. W końcu zaśmiał się krótko pod nosem, usiadł przy stole i napisał kilka zdań na papierze, który wręczył inspektorowi Hopkinsowi ze słowami:

— To najlepsza rada, jakiej mogę panu udzielić. Może przyda się panu na coś.

Zdziwiony detektyw odczytał głośno, co następuje:

— „Poszukuje się kobiety o dobrych manierach i wykwiennie ubranej. Posiada ona szczególnie gruby nos i blisko siebie osadzone oczy. Czoło zmarszczone, ostry wyraz twarzy, plecy prawdopodobnie skrzywione. Pewne szczegóły wskazują na to, że w ostatnich dwóch miesiącach była dwa razy u optyka. Ponieważ używa szkielek bardzo silnych, a optyków jest niewiele, zatem nietrudno będzie odnaleźć jej ślad”.

Holmes zaśmiał się widząc zdumienie Hopkinsa. Muszę się przyznać, że i ja byłem zdziwiony.

— Cała ta dedukcja jest niezwykle prosta — rzekł. — Według mnie nie ma przedmiotu bardziej nadającego się do badań niż pince-nez, i to tak specjalne pince-nez jak to. Jest własnością kobiety, to wynika z jego wykonania i ostatnich słów umierającego sekretarza. Ze złotej, kunsztownej oprawy wnoszę, że należy do kobiety o dobrych manierach, wytwornie ubranej. Kabłąki są silnie rozstawione, więc nos jej u nasady musi być bardzo gruby. Nosy tego gatunku są zazwyczaj krótkie, lecz zdarzają się wyjątki, więc przy tym twierdzeniu nie będę się zbytnio upierał. Ja sam mam wąską twarz, a jednak szkła są dla mnie ułożone za blisko. Wynika z tego, że oczy naszej damy muszą być blisko siebie osadzone. Możesz się przekonać, Watsonie, że szkła są wklęsłe i bardzo silne. Kobieta, która przez całe życie jest tak krótkowidząca, musi nosić ślady tej ułomności na czole w postaci zmarszczek i mieć skrzywione plecy.

— Tak — odparłem. — Twoje argumenty są niezwykle jasne. Przyznaję jednak, że nie wiem, z czego wnioskujeś o dwukrotnym odwiedzeniu optyka.

Holmes wziął ponownie pince-nez do ręki.

— O ile ci wiadomo — wyjaśnił — kabłąki pokryte są pasemkami korka w celu złagodzenia ucisku na nos. Jedno pasemko jest brudne i zatuszczone, drugie natomiast nowe. Widocznie niedawno zostało założone. Tamto zaś zostało zmienione nie dalej jak przed kilkoma miesiącami. Obydwa są takie same i wykonane identycznie, mogę więc założyć, że obie naprawy zostały wykonane w tym samym sklepie.

— Na Boga, to cudowne! — zawołał Hopkins z najwyższym podziwem. — Pomyśleć, że wszystko to miałem w rękę i nie wiedziałem o niczym! Ale w każdym razie chciałem obejść wszystkich londyńskich optyków.

— Oczywiście, mógł pan to zrobić. Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia w tej sprawie?

— Nie, panie Holmes. Myślę, że pan wie teraz tyle samo co ja, a prawdopodobnie nawet więcej. Wybadaliśmy też, czy nie widziano jakiejś obcej osoby na stacji kolejowej lub na drodze. Nie widziano nikogo. Najbardziej martwi mnie brak jakiegokolwiek motywu zbrodni; już skłonny jestem przypuścić, że maczał w tym palce jakiś duch!

— Niestety, w tym kierunku nie mogę służyć panu pomocą. Przypuszczam, że chce pan, abyśmy jutro udali się tam razem?

— Tak, jeśli nie odmówi pan mojej prośbie, Mr Holmes. O godzinie szóstej rano odchodzi pociąg z Charing Cross do Chatham. W Yoxley Old Place będziemy między dziewiątą a dziesiątą.

— Wobec tego pojedziemy tym pociągiem. Pańska sprawa zawiera wiele ciekawych punktów i z chęcią rozpatrzę ją bliżej. A teraz przydałoby się kilka godzin snu, jest już blisko pierwsza. Pan może położyć się na sofie koło kominka, tu jest lampka. Jutro rano dostanie pan filizankę

kawy.

Nad ranem burza ucichła, lecz w chwili gdy wyruszyliśmy, panowało dotkliwie zimno. Ujrzelśmy nad Tamizą wschodzące zimowe słońce, oświetlające długie, ponure kanały i baseny, które mimo woli przypominały mi nasz pościg za Andamańczykiem z pierwszych dni naszej kariery. Po długiej i uciążliwej jeździe wysiedliśmy na małej stacyjce, odległej o kilka mil od Chatham. Gdy konie zatrzymały się przed miejscową gospodą, wysiedliśmy, aby szybko zjeść śniadanie. Po czym wynajętym powozem udaliśmy się do Yoxley Old Place. Przy bramie ogrodowej spotkaliśmy policjanta.

— Czy jest coś nowego, Williamie?

— Nie, sir, nic.

— Nie widziano nikogo obcego?

— Nie, sir. Na stacji twierdzą, że wczoraj nikt obcy ani nie przyjechał ani nie odjechał.

— Czy zasięgnął już pan wiadomości w zajazdach i gospodach?

— Tak, lecz nie mieszka tam nikt, kto mógłby wchodzić w rachubę.

— Dobrze. Oto ścieżka, o której panu mówiłem. Ktokolwiek by tędy szedł, musiał pozostawić ślad. Zapewniam pana, że wczoraj nie było na niej żadnego śladu.

— Po której stronie widział pan zgniecioną trawę?

— Tutaj, na tym wąskim trawniku, oddzielającym ścieżkę od klombu kwiatowego. Teraz prawie już nic nie widać, wczoraj jednak ślady były całkiem wyraźne.

— Tak, tak, ktoś tędy szedł — powiedział Holmes, pochylając się nad trawnikiem. — Nasza dama musiała mieć lekki chód i posuwała się niezwykle ostrożnie, w przeciwnym razie zostawiłaby jakieś ślady albo na mokrym klombie, albo na ścieżce. Szła tak — ostrożnie, jakby stąpała po równo zasłanym łożku.

— Tak, działała z zimną rozważą.

Wyraz twarzy mego przyjaciela był bardzo zagadkowy.

— Przypuszcza pan, że powracała tą samą drogą?

— Tak jest, a czy mogła powrócić inną?

— I po tym wąskim trawniku?

— Tak, Mr Holmes.

— Hm! Niezwykła zręczność, rzeczywiście nadzwyczajna! Zdaje mi się, że ta ścieżką nie powie nam już nic więcej. Idźmy dalej. Brama ogrodowa jest zazwyczaj otwarta?

— Tak.

— Nasza osoba mogła więc wejść swobodnie. Nie przybyła z zamiarem popełnienia morderstwa, wcale o nim nie myślała, w przeciwnym bowiem wypadku zaopatrzyłaby się w broń i nie użyłaby nożyka leżącego na biurku. Potem przeszła tym korytarzem, gdzie na kokosowym chodniku nie pozostawiła żadnych śladów. Następnie weszła do pracowni. Jak długo tam przebywała? Tego, niestety, nie wiemy.

— Tylko kilka minut, Mr Holmes. Zapomniałem powiedzieć panu, że Mrs Marker była tam krótko przedtem, może kwadrans, jak sama twierdzi, i sprzątała.

— Doskonale, mamy więc określony czas. Nasza dama wchodzi i co czyni? Zbliży się do biurka. W jakim celu? Z pewnością nie po to, aby zabrać coś z szufladek, gdyż ważne i cenne rzeczy zamknięte są na klucz. Nie, tu chodziło o coś, co mieściło się w samym biurku. Hola! Cóż to za rysa? Watsonie, zapal zapałkę. Dlaczego nie powiedział mi pan o tym, panie Hopkins?

Rysa, której się przyglądał, biegła po mosiężnym okuciu na prawo od dziurki do klucza; miała cztery cale długości i uszkodziła politurę.

— Widziałem ją, Mr Holmes, jednak koło dziurki od klucza zawsze są takie rysy.

— Ta jednak jest świeża, całkiem świeża. Proszę zwrócić uwagę, że mosiądz w tym miejscu błyszczy. Stara rysa miałaby ten sam kolor, co powierzchnia mosiądzu. Niech pan popatrzy teraz przez moją lupę. Na politurze widać również zadarcia po obu stronach rysy, podobne do bruzdy w ziemi. Czy Mrs Marker jest w domu?

Do pokoju weszła starsza kobieta o przygnębionym wyrazie twarzy.

— Czy ścierała pani wczoraj kurz z tego biurka?

— Tak, proszę pana.

— Czy zauważyła pani tę rysę?

— Nie, naprawdę nie widziałam jej.

— Jestem przekonany, że jej pani nie widziała, w przeciwnym razie bowiem byłaby pani starła zdrapaną politurę. Kto posiada klucz do tego biurka?

— Profesor nosi go na łańcuszku przy zegarku.

— Czy to zwyczajny klucz?

— Nie, proszę pana, to klucz patentowy.

— Doskonale. Może pani odejść. Teraz wiemy już nieco więcej. Posunęliśmy się trochę naprzód. Nasza nieznajoma podchodzi więc do biurka i otwiera je lub przynajmniej próbuje otworzyć. W tym momencie wchodzi Smith. Chce szybko wyjąć klucz i przy tej sposobności robi rysę. On chce ją zatrzymać. Ona chwytą pierwszy lepszy przedmiot z biurka, był nim przypadkowo nóż, i uderza nim Smitha, aby się uwolnić. Cios był śmiertelny. Sekretarz pada, a ona ucieka wykonawszy swój plan lub nie. A, jest tu i Zuzanna! Powiedz nam, czy mógł ktoś, gdy już usłyszałaś krzyk, niepostrzeżenie uciec tamtymi drzwiami?

— Nie, sir, to było niemożliwe. Zanim zbiegłam po schodach na dół, musiałabym dojrzeć tę osobę w korytarzu. Poza tym nie słyszałam, aby ktoś otwierał te drzwi.

— Zatem to wyjście odpada. Nieznajoma musiała więc uciekać tą samą drogą, którą przybyła. O ile wiem drugie wyjście prowadzi tylko do pokoju profesora. A może się mylę?

— Nie, sir.

— Pójdziemy więc tam i poznamy się z profesorem. Halo, Hopkins! Ten korytarz również jest wyłożony kokosowym chodnikiem, to bardzo ważne odkrycie!

— Tak? Więc co z tego?

— Nie rozumie pan, jakie to ma znaczenie dla naszej sprawy? Dobrze więc, dobrze, nie będę się przy tym upierał, może to i nie ma żadnego znaczenia... Jednak to mnie zastanawia, wydaje się dziwne... Chodź pan i przedstaw nas profesorowi.

Przeszliśmy korytarz; był tak samo długi jak ten, który prowadził do ogrodu. Na końcu znajdowało się kilka schodków, a za nimi drzwi. Nasz przewodnik zapukał i weszliśmy do pokoju profesora.

Pokój był bardzo duży. Wzdłuż ścian stały ogromne szafy wypełnione niezliczoną ilością tomów; również po kątach i na podłodze leżały porozrzucane książki, które widocznie nie znalazły pomieszczenia na półkach. Na środku pokoju stało łóżko, na którym wsparty na poduszkach, siedział właściciel domu. Nie widziałem bardziej charakterystycznej postaci! Szczupła, orla twarz zwrócona była w naszym kierunku. Spod krzaczastych brwi spoglądały na nas przenikliwe, głęboko osadzone oczy. Włosy i broda były całkiem siwe, jedynie w okolicy ust broda miała jakieś dziwne żółte plamy. Pośród gmatwaniny siwych włosów palił się papieros, którego trzymał w ustach, a cały pokój pełen był dymu tytoniowego. Gdy podał Holmesowi rękę, zauważyłem, że pokryta była żółtymi plamami od nikotyny.

— Pali pan, Mr Holmes? — zapytał doskonałą angielszczyzną z prawie niedostrzegalnym obcym akcentem. — Proszę, weź pan papierosa. A pan? Mogę je śmiało polecić, robione są przez

Jonidesa w Aleksandrii, na specjalne zamówienie. Posyła mi za każdym razem tysiąc sztuk. Niestety, muszę się przyznać, że co czternaście dni zamawiam nową przesyłkę. Żle, sir, bardzo źle; jednak taki stary człowiek jak ja musi mieć jakieś przyjemności. Tytoń i moja praca, oto wszystko, co mi jeszcze pozostało.

Holmes zapalił papierosa i ukradkiem rozglądał się po pokoju.

— Tytoń i praca, lecz teraz już tylko tytoń — wykrzyknął profesor. — Niestety! Taka fatalna przerwa! Kto by mógł przewidzieć tę katastrofę? Taki szanowany młody człowiek! Zapewniam pana, że po tych kilku miesiącach pracy świetnie się zapowiadał. Był doskonałym pomocnikiem. Co pan sądzi o tym wszystkim, panie Holmes?

— Nie mam jeszcze wyrobionego zdania.

— Byłbym panu niezmiernie wdzięczny, gdyby pan zdołał rzucić jakieś światło w te ciemności. Na takiego starego mola książkowego, chorego w dodatku, cios ten działa paralizująco. Jestem całkowicie; tym oszołomiony. Ale dla pana, człowieka czynu, wypadki tego rodzaju są chlebem powszednim. W każdej sytuacji potrafi pan zachować równowagę ducha. Jesteśmy szczęśliwi, że mamy pana po naszej stronie.

Holmes przechadzał się po pokoju tam i z powrotem wzdłuż jednej ze ścian. Zauważyłem, że palił nadzwyczaj szybko. Widocznie smakowały mu świeże aleksandryjskie papierosy.

— Tak, sir, to dla mnie straszny cios — mówił dalej profesor. — To jest moje *magnum opus*, ten stos papierów tam na szafce. Jest to analiza dokumentów znalezionych w koptyjskich klasztorach Syrii i Egiptu, analiza, która sięga głęboko aż do podstaw religii objawionej. Nie wiem, czy uda mi się dokończyć to dzieło, zapadam na zdrowiu, a w dodatku straciłem asystenta. Drogi panie, przecież pan pali szybciej niż ja! Holmes uśmiechnął się.

— Jestem znawcą tytoniu — odparł, biorąc z pudełka następnego papierosa, już czwartego, i zapalił go od poprzedniego. — Ponieważ pan, panie profesorze, podczas popełnienia morderstwa znajdował się w łóżku, więc nie będę pana męczył niepotrzebnymi pytaniami. Chciałbym jedynie wiedzieć, co pan sądzi o ostatnich słowach umierającego: „Profesorze — to była ona”?

Profesor potrząsnął głową.

— Zuzanna jest wiejską dziewczyną — rzekł — a pan wie, jak ograniczeni są ludzie jej pokroju. Wyobrażam sobie, że ten nieszczęśliwy mrucał coś bez związku, a ona połączyła to w zgoła bezsensowny sposób.

— Rozumiem. A pan jak sobie tłumaczy tę tragedię?

— Być może, że to nieszczęśliwy wypadek: możliwe też, mówiąc między nami, że popełnił samobójstwo. Młodzi ludzie mają jakieś tam własne skryte kłopoty, może zawód miłosny, o którym nikt nigdy nie wiedział? To przypuszczenie wydaje się bardziej prawdopodobne niż morderstwo.

— A pince-nez?

— Ach! Jestem tylko badaczem, marzycielem. Nie mam zmysłu praktycznego. Istnieją jednak rozmaite przejawy miłości. Na wszelki wypadek weź pan jeszcze papierosa. Cieszy mnie, że panu smakują. Wachlarz, rękawiczka, szkła takie jak te — kto wie, co może wydać się najdroższe człowiekowi, który zamierza popełnić samobójstwo. Może była to dla niego jakaś pamiątka, z którą nie chciał się rozstać w godzinie śmierci? Ten pan mówił o jakiś śladach na trawniku; jednak w tym przypadku nietrudno o pomyłkę. A nóż? No tak, ale biedak mógł padając odrzucić nóż daleko od siebie! Być może, mówię jak dziecko, lecz coś mi się wydaje, że Willoughby Smith sam targnął się na swoje życie.

Holmes udał, że przychyła się do tej teorii, i począł znów jak przedtem spacerować po pokoju, paląc papierosa za papierosem.

— Niech mi pan powie, profesorze Coram — spytał w końcu — co przechowuje pan w tej

szafce w biurku?

— Nic, co by mogło mieć jakąkolwiek wartość dla złodzieja. Znajdują się tam dokumenty rodzinne, listy mojej żony i dyplomy uniwersyteckie. Tu jest klucz. Może się pan sam przekonać.

Holmes wziął klucz do ręki i przyglądał mu się przez chwilę, potem zwrócił go..

— Nie, zdaje mi się, że to niepotrzebne — rzekł — wolę raczej zejść do ogrodu i pomyśleć trochę. Jest w tym wszystkim coś, co stwarza możliwość, że samobójstwo nie jest wykluczone. Proszę o wybaczenie, że pana niepokoi, profesorze. Zapewniam pana, iż nie przeszkodzimy mu aż do obiadu. O godzinie drugiej przyjdziemy tu jeszcze raz, aby panu streścić wyniki naszych dochodzeń.

Holmes był bardzo roztargniony; przez dłuższy czas przechadzaliśmy się w milczeniu.

— Trafiłeś już na jakiś ślad? — spytałem wreszcie.

— To zależy jeszcze od papierosów, które paliłem — odparł. — Możliwe, że się mylę. Papierosy to okażą.

— Mój drogi Holmesie — zawołałem — jakże to...

— Zobaczysz. Jeżeli nie, to nic nie szkodzi. Oczywiście, moglibyśmy zejść do optyków i zrobić wywiad, ale wybrałem krótszą drogę do celu. Ach, to nasza dobra pani Marker! Nie zaszkodzi pięć minut pogawędki z nią.

Holmes umiał, jak to już kiedyś wspomniałem, pozyskiwać sobie sympatię i zaufanie kobiet. Po krótkiej chwili rozmawiał z gospodynią, jakby znał ją od lat.

— Tak, Mr Holmes, jest tak, jak pan mówi. Ma pan zupełną rację. Profesor za dużo pali. Przez cały dzień, a czasem nawet całą noc. Pewnego ranka, gdy weszłam do pokoju, to myślałam, że panuje tam londyńska mgła. Biedny pan Smith palił też dużo, jednak nie tyle, co profesor. Jego zdrowie... no tak, ale ja właściwie nie wiem, czy palenie szkodzi, czy nie.

— W każdym razie zabija apetyt — rzekł Holmes.

— Tak? Nic o tym nie wiedziałam.

— Przypuszczam, że profesor jada bardzo mało.

— Zależy kiedy.

— Założę się, że nie jadł dziś śniadania, a sądząc po ilości wypalonych dotąd papierosów, obiadu również jeść nie będzie.

— Myli się pan. Wprost przeciwnie, właśnie że dziś na śniadanie zjadł bardzo wiele, a na obiad zamówił dużo kotletów. Dziwię się sama, jak może mieć taki apetyt po tym, co wczoraj zaszło. Ja na samo wspomnienie tracę ochotę do jakiegokolwiek jedzenia. Ale są różni ludzie na świecie, profesorowi nie odebrało to, widocznie apetytu.

Całe przedpołudnie przechadzaliśmy się po ogrodzie. Stanley Hopkins udał się do wsi, uganiając się za jakąś obcą kobietą, którą poprzedniego ranka widziała na drodze wiodącej do Chatham grupa bawiących się dzieci. Co do mego przyjaciela, to wydawał się być całkowicie pozbawiony energii. Jeszcze nigdy nie widziałem, aby tak ospale zabierał się do pracy. Nawet nowina, którą przyniósł Hopkins o kobiecie podobnej do opisanej przez Holmesa, bez okularów lub innego rodzaju szkieł, nie zainteresowała go zbyt. Natomiast ożywił się bardzo, kiedy Zuzanna opowiadała przed samym obiadem o spacerze, który Smith odbył pół godziny przed śmiercią. Ja sam, niestety, nie mogłem pojąć, dlaczego ta wiadomość jest dla Holmesa tak ważna. Nagle zerwał się z krzesła i spojrzał na zegarek.

— Druga godzina, panowie — powiedział. — Musimy iść do profesora i zdać mu sprawozdanie z naszej działalności.

Profesor kończył właśnie obiad; puste talerze wskazywały, że przewidywania gospodyni spełniły się: apetyt mu służył. Stanowił dość niesamowity widok, gdy tak siedział zwrócony ku nam bladą twarzą, okoloną postrzępionymi kosmykami siwych włosów, z wpatrującymi się w

nas płonącymi oczyma. W ustach dymił nieodłączny papieros. Był już ubrany i siedział w fotelu koło kominka.

— No więc, Mr Holmes, rozwiązał już pan tę zagadkę?

Podsunał w naszym kierunku stojące na stole pudełko z papierosami. Holmes, chcąc wziąć papierosa popchnął pudełko tak, że spadło na podłogę. Przez dłuższą chwilę zbieraliśmy na kolanach porzucane papierosy. Gdyśmy się podnieśli, zauważyłem, że oczy Holmesa błyszcząły, a policzki nabrały kolorów. Kryzys minął, zbliżała się walka.

— Tak — odparł — rozwiązałem.

Hopkins i ja patrzyliśmy nań ze zdziwieniem. Po twarzy profesora przemknął jakby drwiący uśmiech.

— Czyżby? W ogrodzie?

— Nie, tu.

— Tu! Kiedy?

— W tej chwili.

— Pan żartuje, Mr Holmes. Sprawa jest zbyt poważna, aby traktować ją w ten sposób.

— Profesorze Coram, każde ogniwo mego łańcucha jest dobrze wykute i wypróbowane, tak że wiem, jaką ma wytrzymałość. Nie są mi jeszcze znane pańskie pobudki i pańska rola w tej sprawie. Za kilka minut prawdopodobnie pan sam mi je wyjaśni. Chwilowo jednak ja opowiem panu, jak to wszystko się odbywało, żeby pan zrozumiał, jakich mi potrzeba wyjaśnień.

Wczoraj w pańskiej pracowni przebywała kobieta. Przyszła z zamiarem zabrania pewnych papierów, które znajdowały się w biurku. Klucz przyniosła ze sobą. Miałem sposobność widzieć niedawno pański klucz i nie znalazłem na nim śladów, które musiałaby pozostawić uczyniona nim rysa. Pan więc nie jest współwinny, ponieważ ona przyszła, o ile się domyślam, bez pańskiej wiedzy.

Profesor wypuścił z ust chmurę dymu.

— To bardzo interesujące i pouczające — rzekł. — Czy ma pan jeszcze coś do dodania? Ponieważ poszedł pan za tą panią tak daleko, to może pan objaśni, co się z nią stało?

— Spróbuje. Pierwszy spotkał ją sekretarz. Pochwycił ją, a ona go zabiła, aby móc uciec. Cała katastrofa wynikła przypadkowo; ona nie przybyła tu, aby go zamordować. Morderca nie przychodzi bez broni. Nieprzytomna i przerażona dokonany czynem, uciekła z miejsca zbrodni. Nieszczęśliwym przypadkiem podczas szamotania się z sekretarzem zgubiła szklę, a będąc krótkowzroczną, nie widziała nic bez nich. Pobiegła przez korytarz; wydawało jej się, że jest to ten, którym przyszła, obydwaj bowiem wyłożone są tym samym kokosowym chodnikiem. Gdy spostrzegła, że ucieka w fałszywym kierunku, miała już odcięty odwrót. Co uczyniła dalej? Musiała iść naprzód, nie mogła się cofnąć. Pobiegła po schodach na górę i znalazła się w pańskim pokoju, panie profesorze.

Stary profesor siedział z otwartymi oczyma i wpatrywał się w Holmesa dzikim wzrokiem. Na jego twarzy malowało się zdziwienie pomieszane z trwogą. Potem z wysiłkiem zaśmiał się i wzruszył ramionami.

— Wszystko to bardzo ładnie, panie Holmes — powiedział. — Jest jednak poważna luka w pańskim rozumowaniu. Ja sam byłem przecież cały dzień w pokoju.

— Wiem o tym, profesorze Coram.

— I sądzi pan, że ja, leżąc w łóżku, nie zauważyłbym, że ktoś wchodzi do pokoju?

— Tego nie powiedziałem. Pan to zauważył. Mówił pan nawet z nią. Pan ją zna i chce jej pomóc w ucieczce.

Profesor zaczął się piskliwie śmiać. Potem zerwał się z wściekłością.

— Pan oszalał! — krzyknął. — Gadasz pan jak obłąkany. Ja miałbym pomóc jej w ucieczce?

Więc gdzież ona teraz jest?

— Tam — odparł Holmes i wskazał na wysoką szafę stojącą w kącie.

Ujrzałem, jak starzec załamał się, przez twarz przebiegło mu kurczowe drzenie i opadł w fotelu. W tej samej chwili szafa, na którą wskazał Holmes, obróciła się i do pokoju wpadła kobieta.

— Ma pan rację! — zawołała dziwnym, obcym głosem. — Ma pan rację! Jestem tutaj!

Była brunatna od kurzu i pajęczyn, ściągniętych ze ścian swojej kryjówki. Również twarz miała pobrudzoną. Pomijając jednak ten fakt, dostrzegłem, że i tak nigdy nie była ładna. Jej wygląd zgadzał się całkowicie z opisem, który Holmes podał na kartce, poza tym miała wysuniętą, energiczną dolną szczękę. Przez kilka chwil mrugała oczyma, co częściowo przypisać można było jej krótkowzroczności, a częściowo nagłemu przejściu z ciemności do światła. Starła się dojrzeć, ilu nas jest i kim jesteśmy.

A jednak wbrew temu niekorzystnemu wyglądowi, swoim sposobem poruszania się, uniesieniem głowy i wyrazem twarzy zdradzała szlachetność i dumę, co zmuszało do szacunku i podziwu. Hopkins położył rękę na jej ramieniu i oświadczył, że jest aresztowana; ona jednak ruchem pełnym godności odsunęła go na bok. Profesor leżał w fotelu, twarz jego drgała, a oczy były nieruchomo wpatrzone w kobietę.

— Tak, sir, jestem do pana dyspozycji — rzekła. — Słyszałam wszystko i wiem, że odkrył pan prawdę. Przyznaję się do wszystkiego. To ja zamordowałam tego młodzieńca. Słusznie wywnioskował pan, że był to nieszczęśliwy wypadek. Nie wiem, w jaki sposób i kiedy ten nóż znalazł się w moim ręku, byłam zrozpaczona i chwyciłam pierwszy lepszy przedmiot leżący na stole, nie wiedząc nawet, że jest to nóż. Potem uderzyłam. Chciałam, aby mnie puścił. Taka jest prawda, nie kłamie.

— Madame — rzekł Holmes — nie wątpię w to. Ale cóż to? Wydaje mi się, że pani mdleje...

Twarz jej rzeczywiście zbladła śmiertelnie. Usiadła na brzegu łóżka i mówiła dalej:

— Mam mało czasu, ale chcę, aby pan znał całą prawdę. Jestem żoną tego człowieka. On nie jest Anglikiem. Jest Rosjaninem. Jego prawdziwe nazwisko przemilczę.

Teraz dopiero starzec ocknął się.

— Niech cię Bóg błogosławi, Anno! — wykrzyknął. — Niech cię Bóg błogosławi!

Spojrzała na niego z najwyższą pogardą.

— Dlaczego tak kurczowo trzymasz się życia, Sergiuszu? — zapytała. — Uczyniło ono tylu ludzi nieszczęśliwymi, a czy tobie coś dało? Jednak nie jest moją rzeczą nakłaniać cię do położenia kresu takiemu życiu i tak przyjdzie na to czas. Od chwili przekroczenia tego przekłętego progu dosyć już mam na sumieniu. Muszę jednak powiedzieć wszystko, zanim będzie za późno. — Mówiłam już panom — zwróciła się do nas — że jestem żoną tego człowieka. Gdyśmy się pobrali, on miał lat pięćdziesiąt, a ja byłam głupią dwudziestoletnią dziewczyną. Było to w pewnym rosyjskim mieście uniwersyteckim, nazwy woleń nie wymieniać.

— Bóg cię wynagrodzi, Anno — wyszeptał starzec.

— Byliśmy reformatorami, rewolucjonistami, nihilistami. Pan rozumie; on, ja i wielu innych... Potem rozpoczął się okres prześladowań; zastrzelono oficera policji, dokonano licznych aresztowań. Policja potrzebowała świadka. Aby uratować życie i otrzymać wyznaczoną nagrodę, mój mąż nie wahał się zdradzić mnie i mych towarzyszy. Zostaliśmy wszyscy aresztowani. Wielu poszło na szubienicę, reszta na Sybir. Wśród tych ostatnich znajdowałam się i ja, mąż mój wyjechał do Anglii i żył tu z pieniędzy otrzymanych za zdradę. Wie dobrze, że gdyby nasz związek dowiedział się o miejscu jego pobytu, nie żyłby dłużej niż tydzień.

Starzec wyciągnął drżącą rękę po papierosa.

— Jestem w twoich rękach, Anno — rzekł. — Zawsze byłaś dobra dla mnie...

— Nie opowiedziałam jeszcze o jego najnikczemniejszym postępku — mówiła dalej, nie zważając na jego słowa. — Pomiedzy członkami naszego stowarzyszenia znajdował się jeden, który szczególnie był dla mnie bliski. Był szlachetny, bezinteresowny, pełen miłości — jednym słowem przeciwieństwo mego męża. Brzydził się gwałtem. Wszyscy byliśmy winni — o ile w takich sprawach o winie w ogóle można mówić — lecz on jeden był czysty jak kryształ. W listach często ostrzegał nas. Na podstawie tych listów mógłby zostać uwolniony. Również i mój dziennik, w którym opisywałam moje uczucie ku niemu, jak i poglądy; mógł służyć za dowód jego niewinności. Mój mąż znalazł ten dziennik i listy, przywłaszczył je sobie i ukrył. Całym jego pragnieniem było zniszczyć tego człowieka i zaprowadzić na szubienicę. Nie udało mu się to jednak w całej pełni, Aleksy został jedynie skazany na ciężkie roboty i zesłany na Sybir. Przebywa tam do dziś. Uprzytomnij to sobie, ty łotrze, ty nędzniku! A. teraz... teraz, w tej chwili, musi Aleksy, człowiek, którego imienia nie jesteś godny wymówić, pracować jako niewolnik. Mimo to pozwalam ci żyć, choć całe twoje życie jest w moich rękach.

— Byłaś zawsze szlachetną kobietą, Anno — rzekł starzec, zaciągając się dymem z papierosa.

Próbowała wstać, ale z tłumionym okrzykiem bólu opadła z powrotem na łóżko.

— Muszę kończyć — rzekła. Gdy wyszłam na wolność, postanowiłam odzyskać mój pamiętnik i listy. Wiedziałam, że jeśli prześlę je do Rosji, uzyskam zwolnienie mego przyjaciela. Wiedziałam, że mój mąż wyjechał do Anglii. Po miesiącach długotrwałych poszukiwań odkryłam miejsce jego pobytu. Wiedziałam, że dziennik znajduje się jeszcze w jego posiadaniu, gdyż podczas mego pobytu na Syberii napisał list, w którym czynił mi wyrzuty, przytaczając niektóre urywki z mojego dziennika. Zbyt dobrze znałam jego mściwą naturę, abym mogła przypuszczać, że mi go zwróci. Musiałam zdobyć go sama! W tym celu zaangażowałam prywatnego detektywa, to był, Sergiuszu, twój drugi sekretarz. Ten, który cię tak prędko opuścił. Wybadał, że papiery znajdują się w szafce, i sporządził odcisk klucza. Dalej nie chciał się posuwać. Potem narysował mi plan domu i objaśnił, że przed południem w pracowni nie ma nikogo, że sekretarz wtedy jest u ciebie. Uzbroiłam się więc w odwagę i postanowiłam sama zdobyć papiery. Udało, mi się, ale za jaką cenę!

Właśnie wyjęłam papiery i chciałam już zamknąć szafkę, gdy nadszedł ten biedny młody człowiek. Spotkałam go już dziś rano na drodze i spytałam, gdzie mieszka profesor Coram — nie wiedziałam wówczas, że pracował u niego jako sekretarz.

— Tak jest! Zgadza się! — wtrącił Holmes. — Sekretarz powróciwszy opowiedział profesorowi, że spotkał jakąś kobietę. Potem w ostatniej chwili życia chciał powiedzieć, że to była ona, ta właśnie, którą spotkał i o której dopiero co mówił z profesorem.

— Proszę mi nie przerywać, muszę dokończyć — rzekła rozkazującym tonem, podczas gdy jej twarz wykrzywiła się z bólu. — Gdy upadł na ziemię, wybiegłam z pokoju, wybierając jednak złe drzwi, i znalazłam się w innym korytarzu. W pierwszej chwili nie zorientowałam się i idąc dalej, znalazłam się w pokoju mego męża. Powiedział, że wyda mnie w ręce policji. Zwróciłam uwagę, że życie jego znajduje się w moim ręku; jeżeli on odda mnie w ręce policji, to ja zawiadomię związek o miejscu jego pobytu. Nie chodziło mi o moje życie, lecz o życie mego przyjaciela. Chciałam wypełnić względem niego mój obowiązek. Mój mąż wiedział, że dotrzymam słowa i że jego los jest ściśle związany z moim. Cokolwiek się stanie, musiał na razie ukryć mnie. Otworzył kryjówkę za szafą — pozostałość z dawnych czasów — i ukrył mnie tam. Dzielił się ze mną jedzeniem. Umówiliśmy się, że w nocy, gdy policja opuści dom, odejdę i więcej nie powrócę. Pan jednak pokrzyżował nasze plany.

Wyszarpnęła mały pakiecik, który miała ukryty na piersiach.

— Tu są te papiery, które uratują Aleksego. Powierzam je pańskiemu honorowi, i pańskiej uczciwości, Niech je pan weźmie i odda w ambasadzie rosyjskiej... Spełniłam mój obowiązek, a

teraz...

— Trzymajcie ją! — krzyknął Holmes i skoczył w jej kierunku, wrywając z ręki małą flaszeczkę.

— Za późno... — wyszeptała opadając na łóżko. — Za późno! Zażyłam truciznę już przedtem, zanim wyszłam z kryjówki... W głowie mi szumi! Odchodzę. Proszę nie zapomnieć o listach...

— Prosty wypadek, a jednak pod pewnymi względami pouczający — zauważył Holmes, gdyśmy wracali do miasta. — Wszystko, od samego początku, obracało się wokół tego pince-nez. Gdyby umierający nie chwycił go, to być może, że nigdy nie wyświetlilibyśmy tajemnicy. To był szczęśliwy przypadek. Było to dla mnie całkiem jasne, że osoba o tak słabym wzroku, bez szkielec jest całkowicie bezradna. Gdy oświadczone mi, że powróciła tą samą drogą, uznałem to za niemożliwe; musiałyby przecież, idąc bez pince-nez, stąpnąć choć raz na ścieżkę, lub o nią zawadzić.

Trawnik byłby wówczas dla niej zbyt wąski. Nieprawdopodobieństwem było, aby nosiła ze sobą drugą parę szkielec. Biorąc to za podstawę, mogłem przyjąć, że znajduje się nadal w domu. Spostrzegłszy podobieństwo obu korytarzy, byłem pewny, że musiała się omylić! Jeżeli pomyliła się i poszła przez fałszywy korytarz, to musiała znaleźć się w pokoju profesora. Innej drogi nie było. To wzmogło moją czujność. Począłem szukać dowodów, które by potwierdziły moje przypuszczenie, i rozglądałem się po pokoju w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Dywan przytwierdzony był do podłogi na stałe, tak że zaniechałem przypuszczeń o drzwiach w podłodze. Natomiast schowek mógł się znajdować poza szafami. O ile panom wiadomo, takie schowki znajdują się czasem w starych bibliotekach. Zauważyłem, że wszędzie na podłodze poukładane są stosy książek, jedynie przed jedną z szaf było wolne miejsce. Tam więc musiało znajdować się jakieś wejście. Nie zauważyłem jednak żadnych śladów. Dywan w tym miejscu posiadał kolor ciemnobrązowy, co doskonale nadawało się do mojego eksperymentu. Postanowiłem zatem dokonać pewnej próby; paliłem jednego papierosa za drugim, a popiół strząsałem przed ową szafą. Był to prosty, lecz doskonały w efekcie podstęp. Potem zeszliśmy na dół i wybadawszy w twojej obecności, Watsonie, gospodynię, ustaliłem, że zwiększyła się ilość zjadanych potraw przez profesora. To było do przewidzenia, musiał bowiem żywić o jedną osobę więcej. Następnie wróciliśmy na górę i tu przez zrzucenie pudełka stworzyłem sposobność dokładnego zbadania powierzchni dywanu. Ślady pozostawione na popiele wskazały mi, że ktoś wychodził z kryjówki w czasie naszej nieobecności.

— No, Hopkins, jesteśmy już w Charing Cross. Gratuluję panu wspaniałego sukcesu. Zapewne udaje się pan teraz do swojej głównej kwatery? Myślę, Watsonie, że my pojedziemy tymczasem do ambasady rosyjskiej.

GRECKI TŁUMACZ

PRZEŁ: JERZY REGAWSKI
THE GREEK INTERPRETER

Sherlock Holmes nigdy ani słowem nie wspominał o swojej rodzinie. A przecież znamy się i przyjaźnimy już od wielu lat. Zresztą nie lubił mówić również o swej przeszłości. Dziwna to była powściągliwość. Utwierdzała mnie coraz bardziej w przekonaniu, że brak mu pewnych naturalnych cech i uczuć właściwych człowiekowi, a chwilami nawet robił na mnie wrażenie jakiejś niespotykanej istoty pozbawionej serca, której treść stanowił chyba tylko precyzyjnie działający mózg i wybitna inteligencja. Unikał, również kobiet i nowych znajomości. Uważałem to za bardziej typowe dla jego chłodnej natury niż niechęć do wspomnień rodzinnych. W końcu doszedłem do wniosku, iż był sierotą i nie miał żadnych żyjących krewnych. Aż oto któregoś dnia, ku memu bezgranicznemu zdumieniu, Holmes zaczął opowiadać mi o swoim bracie.

Zdarzyło się to pewnego letniego wieczoru. Po herbacie rozmawialiśmy o różnych sprawach, przeskakując z tematu na temat. Zaczęło się od kijów golfowych, potem przedyskutowaliśmy zagadnienie zmiany nachylenia ekliptycznego, aż wreszcie dobrnęliśmy do dziedziczności. Zajęliśmy się zwłaszcza dziedziczeniem zdolności, a mianowicie: w jakim stopniu określoną umiejętność jednostki należy przypisać jej własnej pracy, a w jakim stopniu jej przodkom.

— Weźmy na przykład ciebie — powiedziałem. — Swą zdolność obserwacji i wyjątkową łatwość dedukcji zawdzięczasz jedynie własnej mozolnej i systematycznej pracy. To przecież jasne i zgadza się zresztą z tym, czego przed chwilą dowodziłeś.

— Do pewnego stopnia... tak! — odparł Holmes w zadumie. — Moi przodkowie byli ziemianami. Prawdopodobnie wiedli typowy dla tej warstwy społecznej tryb życia. Niemniej jednak na obrany przeze mnie zawód mogły mieć wpływ również pewne cechy odziedziczone po mojej babce, siostrze francuskiego artysty Verneta. A artyzm we krwi może przejawiać się w przeróżnych, nieraz bardzo dziwnych formach.

— Ale na jakiej właściwie podstawie twierdzisz, że to zdolności dziedziczne?

— Dlatego, że brat mój, Mycroft, obdarzony jest nimi w większym jeszcze stopniu niż ja,

Odpowiedź ta kompletnie mnie zaskoczyła. Bo czyż to możliwe, aby w Anglii istniał drugi oprócz Sherlocka człowiek o tak wyjątkowych uzdolnieniach i nie był znany ani publiczności, ani nawet w kołach policyjnych? Wyraziłem swą wątpliwość Holmesowi robiąc aluzję, że widocznie tylko skromność kazała mu uznać brata za bardziej uzdolnionego od siebie. Holmes śmiał się z moich przypuszczeń.

— Mój drogi Watsonie — powiedział. — W żadnym wypadku przesadnej skromności nie zaliczam do zalet. Człowiek myślący logicznie powinien widzieć wszelkie zjawiska życiowe we właściwym świetle, tj. takimi, jakimi są w rzeczywistości. Gdy więc nie doceniamy siebie, zniekształcamy prawdę, podobnie jak gdybyśmy przeceniali swe możliwości. A więc skoro twierdę, że Mycroft posiada w wyższym stopniu rozwiniętą zdolność obserwacji niż ja, to możesz przyjąć to za prawdę. Tak bowiem jest w rzeczywistości.

— Czy on jest młodszy od ciebie?

— Nie! Starszy o siedem lat!

— I pozostaje nie znany? Czyż to możliwe?

— Och! Przeciwnie! On jest bardzo popularny w swoich sferach,

— W jakich?

— No... choćby w „Klubie Diogenesa”.

Nigdy nie słyszałem o takim klubie. Holmes poznał to widocznie po wyrazie mej twarzy, gdyż spojrzawszy na zegarek rzekł:

— „Klub Diogenesa” jest najdziwniejszym klubem w Londynie, a Mycroft jednym z najdziwniejszych ludzi. Zawsze można go tam zastać między godziną 16.45 a 19.40. Teraz wybiła właśnie osiemnasta. Jeśli więc tego pięknego wieczoru masz ochotę na spacer, to z całą przyjemnością zaprowadzę cię tam i poznasz obie osobliwości na raz.

Po pięciu minutach znaleźliśmy się na ulicy, podążając w kierunku Regent Circus.

— Dziwisz się pewnie, dlaczego Mycroft nie wyzyskuje swych zdolności do działalności detektywistycznej? Po prostu jest do tego niezdolny!

— Ależ mówiłeś przecie...!

— Mówiłem, że przewyższa mnie tak pod względem obserwacji, jak i dedukcji. Widzisz, Watsonie, gdyby zawód detektywa zaczynał się i kończył na rozmyślaniach przeprowadzanych w wygodnym fotelu, to brat mój nie miałby sobie równych. Na to, aby być prawdziwym detektywem, nie ma on ani ambicji, ani energii. Również nie zrezygnuje on nigdy ze swego trybu życia, aby sprawdzić swoje teoretyczne rozważania. Woli raczej, aby myślano, że się pomylił, niż gdyby miał się trudzić nad wykazaniem słuszności swoich poglądów. Wielokrotnie, przedstawiałem mu różne powikłane zagadnienia. Za każdym razem otrzymywałem od niego takie rozwiązanie, które później okazywało się słuszne. Nigdy natomiast nie był w stanie przedsięwziąć praktycznych posunięć, które trzeba było koniecznie zrealizować, aby przekazać sprawę sędziemu pokoju lub sądowi przysięgłych.

— A więc to nie jest jego zawód?

— Oczywiście, że nie! To, co dla mnie jest źródłem utrzymania, dla niego stanowi tylko rozrywkę, hobby. Posiada on także wielkie uzdolnienia matematyczne i prowadzi rachunkowość w jednym z urzędów, Mieszka w Pall Mall. Co dzień rano chodzi do pracy w kierunku Whitehall i co wieczór wraca tą samą drogą. Od lat nie zażywa więcej ruchu. Oprócz tego nigdzie nie bywa. Jedyne wyjątkiem stanowi „Klub Diogenesa”, który zresztą znajduje się naprzeciw jego mieszkania.

— Wybacz, ale zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, abym słyszał o podobnym klubie.

— Zupełnie możliwe. W Londynie mieszka wielu ludzi, którzy czy to z nieśmiałości, czy też z innych powodów nie życzą sobie ciągłego towarzystwa osób z najbliższego otoczenia. A jednak nie gardzą ani wygodnym fotelem, ani najświeższymi czasopismami. Dla nich to właśnie powstał „Klub Diogenesa”. Słynie on z tego, że członkami jego są najbardziej nietowarzyscy londyńczycy.

Regulamin Klubu też jest dość oryginalny. Nie wolno zwracać uwagi na współtowarzyszy ani nie wolno rozmawiać. Do rozmów służy specjalne pomieszczenie zwane „pokojem dla obcych”. Trzykrotne przekroczenie tego zakazu, jeśli dojdzie do wiadomości komitetu, powoduje wykluczenie z Klubu. Brat mój jest jednym z założycieli Klubu. Ja natomiast znajduję tam atmosferę, która wywiera na mnie wyjątkowo kojący wpływ.

Tak rozmawiając dotarliśmy do Pall Mall, a następnie zeszliśmy tą ulicą w dół ku St. James. Sherlock Holmes zatrzymał się przed pewną bramą w pobliżu Carltonu. Jeszcze raz ostrzegł mnie, abym zachował milczenie. Potem dopiero wprowadził mnie do przedpokoju klubu. Przez szklaną, ścianę ujrzałem dużą, luksusowo urządzonej salę. Członkowie klubu siedzieli wygodnie w swych małych zakątkach pogrążeni w lekturze czasopism. Wraz z Sherlockiem podążyłem do niedużego, przytulnie urządzonego pokoiku z oknami wychodzącymi na Pall Mall. Zostawił mnie tu na chwilę samego i wyszedł. Wkrótce wrócił w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Już na pierwszy rzut oka zorientowałem się, że to nikt inny, tylko jego brat.

Mycroft był znacznie roślejszy i cięższy od Holmesa. Co więcej, nawet bardzo korpulentny.

Mimo jednak znacznej tuszy jego nalana twarz zachowała do pewnego stopnia ostrość rysów tak charakterystyczną dla Sherlocka. Miał również podobne, szaroblade, stalowe oczy. Ich badawczy wzrok sięgał w głąb duszy. W tym właśnie spojrzeniu odnalazłem drugą wspólną cechę z Sherlockiem.

— Rad jestem pana poznać — rzekł podając mi dużą i szeroką dłoń. — Bardzo dużo słyszałem o panu od brata, odkąd pan został jego biografem. No, Sherlock, spodziewałem się, iż odwiedzi mnie w poprzednim tygodniu, aby poradzić się w sprawie Manor House. Mam pewne wątpliwości co do słuszności twoich wniosków.

— Nie! Już rozwiązałem tę zagadkę — odrzekł mój przyjaciel uśmiechając się.

— To był naturalnie Adams!?

— Tak, Adams!

— Byłem tego pewien od samego początku.

W czasie rozmowy obaj usiedli w niszy okiennej.

— To wprost wymarzone miejsce dla każdego, kto chce się zabawić w obserwację swych bliźnich — powiedział Mycroft. — Spójrz, co za wspaniałe typy! O, na przykład ci dwaj. Idą właśnie w naszym kierunku.

— Jeden to pewnie bilardzista, a drugi...?

— Doskonale! Zgadnij jeszcze, kim jest drugi.

Obaj mężczyźni zatrzymali się w pobliżu okna. U pierwszego z nich zauważyłem nad kieszonką u kamizelki nikły ślad od kredy, jedyną oznakę, iż grał w bilard. Nic więcej nie spostrzegłem. Drugi był bardzo niskim, śniadym brunetem. Czapka zsunęła mu się na tył głowy, pod ręką trzymał kilka pakunków.

— Wydaje mi się, iż to stary wojak — powiedział Sherlock.

— I w dodatku bardzo niedawno zwolniony z wojska — dorzucił brat.

— Jak widzę, odbywał służbę w Indiach.

— Oficer rezerwy.

— Tak, chyba artylerzysta — rzekł Sherlock.

— Ponadto jest wdowcem.

— Ale ma dziecko.

— Nie dziecko, lecz dzieci, mój drogi chłopcze.

— Ależ panowie — wtrąciłem ze śmiechem. — Tego już chyba trochę za wiele!

— To przecież zupełnie jasne — odparł Holmes. — Kim bowiem może być człowiek o rozkazującym wyglądzie, tryskający energią i opalony na brąz? Tylko wojskowym powracającym z Indii. I to nie szeregowcem, lecz oficerem.

— Nosi jeszcze buty wojskowe. A więc dopiero niedawno został zwolniony z wojska — zauważył Mycroft. — Nie odznacza się charakterystycznym kawaleryjskim chodem. Czapkę ma z jednej strony wyszarżaną. Nie jest więc saperem. Przemawia zresztą przeciw temu jego waga. To artylerzysta.

Ale patrzmy dalej. Ciężka żałoba wskazuje, iż stracił, kogoś bliskiego. Sam też chodzi po zakupy. A więc to na pewno była jego żona. Zobacz. Kupił zabawki — między innymi grzechotkę. Czyli jedno z dzieci jest jeszcze bardzo małe. Prawdopodobnie żona umarła przy porożu. Ale ma on jeszcze drugie dziecko, o które musi dbać. Dla niego właśnie niesie pod pachą książkę z obrazkami.

Z wolna zacząłem pojmywać, co Sherlock miał na myśli mówiąc, iż jego brat posiada jeszcze wybitniejsze niż on zdolności. Sherlock patrzył na mnie i uśmiechał się, jakby domyślając się treści moich myśli. Mycroft wyjął szyldkretową tabakierkę, zażył tabaki i jaskrawą jedwabną chustką strzepnął z marynarki rozsypany proszek.

— Ale wiesz co, Sherlocku — powiedział — dano mi właśnie do rozwiązania niezwykle ciekawy problem. Z pewnością bardzo cię zainteresuje. Mnie zaś brak energii, aby zająć się nim tak, jak należy, choć dał mi on okazję do bardzo ciekawych rozmyślań. Masz ochotę dowiedzieć się o faktach?

— Ależ z największą przyjemnością, drogi Mycroftcie! — odparł Sherlock.

Mycroft skreślił kilka słów na kartce z notesu. Potem zadzwonił i wręczył ją kelnerowi.

— Poprosiłem właśnie Mr Melasa, by przyszedł tutaj. Mieszka on naprzeciwno, o piętro wyżej ode mnie. Jesteśmy więc sąsiadami i znamy się trochę. Z tego też pewnie względu udał się do mnie po radę. Otóż Mr Melas jest przypuszczalnie z pochodzenia Grekiem, a przy tym świetnym lingwistą. Zdolności językowe stanowią też źródło jego dochodów. Pełni mianowicie funkcję przysięgłego tłumacza sądowego, a ponadto podejmuje się roli przewodnika, towarzysząc bogatym przybyszom ze Wschodu, którzy zatrzymują się w jednym z hoteli na Northumberland Avenue. Ale najlepiej niech on sam opowie o swym dziwnym wypadku.

Po kilku minutach wszedł do pokoju niski, otyły mężczyzna. Oliwkowa cera i kruczoczarne włosy zdradzały jego południowe pochodzenie, chociaż mówił doskonałą angielszczyzną. Mocno uściśnął dłoń Sherlocka Holmesa. Z jego ciemnych, nieco przymrużonych oczu wyzierał błysk zadowolenia, gdy dowiedział się, iż tak wybitny specjalista wyraził gotowość wysłuchania jego historii.

— Nie mam najmniejszej nadziei, aby przekonać policję... Słowo daję! — zaczął żalonym głosem. — Przecież oni są głęboko przekonani, iż jeśli sami o czymś nie słyszeli do tej pory, to nie mogło się to w ogóle wydarzyć. Ja jednak nie zaznam spokoju, dopóki nie dowiem się, co się stało z tym nieszczęśnikiem o twarzy zalepionej plastrem...

— Słucham z całą uwagą — rzekł Sherloek Holmes.

— Dzisiaj jest środa, wieczór — ciągnął Mr Melas — a całe zajście miało miejsce dwa dni temu, w poniedziałek w nocy. Jak już panu mój sąsiad zapewne mówił, jestem tłumaczem. Znam prawie wszystkie języki. Ale urodziłem się w Grecji, noszę greckie nazwisko i z językiem tym najwięcej mam do czynienia w swej pracy zawodowej. Od wielu już lat jestem w Londynie głównym tłumaczem greckim. Z tego też powodu nazwisko moje jest bardzo dobrze znane w hotelach.

Często zdarza się, iż cudzoziemcy, gdy popadną w jakieś tarapaty, wzywają mnie o najróżniejszych godzinach dnia i nocy, nieraz zupełnie niezwykłych. Czasem też zwracają się o pomoc kupcy czy agenci podróżujący, którzy nie znają języka angielskiego. Wcale się więc nie zdziwiłem, gdy w poniedziałek w nocy przyjechał do mnie bardzo elegancko ubrany młodzieniec, niejaki Mr Latimer. Z objaśnień jego zrozumiałem, iż odwiedził go znajomy Grek, z którym ma do załatwienia pilne sprawy handlowe. Niestety, Grek ten włada tylko swoim ojczystym językiem, a więc ja jako tłumacz jestem nieodzownie potrzebny. Moglibyśmy zaraz jechać, powóz bowiem czeka przed domem. Wreszcie napomknął, iż mieszka dosyć daleko, bo w Kensington. Bardzo się spieszył, a gdy zeszliśmy na ulicę, szybko wepchnął mnie do dorożki.

Powiedziałem „do dorożki”, wnet jednak sprostuję pomyłkę. Znajdowałem się w dużym, obszernym powozie, znacznie większym niż zwykła czterokołowa dorożka londyńska. Ponadto obicia przedstawiały materiał pierwszorzędnej jakości, choć nieco podniszczony. Mr Latimer usadowił się naprzeciwno mnie i ruszyliśmy przez Charing Cross w górę do Shaftesbury Avenue, aż wreszcie wyjechaliśmy na Oxford Street. I wówczas to zaryzykowałem uwagę, iż jest to droga okrężna do Kensington. Natychmiast jednak zamilkłem, gdyż mój sąsiad zareagował na moje słowa w sposób wprost nieoczekiwany.

Wyciągnął z kieszeni wielki pistolet nabity ołowiem. Chwilę ważył go w rękę, podnosząc i opuszczając, w końcu bez słowa położył broń z tyłu za plecami na siedzeniu. Następnie po obu

stronach pozamykał okna. Ze zdumieniem spostrzegłem, iż szyby były pozaklejane papierem, jakby specjalnie w tym celu, by uniemożliwić wszelką obserwację.

— Bardzo mi przykro, Mr Melas, muszę jednak pozbawić pana przyjemności oglądania pięknych widoków. Nie dopuszczę do tego, aby poznał pan drogę wiodącą nas do celu. Mógłby pan potem trafić tam ponownie. A to właśnie byłoby dla mnie bardzo niewygodne.

Może pan sobie wyobrazić, jak wstrząsnęły mną te słowa. Mr Latimer był uzbrojony. Ale pomijając nawet ten fakt, nie miałbym najmniejszych szans w walce z silnym, barczystym młodzieńcem.

— To niesłychane, Mr Latimer — wyjąkałem. — Chyba zdaje pan sobie sprawę, iż tego rodzaju postępowanie jest bezprawiem,

— Niewątpliwie — odrzekł — jest to pewnego rodzaju ograniczenie wolności osobistej. Ale wynagrodzimy to panu sowicie. Teraz jednak ostrzegam pana, Mr Melas. W żadnym wypadku niech pan nawet nie próbuje wszczynać alarmu ani krzyżować moich planów! Bardzo źle by się to dla pana skończyło! Proszę wziąć pod uwagę, iż nikt nie wie, gdzie pan się podział. Znajduje się pan przecież całkowicie w moich rękach, obojętnie czy w powozie, czy w moim domu.

Słowa te wypowiedział zupełnie spokojnym głosem, ale tonem zdradzającym groźbę. Siedziałem w milczeniu. Głowilem się, jaki mógł on mieć powód, aby mnie porwać. Oczywiście jakkolwiek opór nie miałby sensu. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak czekać i śledzić dalszy tok wydarzeń.

Jechaliśmy już niemal 2 godziny. Nie miałem jednak najmniejszego nawet pojęcia, dokąd zdążamy. Czasem tylko silniejszy turkot pojazdu po kamieniach pozwalał się domyślać, iż jedziemy brukowaną drogą dojazdową, to znów cichy i pozbawiony wstrząsów bieg powozu nasuwał przypuszczenie, że powóz nasz wjechał na asfalt. Lecz z wyjątkiem tych odgłosów nie mogłem zauważyć niczego, co pozwoliłoby mi ustalić chociaż w najbardziej przybliżony sposób, gdzie się znajdujemy. Papier na bocznych oknach był zupełnie nieprzejrzysty, a przednią szybę zasłaniała niebieska firanka. Przypomniałem sobie, że gdy opuszczaliśmy Pall Mall, było piętnaście minut po siódmej. Wreszcie powóz stanął, a mój zegarek wskazywał za dziesięć dziesiątą, wieczorem. Mój towarzysz podróży uchylił okno. Przelotnym spojrzeniem uchwyciłem niskie drzwi wejściowe o łukowatym sklepieniu. Nad nimi płonęła lampa. Drzwi otworzyły się. Wypchnięto mnie z powozu i wciągnięto do wnętrza domu. Odniosłem wrażenie, jakby po obu stronach wejścia mignęły mi przed oczami trawnik i drzewa. Nie jestem w stanie określić, czy to prywatna posiadłość, czy jakaś dzierżawa.

Przedpokój oświetlała kolorowa lampa gazowa. Jej blady, przykręcony płomień rzucał tak nikłe światło, iż prawie nic nie było widać. Znajdowałem się w dosyć dużym pomieszczeniu, którego ściany pokryte były obrazami. O ile mogłem się zorientować w przyćmionym świetle lampy, osobnik, który nam otworzył drzwi, był niskim, mizernym, w średnim wieku mężczyzną o przygarbionych ramionach. Gdy zwrócił się ku nam, promień światła załamał się w jego okularach. — Haroldzie! Czy to Mr Melas? — zapytał.

— Tak.

— Doskonale, doskonale. Chyba nie czuje się pan zbyt urażony, Mr Melas? Doprawdy nie możemy się bez pana obejść. I jeśli zastosuje się pan do naszych poleceń, nie pożałuje pan tego. Jeśliby pan jednak próbował nas oszukać, no to niech, Bóg ma pana w swojej opiece!

Słowa te wypowiedział nerwowym, przerywanym głosem. Chwilami wydobywał się z jego ust jakiś stłumiony złowrogi śmiech. Człowiek ów napawał mnie jeszcze większym strachem niż młodzieniec.

— Czego pan ode mnie żąda? — zapytałem.

— Ach, drobiazg! Zada pan jedynie kilka pytań pewnemu greckiemu dżentelmenowi, który

nas odwiedził. Następnie poinformuje pan nas o treści przeprowadzonej rozmowy. Niech pan jednak nic więcej nie mówi ponad to, co podyktuję. W przeciwnym bowiem razie... — tu znowu zaśmiał się złowrogo — lepiej by panu było nigdy się nie narodzić!

Mówiąc te słowa otworzył drzwi i wskazał drogę do luksusowo urządzonego pokoju. Tu również panował półmrok. Z jedynej lampy sączyło się słabe, na pół przyćmione światło. Przechodząc przez ten duży pokój czułem pod stopami miękkie, drogi dywan. Spojrzenie moje prześliznęło się po aksamitnych fotelach, białym, marmurowym gzymsie kominka i spoczęło na jakimś rynsztunku, przypominającym kompletną zbroję japońską. Starszy mężczyzna uczynił gest zapraszający, abym usiadł w fotelu stojącym tuż pod lampą. Młodzieniec natomiast wyszedł, lecz po chwili wprowadził drugimi drzwiami jakiegoś człowieka odzianego w rodzaj luźnego szlafroka. Człowiek ów zbliżał się do nas powoli, aż wszedł w krąg bladego światła lampy. Wówczas ogarnęło mnie przerażenie, gdyż mogłem mu się dokładnie przyjrzeć. Był okropnie wynędzniały i trupio blady, lecz jego ogromne oczy lśniły mocnym blaskiem, jak u człowieka silnego charakteru. Większe jednak wrażenie, niż jego opłakany stan fizyczny, wywarła na mnie jego twarz zalepiona plastrem. Tragiczny i zarazem groteskowy widok. Jedno z wielkich, krzyżujących się pasm plastra przecinało usta.

— Czy masz tabliczkę, Haroldzie? — zawołał starszy mężczyzna, podczas gdy nieznajomy opadł raczej, niż usiadł na fotel. — A ręce czy ma wolne? Daj mu więc ołówek. Pan będzie zadawał pytania, Mr Melas, a on na każde z nich napisze odpowiedź. Przede wszystkim niech go pan zapyta, czy zgadza się podpisać papiery.

Gdy zadałem to pytanie, oczy nieznajomego zalśniły mocniejszym blaskiem.

— Nigdy! — napisał po grecku na tabliczce.

— Czy w żadnym wypadku nie? — zapytałem ponownie na rozkaz dręczyciela.

— Tylko wtedy, gdy udzieli jej ślubu grecki duchowny, którego znam, i to w mojej obecności. Starszy mężczyzna uśmiechnął się zjadliwie,

— Czy on wie, co go czeka?

— Nie dbam o siebie!

Tak zaczęła się nasza dziwna rozmowa na wpół pisana, na wpół mówiona. Raz po raz zadawałem mu pytania, czy zrezygnuje z uporu i podpisze dokument. Był bardzo wzburzony i dawał mi niezmiennie jednakową odpowiedź. W pewnej chwili przyszła mi do głowy szczęśliwa myśl. Otóż do każdego pytania zacząłem dodawać od siebie po kilka słów. Początkowo były to wyrazy zupełnie obojętne i bez znaczenia. Chciałem bowiem przekonać się, czy nikt z otoczenia nie zorientuje się, o co chodzi. Udało się jednak, gdyż nie zareagowali. Zacząłem więc niebezpieczniejszą grę. Nasza „rozmowa” przybrała mniej więcej taką formę:

— Nic pan nie zdziała swym uporem, *Kim pan jest?*

— Nie dbam o to! *Jestem cudzoziemcem.*

— Los pana spoczywa w jego własnych rękach. *Jak długo pan tu przebywa?*

— A więc niech tak się stanie! Nie ustąpię! *Już trzy tygodnie.*

— Nigdy nie odzyska pan swojej własności. *Co panu dolega?*

— Nie będę jednak łajdakiem. *Oni morzą mnie głodem.*

— Natychmiast pana zwolnią, skoro tylko podpisze pan papiery. *Co to jest za dom?*

— Nigdy nie podpiszę. *Nie wiem.*

— W ten sposób nie odda jej pan żadnej przysługi. *Jakie pana nazwisko?*

— Najpierw musiałbym od niej usłyszeć, iż tego pragnie. *Kratides.*

— Zobacz ją pan, jeśli pan podpisze. *Skąd pan pochodzi?*

— A więc nigdy jej nie zobaczę! *Z Aten.*

Jeszcze pięć minut, Mr Holmes, a poznałbym całą prawdę pomimo ich nadzoru. Być może,

już następne pytanie wyjaśniłoby tę dziwną sprawę. Niestety, w tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła kobieta. Z powodu złego oświetlenia nie mogłem się jej jednak dokładnie przyjrzeć. Zauważyłem jedynie, iż była wysoką, pełną wdzięku brunetką i miała na sobie białą, luźną suknię.

— Haroldzie! — mówiła po angielsku z akcentem cudzoziemskim. — Już nie mogę dłużej wytrzymać na tym odludziu! Tylko... Och, mój Boże! To przecież Paweł!

Ostatnie słowa wykrzyknęła po grecku. W tej samej chwili mój „niemy rozmówca” zerwał gwałtownym ruchem plaster ze swych ust i rzucił się w jej ramiona z okrzykiem:

— Zofio! Zofio!

Uścisk ten trwał jednak bardzo krótko. Mr Latimer natychmiast oderwał od niego kobietę i wypchnął ją z pokoju. Jednocześnie starszy obezwładnił bez trudu wynędzniałego więźnia. Na chwilę zostałem sam. Zerwałem się z fotela z niejasnym uczuciem; iż może teraz uda mi się wyjaśnić tajemnicę tego domu. Na szczęście nie zdążyłem uczynić jeszcze ani kroku. Obejrzałem się i zobaczyłem w drzwiach starszego mężczyznę, który wpatrywał się we mnie badawczo.

— To wystarczy, Mr Melas! — powiedział. — Sam pan teraz rozumie, iż obdarzyliśmy go pełnym zaufaniem, prosząc o pomoc w tak intymnej sprawie. Zresztą nigdy byśmy nie odważyli się pana trudzić, gdyby nie to, że nasz przyjaciel, który zna grecki i prowadził nam tę sprawę, musiał niezwłocznie wyjechać na Wschód. Trzeba więc było znaleźć kogoś na jego miejsce. Mieliliśmy szczęście, trafić na pana.

Skinąłem głową.

— Oto pięć funtów — ciągnął dalej, zbliżając się do mnie. — Sądzę, że to wystarczająca zapłata za pańską fatywę. Lecz pamiętaj! — dodał ze złowieszczym uśmiechem, trącając mnie pod żebro. — Jeśli komukolwiek piśniesz choćby słowo, pamiętaj, komukolwiek, to niech się Bóg nad tobą zlituje!

Trudno mi wprost opisać, jakim wstrętem i przerażeniem napawał mnie ten niesamowity typ. Teraz mogłem mu się dokładnie przyjrzeć. Cerę miał niezdrową i żółtą, a bródkę źle utrzymaną. Gdy mówił, wysuwał głowę do przodu, a wargi i powieki drżały mu nieustannie jakby w ataku epilepsji. Również jego przejmujący uśmiech wydawał się być objawem jakiejś choroby nerwowej. Mimo to myśl ta nie uspokajała mnie. Wystarczyło bowiem spojrzeć w jego oczy, aby przekonać się o jego charakterze. W głębi tych zimnych, szarych, stalowych źrenic kryła się szatańska złośliwość i okrucieństwo.

— Jeśli wspomni pan komu o tej sprawie, to my się o tym dowiemy! — ciągnął dalej ów jegomość o złowrogim spojrzeniu. — Mamy swoje własne sposoby zdobywania informacji. A teraz... czeka powóz, którym odwiezie pana mój przyjaciel.

Spiesznie, odprowadzono mnie do powozu. Znow spozstrzegłem przelotnie drzewa i ogród. Mr Latimer podążał tuż za mną. Bez słowa zajął znow miejsce w powozie naprzeciw mnie. Drogę powrotną odbywaliśmy w milczeniu. Nie jestem w stanie określić nawet, jak długa to była trasa. Jechaliśmy z zasłoniętymi oknami i dopiero po północy powóz zatrzymał się.

— Teraz musi pan już wsiąść, Mr Melas — odezwał się mój towarzysz podróży. — Bardzo mi przykro, iż zostawiam pana tak daleko od domu, ale nie mam innego wyjścia. Niech pan nawet nie próbuje śledzić mojego powozu, gdyż mogłoby się to źle dla pana skończyć.

Mówiąc te słowa otworzył drzwi. Ledwo zdążyłem wsiąść, a już woźnica smagnął konie batem i powóz odjechał z turkotem. Rozglądałem się zdziwiony dokoła. Znajdowałem się na jakimś pastwisku porośłym wrzosem. Tu i ówdzie widać było kępy krzaków jałowca. W oddali rysowała się linia domów, mieniąca się gdzieniegdzie światłami z okien górnych pięter. Po drugiej stronie zauważyłem czerwone światła semaforów kolejowych.

Powóz zniknął mi już zupełnie z oczu. Stałem całkowicie bezradny i dezorientowany.

Gdzież, u licha, mogę się znajdować? — zastanawiałem się. W pewnej chwili ujrzałem w ciemnościach jakiegoś człowieka zdążającego w moim kierunku. Gdy się zbliżył, zauważyłem, iż nosi on uniform tragarza kolejowego.

— Czy może mnie pan objaśnić, co to za miejscowość? — spytałem.

— Wandsworth Common — odparł.

— Czy dojadę stąd pociągiem do miasta?

— Jeśli uda się pan niezwłocznie do Clapham Junction, odległego stąd o milę, to zdąży pan jeszcze na ostatni pociąg jadący do stacji Victoria.

— Oto koniec mojej przygody, Mr Holmes. Nie mam nawet pojęcia, gdzie byłem, ani z kim rozmawiałem. Nie wiem absolutnie nic więcej ponad to, co już powiedziałem. Jestem jednak przekonany, iż prowadzą oni jakąś nieuczciwą grę. Dlatego też w miarę moich możliwości pragnę pomóc owemu nieszczęsnemu człowiekowi. Całe to zdarzenie opowiedziałem zaraz nazajutrz Mr Mycroftowi Holmesowi a następnie policji.

— Po wysłuchaniu tej niecodziennej historii przez dłuższą chwilę milczeliśmy. Sherlock Holmes spojrział na brata.

— Jakież kroki przedsięwziąłeś w tej sprawie? — spytał. Mycroft wziął do ręki leżący na stoliku egzemplarz „Daily News” i począł czytać:

Każdy, kto udzieli jakichkolwiek informacji o miejscu pobytu obywatela greckiego. Pawia Kratidesa z Aten, otrzyma nagrodę pieniężną. Kratides nie zna języka angielskiego. Taką samą nagrodę otrzyma również ten, kto udzieli, informacji o obywatelce greckiej, noszącej na pierwsze imię Zofia — X 2473.

— Takie ogłoszenie ukazało się we wszystkich dziennikach. Dotychczas brak odpowiedzi.

— A czy poselstwo greckie orientuje się w tej sprawie?

— Sprawdziałem. Nic nie wiedzą.

— A więc trzeba wysłać telegram do głównej komendy policji w Atenach.

— To Sherlock jest tym, który skupia w sobie energię całej rodziny — powiedział Mycroft, zwracając się do mnie.

— A więc dobrze! Weź w swoje ręce tę sprawę, Sherlocku, i daj mi znać, gdy coś wykryjesz.

— Dobrze — odpowiedział mój przyjaciel, wstając z fotela. — Powiadomię cię, a także pana, Mr Melas. Tymczasem jednak, Mr Melas, miałbym się na baczności, gdybym był na pańskim miejscu. Przecież oni już wiedzą dzięki ogłoszeniom w prasie, iż pan ich wydał.

W drodze powrotnej do domu Holmes wstąpił do urzędu telegraficznego i nadał kilka depesz.

— Widzisz, Watsonie — zauważył — w żadnym wypadku nie zmarnowaliśmy tego wieczoru. Szereg naprawdę ciekawych spraw otrzymałem w ten sposób za pośrednictwem Mycrofta. Ta dzisiejsza zagadka, chociaż moim zdaniem ma tylko jedno rozwiązanie, to jednak nie jest pozbawiona, oryginalności.

— Masz nadzieję ją rozwiązać?

— Oczywiście! Byłoby po prostu śmieszne, gdybyśmy nie potrafili wykryć reszty, wiedząc aż tyle o tej sprawie. Chyba uformowałeś już sobie teorię, która by tłumaczyła fakty przez nas usłyszane.

— Tak, ale bardzo ogólną.

— Cóż więc o tym myślisz?

— Greczynkę uprowadził oczywiście młodzieniec podający się za Harolda Latimera.

— Ale skąd ją uprowadził?

— Prawdopodobnie z Aten.

Sherlock Holmes potrząsnął przecząco głową.

— Młodzieniec ani słowa nie umie po grecku. Natomiast ta dama całkiem niezłe mówi po angielsku. Stąd wniosek, iż musiała jakiś czas przebywać w Anglii, on zaś nie był w Grecji.

— No dobrze! A więc możemy przyjąć, iż przyjechała ona zwiedzić Anglię i Harold namówił ją do wspólnej ucieczki.

— To już jest bardziej prawdopodobne.

— Zofia i Paweł są chyba rodzeństwem. Brat przyjechał z Grecji, aby pokrzyżować plany Harolda. Widocznie jednak postępował nierozważnie i wpadł w pułapkę zastawioną przez młodzieńca i jego starszego współnika. Ci dwaj uwięzili go, a następnie starali się przemocą wymóc na nim, aby podpisał jakieś dokumenty. Wówczas los dziewczyny, którą przypuszczalnie opiekował się Paweł, znalazłby się w ich rękach. On jednak kategorycznie odmówił. Dla przeprowadzenia z nim pertraktacji postarali się o tłumacza. Gdy ten jednak z jakichś powodów musiał wyjechać, zwrócili się do Mr Melasa. Dziewczynie, oczywiście, nie wspomniano o przyjeździe brata i ich spotkanie było zupełnie przypadkowe.

— Wspaniale, Watsonie! — zawołał Holmes. — Prawdopodobnie jesteś bardzo bliski prawdy. Sam widzisz. Wszystkie karty mamy w ręku. Możemy się jedynie obawiać jakiejś zbrodni z ich strony. Jeśli będziemy mieć dosyć czasu, to z pewnością ich ujmemy.

— Ale jak ustalimy miejsce, gdzie znajduje się ten dom?

— Jeśli nasze przypuszczenia są słuszne, a nazwisko dziewczyny jest lub było Zofia Kratides, to nie powinniśmy mieć trudności z odnalezieniem jej. Oto nasza główna szansa, gdyż brat jej jest w Anglii zupełnie nie znany. Oczywiście od chwili uprowadzenia dziewczyny przez Harolda upłynął już pewien okres czasu, co najmniej kilka tygodni. W tym bowiem czasie brat zdążył się o tym dowiedzieć i przyjechał tutaj. Jeśli nie zmienili oni dotychczas miejsca zamieszkania, to niedługo otrzymamy chyba jakąś odpowiedź na ogłoszenie Mycrofta.

W trakcie rozmowy doszliśmy do naszego domu na Baker Street. Holmes wszedł pierwszy po schodach. Gdy otworzył drzwi do naszego pokoju, cofnął się zdumiony. Zajrzałem mu przez ramię i również bardzo się zdziwiłem. W fotelu siedział jego brat, Mycroft, paląc fajkę.

— Bądź łaskaw wejść, Sherlocku! Proszę bardzo, sir! — powiedział łagodnie, uśmiechając się na widok naszego zdumienia. — Przyznaj się, Sherlocku. Nie spodziewałeś się po mnie takiej energii? No widzisz! Sprawa ta w jakiś niepojęty sposób pociąga mnie.

— Ale jak się tu dostałeś?

— Przed chwilą minąłem cię dorożką.

— Czy zaszło coś nowego?

— Otrzymałem odpowiedź na moje ogłoszenie.

— Ach!

— Tak! Nadeszła kilka minut po twoim odejściu.

— No i co ona zawiera?

Mycroft Holmes wydobył kartkę papieru.

— Oto ona. Napisał ją na papierze gatunku „royal cream” człowiek w średnim wieku i o słabej budowie fizycznej.

Sir!. W odpowiedzi na pańskie dzisiejsze, ogłoszenie pragnę donieść, iż znam bardzo dobrze młodą damę, o którą panu chodzi. Jeśli zechce pan skomunikować się ze mną, to będę mógł podać cały szereg szczegółów, dotyczących jej tragicznego losu. Obecnie mieszka ona w „The Myrtles” koło Beckenham.

Z poważaniem J. DAVENPORT.

— Piszę on z Lower Brixton — powiedział Mycroft Holmes. — Co myślisz, Sherlocku? Może tak pojechalibyście do niego, aby dowiedzieć się tych „szczegółów”?

— Mój drogi, życie brata jest chyba ważniejsze niż koleje losu siostry. Moim zdaniem powinniśmy niezwłocznie porozumieć się z inspektorem Gregsonem ze Scotland Yardu i udać się bezpośrednio do Beckenham, Kratides bowiem, jak już wiemy, był bliski śmierci. Nie mamy więc ani chwili do stracenia.

— Zabierzmy lepiej z sobą Mr Melasa. — poddałem. — Może nam się przydać jako tłumacz.

— Doskonale! — odrzekł Sherlock Holmes. — Poślij chłopca po dorożkę, zaraz wyjeżdżamy.

Mówiąc te słowa otworzył szufladę biurka. Zauważyłem, jak wyjął rewolwer i wsunął do kieszeni.

— Tak! — odpowiedział na moje spojrzenie. — Muszę ci powiedzieć, że mamy do czynienia ze specjalnie niebezpieczną bandą. Świadczy za tym wszystko, co dotychczas usłyszeliśmy.

Było już niemal ciemno, gdy znaleźliśmy się na Pall Mall w mieszkaniu Mr Melasa. Okazało się, iż przed chwilą wyszedł, gdyż wzywał go jakiś dżentelmen.

— A nie wie pani przypadkiem, dokąd poszli? — spytał Mycroft Holmes.

— Nie wiem, sir! — odparła kobieta, która otworzyła drzwi. — Wiem tylko tyle, że pojechał z tym panem powozem.

— Czy ten pan nie podał swego nazwiska?

— Nie, sir!

— Czy nie był to wysoki, przystojny, ciemnowłosy młodzieniec?

— O nie, sir! Ten pan był niskiego wzrostu, miał szczupłą twarz i nosił okulary. To bardzo miły człowiek. Gdy mówił, ciągle się uśmiechał.

— Jedziemy! — krzyknął nagle Sherlock Holmes. — To zaczyna być poważne — zauważył w drodze do Scotland Yardu. — Ci ludzie znowu porwali Melasa. Niestety, to człowiek pozbawiony fizycznej odwagi. Wiedzą oni o tym dobrze z wypadków poprzedniej nocy. Ten łajdak mógł go sterroryzować zaraz w chwili spotkania. Niewątpliwie potrzebują go jeszcze jako tłumacza. Skoro jednak skorzystają z jego usług, z pewnością będą chcieli zemścić się na nim za to, co w ich mniemaniu stanowi zdradę.

Mieliśmy nadzieję, iż uda nam się dostać pociągiem do Beckenham szybciej lub równocześnie z powozem. Niestety. W Scotland Yardzie straciliśmy przeszło godzinę, zanim udało nam się porozumieć z inspektorem Gregsonem i załatwić wszelkie formalności prawne, potrzebne do tego, abyśmy mieli wstęp do tego tajemniczego domu. Na London Bridge byliśmy o godzinie 21.45, natomiast do stacji Beckenham dotarliśmy dopiero o godzinie 3.30 w nocy. Po przebyciu około pół mili stanęliśmy wreszcie w pobliżu „The Myrtles”, wielkiego, ciemnego domu, położonego w pewnym, oddaleniu od drogi na prywatnym gruncie. Tu odprawiliśmy dorożkę i udaliśmy się aleją w kierunku domostwa.

— We wszystkich oknach ciemno. Dom jest chyba nie zamieszkały — zauważył inspektor.

— Nasze ptaszki wyfrunęły i gniazdko jest puste — odezwał się Holmes.

— Dlaczego pan tak twierdzi?

— Ponieważ w ciągu ostatniej godziny przejechał tędy powóz z dość ciężkim bagażem.

— Zauważyłem w świetle lampy wiszącej nad bramą ślady kół — odparł uśmiechając się; inspektor. — Ale skąd to przypuszczenie o bagażu?

— Być może zauważył pan te ślady kół w innym miejscu. Jak jednak spostrzegłem, zewnętrzna koleina jest bardzo głęboka. Można więc twierdzić, że powóz był obciążony dość znacznym ciężarem.

— Tak, zdobył pan nade mną lekką przewagę — odezwał się inspektor wzruszając

ramionami. — No, niełatwo będzie sforsować te drzwi. Tak czy inaczej musimy jednak dostać się do wnętrza, nawet przy użyciu siły, jeśli nikt się nie odezwie.

Inspektor począł energicznie dzwonić i uderzać kołatką, ale bez najmniejszego rezultatu. Holmes tymczasem gdzieś zniknął. Wrócił jednak po chwili.

— Otworzyłem jedno z okien — powiedział.

— Całe szczęście, Mr Holmes, iż w tym wypadku okazał się pan zwolennikiem przemocy — zauważył inspektor, gdy spostrzegł, w jaki sprytny sposób mój przyjaciel utorował nam drogę. No! W tych warunkach możemy chyba wejść, nie czekając na zaproszenie.

Po kolei weszliśmy przez okno do wielkiego pokoju. Jak się okazało, tu właśnie był poprzednio Mr Melas. Inspektor zapalił lampkę. W jej świetle ujrzeliśmy dwoje drzwi, kotarę, lampę i zbroję japońską. Wszystko zgadzało się z opisem tłumacza. Na stole stały ponadto dwie szklanki, pusta butelka po wódce i resztki posiłku.

— Co to? — spytał nagle Holmes.

Stanęliśmy w milczeniu, nasłuchując. Gdzieś z góry dochodził słaby jęk. Holmes skoczył do drzwi i wybiegł do przedpokoju. Tak. Odgłosy płynęły z pietra. Ruszył więc na górę, a ja z inspektorem tuż za nim. Mycroft starał się nam dorównać, w miarę jak mu na to pozwalała jego tusza.

Na drugim piętrze zatrzymaliśmy się przed trojgiem drzwi. Spoza środkowych usłyszeliśmy jakieś jęki przechodzące chwilami w głuche pomruki lub też w zdławione okrzyki. Drzwi były zamknięte, lecz klucz tkwił w zamku. Holmes otworzył je i wpadł do środka. Natychmiast wybiegł z powrotem, trzymając się za gardło.

— Tam pełno dymu i czadu! — krzyknął. — Poczekajmy chwilę, aż się trochę przewietrzy.

Zaglądnęliśmy do środka. Jedyne oświetlenie stanowił nikły, niebieski płomień. Migotał nad małym, miedzianym trójnogiem ustawionym na środku pokoju. Płomień rzucał na podłogę jakiś siny, nienaturalny, kolistego kształtu odblask. Poza jego zasięgiem ujrzeliśmy w mroku niewyraźne zarysy dwu postaci ludzkich skulonych pod ścianą. Przez otwarte drzwi ulatniał się okropny, trujący dym, którym poczęliśmy się krztusić. Holmes wspiął się do końca schodów, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Następnie zaś wpadł do pokoju, otworzył szybko okno i wyrzucił miedziany trójnog do ogrodu.

— Za chwilą będziemy mogli wejść — rzekł odetchnawszy głęboko. — Gdzie jest świeca? Wątpię, czy uda nam się tam zapalić zapałkę, Mycroftie! Potrzymaj światło przy drzwiach, a my postaramy się ich stamtąd wydostać.

Z pośpiechem dopadliśmy tych dwu zatrutych ludzi i wyciągnęliśmy ich na zewnątrz. Obaj byli nieprzytomni. Mieli posiniałe, obrzękłe twarze o oczach wychodzących wprost z orbit i fioletowosine wargi. Wskutek tego rysy ich uległy znacznemu zniekształceniu. Jednym z nich był grecki tłumacz, z którym rozstaliśmy się tak niedawno koło „Klubu Diogenesa”. Nie poznalibyśmy go jednak, gdyby nie czarna broda i drobna figura. Skrępowano mu silnie ręce i nogi. Wokół oka widniał ślad po silnym uderzeniu. Podobnie związano drugiego więźnia. Ten wysoki mężczyzna znajdował się już w ostatnim stadium wycieńczenia. Gdy położyliśmy go, przestał jęczeć. Niestety, dla niego nasza pomoc okazała się już spóźniona, co było widać na pierwszy rzut oka. Natomiast Mr Melas żył jeszcze. Cucilem go, dając do wachania amoniak, a od czasu do czasu podając łyk wódki. Po godzinnym stosowaniu tych zabiegów stwierdziłem z zadowoleniem poprawę. Otworzył oczy i pojął wreszcie, iż wyciągnąłem go z mroków, w których schodzą się drogi życia nas wszystkich.

Opowieść jego była prosta. Potwierdziła jedynie nasze przypuszczenia. Mr Melas sterroryzowany przez przybysza, dał się uprowadzić pod groźbą śmierci po raz drugi. Widocznie ten śmiejący się złowrogo nędznik wywierał na nieszczęsnego tłumacza jakiś hipnotyczny

wpływ. Nawet teraz jeszcze Mr Melas bladł i drżał, gdy o nim wspominał. Zawieziono go wówczas szybko do Beckenham, a tam znowu pełnił rolę tłumacza w, jeszcze bardziej dramatycznej rozmowie niż pierwsza. Dwaj Anglicy zagrozili bowiem uwięzionemu Kratidesowi natychmiastową śmiercią, jeśli nie wypełni ich żądań. W końcu, gdy nie reagował na ich groźby, ponownie zamknęli go w pokoju: Następnie oskarżyli Melasa o zdradę, której dowodziło ogłoszenie w gazecie. Ogłuszyli go jakąś drewnianą pałką. Gdy ocknął się z omdlenia, ujrzał nas pochylonych nad sobą.

Taka to była niezwykła przygoda greckiego tłumacza. Nie została ona jednak całkowicie wyjaśniona. Skomunikowaliśmy się z tym dżentelmenem, który odpowiedział na ogłoszenie w prasie. Oto co zdołaliśmy ustalić. Młoda dama, Zofia, pochodziła z bogatej rodziny greckiej. Do Anglii przybyła w odwiedziny do znajomych. Wówczas poznała młodzieńca nazwiskiem Harold Latimer, który wywierał na nią taki wpływ, iż uległa jego namowom, aby razem z nim uciec. Jej znajomi, oburzeni do głębi takim postępowaniem, ograniczyli się jedynie do zawiadomienia jej brata w Atenach i umyli ręce od całej tej sprawy. Brat oczywiście przyjechał niezwłocznie do Anglii. Niestety, wskutek lekkomyślności wpadł w ręce Latimera i jego współnika, Wilsona Kempa, niezwykle podejrzanego indywiduum. Ci dwaj wnet zorientowali się, iż stanie się on zupełnie bezradny, skoro tylko znajdzie się w ich rękach. Nie zna przecież języka angielskiego. Uwięzili więc Kratidesa i usiłowali go torturami i głodem zmusić do zrzeczenia się opieki nad siostrą. Trzymali go pod kluczem w zajmowanym przez nich domu. Siostrze nic o tym naturalnie nie powiedzieli. Plaster na twarzy miał utrudnić rozpoznanie go przez Zofię, gdyby go przelotnie ujrzała. Jednak dzięki kobiecej intuicji natychmiast go poznała podczas przypadkowego spotkania w czasie pierwszej wizyty tłumacza. Biedna dziewczyna właściwie też była uwięziona, w domu bowiem nie było nikogo obcego prócz stangreta i jego żony. Ci natomiast byli powolnymi narzędziami w rękach przestępców. Ostatecznie, gdy dwaj łajdacy, Latimer i Kemp, zorientowali się, iż odkryto ich tajemnicę i że niczego nie wymuszą na więźniu, uciekli kilka godzin temu, uprowadzając z sobą dziewczynę. Przedtem jednak zemścili się na Greku, którego uporu nie zdołali złamać, oraz na tym, który ich zdradził.

Kilka miesięcy później otrzymaliśmy z Budapesztu wycinek gazety. Z jego treści dowiedzieliśmy się o tragicznej śmierci dwu Anglików, podróżujących w towarzystwie kobiety. Obaj zostali zaszytletowani. Zdaniem policji węgierskiej zadali sobie nawzajem śmiertelne rany w trakcie gwałtownej kłótni. Holmes jednak jest innego zdania. Do dziś utrzymuje, iż gdyby udało się odnaleźć Greczynkę, to sprawa by się niewątpliwie wyjaśniła. Na pewno okazałoby się wówczas, w jakim stopniu pomszczono krzywdę Zofii i jej brata, oraz kto tego dokonał.

TAJEMNICZA LOKATORKA

PRZEŁ: JAN MEYSZTOWICZ

THE VEILED LODGER

Działalność Sherlocka Holmesa obejmuje okres dwudziestu trzech lat, z czego przez siedemnaście pozwalał mi z sobą współpracować oraz zapisywać przebieg i wyniki jego wyczynów. Nic więc dziwnego, że zebrałem ogromną ilość materiału i mój problem polegał zawsze nie na jego zdobywaniu, lecz na dokonaniu wyboru. W moim posiadaniu znajduje się zajmujący całą półkę rząd grubych, oprawnych notatników, a do tego dochodzi pokaźna ilość wypełnionych dokumentami teczek stanowiących cenne źródło nie tylko dla kryminologa, ale i dla badacza skandalów w towarzyskich i urzędowych sferach późnej epoki wiktoriańskiej. Co do tych ostatnich chciałbym zapewnić piszących do mnie błagalne, listy, abym nie wspominał o niczym, co by mogło narazić na szwank honor ich rodziny lub reputację ich antenatów, że ich obawy są całkowicie pozbawione podstaw. Dyskrecja i wysoki poziom etyki zawodowej, jakie zawsze charakteryzowały mego przyjaciela, obowiązują nadal przy redagowaniu tych wspomnień i żadne poufne zwierzenia nie będą nadużyte. Sprzeciwiam się natomiast jak najbardziej stanowczo zabiegom, jakie nastąpiły ostatnio, a mającym na celu zagarnięcie i zniszczenie tych papierów. Źródło inspiracji tych usiłowań jest znane i jeśli się powtórzą, Sherlock Holmes upoważnił mnie do zapowiedzenia, że wszystko co dotyczy pewnego polityka, latarni morskiej i tresowanego kormorana, będzie podane do wiadomości publicznej. Jeden przynajmniej z czytelników niniejszego zrozumie, co mam na myśli.

Nie należy sądzić, że każda z tych spraw umożliwiła Holmesowi zademonstrowanie jego niezwykłych zdolności i talentu obserwacyjnego, jakie usiłowałem przedstawić w tych wspomnieniach. Czasami osiągał cel nie lada nakładem wysiłków, innym znów razem przychodziło mu to z łatwością. Nieraz się zdarzało, że najstraszliwsze tragedie ludzkie były przedmiotem tych właśnie spraw, które dawały Holmesowi najmniejsze pole do popisu i taką właśnie zamierzam teraz utrwalić na piśmie. Wprowadziłem drobne zmiany w nazwisku i miejscu zdarzenia, lecz wszystkie inne fakty są autentyczne.

Pewnego dnia przed południem, w 1896 roku, Holmes wezwał mnie do siebie za pomocą pośpiesznie napisanej kartki. Zostałem go otoczonego kłębam tytoniowego dymu, siedzącego w towarzystwie jakiejś matrony, tęgiej, dosyć leciwej, lecz wyglądającej na raczej przedsiębiorczą.

— To jest pani Merrilow z South Brixton — rzekł mój przyjaciel, wskazując ją ruchem dłoni. — Pani Merrilow nie ma nic przeciwko tytoniowi, możesz więc, mój drogi, ulec tej twojej obrzydliwej skłonności. Pani Merrilow ma coś ciekawego do opowiedzenia i w związku z tym twoja obecność może się okazać pożyteczna.

— Chętnie ci służę.

— Sama pani rozumie, że jeśli przyjdę odwiedzić panią Ronder, wolałbym z nią rozmawiać przy świadku.

— Niech pana Bóg błogosławi — odpowiedziała — jej tak zależy na rozmowie z panem, że mógłby pan przyprowadzić całą parafię.

— A zatem przyjdziemy dzisiaj wczesnym popołudniem. Przedtem jednak ustalmy należycie fakty, co dopomoże doktorowi Watsonowi w zrozumieniu sytuacji. Powiada pani, że pani Ronder jest od siedmiu lat pani lokatorką i że raz tylko widziała pani jej twarz.

— A wolałabym nawet ten jeden raz jej nie widzieć!

— Twarz ta jest, o ile dobrze rozumiałem, strasznie pokaleczona.

— Panie Holmes, tego, powiadam panu, chyba w ogóle nie można nazwać twarzą. Nasz mleczarz widział ją raz, zaglądając przez górne okno, i zaraz opuścił bańkę, tak że mleko się wylało na cały ogród. Taka jest ta jej twarz. A kiedy ją sama zobaczyłam — natknęłam się na panią Ronder w chwili, kiedy się tego zupełnie nie spodziewała — zakryła ją szybko i powiedziała do mnie: „Pani Merrilow, teraz pani rozumie, dlaczego nigdy nie podnoszę woalki”.

— Czy pani wie cokolwiek o jej życiu?

— Absolutnie nic.

— Czy wynajmując u pani pokój nie powołała się na kogokolwiek?

— Me, panie Holmes, ale zapłaciła gotówką i nie targowała się ani chwili. W dzisiejszych czasach uboga jak ja kobieta nie może sobie pozwolić na utracenie takiego dochodu.

— Czy mówiła, dlaczego wybrała pani dom?

— Mój dom stoi dosyć daleko od ulicy i jest bardziej odosobniony od innych. A poza tym ja wynajmuję tylko jeden pokój i nie mam własnej rodziny. Zdaje mi się, że próbowała mieszkać u innych, ale u mnie czuje się najlepiej. Zależy jej przede wszystkim na samotności i gotowa jest za to zapłacić.

— A więc pani powiada, że nikt nigdy nie widział jej twarzy, z wyjątkiem tej jednej przypadkowej okazji? To istotnie zastanawiające i nie dziwię się, że pani chciałaby wyjaśnić tę sprawę.

— Ależ ja wcale nie chcę nie wyjaśniać, panie Holmes. Mnie to nie przeszkadza tak długo, jak zgarniam czynsz. Trudno sobie wyobrazić spokojniejszą lokatorkę, nigdy z nią nie mam żadnych kłopotów,

— Cóż zatem spowodowało pani zjawienie się u mnie?

— Stan jej zdrowia, panie Holmes. Wygląda mi na to, że ona już długo nie pociągnie. A do tego coś ją okropnie gnębi na umyśle. Od czasu do czasu wykrzykuje „Morderca!”. A raz słyszałam, jak krzyczała „Ty bestio! Ty potworze!”. To było w nocy i słycać ją było w całym domu, aż mnie ciarki przeszły. Więc rano poszłam do niej i powiadam: „Pani Ronder, jeśli pani coś ciężko na duszy, od tego są księża, no i — mówią — w razie czego policja. Albo jedni, albo drudzy powinni pani przyjść z pomocą”. Na — Boga! Tylko nie policja! — powiada — a księża nie potrafią zmienić tego, co było. A jednak — powiada — ulżyłoby mi, gdybym przed śmiercią mogła komuś powiedzieć prawdę”. „No cóż — powiadam na to — jeśli pani sobie policji nie życzy, jest taki detektyw, o którym czytałam... „ — za pańskim przeproszeniem, panie Holmes. A ona na to aż skoczyła i mówi: „Jego właśnie mi potrzeba, nie wiem doprawdy, dlaczego sama o tym dotychczas nie pomyślałam. Pani Merrilow — powiada — proszę go tutaj do mnie przyprowadzić, a jeśli nie zechce przyjść, proszę mu powiedzieć, że jestem żoną Rondera, tego z cyrku, pogromcy dzikich zwierząt. Powiedz mu to pani i powiedz jeszcze, że chodzi o to, co się stało w Abbas Parva”. I tutaj na kartce napisała: Abbas Parva. „To — powiada — skłoni go do przyjścia, jeśli on jest takim człowiekiem, jakim myślę, że jest”.

— Miała rację — odrzekł Holmes. — Bardzo pani dziękuję. A teraz chciałbym pogawędzić z doktorem Watsonem, co pewnie potrwa do obiadu. Proszę na nas oczekiwać u siebie w Brixton około godziny trzeciej.

Zaledwie pani Merrilow wyszła, a raczej wytoczyła się z pokoju, Holmes skoczył ku leżącemu w kącie pokoju wielkiemu stosowi notatników. Przez parę minut słyszałem tylko szelest przewracanych kartek, aż wreszcie pomruk zadowolenia oznajmił, że mój przyjaciel znalazł to, czego szukał. Tak był jednak podniecony, że nie powstał, ale usiadł na podłodze i skrzyżowawszy nogi, przybrał pozę posągu Buddy, po czym otoczony zewsząd grubymi tomami notatek, jeden z nich otworzył na kolanach.

— W swoim czasie ta sprawa nie dawała mi spokoju — rzekł — czego dowodzą te zapiski na

marginesach. Przyznaję, że nie umiałem jej rozwikłać, ale byłem pewny, że sędzia śledczy się myli. Czy nie pamiętasz tragedii w Abbas Parva?

— Nie, nic mi ta nazwa nie mówi.

— A przecież mieszkaliśmy już razem. Co prawda moje wrażenia były powierzchowne, nie miałem żadnych elementów, na których mógłbym się oprzeć, a żadna ze stron nie chciała skorzystać z moich usług. Czy może chciałbyś przeczytać te papiery?

— Wolałbym, abyś je ustnie streścił.

— Nic łatwiejszego. Przypomnisz sobie tę sprawę, w miarę jak będę mówił. Otóż nazwisko Ronder było w swoim czasie powszechnie znane. Był on rywalem Wombwella, jak również Sangera, zaliczano go do największych organizatorów widowisk cyrkowych. Rozpił się jednak i zarówno on sam, jak jego przedsiębiorstwo zaczęli podupadać. Karawana jego wozów cyrkowych jadąca do Wimbledonu zatrzymała się na noc w Abbas Parva, zapadłej wiosce w Berkshire, i wtedy to właśnie nastąpiła owa ponura tragedia. Obozowali tam tylko, miejscowość jest bowiem tak mała, że nawet jedno przedstawienie by się im nie opłacało. Wśród zwierząt występujących u Rondera znajdował się bardzo piękny, północnoafrykański lew, zwany królem Sahary. Ronder i jego żona zwykli się popisywać w jego klatce. Widzisz tutaj fotografię tej części programu i możesz sobie zdać sprawę, że Ronder był opasłym, przypominającym wieprza mężczyzną, a jego żona kobietą niepospolitej urody. W czasie śledztwa wyszło na jaw, że lew uchodził nie bez powodów za niebezpiecznego, ale jak to zwykle bywa, przyzwyczajenie zrodziło z czasem obojętność i nikt nie przywiązywał do tego większej wagi.

Ronder i jego żona zwykli karmić lwa w nocy. Czasami jedno z nich, czasami oboje, lecz nikomu innemu nie pozwalali tego robić, uważali bowiem, że tak długo, jak będą jedynymi dostarczycielami żywności, lew będzie dla nich przyjaźnie usposobiony. Tej nocy, siedem lat temu, oboje poszli karmić lwa i nastąpił okropny wypadek, którego wszystkie aspekty nigdy nie dostały wyjaśnione.

Około północy cały obóz został zaalarmowany rykiem lwa i krzykiem kobiety. Posługacze oraz reszta cyrkowego personelu wybiegli ze swych namiotów z latarniami i w ich świetle ujrzeli przerażającą scenę. Ronder leżał w odległości około dziesięciu jardów od otwartej klatki ze strzaskaną czaszką, na której widać było wyraźnie ślady lwich pazurów. Tuż przy klatce leżała na plecach pani Ronder, a obok niej przysiadł rozjuszony lew. Poszarpał jej twarz do tego stopnia, że nikt nie wierzył, aby mogła wylizać się z tych ran. Kilku cyrkowców, między innymi siłacz Leonardo i kłown Griggs, zapędziło za pomocą drągów lwa z powrotem do klatki, którą natychmiast zamknięto. Jak się z niej wydostał, pozostało tajemnicą. Utrzymała, się na ogół wersja, że w tej samej chwili, w której Ronderowie otwierali drzwi klatki, lew skoczył ku nim, ciężarem swego ciała uchylił drzwi i wydostał się na zewnątrz. Śledztwo nie ujawniło żadnych interesujących szczegółów z wyjątkiem tego, że podczas gdy tę nieprzytomną z bólu kobietę niesiono do krytego wozu, w którym mieszkała z mężem, zawołała parokrotnie: „Tchórz!” . Dopiero po sześciu miesiącach powróciła do zdrowia na tyle, że mogła złożyć zeznania. Śledztwo zostało zamknięte wnioskiem, że śmierć nastąpiła na skutek nieszczęśliwego wypadku.

— Do jakiego innego wniosku mogło doprowadzić? — zapytałem.

— Może masz rację, a jednak parę szczegółów zwróciło uwagę młodego Edmunda z miejscowej policji w Berkshire. Łebski chłopak! Wysłali go później do Indii. Od niego się dowiedziałem o tej sprawie, bo mnie odwiedził i gawędząc o tym wypaliliśmy parę fajek.

— Szczupły, żółtoblondego mężczyzna?

— Właśnie! Byłem pewny, że sobie to i owo przypomnisz.

— A jakie miał wątpliwości?

— Mieliliśmy je obaj. Diabelnie trudno było odtworzyć przebieg wypadków. Spójrz na to z

punktu widzenia lwa. Uwolnił się z klatki. Cóż dalej robi? W paru susach posuwa się naprzód i zbliża do Rondera. Ten próbuje uciekać — pazury dosięgły go z tyłu głowy — ale lew zwała go na ziemię. A wtedy zamiast umykać, lew powraca do kobiety znajdującej się tuż koło klatki, rzuca się na nią i szarpie jej twarz. Co więcej, jej okrzyki wydają się wskazywać, że mąż jej tak czy inaczej nie przyszedł jej z pomocą. A coż ten biedak mógł dla niej uczynić? Sam zdajesz sobie sprawę z tej sprzeczności.

— Oczywiście.

— Ale to nie wszystko. Teraz gdy o tym myślę, przypominam sobie, że śledztwo wykazało, iż w tej samej chwili, w której rozległ się ryk lwa i krzyk kobiety, słyszano przerażony głos męski.

— To był niewątpliwie głos Rondera.

— Skoro leżał ze strzaskaną czaszką, to chyba nie mógł wydobyć z siebie głosu. Co najmniej dwóch świadków stwierdziło, że krzyk mężczyzny zabrzmiał równocześnie z krzykiem kobiety.

— Wydaje mi się, że wszyscy w obozie wrzeszczeli jeden przez drugiego. A jeśli chodzi o tamte uwagi, to nasuwa mi się sposób ich wytłumaczenia.

— Słuchani cię chętnie.

— Ronder i jego żona znajdowali się razem w odległości około dziesięciu jardów od klatki, w chwili gdy lew z niej wyskoczył. Mężczyzna, odwrócił się i zaraz potem padł pod uderzeniem lwiej łapy. Kobieta wpadła na pomysł, aby wejść do klatki i zamknąć jej drzwi za sobą. To było dla niej jedyne dostępne schronienie. Pobiegła więc ku klatce i w chwili gdy znalazła się przy niej, zwierzę ją dopadło, i rzuciło się na nią. Zła była na męża za to, że odwracając się rozdrażnił lwa. Gdyby oboje spokojnie stawili mu czoło, może lew nie ośmieliłby się rzucić na nich. Stąd jej okrzyk. „Ty tchórze”.

— Brawo! W tym rozumowaniu jest tylko jedna skaza.

— A mianowicie?

— Jeśli oboje znajdowali się w odległości dziesięciu jardów od klatki, w jaki sposób lew mógł się z niej wydostać?

— Może wypuścił go ktoś wrogo nastawiony do Ronderów?

— A dlaczego lew miałby się na nich rzucić, skoro znał ich dobrze, był do nich przyzwyczajony i brał udział w ich występach wewnątrz klatki?

— Ta sama wrogo do Ronderów usposobiona osoba mogła lwa podniecić.

— Na rzecz tej twojej teorii przemawia to, że Ronder miał istotnie wielu wrogów. Edmunds mi mówił, że on po pijanemu był strasznym człowiekiem. Prześladował i terroryzował całe swoje otoczenie. Okrzyki: „Ty potworze”, o których wspominała pani Merrilow, są, jak przypuszczam, nocną reminiscencją po zmarłym mężusiu. Jednakże nasze rozważania nie na wiele się zdadzą tak długo, jak nie znamy wszystkich faktów. Na bufecie znajdziesz kuropatkę na zimno oraz butelkę francuskiego wina. Przystąpmy do odnowienia zapasu naszych sił, zanim będą nam potrzebne.

Dorożkarz zawiózł nas do domu pani Merrilow i zastaliśmy jej pulchną postać blokującą drzwi prowadzące do wnętrza jej skromnej i na uboczu położonej siedziby. Jej główną troską było niewątpliwie utrzymanie u siebie cennej lokatorki i zanim nas do niej zaprowadziła, prosiła, abyśmy nic nie powiedzieli ani nie uczynili, co mogłoby do takiej straty doprowadzić. Uspokoiwszy ją pod tym względem, weszliśmy na piętro stromymi, pokrytymi wytartym chodnikiem schodami i znaleźliśmy się w pokoju owej tajemniczej lokatorki. Było to ciasne, zatęchłe, źle wietrzone pomieszczenie, co nas nie zdziwiło, jako że mieszkająca tu osoba rzadko je opuszczała. Kobieta, która była właścicielką zwierząt w klatkach upodobniła się sama, jakby przez odwet losu, do zwierzęcia w klatce. Siedziała w kulawym fotelu w zacienionym kącie

pokoju. Długie lata beczynności pogrubily zarys jej talii, która niegdyś musiała być bardzo pociągająca i nadal zachowała ponętność. Gruba, czarna woalka zakrywała jej twarz, lecz była ucięta ponad ślicznie zarysowanymi ustami i powabnie zaokrąglonym podbródkiem. Łatwo mogłem sobie wyobrazić, że zaliczano ją onegdaj do bardzo pięknych kobiet. Nawet jej głos był dźwięczny i miło zmodulowany.

— Moje nazwisko jest panu znane, panie Holmes, i spodziewałam się, że pana do mnie przywiedzie.

— Nie neguję, aczkolwiek nie wiem, dlaczego pani sądzi, że interesowałem się tą sprawą.

— Dowiedziałam się o tym po powrocie do zdrowia, podczas przesłuchiwania mnie przez pana Edmunda z policji hrabstwa Barkshire. Zataiłam przed nim prawdę, a może byłoby lepiej, gdybym wówczas nie była skłamała.

— Prawda opłaca się na ogół, ale dlaczego pani wołała kłamać?

— Od tego zależał los innej osoby. Wiem, że to była bezwartościowa istota, ale nie chciałam mieć na sumieniu jej zguby. Osoba ta była mi niegdyś bardzo, bardzo bliska!

— Czy ta przeszkoda już nie istnieje?

— Tak, osoba którą mam na myśli, nie żyje.

— Dlaczego więc pani nie chce poinformować policji o wszystkim, co pani wie?

— Chodzi o inną osobę, a mianowicie o mnie. Chcę uniknąć skandalu i rozgłosu, jakie musi pociągnąć za sobą ingerencja policji. Niewiele mi już życia pozostało i pragnę umrzeć w spokoju. A jednak zależało mi na znalezieniu uczciwego i rozsądnego człowieka, któremu mogłabym opowiedzieć moją straszną tajemnicę, aby po mojej śmierci wszystko mogło być wyjaśnione.

— Wdzięczny jestem za tak wysokie o mnie mniemanie, lecz ja mam ze swej strony duże poczucie odpowiedzialności i nie gwarantuję, że po wysłuchaniu pani nie uznam za stosowne powiadomić policji.

— Nie sądzę, aby pan zechciał to uczynić. Zbyt dobrze znam pańskie metody i charakter. Lektura jest jedyną przyjemnością, jaką mi los pozostawił, i niewiele z tego, co się dzieje na świecie, uchodzi mojej uwagi. Może pan z mojej tragedii zrobić dowolny użytek, chętnie przyjmuję to ryzyko. Wyznanie jej ulży memu sumieniu.

— Mój przyjaciel i ja chętnie panią wysłuchamy.

Kobieta powstała i wydobyla z szuflady fotografię mężczyzny. Rozpoznaliśmy w nim od razu zawodowego atletę. Był to mężczyzna o wspaniałej fizycznej budowie, sfotografowany w typowej dla siłacza pozycji, z potężnymi rękami splecionymi na szerokich piersiach i z uśmiechem na ozdobionej wielkimi wąsami twarzy, uśmiechem zwycięzcy w wielu turniejach.

— To jest Leonardo — rzekła pani Ronder.

— Leonardo, ten siłacz, który był jednym ze świadków? — Ten sam, a oto jest fotografia mojego męża.

Ohydna to była twarz człowieka-wieprza, a raczej człowieka-dzika, przerażająca w swym bestialstwie. Łatwo można sobie było wyobrazić tę wstrętną gębę zapluta i skrzywioną w spazmie wściekłości. Oczy zdawały się tryskać wrodzoną i na wszystkich dokoła skierowaną złośliwością. Szubrawiec, brutal, bestia — to wszystko było wypisane na tej twarzy i ogromnych szczękach.

— Te dwie fotografie pomogą panom w zrozumieniu tego, co opowiem. Byłam biedną cyrkówką, wychowaną na trocinach areny. Skakałam przez kółko, zanim ukończyłam lat dziesięć. Gdy dorosłam, ten mężczyzna zakochał się we mnie, o ile takie jak jego zwierzęce pożądanie można nazwać miłością, i w złą godzinę zostałam jego żoną. Od tego dnia znalazłam się w piekle, a on stał się dręczącym mnie szatanem. Wszyscy w naszej trupie wiedzieli, że on znęca się nade mną. Porzucał mnie dla innych kobiet, a gdy robiłam mu wyrzuty, wiązał mnie i

chłostał biczem od tresowania koni. Wszyscy mi współczuli, wszyscy go nienawidzili, ale cóż mogli uczynić? Wszyscy się go po prostu bali, strasznym był bowiem człowiekiem na co dzień, a po pijanemu budziły się w nim wprost mordercze instynkty. Raz po raz miał do czynienia z policją za bójki lub za okrucieństwo dla zwierząt, ale pieniędzy mu nie brakowało, więc lekceważył sobie grzywny. Najlepsi nas opuścili i cyrk nasz zaczął stopniowo tracić popularność. Jediną atrakcją programu był Leonardo i ja oraz kłown, mały Jimmy Griggs. Biedaczysko niezbyt wesołe miał życie, ale robił, co mógł, aby jakoś zabawić publiczność!

Z czasem Leonardo zaczął odgrywać coraz większą rolę w moim życiu. Panowie widzieli sami, jakim był mężczyzną. Wiem teraz, jak ubogie duchem było jego wspaniałe ciało, ale w porównaniu z moim mężem był w moich oczach jak archanioł Gabriel. Litował się nade mną i pomagał mi, aż wreszcie nasza codzienna zażyłość przerodziła się w głębokie, namiętne uczucie, w miłość, o jakiej marzyłam, nie wierząc jednak, abym kiedykolwiek mogła jej zaznać. Mąż mój domyślał się prawdy, ale był zarówno brutalem, jak tchórzem, a Leonardo był jedynym człowiekiem, którego się obawiał. Mścił się za to po swojemu i coraz okrutniej znęcał się nade mną. Pewnej nocy moje krzyki ściągnęły Leonarda aż pod drzwi naszego wozu cyrkowego. Niewiele brakowało, a już tej nocy nastąpiłaby tragedia, i wkrótce mój kochanek i ja zdaliśmy sobie sprawę, że tego uniknąć się nie da. Mój mąż nie zasługiwał na życie. Umówiliśmy się z Leonardem, jak go zabić.

Leonardo miał bystry, wyrachowany umysł. On ułożył plan działania. Nie mówię tego, aby go oskarżać, gdyż byłam gotowa w pełni wziąć udział we wszystkim, co postanowi, ale nigdy nie potrafiłabym wpaść na taki pomysł. Sporządziliśmy, a raczej sporządził Leonardo, coś w rodzaju maczugi, a w jej ołowianej głowicy Leonardo wtopił pięć długich, stalowych gwoździ, rozmieszczonych bardzo dokładnie w ten sposób, że naśladowały pazury w lwiej łapie. Tym narzędziem mieliśmy zadać memu mężowi śmiertelny cios, tak jednak, aby wszystkie pozory wskazywały, że uczynił to lew, którego mieliśmy w tym celu wypuścić z klatki.

— Noc była bardzo ciemna, gdy mój mąż i ja poszliśmy jak zwykle karmić lwa. Nieśliśmy ze sobą mięso w kubie z cynkowanej blachy. Leonardo czekał za rogiem największego z naszych wozów, przed którym musieliśmy przejść w drodze do klatki. Przegapił jednak dogodny moment i przeszliśmy obok niego, zanim zdołał uderzyć, ale poszedł cichaczem za nami i usłyszałam cios, który strzaskał czaszkę mego męża. Na ten dźwięk, serce drgnęło mi radośnie. Pobiegłam naprzód i odsunęłam rygiel zamykający klatkę lwa.

Wtedy stało się coś strasznego. Słyszał pan może o tym, jak szybko te zwierzęta zwietrzają ludzką krew i jak podniecająco to na nie działa. Jakiś dziwny instynkt w mgnieniu oka dał znać królowi Sahary, że zabito człowieka.

W chwili gdy otwierałam drzwi klatki, skoczył naprzód i rzucił się na mnie. Leonardo mógł mnie uratować. Gdyby trzymaną w rękę maczugą uderzył lwa, byłby go prawdopodobnie odpędził. Ale Leonardo stchórzył. Usłyszałam, jak krzyknął z przerażenia, i widziałam, jak się odwrócił i uciekł. W tej samej chwili kły lwa dosięgły mojej twarzy. Przedtem jeszcze jego gorący, smrodliwy oddech odurzył mnie do tego stopnia, że prawie nie odczułam bólu. Obu dłońmi usiłowałam odepchnąć od siebie krwawą, parą ziejącą paszczę i zaczęłam krzyczeć, wzywając ratunku. Doszedł jeszcze do mojej świadomości hałas i ruch w obozie i pamiętam mglisto, jak Leonardo, Griggs i inni wyciągali mnie spod łap lwa. Nie wiem, co potem nastąpiło przez sporo długich, udręką wypełnionych miesięcy. Gdy przyszłam do siebie i spojrzałam w lustro, przeklinałam lwa — jakże strasznie go przeklinałam — nie za to, że mi odebrał urodę, ale za to, że mnie pozostawił przy życiu. Jednego tylko pragnęłam i miałam dosyć pieniędzy, aby to osiągnąć. Chciałam zasłonić moją nieszczęsną twarz tak, aby nikt jej nigdy nie widział, i zamieszkać w takim miejscu, gdzie nikt, kto mnie znał, nie mógłby mnie odnaleźć. Nic

innego nie pozostawało mi do zrobienia i tak właśnie postąpiłam. Biedne, ranne zwierzę zagrzebało się w swej norze, aby umrzeć — Eugenia Ronder takiego doczekała się końca.

Wysłuchawszy opowiadania tej nieszczęsnej kobiety siedzieliśmy czas jakiś w milczeniu. Wreszcie Holmes wyciągnął swą długą rękę i pogładził jej dłoń z tak oczywistą i serdeczną sympatią, jaką rzadko kiedy komukolwiek okazał.

— Biedna dziewczyna — rzekł — niełatwo jest zrozumieć wyroki losu. O ile tam nie czeka nas jakieś zadośćuczynienie, ten świat jest zaiste okrutnym żartem. A co się stało z Leonardem?

— Nigdy go już więcej nie widziałam i nie słyszałam o nim. To, co pozostawił lew, mogło wzbudzić i utrzymać jego miłość w tej samej mierze, co któraś z tych wynaturzonych, potwornych kobiet, które obwoziliśmy w naszym cyrku po całym kraju. Ale nie tak łatwo ginie miłość kobiety. Leonardo pozostawił mnie na pastwę dzikiej bestii, porzucił mnie w śmiertelnym niebezpieczeństwie, lecz, nie mogłam się zdobyć na to, aby go posłać na szubienicę. Co do mnie, było mi wszystko jedno, Cóż może być okropniejszego od mego obecnego życia? Lecz stałam pomiędzy Leonardem a sprawiedliwością.

— Czy on już nie żyje?

— Utonął miesiąc temu, kąpiąc się w Margate. O jego śmierci dowiedziałam się z gazet.

— A co on zrobił z tą naśladowającą pazury lwa maczugą? To jest najbardziej interesujący szczegół w pani opowiadaniu.

— Nie wiem. Niedaleko naszego obozu była głęboka, częściowo wypełniona wodą glinianka. Może tam na jej dnie...

— Teraz to już nie ma znaczenia. Sprawa jest bezprzedmiotowa i zamknięta.

— Tak — odpowiedziała kobieta — sprawa jest zamknięta.

Powstałiśmy, kierując się ku drzwiom, lecz coś w jej głosie zwróciło uwagę Holmesa, gdyż szybko odwrócił się ku niej.

— Własne życie nie do pani należy — rzekł. — Odebrać go sobie nie wolno.

— Moje życie nie może się przydać nikomu.

— Skąd ta pewność? Przykład cierpliwości i pokory w cierpieniu jest sam w sobie najcenniejszą z nauk dla tego niecierpliwego świata.

Kobieta odpowiedziała strasznym gestem. Podniosła woalkę i podeszła ku światłu.

— Wątpię, czy pan zdoła na mnie patrzeć.

Był to zaiste do głębi wstrząsający widok. Żadne słowa nie są w stanie opisać rysów twarzy, która właściwie nie istnieje. Dwoje żywych, pięknych, czarnych oczu patrzących spośród strzępów ciała potęgowało jeszcze grozę tego zjawiska. Holmes podniósł rękę ruchem wyrażającym litość i protest, po czym obaj wyszliśmy z pokoju.

Gdy po dwóch dniach zaszedłem do mego przyjaciela, wskazał mi, nie bez pewnej dumy, małą niebieską butelkę stojącą na jego kominku. Wziąłem ją do ręki. Czerwona nalepka wskazywała na jej trującą zawartość. Otworzyłem butelkę i poczułem przyjemny migdałowy zapach.

— Kwas pruski? — zapytałem.

— Tak. Otrzymałem tę butelkę w dzisiejszej poczcie wraz z kartką, na której było napisane: „Posyłam panu moją pokusę. Pójdę za pańską radą”. Domyśliły się obaj nazwiska tej dzielnej kobiety, która do mnie tę kartkę wysłała.

GARBUS

PRZEL. IRENA SZELIGOWA

THE CROKED MAN

Pewnego letniego wieczoru, parę miesięcy po moim ślubie, siedziałem przy kominku, dopalając ostatnią fajkę i drzemiąc nad jakąś powieścią, miałem bowiem tego dnia bardzo wyczerpującą pracę. Moja żona poszła już była na górę do sypialni, a brzęk zamykanych drzwi wejściowych upewnił mnie, że służba również udała się na spoczynek. Wstałem z krzesła i wytrząsałem właśnie popiół z fajki, gdy nagle usłyszałem dźwięk dzwonka.

Spojrzałem na zegar. Był kwadrans na dwunastą. O tak późnej porze nie mógł przyjść żaden gość. Raczej był to pacjent i być może, czekało mnie całonocne czuwanie. Z kwaśną miną wyszedłem do przedpokoju i otworzyłem drzwi. Ku memu zdumieniu na progu stał Sherlock Holmes.

— Ach, Watsonie — powiedział — miałem nadzieję, że nie będzie za późno, aby się z tobą zobaczyć.

— Mój drogi przyjacielu, proszę, wejdź.

— Jak widać, jesteś zaskoczony i nie ma się co dziwić. Odczuwasz jednak ulgę, mniemam. Hm! Wciąż jeszcze palisz tę mieszankę z Arkadii jak za kawalerskich czasów, co? Nie można się omylić, widząc ten puszysty popiół na twojej marynarce. Łatwo zgadnąć, że nawykłeś do noszenia munduru, Watsonie. Nigdy nie będziesz mógł uchodzić za prawdziwego cywila, dopóki zachowasz zwyczaj noszenia chustki do nosa w rękawie. Czy mógłbyś mnie dzisiaj przenocować?

— Z przyjemnością.

— Mówiłeś mi, że dysponujesz jednoosobowym kawalerskim pokojem gościnnym. Widzę, że w tej chwili nie masz u siebie żadnego gościa płci męskiej. Twój wieszak mi to zdradził.

— Będę zachwycony, jeżeli zatrzymasz się u, mnie.

— Dziękuję. Wobec tego zajmę wolny kolek. Zauważyłem z przykrością, że był u ciebie pracownik brytyjskich zakładów usługowych. Świadczy to o jakimś nieszczęściu. Mam nadzieję, że wodociąg nie nawalił?

— Nie. Gaz.

— Ach, tak. Pozostawił na linoleum ślady dwóch gwoździ od buta akurat w miejscu, gdzie pada światło. Nie, dziękuję, jadłem kolację w Waterloo, ale z przyjemnością wypalę fajkę w twoim towarzystwie.

Podał mi swój kapciuch, a on usiadł naprzeciw mnie i przez pewien czas palił w milczeniu. Wiedziałem, że tylko ważna sprawa mogła go do mnie sprowadzić o tej porze, czekałem więc cierpliwie, aż sam do niej przystąpi.

— Widzę, że jesteś obecnie bardzo zajęty pracą zawodową — powiedział, patrząc na mnie przenikliwie.

— Tak, miałem ruchliwy dzień — odrzekłem. — Być może, wydam ci się bardzo głupi — dodałem — ale doprawdy nie wiem, z czego to wywnioskowałeś.

Holmes zachichotał.

— Mam zaszczyt znać twoje zwyczaje, mój drogi Watsonie — powiedział — kiedy masz wizytę gdzieś niedaleko, udajesz się tam pieszo, a gdy obchód jest dalszy, korzystasz z dorożki. O ile zauważyłem, twoje buty, choć zniszczone, nie są bynajmniej zabłocone. Miałeś więc niewątpliwie tyle pracy, że powstała konieczność wyjazdu dorożką.

— Doskonale! — zawołałem.

— Elementarna rzecz — powiedział Holmes. — Jest to właśnie jeden z przykładów na to, że człowiek umiejący wyciągać wnioski potrafi wywołać odpowiedni efekt i wyrzucić na swym partnerze niezwykle wrażenie, tylko dlatego, iż ten ostatni nie dostrzegł jakiegoś drobnego faktu, będącego podstawą dedukcji. To samo można powiedzieć, mój drogi, o pewnych twoich drobnych pracach, których złudny efekt jest całkowicie uzależniony od ciebie samego, ponieważ ty skupiasz w swym ręku pewne dane dotyczące jakiegoś problemu, dane, które nie są znane czytelnikom. W obecnej chwili ja sam jestem w położeniu takiego czytelnika, gdyż mam w ręku cały szereg nici prowadzących do rozwiązania jednego z najdziwniejszych przypadków, jaki kiedykolwiek zajmował umysł ludzki, a brakuje mi jednej albo dwóch niezbędnych do uzupełnienia mojej teorii. Ale ja je wynajdę, Watsonie, ja je wynajdę!

Oczy mu błysnęły i lekki rumieniec wystąpił na jego chude policzki. Na chwilę uniosła się zasłona kryjąca siłę i zawziętość jego natury, ale tylko na jedną chwilę. Gdy spojrzałem nań ponownie, jego twarz przybrała już znowu ów wyraz opanowania godny czerwonoskórego Indianina, z powodu którego wieki ludzi uważało go raczej za maszynę niż za człowieka.

— Zagadnienie to ma dość ciekawe momenty — rzekł Holmes — a nawet mogę śmiało powiedzieć, że ma niezwykle ciekawe momenty. Wniknąłem już trochę w tę sprawę i wydaje mi się, że jestem już bliski rozwiązania. Gdybyś mógł mi towarzyszyć w moich ostatnich posunięciach, oddałbyś mi ogromną przysługę.

— Z wielką radością.

— Czy mógłbyś się jutro wybrać aż do Aldershot?

— Jackson mnie niewątpliwie zastąpi w pracy.

— Bardzo dobrze. Chciałbym wyjechać pociągiem o 11.15 z Waterloo.

— Będę miał wobec tego dość czasu.

— W takim razie, jeżeli nie jesteś zanadto śpiący, opowiem ci pokrótce, co się stało i co jeszcze należy przedsięwziąć.

— Byłem śpiący przed twoim przyjściem. Teraz jestem całkiem rzeński,

— Postaram się streścić tę opowieść w miarę możliwości, aby nie pominąć niczego, co może być istotne w tej sprawie. Bardzo możliwe, że już czytałeś sprawozdanie z tego wypadku. Chodzi o przypuszczalne morderstwo pułkownika Barclaya z pułku Royal Mallows w Aldershot, w związku z którym przeprowadzam dochodzenie.

— Nic o tym nie słyszałem.

— Sprawa nie zwróciła na razie uwagi poza lokalnym zainteresowaniem. Fakty te miały miejsce przed dwoma dniami. Krótko mówiąc było to tak:

Royal Mallows, jak wiesz, jest jednym z najsłynniejszych pułków w armii brytyjskiej. Pułk ten cudów dokazywał na Krymie, jak i podczas buntu, i odtąd wyróżniał się przy każdej sposobności. Jego dowódcą aż do poniedziałku wieczora był James Barclay, zasłużony weteran, który zaczął swą karierę jako ochotnik, w czasie buntu awansował za odwagę do rangi oficera i w końcu objął dowództwo nad pułkiem, w którym ongiś był szeregowcem. Pułkownik Barclay ożenił się jeszcze w okresie, gdy był sierżantem, a jego żona z domu panna Nancy Devoy, była córką poprzedniego sierżanta krajowca w tym samym pułku. Z tej też przyczyny, jak sobie łatwo można wyobrazić, zaistniały pewne drobne tarcia towarzyskie, kiedy ta młoda para (albowiem wtedy byli jeszcze młodzi) znalazła się wśród nowego otoczenia. Oni jednak podobno szybko się przystosowali, a pani Barclay, o ile mi wiadomo, była równie lubiana przez panie pułkownikowe, jak jej mąż przez swych kolegów oficerów. Muszę jeszcze dodać, że była to kobieta bardzo piękna, a nawet jeszcze i dziś, choć jest mężatką przeszło 30 lat, ma podziwu godną powierzchowność.

Życie rodzinne pułkownika Barclaya było podobno niezmiennie szczęśliwe. Major Murphy, któremu zawdzięczam większą część tych informacji, zapewnił mnie, że nigdy nie słyszało żadnym nieporozumieniu w tym stadle małżeńskim. Na ogół Barclay, według niego, był bardziej przywiązany do żony niż ona do niego. Rozstanie z żoną, choćby na jeden dzień, sprawiało mu wielką przykrość. Ona zaś ze swej strony, choć oddana mężowi i wierna, była bardziej powściągliwa w swych uczuciach. Uważano ich jednak w pułku za wzór małżeństwa w średnim wieku. W ich wzajemnych stosunkach nie było nic takiego, co pozwoliłoby przewidzieć tragedię, jaka się miała rozegrać.

Pułkownik Barclay odznaczał się podobno dość szczególnymi rysami charakteru. Zazwyczaj kiedy bywał w normalnym nastroju, sprawiał wrażenie rubasznego, jowialnego starego wojaka, zdarzały się jednak wypadki, gdy okazywał, że jest zdolny do wielkiej gwałtowności i mściwości. Jednakże ta strona jego natury nie zwracała się nigdy przeciwko żonie. Innym faktem budzącym zdziwienie majora Murphy'ego oraz trzech innych oficerów, z którymi rozmawiałem, był stan szczególnej depresji, nawiedzającej raz po raz pułkownika. Jak major się wyraził, często się zdarzało, że podczas wesołego i żartobliwego przekomarzania się przy wspólnym stole uśmiech nagle zniknął z jego ust, jak gdyby zgaszony czyjąś niewidzialną dłonią. Ulegając temu nastrojowi, bywał przez kilka dni z rzędu pogrążony w głębokim smutku. Owe nagłe zmiany humoru oraz pewna przesądność były to jedyne niepowседневne cechy, jakie zostały zaobserwowane przez jego kolegów. To ostatnie dziwactwo przyjęło formę lęku przed samotnością, zwłaszcza po zapadnięciu zmroku. Dziecinny rys tak wybitnie męskiego charakteru niejednokrotnie wywoływał komentarze i domysły.

Jeden batalion pułku Royal Mallovs (jest to pułk 117) stacjonuje od paru lat w Aldershot. Żonaci oficerowie mieszkają poza koszarami, a pułkownik dotychczas zajmował willę o nazwie „Lachine”, znajdującą się w odległości pół mili od North Camp. Dom ten wznosi się na prywatnych gruntach, ale zachodnia jego strona jest oddalona nie więcej niż o 30 jardów od głównego traktu. Służba składa się ze stangreta i dwóch pokojówek. Byli oni wraz ze swoim państwem jedynymi mieszkańcami willi „Lachine”, albowiem Barclayowie nie posiadali dzieci, nie mieli też zwyczaju gościć nikogo u siebie przez dłuższy czas.

Przejdźmy teraz do wydarzeń, które miały miejsce w „Lachine” pomiędzy godz. 9 a 10 w ubiegły poniedziałek.

Pani Barclay, była jak się okazuje, członkiem Kościoła rzymskokatolickiego i bardzo się udzielała w Stowarzyszeniu Św. Jerzego, które powstało przy parafii na Watt Street celem wspomagania ubogich używaną odzieżą. Zebranie owego Stowarzyszenia miało się odbyć tego właśnie wieczora o 8 godzinie, toteż pani Barclay śpieszyła się z obiadem, aby być na nim obecna. Gdy opuszczała dom, stangret słyszał, jak się zwróciła do męża z jakąś banalną uwagą i zapewniła go, że niebawem wróci. Następnie wstąpiła po pannę Morrison, młodą osobę zamieszkałą w sąsiedniej willi, i obie poszły razem na zebranie. Zebranie trwało 40 minut, więc kwadrans po 9 pani Barclay wróciła do domu, zostawiając po drodze pannę Morrison pod bramą jej domu.

W „Lachine” jest pokój, który służy za śniadalnię. Pokój ten z widokiem na drogę ma wielkie, oszklone, rozsuwane drzwi, wychodzące na gazon ogrodowy. Gazon znajduje się na wprost tych drzwi w odległości 30 jardów, a od drogi oddziela go jedynie niski mur z żelaznym ogrodzeniem. Do tego właśnie pokoju weszła pani Barclay po powrocie do domu. Zasłony nie były, opuszczone na okna, albowiem tego pokoju rzadko używano wieczorami. Pani Barclay sama zapaliła lampę, po czym zadzwoniła i poprosiła pokojówkę Jane Stewart, żeby jej przyniosła filiżankę herbaty, co było sprzeczne z ustalonymi przez nią zwyczajami. Pułkownik siedział w jadalni, ale usłyszawszy, że żona wróciła, udał się do niej do śniadalni. Stangret widział go, jak

przechodził przez hali i wchodził do pokoju. Nie ujrano go już więcej przy życiu.

Zamówioną herbatę przyniesiono po upływie 10 minut, ale jak tylko pokojówka zbliżyła się do drzwi, osłupiała, słysząc głosy pana i pani w zacieklej utarczce słownej. Pukała, nie otrzymując żadnej odpowiedzi, a nawet nacisnęła klamkę, ale stwierdziła tylko, że drzwi były od wewnątrz zamknięte. Naturalnie pobiegła zaraz na dół, żeby to opowiedzieć kucharce i obie kobiety wraz ze stangretem weszły do hallu, i przysłuchiwały się gwałtownej sprzeczce, która wciąż jeszcze trwała. Wszyscy razem utrzymują zgodnie, że słyszeli tylko dwa głosy, Barclaya i jego żony.

Wypowiedzi Barclaya były tak przyciszone i krótkie, że żadna z nich nie dotarła do słuchających. Pani Barclay natomiast była bardzo rozgoryczona, a gdy podnosiła głos, słyszano ją wyraźnie. — „Ty, podły! — powtarzała wciąż te same słowa. — Co robić teraz? Wróć mi moje życie! Nie chcę więcej nawet oddychać tym samym powietrzem, co ty. Podły! Podły!” — Takie były urywki tej rozmowy, która zakończyła się nagle strasznym krzykiem mężczyzny, gwałtownym łomotem i przeraźliwym wrzaskiem kobiecym. Stangret przekonany, że rozegrała się jakaś tragedia, rzucił się na drzwi i usiłował je wyważyć, podczas gdy w pokoju wciąż rozbrzmiewały okrzyki. Nie był jednakże w stanie przedostać się tą drogą, a służące tak były przełknięte, że niewiele mogły mu pomóc. Nagle olśniła go pewna myśl; wybiegł z hallu przez drzwi wejściowe i okrążył gazon, na który wychodziło wielkie, francuskie okno. Jedna rama okienna była otwarta, jak to się nieraz podobno zdarzało w porze letniej, toteż stangret bez trudu dostał się do pokoju. Jego pani już nie krzyczała i leżała nieprzytomna na kanapie, a ów nieszczęsny wojak, z nogami przewieszonymi przez poręcz fotela, z głową obok kraty kominka leżał nieżywy w kałuży krwi.

Oczywiście pierwszą myślą stangreta, gdy się przekonał, że już nic nie można pomóc swemu panu, było otwarcie drzwi. Ale wówczas powstała nieoczekiwana i dziwna przeszkoda. Klucza nie było w drzwiach z wewnętrznej strony ani nie można go było nigdzie znaleźć w pokoju. Wobec tego stangret wydostał się również przez okno i przywoławszy na pomoc policjanta i lekarza wrócił. Panią Barclay, na której rzecz jasna, ciążyło największe podejrzenie, przeniesiono wciąż jeszcze nieprzytomną do jej pokoju. Ciało pułkownika złożono na sofie, a dokładne oględziny pozwoliły odtworzyć tę tragiczną scenę. Jak się okazało, obrażeniem, które odniósł nieszczęsny weteran, była rana cięta na potylicy, długa na dwa cale widocznie na skutek silnego uderzenia jakimś tępym narzędziem. Nietrudno było zresztą zgadnąć, jakie to było narzędzie. Na podłodze tuż przy zwłokach leżała nader osobliwa maczuga z twardego, rzeźbionego drzewa o kościanej ręczce. Pułkownik posiadał kolekcję najróżniejszej broni, przywiezionej z rozmaitych krajów, w których walczył, toteż policja przypuszcza, że maczuga ta również należała do jego pamiątek. Służba zaprzecza, jakoby tę maczugę kiedykolwiek przedtem widziała, ale wśród licznych osobliwości, znajdujących się w domu, mogła zostać niezauważona. Poza tym policja nie znalazła w pokoju nic, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie, prócz nie dającego się wytłumaczyć faktu, że ani przy pani Barclay, ani przy ciele ofiary, ani nigdzie w pokoju nie znaleziono zaginionego klucza. W końcu drzwi zostały otwarte przez ślusarza z Aldershot.

Taki był stan rzeczy, Watsonie, kiedy we wtorek rano, na prośbę majora Murphy'ego, pojechałem do Aldershot, aby dopomóc policji w jej staraniach.

Przyznasz chyba sam — był to wypadek interesujący, moje zaś spostrzeżenia przekonały mnie niebawem, że istotnie sprawa była bardziej osobliwa, niż to się przedstawiało na pierwszy rzut oka. Przed obejrzeniem pokoju zadałem służbie krzyżowe pytania, ale udało mi się wydostać z niej tylko te fakty, które już sam poprzednio stwierdziłem. Jedynie pokojówka Jane Stewart przypomniała sobie jeden ciekawy szczegół. Pamiętasz chyba, że słysząc odgłosy kłótni zeszła na dół, po czym powróciła na górę z resztą służby. Otóż powiada, że za pierwszym razem, gdy

jeszcze była sama, głosy jej państwa były tak przyciszone, iż nic prawie nie słyszała, a raczej z tonu niż ze słów wywnioskowała o sprzeczce. Jednakże gdy nalegałem, przypomniała sobie, że słyszała słowo „Dawidzie!” powtórzone dwukrotnie przez panią Barclay. Fakt ten ma ogromne znaczenie, gdyż naprowadza nas na przyczynę owej nagłej sprzeczki. Pułkownik, o ile pamiętasz, miał na imię James.

W sprawie tej istniał jeszcze jeden fakt, który wywarł wielkie wrażenie zarówno na służbie, jak i na policji. Było to wykrzywienie twarzy pułkownika. Według ich relacji zastygł na niej tak potworny wyraz przerażenia i zgrozy, jaki ludzka twarz w ogóle zdolna jest przybrać.

Kilka osób zemdlalo na sam jej widok, tak straszny był to wstrząs. Z pewnością pułkownik przewidział swój koniec, co go w najwyższym stopniu przerażyło. To wyjaśnienie pokrywało się całkowicie z teorią policji, że pułkownik musiał widzieć, jak żona dokonywała na nim morderczego zamachu. Nawet fakt, że rana znajdowała się na tylnej części głowy, nie był sprzeczny z tą teorią, bowiem pułkownik mógł się odwrócić, chcąc uniknąć ciosu. Od pani pułkownikowej nie można było uzyskać na razie żadnych informacji, na skutek bowiem ostrego zapalenia opon mózgowych była w obecnej chwili niepoczytalna. Dowiedziałem się od policji, że panna Morrison, która jak pamiętasz, wychodziła owego wieczoru z panią Barclay, oświadczyła, że nie wie o niczym, co mogłoby spowodować zdenerwowanie jej towarzyski, w którym to stanie pani Barclay wróciła wówczas do domu.

Po zebraniu tych faktów, Watsonie, wypaliłem szereg fajek, rozmyślając i starając się oddzielić fakty zasadnicze i decydujące od faktów przypadkowych. Niewątpliwie bardzo znamienitym i wiele mówiącym momentem w tej sprawie było dziwne zniknięcie klucza od drzwi. Najstaranniej przeprowadzone poszukiwania nie dały rezultatów i klucza w pokoju nie znaleziono. Czyli że musiano go stamtąd zabrać. Nie mógł go jednakże zabrać ani pułkownik, ani żona pułkownika. To było zupełnie jasne. Musiała tedy wówczas wejść do pokoju jakaś trzecia osoba. A ta trzecia osoba mogła wejść jedynie przez okno. Wydało mi się, że dokładne oględziny pokoju i gazonu pozwolą wykryć ślady owego tajemniczego osobnika. Znasz moje metody, Watsonie. Nie pominąłem żadnej przy przeprowadzaniu dochodzenia. No i w końcu odkryłem ślady zupełnie jednak inne niż się spodziewałem. W pokoju był jakiś mężczyzna, który zboczył z drogi i przeszedł przez gazon. Udało mi się odnaleźć pięć bardzo wyraźnych odcisków jego stóp — jeden na drodze, w miejscu gdzie się przedostał przez niski mur, dwa na murawie gazonu, a dwa bardzo nikłe na farbowanej desce w pobliżu okna, którym wszedł. Przez gazon widocznie przebiegł pędem, ponieważ ślady czubków jego butów głębsze były niżeli ślady obcasów. Zaskoczyła mnie jednakże nie tyle obecność tego człowieka, co jego towarzysza.

— Towarzysza?

Holmes wyjął z kieszeni duży arkusz bibułki i ostrożnie rozprostował na kolanie.

— Co myślisz o tym? — zapytał.

Bibułka była pokryta śladami łapek jakiegoś małego zwierzęcia. Ślady te miały pięć wyraźnie zaznaczonych palców, zakończonych długimi pazurkami i nie były większe od łyżeczki do herbaty.

— To pies — powiedziałem.

— Czy kiedy słyszałeś, żeby się pies wdrapywał po firance? A ja znalazłem wyraźne ślady, świadczące o tym, że to stworzenie tam włąziło.

— A więc małpa?

— To nie jest ślad małpy.

— W takim razie co to może być?

— Ani pies, ani kot, ani małpa, ani żadne inne znane nam stworzenie. Usiłowałem za pomocą pomiarów odtworzyć jego postać. Oto są cztery odciski łap stojącego nieruchomo zwierzęcia.

Widzisz, że odległość pomiędzy przednimi a tylnymi łapami nie wynosi mniej niż 15 cali. Dodaj do tego długość szyi i głowy, a otrzymasz stworzenie długie na dwie stopy, a może i jeszcze dłuższe, jeżeli ma ogon. Przyjrzyj się teraz, temu drugiemu wymiarowi. Mamy długość, kroku zwierzęcia znajdującego się w ruchu. Za każdym razem jego krok wynosi około 3 cali. Wskazuje to, jak widzisz, że zwierzę ma długie ciało, ale bardzo krótkie nóżki. Stworzenie to nie było na tyle uprzejme, aby nam pozostawić parę włosków. Ale, ogólnie biorąc, kształt jego postaci musi być właśnie taki, jak podałem. Do tego łązi po firankach i jest mięsożerne.

— Z czego to wywnioskowałeś?

— Ponieważ sam się wdrapałem po firance. Nad oknem wisiała klatka z kanarkiem i wydaje mi się, że to stworzenie usiłowało się dostać do ptaka.

— Więc cóż to było za zwierzę?

— Ach, gdybym mógł określić, zrobiłbym wielki postęp na drodze do rozwiązania tej zagadki. Prawdopodobnie jednak było to jakieś stworzenie w rodzaju łasicy lub z rodziny soboli, chociaż jest większe od zwierząt, które widywałem.

— Ale cóż ono może mieć wspólnego ze zbrodnią?

— To także jeszcze nie jest jasne. Ale i tak już sporośmy się dowiedzieli, jak widzisz. Wiemy, że jakiś mężczyzna, stojąc na drodze, przyglądał się sprzeczce pomiędzy Barclayami, zasłony bowiem były podniesione, a pokój oświetlony. Wiemy również, że ów mężczyzna przebiegł pędem przez gazon, wszedł do pokoju w towarzystwie dziwnego zwierzęcia i albo zadał cios pułkownikowi, albo — co jest również możliwe — pułkownik przerażony samym jego widokiem, upadł i rozciął sobie głowę o kratę od kominka. Na zakończenie jest jeszcze jeden ciekawy fakt, że intruz ten odchodząc zabrał ze sobą klucz od pokoju.

— Wydaje mi się, że twoje odkrycia bardziej pogmatwały sprawę, niż była na początku — powiedziałem..

— Istotnie. Wykazały bowiem niezbitcie, że sprawa ma głębsze podłoże, niż początkowo przypuszczano. Przemyślałem to sobie i doszedłem do wniosku, że powinienem się jej przyjrzeć z innego aspektu. Ale doprawdy, Watsonie, zatrzymuję cię teraz, a przecież mogę z powodzeniem opowiedzieć ci wszystko podczas naszej jutrzejszej podróży do Aldershot.

— Dziękuję. Za daleko już zabrnąłeś, aby teraz przerwać.

— Jest rzeczą pewną, że pani Barclay opuszczając dom o pół do ósmej była w dobrych stosunkach ze swoim mężem. Nigdy nie okazywała, o czym już wspomniałem, zbytnej czułości do męża, ale stangret słyszał, jak gawędziła z pułkownikiem w sposób przyjazny. Otóż równie jest pewne, że natychmiast po powrocie udała się do pokoju, w którym spodziewała się, że nie zastanie męża, zażądała herbaty, co uczyniłaby każda zdenerwowana kobieta, i w końcu, gdy mąż się zjawił, obsypała go gwałtownymi wyrzutami. Czyli że pomiędzy godziną 7.30 a 9 musiało się coś zdarzyć, co całkowicie zmieniło jej stosunek do niego. Ale w ciągu tej półtorej godziny była przy niej panna Morrison. Stąd też miałem całkowitą pewność, mimo jej zaprzeczenia, iż musi wiedzieć coś niecoś o tej sprawie.

Pierwsze moje przypuszczenie było tego rodzaju, że może ta młoda kobieta miała przygodą ze starym wojakiem, z czego ten ostatni zwierzył się przed żoną. Mogłoby to wówczas być powodem zarówno irytacji pani Barclay po powrocie do domu, jak i upierania się dziewczyny przy zeznaniu, że nic się nie zdarzyło. Nie byłoby również w tym wypadku wielkiej rozbieżności z treścią podsłuchanych słów. Jednakże wzmianka o Dawidzie, a także znane ogólnie przywiązanie pułkownika do żony, świadczyły przeciwko tej teorii, nie mówiąc już o tragicznym wtargnięciu owego drugiego mężczyzny, co oczywiście nie mogło mieć żadnego związku z poprzednim wydarzeniem. Niełatwo było zdecydować, jakie poczynić kroki; ale choć skłaniałem się odrzucić przypuszczenie, iż coś łączyło pułkownika z panną Morrison, bardziej niż

kiedykolwiek byłem przekonany, że młoda kobieta jest w posiadaniu klucza do zagadki, co spowodowało wybuch nienawiści pani Barclay do męża. Wybrałem tedy najprostszą drogę, udałem się do panny Morrison i powiedziałem jej, że jestem najzupełniej pewny, iż fakt ten jest jej znany. Wyjaśniłem również, że jej przyjaciółka, pani Barclay, może stanąć przed sądem i grozi jej najwyższy wymiar kary, o ile sprawa się nie wyjaśni.

Panna Morrison jest małą, smukłą, eteryczną dziewczyną o nieśmiałych oczach i jasnych włosach. Przekonałem się jednak, że nie brak jej bystrości ani rozsądku. Gdy skończyłem mówić, siedziała przez pewien czas rozmyślając, po czym odwróciła się do mnie z wyrazem nagłej decyzji i złożyła niezwykle oświadczenie, które ci pokrótce powtórzę.

— Przynależam mojej przyjaciółce, że nikomu nie powiem o tej sprawie, a przyrzeczenie jest przyrzeczeniem — powiedziała. — Jeżeli jednak naprawdę będę mogła pomóc, zwłaszcza że grozi jej tak poważne oskarżenie, a biedactwo ma usta zamknięte z powodu choroby, sądzę, iż mogę być z tego przyrzeczenia zwolniona. Opowiem panu dokładnie, co zaszło w poniedziałek wieczorem:

Wracałyśmy z Misji przy Watt Street mniej więcej kwadrans po ósmej. Po drodze musiałyśmy przejść przez spokojną i zaciszną ulicą Hudsona. Jest tam jedna tylko latarnia po lewej stronie, a gdy zbliżyłyśmy się do niej, zobaczyłam idącego nam naprzeciw mężczyznę, mocno zgarbionego, z jakąś skrzynką przewieszoną przez ramię. Wyglądał na kalekę, gdyż głowę miał nisko zwieszoną i włókł się na zgiętych kolanach. Mijałyśmy go właśnie, gdy podniósł twarz, aby spojrzeć na nas w kręgu światła latarni, aż nagle, przystanął i krzyknął straszliwym głosem:

— Mój Boże, toż to Nancy!

Pani Barclay zbladła jak śmierz i byłaby upadła, gdyby ta potwornie wyglądająca istota jej nie podtrzymała. Miałam właśnie wołać policję, ale ku memu zdziwieniu pani Barclay odezwała się całkiem grzecznie do tego człowieka.

— Sądziłam przez trzydzieści lat, że ty nie żyjesz, Henry! — wymówiła drżącym głosem.

— Tak też było! — odrzekł ów człowiek, a powiedział to przerażającym tonem. Twarz miał bardzo ciemną i straszną, a w oczach błyski, które śnią mi się teraz po nocach. Jego włosy i bokobrody były przyprószone siwizną, a twarz pomarszczona i poryta jak wyschnięte jabłko.

— Pójdź, proszę, naprzód, kochanie — powiedziała pani Barclay. — Chcę zamienić parę słów z tym człowiekiem. Nie ma się czego obawiać.

Usiłowała mówić swobodnie, ale wciąż jeszcze była śmiertelnie blada, a słowa z trudem wydobywały się jej z ust.

Zrobiłam to, o co mnie prosiła, a oni rozmawiali ze sobą przez kilka minut. Potem pani Barclay poszła dalej ulicą z płonącymi oczyma, a ten nieszczęsny kuternoga, stojąc obok słupa latarni, potrząsał zaciśniętymi pięściami jak człowiek, który oszalał z wściekłości. Pani Barclay nie powiedziała ani słowa, dopóki nie znalazłyśmy się pod bramą, ale wówczas wzięła mnie za rękę prosząc, abym nikomu nie mówiła o tym, co zaszło.

— To mój dawny znajomy, który zmartwychwstał — rzekła.

Kiedy obiecałam jej, że nic nie powiem, pocałowała mnie i od tego czasu więcej jej nie widziałam. Powiedziałam panu teraz całą prawdę, natomiast przed policją ukryłam ją dlatego, że nie zdawałam sobie wówczas sprawy z niebezpieczeństwa, jakie zagraża mojej drogiej przyjaciółce. Teraz wiem, że w jej własnym interesie leży, aby wszystko zostało ujawnione.

Oto jej relacja, Watsonie, więc możesz sobie wyobrazić, że dla mnie był to błysk światła wśród ciemnej nocy. Wszystko, co dotąd nie było powiązane ze sobą, zaczęło się ustawiać na właściwym miejscu i miałem już mgliste przeczucie całej kolejności wydarzeń. Następnym moim krokiem było odnalezienie człowieka, który wywarł tak niezwykle wrażenie na pani Barclay. Zadanie to nie było zbyt trudne, o ile znajdował się jeszcze w Aldershot. Mieszkańców tu

niewielu, a kaleka zawsze zwraca na siebie uwagę. Spędziłem cały dzień na poszukiwaniach, a wieczorem, właśnie dziś wieczorem, Watsonie, spotkałem go. Człowiek ten nazywa się Henry Wood i mieszka w wynajętym mieszkaniu przy tej samej ulicy, na której go te panie spotkały. Przebywa tu dopiero od pięciu dni. Zjawiłem się tam w charakterze urzędnika rejestracji i bardzo interesująco poplotkowałem z jego gospodynią. Człowiek ten jest z zawodu zaklinaczem i sztukmistrzem, odwiedzającym po zapadnięciu zmroku kantyny wojskowe, gdzie urządza małe przedstawienia. Nosi ze sobą w skrzynce jakieś stworzenie, którego gospodyni mocno się obawia, gdyż nigdy nie widziała podobnego zwierzęcia. Według tego, co mówi, on używa go do swoich sztuczek. Tyle mi mogła ta kobieta powiedzieć, wyrażając przy tym podziw, że ten człowiek w ogóle jeszcze żyje, zważywszy jak jest pokrecony. Słyszała też czasem, jak mówił jakimś dziwnym językiem, a ostatnio przez dwie noce jęczał i szlochał w swojej sypialni. Jeśli chodzi o pieniądze, miał ich pod dostatkiem, ale pewnego razu przy płaceniu komornego dał jej monetę, która wyglądała na fałszywą. Pokazała mi ją, Watsonie — to była indyjska rupia.

Widzisz więc teraz sam, mój drogi przyjacielu, jak sprawy stoją i czemu mi jesteś potrzebny. Jasne, że po rozstaniu się z tymi paniami człowiek ów podążył za nimi w pewnej odległości i widział przez okno sprzeczkę pomiędzy mężem a żoną. Następnie wtargnął do pokoju, a wówczas stworzenie, które miał w skrzynce, wymknęło się na wolność. Wszystko to jest zupełnie pewne. On jest jedyną na świecie osobą, która nam może dokładnie opowiedzieć, co zaszło w tym pokoju.

— A ty masz zamiar go o to zapytać? — rzekłem.

— Naturalnie, ale w obecności świadka.

— To ja mam być tym świadkiem?

— O ile będziesz tak dobry. Jeżeli on nam zechce wyjaśnić tę sprawę, tym lepiej. Jeśli jednak odmówi, nie mamy innego wyjścia, jak się postarać o nakaz aresztowania.

— Ale skąd możesz wiedzieć, że on będzie w domu, gdy przyjdziemy?

— Możesz być pewien, że przedsięwziąłem pewne środki ostrożności. Jeden z moich chłopców z Baker Street, który ma go pilnować, przylepi się do niego jak smoła i wszędzie za nim pójdzie. Zastaniemy go jutro na ulicy Hudsona, Watsonie. A tymczasem ja sam uważałbym się za kryminalistę, gdybym ci dłużej przeszkadzał w położeniu się do łóżka.

Było południe, gdy znaleźliśmy się w miejscowości, w której rozegrała się tragedia, i pod przewodnictwem mego towarzysza udaliśmy się od razu na Hudson Street. Mimo umiejętności maskowania swych uczuć, widziałem wyraźnie, że Holmes hamował podniecenie, a i ja sam odczuwałem przyjemny dreszczyk sportowo–intelektualnej emocji, którą zawsze miewałem współuczestnicząc w jego badaniach.

— To jest tu — powiedział Holmes, skracając w krótką i szeroką ulicę z rzędami zwykłych, dwupiętrowych domów z cegły. — Ach, oto i Simpson z meldunkiem.

— Jest w domu, a jakże, panie Holmes! — zawołał, biegnąc ku nam, mały ulicznik, Arab.

— Dobrze, Simpson! — rzekł Holmes, głaszcząc go po głowie. — Chodźmy, Watsonie. To jest ten dom.

Holmes podał swoją wizytówkę, aby zawiadomić, że przyszedł w ważnej sprawie, i po chwili znaleźliśmy się twarzą w twarz z mężczyzną; którego chcieliśmy zobaczyć. Mimo ciepłej pogody kulił się przy ogniu, a w małym pokoju było gorąco jak w piekarniku. Człowiek ten siedział w fotelu skrecony i zgarbiony, sprawiając wrażenie zniekształcenia i kalectwa wręcz nie do opisania. Ale twarz, którą zwrócił ku nam, choć zniszczona i ciemnoskóra, musiała być ongiś niezwykle urodziwa.

Spojrzał na nas podejrzliwie oczyma o żółtych białkach i w milczeniu, nie wstając, skinął w kierunku dwóch krzesel.

— O ile się nie mylę, pan Henry Wood, niedawno przybyły z Indii? — powiedział Holmes uprzejmie. — Mam do pana mały interesik w związku ze śmiercią pułkownika Barclaya.

— A cóż ja mogę o tym wiedzieć?

— Chciałbym to właśnie ustalić. Przypuszczalnie wie pan o tym, że dopóki sprawa się nie wyjaśni, pańska dawna znajoma, pani Barclay, będzie prawdopodobnie sądzona za morderstwo.

Człowiek zachnął się gwałtownie.

— Nie mam pojęcia, kim pan jest — krzyknął — ani skąd pan zdobył te wiadomości, ale czy może mi pan przysiąc, że to, co pan mówi, jest prawdą?

— Oczywiście. Czekają tylko, aż wróci do przytomności, żeby ją aresztować.

— Mój Boże! Czy pan sam jest z policji?

— Nie.

— Cóż pana to w takim razie obchodzi?

— Każdego człowieka obchodzi, czy stanie się zadość sprawiedliwości.

— Daję panu słowo, że ona jest niewinna.

— A więc to pan jest winien?

— Nie. Ja nie zawiniłem.

— Kto wobec tego zabił pułkownika Jamesa Barclaya?

— Opatrzność go zabiła. Niech pan jednak przyjmie do wiadomości, że gdybym to ja roztrzaskał mu łeb, a miałem szczerą ochotę, spotkałoby go z mojej ręki tylko to, na co zasłużył. Gdyby go nie zważyło z nóg własne zbrodnicze sumienie, bardzo być może, że splamiłbym swą duszę jego przelaną krwią. Gzy pan sobie życzy, abym opowiedział tę historię? Cóż, nie widzę powodu, dla którego nie miałbym tego zrobić, albowiem ja się nie mam czego wstydzić. To było tak, mój panie. Widzi mnie pan teraz garbatego jak wielbłąd i z koślawymi żebrami, ale swego czasu kapral Henry Wood był najszykowniejszym chłopakiem w 117 pułku piechoty. Znajdowaliśmy się wówczas w Indiach, na kwaterach, w miejscowości Bhurtee. Ten sam Barclay, który obecnie zmarł, był sierżantem w tej samej kompanii, a naszą damą pułkową — piękniejszej zaś dziewczyny nie znałem, jak żyję — była Nancy Devoy, córka sierżanta krajowca. Kochało ją dwóch mężczyzn, a ona kochała jednego; patrząc zaś teraz na nieszczęsną istotę skuloną przed ogniem, uśmieje się pan, gdy powiem, że kochała mnie za moją urodę. Jednakże, chociaż jej serce należało do mnie, ojciec jej pragnął, aby poślubiła Barclaya. Ze mnie był wówczas obibok, lekkoduch, a Barclay miał wykształcenie i był już kandydatem do stopnia oficerskiego. Ale dziewczyna trwała przy mnie wiernie i pewnie bym ją dostał, gdy nagle wybuchł bunt i prawdziwe piekło rozpętało się w kraju.

Byliśmy odcięci w Bhurtee, my z naszym pułkiem, połową baterii dział, kompanią Sikhów i mnóstwem cywilów i kobiet. Otaczało nas dziesięć tysięcy rebeliantów, a byli tak na nas zawzięci jak sfora psów wokół klatki ze szczurami. W drugim tygodniu oblężenia zabrakło nam wody i nie wiadomo było, czy zdołamy się skomunikować z oddziałami generała Neilla, które znajdowały się w tej okolicy. Była to nasza jedyna szansa, ponieważ nie mogliśmy się spodziewać, że się nam uda przebić z tyłoma kobietami i dziećmi. Wobec tego zgłosiłem się ochotniczo na wypad, aby powiadomić generała Neilla o niebezpieczeństwie, jakie nam zagrażało. Moja propozycja została przyjęta i omówiłem ją dokładnie z sierżantem Barclayem, podobnie i lepiej od innych znającym teren, i Barclay sam mi wykreślił trasę, którą powinienem był się przedzierać przez linie rebeliantów. Tego samego wieczoru o godz. 10 wyruszyłem w drogę. Miałem ratować tysiące istnień ludzkich, ale myślałem wyłącznie o jednym Jedynym, przeskakując przez mur tamtej nocy.

Moja trasa biegła korytem wyschniętego kanału, który miał mnie, jak sądziliśmy, osłaniać przed posterunkami nieprzyjacielskimi, ale jak tylko zaczęłam się za róg, wpadłem wprost na

sześciu rebeliantów, którzy skuleni w ciemności czekali na mnie. W jednej chwili zostałem powalony, ogłuszony i skrępowany. Jednakże prawdziwy cios trafił mnie w serce, nie w głowę, bowiem gdy oprzytomniałem i przysłuchałem się — o tyle, o ile mogłem zrozumieć — ich rozmowie, usłyszałem dostatecznie, aby zdać sobie sprawę, że mój towarzysz broni, który decydował; o wybraniu trasy, zdradził mnie i wydał przy pomocy służącego—krajowca w ręce wroga.

Cóż, nie widzę potrzeby długo się nad tą sprawą rozwodzić. Wie pan już teraz, do czego był zdolny James Barclay. Bhurtee zostało oswobodzone przez Neilla już następnego dnia, ale cofający się rebelianci zabrali mnie ze sobą i wiele lat upłynęło, zanim ujrzałem znowu twarz białego człowieka. Torturowano mnie, usiłowałem uciec, ale zostałem schwytany i ponownie poddany torturom. Sam pan widzi, do jakiego stanu mnie doprowadzono. Uciekający do Nepalu rebelianci wzięli mnie ze sobą i przebywałem później w górach za Darjeeling. Ale górale wymordowali więzących mnie rebeliantów, a wówczas zostałem z kolei ich niewolnikiem do czasu mojej ucieczki. Jednakże zamiast uciekać na południe, byłem zmuszony udać się na północ, a tam znalazłem się wśród Afgańczyków. Następnie przez wiele lat wędrowałem to tu, to tam, aż w końcu wróciłem do Pendżabu, gdzie żyłem przeważnie wśród krajowców, utrzymując się za pomocą sztuczek zaklinania, których się nauczyłem. Czyż miało sens, abym ja, nieszczęsny kaleka, wracał do Anglii lub pokazywał się swym dawnym towarzyszom broni? Nawet żądza zemsty nie mogła mnie do tego skłonić. Wolałem raczej, aby Nancy i dawni moi przyjaciele sądzili, że Henry Wood poległ z prostym kręgosłupem, niżby go mieli oglądać czołgającego się o lasce niby szympana. Nikt nie miał wątpliwości, że zginąłem, a ja pragnąłem ich utrzymać na zawsze w tymi przekonaniu. Dowiedziałem się, że Barclay poślubił Naney i że szybko awansował w swoim pułku, ale nawet i to nie mogło mnie zmusić do mówienia.

Ale gdy starość nadchodzi, człowiek zaczyna odczuwać tęsknotę za domem. Przez długie lata marzyłem o wesołych, zielonych polach i żywopłotach w Anglii. W końcu postanowiłem je przed śmiercią zobaczyć. Miałem dość zaoszczędzonych pieniędzy na podróż, więc przyjechałem tu, gdzie kwaterują żołnierze, albowiem znam ich zwyczaje, umiem ich zabawić, a dzięki temu zarabiam wystarczająco na życie.

— Pańskie opowiadanie jest bardzo interesujące — powiedział Sherlock Holmes. — Słyszałem już o pańskim spotkaniu z panią Barclay i o wzajemnym poznaniu. O ile wiem, podążył pan wówczas za nią w stronę domu i widział przez okno zatarg pomiędzy mężem a żoną, w czasie którego pani Barclay niewątpliwie zarzuciła mu wprost jego czyn. Pańskie osobiste uczucia przeważały, pan przebiegł przez gazon i ukazał się przed nim.

— Tak było istotnie, proszę pana. Ujrzawszy mnie, Barclay rzucił na mnie wzrokiem, jakiego nie zdarzyło mi się nigdy widzieć u żadnej istoty ludzkiej. A potem upadł nagle głową na kratę kominka. Ale on już nie żył, zanim upadł. Widziałem śmierć wypisaną na jego twarzy tak wyraźnie, jakbym czytał ten oto tekst przed ogniem. Sam mój widok podziałał na niego jak kula, która przeszła jego zbrodnicze serce.

— A potem?

— Potem Nancy zemdląca, a ja wyjąłem z jej ręki klucz od pokoju, aby otworzyć drzwi i wezwać kogoś na pomoc. Ale zanim to zrobiłem, przyszło mi do głowy, że może lepiej byłoby dać temu spokój i odejść, bowiem wszystko przemawiało przeciwko mnie, a gdyby mnie ujęto, musiałbym w każdym razie wyjawić moją tajemnicę. W pośpiechu wsadziłem klucz do kieszeni i upuściłem laskę, uganiając się za Teddym, który wlaźł na firankę. Po wsadzeniu go do skrzynki, z której się był wymknął, uciekłem tak szybko, jak się dało.

— Kto to jest Teddy? — zapytał Holmes.

Człowiek pochylił się i odsunął przednią ściankę czegoś, co stało w kącie i wyglądało jak

kojec. Od razu wysunęło się stamtąd piękne, rudobrazowe zwierzątko, smukłe, giętkie, o łapkach łasicy, cienkim, wydłużonym pyszczku i najpiękniejszych, czerwonych oczach, jakie kiedykolwiek widziałem u zwierzęcia.

— To mangusta! — wykrzyknąłem.

— Tak je niektórzy nazywają, a inni mówią na nie: ichneumon — powiedział ów człowiek. — Ja je nazywam węzółowami, bo Teddy zadziwiająco zręcznie chwyta kobry. Mam tutaj nawet jedną, bez jadowitych zębów, którą Teddy łapie co wieczór, żeby zabawić żołnierzy. Może jeszcze jakiś szczegół, proszę pana?

— No cóż, może będziemy zmuszeni znowu się do pana zwrócić, gdyby się okazało, że pani Barclay ma poważne kłopoty.

— W takim razie zgłoszę się, oczywiście.

— Jeżeli jednak nie, nie ma sensu wygrzebywać i rozgłaszać tej skandalicznej historii, świadczącej przeciwko nieboszczykowi, mimo że postąpił tak podle. Pan otrzymał w końcu pewne zadośćuczynienie, dowiadując się, że przez, trzydzieści lat własne sumienie wyrzucało mu gorzko jego nikczemny czyn. Ach, po drugiej stronie ulicy idzie major Murphy. Żegnam pana, panie Wood. Chciałbym się dowiedzieć, czy nie zaszło coś nowego od wczoraj.

Zdążyliśmy wyjść i dopędzić majora, zanim doszedł do rogu ulicy.

— Ach, panie Holmes — powiedział. — Prawdopodobnie pan słyszał już o tym, że niepotrzebny był ten cały kram.

— A co takiego?..

— Śledztwo zostało ukończone. W wyniku badania lekarskiego stwierdzono ostatecznie, że śmierć nastąpiła na skutek apopleksji. Widzi więc pan, że mimo wszystko był to przypadek bardzo prosty.

— O tak. Zadziwiająco nieskomplikowany — rzekł, uśmiechając się, Holmes.

— Chodźmy, Watsonie, nie sądzę, abyśmy byli jeszcze potrzebni w Aldershot.

— Jest jedna rzecz — powiedziałem, gdy szliśmy na stację. — Jeżeli mężowi było na imię James, a temu drugiemu Henry, czemuż to była mowa o Dawidzie?

— To jedno słowo, mój drogi Watsonie, powinno mi było wszystko wyjaśnić, gdybym był istotnie tym idealnie rozumującym detektywem, którego z taką lubością opisujesz. Jak widać, imię to kryło w sobie wyrzut.

— Wyrzut?

— Tak. Dawid błędził raz po raz, jak wiesz, a w jednym wypadku właśnie postąpił akurat tak samo sierżant James Barclay. Przypominasz sobie historyjkę o Uriaszu i Batsabee? Obawiam się, że moje wiadomości biblijne są już nieco zwietrzałe, ale przypowieść tę znajdziesz w pierwszej lub drugiej księdze Samuela proroka.

KCIUK INŻYNIERA

PRZEL. WITOLD ENGEL I JERZY REGAWSKI

THE ENGINEER'S THUMB

W ciągu długich lat naszej serdecznej przyjaźni Sherlock Holmes rozwiązał mnóstwo zawikłanych spraw. Trudno wprost zliczyć! Tysiące skomplikowanych zagadek i prawdziwych „historii z dreszczykiem...” Ale chyba tylko dwie z nich były naprawdę godne jego geniuszu: sprawa Hatherleya i szaleństwo pułkownika Wartburtona. Każda jedyna w swoim rodzaju! Smutny, wypadek obłądu otwierał pole do popisu dla wnikliwego w całym tego słowa znaczeniu obserwatora. Natomiast historią inżyniera Hatherleya zasługuję na specjalne wyróżnienie ze względu na wstrząsającą akcję, która obfituje wprost w dramatyczne epizody pełne napięcia i grozy. Co za bogactwo wrażeń! Zapomina się nawet, że mój przyjaciel nie miał w tym wypadku wiele okazji do zastosowania swej słynnej metody dedukcyjnej. A przecież metoda ta — to sława Holmesa! Dzięki niej osiągał zawsze wspaniałe wyniki.

Całe wydarzenie, o ile mi wiadomo, znalazło się na łamach prasy. Lecz czyż może wzbudzić większe zainteresowanie wzmianka objętości pół kolumny druku? Tymczasem to sarno zdarzenie, Ujęte w formie opowieści, fascynuje swą niezwykłością i barwą. Tu dopiero roztoczyć można plastycznie przed oczyma czytelnika cały bieg Wydarzeń i ukazać żywe postacie, W miarą zaś jak każde nowe odkrycie zbliżą nas krok za krokiem do rozwiązania zagadki, coraz wyraźniej zarysowuje się niesamowitość akcji.

Okoliczności towarzyszące sprawie Hatherleya wywarły na mnie głębokie wrażenie. I to jeszcze jakie?! Po dwu nawet latach niewiele się zatarło! Pamiętam jak dziś. Było to latem 1889 roku, krótko po moim ślubie. Powróciłem właśnie do praktyki lekarskiej i ostatecznie wyprowadziłem się z mieszkania Holmesa przy Baker Street. Niemniej stale go odwiedzałem i zawsze serdecznie zapraszałem do siebie. Ileż to razy namawiałem go, by porzucił, w miarę możliwości, swój cygański tryb życia! Wszystko na nic.

Tymczasem moja praktyka powoli powiększała się. Mieszkałem nie opodal dworca Paddington. I tak się stało, iż mimo woli zdobyłem sobie kilku pacjentów wśród tamtejszych urzędników. Jednego z nich bowiem wyleczyłem z bolesnej i przewlekłej choroby, za co z wdzięczności robił mx wielką reklamę i przysyłał każdego chorego, którego tylko dało się namówić. A był bardzo wymowny!

Pewnego dnia, krótko przed godziną siódmą rano, obudziło mnie donośne stukanie do drzwi. Była to służąca Betty. Oznajmiła, że z Paddington przyszły dwie osoby i czekają na dole. Ubrałem się pośpiesznie i szybko zbiegłem po schodach na dół. Chyba wypadek kolejowy!? Doświadczenie nauczyło mnie, że wymagają one niezwłocznej interwencji, a z reguły bywają skomplikowane. Na parterze spotkałem mojego starego sympatyka. Oczywiście znowu przyprowadził chorego. Właśnie zostawił go w gabinecie.

— On już tam jest! — wyszeptał wskazując za siebie. — Wszystko w porządku!

— Co się stało? — zapytałem zaciekawiony. Zachowywał się bowiem tak, jakby zamknął w moim gabinecie jakiegoś niesamowitego osobnika.

— Nowy pacjent — wyszeptał. — Wolałem go osobiście przyprowadzić. W ten sposób nie mógł się już „odmyślić”. Stąd już nie umknie! Ech! Zresztą jest przecież w dobrych rękach. Muszę już iść, doktorze, mam swoje obowiązki tak samo jak pan.

Mój „sprzymierzeniec” wyszedł, nie dając mi nawet czasu na podziękowanie.

W gabinecie zastałem siedzącego przy stole człowieka o powierzchowności budzącej zaufanie. Ubrany był w dobry tweedowy garnitur o barwie wrzosu. Zmiętą czapkę położył na moich książkach. Całą jego dłoń spowijała chusta zbroczona krwią. Był to młodzieniec najwyżej dwudziestopięcioletni. Zdecydowanie męski typ. Uderzyła mnie jego niezwykła bladość. Za wszelką cenę starał się opanować zdenerwowanie, wywołane jakimś wstrząsającym przeżyciem. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie.

— Dzień dobry, doktorze!. — odezwał się nieznajomy. — Przykro mi, że zerwałem pana z łóżka o tak wczesnej porze, ale spotkał mnie tej nocy naprawdę poważny wypadek. Przyjechałem o świcie z Eyford do Paddington. Na stacji pytałem się o jakiegoś dobrego lekarza i ostatecznie ów zacny człowiek przyprowadził mnie do pana. Dałem służącej bilet wizytowy. Niestety, została go tu na brzegu stołu.

Przeczytałem wizytówkę: *Mr. Wiktor Hatherley, inżynier hydraulik, 16, A. Victoria Street, 3 piętro*. Teraz znałem już nie tylko nazwisko, lecz zawód i adres mego pacjenta.

— Przykro mi bardzo, iż musiał pan chwilę czekać — powiedziałem. — Proszę! Niech pan siada wygodnie i od— pocznie trochę po nocnej podróży, która z natury rzeczy jest, nudna i męcząca.

— Och! Takiej nocy, jaką dziś przeżyłem, w żadnym wypadku nie nazwałbym nudną! — odparł ze śmiechem. Odchylił się do tyłu. Śmiech jego stopniowo wzmagał się, trząsł nim, chwilami przechodził niemal w spazmatyczny chichot. Wzdrygnąłem się. Co za niesamowity wybuch wesołości! Jako lekarzowi dał mi on wiele do myślenia.

— Spokojnie! Opanuj się pan! — krzyknąłem i chlusnąłem nań wodą z karafki. Nic nie pomogło. Typowy atak hysterii. Ulegają mu również i silne natury. Widocznie zbyt długo starał się opanować zdenerwowanie, wywołane jakimś wstrząsającym przeżyciem, i to spowodowało reakcję. Po chwili zaczął się uspakajać. Śmiał się coraz słabiej, potem uderzyła nań fala gorąca. Znać było po nim kompletne wyczerpanie.

— No zrobiłem z siebie durnia — rzekł wreszcie, z trudnością łapiąc oddech.

— Ech! Nie jest tak źle! Niech pań to wypije. — Dolałem nieco wódki do wody i podałem mu. Bezkrwiste policzki poczęły stopniowo nabierać rumieńców.

— Już mi lepiej — powiedział. — A teraz, panie doktorze, może pan będzie łaskaw obejrzeć mój palec, a raczej miejsce, na którym mój palec powinien się znajdować.

Rozwiązał chustkę i wyciągnął rękę. Chociaż jestem lekarzem, widok ten podziałał mi na nerwy. Straszna, gąbczasta, poszarpana rana wśród czterech sterczących palców. Wyglądało to tak, jakby kciuk został wyszarpięty potężną siłą.

— Wielkie nieba! — krzyknąłem. — Ależ to straszna rana. Musiała chyba silnie krwawić.

— Tak! — odrzekł. — Straciłem przytomność, gdy to się stało. Prawdopodobnie przez dłuższy czas leżałem bez zmysłów. Wreszcie ocknąłem się. Rana jeszcze krwawiła. Związałem silnie przegub ręki, pod chustką zaś umieściłem kawałek drewna. Miał on uciskiem tamować krew.

— Wspaniale, powinien pan być chirurgiem!

— No cóż! To jest niejako sprawa z dziedziny hydrauliki, a więc wchodzi tym samym w zakres mojej specjalności.

— Jak to się stało? — rzekłem badając ranę. — Co to za narzędzie? Chyba coś ostrego i ciężkiego?

— Pewnego rodzaju obcęgi — powiedział.

— Wypadek, przypuszczam?

— Ależ! Nic podobnego!

— Co? Czy chciano więc może pana zamordować?

— Bah! I to jeszcze w jaki sposób?!

— Niemożliwe!?

— Przemyłem i oczyściłem ranę. Po wydezynfekowaniu założyłem opatrunek i bandaż. Pacjent leżał spokojnie. Tylko chwilami przygryzał wargi.

— No, jak pan się czuje? — spytałem go po skończonym opatrunku.;

— Świetnie! Wódka i opatrunek sprawiły, że czuję się jak nowo narodzony. Osłabienie zupełnie już minęło.

— Może by było lepiej dla pana nie mówić o tej całej sprawie? Niewątpliwie jest to dla pańskich, nerwów nie wskazane.

— Ach, nie! Teraz już nie! Właściwie powinienem donieść o moim wypadku policji. Ale mówiąc między nami, gdyby nie to, że jest przekonywający dowód w postaci rany, to sam dziwiłbym się, gdyby oni uwierzyli mojemu opowiadaniu. Jest to bowiem całkiem niezwykły wypadek. Właściwie nie jestem nawet w stanie udowodnić, że w istocie on mi się przydarzył. Nawet jeśli mi dano wiarę, to informacje, jakich mógłbym udzielić, są nader skąpe. Toteż wątpię, czy udałoby się policji ująć przestępców.

— Ha! — krzyknąłem. — Chce pan naprawdę wyjaśnić tę sprawę? A więc przed zgłoszeniem do policji zwróć się pan najpierw do mojego przyjaciela, Sherlocka Holmesa.

— O! Toć już o nim słyszałem! Byłbym bardzo, wdzięczny, gdyby chciał się zająć moją sprawą. Chociaż, naturalnie, muszę również zawiadomić policję. Czy mógłby mi pan mnie polecić?

— Jeszcze lepiej! Zaprowadzę pana do niego.

— Będę panu niezmiernie zobowiązany, doktorze.

— A więc bierzemy dorożkę i jedziemy. Czy to panu odpowiada?

— Ależ oczywiście! Nie odzyskam spokoju, dopóki nie opowiem o mojej przygodzie.

— Wobec tego mój służący wezwie dorożkę, a ja wrócę tu za chwilę.

Pobiegnę szybko na górę i wyjaśniłem sprawę mej żonie. Nie upłynęło nawet pięć minut, jak znalazłem się w dorożce i ruszyłem z moim nowym znajomym na Baker Street.

Sherlock Holmes, jak się tego spodziewałem, siedział w niedbałej pozie w bawialni. Odziany jeszcze w szlafrok, czytał rubrykę zgonów „Timesa” paląc poranną fajkę. Składały się na nią resztki tytoniu z poprzedniego dnia, starannie zbierane i suszone na gzymsie kominka. Przyjął nas z tak charakterystycznym dla niego, nie — zmaconym spokojem. Następnie kazał podać jajecnicę na boczku. Zasiadliśmy wspólnie do gorącego posiłku. Kiedyśmy skończyli, zaprosił naszego znajomego, by zajął miejsce na kanapie. Położył mu poduszkę pod głowę i postawił koło niego szklankę brandy z wodą. — No, pana przejścia musiały być niezwykłe, Mr. Hatherley! To widać na pierwszy rzut oka — zaczął Holmes.

— Proszę, niech pan leży spokojnie i czuje się jak u siebie w domu. O tak, znakomicie! A teraz może pan będzie łaskaw nam opowiadać. W razie, gdyby pan poczuł znużenie, proszę się pokrząć tym oto „wzmacniającym płynem”.

— Dziękuję uprzejmie — odrzekł mój pacjent. — Po opatrunku, założonym przez doktora, poczułem się jak nowo narodzony... a pańskie śniadanie, Mr. Holmes, podniosło mnie na dtichu. Nie chcę jednak zabierać panu jego cennego czasu i dlatego od razu rozpocznę moją dziwną historię. Postaram się wiernie odtworzyć cały tok wydarzeń.

Holmes usiadł tymczasem w swym wielkim fotelu. Przymknął powieki, a na twarzy jego malowało się głębokie skupienie. Cóż kryło ono w sobie? Namiętną chęć poznania prawdy i rozwiązania skomplikowanej zagadki. Usiadłem naprzeciw niego.

Inżynier rozpoczął swą dziwną historię. W miarę opowiadania przykuwała ona coraz mocniej naszą uwagę.

Historia, która przytrafiła mi się w 1889 roku, była zaiste i niesamowita, i tajemnicza... prawdziwa historia „z dreszczykiem”. Na wstępie podam panom dla orientacji kilka szczegółów z mojego życia. Mieszkałem wówczas i nadal mieszkam zupełnie samotnie w Londynie. Z zawodu jestem inżynierem hydraulikiem. W czasie siedmiu lat pracy w znanym przedsiębiorstwie Venner i Matsheson w Greenieh nabyłem dużego doświadczenia. Dwa lata temu umowa o pracę z przedsiębiorstwem wygasła. Jednocześnie niemal otrzymałem dość znaczną sumę pieniędzy po moim drogim ojcu. Wówczas to postanowiłem założyć własne przedsiębiorstwo. W tym celu wynająłem lokal na Victoria Street. Przypuszczam, iż samodzielne organizowanie przedsiębiorstwa stanowi przykre przeżycie dla każdego, kto czyni to po raz pierwszy. Dla mnie było wyjątkowo przykre. W rezultacie w ciągu; dwu lat udzieliłem zaledwie trzech porad i wykonałem jakąś tam drobną pracę. To było absolutnie wszystko. Moje wpływy wynosiły 27,5 funta. Codziennie od dziewiątej rano do czwartej po południu wyczekiwałem na próżno w moim maleńkim kantorku. Wreszcie począłem tracić wiarę w swe siły i nabierać coraz silniejszego przekonania, że nigdy nie zdobędę sobie klienteli.

Wczoraj jednak, gdy już miałem zamiar opuścić biuro, wszedł mój pracownik. Oznajmił mi z ożywieniem, iż jakiś pan chce się ze mną zobaczyć w pilnej sprawie.

Na bilecie wizytowym przeczytałem: *pułkownik Lizander Stark*. Zaraz potem wszedł sam pułkownik. Był on niezwykle chudy. Nigdy nie przypuszczałem, że może istnieć tak szczupły człowiek. Niesamowite wrażenie potęgowała jeszcze jego twarz, zwięzająca, się w kierunku nosa i podbródka, zaś policzki — to po prostu skóra naciągnięta na wystające kości. Ta nadmierna szczupłość nie była jednak wynikiem choroby. Widać to było zresztą już na pierwszy rzut oka: bystre wejrzenie, sprężysty krok i pewne siebie zachowanie. Ubrany był bez smaku, lecz schludnie. Mógł mieć około czterdziestu lat...

— Pan Hatherley? — spytał krótko z lekkim niemieckim akcentem. — Polecono mi pana, Mr. Hatherley, nie tylko jako dobrego fachowca, lecz również jako człowieka umięjącego dochować tajemnicy.

— Dziękuję uprzejmie! Czuję się zaszczycony jako młody człowiek tak pochlebnią opinią. Czy mogę zapytać, kto jej o mnie udzielił?

— Owszem! Uważam jednak, że w obecnej chwili nie powinienem z pewnych względów o tym mówić. Z tego samego źródła otrzymałem dalsze informacje. Jest pan sierotą i kawalerem... Mieszka pan samotnie w Londynie.

— Rzeczywiście! Wszystko się zgadza — odparłem. — Proszę mi jednak wybaczyć, ale nie widzę żadnego związku pomiędzy tymi informacjami a moją fachowością. Przypuszczam też, iż chciał się pan ze mną zobaczyć w jakiejś sprawie zawodowej?

— Oczywiście! Przekona się pan jednak, iż to, co powiedziałem; ma pośredni związek z pana sprawą. Mam dla pana zlecenie z zakresu pańskiej specjalności, lecz wymagam absolutnej dyskrecji! Naturalnie możemy tego oczekiwać raczej od człowieka samotnego niż obciążonego rodziną.

— Jeśli zobowiązę się do zachowania tajemnicy, to może pan całkowicie polegać na moim słowie. — Gdy to mówiłem, pułkownik mierzył mnie kamiennym, niesamowitym spojrzeniem. Brr! Chyba jeszcze nigdy nie czułem na sobie tak badawczego i przenikliwego spojrzenia.

— A więc przyrzeka pan? — rzekł wreszcie.

— Tak! Przyrzekam!

— Całkowite i bezwzględne milczenie? Teraz i w przyszłości? Ani słowa na ten temat, ani żadnej pisaniny? Przecież dałem już panu moje słowo!

— A więc zgoda! — Poderwał się nagle, i przebiegł jak strzała przez pokój i gwałtownie otworzył drzwi. Korytarz był pusty. — Wszystko w porządku! Pracownicy nieraz interesują się

nadmiernie sprawami swych pracodawców. Teraz już możemy mówić swobodnie. — Przysunął swoje krzesło blisko do mojego i znów począł przewiercać mnie badawczym spojrzeniem.

Stopniowo dziwaczne zachowanie tego chudego człowieka poczęło budzić we mnie coraz to większą odrazę i obawę. Było w nim bowiem prócz kabotyństwa coś, co wywoływało niepokój. Nawet obawa przed utratą klienta nie mogła mnie powstrzymać od okazania ogarniającego mnie zniecierpliwienia.

— Proszę, niech pan przedstawi swoją sprawę, bo naprawdę tracimy czas niepotrzebnie. — Słowa te wyrwały mi się nieopatrznie. Bardzo się nimi zaniepokoiłem,

— Czy odpowiada panu 50 gwinei za pracę nocną. ?

— Ależ to wspaniale!

— Wspomniałem o pracy nocnej. Ale będzie to zaledwie kilka godzin. Chodzi po prostu o zbadanie hydraulicznej prasy drukarskiej, która się popsowała. Wystarczy, że wskaże nam pan uszkodzenie, a my już sami ją naprawimy. Co pan sądzi o tej robocie?

— Praca lekka, a zapłata sowita.

— Doskonale! Będę więc oczekiwał pana przyjazdu tej nocy ostatnim pociągiem.

— A gdzie?

— W Eyford... w hrabstwie Berkshire. Jest to maleńka miejscowość na pograniczu hrabstwa Oxfordshire W odległości siedmiu mil od Reading. Pociąg z Paddington przychodzi tam o godzinie 23. 15.

— Świetnie!

— Przyjadę po pana powozem.

— A więc trzeba tam jeszcze dojechać końmi?

— Nasza siedziba leży całkiem na uboczu. Znajduje się ona o dobre siedem mil od stacji Eyford.

— Och! To przed północą chyba tam nie dojedziem. Wydaje mi się, iż nie będę miał pociągu powrotnego. Zmusi mnie to do zatrzymania się na noc.

— Tak jest! A więc zanocuje pan u nas.

— Ależ to sprawi państwu dużo kłopotu. Czy nie mógłbym raczej przyjechać o jakiejś stosowniejszej porze?

— Nie ma o czym mówić! To już postanowione! Właśnie najlepiej będzie, jeśli przyjedzie pan późnym wieczorem. Celem wynagrodzenia panu wszelkiego rodzaju niedogodności dajemy młodemu i nie znanemu inżynierowi zapłatę godną najlepszych specjalistów. Jeśli zaś panu to nie odpowiada, to oczywiście nie nalegam! Pomyślałem o 50 gwineach i o ich znaczeniu dla mnie.

— Ależ nie — odrzekłem — z prawdziwą przyjemnością zastosuję się do pańskich życzeń. Chciałbym jednak zorientować się dokładniej, czego właściwie pan ode mnie żąda?

— Naturalnie! Wcale się nie dziwię. Przyrzeczenie dochowania tajemnicy podnieca pana ciekawość. Nie mam zamiaru polecać panu czegokolwiek bez uprzedniego zaznajomienia go z całokształtem sprawy. Przypuszczam, że nikt nas tu nie podsłuchuje?

— Z całą pewnością!

— A więc sprawa przedstawia się następująco. Jak pan się z pewnością orientuje, ziemia fulerska jest cennym i poszukiwanym surowcem. Występuje ona na terenie Anglii w jednym lub najwyżej w dwu miejscach.

— Słyszałem o tym.

— Otóż niedawno zakupiłem niewielką posiadłość zupełnie maleńką, w odległości 10 mil od Reading. Szczęście uśmiechnęło się do mnie. Odkryłem mianowicie na jednym z pól złoża ziemi fulerskiej. Po bliższym zbadaniu okazało się jednak, iż złoża te nie są zbyt bogate i stanowią

jedynie połączenie pomiędzy dwoma innymi, znacznie zasobniejszymi. Natomiast właściwe pokłady ziemi fulerskiej znajdowały się u moich sąsiadów. Ci poczciwcy nie podejrzewali nawet, że ich grunty kryją coś, co jest niemal tak cenne jak złoto. Oczywiście w moim interesie leżało, aby nabyć tę ziemię, zanim oni odkryją jej prawdziwą wartość. Niestety, nie miałem na to dostatecznych funduszy. Wtajemniczyłem więc w tę sprawę kilku moich przyjaciół. Oni to właśnie poddali mi myśl, iż powinniśmy po cichu eksploatować nasze złoża. W ten sposób uzyskalibyśmy pieniądze na zakup sąsiednich terenów. Do chwili obecnej pracujemy więc z zachowaniem najściślejszej tajemnicy. Dla usprawnienia naszej działalności zainstalowaliśmy prasę hydrauliczną. Prasa ta, jak poprzednio wyjaśniłem, popsuła się. W związku z tym potrzebujemy pańskiej porady. Strzeżemy oczywiście naszej tajemnicy jak oka w głowie. Gdyby rozeszła się wiadomość, iż do naszego domku sprowadziliśmy inżyniera–hydraulika, to ludzie poczęliby interesować się tym i wszystko mogłoby wyjść na jaw. Wówczas utracilibyśmy bezpowrotnie możliwość nabycia terenów i urzeczywistnienia naszych planów. Dlatego też wymagałem przyrzeczenia, iż nikomu nie wspomni pan nawet o swej dzisiejszej podróży do Eyford. Teraz, mam nadzieję, wszystko jest jasne!?

— Całkowicie pana rozumiem — odpowiedziałem. — Jedno tylko wydaje się niejasne, a mianowicie: do czego właściwie służy prasa hydrauliczna przy wydobywaniu ziemi fulerskiej? O ile wiem, leży ona w głębi ziemi i trzeba ją wykopywać jak żwir.

— Ach — rzekł beztrosko pułkownik. — Stosujemy własną metodę wydobywania. Prasujemy ziemię w cegły, aby za maskować, co ona w sobie kryje. Zresztą to nieważne! Zaznajomiłem pana z całą moją tajemnicą! To chyba najlepszy dowód mego zaufania. — Wstał kończąc. — Oczekuję więc pana w Eyford o godzinie 23.15.

— Będę tam na pewno!

— Nikomu ani słowa! — Jeszcze raz przeszył mnie przeciągłym badawczym spojrzeniem. Ucisnął chłodno mą dłoń, co miało oznaczać podziękowanie... i pospieszenie opuścił pokój.

Dopiero po jakimś czasie ochłonąłem z pierwszego wrażenia. Zacząłem się spokojnie zastanawiać nad całą tą sprawą. Opanowało mnie jakieś dziwne uczucie. Niespodziewane zamówienie pułkownika wywołało u mnie rozterkę wewnętrzną. Z jednej strony byłem zadowolony z wynagrodzenia, gdyż przewyższało ono przecież dziesięciokrotnie normalną cenę za tego rodzaju usługi. Ponadto miałem jeszcze nadzieję na dalszą współpracę. Z drugiej jednak strony cały wygląd i zachowanie się mojego klienta wywarły na mnie zdecydowanie ujemne wrażenie, zaś jego mętne wyjaśnienia o ziemi fulerskiej wcale nie przekonały mnie o konieczności tajemniczej wyprawy wśród nocy. Ach, jakież on był niespokojny, chociaż starał się opanować! To właśnie wzbudziło we mnie nieprzepartą chęć porozmawiania z kimkolwiek i podzielenia się wątpliwościami. W końcu odrzuciłem jednak od siebie podejrzenia. Zjadłem gorącą kolację i udałem się do Paddington, skąd ruszyłem w podróż.

Tak więc zdecydowałem się dochować tajemnicy. W Reading musiałem się przesiąść. Trzeba było iść na inny dworzec. Zdażyłem jednak na ostatni pociąg do Eyford. Wsiadłem na małej, źle oświetlonej stacji po godzinie jedenastej w nocy. Byłem jedynym podróżnym, który tam przybył. Na peronie nie zauważyłem nikogo prócz zaspanego tragarza z latarnią. Gdy jednak wychodziłem z dworca natychmiast natknąłem się na mojego znajomego. Czekał ukryty w cieniu po drugiej stronie ulicy. Bez słowa chwycił mnie za ramię i szybko wepchnął przez otwarte drzwiczki do powozu. Zasłonił okna po obu stronach i zapukał mocno w drewnianą ściankę na stangreta. Ruszyliśmy co koń wyskoczy...

— Jeden koń? — spytał Holmes.

— Tak! Tylko jeden!

— Czy zdażył pan zauważyć, jakiej był maści?

— Owszem! Spozrzegłem to, gdy wsiadałem do powozu, w świetle latarni padającym z boku. Był to kasztan.

— Czy wyglądał na zmęczonego, czy wypoczętego? — Wydawał się zupełnie świeży i lśniący.

— Dziękuję panu! Przykro mi, że przerwałem. Proszę, niech pan ciągnie dalej swą ciekawą opowieść.

Pojechaliśmy więc... Jazda trwała chyba co najmniej godzinę. Pułkownik Lizander Stark zapewniał mnie, iż miało to być 7 mil. Osobiście jednak jestem zdania, sądząc po szybkości, z jaką pędziliśmy, i czasie, jaki podróż pochłonęła, że musiało to być około 12 mil. Pułkownik siedział obok mnie i milczał jak zaklęty przez całą drogę.

W pewnej chwili poczułem się jakoś nieswojo. Ilekroć rzuciłem okiem w jego stronę, napotykałem badawcze spojrzenie.

Wiejskie drogi okolicy, którą mijaliśmy, były wyboiste. Rzucalo i trzęsło wprost niemożliwie. Chciałem wyrzucić przez okno, by zorientować się, dokąd jedziemy. Niestety, matowe szyby zasłaniały widok. Czasem tylko błyskały światła napotykaných latarni. Od czasu do czasu próbowałem rzucić taką czy inną uwagę, by urozmaicić nudną podróż, pułkownik jednak zbywał półsłówkami moje usiłowania i... rozmowa zamierała. Wreszcie skończyły się wyboje wiejskiego gościńca. Wjechaliśmy w aleję wysypaną żwirem, a po chwili powóz stanął. Pułkownik Stark wyskoczył pierwszy. Poszedłem za jego przykładem. Pociągnął mnie żywo w kierunku wejścia do budynku stojącego przed nami otworem. Wysiedliśmy z prawej strony powozu, zupełnie na wprost drzwi i dlatego nie zdążyłem dokładnie przyjrzeć się frontowi domu. Skoro tylko przekroczyliśmy próg, drzwi głucho zatrzasnęły się za nami. Usłyszałem jeszcze turkot oddalającego się powozu...

Wewnątrz domostwa panowały ciemności. Pułkownik mruczając pod nosem szukał po kieszeniach zapalek. Nagle otwarto drzwi na drugim końcu korytarza. Strumień jasnego światła spływał w naszym kierunku. Stopniowo poszerzał się, wreszcie ujrzeliśmy kobietę niosącą lampę. Szła z głową poddaną ku przodowi, bacznie się nam przyglądając. Stałem jak olśniony. Była uderzająco piękna. Ciemna, bogata suknia mieniła się w blasku lampy... Powiedziała kilka słów w obcym języku tonem pełnym zdziwienia. Pułkownik zbył ją opryskliwym burknięciem. Spłoszyła się wówczas... zadrżała i niewiele brakowało, a lampa wypadłaby jej z ręki. Stark podszedł do niej i szepnął jej coś do ucha, w końcu popchnął z powrotem do pokoju, skąd przysła. Po chwili wrócił do mnie z lampą.

— Może pan, z łaski swej, poczeka w tym pokoju kilka minut. — rzekł otwierając inne drzwi. Znajdowałem się w niewielkim pomieszczeniu urządzonej bez smaku. Na środku stał okrągły stół. Leżało na nim w nieładzie kilka niemieckich książek. Stark postawił lampę na fisharmonii, umieszczonej obok wejścia. — Nie będzie pan długo czekał — powiedział i zniknął w ciemnościach.

Rzuciłem okiem na książki znajdujące się na stole. Nie znam, co prawda, dobrze języka niemieckiego, zorientowałem się jednak, iż dwie z nich są traktatami naukowymi, a reszta tomikami poezji. Następnie podszedłem do okna. Spodziewałem się bowiem, że będę mógł zorientować się jakoś w okolicy. Niestety, przeszkodziła temu szczelnie zaryglowana okiennica. W całym domu panowała głucha cisza. Jedynie gdzieś w głębi korytarza rozlegało się miarowe tykanie starego zegara. Stopniowo począł mnie ogarniać coraz to silniejszy niepokój. Kim właściwie są ci Niemcy? I co oni tu robią w tym dziwnym, położonym na pustkowiu domostwie? A w ogóle gdzie właściwie ten dom się znajduje? Chyba tylko 10 mil od Eyford — pomyślałem. — Ale w jakim kierunku? O tym nie miałem najmniejszego pojęcia. Być może, iż Reading, a także jakieś inne większe miejscowości leżą po drodze. W takim wypadku dom nie mógł być na

puszku. Panująca wokół cisza świadczyła o tym, iż musiałem się chyba znajdować na wsi. Począłem przechadzać się po pokoju, nucąc pod nosem dla dodania sobie odwagi. Stopniowo doszedłem do wniosku, że nie będzie prostą sprawą zarobić tych 50 gwinei.

Nagle drzwi pokoju uchyliły się bezszelestnie, nie mącąc głębokiej ciszy, w jakiej dom był pogrążony. Na tle ciemnego przedpokoju ukazała się piękna nieznajoma, którą spotkałem przedtem w korytarzu. Niepokój malował się na jej twarzy. Była czymś wyraźnie wstrząśnięta i przerażona. Od razu rzuciła się to w oczy. Jej niepokój udzielił się również i mnie. Położyła ostrzegawczo palec na ustach. Niepewnie rozejrzała się dokoła, a wreszcie wyrzuciła z siebie kilka urywanych słów łamaną angielszczyzną:

— Muszę stąd odejść!

Z trudem starała się opanować. Tak mi się przynajmniej zdawało.

— Odejdę stąd! Tak! Nie powinnam tu zostać! A pana też tu nic dobrego nie czeka.

— Ależ pani — odparłem. — Ja przecież jeszcze nie wykonałem pracy, która mnie tu sprowadziła. Nie mogę stąd odejść, dopóki nie zobaczę maszyny.

— Po co pan czeka? To nie ma sensu! Teraz jeszcze może pan opuścić bez przeszkód to miejsce...

Uśmiechnąłem się niedowierzająco, poruszając przecząco głową. Wówczas straciła pozorny spokój. Postąpiła krok naprzód i szepnęła błagalnie, załamując ręce:

— Na miłość boską! Niech pan ucieka, póki nie jest za późno.

Ale ja jestem z natury uparty — rzekł dla wyjaśnienia do Holmesa — i tym mocniej utwierdzam się w postanowieniu, im większe na swej drodze napotykam przeszkody. Pomyślałem o 50 gwineach, o męczącej podróży i według wszelkiego prawdopodobieństwa nieprzyjemnej nocy. I to wszystko miałoby pójść na marne!? Miałbym uciec stąd chyłkiem jak złodziej? Nie wykonać zlecenia i nie otrzymać zapłaty? Ejże?! A może ta piękna dama jest niespełna rozumu... ? Chociaż więc zachowanie jej wstrząsnęło mną mocniej, niż to po sobie okazywałem, w rezultacie nie dałem się przekonać. Odmownie potrząsnąłem głową, zdecydowany pozostać na miejscu. Chciała ponowić swe prośby, gdy wtem gdzieś u góry trzasnęły drzwi. Na schodach usłyszeliśmy odgłos kroków. Nieznajoma nasłuchiwała chwilę w napięciu. Potem rozłożyła ręce gestem rozpaczony i znikła tak nagle i bezszelestnie, jak się zjawiała.

Nadszedł pułkownik Stark z jakimś niskim mężczyzną noszącym bokobrody. Przedstawił go jako Mr. Fergussona.

— Oto mój sekretarz i kierownik robót zarazem — rzekł pułkownik. — Ale cóż to? Drzwi otwarte? Zaraz, zaraz! Wydaje mi się, iż wychodząc zamknąłem drzwi. Czy nie dokuczał panu przeciąg?

— Wręcz przeciwnie! — odrzekłem. — Otworzyłem drzwi, gdyż było mi duszno.

Stark spojrział na mnie podejrzliwie.

— Ech! Lepiej chyba będzie, jeśli od razu przystąpimy do interesu — powiedział. — Razem z panem Fergussonem pokażemy panu maszynę.

— Świetnie! Już idę, tylko włożę kapelusz!

— Ach! Nie potrzeba! Maszyna znajduje się tu w domu.

— Co? Wydobywa pan ziemię fulerską w mieszkaniu?

— Nie, nie! Tutaj tylko... sprasowujemy ją. Zresztą Co to pana obchodzi?! Od początku stawiałem sprawę jasno! Do pana należy jedynie wykrycie uszkodzenia mechanizmu prasy. I koniec.

Udaliśmy się po schodach na piętro. Prowadził pułkownik z lampą w ręku, zaś gruby kierownik robót i ja postępowaliśmy za nim. Stare domostwo stanowiło prawdziwy labirynt korytarzy, przejść i wąskich a krętych klatek schodowych, oraz niewielkich alków i pokoików,

nie zamieszkałych od pokoleń. Nie było tam ani dywanów, ani w ogóle śladu jakichkolwiek mebli. Miejscami tynk odpadał ze ścian. Widniały tam zielone plamy wilgoci i pleśni. Staralem się zachować całkowity spokój. Nie zapomniałem jednak o ostrzeżeniach pięknej nieznajomej i chociaż nie usłuchałem jej, to jednak bacznie obserwowałem mych towarzyszy. Fergusson wyglądał na człowieka posępnego i małomównego. Z kilku słów, jakie ze sobą zamieniliśmy, zorientowałem się, iż jest stałym mieszkańcem tej okolicy.

Wreszcie pułkownik Stark zatrzymał się przed niskimi drzwiami. Otworzył je. Ujrzałem maleńką komórkę, w której nas trzech ledwo mogłoby się pomieścić, Fergusson pozostał na zewnątrz, a pułkownik wprowadził mnie do środka.

— Znajdujemy się — objaśnił mnie — we wnętrzu prasy

hydraulicznej. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby ktoś puścił ją w ruch. Powąta tego małego pokoiku stanowi zakończenie ruchomego tłoka, który, obniżając się ku tej oto metalowej podłodze, ciśnie na nią z siłą wielu ton. Rurami, znajdującymi się na zewnątrz, dochodzi woda poruszająca tłok maszyny na znanej panu zasadzie. Maszyna działa dość sprawnie. Dopiero ostatnio zaczęła się zacinać i moc jej wyraźnie się zmniejszyła. Tak! No, a teraz może będzie pan łaskaw obejrzeć ją i Wskazać nam sposób naprawy?

Wziąłem od niego lampę i dokładnie obejrzałem prasę hydrauliczną. Rzeczywiście była to potężna maszyna o gigantycznej mocy. Wszedłem na górę. Nacisnąłem dźwignie kontrolne prasy. Po świszczącym odgłosie wydobywającym się z maszyny, od razu zorientowałem się, co się stało. To boczne cylindry są nieszczelne i przepuszczają wodę. Dokładnie zbadałem mechanizm. Jedna z uszczeltek gumowych otaczających wał kotłowy Wytarła się do tego stopnia że nie przylegała ściśle do ścian komory. Dlatego właśnie maszyna traciła swą moc. Podzieliłem się tymi spostrzeżeniami ze Statkiem i Fergussonem. Słuchali mnie bardzo uważnie i zadawali cały szereg pytań, dotyczących sposobu naprawy maszyny. Kiedy Wszystko już wyjaśniłem, wszedłem ponownie do pokoiku, stanowiącego wnętrze prasy hydraulicznej. Jeszcze raz przyjrzałem się jej dokładnie, aby zaspokoić swą ciekawość. Od chwili, gdy ujrzałem prasę, byłem przekonany, że cała historia o ziemi fulerskiej była tylko bajeczką. Niedorzeczne nawet było samo przypuszczenie, iż tak silną i potężną maszynę można przeznaczyć do tak nieodpowiedniego i błędnego żądania. Ściany prasy były co prawda drewniane, lecz podłoga żelazna, Dokładnie oglądałem tę podłogę. Zauważyłem teraz, na całej powierzchni jakiś zaskorupiały osad metalowy. Pochyliłem się i począłem zdrapywać osad, aby go potem szczegółowo zbadać, gdy wtem usłyszałem przytłumiony, chrapliwy okrzyk... chyba po niemiecku. Poderwałem się i... ujrzałem pułkownika. Stał jak wryty, wpijając się we mnie niesamowitym Wzrokiem, a potworny grymas wykrzywił jego chudą twarz.

— Co pan tam robi? — zapytał.

Byłem oburzony. Wprowadził mnie przecież w błąd zmyśloną historyjką. Toteż odparłem gniewnie.

— Podziwiam pańską ziemię fulerską. Sądzę, iż mógłbym służyć lepszą radą, gdybym wiedział, do jakiego celu służy naprawdę ta maszyna.

W tej samej jednak chwili, gdy wyrzuciłem z siebie te słowa, pożałowałem swej gwałtowności. Rysy jego stwardniały, a w stalowych oczach zabłyśły złowrogi ogniki.

— Oczywiście! Powinien pan dokładniej zapoznać się z maszyną. — Cofnął się o krok, zatrzasnął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. Rzuciłem się ku wyjściu i począłem szarpać za kłamkę. Nadaremno! Nie pomogło również gwałtowne dobijanie się. Drzwi ani nie drgnęły. Począłem krzyczeć: Halo! Halo! Pułkowniku! Niech mnie pan wypuści!!!

Wówczas usłyszałem nagle odgłos, który zmroził mi krew w żyłach. Głucho szcęknęła dźwignia, a z nieszczelnej komory tłokowej wydobywał się złowrogi, syczący poświst. To Stark

puścił w ruch maszynę, w której wnętrzu zostałem zamknięty. W świetle stojącej na podłodze lampy ujrzałem czarny pułap. Obniżał się powoli i nierównomiernie. Nikt też lepiej, ode mnie nie mógł wiedzieć, że siła ta jest w stanie zmiążyć mnie w ciągu jednej minuty na bezkształtną masę. Ponownie rzuciłem się z krzykiem do drzwi. Wpiłem się w nie kurczowo. Zaklinałem pułkownika, by mnie wypuścił. Lecz szcęk dźwigni zagłuszył moje krzyki. Była to jedyna odpowiedź. Pułap znajdował się już o stopę lub dwie od mej głowy. Bez trudu dosięgnąć mogłem ręką jego twardej i szorstkiej powierzchni. Przyszło mi na myśl, iż ból, którego doznałbym w chwili śmierci, zależeć będzie w dużym stopniu od pozycji, w jakiej się będę znajdował. Gdybym się położył na brzuchu to tłok prasy przygniótłby mi kręgosłup i... nastąpiłby krótki, straszliwy trzask. Wzdrygnąłem się na samą myśl o tym. Przypuśćmy zatem, iż położyłbym się na plecach. Czyż miałbym dość spokoju, by patrzeć na czarny pułap, zniżający się ku mnie stopniowo lecz nieuchronnie? Metalowy pułap dotknął już mej głowy... Musiałem się pochylić... Wtem zauważyłem coś, co natchnęło mnie otuchą, budząc nikły promień nadziei.

Jak już wspomniałem, sufit i podłoga były żelazne a ściany drewniane. W jednej ze szczelin między deskami zauważyłem smugę światła, która stopniowo poszerzała się. Wydawało się, jakby część ściany wypchnięto. W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć swemu szczęściu. Droga ratunku stała przede mną otworem. Rzuciłem się gwałtownie w tajemnicze przejście, lecz zaraz za progiem padłem na wpół omdlały. Tafla zasunęła się za mną... a więc była to już ostatnia chwila. Zaraz potem doszedł mnie zgrzyt i trzask tłuczonej lampy naftowej, a następnie metaliczny łoskot... Ruchomy pułap prasy hydraulicznej uderzył o posadzkę.

Odzyskałem przytomność. Ktoś gwałtownie szarpał mnie za przegub ręki. Leżałem na kamiennej podłodze wąskiego korytarza, nade mną zaś pochylała się piękna kobieta. Lewą ręką usiłowała mnie z wielkim trudem odciągnąć, od maszyny, w prawej zaś trzymała lampę. Była to ta sama tajemnicza i dobra nieznajoma, której ostrzeżenie tak nierozsądnie zlekceważyłem..

— Prędeży! Prędeży! — wołała bez tchu. — Oni zaraz odkryją, iż pana tam nie ma. Będą tu za chwilę. Och! Nie traćmy cennego czasu! Uciekajmy!

Teraz już bez wahania zastosowałem się do jej wskazówek. Dźwignąłem się z ziemi... Pobiegliśmy pędem przez korytarz i dalej w dół krętymi schodami, aż wreszcie znaleźliśmy się w szerokim przejściu. W tym momencie doszły nas odgłosy gorączkowej bieganiny i nawoływania. Słysząc je było na naszym piętrze i na dole. Moja przewodniczka zatrzymała się i rozejrzała wokół bezradnie. Wreszcie otworzyła drzwi do sypialni. Przez okno wpadał jasny blask księżyca, oświetlając cały pokój.

— Oto ostatnia szansa! — powiedziała przerywanym głosem. — Stąd jest wysoko, ale może się panu uda zeskoczyć.

Gdy to mówiła, na drugim końcu korytarza błysnęło światło... i ujrzałem chudą postać pułkownika. Biegł trzymając w jednym ręku latarnię, a w drugim jakieś wielkie obcegi. W kilku skokach byłem przy oknie. Otworzyłem je na oścież i wyrzałem. Ogród tonał w łagodnej poświacie księżycowej. Panowała tu głęboka cisza i niezmacony spokój. Okno znajdowało się na wysokości najwyższej trzydziestu stóp. Byłem już na parapecie, zawahałem się jednak przed skokiem. Wtedy właśnie usłyszałem gwałtowną sprzeczkę pomiędzy moją wybawicielką a łotrem, który mnie ścigał. Zdecydowany byłem oczywiście przyjść jej z pomocą, jeśliby tylko zagrażało jej najmniejsze chociaż niebezpieczeństwo. Pułkownik ukazał się w drzwiach... Chciał ją wyminąć, lecz chwycił go nagle oburącz i usiłowała zatrzymać.

— Fryc! Fryc! Przypomnij sobie swą ostatnią obietnicę — wołała łamaną angielszczyzną. — Przysiękłeś, że to się już więcej nie powtórzy. Och! On będzie milczał! Na pewno dochowa tajemnicy.

— Czyś ty oszalała, Elizo? — krzyknął, starając się od niej uwolnić. — Chcesz nas zrujnować?! On widział zbyt wiele! Puść mnie, mówię ci! — Odepchnął ją gwałtownie. Skoczył błyskawicznie do okna. Byłem już na zewnątrz... Wisiałem jeszcze, kurczowo trzymając się parapetu, gdy spadł na mnie cios Starka. Uczulem okropny, tępy ból. Rozluźniłem uchwyt i runąłem w dół do ogrodu. Doznałem silnego wstrząsu, lecz poza tym od upadku nie ucierpiałem. Podniosłem się i ruszyłem pędem poprzez krzaki i zarośla ogrodu tak szybko, jak tylko mogłem. Doskonale rozumiałem, iż niebezpieczeństwo nadal mi zagraża. Nagle ogarnęła mnie dziwna słabość. Spojrzałem na rękę. Przenikał mnie ostry pulsujący ból. Teraz dopiero zorientowałem się, iż odcięto mi duży palec. Z rany buchała krew. Zdażyłem tylko owinąć ją chusteczką. W uszach poczęło mi dzwonić. W następnej chwili padłem nieprzytomny wśród różanych krzewów.

Nie mogę bliżej określić, jak długo znajdowałem się w tym stanie. Musiało to jednak trwać kilka godzin. Gdy wreszcie się ocknałem, świtało... Odzież całkowicie przemokła mi od rosy, rękaw marynarki był zboczony krwią. Ostry ból zranionej ręki przypomniał mi natychmiast wszystkie przeżycia ostatniej nocy. Zerwałem się gwałtownie z silnym uczuciem grożącego mi niebezpieczeństwa ze strony tajemniczych prześladowców. Lecz ku memu zdziwieniu, gdy począłem się wokół rozglądać, nie znalazłem ani domu, ani ogrodu. Znajdowałem się przy jakimś żywopłocie. W pobliżu wysokiego nasypu biegł gościniec. Dalej stał długi budynek. Zbliżyłem się doń. Był to dworzec kolejowy, na który nocą przybyłem...

Gdyby nie dokuczliwa rana, mógłbym wszystko, co spotkało mnie tej nocy, uważać za koszmarny sen. Jeszcze półprzytomny udałem się na stację, by dowiedzieć się o ranny pociąg. Odchodził on do Reading za niespełna godzinę. Służbę pełnił ten sam bileter, którego widziałem nocą po przyjeździe. Zapytałem go, czy nie wie czegokolwiek o pułkowniku Stark. Nie znał nawet tego nazwiska. Czy zauważył pojazd, który czekał na mnie tej nocy? Nie! Nie widział! Czy jest gdzieś w pobliżu posterunek policji? Owszem, w odległości trzech mil.

Było to zbyt daleko dla mnie, osłabionego i chorego. Postanowiłem poczekać, wrócić do miasta i wówczas zawiadomić policję. Było nieco po szóstej, gdy dotarłem do Londynu. Tu przede wszystkim zatroszczyłem się o opatrunek, a następnie... doktor był na tyle uprzejmy, że przyprowadził mnie do pana. Teraz oddaję sprawę w pańskie ręce i będę tak postępował, jak mi pan poleci.

Po wysłuchaniu niezwyklej opowieści Hatherleya przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wywołała ona w nas silne wrażenie. Następnie Sherlock Holmes wyciągnął z etażerki jedną ze swych ciężkich, zniszczonych książek, w których przechowywał różne notatki i wycinki z gazet.

— Oto ogłoszenie, które z pewnością pana zainteresuje — powiedział. — Ukazało się ono przed rokiem we wszystkich pismach. Niech pan uważnie posłucha: *Dnia dziewiątego bieżącego miesiąca Zaginął Mr. Jeremiah Hayling, inżynier hydraulic, lat 26. Opuścił swe mieszkanie w nocy o godzinie 10 i od tej chwili wszelki ślad po nim zaginął. Był ubrany...* i tak dalej. No cóż? Przypuszczam, iż chodzi tu o poprzednią naprawę maszyny pułkownika.

— Wielkie nieba! — krzyknął mój pacjent. — To przecież wyjaśnia słowa tajemniczej nieznajomej.

— Bez wątpienia — rzekł Holmes. — Pułkownik, to okrutny i pozbawiony skrupułów przestępca. Był zdecydowany na usunięcie każdej przeszkody ze swej drogi. Zachowanie jego przypomina znanych z opowieści zdeterminowanych, dzikich piratów, którzy po zdobyciu okrętu nie pozostawiali nikogo przy życiu. Lecz teraz do dzieła! Każda chwila jest droga! Skoro czuje się pan na siłach, chodźmy natychmiast do Scotland Yardu, a potem w drogę do Eyford.

Mniej więcej po trzech godzinach znaleźliśmy się wszyscy w pociągu, podążającym z Reading do małej miejscowości w hrabstwie Berkshire. Wśród nas był Sherlock Holmes,

inżynier–hydraulik, inspektor Bradstreet ze Scotland Yardu, jeszcze jakiś cywil i ja. Bradstreet rozłożył mapę okolicy na ławce i starannie wykreślił cyrklem koło, w środku którego znajdowało się Eyford.

— Zdarzyło się to chyba gdzieś w tej okolicy — powiedział. — Krąg zakreśliłem promieniem dziesięciomilowym. Miejsce, którego szukamy, musi się znajdować w pobliżu narysowanej na mapie linii. Zdaje mi się, że pan coś wspominał o dziesięciu milach, nieprawdaż?

— Była to godzina szybkiej jazdy.

— Czyżby wieźli pana nieprzytomnego taki szmat drogi z powrotem?

— Chyba tak zrobili... Ale nie przypominam sobie, aby mnie ktoś podnosił i wiozł.

— Jednego nie mogę zrozumieć — powiedziałem. — Dlaczego zostawili pana przy życiu po znalezieniu go bez przytomności w ogrodzie? Czyżby ten łajdak uległ błaganiom pana tajemniczej nieznajomej?

— Bardzo w to wątpię. Nigdy w życiu nie spotkałem tak nieubłaganego i zaciętego człowieka.

— Ech! Niedługo wszystko się wyjaśni — powiedział Bradstreet. — Oto koło zakreślone na mapie. Teraz chcę tylko wiedzieć, gdzie znajdują się ludzie, których szukamy?

— Wydaje mi się, iż punkt ten mogę wskazać — powiedział spokojnie Holmes.

— Co takiego?! — krzyknął inspektor. — Pan już rozwiązał zagadkę? Proszę bardzo! Zobaczmy, kto ma rację. Ja twierdzę, że jest to na południu, ponieważ w tamtej okolicy leżą pustkowia.

— A ja przypuszczam, iż na wschodzie — powiedział mój pacjent.

— Raczej na zachodzie — zauważył cywil — bo tam właśnie znajduje się kilka małych wiosek.

— Moim zaś zdaniem na północy — dodałem — ponieważ nie ma tam żadnych pagórków. Według opowiadania inżyniera powóz jechał równiną, nie pokonując żadnych wzniesień.

— Ależ to paradne! — krzyknął inspektor, śmiejąc się serdecznie. Co za wspaniała rozbieżność zdań! Podzieliliśmy się stronami świata.

— A jakie jest pańskie zdanie, Mr. Holmes?

— Wszyscy jesteście w błędzie!

— To niemożliwe! Wszyscy przecież nie możemy się mylić!

— A jednak tak jest! Tu, moim zdaniem, znajduje się miejsce, którego szukamy — i umieścił palec w samym środku koła. — Tam powinniśmy ich znaleźć.

— A jak pan wytłumaczy dwunastomilową jazdę? — wyrzucił bez tchu Hatherlay.

— Sześć mil w jedną stronę i sześć z powrotem. Nie prostsze. Pan nam przecież powiedział, iż koń był świeży i lśniący, gdy wsiadaliście do powozu. Czyż byłoby to możliwe, gdyby zrobił przedtem 12 mil po ciężkich drogach?

— Rzeczywiście! Cóż to za chytry podstęp! — zauważył Bradstreet w zadumie. — Naturalnie, nie ma żadnej wątpliwości co do rodzaju przestępstwa i całej tej szajki.

— Oczywiście — powiedział Holmes. — To byli fałszerze pieniędzy na wielką skalę. Posługiwali się maszyną do wybijania monet ze specjalnego stopu mającego zastąpić srebro.

Już od pewnego czasu otrzymywaliśmy wiadomości o działaniu jakiejś sprytniej bandy. Puszczali oni w obieg tysiące fałszywych półkoronówek. Prowadząc śledztwo, dotarliśmy do okolic Reading. Dalej jednak ślady ginęły. Potrafili oni tak umiejętnie je za sobą zacierać, jak tylko potrafiały to czynić doświadczeni przestępcy. Przypuszczam jednak iż tym razem szczęście się do nas uśmiechnęło. Wpadną nam chyba w ręce.

Inspektor się jednak pomylił. Nie było bowiem Sądzone, by przestępcy ci wpadli w ręce sprawiedliwości. Gdy pociąg wtoczył się na stację Eyford, ujrzyliśmy olbrzymi słup dymu, który

wydobywał się spoza niewielkiej kępy drzew rosnących nie opodal i wisiał nad okolicą na podobieństwo pióropusza ze strusich piór.

— Cóż to za pożar? Czy to dom się pali? — zapytał Bradstreet dyżurnego, gdy pociąg stanął.

— Tak, sir! — odpowiedział dyżurny ruchu.

— Kiedy to się stało?

— Jak słyszałem, w ciągu nocy. Później ogień rozszerzył się i objął całe domostwo.

— A kto jest właścicielem tego domu? — Doktor Becher.

— Niech pan mi powie — wtrącił inżynier — czy ten dr Becher nie jest przypadkiem Niemcem? Takim bardzo szczupłym o szpiczastym nosie?

— Nie, proszę pana — zaśmiał się dyżurny. — Dr Becher jest Anglikiem, Nie ma też w całej okolicy nikogo, kto by z większym trudem mieścił się w swej kamizelce. Ale zatrzymał się u niego pewien pan, jak przypuszczam, pacjent. Jest on cudzoziemcem i wygląda jakby stale nie dojadał.

Ledwo dyżurny skończył mówić, a już spieszyliśmy w kierunku pożaru. Droga pięła się po łagodnej pochyłości ku szczytowi niewielkiego pagórka. Stał tam duży biały budynek, otoczony licznymi przybudówkami. Ze wszystkich okien, otworów i szczelin buchał dym i ogień. W ogrodzie stały trzy wozy straży pożarnej. Daremnie jednak usiłowano stłumić płomienie.

— To właśnie tu! — krzyknął podniecony Hatherley.

— O, tam jest zajazd wysypany żwirem, a tu rosną krzaki róży, w których leżałem zemdlony. Z tego oto drugiego z rzędu okna wyskoczyłem.

— No, przynajmniej odwzajemnił mu się pan z nawiązką. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że drewniane ściany zapaliły się od pozostawionej przez pana lampy naftowej, zgniecionej przez prasę. Pańscy prześladowcy zbyt byli pochłonięci pościgiem, dlatego też nie spostrzegli w porę grożącego niebezpieczeństwa. I oto skutki... Teraz niech pan przyjrzy się uważnie tłumowi i szuka swych „znajomych” z ostatniej nocy. Obawiam się jednak bardzo, że znajdują się oni w tej chwili o dobre sto mil od nas.

Obawy Holmesa potwierdziły się w całej pełni. Od tego bowiem dnia wszelki słuch zaginął o pięknej nieznajomej, złowrogim Niemcu i grubym Angliku. Wczesnym rankiem jakiś wieśniak spotkał wóz, załadowany po brzegi skrzyniami, na którym znajdowało się ponadto kilka osób. Wóz ten jechał z dużą szybkością w kierunku Reading. Tam jednak wszelkie ślady po uciekinierach znikły. Nawet geniusz Holmes nie był w stanie ustalić choćby z minimalną dozą prawdopodobieństwa miejsca ich pobytu.

Strażaków bardzo zainteresowały dziwne urządzenia, które znaleźli wewnątrz domu, a jeszcze więcej odcięty ludzki palec, leżący pod parapetem okna na drugim piętrze.

O zachodzie słońca, dzięki wysiłkom strażaków ugaszono pożar. Dom jednak już się zawalił. Za wyjątkiem kilku skręconych wskutek wielkiego żaru tłoków i rur żelaznych nie pozostało śladu po prasie hydraulicznej, która tak drogo kosztowała naszego nieszczęśliwego inżyniera. W składach na zapleczu domostwa znaleziono wielkie ilości niklu i cyny. Nie odkryto natomiast żadnych monet. Prawdopodobnie szajka zdołała je zabrać ze sobą.

W jaki jednak sposób trafił nasz inżynier z ogrodu na miejsce przy drodze, gdzie odzyskał zmysły? Zostałoby to pewnie wieczystą tajemnicą, gdyby nie odkryto delikatnych śladów, które w bardzo prosty sposób wszystko wyjaśniły. Były to odciski stóp dwóch osób. Jedne małe, a drugie wielkie. Należały one najprawdopodobniej do tajemniczej nieznajomej i milczącego Anglika. Widocznie w Fergussonie tkwiło jeszcze coś ludzkiego. Pomógł Elizie przenieść nieprzytomnego Hatherleya z miejsca, w którym zagrażało mu niebezpieczeństwo.

— No tak! — powiedział inżynier żałośnie, gdyśmy zajęli miejsca w pociągu wracającym do Londynu. — To był dla mnie zaiste „wspaniały” interes. Straciłem palec, a 50 gwinei nawet nie ujrzałem. Co, więc zyskałem?

— Doświadczenie! — powiedział Holmes ze śmiechem. — Ostatecznie zgodzi się pan ze mną, że i ono jest coś warte. Wypadek ten będzie dla pana ceną przestrogi na resztę życia.

WYBLAKŁE OBLICZE

PRZEL. TADEUSZ EVERT
THE BLANCHED SOLDIER

Mój przyjaciel, Watson, nie miał wprawdzie zbyt dużo pomysłów, ale za to potrafił się przy nich upierać. Od dawna już suszył mi głowę, żebym opisał którąś z moich przygód. Być może, sam napytałem sobie tej biedy, bo często zarzucałem mu, że jego relacje są powierzchowne, że stosuje się do tanich gustów publiczności, zamiast ściśle trzymać się faktów i nic więcej. „Spróbuj więc sam!” — odpowiedział mi i muszę przyznać, że wzięwszy pióro do ręki zacząłem się przekonywać, iż należy jednak tak pisać, aby zainteresować czytelnika. To, co teraz opowiem, niewątpliwie rozbudzi ciekawość, ponieważ należy do najdziwniejszych moich spraw, choć tak się złożyło, że nie figuruję ona w notatkach Watsona. Skoro już mowa o moim starym przyjacielu i biografii, to pozwolę sobie przy okazji zauważyć, że jeżeli w moich różnych przygodach w ogóle obarczałem się towarzyszem, to nie przez kaprys czy sentyment dla Watsona, lecz dla wielkich jego zalet. Dla tych zalet, które sam przez skromność przemilcza, wynosząc jednocześnie pod niebiosa moje. Sojusznik, który wszelkimi siłami stara się narzucić własny pogląd i przeforsować swoją linię postępowania, zawsze jest niebezpiecznym sprzymierzeńcem, natomiast ktoś, kogo stale zaskakuje rozwój wypadków i dla kogo przyszłość jest zamkniętą księgą, jest naprawdę idealnym pomocnikiem.

Z moich notatek wynika, że James M. Dodd, barczysty, krzepki, ogorzały, prosty jak świeca Brytyjczyk, przyszedł do mnie w styczniu 1903 roku, zaraz po zakończeniu wojny z Burami. Pocziwy druh, Watson, opuścił mnie właśnie, bo się ożenił. Był to jedyny samolubny czyn, który mógłbym mu zarzucić. Zostałem więc sam.

Mam zwyczaj siadania tyłem do okna, a klientów sadzam zawsze naprzeciwko siebie, tak by światło padało na nich. Dodd jakby nie wiedział, od czego zacząć. Nie próbowałem mu pomóc, bo przez to milczenie zyskiwałem na czasie i mogłem czynić pewne obserwacje. Zdawało mi się, że mądrzej zrobię dając mu od razu odczuć moją przewagę i dlatego nie ukrywałem pewnych wniosków, które wyciągnąłem z tych obserwacji.

— Widzę, że pan przyjeżdża z Afryki Południowej — rzekłem.

— Tak jest, proszę pana — odparł z lekkim zdziwieniem.

— Z imperialnej kawalerii ochotniczej?

— Tak jest.

— Z pewnością służył pan w korpusie Middlesex, co? — Tak. Pan jest chyba jasnowidzem? Uśmiechnąłem się na widok jego zdumionej miny.

— Kiedy przychodzi do mnie ktoś o bardzo męskim wyglądzie, z twarzą tak opaloną, jak nigdy nie zdołałoby opalić jej nasze angielskie słońce, w dodatku noszący chustkę w rękawie zamiast w kieszeni, łatwo mi odgadnąć, kim jest ten mój gość. Brodę przystrzyga pan krótko, a zatem nie jest pan zaciężnym żołnierzem. Postawa zdradza kawalerzystę. A gdy chodzi o Middlesex, to z pańskiego biletu wizytowego wynika, że jest pan maklerem giełdowym z Throgmorton Street. Do jakiegoż więc pułku miałby pan wstąpić?

— Pan wszystko widzi!

— Tak jak i pan, tylko że ja wyćwiczyłem się w patrzeniu. Jednak chyba nie po to odwiedził mnie pan, abyśmy dyskutowali o sztuce obserwacji. Cóż się stało w Tuxbury Old Park?

— Panie Holmes!...

— Drogi panie, toć to żadna sztuka. Pański list nosi ten nagłówek, a skoro prosił pan, żebym

pana przyjął jak najprędzej, łatwo było odgadnąć, iż niespodziewanie zaszło coś bardzo pilnego.

— Tak, rzeczywiście. Ale list pisałem po południu i od tego czasu wydarzyło się już niejedno. Gdyby pułkownik Emsworth nie wywalił mnie za drzwi...

— Wywalił pana?!

— Ano właśnie, ni mniej, ni więcej. Pułkownik Emsworth to twarda sztuka. Za jego czasów nie było w wojsku większego służbisty, a przecież wtedy też się z nikim nie cackano. Nie darowałbym tego pułkownikowi, gdyby nie chodziło o Godfreya.

Zapaliłem fajkę i odchyliłem się w fotelu.

— Niechże mi pan wszystko opowie od początku.

Mój klient uśmiechnął się trochę złośliwie.

— Zdawało mi się już, że pan wszystko wie bez opowiadania — rzekł. — Ale powiem panu, co zaszło, i mam nadzieję, że wyjaśni mi pan, o co tu chodzi. Przez całą noc łamałem sobie nad tym głowę, ale im więcej myślę, tym bardziej wszystko wydaje mi się niewiarygodne.

Kiedy w styczniu 1901 roku — akurat dwa lata temu — wstąpiłem do wojska, młody Godfrey Emsworth wstąpił do tego samego szwadronu. Był jedynym synem pułkownika Emswortha — tego, który dostał Krzyż Victorii za Kampanię Krymską — a w jego żyłach płynęła wojownicza krew. Nic więc dziwnego, że zgłosił się na ochotnika. W całym pułku nie miał równego sobie zucha. Zaprzyjaźniliśmy się. Łączyła nas ta przyjaźń, która łączy ludzi żyjących tym samym życiem i mających jednakże smutki i radości. Był moim najbliższym druhem, a w wojsku to wiele mówi. Przez rok, który nam upłynął w krwawych walkach, bez zmrużenia oka znosiliśmy wszystkie trudy i znoje. Potem zaś, pod Diamond Hill, za Pretorią, Godfreya trafiła kula ze strzelby na słonie. Napisał do mnie ze szpitala w Cape Town, a później z Southampton, I od tego czasu ani słówka... Od pół roku z górą mój najlepszy przyjaciel nie odezwał się do mnie ani: słówkiem.

Po skończonej wojnie, kiedy wróciliśmy do domu, napisałem do pułkownika Emswortha z zapytaniem o Godfreya. Nie odpowiedział. Po jakimś czasie napisałem znowu. Tym razem odpowiedział, krótko i nieuprzejmie: Godfrey udał się w podróż naokoło świata i wróci nie wcześniej niż za rok. I na tym koniec.

Ale to mnie nie zadowoliło. Wydało mi się diabelnie nienaturalne. Godfrey był porządnym chłopcem i nie opuściłby przyjaciela bez pożegnania. To nie było do niego podobne. Potem znów dowiedziałem się, że miał odziedziczyć kupę pieniędzy i że nie zawsze zgadzał się z ojcem, który bywał despotyczny, a Godfrey znowu miał za dużo charakteru, żeby to znosić. Nie, nie byłem zadowolony z tego wyjaśnienia i postanowiłem dojść prawdy. Ale wpierw musiałem uregulować moje własne interesy, porządnie zabagnione dwuletnią nieobecnością; toteż dopiero w tym tygodniu mogłem się zabrać do sprawy Godfreya. Skoro jednak już raz do tego się wziąłem, poniecham wszystkiego, a tę rzecz wyjaśnię.

James M. Dodd najwidoczniej należał do ludzi, których lepiej zaliczać do przyjaciół niż do wrogów. Jego niebieskie oczy spoglądały surowo, a kwadratowa szczęka zaciskała się mocno przy każdym słowie.

— No i co pan zrobił? — zapytałem.

— Przede wszystkim postanowiłem pojechać do jego domu, do Tuxbury Old Park niedaleko Bedford, żeby samemu zasięgnąć języka. Napisałem do matki Godfreya. — zirytowała mnie ta korespondencja z jego grubiańskim ojcem — i zaatakowałem frontalnie: Godfrey był moim najlepszym przyjacielem i mógłbym jej sporo opowiedzieć o naszych wspólnych przeżyciach. Będę przejazdem w pobliżu, więc gdyby... i tak dalej. Odpowiedziała mi bardzo uprzejmie i nawet zaproponowała nocleg w ich domu. Udałem się tam w poniedziałek.

Do Tuxbury Old Park niełatwo się dostać; pięć mil — skąd nie liczyć. Na stacji żadnej

bryczki, musiałem więc maszerować piechotą z walizką w ręku. Na miejsce doszedłem już o zmroku. To obszerny, jakby zabłąkany dom w rozległym parku. Złożyły się na niego chyba wszystkie style, począwszy od półdrewnianej, elżbietańskiej podbudowy, a na wiktoriańskich portykach skończywszy. Wewnątrz — same boazerie, tapety i stare, pociemniałe obrazy. Słowem dom tajemnie i cieni. Był tam też lokaj, Ralf, chyba tak stary jak ów dom, oraz jego żona, bodaj jeszcze starsza. Nianczyła Godfreyę, który opowiadał o niej niemal z taką czułością jak o matce, nic więc dziwnego, że wzbudziła we mnie sympatię mimo niepociągającego wyglądu. Matka Godfreyę też mi się podobała: miła, drobniutka jak myszka i siwa staruszczyca. Tylko pułkownik wcale mi nie przypadł do gustu.

Starliśmy się od razu, na samym początku i wróciłem na stację, gdybym nie czuł, że o to właśnie chodziło. Wprowadzono mnie wprost do jego gabinetu: siedział przy biurku zavalonym papierami, wielki, przygarbiony, ogorzały i z siwą, zmierzwioną brodą. Jego pocięty czerwonymi żyłkami nos wystawał niby dziób sępa, a dwoje pałających, szarych oczu patrzyło ku mnie spod krzaczastych brwi. Zrozumiałem teraz, czemu Godfrey rzadko kiedy mówił o swoim ojcu.

— Chciałbym, mój panie — rzekł skrzekliwie dowiedzieć się prawdziwego celu pańskiej wizyty.

Odpowiedziałem, że wyjaśniłem to w liście do jego żony.

— Tak, tak, pisał pan, że znał pan Godfreyę w Afryce. Ale skąd możemy wiedzieć, czy to prawda.

— Mam jego listy w kieszeni.

— Proszę mi je łaskawie pokazać.

Spojrzał na listy, które mu podałem i odrzucił mi oba.

— No więc? — zapytał.

— Bardzo lubiłem pańskiego syna. Łączy nas wiele wspomnień i więzów. Jasne więc, że zdziwiło mnie jego nagle milczenie i że chciałbym wiedzieć, co się z nim dzieje.

— Przypominam sobie, że korespondowaliśmy w tej sprawie. Zdaje się, że napisałem panu, co robi. Udał się w podróż dookoła świata. Wojna w Afryce bardzo nadszarpnęła jego zdrowie i oboje z żoną byliśmy zdania, że przydałby mu się kompletny wypoczynek i jakaś zmiana. Może pan zechce przekazać tę wiadomość wszystkim przyjaciołom Godfreyę, którzy mogliby się interesować jego losem.

— Oczywiście, że przekażę. — odparłem. — Ale może pan poda mi łaskawie nazwę linii okrętowej i parowca, na którym Godfrey podróżuje, a również i, datę odjazdu. Myślę, że wtedy będę mógł nawiązać z nim kontakt.

Moje żądanie jakby zaniepokoiło i rozgniewało pułkownika. Niecierpliwie zaczął bębnić palcami po biurku, a i mocno zmarszczył gęste, krzaczaste brwi. Spojrzał wreszcie na mnie wzrokiem gracza, który widzi, że jego przeciwnik zrobił niebezpieczny ruch na szachownicy i decyduje się go odparować.

— Wiele ludzi, panie Dodd — rzekł — czułoby się do tkniętymi pańskim naleganiem i przyszyłoby nawet do wniosku, że ten upór graniczy z impertynencją.

— Proszę przypisać go mojemu przywiązaniu do pańskiego syna, panie pułkowniku.

— Tak jest. I z tej racji zniósłem już dość wiele. Muszę jednak prosić pana o poniechanie dalszych pytań w tej materii. Każda rodzina ma jakieś własne sekrety i własne motywy, którymi się kieruje i które nie zawsze może zdradzić obcemu, nawet gdy działa on w najszlachetniejszych intencjach. Moja żona pragnęłaby bardzo dowiedzieć się czegoś z przeżyć Godfreyę w Afryce, a pan może zaspokoić tę jej ciekawość. Proszę jednak, aby pan się nie interesował ani terażniejszością, ani przyszłością mojego syna. Takie dopytywania się do niczego nie doprowadzą, a stawiają nas tylko w drażliwej sytuacji.

— Tak więc, panie Holmes, znalazłem się przed wysokim murem. Ani rusz się przez niego przebić. Mogłem tylko pogodzić się z rzeczywistością, przysięgając sobie w duchu, że nie spocznę, dopóki nie wyjaśnię, co się stało z moim przyjacielem. Wieczór był bardzo przykry. Spokojnie zjedliśmy kolację we trójkę w ponurej, zszarzałej z wiekiem starej jadalni. Pani Emsworth zasypywała mnie pytaniami o syna, ale pułkownik siedział posepny i przybity. Tak mnie to znużyło, że przy pierwszej okazji powiedziałem dobranoc i wycofałem się do swojej sypialni. Był to duży, pusty pokój na parterze, równie ponury jak reszta domu, ale po roku sypiania na stepie, panie Holmes, człowiek nie jest już taki wybredny, gdy chodzi o kwaterę. Odśloniłem okna i wyjrzałem na ogród. Noc była piękna, a księżyc świecił jasno. Potem siadłem przy ogniu trzaskającym na kominku, obok lampy stojącej na stole i próbowałem czytać, aby rozproszyć dręczące mnie myśli. Przerwał mi jednak Ralf, stary sługa, który przyniósł nowy zapas węgla.

— Bałem się, że może panu zabraknąć go w nocy. Zimno jest, a te pokoje są chłodne.

Zwlekał z wyjściem i kiedy się obejrzałem, wciąż jeszcze stał przyglądając mi się ze smętnym wyrazem na swej pomarszczonej twarzy.

— Bardzo pana przepraszam, ale mimo woli słyszałem, co pan opowiadał przy kolacji o paniczu Godfreyu. Nie wiem czy panu wiadomo, że moja żona wyniańczyła panicza, mogę zatem o sobie powiedzieć, że jestem jakby jego przyrodnim ojcem. Nic więc dziwnego, że mnie to zaciekało. Mówił pan, że panicz sprawował się dzielnie?

— Był najdzielniejszym żołnierzem w całym pułku. Gdyby mnie jednego razu nie wyciągnął spod ognia Burów, nie siedziałbym teraz w tym pokoju.

Stary lokaj zatarł wychudłe ręce.

— Tak, tak, proszę pana, w tym jest cały panicz Godfrey. Zawsze był odważny. Nie ma takiego drzewa w parku, na które by nie wlaźł. Niczego się nie uląkł. O tak, proszę pana, to był dobry chłopiec. To był dzielny mężczyzna.

Zerwałem się na równe nogi.

— Zaraz, zaraz! — krzyknąłem. — Jak to „był”? Czyżby umarł? Co to wszystko znaczy? Co się stało z Godfreyem?

I schwyciłem starca za ramiona, ale mi się wymknął z uścisku.

— Nie wiem, o czym pan mówi. Niech pan zapyta starszego pana o panicza. On wie. Ja się w to nie mogę wtrącać.

Chciał wyjść z pokoju, przytrzymałem go jednak.

— Proszę posłuchać — powiedziałem z naciskiem. — Muszę dostać odpowiedź na jedno pytanie, choćbyśmy tu mieli całą noc spędzić we dwóch. Czy Godfrey nie żyje?.

Unikał mojego wzroku. Był jakby zahipnotyzowany. Z trudem zdobył się na odpowiedź: straszną i nieoczekiwaną.

— Lepiej by było, żeby nie żył! — wykrzyknął i wyrwawszy mi się wybiegł z pokoju.

Rozumie pan chyba, że nie w wesołym nastroju wróciłem na fotel przy kominku. Słowa starego sługi miały dla mnie tylko jedno znaczenie. Najwidoczniej mój biedny przyjaciel uwikłał się w jakieś przestępstwo albo co najmniej w jakąś hańbiącą dla rodziny aferę finansową. A ten surowy starzec cichcem wysłał syna gdzieś z dala od świata, by ukryć skandal. Godfrey był lekkomyślny. Łatwo ulegał wpływom otoczenia. Niewątpliwie dostał się w złe towarzystwo, które zrujnowało mu życie. Jeżeli tak, to sprawa była przykra, ale nawet i wtedy — myślałem — powinienem go odszukać i zobaczyć, czy nie mogę mu jakoś pomóc. Medytowałem nad tym, gdy uniósłszy nagle wzrok, ujrzałem Godfreya Emswortha przed sobą...

Dodd zamilkł jakby pod wpływem silnego wzruszenia.

— Niech pan mówi dalej — powiedziałem. — Ta historia wygląda niezwykle ciekawie.

— A więc stał za oknem, panie Holmes. Przycisnął twarz do szyby. Powiedziałem już panu, że odsunąłem kotary, by wyjrzeć na dwór: Zostawiłem je rozsunięte. Godfrey stał w tym otworze niby w ramie. Okno sięgało aż do posadzki, widziałem więc całą postać, lecz moją uwagę przykuła twarz. Godfrey był śmiertelnie blady... pierwszy, raz w życiu widziałem kogoś równie bladego. Duch chyba tak wygląda, nie lepiej — przyszło mi na myśl, ale nasze spojrzenia skrzyżowały się i zrozumiałem, że mam przed sobą żywego człowieka. A kiedy zobaczył, że patrzę na niego, odskoczył i znikł w ciemnościach.

W jego wyglądzie, panie Holmes, było coś wstrząsającego. Nie, chodzi tylko o twarz odcinającą się od mroku niby kawał kredy. Chodzi o coś znacznie subtelniejszego, jakąś tajemniczość, nieśmiałość... coś zupełnie obcego temu zawsze szczeremu i męskiemu chłopcu, którego znałem. Ten widok przeraził mnie nie na żarty. Ale gdy się przez rok czy dwa bawiło w wojenkę z braćmi Burami, potrafi się trzymać nerwy na wodzy i atakować szybko. Godfrey nie zdążył jeszcze zniknąć mi z oczu, gdy już stałem przed oknem. Zamek przy nim był trochę wymyślny, toteż minęło parę minut, nim się z nim uporałem. Wyskoczyłem przez okno i pobiegłem aleją, jak mi się zdawało — w ślad za Godfreyem.

Aleja była długa, a noc ciemna: niemniej jednak zdawało mi się, że coś się tam rusza przede mną. Biegłem, więc i wołałem Godfrey a, niestety daremnie. Kiedy zaś dobiegłem do końca alei, znalazłem się przed paroma odnogami wiodącymi do różnych zabudowań. Przystanąłem, żeby się namyślić, i wtedy usłyszałem trzask zamykanych drzwi. Ale nie za mną, we dworze, lecz gdzieś przede mną, w ciemności. To do reszty przekonało mnie, że nie padłem ofiarą żadnego przywidzenia. Godfrey biegł przede mną i teraz zatrzasnął drzwi. Byłbym przysiągł.

Cóż mogłem więcej zrobić? Noc spędziłem bezsennie, zastanawiając się nad tym; co widziałem, i szukając rozwiązania zagadki. Nazajutrz pułkownik był jakoś przystępniejszy, a gdy jego małżonka wspomniała, że w okolicy są rzeczy warte widzenia, skorzystałem z tego i zapytałem, czy nie zrobię zbytniego kłopotu, jeżeli zostanę na jeszcze jedną noc. Wraz z mrukliwą zgodą gospodarza zyskałem bały dzień na dalsze poszukiwania. Byłem przekonany, że Godfrey jest gdzieś ukryty w pobliżu, musiałem więc wyjaśnić gdzie i po co.

Dwór był tak wielki i rozległy, że cały pułk zdołałby się w nim ukryć bezpiecznie. Na tym terenie trudno by mi było odszukać Godfreya. Ale drzwi, które trzasnęły w parku przede mną, na pewno nie wiodły do jakiejś części dworu. Należało więc zbadać park i zobaczyć, do czego to mnie doprowadzi. Łatwo mi z tym poszło, bo, starsi państwo mieli swoje sprawy i pozostawili mnie samemu sobie.

W parku było sporo budyneczków gospodarczych, ale przy jego końcu stał większy i samotny domeczek... dość duży, by w nim mieszkał ogrodnik lub gajowy. Czyżby to stąd doszedł mnie trzask zamykanych drzwi? Niedbale podszedłem bliżej, tak jakbym chodził bez celu. W tym momencie drzwi domku otworzyły się i wyszedł z nich jakiś niski, ruchliwy i brodaty i człowiek w czarnym palcie i w meloniku, wcale nie wyglądający na ogrodnika. Zdziwiłem się, że zamknął drzwi, a klucz wsunął do kieszeni. Potem spojrzął na mnie i też się zdziwił.

— Czy pan jest gościem ze dworu? — zapytał.

Wyjaśniłem, że tak i że w dodatku jestem, przyjacielem Godfreya.

— Jaka szkoda — zakończyłem — że wyjechał w podróż, bo z pewnością uradowałaby go moja wizyta.

— Z pewnością, z pewnością — rzekł i zrobił taką minę, jakby coś przeszkrobał. — Może jednak przyjedzie pan znowu w odpowiedniejszym czasie.

Poszedł sobie, ale kiedy się obejrzałem, spostrzegłem, że obserwuje mnie z oddali spoza laurowych krzaków.

Mijając ten domek mogłem mu się dobrze przyjrzeć. Okna miał zasłonięte i sprawiał wrażenie

opuszczonego. Czułem, że wciąż jestem obserwowany, zepsułbym więc wszystko albo i naraziłbym się na wyrzucenie z parku, gdybym działał zbyt natarczywie. Odszedłem zatem i postanowiłem czekać nocy. A kiedy już zrobiło się ciemno i wszyscy poszli spać, wyszedłem przez okno i cicho przemknąłem się do tego tajemniczego pawilonu.

Powiedziałem już, że jego okna były szczelnie zasłonięte, a teraz stwierdziłem, że są też zamknięte na okiennice. Ale przez szparę w jednej z nich przebijało światło. Skierowałem się w tamtą stronę. Miałem szczęście, bo zasłony były rozchylone i przez szparę w okiennicy mogłem zajrzeć do środka. Wyglądało tam wcale przyjemnie: lampa świeciła jasno, na kominku, wesoło płonął ogień. Na wprost siebie ujrzałem tego niepozornego jegomościa, z którym rozmawiałem rano. Palił fajkę i czytał gazetę.

— Jaką? — zapytałem.

Mój klient najwidoczniej poczuł się urażony, że mu przerywam.

— Jakież to ma znaczenie? — zapytał z kolei.

— Bardzo duże.

— Nie przyglądałem się.

— Może pan jednak zauważył, czy to była wielka płachta dziennika, czy też jakiś mniejszy format, taki jak przy tygodnikach?

Teraz, kiedy pan o tym mówi, wydaje mi się, że coś mniejszego. Może więc „Spectator”. Mało mnie jednak wtedy zajmowały takie szczegóły, bo zobaczyłem kogoś innego, kto siedział tyłem do okna i dałbym sobie głowę uciąć, że to był Godfrey. Nie widziałem twarzy, ale doskonale przecież poznałem linię karku. Łokcie oparł na stole i jak posąg boleści siedział, zwrócony do ognia. Zastanawiałem się, co zrobić, kiedy ktoś z całej siły szarpnął mnie za ramię. Odwróciłem się i ujrzałem tuż przy sobie pułkownika Emswortha.

— Proszę za mną! — rzekł ściszym głosem. W milczeniu poprowadził mnie do domu, do mojej sypialni. Po drodze zabrał rozkład jazdy z sieni.

— Pociąg do Londynu odchodzi o 8.30 — rzekł. — O 8 będzie na pana czekała bryczka przed drzwiami.

Był błąd z gniewu, a ja też czułem się bardzo niezręcznie. Zdołałem więc tylko coś tam wybąkać na swoje usprawiedliwienie, tłumacząc się przywiązaniem do Godfreya.

— Niech pan lepiej milczy — przerwał mi gwałtownie. — Wdarł się pan niecznie w nasze rodzinne sprawy. Przybył pan jako gość, a zachował się jak szpieg. Nie mam nic więcej do dodania, prócz tego, że życzyłbym sobie nigdy już pana nie oglądać.

Wtedy nerwy mnie poniosły, panie Holmes, i nie panując nad sobą zacząłem:

— Widziałem pańskiego syna i jestem przekonany, że dla jakichś własnych celów trzyma go pan pod kluczem. Nie wiem po co, ale z pewnością jest pańskim więźniem. I zapewniam pana, że dopóki się nie przekonam, że mu nic nie grozi i że jest mu dobrze, nie poniecham wysiłków, by dojść prawdy. A żadne pańskie słowa czy też czyny nie odwiodą mnie od tego.

W starego jakby szatan wstąpił. Wspomniałem już, że to krzepki, wysoki, zapalczywy stary olbrzym i choć sam nie jestem ułomkiem, z trudem bym mu stawiał czoło. Jednakże rzuciwszy mi długie, wściekłe spojrzenie, obrócił się na pięcie i wyszedł. Ja zaś wsiadłem rano w ten pociąg, o którym wspomniał, i postanowiłem sobie, że wprost z dworca pojedę do pana z prośbą o radę i pomoc. Oto dlaczego prosiłem, żeby pan mnie przyjął.

Taką to zagadkę zadał mi mój gość. Uważny czytelnik pewnie dostrzegł, że nie była trudna, bo w założeniu miała niewiele alternatyw, lecz choć dość prosta, zawierała ciekawe elementy i pewne nowe cechy, które skłoniły mnie do umieszczenia jej w moich wspomnieniach. Zacząłem więc, używając swojej zwykłej metody logicznej selekcji, stopniowo ograniczać ilość możliwych

rozwiązań.

— Służba. Ile było jej w domu? — zapytałem.

— Jak przypuszczam, tylko stary lokaj i jego żona. Pułkownikostwo żyją skromnie.

— A więc i w tamtym domku nie było żadnego służącego?

— Nie, chyba że ten mały brodac... Ale wyglądał na kogoś lepszego.

— To daje do myślenia. Czy nie zauważył pan, aby noszono jedzenie z dworu do tego domku?

— Teraz, kiedy pan o tym wspomniał, przypominam sobie, że widziałem Ralfa idącego z koszykiem w tamtą stronę, ale wtedy nie przyszło mi na myśl, że mógłby nieść jedzenie.

— Czy wypytywał pan ludzi z okolicy?

— Tak. Staralem się wybadać zawiadowcę stacji i właściciela zajazdu w miasteczku. Zapytałem po prostu, czy nic nie wiedzą o moim starym przyjacielu Godfreyu Emsworth. Obaj zapewniali, że prawie zaraz po powrocie do domu udał się w podróż dookoła świata. Najwidoczniej wszyscy w to uwierzyli.

— Nie zdradził się pan ze swoimi podejrzeniami?

— Nie, skąd znowu!

— To bardzo rozsądne. Trzeba zbadać tę sprawę. Pojadę z panem do Tuxbury Old Park.

— Czy dziś?

Tak się złożyło, że akurat w tym czasie zajęty byłem sprawą, którą mój przyjaciel, Watson, opisał pod tytułem „Zdarzenie w szkole doktora Huxtable’a” i w którą tak bardzo zamieszany był książę Greyminster. Również sułtan turecki zlecił mi wtedy coś niezwykle pilnego, coś, czego nie mogłem żadną miarą zaniedbać pod groźbą bardzo poważnych komplikacji. Tak więc, jak wynika z moich notatek, dopiero w następnym tygodniu wyruszyłem wraz z Doddem do Bedfordshire. Po drodze do Euston zajechaliśmy po statecznego i milczącego pana o posępnym wyglądzie, z którym poprzednio już wszystko omówiłem,

— To mój stary przyjaciel — powiedziałem Doddowi. — Może się nam przydać, a kto wie, czy jego obecność nie będzie nawet miała zasadniczych skutków. Niech to panu na razie wystarczy.

Watson w swych opowiadaniach przyzwyczał już czytelników, że nie lubię mówić za dużo ani zdradzać się z myślami, kiedy się do czegoś zabieram. Dodd zdziwił się, jak widziałem, ale nic nie powiedział i już dalej jechaliśmy we trzech. W pociągu zadałem Doddowi parę pytań, takich które mogły zaciekawiać naszego nowego towarzysza.

— A więc wyraźnie widział pan twarz swojego przyjaciela w oknie, tak wyraźnie, że nie może być pomyłką co do osoby?

— Wykluczam pomyłkę. Rozpłaszczył nos o szybę. Światło lampy padało wprost na niego.

— A może to był ktoś tylko podobny?

— Nie, nie, to był on.

— Mówił pan jednak, że bardzo się zmienił.

— Tylko kolor cery mu się zmienił. Jego twarz była... hm, jakże to opisać?... Biała jak rybi brzuch. Całkiem wyblakła.

— Jednakowo błada na całej powierzchni?

— Chyba nie. Najwyraźniej z całego oblicza widziałem czoło przyciśnięte do szyby.

— Czy pan zawołał na niego?

— W pierwszej chwili oniemiałem ze zdziwienia i przerażenia. Potem pobiegłem za nim, jak to już panu opowiadałem, ale mi uciekł.

Właściwie wiedziałem już, o co chodzi, brakowało mi tylko małego szczegółu do zamknięcia ogólnego obrazu. Kiedy po dość długiej jeździe przybyliśmy przed rozległy dwór, tak dobrze opisany przez mojego klienta, wyszedł nam na spotkanie Ralf, stary sługa. Poprosiłem mojego

poważnego towarzysza podróży, aby zaczekał w powozie, który wynająłem na cały dzień. Ralf, zwiędły pomarszczony starzec, ubrany był jak zwykle lokaje w szare spodnie i czarny żakiet, z jednym tylko interesującym wyjątkiem: na rękach miał brązowe skórzane rękawiczki. Ujrawszy nas natychmiast je zdjął i w przejściu położył na stoliku w sieni. Jak Watson już zauważył, mam niebywale wyrobiony węch, toteż od razu wyczułem jakiś słaby, lecz przenikliwy zapach. Zdawał się koncentrować przy stole w sieni. Odwróciłem się, położyłem kapelusz na blacie i strąciwszy go zaraz, niby niechcący, schyliłem się, żeby go podnieść. Przy tym ruchu mój nos znalazł się o stopę od rękawiczek. Tak, to one wydzielały ów dziwny zapach dziegciu. Teraz już zmierzając do gabinetu, wiedziałem wszystko. Jaka szkoda, że zdradziłem czytelnikowi moją tajemnicę! Watson do ostatniej chwili ukrywa łączące ogniwo i przez to osiąga te efektowne zakończenia.

Pułkownika Emswortha nie było w pokoju, ale zjawił się zaraz, gdy Ralf nas zameldował. Słyszeliśmy jego szybkie, mocne kroki w korytarzu. Gwałtownie otworzył drzwi i wpadł z rozwianą brodą i wykrzywionym z gniewu obliczem. Nigdy jeszcze nie widziałem tak złego starca. W rękach niósł nasze bilety wizytowe. Przedarł je, rzucił na ziemię i podeptał.

— Czy już raz nie zabroniłem panu, przeklęty intruzie, pokazywać się tutaj?! Po co pan znów przyjechał?! Skoro wpakował się pan bez zaproszenia, mam pełne prawo wyrzucić pana za kark. Wyrzucę pana! Przysięgam, że wyrzucę! A i panu też — zwrócił się do mnie — zabraniam wstępu do mojego domu. Wiem, jakim to hańbiącym zawodem się pan trudni, ale niech pan swoje słynne talenty wypróbuj na kimś innym. Tu nie ma panie do roboty.

— Nie odejdę — spokojnie rzekł mój klient — dopóki z własnych ust Godfrey'a nie dowiem się, że nie jest więziony.

Nasz gospodarz — powinienem go nazwać „gospodarzem mimo woli” — zadzwonił po lokaja.

— Ralfie — rzekł — zatelefonuj, żeby przysłano dwóch policjantów. Powiedz, że mamy tu włamywaczy w domu.

— Chwileczkę — wtrąciłem się. — Panie Dodd, musi pan zdać sobie sprawę, że pułkownik Emsworth ma rację i że my nie mamy najmniejszego prawa do przebywania w jego domu. Ale pułkownik powinien też zrozumieć, że panem kieruje jedynie troska o jego syna. Sądzę, że gdybym mógł przez pięć minut spokojnie pomówić z panem — zwróciłem się do pułkownika — wpłynęłoby to na zmianę pańskiego stanowiska.

— Nielatwo mnie przekonać — odparł ten stary wojak — Ralf, proszę robić, co powiedziałem. Na co, u diabła, czekasz! Telefonuj po policję!

— W żadnym wypadku — powiedziałem, opierając się plecami o drzwi. — Ingerencja policji wywoła tylko tę katastrofę, której pan stara się uniknąć. — Wyjąłem notes i na luźnej kartce skreśliłem tylko jedno słowo. — Oto, co — powiedziałem, podając ją pułkownikowi — nas tu sprowadza.

Popatrzył na kartkę, a twarz jego wyrażała teraz jedynie zdumienie, nic więcej.

— Skąd pan wie? — westchnął i ciężko opadł na fotel.

— Wiedzieć, to mój zawód. To moja sprawa.

Siedział pogrążony w zadumie. Suchą ze starości ręką szarpał kosmatą brodę. A potem rzekł z gestem rezygnacji:

— Dobrze, jeżeli się przy tym tak upieracie, zobaczycie panowie Godfrey'a. Zmusiliście mnie do tego Ralf, proszę zawiadomić panicza i pana Kenta, że za pięć minut tam będziemy.

Po pięciu minutach przeszliśmy aleję i stanęliśmy przed tajemniczym pawilonem. Mały, brodaty mężczyzna, wielce zdziwiony, czekał na nas przed drzwiami.

— To całkiem niespodziewane, panie pułkowniku. Pokieruje nam plany — rzekł.

— Trudna rada, panie Kent. Nie miałem wyboru. Czy Godfrey może się z nami widzieć?

— Tak, czeka wewnątrz domu.

Odwrócił się i zaprowadził nas do dużego, kompletnie umeblowanego pokoju od frontu, gdzie przed kominkiem, plecami do ognia stał jakiś mężczyzna. Dodd spojrzął na niego i z wyciągniętą ręką wysunął się naprzód.

— Godfrey, stary druhu, jakże się cieszę! — Ale Godfrey powstrzymał go ostrzegawczym ruchem.

— Nie dotykaj mnie, Jimmie. Stój z daleka. Tak, przyjrzyj się dobrze. To już nie ten sam dziarski kapral Emsworth ze szwadronu B, prawda?

Trzeba przyznać, że wyglądał dziwacznie. Kiedyś z pewnością był przystojnym mężczyzną. Rysy miał regularne, ale jego śniadą twarz, ogorzałą od afrykańskiego słońca, pokrywały dziwnego rodzaju białawe plamy, które odbarwiły skórę.

— Oto, czemu nie chcę przyjmować żadnych wizyt — rzekł. — Nie mam ci za złe, Jimmie, tego, coś zrobił, lecz poradziłbym sobie bez ciebie. Z pewnością z dobrych pobudek, ale zjawiasz się w najmniej odpowiedniej dla mnie chwili.

— Chciałem się przekonać? że nic ci nie grozi. Widziałem cię, kiedyś zaglądał do mnie przez okno, i musiałem wyjaśnić sprawę do końca, bo nie miałbym spokoju.

— Pocziwy Ralf powiedział mi o twojej wizycie i nie mogłem się powstrzymać, aby na ciebie nie spojrzeć. Myślałem, że mnie nie zobaczysz, a kiedy usłyszałem, że otwierasz okno, uciekłem co prędzej do swojej nory.

— Ale o co chodzi, u Boga Ojca?!

— To niedługa historia — odparł Godfrey zapalając papierosa... — Przypominasz sobie tę raną potyczkę pod Buffelsspruit za Pretorią, przy wschodniej linii kolejowej? Słyszałeś, że raniono mnie tam?

— Tak, słyszałem, ale nie mogłem dowiedzieć się szczegółów.

— Trzech nas odbiło się od oddziału. Pamiętasz chyba, że kraj był górzysty. A więc było nas trzech: Simpson, którego zważyliśmy Łysek, Anderson i ja. Polowaliśmy na Bura, ale on z zasadzki powystrzelał nas jak kaczki. Tamtych dwóch zabił, a mnie trafił w ramię kulą na słońca. Przywarłem koniowi do karku i galopowałem parę mil, aż w końcu zemdląłem i spadłem, z siodła.

Przytomność wróciła mi dopiero o zmroku. Wstałem słaby i chory. Na szczęście obok dostrzegłem spory dom z dużą werandą i wieloma oknami. Było diabelnie zimno. Pamiętasz ten przejmujący chłód, który nadchodził wraz ze zmrokiem? Nie zdrowy i mroźny, lecz jakiś chorobliwy. Przemarłem do szpiku kości, a ten dom był całą moją nadzieją. Chwiejąc się na nogach, na pół przytomny powlokłem się ku niemu. Jak przez sen przypominam sobie, że wdrapałem się po stopniach na ganek i przez szeroko otwarte drzwi wszedłem do dużego pokoju z kilkoma łózkami. Westchnąwszy z zadowolenia padłem na jedno z nich, nie posłane, ale mało mnie to wówczas obchodziło. Naciągnąłem kołdrę na dygocące ciało i po chwili już spałem.

Obudziłem się rano i zdawało mi się, że miałem dostać się w jakiś normalny świat, dostałem się w koszmary. Jasne promienie afrykańskiego słońca wpadały przez wielkie, odsłonięte okna i każdy szczegół w tym dużym, pustym, wybielonym pokoju występował nadzwyczaj wyraźnie. Przed sobą ujrzałem jakiegoś karłowatego człowieka z wielką, baniastą głową, który z ożywieniem paplał coś po holendersku, gestykułując przy tym okropnymi rękami, które przypominały odrażające brązowe gąbki. Za nim stała grupka innych ludzi, najwidoczniej doskonale bawiących się tą sceną, ale przyjrząwszy im się uważniej zadrzałem z przerażenia. Każdy bowiem był powykręcany i opuchnięty w ohydny sposób. Na ich śmiech włosy na głowie stawały z przerażenia. Żaden nie mówił po angielsku, ale jakoś trzeba było wyjaśnić sytuację, bo

ten osobnik ze łbem jak bania rozgniewał się na dobre. Krzycząc przeraźliwie złapał mnie swoimi zdeformowanymi łapskami i wyciągnął z łóżka, choć rana zaczęła mi krwawić na nowo. Ten mały szatan był silny jak byk i nie wiem, co by mi jeszcze zrobił, gdyby rejwach nie ściągnął kogoś, kto wydawał się przełożonym tej bandy. Rozkazującym tonem rzucił kilka słów po holendersku i mój oprawca puścił mnie. A potem ów nieznajomy, wielce zdumiony, zwrócił się do mnie:

— Jakim cudem pan się tu znalazł? — pytał. — Zaraz, zaraz, widzę, że pan jest śmiertelnie zmęczony i trzeba panu opatrzyć zranione ramię. Jestem lekarzem, opatrzę je za chwilę. Ale, człowieku, grozi panu o wiele większe niebezpieczeństwo, niż gdyby pan był w bitwie! Trafił pan do szpitala dla trędowatych i spał w łóżku trędowatego!

Chyba to ci wystarczy, Jimmie? Wobec zbliżającej się bitwy, widocznie w przeddzień, wywakuowano tych biedaków do jakiegoś bezpieczniejszego miejsca. A potem, gdy nasze wojska poszły naprzód, lekarz wrócił z chorymi do szpitala. Powiedział mi, że choć sam nie obawia się zarazić, nigdy w życiu nie odważyłby się spać w łóżku trędowatego. Zabrał mnie do siebie, zaopiekował się mną i po jakimś tygodniu znalazłem się w szpitalu w Pretorii. Teraz już znasz mój dramat. Łudziłem się wbrew rozumowi, bo te straszliwe oznaki choroby, które widzisz na mojej twarzy i które wystąpiły dopiero po powrocie do domu, dowiodły, że nie uniknąłem zarazy. Cóż miałem robić? Byłem w naszej odludnej posiadłości. Mamy tu dwoje służby, ludzi pewnych i zaufanych. No i jest ten domeczek, w którym mogę mieszkać. Doktor Kent zgodził się mnie pielęgnować i solennie obiecał dotrzymać tajemnicy. Wydawało się więc, że to jest najprostsze wyjście. Inaczej bowiem czekałby mnie straszny los: do końca życia odosobnienie wśród obcych mi ludzi, bez cienia nadziei. Za wszelką cenę należało jednak zachować tajemnicę, bo gdyby dowiedziano się o mojej chorobie, nawet w tym spokojnym zakątku podniósłby się krzyk i nie uniknąłbym straszego losu trędowatych. Nawet tobie, Jimmie, nawet tobie nie można było powiedzieć prawdy. Jakim cudem mój ojciec teraz odstąpił od tej zasady — nie mogę pojąć. Pułkownik Emsworth wskazał na mnie.

— Ot, kto mnie zmusił do tego — i rozwinął kartkę papieru, na której napisałem słowo „Trąd”. — Sądziłem, że skoro pan Holmes już tyle wie, bezpieczniej będzie, jeżeli się dowie i reszty.

— I słusznie — powiedziałem. — Może coś dobrego z tego wyniknie. Jak zrozumiałem, tylko doktor Kent opiekuje się pacjentem. Niechże mi wolno będzie spytać pana, czy zna się pan na tej chorobie, która, o ile wiem, w swoim założeniu jest pochodzenia tropikalnego lub podtropikalnego?

— Tyle, ile każdy lekarz — odparł Kent z chłodną godnością.

— Ani chwili nie wątpię o: pańskiej znajomości medycyny, ale chyba zgodzi się pan ze mną, że w podobnych wypadkach warto by zasięgnąć jeszcze jednej opinii. Rozumiem, że państwo tego unikali z obawy przed przymusowym wysłaniem chorego do kolonii trędowatych.

— Tak jest — odparł pułkownik Emsworth.

— Przewidziałem to — ciągnąłem — i przywiozłem ze sobą kogoś, komu całkowicie można zaufać. Wyświadczyłem mu kiedyś zawodową usługę, toteż gotów jest teraz wystąpić nie tyle w roli specjalisty, co przyjaciela. To sir James Saunders.

Zwykły podporucznik tak by się nie zdziwił i nie ucieszył na wiadomość, że czeka go rozmowa z lordem Robertsem, jak ucieszył się i rozpromienił doktor Kent.

— To nie lada zaszczyt dla mnie — wybąkał.

— A więc poproszę tu sir Jamesa. Czeka w powozie przed domem. A tymczasem, panie pułkowniku, może przejdziemy do pańskiego gabinetu, gdzie udzielię panom dalszych wyjaśnień.

W tym miejscu brak mi mojego, Watsona. Chytrymi pytaniami i okrzykami zdumienia po trafi

on mojej prostej sztuce, polegającej na systematycznym i logicznym rozumowaniu, nadać charakter cudu. Kiedy sam opowiadał swoje przygody, nie potrafił im dodać tego kolorytu. Przedstawię jednak bieg moich myśli, tak jak go przedstawiłem w gabinecie pułkownika małemu gronu słuchaczy, powiększonemu tym razem o matkę Godfrey'a.

— Swoje rozważania — mówiłem — zaczynam zawsze od tego, że eliminuję wszystko co niemożliwe, bo uważam, że to, co wtedy zostanie, musi być prawdziwe, choćby się nawet wydawało nieprawdopodobne. Może się zdarzyć, że pozostanie wówczas kilka wytłumaczeń. Wtedy nie ma innej rady, tylko trzeba sprawdzać jedno po drugim, aż wreszcie natrafimy na najbardziej prawdopodobne. Spróbujmy zastosować tę metodę w konkretnym wypadku. Na pierwszy rzut oka trzy powody odseparowania lub uwięzienia młodego pana Emswortha w tym odludnym domeczku w posiadłości jego ojca wydały mi się możliwe. A więc: ukrywanie się po jakimś przestępstwie, obłąkanie, które rodzina pragnęła ukryć, aby uniknąć obowiązku oddania chorego do domu wariatów i wreszcie choroba wymagająca izolacji. Nie nasuwało mi się żadne inne rozwiązanie. Trzeba więc było kolejno rozważyć te trzy ewentualności.

Domniemanie przestępstwa odpadało. W tym okręgu nie zanotowano żadnego nie wykrytego przestępstwa. Tego byłem pewien. A jeżeli nikt na to przestępstwo nie wpadł, to rodzina wolałaby uwolnić się od zbrodniarza i raczej wysłać go gdzieś, niż trzymać w domowym ukryciu. Każde inne postępowanie trudno byłoby wytłumaczyć.

Oblęd był bardziej prawdopodobny. Obecność drugiej osoby w domeczku nasuwała myśl o pielęgniarzu. Fakt, że ta osoba wychodząc zamykała drzwi na klucz, jeszcze bardziej potwierdzał domniemanie przymusowego odosobnienia. Z drugiej strony jednak to odosobnienie nie było takie rygorystyczne, bo inaczej chory nie mógłby przyjść pod dwór, żeby spojrzeć na przyjaciela. Przypomina pan sobie, panie Dodd, jak starałem się uchwycić jakiś punkt zaczepienia pytając na przykład, jakie to pismo czytał Kent. Gdyby to był „Lancet” czy „British Medical Journal”, dałoby mi to pewną wskazówkę. Trzymanie obłąkanego w domu pod warunkiem, że pozostaje on pod opieką wykwalifikowanego pielęgniarza i że odpowiednie władze o tym wiedzą, nie sprzeciwia się jednak prawu. Skąd więc to rozpaczliwe gonienie za tajemnicą? I znów założenie nie pasowało do faktów.

Pozostawała zatem trzecia supozycja, wprawdzie byłby to wypadek rzadko spotykany i mało prawdopodobny, ale odpowiadający faktom. Wypadki trądu zdarzają się w Afryce Południowej. Godfrey jakimś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności mógł się zarazić. Wtedy jego rodzina znalazłaby się w trudnej sytuacji, bo chciałyby go uchronić od wysłania do kolonii trędowatych. W tym celu musiałyby się zatroszczyć o jak największą tajemnicę, aby władze o niczym się nie dowiedziały. Za dobrą opłatą łatwo byłoby znaleźć jakiegoś zaufanego lekarza, który podjąłby się opieki nad chorym. Nie byłoby też powodu, aby chory nie wychodził sam na przechadzkę późnym wieczorem. Z wyblakłością skóry spotykamy się przy trądzie. Wszystko zatem wydało mi się logiczne, tak logiczne, że postanowiłem działać, jakby było zupełnie pewne. A resztki wątpliwości rozwiały mi się, kiedy po przyjeździe tutaj stwierdziłem, że Ralf, który nosi jedzenie do małego domku, używa rękawiczek nasyconych środkiem dezynfekcyjnym. Jedno jedyne słówko dowiodło panu, panie pułkowniku, że znam tajemnicę. A to, że je napisałem zamiast głośno wymówić, miało wskazać, że potrafię ją zachować.

Skończyłem właśnie ten wywód, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju z całą powagą wkroczył nasz słynny dermatolog. Ale tym razem jego sfinksowe oblicze promieniało, a w oczach ukazał się prawdziwie ludzki błysk. Podeszedł do pułkownika i uściśnął mu rękę.

— Znacznie częściej zwiastuję złe wiadomości niż dobre — rzekł — lecz tym razem wszystko układa się pomyślnie. To nie trąd.

— Co?!

— Wyraźny wypadek pseudotrądu, jak my to nazywamy: *ichthyosis*. Łuszczyca, choroba skóry, odrażająca, uparta, przeważnie uleczalna i z pewnością nie zaraźliwa. Tak, panie Holmes, zadziwiający zbieg okoliczności. Ale czy zbieg? Czy nie działają tu te subtelne siły, o których prawie nic nie wiemy? Czy możemy być pewni, że straszliwa obawa, którą niewątpliwie przeżywał ten młodzieniec od chwili, gdy się dowiedział, że mógł się zarazić, nie wywołała fizycznych objawów podobnych do trądu? W każdym razie całym moim autorytetem ręczę... Ale pani zemdlą! Panie Kent, niechże pan zostanie przy pani, dopóki nie odzyska przytomności po tym radosnym wstrząsie.

„LWIA GRZYWA”

PRZEL. TADEUSZ EVERT

THE LION'S MANE

Dziwna to rzecz, że z najbardziej zawiłym i niezwykłym problemem z całej mojej długiej kariery zetknąłem się dopiero, gdy porzuciłem już pracę. Stało się to pod samymi moimi drzwiami.

W tym czasie mieszkałem w małym domku w Sussex i całkowicie oddawałem się kojącemu współżyciu z przyrodą, o którym marzyłem tak często podczas długich lat spędzonych w mrokach miasta. Poczciwy Watson niemal zniknął mi z oczu. Widywałem go jedynie z okazji sporadycznych weekendów i wizyt. Dlatego też muszę być własnym kronikarzem. O, gdyby był ze mną, jakież opowiadanie byłby zrobił z tej zadziwiającej sprawy i z mego triumfu odniesionego wbrew wszelkim trudnościom! Z konieczności muszę jednak opowiedzieć całe zdarzenie sam w swój własny, prosty sposób, odmalowując każdy krok na trudnej ścieżce, po której szedłem ku rozwiązaniu tajemnicy „lwiej grzywy”.

Dom mój stoi na południowym stoku Downs i widać z niego wielki szmat Kanału. W tym miejscu brzeg zbudowany jest z kredowych skał, z których można zejść tylko jedną, długą, krętą ścieżką, stromą i śliską. U stóp skał, na przestrzeni około stu jardów, rozpościera się teren kamienisty i żwirowaty, którego nie zakrywa nawet przypływ morza. Tu i ówdzie tworzą się wgłębienia i zatoczki, mogące służyć jako doskonale baseny pływackie, przy każdym przypływie napelniane świeżą wodą. Ta wspaniała plaża ciągnie się na parę mil w obie strony i tylko w jednym miejscu przerywa ją zatoka i miasteczko Fulworth.

Mój dom stoi samotnie. Ja, stara służąca i pszczoły mamy tę całą posiadłość tylko dla siebie. O pół mili dalej znajduje się znana szkoła Harolda Stackhursta w Gables, dużej posiadłości, w której kilkudziesięciu młodych ludzi pod kierunkiem paru profesorów przygotowuje się do różnych zawodów. Sam Stackhurst był za młodu znanym wioślarzem w uniwersyteckiej drużynie i wszechstronnym naukowcem. Żyję z nim w przyjaźni od dnia przybycia na wybrzeże i jest on jedynym człowiekiem, z którym łączą mnie na tyle dobre stosunki, że odwiedzamy się wieczorami bez uprzedniego zaproszenia.

W końcu lipca 1907 roku mieliśmy silną burzę; wiatr, który wiał od Kanału, wznosił tak wielkie fale, że sięgały podnóża skał, a po odpływie pozostawiły na plaży liczne zalewy. Potem wichura ustała i świat wyglądał wymyty i świeży. Trudno było pracować tak pięknego ranka, toteż przed śniadaniem wybrałem się na przechadzkę, by odetchnąć cudownym powietrzem. Poszedłem wzdłuż skał ścieżką prowadzącą do stromego zejścia na plażę. Idąc usłyszałem, że ktoś mnie woła; był to Harold Stackhurst, który w serdecznym powitaniu kiwał ku mnie ręką.

— Co za ranek, panie Holmes! Spodziewałem się, że pana spotkam.

— Widzę, że idzie pan popływać!

— Jak zwykle zdradza pan niebywałą przenikliwość — zaśmiał się Stackhurst, uderzając dłonią po wypchanej kieszeni. — Tak. McPherson wyruszył wcześniej, sądzę, iż go tam spotkam.

Fitzroy McPherson był magistrem nauk przyrodniczych i przystojnym, dobrze zbudowanym młodym człowiekiem, któremu niedomagania serca, spowodowane goścem, zatruwały życie. Był jednak urodzonym sportowcem i celował we wszystkich dyscyplinach nie wymagających dużego wysiłku fizycznego. Pływał latem i zimą, a że i ja także jestem niezłym pływakiem, często kąpaliśmy się razem.

W tej chwili ujrzeliśmy McPhersona. Jego głowa ukazała się nad brzegiem skały, w miejscu

gdzie kończy się ścieżka. Potem wyłonił się cały i dostrześliśmy, że zatacza się, jakby był pijany. Nagle podniósł ręce w górę i ze strasznym krzykiem upadł na twarz. Stackhurst i ja pobiegliśmy do niego — musieliśmy przebiec z pięćdziesiąt jardów — i odwróciliśmy go na wznak. Nie ulegało wątpliwości: konał. Szkliste, wpadnięte oczy i przerażająco sine policzki nie mogły oznaczać nic innego. Iskra życia ożywiła na chwilę jego twarz, wyrzucił z siebie parę słów, jakby chcąc nas przed czymś ostrzec. Bełkotał i połykał wyrazy, ale ostatni okrzyk, któryś wyrwał mu się z ust, zabrzmiał w moim uchu jak „lwia grzywa”. Nie miał zupełnie sensu, jednak tak właśnie go zrozumiałem. Potem McPherson uniósł się z ziemi, wyciągnął ręce i opadł na bok. Nie żył.

Ta okropna scena sparaliżowała mego towarzysza, ja za to, jak łatwo się domyślić, napiąłem uwagę. Zorientowałem się od razu, że mamy do czynienia z nadzwyczajnym wypadkiem. McPherson ubrany był tylko w płaszcz burberry, spodnie i nie zasznurowane płócienne pantofle. Gdy upadł, płaszcz zsunął się, odsłaniając plecy. Patrzyliśmy na nie zdumieni. Były całe pokryte ciemnoczerwonymi pręgami, tak jakby go silnie wychłostano biczem z cienkiego drutu. Narzędzie tej strasznej tortury musiało być giętkie, bo zaognione pręgi okalały ramiona i żebra. Z wargi zagryzionej w paroksyzmie bólu krew ściekała aż na brodę. Twarz skurczona i wykrzywiona mówiła, jak strasznie musiał cierpieć.

Kłęczałem jeszcze nad trupem, a Stackhurst stał przy mnie, gdy padł na nas czyjś cień i ujrzelśmy Lewisa Gryffa, nauczyciela matematyki w szkole Stackhursta. Był to wysoki, śniady i szczupły mężczyzna, wielki odludek i mu czek. Nie miał chyba żadnych przyjaciół. Wydawało się, że wiecznie przebywa w oderwanej krainie liczb i hiperboli i że nic nie łączy go z życiem. Studenci uważali go za dziwaka i pewnie zrobiliby sobie z niego kozła ofiarnego, gdyby nie to, iż w żyłach miał obcą krew, przejawiającą się nie tylko, w czarnych jak węgiel oczach i śniadej cerze, ale i w wybuchach nieokiełznanego gniewu, które czyniły go zupełnie dzikim. Raz, rozzłościwszy się na psa McPhersona, schwycił biedne zwierzę i cisnął nim w lustrzaną szybę okna. Stackhurst niechybnie zwolniłby go za to z pracy, gdyby Gryff nie był tak dobrym wykładowcą. Ten właśnie dziwny człowiek zjawił się teraz obok nas. Wydawał się szczerze wstrząśnięty widokiem, który miał przed sobą, chociaż sądząc po zdarzeniu z psem, nie było między nim a zmarłym wielkiej sympatii.

— Biedaczysko! Biedaczysko! Co robić? Czy można coś pomóc?

— Był pan z nim? Co mu się stało?

— Nie, nie byłem. Wstałem dziś późno. W ogóle nie byłem na plaży. Przyszedłem z Gables. Co mogę zrobić?

— Niech pan idzie na posterunek w Fulworth i niech ich pan zawiadomi o wypadku.

Pobiegł co tchu, bez słowa, ja zaś zabrałem się do śledztwa. Wstrząśnięty Stackhurst nie odchodził od ciała.

Przede wszystkim sprawdziłem, kto był na plaży. Ze szczytu ścieżki mogłem objąć wzrokiem całą jej połąć. Była zupełnie pusta, tylko daleko, daleko, widać było dwie czy trzy ciemne sylwetki, zdążające ku Fulworth. Ustaliwszy to, zeszedłem powoli ścieżką w dół. Grunt był gliniasto-margłowy z domieszką kredy. Tu i tam widziałem ślady stóp wiodące w górę i w dół. Tylko McPherson chodził dziś tędy. W jednym miejscu zauważyłem ślad dłoni, przy czym palce zwrócone były ku górze. Mogło to tylko oznaczać, iż biedny McPherson upadł w czasie, wchodzenia. Także parę okrągłych wgłębień wskazywało, że chwilami posuwał się na czworakach. U stóp ścieżki pozostał spory zalew po odpływie. Tutaj McPherson rozbierał się, bo na kamieniu leżał ręcznik. Był starannie złożony i zupełnie suchy, wyglądało więc jakby nieszczęśliwy McPherson wcale nie był w wodzie. Badając starannie kamienistą plażę koło zalewu, natknąłem się kilka razy na wysepki piasku, w których widniały odcisnięte ślady płóciennych pantofli, a także bosych stóp, co świadczyło, że McPherson przygotował się

całkowicie do kąpielni, chociaż sądząc z ręcznika, do wody nie wszedł.

Tak wyglądała ta sprawa — najdziwniejsza ze wszystkich, z jakimi miałem do czynienia. Zmarły przebywał na plaży najwyżej kwadrans; co do tego nie było wątpliwości, bo Stackhurst o tyle później wyszedł za nim z Gables. Jak wskazywały odciski bosych stóp, McPherson rozebrał się, a potem nagle narzucił na siebie odzienie i nie zapinając się ani nie sznurowując butów, zawrócił. Stało się tak dlatego, że został zbity w okrutny, niehumaniczny sposób, skatowany tak, że pogryzł sobie z bólu wargi. Miał tylko tyle sił, ile trzeba, aby wyczołgać się z plaży, i zaraz skonał. Kto dopuścił się tej zbrodni? W skałach było wiele pieczar i grot, ale nisko stojące słońce oświetlało je doskonale, tak że nikt nie mógłby się w nich ukryć. Na plaży widziałem wprawdzie ludzi, lecz byli za daleko, by mieć coś wspólnego ze zbrodnią. Poza tym rozpościerający się u stóp skał szeroki zalew, właśnie ten, w którym McPherson chciał się kąpać, oddzielał ich od niego. Po morzu, niedaleko brzegu, płynęło kilka łodzi rybackich; Rybaków można było, naturalnie, przesłuchać. Było wiele dróg, po których mogło toczyć się śledztwo, ale żadna nie prowadziła do wyraźnego celu.

Kiedy powróciłem wreszcie do ciała, zebrała się już koło niego grupka gapiów. Stackhurst był tam także, a Lewis Gryff nadszedł właśnie z Andersonem, miejscowym policjantem, wielkim mężczyzną o rudych wąsach, powolnym i solidnym, z gatunku tych mieszkańców Sussex, którzy pod ospałym, spokojnym wyglądem ukrywają wiele zdrowego rozsądku. Wysłuchał on wszystkiego, zanotował nasze słowa i wreszcie odciągnął mnie na bok.

— Prosiłbym, żeby mi pan radził, jak mam postępować, panie Holmes. To dla mnie poważna sprawa, a jak narobię głupstw, to się nasłucham od inspektora.

Poradziłem mu, aby wezwał swego bezpośredniego przełożonego oraz lekarza, a także, aby nie pozwolił niczego ruszać i aby przed przybyciem władz zdjął wszystkie odciski stóp, póki są świeże. Ja sam przeszukałem kieszenie zmarłego. Znalazłem chustkę, duży nóż i portfelik, z którego wystawał kawałek papieru. Rozwinąłem go i podałem policjantowi. Było na nim napisane niewyraźnym kobiecym pismem: *Możesz być pewny, że przyjdę — Maudie*. To wyglądało na sprawy sercowe i na jakieś rendez-vous, chociaż gdzie i kiedy miało się ono odbyć, pozostawało niewiadome. Policjant włożył z powrotem list do portfeliku i wraz z innymi rzeczami wsunął go do kieszeni płaszcza zmarłego. Ponieważ nic więcej nie przychodziło mi już na myśl, wróciłem do domu na śniadanie, zarządzivszy tylko, żeby dokładnie przeszukano okoliczne skały.

Po jakimś czasie przyszedł do mnie Stackhurst, by mi powiedzieć, że ciało zabrano do Gables, gdzie będzie prowadzone śledztwo. Przyniósł mi także kilka ważnych i dokładnych wiadomości. Tak jak się spodziewałem, w małych pieczarach pod skałami nic nie znaleziono. Za to w papierach McPhersona Stackhurst trafił na parę listów świadczących o zażyłej korespondencji z niejaką panną Maud Bellamy z Fulworth. A więc zidentyfikowaliśmy autorkę kartki.

— Policja zabrała listy — wyjaśnił Stackhurst — nie mogłem więc ich przynieść. Ale niewątpliwie nie była to przelotną miłostką. Chyba jednak nie miała związku z wypadkiem, tyle że panna Bellamy wyznaczyła mu spotkanie.

— Ale przecież nie przy zalewie, w którym wszyscy się kąpiecie — zauważyłem.

— Tak, to tylko przypadek, że McPherson nie był w towarzystwie studentów.

— Czy to aby przypadek?

Stackhurst w zamyśleniu zmarszczył brwi.

— Zatrzymał ich Lewis Gryff — powiedział. — Uparł się, by przed śniadaniem zrobić wykład z algebry. Biedny chłop, strasznie go to wzięło.

— Przecież nie byli przyjaciółmi.

— Kiedyś nie. Ale mniej więcej od roku Gryff żył tak blisko z McPhersonem, jak mu na to pozwalało jego dzikie usposobienie. Nie jest z natury zbyt towarzyski.

— Tak mi się zdawało. Przypominam sobie, że kiedyś opowiadał mi pan o kłótni między nimi o jakiegoś psa.

— To stara historia.

— Mogła pozostać chęć zemsty.

— Nie, nie; jestem pewien, że byli naprawdę przyjaciółmi.

— No dobrze; musimy wyjaśnić sprawę dziewczyny. Czy pan ją zna?

— Wszyscy ją znają. Jest tutejszą piękną, zresztą prawdziwą piękną, która wszędzie zwróciłaby uwagę. Wiedziałem, że podobała się McPhersonowi, ale nie wyobrażałem sobie, że sprawy zaszły tak daleko, jak to wynika z tych listów.

— A kim ona jest?

— Jest córką starego Toma Bellamy, właściciela wszystkich łodzi i budek kąpielowych w Fulworth. Bellamy zaczął kiedyś od zwykłego rybaka, teraz jest dość zamożnym człowiekiem. Prowadzi interes z synem Williamem.

— Pójdziemy do Fulworth zobaczyć się z nimi? — Pod jakim pretekstem?

— Och, trzeba znaleźć jakiś pretekst. Ostatecznie ten biedak nie pokaleczył się sam w tak okropny sposób. Ktoś trzymał rączkę bicia, oczywiście, jeśli te rany pochodzą od bicia. W tym odludnym miejscu McPherson musiał mieć niewielkie kółko znajomych. Zbadajmy je dokładnie, a na pewno znajdziemy motyw, który z kolei doprowadzi nas do zbrodniarza.

Spacer poprzez pachnące macierzanką pola Downs byłby naprawdę uroczy, gdyby nie nasze myśli zatrute tragedią, której staliśmy się świadkami. Miasteczko Fulworth leży w wygiętym łuku nad zatoką. Na stokach wzgórz, za starą rybacką wioską, wybudowano, parę nowoczesnych domów. Stackhurst skierował się do jednego z nich.

— To jest „Przystań”, jak nazwał go Bellamy. Ten z narożną wieżyczką i łupkowym dachem. Nieźle jak na człowieka, który zaczął jedynie od... Na Boga, niech pan patrzy!

Furtka ogrodu „Przystani” otworzyła się i wyszedł z niej mężczyzna. Trudno było się mylić co do tej wysokiej, kanciastej błędnej postaci. To był matematyk Lewis Gryff. W chwilę później staliśmy z nim na drodze oko w oko.

— Halo! — zawołał Stackhurst. Gryff skinął głową, spojrzał na nas z ukosa swymi dziwnymi czarnymi oczami i byłby nas minął, gdyby go nie zatrzymał jego przełożony.

— Co pan tu robi? — zapytał. Gryff zaczerwienił się ze złości.

— Pod pańskim dachem jestem pańskim podwładnym. Nie zdaje mi się jednak, abym miał się panu tłumaczyć z moich prywatnych spraw.

Nerwy Stackhursta były napięte do ostatnich granic po tym, co przeszedł. Gdyby nie to, byłby się pewnie powstrzymał. Teraz jednak zupełnie stracił panowanie nad sobą.

— W tych warunkach pańska odpowiedź jest po prostu impertynencją, panie Gryff.

— Pańskie pytanie podpada pod ten sam nagłówek.

— Nie pierwszy to raz muszę być pobłażliwy dla pańskich wyskoków, ale za to ostatni. Proszę łaskawie postarać się o nową pracę, i to jak najszybciej.

— Właśnie chciałem to zrobić. Straciłem dziś jedyne go człowieka, który umożliwiał mi życie w Gables.

Odszedł wielkimi krokami. Stackhurst zaś stał i patrzył za nim gniewnym wzrokiem.

— To jest niemożliwy człowiek, nie do wytrzymania! — wykrzyknął.

Zaczęła prześladować mnie uporczywa myśl, że Lewis Gryff chwycił się lada pretekstu, by utorować sobie drogę ucieczki z miejsca zbrodni. Podejrzenie, zrazu mgliste i niejasne, teraz przybierało wyraźne kształty. Być może wizyta u Bellamych rzuci dodatkowe światło na tę

sprawę. Stackhurst uspokoił się wreszcie i ruszyliśmy w stronę domu.

Bellamy, mężczyzna w średnim wieku, z płomiennorudą brodą, był chyba w bardzo złym humorze, bo twarz miał prawie tak czerwoną jak włosy.

— Nie życzę sobie żadnej rozmowy na ten temat. Mój syn — tu wskazał na krzepkiego młodzieńca o twarzy tępej i odpychającej, który siedział w rogu bawialni — podziela moje zdanie, iż McPherson miał nieczne zamiary w stosunku do Maud. Tak, słowo „małżeństwo” nigdy nie padło między nimi, a jednak wymieniali listy, spotykali się i byli w zażyłości, z którą żaden z nas nie mógł się pogodzić. Maud nie ma matki i my jesteśmy jedynymi jej opiekunami. Jesteśmy zdecydowani...

Wejście samej panny Bellamy przerwało ten monolog. Trudno było zaprzeczyć, że jej osoba dodałaby blasku każdemu, najświetniejszemu nawet towarzystwu. Kto by przypuścił, że na takiej glebie i w takiej atmosferze może wyrosnąć równie rzadki kwiat? Kobiety na ogół nie robiły na mnie wrażenia, gdyż mój umysł panował zawsze nad sercem, lecz patrząc na jej doskonale wyrzeźbioną twarz, zawierającą w swym pastelowym kolorycie całą miękką świeżość Downs, zdawałem sobie sprawę, iż żaden mężczyzna nie przejdzie obok niej obojętnie. Otworzyła teraz drzwi i stała przed Stackhurstem z szeroko otwartymi oczami i skupionym spojrzeniem.

— Już wiem, że Fitzroy nie żyje — powiedziała. — Nie lękajcie się opowiedzieć mi szczegółów.

— Ten twój drugi facet przyniósł nam wiadomość — wyjaśnił jej ojciec.

— Nie widzę powodu, dla którego miesza się moją siostrę w tę całą sprawę — warknął młodzieniec.

Dziewczyna rzuciła mu krótkie, ostre spojrzenie.

— To moja rzecz, Williamie. Pozwól łaskawie, że ją sama załatwię. Zdaje mi się, iż popełniono tu zbrodnię. Jeśli tylko będę mogła pomóc w wykryciu zabójcy, będzie to najmniejsza rzecz, jaką mogę uczynić dla zmarłego.

Wysłuchiwała krótkiego sprawozdania Stackhursta w spokojnym skupieniu, które dowiodło mi, że przy wielkiej piękności posiadała także silny charakter. Maud Bellamy pozostanie na zawsze w mej pamięci jako najdoskonalsza z kobiet. Musiała znać mnie z widzenia, bo przy końcu opowiadania zwróciła się do mnie.

— Niech pan odda złoczyńców w ręce sprawiedliwości, panie Holmes. Może pan być pewny, że panu pomogę niezależnie od tego, kim by mieli być.

Zdawało mi się, że przy tych słowach spojrzała zaczepnie na ojca i brata.

— Dziękuję pani — rzekłem. — W tego rodzaju okolicznościach doceniam instynkt kobiecy. Powiedziała pani „oni”. Czy pani przypuszcza, że zamieszana jest w to więcej niż jedna osoba?

— Dość dobrze poznałam pana McPhersona i wiem, że był silny i odważny. Nie wyobrażam sobie, by jeden człowiek mógł go tak pokaleczyć.

— Czy mógłbym zamienić z panią parę słów na osobności?

— Proszę cię, Maud, nie mieszaj się w tę sprawę — ze złością krzyknął jej ojciec. Spojrzała na mnie bezradnie. — Co mam zrobić?

— I tak tajemnica wyjdzie niebawem na jaw, nie zaszkodzi więc, jeśli pomówimy tutaj — odrzekłem. — Wolałbym wprawdzie rozmawiać z panią w cztery oczy, skoro jednak pani ojciec sprzeciwia się temu, będziemy musieli dopuścić go do narady. — I powiedziałem o liściku, który znaleziono w kieszeni zmarłego. Na pewno wyda się to na śledztwie. Czy mógłbym prosić o wyjaśnienie sprawy tego liściku, oczywiście, jeśli pani może?

— Nie ma tu nic do ukrywania. Byliśmy zaręczeni, a trzymaliśmy to w tajemnicy jedynie dlatego, że wuj Fitzroya, stary już i bliski śmierci, mógłby go wydziedziczyć, gdybyśmy się pobrali wbrew jego woli. To był jedyny powód.

— Mogłaś nam była powiedzieć — mruknął pan Bellamy. — Powiedziałabym, ojcze, gdybyś mi okazał więcej życzliwości.

— Nie życzę sobie, by moja córka przestawała z ludźmi z innego, środowiska.

— Tylko twoje uprzedzenie do niego powstrzymywało nas od szczerości. Co do spotkania... — poszperała w fałdach sukni i wyciągnęła zmięty bilecik — wyznaczyłam je w odpowiedzi na to.

— „Najmilsza” — przeczytałam — „we wtorek na plaży, na zwykłym miejscu, zaraz po zachodzie słońca. Wcześniej nie będę wolny. F. M.”

— Wtorek to dziś; miałam się z nim spotkać wieczorem.

Odwrociłam papier.

— List nie przyszedł pocztą. Jak pani go dostała?

— Wolałabym nie odpowiadać na to pytanie., To naprawdę nie ma nic wspólnego ze sprawą, którą pan bada. Ale chętnie odpowiem na wszystko, co może jej dotyczyć.

Dotrzymała słowa, nie powiedziała jednak już nic, co mogłoby nam pomóc. Nie przypuszczała — przynajmniej nic na to nie wskazywało — aby jej narzeczony miał ukrytego wroga, przyznała jednak, że ona miała wielu gorących wielbicieli.

— Pozwoli pani zapytać, czy pan Lewis Gryff był jednym z nich?

Zaczerwieniła się i wyglądała na zmieszaną.

— Był czas, kiedy myślałam, że tak. Ale to się zmieniło, odkąd się dowiedział o stosunkach łączących mnie z Fitzroyem.

I znowu cień spoczywający na tym, dziwnym człowieku zaczął w mych oczach przybierać bardziej konkretne kształty. Trzeba zbadać jego przeszłość — myślałam — dyskretnie przeszukać jego mieszkanie. Stackhurst chętnie mi pomoże, bo i w jego umyśle powstawały podejrzenia. Wracaliśmy z naszej wizyty przekonani, że już trzymamy w rękach jeden koniec nici.

Minął tydzień. Śledztwo nie rzuciło żadnego światła na sprawę i zostało odłożone do czasu uzyskania dalszych poszlak. Stackhurst przeprowadził dyskretny wywiad o swoim podwładnym; przeszukano też pobieżnie jego mieszkanie, lecz bez rezultatu. Jeżeli chodzi o mnie, obszedłem raz jeszcze miejsce zbrodni i przemyślałem wszystko odnowa — także bez rezultatu. W całej kronice moich przygód czytelnik nie znajdzie drugiej sprawy, wobec której czułbym się aż tak bezradny. Nawet moja wyobraźnia nie mogła mi podsunąć rozwiązania tajemnicy. Wtedy zaszedł wypadek z psem.

Pierwsza dowiedziała się o tym moja stara gospodyni, owymi dziwnymi drogami, jakimi ludzie dowiadują się o wszystkich wydarzeniach w okolicy.

— Smutna historia z tym psem pana McPhersona — powiedziała pewnego wieczoru.

Zazwyczaj nie podtrzymuję takich rozmówek, ale jej słowa przykuły moją uwagę.

— Co się stało z psem pana McPhersona?

— Zdechł. Zdechł z żalu za swoim panem.

— Kto pani o tym powiedział?

— Jak to kto? Wszyscy o tym mówią. Strasznie rozpaczął, nie jadł nic przez tydzień. A dziś dwóch młodych panów z Gables znalazło go zdechłego, — tam na plaży, na tym samym miejscu, gdzie zginął jego pan.

„Na tym samym miejscu”. Słowa te utkwily mi w mózgu. Doznałem jakiegoś mglistego wrażenia, że ten fakt ma kapitalne znaczenie. To, że pies zdechł, było zgodne z piękną, wierną psią naturą. Ale „na tym samym miejscu”!. Dlaczego samotna plaża pod Gables miała być dla niego fatalna? Czy to możliwe, żeby on także miał paść ofiarą jakiejś okrutnej zemsty? Czy to

możliwe...? Tak, wrażenie było mgliste, ale coś już zaczynało kiełkować w moim mózgu. Parę minut później spieszyłem do Gables. Stackhursta zastałem w gabinecie. Na moją prośbę posłał po Sudburyego i Blounta, dwóch studentów, którzy znaleźli psa.

— Tak, leżał na brzegu zalewu — powiedział jeden z nich. — Musiał pobiec po śladach swego zmarłego pana.

Obejrzałem wierne zwierzę, airdale–terriera, leżącego na chodniku w hallu. Był zimny i sztywny, oczy miał wytrzeszczone, łapy wykręcone w skurczu. Z całej postaci wyzierał ból.

Z Gables poszedłem nad zalew. Słońce stało nisko i cień wielkiej skały na połyskującej matowo wodzie kładł się czarno jak ołowiana płyta. Na plaży nie było żywego ducha, tylko dwie mewy kołowały piszcząc nad moją głową. W gasnącym świetle z trudnością rozróżniałem niewielkie ślady psich łap na piasku obok głazu, na którym jego pan kiedyś położył ręcznik. Przez długi czas stałem głęboko zamyślony, a cienie wokół mnie gęstniały coraz bardziej. Myśli jedna za drugą przebiegały mi przez głowę. Znacie to koszarne uczucie, kiedy się wie, że coś niesłychanie ważnego, czego się szuka, jest tuż, tuż, lecz nie można tego uchwycić. To właśnie czułem, gdy stałem samotnie w miejscu tragedii. Wreszcie zawróciłem i powoli poszedłem do domu.

Byłem akurat na szczycie ścieżki, kiedy olśniła mnie pewna myśl. Nagle uświadomiłem sobie to, czego tak żarliwie i bezskutecznie szukałem. Jeśli Watson nie pisał swej kroniki nadaremnie, to moim czytelnikom wiadomo chyba, że posiadam ogromny zasób różnych wiadomości, zupełnie nie usystematyzowanych, lecz jakże przydatnych w mojej pracy. Mój umysł przypomina szafę biblioteczną, zapchaną bez ładu i składu różnymi foliałami — jest ich tyle, że mam słabe tylko pojęcie o tym, co zawierają. Czułem przez cały czas, iż tkwi tam coś, co ma związek ze sprawą. Nie miałem jeszcze wyjaśnienia, ale już wiedziałem, gdzie go szukać. Koncepcja była monstualna i niewiarygodna, jednak mimo wszystko możliwa. Czułem, że będę ją musiał dokładnie przeanalizować.

W moim małym domu jest wielka mansarda zapchana książkami. Poszedłem tam i szperałem przez godzinę. W końcu wynurzyłem się z czekoladowo–srebrnym tomikiem w rękę. Gorączkowo przerzucałem rozdział, którego treść niejasno pamiętałem. Tak, rzeczywiście, moje przypuszczenie było arcyśmiałe i nieprawdopodobne, nie spocznę jednak, póki się nie przekonam, czy jest prawdziwe. Położyłem się późno, mając myśli zajęte pracą, która mnie rano czekała.

Niestety, przeszkodzone mi w przykry sposób. Ledwie bowiem zdążyłem przelknąć poranną filiżankę herbaty i właśnie wybierałem się na plażę, gdy zjawił się inspektor Bardl z policji w Sussex — spokojny, solidny, powolny człowiek o myślących oczach. Patrzył dziś na mnie z głębokim zakłopotaniem.

— Wiem, że pan ma wielkie doświadczenie — powiedział. — Moja wizyta jest zupełnie nieoficjalna i wolałbym, aby pozostała w tajemnicy. Ale mam poważne trudności ze sprawą McPhersona. Nie wiem, czy aresztować, czy nie.

— Myśli pan o Gryffie?

— Tak, sir. Nie ma nikogo innego, kogo można by posądzić. To są plusy tego pustkowiec; poszukiwania sprowadzają się do bardzo małego kręgu osób. Jeśli on tego nie zrobił, to kto?

— Jakie ma pan dowody przeciwko niemu?

Okazało się, że Bardl błędził po tych samych bezdrożach, po których błądziłem i ja. A więc: charakter Gryffa i tajemnica, która zdawała się go otaczać, jego wybuchy wściekłości, które wyszły na jaw w incydencie z psem, fakt, że kiedyś kłócił się z McPhersonem i że mógł mieć do niego żal z powodu powodzenia u panny Bellamy. Bardl miał wszystkie moje dane, nie przyniósł jednak nic nowego poza wiadomością, iż Gryff szykuje się do wyjazdu.

— Jak ja będę wyglądał, jeśli pozwolę mu się wymknąć, gdy na nim ciążyą wszystkie poszlaki?
— Tęgi, flegmatyczny mężczyzna tracił równowagę ducha.

— Niech się pan zastanowi — powiedziałem — nad wszystkimi lukami w pańskim rozumowaniu. Na ów ranek Gryff ma niezbite alibi. Do ostatniej chwili był ze studentami i nadszedł ku nam od strony Gables w parę minut po znalezieniu McPhersona. Niech pan też weźmie pod uwagę, że jest rzeczą zupełnie niemożliwą, aby Gryff sam jeden mógł tak poranić mężczyznę równie silnego. Pozostaje jeszcze kwestia narzędzia, którym zadano rany.

— To musiał być bicz albo jakaś giętka szpicruta.

— Czy dokładnie obejrzał pan ślady? — spytałem.

— Widziałem je. Doktor też.

— Ale ja obejrzałem je bardzo dokładnie przez szkło powiększające. To nie są normalne ślady razów.

— Dlaczego, panie Holmes?

Podszedłem do biurka i wyciągnąłem powiększoną fotografię.

— To jest moja metoda w tego rodzaju sprawach — wyjaśniłem.

— Pracuje pan nadzwyczaj skrupulatnie, panie Holmes.

— Nie byłbym tym, kim jestem, gdybym tego nie robił. Przyjrzymy się teraz tej prędze, która biegnie wokół prawego barku. Czy nie widzi pan nic szczególnego?

— Chyba nie.

— Wyraźnie widać, że głębokość przecięcia nie jest jednakowa. Tutaj mamy większą plamę krwi. I tu też. Ta druga rana, tu niżej, wygląda tak samo. Co to może znaczyć?

— Nie mam pojęcia. Czy pan wie?

— Może wiem, a może nie wiem. Niedługo będę mógł więcej na ten temat powiedzieć. Jeśli będziemy wiedzieli, co pozostawiło te ślady, będziemy już blisko zbrodniarza.

— To jest oczywiście głupi pomysł — powiedział policjant — ale gdyby przycisnąć do pleców rozgrzaną do czerwoności siatkę, to te głębiej rozranione miejsca wypadłyby na skrzyżowaniu drutów,

— Doskonałe porównanie. Albo na przykład bardzo sztywna dziewięciopalczysta dyscyplina z ostrymi węzełkami?

— Na Boga, sir! Myślę, że pan trafił!

— Ale to również może być zupełnie coś innego, panie Bardl. W każdym razie pańskie poszlaki są za słabe, aby zdecydować się na aresztowanie. Poza tym ostatnie słowa — „Iwia grzywa”.

— Zastanawiałem się, czy Lewis Gry...

— Tak, ja też brałem to pod uwagę. Gdyby „Lewis”. Ale nie. On to prawie krzyczał. Jestem pewien, że powiedział „Iwia”.

— Czy ma pan inną koncepcję, panie Holmes?

— Może mam. Ale nie chcę jej omawiać, póki nie zdobędę pełnego materiału.

— Kiedy to nastąpi?

— Za godzinę, może wcześniej.

Bardl potarł podbródek i spojrzał na mnie niepewnie.

— Chciałbym wiedzieć, o czym pan myśli, panie Holmes. Czy to chodzi o te rybackie łodzie?

— Nie, nie. Były za daleko.

— No, dobrze, więc może Bellamy i ten jego krzepki synalek? Nie bardzo kochali pana McPhersona. Mogli mu zrobić krzywdę.

— Nie, nie. Nic pan ze mnie nie wyciągnie, dopóki nie będę gotów, — powiedziałem z uśmiechem. — A teraz, panie inspektorze, każdy z nas ma swoją robotę. Gdyby pan chciał

spotkać się tu ze mną w południe...?

W tym momencie zaszedł wstrząsający wypadek, który był początkiem końca.

Drzwi wejściowe mojego domu rozwarły się gwałtownie. Z korytarza doleciały nas chwiejne kroki i Lewis Gryff, blady, rozczochrany, w rozchełstonym odzieniu, wtoczył się do pokoju, czepiając się mebli kościstymi rękami, aby nie upaść.

— Koniaku! Koniaku! — wyszeptał i z jękiem runął na sofę.

Nie przyszedł sarn. Za nim wbiegł Stackhurst, bez kapelusza, zadyszany i prawie tak roztrzęsiony jak tamten.

— Tak, tak, koniaku! — wykrzyknął. — On ledwie żyje. Z trudem go tu przyprowadziłem. Dwa razy zemdłał mi w drodze.

Pół szklaneczki czystego spirytusu dało zadziwiający efekt. Gryff uniósł się na jednej ręce i zsunął marynarkę z ramion.

— Na miłość boską! Oliwy, opium, morfiny! — wołał. — Dajcie mi coś, co uspokoi ten ból!

Inspektor i ja krzyknęliśmy głośno. Na nagim ramieniu Gryffa krzyżowały się zaognione pręgi, tworząc ten sam czerwony wzór, który był śmiertelnym piętnem Fitzroya McPhersona.

Ból musiał być straszny, i to nie tylko poranionej skór, bo nieszczęśnik na chwilę przestał oddychać, twarz mu szerniała, a potem głośno chwytając powietrze złapał się ręką za serce. Z czoła spływały mu krople potu. Lada chwila mógł skonać. Laliśmy mu w gardło coraz więcej koniaku, a każda porcja wracała mu siły. Tampony waty zmoczonej w oliwie uśmierzały ból dziwnych ran. W końcu głowa Gryffa opadła ciężko na poduszkę. Wyczerpany organizm szukał schronienia w życiodajnym śnie. Był to półsen, półomdlenie, ale przynajmniej stanowił ucieczkę od cierpienia.

Nie można było pytać go o nic, więc gdy tylko uspokoił się co do jego stanu, Stackhurst zwrócił się do mnie.

— Boże! Co to znaczy, Holmes? Co to znaczy?

— Gdzie go pan znalazł?

— Na plaży. Dokładnie tam, gdzie zginął biedny McPherson. Gdyby Gryff miał tak słabe serce jak McPherson, nie byłby teraz tutaj. Parę razy myślałem, że już po nim, gdy go tu prowadziłem. Przyszedłem do pana, bo do Gables jest dalej.

— Spostrzegł go pan na plaży?

— Szedłem ścieżką po skałach i nagle usłyszałem, że ktoś krzyczy. Gryff stał nad brzegiem chwiejąc się jak pijany. Zbiegłem na dół, okryłem go, jak się dało i przywlokłem tutaj. Na miłość boską, Holmes, niech pan użyje wszystkich swoich sił i nie szczędzi trudu, ale niech pan zdejmie klątwę z tej okolicy, bo życie tutaj stało się już niemożliwe. Czyż pan, sławny na cały świat, nie może nic dla nas zrobić?

— Myślę, że mogę. Chodźcie ze mną! Pan, inspektorze, też! Zobaczymy, czy nam się uda oddać zbrodniarza w pańskie ręce.

Zostawiwszy nieprzytomnego Gryffa pod opieką mojej gospodyni poszliśmy we trójkę do fatalnego zalewu. Na żwirze plaży leżała kupka odzieży i ręczników pozostawionych przez biednego Gryffa. Powoli szedłem nad brzegiem wody, a moi towarzysze kroczyli za mną gęsiego. Większa część zalewu była zupełnie płytka, tylko pod skałą, tam gdzie woda podmyła brzeg, dno schodziło głębiej. Oczywiście, tam musiał kierować się każdy pływak, przyciągnięty czystą jak kryształ, zielonkawą i przezroczystą wodą. Obrzeżały ją wielkie głazy spoczywające u podnóża skał. Poszedłem wzdłuż nich, uważnie wpatrując się w głębię pode mną. Doszedłem do najgłębszej i najspokojniejszej części zalewu, aż wreszcie ujrzałem to, czego szukałem, i wtedy krzyknąłem tryumfalnie.

— Cyanea, cyanea! Patrzcie na lwią grzywę!

Dziwna rzecz, którą wskazywałem, wyglądała rzeczywiście jak masa splątanych kudłów wydartych z grzywy lwa. Leżała na półce skalnej, jakieś trzy stopy pod wodą; niesamowity, falujący, włochaty stwór z pasmami srebra wśród żółtych kosmyków. Pulsował w wolnych, ospałych kurczach i rozkurczach.

— Dość złego zrobił. Teraz już koniec! — wołałem. — Niech mi pan pomoże, Stackhurst! Skończmy na zawsze z mordercą!

Akurat nad podwodną półką leżał wielki głaz. Pchaliśmy go dopóty, dopóki ze strasznym pluskiem nie wpadł do wody. Kiedy fale wreszcie się uspokoiły, zobaczyliśmy, że trafił w półkę. Jeden brzeg trzepoczącej się, żółtej błony wskazywał, że nasza ofiara spoczęła pod nim. Gęsta, oleista piana, sącząc się spod głazu i plamiąc wodę, powoli wypływała na powierzchnię.

— A to dopiero! — zawołał inspektor. — Co to było, panie Holmes? Urodziłem się w tych stronach i wychowałem tutaj, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego. To nie jest z Sussex.

— Tym lepiej dla Sussex — zauważyłem. — Pewnie ten południowo-wschodni wiatr ją przygnał. Chodźcie obaj do mnie, a przeczytam wam wspomnienia człowieka, który ma powody, aby przez całe życie pamiętać spotkanie z tym postrachem mórz.

Gdy powróciliśmy do mego gabinetu, Gryff czuł się na tyle dobrze, że mógł już siedzieć. Był jednak jeszcze ciągle oszołomiony i od czasu do czasu wstrząsał nim dreszcz bólu. Urywającymi słowami wyjaśnił, iż nie wie, co się z nim stało. Nagle chwyciły go straszne bóle i potrzebował całego hartu ducha, żeby się wydostać na brzeg.

— Tutaj macie książkę — powiedziałem, biorąc mały tomik — która pierwsza rzuciła światło na to, co mogło na zawsze pozostać tajemnicą. To są *Dalekie strony*, napisane przez znanego badacza J. G. Wooda. Wood sam omal nie zginął przy spotkaniu z tą bestią, tak że pisał z całkowitą znajomością rzeczy. *Cyanea capillata* — tak brzmi nazwa potwora. Spotkanie z nim jest równie niebezpieczne jak ukąszenie kobry, a przy tym dużo boleśniejsze. Pozwólcie mi przeczytać wyjątek.

— „Jeśli pływak ujrzy okrągłą, luźną masę brązowych błon i włókien, coś, co przypomina pęk kudłów z lwiej grzywy oraz ścinki srebrnego papieru, niech się strzeże, bo to jest straszna parząca *cyanea capillata*”. Czy można lepiej opisać naszą złowrogą znajomą?

— Dalej Wood opowiada swe własne spotkanie z cyaneą, gdy wypłynął daleko, kąpiąc się przy brzegach Kentu. Stwierdził, że rozpościera ona prawie niewidzialne nitki w promieniu pięćdziesięciu stóp i że każdy, kto znajduje się w tej odległości od samego stworzenia, jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Właśnie przy tej odległości Wood omal nie zginął spotkawszy się z potworem. Wskutek zetknięcia się z licznymi nitkami na skórze występują jasnoczerwone pręgi. Dokładne badania wykazały, że składają się one z maleńkich plamek, z których każda zawiera czerwoną igielkę wnikałą w głąb ciała.

— Ból zranionych miejsc jest, jak wyjaśnia Wood, najmniejszym jeszcze cierpieniem. „Bóle przeszywające pierś sprawiły, że upadłem jak trafiony kulą. Gdy kurcze minęły, serce uderzało mi ciężko sześć czy siedem razy, jakby chciało wyskoczyć z piersi”. Omal go to nie zabiło, choć spotkał się z cyaneą na sfalowanych wodach oceanu, a nie w spokojnym, ciasnym zalewie. Opowiada, że potem z trudem poznał sam siebie, tak bladą, wykrzywioną i pomarszczoną miał twarz. Pił koniak, całą butelkę, i to, zdaje się, uratowało mu życie. Proszę, inspektorze, oto książka. Niech ją pan przejrzy, a stwierdzi pan, że zawiera pełne wyjaśnienie tragedii biednego McPhersona.

— A przy okazji oczyszcza mnie — zauważył Gryff z kwaśnym uśmiechem. — Nie mam pretensji do pana, inspektorze, ani do pana, panie Holmes; wasze podejrzenia były uzasadnione. Czuję, że w przeddzień aresztowania oczyściłem się z podejrzeń tylko przez to, że częściowo

podzieliłem los mego biednego przyjaciela.

— Nie, panie Gryff. Wpadłem już na ślad i gdybym wyszedł tak wcześniej, jak zamierzałem, pewnie bym pana uchronił przed tą przykrą przygodą.

— Ale jak pan się domyślił?

— Jestem wszystkożernym czytelnikiem i mam pamięć wrażliwą na szczegóły. Ten okrzyk: „lwia grzywa” prześladował mnie. Wiedziałem, że gdzieś czytałem takie słowa, w jakimś niezwykłym zestawieniu. Zauważyliście, że pasują one do wyglądu stworzenia. Jestem pewny, że potwór unosił się na wodzie, gdy go McPherson zobaczył, i że słowami „lwia grzywa” chciał przestrzec nas przed bestią, która go zabiła.

— Tak więc ostatecznie jestem oczyszczony z podejrzeń — powiedział Gryff, wstając powoli.

— Winienem jeszcze małe wyjaśnienie, bo wiem, w którą stronę kierowaliście swe poszukiwania. To prawda, że kochałem pannę Bellamy, ale od dnia, w którym wybrała McPhersona, myślałem tylko o ich szczęściu. Byłem zadowolony, że mogłem stać z boku i pośredniczyć im. Często prznosiłem listy. Byłem ich powiernikiem, a ponieważ ona była mi bardzo droga, pobiegłem zawiadomić ją o śmierci McPhersona, aby kto inny nie zrobił tego w sposób mniej oględny. Maud nie powiedziała panu o naszych stosunkach bojąc się, że je pan źle oceni, a ja będę cierpiał. Jeśli pan pozwoli, spróbuję wrócić do Gables, bo chętnie położyłbym się do łóżka.

Stackhurst wyciągnął do niego rękę.

— Nasze nerwy były napięte do ostateczności — powiedział. — Niech pan zapomni o tym, co było, Gryff. W przyszłości będziemy się wzajem lepiej rozumieć.

Wyszli razem, przyjacielsko trzymając się pod rękę. Inspektor pozostał, patrząc na mnie w milczeniu cielecymi oczami.

— No tak, rozwiązał pan zagadkę! — zawołał wreszcie. — Czytałem o panu, ale nie wierzyłem. To było wspaniałe!

Musiałem potrząsnąć głową. Przyjęcie takiej pochwały byłoby obniżeniem własnego poziomu.

— Byłem zbyt powolny, karygodnie powolny. Gdyby ciało znaleziono w wodzie, od razu wpadłbym na właściwy pomysł. To ręcznik mnie zmylił. Biedak nie myślał nawet, aby się wytrzeć, a ja dlatego sądziłem, że w ogóle nie był w wodzie. Jakże więc mogłem przypuścić, że zaatakowało go stworzenie wodne? W tym miejscu zbłądziłem. Tak, tak, inspektorze, ośmielałem się często kpić z panów z policji i oto *cyanea capillata* omal nie pomściła Scotland Yardu.